

Tom 2

Pamiętnik
Polskiego
Towarzystwa
Tatrzańskiego

Kraków 1993

Pamiętnik Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego

Tom 2



Kraków 1993

Wydawca: Polskie Towarzystwo Tatrzańskie
Tatrzański Park Narodowy

Redakcja:
Adam Liberak, Barbara Morawska-Nowak

*Pragniemy serdecznie podziękować wszystkim, którzy
bezinteresownie pomogli nam w wydaniu Pamiętnika.*

Redakcja

*W Pamiętniku wykorzystano grafiki z archiwum
Muzeum Tatrzańskiego.*

Wydawnictwo LEVIATAN, Kraków, ul. Librowszczyzna 3, tel. 22-42-27

ISSN 1230-2880

Oddajemy do Waszych rąk drugi tom Pamiętnika. Naszym zdaniem ani lepszy ani gorszy od pierwszego.

Sporą część tomu poświęciliśmy 120-leciu istnienia PTT. Staraliśmy się nie ozdabiać laurkami jubileuszowymi naszych przodków, a po prostu zacytowaliśmy ich słowa. Przeczytajcie te wypowiedzi. Warto!

Ogłosiliśmy konkurs na najciekawsze wspomnienie turystyczno-alpinistyczne. Otrzymaliśmy 8 opracowań. Najlepsze przysłał nam Prezes (to nie Jego wina, że ciekawie pisze). Jego „Cztery pory roku” to opowieści z życia polskiego Klubu Wysokogórskiego w Szwajcarii w latach wojennych.

Drugie miejsce zajęło bardzo ciekawe wspomnienie „Izerska Arena” pióra Józefa Czechowskiego, napisane doskonałym, obrazowym językiem.

Trzecie miejsce przyznaliśmy Andrzejowi Słocie za wspomnienie z pierwszego spotkania z Tatrami.

Wszystkie trzy wspomnienia będą Was interesowały.

Najważniejsza pozycja naszego Pamiętnika to opracowanie dwóch naukowców z TPN pt. „Nie było nas, był las...” Każdy turysta, który przeczyta ten artykuł zastanowi się jak ratować sytuację. **A ratować trzeba!** Jak? Czekamy na propozycje.

Drugi tom Pamiętnika opracowały znów dwie osoby, bo zapowiadana pomoc nie nadeszła.

Już dziś ogłaszamy konkurs na wspomnienia — najlepsze z nich umieścimy w III tomie Pamiętnika.

III tom zamierzamy w części poświęcić Karpatom Wschodnim, liczymy na ciekawe materiały naukowo-badawcze z wyprawy ogólnopolskiej zorganizowanej przez Łodzian.

Prosimy o krytyczne uwagi na temat I i II tomu Pamiętnika.

Zapraszamy do współpracy.

Redakcja

Errata

Nie udało nam się w I tomie Pamiętnika uniknąć błędów. W tym miejscu pragniemy jedynie sprostować i uzupełnić zgłoszone braki we współczesnej historii PTT.

- Stanisław Gerega z Brzegu zwrócił uwagę na **pominięcie istniejącego w latach 1981-1984 ośrodka w Pieszycach koło Dzierżoniowa**, którego przedstawicielem był Edward Hylla (patrz str. 117, wiersz 7 od góry),
- Stanisław Gerega zauważył również **brak ośrodka w Nysie** w tabelce przedstawiającej udział ośrodków w ogólnopolskich spotkaniach byłych ośrodków PTT. Przedstawiciele Nysy brali udział w I spotkaniu organizowanym przez ośrodek w Leżajsku, podobnie jak nie zaznaczeni w tabelce przedstawiciele Poznania (patrz tabelka str. 127),
- Artur Desławski prosił o podanie nazwisk członków Oddziału Sudeckiego PTT w latach 1989-1992, którzy zostali pominięci w I tomie z powodu braku pełnych danych o oddziale (patrz str. 190).

Są to:

- | | |
|----------------------|-------------------------------------|
| 1. Białas Janusz | 10. Kobierzyńska-Gołąb Zofia |
| 2. Broniewska Anna | 11. Kopydłowska-Kaczorowska Barbara |
| 3. Gołaszewska Maria | 12. Kuskowska Elżbieta |
| 4. Gołąb Zbigniew | 13. Michalska Małgorzata |
| 5. Grzelak Janusz | 14. Noworolska Anna |
| 6. Jędrzejak Julia | 15. Pawłowska Małgorzata |
| 7. Kapłanów Janusz | 16. Sidorowicz Antoni |
| 8. Kapłanów M. | 17. Waśniowska Kazimiera |
| 9. Kmiotek Paweł | |

I Człowiek i góry



PORY ROKU

Maciej Mischke

Maciej Mischke żołnierz armii polskiej we Francji, został w listopadzie 1941 roku internowany w obozie uniwersyteckim w Winterthur koło Zurichu, w Szwajcarii. W czasie wycieczki na Piz Sol (2849 m) w dniu 15 marca 1942 roku powołał wraz z Jerzym Hajdukiewiczem, Marianem Jankowskim i Romanem Golczewskim Klub Wysokogórski Winterthur. Był prezesem tego Klubu aż do swego powrotu do kraju w 1946 roku. Całokształt działalności Klubu zamyka się liczbą 162 wypraw letnich i zimowych z 237-mioma wejściami, z czego 26 na szczyty czterotysięczne. Klub wydał w latach 1944-45 pięć zeszytów Tatarnika.

Prezentowane wspomnienia górskie dotyczą czterech wycieczek alpejskich, odbytych każda w innym towarzystwie i w innej porze roku w ramach działalności KW Winterthur.



Piz Sol 15-16.03.1942. Założyciele Klubu Winthertur, od lewej: E. Golczewski, J. Hajdukiewicz, stoją — M. Jankowski, St. Hirsch, M. Mischke

LATO

[*Hausstock (3152), Klein Ruchi (3044), Ruchi (3106);
12-14 czerwca 1943 r. z Ruth Lüscher*]

Duży towarzysz małej Ruth dzwonił zawzięcie turlikiem, tworząc wesoły akompaniament dla podejścia nieznaną im obojgu doliną Durnach. Dolina miała dziwnie swojski, tatrzański wygląd, a turlik zgubiła jakaś nieuważna krowa.

Na hali Kalterboden witali ich pasterze z wielką gościnnością. Wszystko co ci obcy robili stanowiło dla juhasów przedmiot podziwu. A mała Ruth i jej towarzysz gospodarzyli zawzięcie. On wydobywał z głębi wielkiego plecaka maszynkę spiritusową, ustawiał wiatrochron i wlewał paliwo. Ona szła po wodę z naczyniami. Na kolację mieli na pewno coś z cebulą, a potem była kawa i papieros. Ruth prosiła:

— Śpiewaj wasze nuty.

Towarzysz nie dał się prosić i zawiódł smętną melodię:

*Nie bede, nie bede na Wiśniczu siedziol,
bobyk nic o mojej dziewczynie nie wiedziol.*

A potem buńczucznie:

*Maluikom mam dziewczynie, więksej mi nie trzeba
Ej, dy na coz mi drabina, nie pudem do nieba.*

Dopiero prosiaki usiłujące z kwikiem stratować kuchnię, prowiant i turystów, zmusiły do zakończenia koncertu i do podjęcia akcji obronnej z czekanem w rękę.

Powoli zapadał zmrok. Wspominki biegly ku towarzyszom, którzy nie mogli wyrwać się w góry. Znowu plany od dawna układane trzeba było porzucić i zmarnować rezultat dwuniedzielnego klubowego, kursu wspinaczkowego. Tych dwoje reprezentowało cały Klub Wysokogórski Winterthur i — zarywszy się całkiem niereprezentacyjnie w siano — zaczęło udawać, że śpi, jak to zwykle bywa przed wyprawą.

Wcześniej rano, już o trzeciej, przestali udawać spanie. Ruth zaczęła szukać w całym stogu zgubionej w nocy skarpetki.

Gdy o wpół do piątej ruszali, leżała niska mgła i siąpił deszczyk. Mimo to byli już o szóstej u stóp północno-zachodniej grani. Przypięli raki i rozpoczęli wejście lawiniastą rynną. Mała Ruth dziwne miała przeżycia. Wejście było nudne i tylko dobry śnieg uprzyjemniał drogę. Dopiero po kilku godzinach doszli do trudniejszej partii, gdzie zaczęła się wspinaczka.

Na początek Ruth zrobiła piękne wahadło i omal nie wyrwała towarzysza z kiepskiego stanowiska asekuracyjnego. Potem były setki metrów grząskiego śniegu, gdzie dziewczyna widziała tylko ślady towarzysza, który darł się w górę na brzuchu i kolanach, by jak najmniej zapadać się w mazi śnieżnej. Pod szczytem byli po siedmiu godzinach takiej „wspinaczki”. Na obiad zgotowali trochę herbaty.

Na wierzchołku stanęli o trzeciej po południu, wpisali się do książki szczytowej, stwierdzili że we mgle nic nie widać i z prawdziwą przyjemnością zaczęli zejście południową granią.

Grań wywiodła ich na sąsiednią turnię, skąd schodzi się na Drahtseilfurkel. Nazwa pochodzi od liny drucianej, umocowanej tam dla ułatwienia przejścia. Pod śniegiem nie było jednak widać żadnej liny. Szukali i zaglądali na wszystkie strony i wreszcie zdecydowali zejść na wschód.

Maciek wyszukał sobie stanowisko asekuracyjne i posłał Ruth przodem. Mała zniknęła za ścieżną krawędzią i zaraz było szarpnięcie liny. Sparował je i krzyknął:

— Co się dzieje?

Ponieważ zza grani nie było odpowiedzi, więc — chociaż napięcie liny nie zelżało — spróbował trochę popuścić. Uciekł mu znowu kawałek liny. Zabawa taka powtarzała się kilkakrotnie. Wreszcie ustaliła się równowaga.



Ruth Lüscher

w dół. Zresztą lód przywarł wnet ciasno do płyty skalnej, nie dając dostatecznego oparcia stopie. Coraz częściej zerkał Maciek ku asekuracji, którą Ruth montowała kunsztownie na drucianej linie. Technika, jaką zaimprovizował w tej potrzebie, nie jest znana podręcznikom alpinizmu. Ciężki czekan rąbał doskonale nie tylko kruchy lód, ale ukryty pod nim lupek. Stało się zatem mimowoli zadość wyobrażeniem ceprów, którzy przypuszczają, że czekan służy właśnie do rąbania schodów w skale.

Tam na grani nie zrażało to jednak Maćka, że stosuje technikę, za którą potępi go może świat alpinistyczny i był serdecznie rad z szeregu stopni skalnych, które sprowadziły go bezpiecznie na łatwy teren. Cała przygoda była zresztą raczej wesoła, niż poważna, ale zabrała kupę czasu i gdy weszli na ostatnią turnię w grani, było już w pół do siódmej.

Do schroniska mieli jeszcze kawał drogi po żlebach zasłanych rozmiękłym śniegiem, w którym po brzuchy grzęzli i wzdłuż wschodniego brzegu jeziora

Maciek czekał na próżno na wiadomość z dołu. W końcu wychylił się za krawędź grani, trzymając mocno linę przez ramię. Ruth stała szczęśliwie i bezpiecznie przy linie drucianej, którą odgrzebywała spod śniegu, Zresztą cały szlak jej zejścia był wymieciony dokładnie ze śnieżnej pokrywy, spod której wyglądał lśniący lód. Ruth ostrzegała w swojej naiwności:

— Musisz trochę uważać. Tu jest dość twardo.

Hm! Sytuacja była głupia. Maciek nie miał przecież nikogo, kto by go trzymał z góry (jak Ruth przy glisadzie). Trzeba było rąbać. Jeden, trzy i dziewięć stopni poszło gładko. Potem czekan przecinał trzycentymetrową skorupę lodową. Lód nie przylegał do skały. Stopnie można było rąbać, choć całość nie dawała wrażenia wielkiej pewności. Lśniący pancierz mógł wraz z rąbiącym, pojechać sobie

w nieznaney im dolinie. Strzępiaste chmury, które przez dzień cały czepiały się stoków, nadawały okolicy dziwaczny wygląd, bałamucąc ich doszczętnie. Na domiar złego schronisko było na mapie oznaczone tylko w przybliżeniu. Wprawdzie ukazało się ono we mgle na chwilę, ale nie można było dokładnie ocenić jego położenia. Wiedzieli tylko, że trzeba iść na południe.

Już o zmroku zagroził im drogę szeroki strumień. Ruth zawahała się nad brzegiem, szukając przejścia. Zapomniała biedaczka, że po przeprawie w śniegu aż do kolan, nie było na nich suchej nitki. Gdy jednak zobaczyła, że towarzyszy wchodzi ze spokojem w głęboką wodę, skoczyła jak pływak w nurty i dogoniła go na prawym brzegu.

Po kilkunastu krokach zamajaczyły we mgle jakieś budynki. Eureka! Ale dziwne to było schronisko: jakieś stare robocze baraki z osobną budką na wypłaty. I w jakim oplakany stanie: okna powybijane, kuchnia rozwałona, na pryzkach garść przegniłej słomy — oto był ich „luksusowy hotel”. Nie mieli jednak wyboru. Złożyli w kącie plecaki i Ruth usiłowała wykorzystać swoje harcerskie umiejętności przy naprawie pieca, a Maciek zbierał drzewo.

Nagle, podmuch wiatru, zaczął przeganiać mgłę, Maciek wybiegł przed budę, żeby zobaczyć drogę zejścia na jutro. Jakież piękny, upragniony, najmilszy widok ukazał się jego oczom! O sto kroków dalej, ku południowemu zachodowi, łopotała w wieczornym wietrze szwajcarska chorągiew nad dużym, nowym schroniskiem. Z komina unosił się niebieski dym.

Narobił krzyku i w tempie ruszyli oboje z całym dobytkiem i uzbieranym drzewem, ku owemu mirażowi, który już znowu skrył się we mgle. Mieli szczęście. Gdyby Maciek wyszedł parę sekund później, nie spaliby w ciepłe.

Punkt dziewiąta otoczyły ich szczerze, wesołe, gęby braci alpejskiej. Zrobiono im miejsce przy ogniu i długo jeszcze siedzieli w kuchni, rozpamiętując chwile spędzone na grani. Teraz nigdzie nie było im spieszo.

W poniedziałek wyszli statecznie przed dziewiątą i ścieżką bez końca schodzili pięć godzin w dolinę do Linthal.

Na pożegnanie pokropił ich trochę deszcz.

JESIEN

[*Północno zachodnia ściana Piz Rusein w Tödim (3623) drogą Schafflützel; 4-5 sierpnia 1945 r. z Jerzym Hajdukiewiczem.*]

W ponurej ciszy ściany jasnymi dźwiękami rozległ się odgłos bicia haka. Śpiew żelaza coraz wyższy i wyższy zapowiadał dobrą asekurację. W tym czasie porządkowałem linę i szukałem oczyma dalszej drogi. Nad nami prawie ograniczenie olbrzymiej depresji, opadającej środkiem ściany, spiętrzało się pionowymi,

czarnymi zerwami, wpierającymi się gdzieś, sześćset metrów w górę, w zachodnią grań Ruseina. Ściany z lewej strony depresji różniły się barwą, ale nie nachyleniem. Możliwości przejścia należało szukać wyłącznie w linii spadku depresji, której dno skryte było w tej chwili, przed nami. Wiedzieliśmy, że gardziel wyścielają wymyte, zalodzone płyty, tworząc, tak zwane, dolne pole lodowe. Pierwsi i dotychczas jedyni zdobywcy ściany, zużyli na ich pokonanie pięć godzin wśród wielkich trudności.

Aby dostać się do depresji, musieliśmy trawersować zalodzoną rynnę.

Jurek rąbał z furią czarny, twardy lód, zaścielający dno rynny, która zatrzymywała nas w wejściu. Asekurując ciężko pracującego towarzysza, usiłowałem go pocieszyć, że mamy przecież dotychczas dobry czas, bo — idąc dla pośpiechu bez asekuracji — wznieśliśmy się już ze sto metrów od podnóża ściany, a zaledwie godzinę temu przekroczyliśmy szczelinę brzezną.

Dla zrekompensowania straty czasu i ułagodzenia złego humoru towarzysza nie czekałem aż osiągnie grzędę, lecz gdy znalazł się w łatwiejszym terenie, wziąłem się do wybijania haka. Waliłem młotkiem w lewo i w prawo, aż ręce mdały, byle jak najprędzej wydostać żelazo ze szczeliny, tkwiło w niej po kolucho. Rynnę przeskoczyłem biegiem.

Wejście odbywało się w alpejskim tempie. Gdzie tylko się dało, szliśmy z lotną asekuracją. Trening zdobyty tego lata w tysiącmetrowych lodowych ścianach Wallis, pozwalał na maksimum szybkości. Płuca pracowały ciężko, bez wytchnienia.



Jerzy Hajdukiewicz na Rheinwaldhornie

Lawirowaliśmy wśród stromych ścian z lekkim odchyleniem w lewo i wypatrywaliśmy ciągle owej, przez pierwszych zdobywców opisywanej „pozbawionej chwytów płyty”. Jakieś przewieszki, przykra rysa, zmuszały nas do starannej asekuracji. Dla nadrobienia straconego na asekurowanie czasu, musiałem iść „na pałę”, przy czym Jurek pomagał mi windując z całych sił.

Fragmety drogi ginęły w zapomnieniu, natychmiast po ich przejściu. Widziałem przed sobą tylko linę i parę metrów skały.

W chwilach, kiedy towarzysz żądał asekuracji, rzucałem zza zwojów liny ukradkowe spojrzenia na dalszą drogę. Wybór jej musiałem jednak pozostawić całkowicie jemu. Teraz byłem tylko partnerem w zespole.

Pionowe ściany wypychały Jurka, coraz silniej, ku środkowi depresji. Coraz bardziej wznosiliśmy się ku zamykającej horyzont dolnej krawędzi górnego pola lodowego. Towarzysz ustąpił mi miejsca na stanowisku asekuracyjnym i już atakował stromy, wąski kominek. Miałem jedną z rzadkich w tej ścianie chwil wytchnienia. Odległość od górnego pola lodowego szacowałem na dwie długości liny. „Płyty” jeszcze nie minęliśmy. Widocznie staliśmy przed kluczowym miejscem drogi.

Wtem przeraźliwy łoskot gruchnął w ściany. Przywarłem do skały i zacisnąłem dłonie na linie ubezpieczającej Jurka, oczekując nadchodzącej lawiny kamiennej. Łoskot zbliżał się i wzrastał, dzwoniąc dziwnie metalicznym echem. Kilka kamiaków gwizdnęło mi nad głową.

Nagle coś jęknęło, coś brzęknęło tuż nad nami i powietrzem śmignęły puszki po konserwach, napełniając cały kocioł skalny piekielnym, choć niegroźnym grzechotem. To cepry, które na całym świecie mają te same nie-obyczaje, rzucały odpadki śniadania ze szczytu.

Ledwo przebrzmiała „lawina”, gdy rozległ się okrzyk triumfu Jurka. Jak sprężyną wyrzucony wyskoczyłem do jego stanowiska. Staliśmy już na krawędzi „górnego pola lodowego” które w tym roku wytajało niemal doszczętnie odsłaniając suchą, dobrze urzeźbioną skałę. Droga do szczytu była wolna.

Byliśmy w połowie wysokości ściany. Godzina 8.30. Dolny, trzystumetrowy odcinek zabrał nam cztery godziny i piętnaście minut. Ściana była jakby zrobiona. Pozostawały do przejścia płyty pola lodowego i kominek szczytowy. Mogliśmy sobie pozwolić na luksus kwadransa odpoczynku.

Nie doceniliśmy jednak oporu, jaki w ostatniej chwili będzie stawiać ściana. Niby to płyty były nietrudne i szliśmy jednocześnie. Ale przez bitych czterdzieści minut nie było miejsca, gdzie można by stanąć całą stopą; tylko skrajne zęby gwoździ tricouni pozwalały znaleźć oparcie dla krawędzi buta.

Tempo, tempo! Narzucone już nie tylko pasją sportową, ale chęcią znalezienia skrawka płaskiego terenu pod pasem skał, dźwigających grań szczytową. Plecak ciążył nieznośnie. Płuca pracowały jak miechy.

W porównaniu z przebyтым odcinkiem przykry, piarżysty trawers w prawo u stóp ścianek, wydawał się wygodnym chodnikiem. Za to kominek podszczyto-

wy wynagrodził swą piękną skałą trud całego przejścia. Jurek wymykał się chytrymi zygzakami pionowym progom i przewieszkom. Słońce zaglądało w ścianę aż do głębi naszych dusz. Wejście straciło posmak ponurej zawziętości, nastrój stawał się zwycięski.

O dziesiątej wybiegliśmy na szczyt zalany słońcem. Rzuciliśmy worki i odpieliśmy od pasa dzwoniące żelastwo. Na rozslonecznionych polach tarasu szczytowego wypatrywaliśmy kolegów klubowych, którzy na zlot gwiazdzisty na szczycie zdążyli przez skałę i lód przepięknego żlebu Röti.

Wysiłki długich lat i dobrej pracy zespołowej zostały sownie nagrodzone.

ZIMA

[Blumberg (2414); 3-4 lutego 1945 r. z Emilem Meierem].

Emil miał dwie wielkie zalety: w nocy nie chrapał, rano wstawał wcześniej.

Dzięki temu już o godzinie 6.30 staliśmy gotowi do wymarszu przed schroniskiem Lidernen. Pierwsze blaski słońca, rozsypywały snopy iskier po dziwacznych kryształach szronu. Emil ruszył w kierunku wschodzącego słońca, torując ślad w krystalicznym puchu. Nasza mała kolumna powiększyła się o dwu spotkanych w schronisku narciarzy.

Pod zerwą skalnej ściany wypadło obniżyć się o sto metrów na dno szerokiego żlebu. Wyprowadzał z niego na otwarte stoki pod Blumbergiem, stromy lawiniasty trawers. Tutaj poznałem wówczas trzecią cechę Emila — niemożność zapamiętania najprostszej drogi i założenia przyzwoitego śladu. Prawdziwy szlak omija ten niewygodny i niebezpieczny odcinek daleko dołem.

Teraz jednak cały wysiłek skierowaliśmy na znalezienie sposobu pokonania trawersu. Towarzysze głosowali, zgodnie z zasadami lawinologii, za przekroczeniem stoku dołem, dowodząc że unikniemy w ten sposób niebezpieczeństwa podcięcia lawiny. Niestety trawers dolny doprowadzał do bocznej, bardzo stromej buli, gdzie nie groziła wprawdzie lawina, ale wyjście byłoby także nadzwyczaj żmudne. Dlatego zgodziliśmy się na mój wniosek, aby „wziąć lawinę pod siebie”.

Zachowaliśmy przy tym wszystkie potrzebne ostrożności. Trawersowanie odbywało się w dużych odstępach: jeden szedł, reszta obserwowała, tak aby w wypadku ruszenia lawiny móc szybko ustalić miejsce, gdzie leży zasypany i wszcząć akcję ratunkową. Środek ten jest niewątpliwie słuszny i podaje jedyną możliwą formę wzajemnej pomocy, ale mnie wydaje się zawsze mocno zabawny. I jeżeli o mnie chodzi, wołałbym oddać przyjaciółom „przysługę” obserwowania, niż stać się przedmiotem obserwacji.

Tym razem obeszło się jednak bez nieprzewidzianych wypadków i osiągnęliśmy przepiękne, pofalowane w bule i muldy, rozległe pola śnieżne. Emil odchylił

śląd na północ i wprowadził nas swoim zwyczajem w jakieś piekielne lawiniaste stromizmy, z których wolałem zwać w dół do szerokiego żlebu, nawet za cenę utraty wysokości. Żlebem osiągnęliśmy siodło pomiędzy wschodnim, głównym, a zachodnim wierzchołkiem Blumbergu.

Skąły podszczytowe zmusiły nas do odpięcia nart i przymocowania ich na plecach; Emil wyjął czekan i poszedł naprzód, odgrzebując spod śniegu umocowaną tam linę drucianą. Młodszy z naszych towarzyszy miał wątpliwości w wejściu – był po raz pierwszy w górach z dala od utartych szlaków narciarskich. Zrzuciliśmy mu zatem repsznur i wywindowali na górę.

Pierwszą rzeczą było naturalnie spojrzenie na zegarek – godzina 9.00. Odpieliśmy foki, rozwiesiliśmy na słońcu i opatrzyliśmy narty. Potem wyjęło się coś niecoś do zjedzenia. W końcu przyszła kolej na sakramentalny „widok”. Rozpoznawanie znanych i oglądanie nowych, nieznanych gór. Było to czerpanie natchnienia do przyszłych wejść.

W czasie naszej kontemplacji zjawilo się na szczycie dwu narciarzy, których widzieliśmy wczoraj w schronisku. Na ich powitanie odpowiedzieliśmy pełnym uszanowaniem „Grüetzi”.

Na pierwszy rzut oka rozpoznaliśmy „arystokratów cechu górskiego”. Sposób noszenia nart, wiatrówka, plecak, krótkie, wąskie spodnie z manczestru (noszone wtedy przez elitę wspinaczy), sposób wiązania butów, wreszcie pewna ociężałość ruchów, obliczona tylko na pokonanie najkonieczniejszego wysiłku, nieruchomości oczu, które zdawały się nie patrzeć, a widziały – wszystko to tworzyło obraz alpinistów z krwi i kości.

Diagnozę naszą potwierdził później starszy z przygodnych towarzyszy podejścia, opowiadając o nieznanym, że jeżdżą jak diabły.

W dwa lata później, zjeżdżając samotnie doliną Göschenen, zobaczyłem na stokach spod Lochbergu zjeżdżającą grupę. Leader rznął nie wybierając trasy najstromejszym stokiem, odmiatając ślad krótkimi śmigami i wachlarzami rozpryskującego się w słońcu śniegu. Za nim podążało z trudem trzech towarzyszy. Któż to mógł być? Spotkałem po tamtej stronie grani grupę narciarzy. Czyżby to byli oni? Przecież ich kierownik nie jeździł techniką nowoczesną. Zagadka trapiła mnie w czasie obiadu nad potokiem i drogi w dół Göschenen.

Na stacji usiłowałem ją rozwiązać. Szacowałem każdego spotkanego narciarza z jego wyglądu. Żaden nie odpowiadał mojemu podejrzaniu. Nagle spotkałem nieznanego z Blumbergu. To on właśnie zjeżdżał z Lochbergu...

Ale wracajmy do rzeczy. Przed nami był zjazd. I to jaki zjazd! Wioska Muottathal leżała o tysiąc metrów niżej. Stoki bardzo strome, urozmaicone bulami i muldami. Był tylko krótki płaski odcinek. Nie stwarzał on jednak wrażenia dysonansu.

Wyrzeliśmy ostrożnie za krawędź szczytu. Wprost na południe opadała biała, wąska stromizna, w której drzemała nagrzana słońcem lawina. Nie ma głupich! To nie dla nas!

Popatrzmy na północny wschód. Tutaj będzie lepiej! A zjazd wypada nam i tak w tym kierunku. Ostatnie sprawdzenie zaczepów kandahara — obcas siedzi jak przybity. Pętłę wyrównać na kiści i... poo-jechali!

Pierwsze dwadzieścia metrów stromo jak diabli. Jedna błyskawiczna kristiania i zsuwamy się ostrożnie. Jeden już leży!

Potem mała płasienka... poniżej skałki. Przecinamy płasienkę w prawo i wjeżdżamy ostrożnie w szeroki żleb. Niestety śnieg jest zły. Na nic tu kunszty techniki. Jesteśmy przecież w górach i zjazd odbywa się pod hasłem: stracić wysokość możliwie bez upadku.

Jechaliśmy więc możliwie bez upadku. Było nas trzech. Starszy z przygodnych towarzyszy został z tamtymi „arystokratami” na górze. Po drugim czy trzecim zakosie narta zaczęła wyczuwać większą swobodę ruchów. Ryzykujemy nieśmiało kristianie z oporu. Idzie! A więc druga, potem ciaśniej; potem dwie w wertykali. Wjeżdżam na pagórek, hops-śmig i już jazda w lewo i w prawo i...

Potem szusik szyją wąwozu, by rozpędem wjechać na morenę. Zatrzymujemy się chwilę i zbieramy rozproszone oddziały. Niejeden otrzepuje śnieg ze spodni (wiadomo, że zostawia się śnieg tylko od kolan w dół, obmiatając starannie inną część ciała).

Za moreną wjechaliśmy znowu na szerokie, pofalowane stoki. Przejeżdżaliśmy wzdłuż i w poprzek, zagłębiając się w muldy, skacząc na pagórkach, ciesząc się jak młode psy, nie bardzo zważając na wybór właściwej trasy. Spostrzegliśmy się dopiero, gdy zostawiliśmy daleko w górze przejazd ku ograniczającemu stok z prawej strony grzbietowi, gdzie wiedzie normalna droga.

Wracać nie chciało się nam. Stromizna naszego stoku, choć duża, pozostawała w granicach przyzwoitości. Postanowiliśmy kontynuować jazdę. W najgorszym razie mieliśmy przecież czekan i linę. Pojechałem przodem. Stok był rzeczywiście stromy. Trzeba było dobrze wybierać, gdzie położyć skręt, a potem wykonywać go w tempie i z precyzją. Wkrótce nowoczesna technika zatrzymowała nad przestarzałą Emila i brakiem doświadczenia nieznajomego — obaj zostali daleko w tyle.

Niedługo jednak czekali na rewanż. Wjechaliśmy w rzadki i niezbyt stromy las, gdy zagroziła nam nagle drogę wysoka ściana skalna. Towarzysze odpięli deski i zesłi rozsądnie piechotą; ja uparłem się forsować przejście na nartach. Nie udało mi się, a zabrało sporo czasu. Sprawilo to wiele radości obu kolegom.

...Osiągnęliśmy już pierwsze zabudowania. Dojeżdżaliśmy do wąskiej drogi, zasypanej aż po opłotki. Tuż przed drogą nie wyszedł mi skręt — ostatnim wysiłkiem wyprowadziłem deski odchylając ciało od stoku. Wychylenie było tak gwałtowne, że — oglądałem później ślady tego curiosum — czubkiem głowy dotknąłem zesroniałej powierzchni śniegu. Potem zaczęło się dziać ze mną coś dziwnego — pod wpływem siły bezwładności zacząłem powoli robić świecę na głowie, miałem uczucie, że coś ciągnie mnie za nogi do góry. Nagle cała ta figura gimnastyczna rozsypała się jak domek z kart i spadłem na ciągnącą się niby głęboki rów, drogę. Nad krawędzią ukazały się rozbawione twarze towarzyszy.

Tysiącmetrowy zjazd skończył się po dwu godzinach. W Muottathal byliśmy o 11.30 i nie zatrzymując się, przystąpiliśmy do drugiej części programu, która dała nam na wstępie niezapomnianą, jedyną w swoim rodzaju, jazdę roboczą kolejką linową. Kolejka — to właściwie za dużo powiedziane. Leżeliśmy wraz z całym majątkiem na dnie płytkiej skrzyni drewnianej, która huśtała się za lada poruszeniem. Toteż ledwo odważyliśmy się wychylić głowy poza brzeg pudła, by spojrzeć na dwieście metrów pionu, dzielącego nas od stałego gruntu. A wtem — rrryps — wyrzneliśmy o podporę, bo taki zwyczaj ma ta nowoczesna kolejka, będąca jedynym połączeniem komunikacyjnym osiedla Gufla ze światem. Byliśmy niezwykle zadowoleni, gdy mogliśmy wyleźć z tej trumny.

Teraz dopiero, na słonecznej przyzbie, pozwoliliśmy sobie na obiad i dłuższy odpoczynek.

Potem Emil znowu prowadził. To znaczy błędziliśmy niepotrzebnie. A potem wjechaliśmy na wyjeżdżoną trasę z Ibergereg, w chmarę tak zwanych narciarzy. Co za kontrast! Z gór wjechaliśmy w cywilizację, w kupę ludzi. A ludzie zastępowali tyki slalomu na trasie. Co parę metrów leżał (lub leżała) ktoś. Wymijaliśmy toto w tempie i z gracją. W tym większym tempie i z tym większą gracją im ładniejsza była wymijana slalomowa tyka. Jak niekonsekwentna jest natura ludzka, ucieka pod wpływem siły przyciągania.

Miły zjazd sprowadził nas do Schwyz, gdzie wykapaliśmy zabłocone deski w korycie pod studnią, naśladując w tym innych, ku rozpaczyci chłopca, któremu brudziło się wodę dla bydła — i złapaliśmy ostatni pociąg. Emil wysiadł po drodze na małej stacyjce i pobiegł do narzeczonej.

Wkrótce góry zdradził na zawsze dla rozkoszy ogniska domowego. Alpinizm nie poniósł wielkiej straty.

WIOSNA

[Ostatnia wyprawa: *Hochfaulen (2518)* — 5 maja 1946 r. oraz *Grosse Windgälle 11-12 maja 1946 r.* z „Panną” *Laure Elisabeth Wyss* i *Erwinem Baumannem*]

Las dyszał sokami wiosny. Delikatna zieleń liści witała radośnie upalne promienie słońca. Tak samo jak gdzieś w Krośnie czy pod Sandomierzem. Ciesząc się wraz z przyrodą gorącym majowego popołudnia, szliśmy wolnym krokiem, po młodej trawie ku schronisku Oberfeld, które stało nieco ponad laskiem i harmonizowało złotem swych żywicznych ścian z soczystą zielenią łąki.

Narty nasze wydawały się niestosowne w tym otoczeniu. Wnętrze schroniska, pieczołowicie urządzone rękoma gospodarzy, miało w sobie coś dziwnie swojskiego, coś co przywodziło dziecinne wspomnienie złotych płazów rodzicielskiego domu w Zakopanem. Jakże żałowałem, że odkrywam ten uroczy zakątek dopiero dziś, kiedy wiedziałem, że jestem tu ostatni raz w życiu.

Wspaniała pogoda wabiła na dwór, na słońce! Wzięliśmy narty i poszliśmy na spacer ku niezbyt odległemu śniegowi. Niewyraźna ścieżka prowadziła łagodnym grzbietem, opadającym na południe i zachód falistymi łąkami ku dolinie Reuss, na północ zaś stromym lesistym zboczem.

Wysforowałem się nieco przed „Pannę” i Erwina. Las rozśpiewał się melodią ptasich chórów. Jakiś solista prowadził dźwięcznie swą pieśń.

Nieśmiało zagwizdałem kilka taktów do wtóru. Pierzasty mistrz ucichł, słuchając intruza, potem poprawił dwa akordy i podjął przerwana nutę. Podchwyciłem z cicha melodię i wnet poddałem nowy wariant. Przez chwilę śpiewaliśmy duet: ptak — człowiek.

Nadejście towarzyszy przerwało wiosenną sielankę. Ostatecznie byliśmy jeszcze na zimowym szlaku. Do śniegu, który zalegał stromy żleb wąskim językiem, było już bliźutko. Wkrótce przypinaliśmy narty na twardym firnie. Po paru zjazdach zostawiliśmy deski pod dużym kamieniem i zbiegliśmy do schroniska, bawiąc się po drodze jak dzieci.

Jutro, 5 maja, idziemy od wschodu na Hochfaulen, skąd obejrzymy sobie *en face* północną ścianę Grosse Windgälle. W przyszłą niedzielę spróbujemy pierwszego (?) zimowego przejścia tej ściany.

Hochfaulen jest wspaniałym celem wypraw narciarskich. Zajmujące i zawikłane wejście; wspaniała sceneria północnych zerw Gwasmet i Pucher; niebywałe możliwości zjazdów. Teraz robiłem sobie gorzkie wyrzuty, że nie chciałem nigdy skorzysta z zaproszenia Ruth do wybrania się w tę okolicę.

Żal mój minął dopiero w schronisku, do którego wróciliśmy wcześniej i — rozłożywszy całe gospodarstwo na pachnącej łące pod nagrzaną słońcem ścianą — uprawialiśmy *dolce far niente*.

Jakże piękne są te bez troskie górskie dni, bez zgrzytów i dysonansów, wśród wypróbowanych towarzyszy, zawsze gotowych do wysiłku i pustoty. Dni przeżyte z pełnokrwistymi ludźmi, na których można liczyć w każdej chwili i w każdej przygodzie, ludźmi pełnymi radości życia, zawsze skorymi do uśmiechu, nawet w niebezpieczeństwie.



Laure Elisabeth Wyss „Panna”

Miałem przeżyć jeszcze jeden taki dzień. Jedenastego maja 1946 celem naszym była północna ściana Grosse Windgälle. Obraz jej widziany z Hochfaulen mieliśmy ciągle w oczach, a pamięci pomagały fotografie.

Ściana ma tysiąc metrów wysokości. Od wschodniego krańca stawu Seewli See prowadzi w prawo kilkusetmetrowy trawers po stromych śniegach do depresji, która biegnie z powrotem skośnie w lewo i przechodzi stopniowo w żleb, zamknięty progiem skalnym.

To kluczowe miejsce ściany. Powyżej, ściana otwiera się i wyprowadza stromizną śniegów i płyt skalnych na wierzchołek.

Erwin i ja występowaliśmy dzisiaj w roli sahibów; „Panna” spełniała obowiązki Szerpy, wysokogórskiego tragarza. Miała w niedzielę znieść cały zbędny do wejścia bagaż do Silenen, gdzie wyznaczaliśmy punkt zborny.

Prymitywną kolejką linową, która zdawała się unosić pionowo z dna doliny, wyjechaliśmy na próg doliny Evital. Malownicza dróżka wśród łąk i kęp drzewnych wywiodła nas ku stromym skałkom, poprzetartym kosówką. Oszołomieni nagłością przejścia z atmosfery łąk i pól, patrzyliśmy na skały, jakbyśmy widzieli coś podobnego po raz pierwszy w życiu. Nie dostrzegaliśmy logiki terenu, nie spostrzegaliśmy ścieżki omijającej urwisko nikłym



Erwin Baumann i Maciej Mischke obserwują pn. ścianę Grosse Windgälle

ślądem daleko z lewej strony. Jak pierwsze lepsze cepy chwyciliśmy się najprostszego sposobu — wspinaczki wprost w górę.

Skomplikowane manewry techniczne, zapieranie na pniu uschniętej sosny, asekuracja przez konary kosówki, wprowadziły nas w końcu na jedyną w swoim rodzaju „ścieżkę”, sztucznie zda się wykutą w zlepieńcowej skale. Szerokość gzymsu wynosiła miejscami zaledwie kilka centymetrów, co — przy pełnym braku trudności — dawało jednak silne wrażenie w kilkudziesięciu metrowych urwiskach, tym bardziej, że pod wieczór zerwał się porywisty wiatr, utrudniający balansowanie na tym podniebnym szlaku.

Zmierzchało, gdy dotarliśmy do Seewli Alp. Dłuższą chwilę trwało nim znaleźliśmy szałas nadający się na nocleg, ale z chwilą gdy wybór został zrobiony, już nasz wypróbowany mechanizm biwakowy był w ruchu. Pierwszą rzeczą była wyprawa po wodę (ja) i po drzewo (Erwin). „Panna” rozkładała kuchnię. Potem Erwin zajął się ogniem, a ja holowałem w zapadającej ciemności drzewo na zapas.

Założyliśmy tęgą watę; nawet dym, wyciągany wiatrem przez wiązanie dachu i ścian, nie bardzo dawał się we znaki. Wkrótce leniwe ciepło wypełniło szałas.

Dobra kolacja, papieros, dobry humor, nadzieja dnia jutrzejszego. Jeszcze tradycyjnie musiałem zaśpiewać coś „waszego”:

Słonecko zachodzi, za las zapaduje

Ta naso gaździna wieczorom gotuje!

i poszliśmy spać.

Na stryszku była istna wędzarnia, ale co najważniejsze — miłe ciepło. Zagrzebani w jakieś resztki siana, przykryci od biedy znalezionym płaszczem, zasnęliśmy czujnym snem, jak zwykle przez wyprawą...

Było jeszcze zupełnie ciemno, gdy po pospiesznym śniadaniu, zostawiwszy „Pannę” w czułych objęciach Morfeusza — ruszyliśmy w drogę. Noc była ciepła i duszna; rozmiękły śnieg nie dawał oparcia. Od zachodu pokazywały się niedobre chmury.

Erwin zdradzał charakterystyczny dla niego niepokój wyczynu. Zostawiwszy mnie daleko w tyle, torował niezmordowanie. Dolny trawers przedstawiał stromy stok śnieżny, w którym Erwin deptał głębokie stopnie. Idąc wygodnym szlakiem kombinowałem, że przy normalnych warunkach byłby to mozolny odcinek; kto wie, czy nie trzeba by rąbać.

Ku końcowi trawersu zacząłem dochodzić towarzysza. Pogoda psuła się. Przez chwilę siąpił nawet drobny deszczyk. Zapął stygł powoli.

Na początku depresji, tam gdzie droga skręca z powrotem w lewo, czekał Erwin. Wyglądał źle. Nadmierne tempo i załamanie pogody, wypisały swój komunikat na jego wyrazistych rysach. Nie owijał też swojej depresji w bawełnę.

— Zdaje się, że chyba nie pójdę!

— Jak chcesz! Ale może byśmy jeszcze spróbowali kawałek?

Jestem zdecydowanie przeciwny zmuszaniu partnera do drogi, zwłaszcza przed wielką ścianą. Depresja partnera udziela się ponadto całej partii, ja też — w parnym powietrzu, na mokrym usuwającym się śniegu — nie byłem zbyt bojowo nastrojony. Mimo to decyzja odwrotu była dla mnie ciężkim rozczarowaniem.

Z drugiej jednak strony uczciwość każe mi przyznać, że druga, gorsza strona mojej alpinistycznej duszy, cieszyła się nawet na chwile pożegnania z Alpami w tonacji bardziej molowej.

Dość, że po dwu długościach liny zdecydowaliśmy ostatecznie odwrot, pomimo że właśnie na niebie rozgrywał się jeden z fenomenów przyrody. Zerwał się nagły wiatr wschodni, który zawrócił z połowy nieboskłonu deszczowe chmury i pognął je z powrotem na zachód, zalewając świat cały potokiem najpiękniejszego światła słonecznego.

„Pannę” spotkaliśmy niedaleko szałasów. Zapędziliśmy naszego Szerpę do roboty; gotując śniadanie zwierzała się:

— Pierwszego zobaczyłam Maćka. Szedł taki jakiś przygnębiony, z opuszczoną głową. Erwina nie było widać. Bałam się, że jakiś wypadek...

Dopiero koło południa spakowaliśmy graty i ruszyliśmy w dół. Nasilenie wiatru nie zmniejszyło się wcale. Perspektywa wczorajszej drogi zupełnie się nam nie uśmiechała. I tak zamknęła się pętla moich wypraw alpejskich. Schodziliśmy na Kirchberg i Silenen, tą samą drogą, którą zśliśmy w czasie pierwszej letniej wyprawy klubowej z roku 1942.

☆☆☆

Żegnałem Alpy. Stały się drogą mojemu sercu. Los był dla mnie łaskawy, pozwalając mi uganiać się po szczytach za mirażem szczęścia, w czasie wojny.

Nie dopisało mi ono w ów majowy, ostatni wielki dzień alpejski. Grosse Windgälle odgradziła się ode mnie swą niezdobytą północną ścianą. Ale czyż niespełnione marzenia nie są najpiękniejsze? Żegnałem Alpy z żalem za odniesionymi sukcesami, ale bez żalu za poniesione porażki.

☆☆☆

Post scriptum. Pisałem to pożegnanie, nie wiedząc, że w 1959 roku dane mi będzie znowu odwiedzić Alpy i przejść północno-zachodnią ścianą Breithornu i wschodnią ścianę Monte Rosa. Zanim pokazałem Alpy w roku 1974 Żonie i Synowi. Zanim w roku 1980 stanąłem definitywnie po raz ostatni, na szczycie mojej ulubionej góry Tödi-Piz Rusein.



M. Mischke
Dipl.-Ingenieur

J. Hajdukiewicz
Doktorand der
Medizin

IZERSKA ARENA

Józef Czechowski

Było to w Górach Izerskich piętnaście, a może dwadzieścia lat temu. Pogodna wrześnieowa niedziela. Pięcioro przemyłych turystów opuszcza chatę „Karola” na Hali Izerskiej (dzisiaj „Chata Górzystów”, dzierżawiona przez „Almatur” w Zielonej Górze) i idą przed siebie gdzie nogi poniosą. Zaiste, dziwni jacyś ci turyści – kluczają przez gęstwiny leśnych ostępów, śledzą ruchy zwierząt, pokonują mokradła. Tu poderwały się cietrzewie, tam przemknęły jelenie – wszystko w niezwyklej scenerii leśnych uroczysk.

Kolejne „pastwisko” pozwala na mały relaks dla ramion. Plecaki topimy w nadmuchanych poduchach jagodników i „pasiemy się”. Jest Jola, Maryla, Krzysiek, Wiesiek no i ja – Józek. Mamy usta granatowe od jagód.

Ruszamy. Spod skał „Wieczornego Zamku” na południe. Ostrożnie kluczymy po kępach traw porastających Mokradło Izerskie. Nieoczekiwanie stajemy na skraju lasu. Wchodzimy na znajdującą się w pobliżu wyniosłą ambonę skalną (skały te, zwane „Skalnym Dolem”, naniesiono dopiero na współczesnych mapach po tym, jak przestał istnieć otaczający je las). Przed nami otwiera się widok na ogromny amfiteatr wymiecionej z drzew doliny górskiej. Kilka lat temu halny wiatr pozwolił tu sobie na upust fantazji. Czas zdołał już zabiżnić zadane rany; drewno zmurzało, wyrosły dywany traw, podniosły się niewielkie drzewa zasiane ręką Natury. Gigantyczną misę amfiteatru przecina pręga ciemnej soczystej zieleni, która jawi się jako smagnięcie biczem giganta. To potok wypływający z masywu Izerskich Garbów – dopływ Ciekonia.

Plachta pożółkłych traw nakrapiana czerwienią jarzębin, jawi się niczym piękny dywan, na którym lada chwila ma rozpocząć się jakaś doniosła ceremonia.

Cisza zupełna, zdźbło trawy w bezruchu, jakby widownia w napięciu oczekiwania wstrzymała oddech. Instynktownie, bez słów, szukamy najdogodniejszych miejsc, wyciągamy lornety. I tylko niebo czyni ostatni makijaż scenografii przed podniesieniem kurtyny. Zaczyna się... Ale oddaję głos świadkowi tamtego wydarzenia, który będąc pod wpływem emocji, zarejestrował to co odczuwał. Wewnętrzna potrzeba kazała mu wtedy nakreślić szkic tego wydarzenia:

„O lasy nieprzebyte, ścieżki moje dzikie! O Naturo nieprzejednana, przechodzisz jak anioł śmierci, który wyjąc wichrem pustoszy ziemię. Zewsząd łoskot walących się pni, zewsząd groza. O Naturo szczodra, przechodzisz jak stwórca życia, gdy pysznymi ziołami pokrywasz wiatrołom, powracasz stadami cietrzewi i jeleni! O życie, życie jak wojna bezlitosne, o śmierci, śmierci jak życie rodząca!

Wiatrołomie, nieme świadectwo potęg Natury, areno przekreślona żywozieloną krechą żlebu — uchyl rąbka swych tajemnic! Wieżo z granitu, ambono wyniesiona ponad przestrzenią — wesprzyj nas! Dobrze Duchy, bądźcie ze mną, — ja z Wami zostanę, zaświadczyć!”

Tarcza słońca na progu zachodu. Ostatnim tchnieniem wylewa na arenę kosz pomarańczy. Buki zapalają się purpurą, trawy się złocą, czerwienią koralu jarzębiny grają. Lampa dnia przygasa, tli się i znika. Żegnany wzrokiem, złocisty żagiel słońca znika poza grzbietem góry. Spoza horyzontu przesyła pożegnalne gesty; niebo maluje, jakby żał mu było dnia, który już nie wróci. Melancholijne twarze poczyna rzeźbić dłuto nostalgii.

Stopniowo kolory rozmywają się, przenikają wzajemnie, przygasają, bledną. Któż tę paletę dzierży w ręku, kim jest malarz i jakich używa narzędzi?

Zmierzch. Ponad wszystkim pastelowa kopuła nieba. Preludium zakończone, amfiteatr jest gotów na otwarcie godów.

Zrazu, gdzieś z odległego boru, dobiega porykiwanie jelenia. Z każdą minutą głos przybliża się i staje się coraz bardziej stanowczy. W wieczornej ciszy szeroko rozlewa się po dolinach, opływa zbocza gór.

Spójrz tam, powyżej — łanie. W pobliżu jest też rogacz. Sunie dostojnie — majestatyczny, dumny. Coraz to zatrzymuje się, uwieńczoną głowę zwraca w kierunku otwartej przestrzeni.

Spokojnie lustruje arenę, jakby dokonywał wyboru miejsca najbardziej godnego. Tak właśnie, zatrzymuje się w eksponowanym miejscu pod ścianą buków vis á vis naszej abmony. Głowę, ozdobioną we wspaniałe poroże, zwraca w kierunku otwartej przestrzeni, pysk wyciąga nieco ku przodowi i przez rozwartą gardziel wylewa potężną falę przeciągłego grzmotu. Potem jeszcze raz i jeszcze... Wydaje się, że ryk wciska się do najdrobniejszych zakamarków polany, przenika do szpiku kości. Drżą włosy, drżą trawy, drży świat. Pięć serc, leżąc na skale uderza miarowo, uszy ciężą nabrzmiałe krwią gorącą. I tylko łanie, jakby

nieczułe na to co się w ich pobliżu dzieje, spokojnie skubią trawę. Zachowują się tak, jakby nie dostrzegały w tym wszystkim nic niezwykłego.

W powietrzu unosi się ostry zapach piźna godowego. I oto z odległej, dolnej części amfiteatru dobiegają niewyraźne odgłosy porykiwań. Są wyraźnie słabsze od głosu naszego pierwszego wokalisty. Są tam. Z młodnika wychodzą cztery łanie i dwa byki. Sądząc po porożach są to osobniki młode. Przez pewien czas byki idą obok siebie jak para dobrze zżytych z sobą koni, jak dwaj najlepsi przyjaciele.

Ale cóż to? Nie, to nie są przyjacielskie zamiary. Dochodzą na miejsce dogodne, gdzie teren nie jest grząski i natychmiast zwracają ku sobie swe groźne oręże. Wstrzymują oddech. Z wielką energią ruszają ku sobie. Głuchy trzask przeszywa przestrzeń. Już przepychają się nawzajem, wykręcają rogi. Patrzą przez szkła; grają struny mięśni tylnych kończyn, kark wytężony potężnie. Już płaty wyprutej rogami darniny fruują jak kępy siana na wietrze. Robią po pół kroku w tył, patrzą na siebie złowieszczo, napierają gwałtownie i ... trzask — krótki, groźny. I jeszcze powtórka. Ze splecionymi rogami kręcą się wokoło. Przepychają wzajemnie; pyski tuż przy gruncie — niewidoczne w trawach. Tylko rogi pływają ponad chaszczę na tle rogatych korzeni wykrotów. Wreszcie jeden z nich popełnia błąd w szermierce na rogi i otrzymuje potężnego szturchańca w bok. Walka rozstrzygnięta. Wiadomym się staje, który dziś jest górą. I oto, jak zawodnicy po skończonej walce, równym krokiem powracają do smrekowego młodnika; jeden obok drugiego, bez cienia pretensji wzajemnej, obaj godnością równi, choć jeden z nich odniósł zwycięsko. Taki rytuał, takie jest słowo odwieczne.

Tymczasem pierwszy wokalista, byk z górnej areny, grzmi raz po raz. I chociaż ciała nasze tkwią na skałach bezpiecznie w bezruchu, dusze są tam, pośród gladiatorów toczących walkę na arenach wiatrołomu; uczestniczą w zmaganiach, zwyciężają i odczuwają ból klęski.

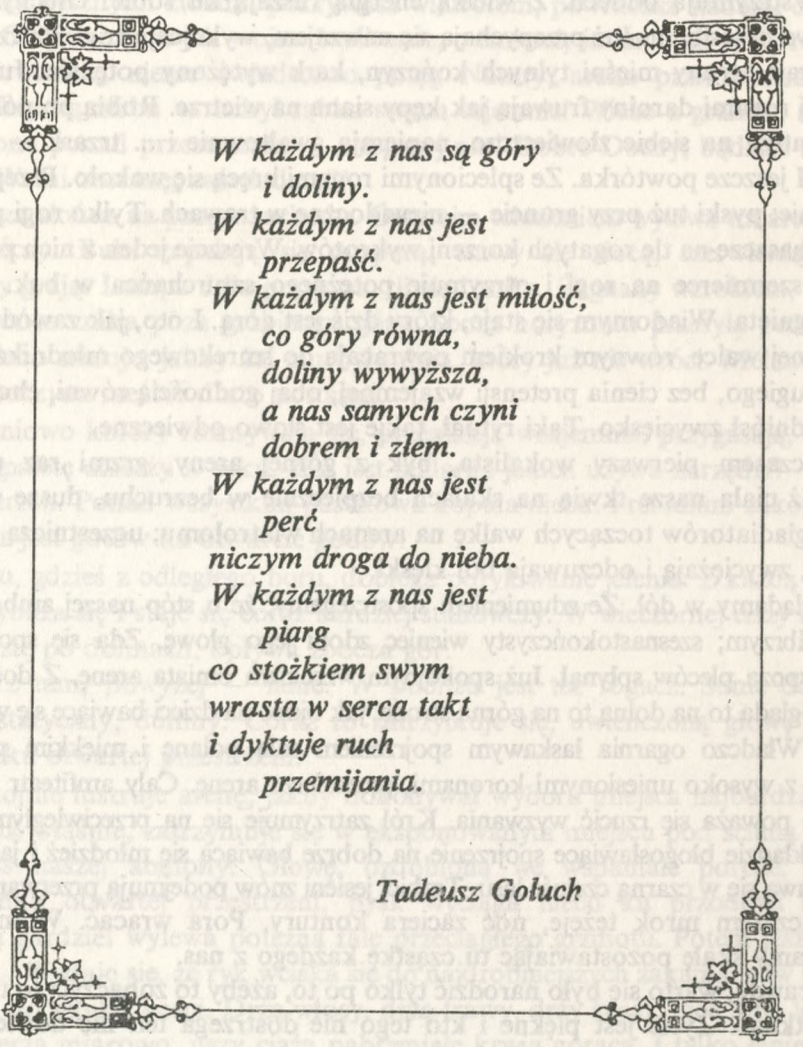
Spoglądamy w dół. Ze zdumieniem spostrzegamy, że u stóp naszej ambony stoi rogacz-olbrzym; szesnastokończysty wieniec zdobi jego głowę. Zda się spod ziemi wyrósł, spoza pleców spłynął. Już spokojnym wzrokiem omiata arenę. Z dostojenstwem spogląda to na dolną to na górną stronę, jak ojciec na dzieci bawiące się w wojnę. Milczy. Władczo ogarnia łaskawym spojrzeniem całą polanę i miękkiem płynnym biegiem, z wysoko uniesionymi koronami, przemierza arenę. Cały amfiteatr milknie. Nikt nie poważa się rzucić wyzwania. Król zatrzymuje się na przeciwległym skraju polany, kładzie błogosławiące spojrzenie na dobrze bawiącą się młodzież i jak dobry duch usuwa się w czarną czeluść lasu. Trąbici jesieni znów podejmują przerwana pieśń.

Tymczasem mrok tężeje, noc zaciera kontury. Pora wracać. W milczeniu opuszczamy skałę pozostawiając tu cząstkę każdego z nas.

Zaprawdę, warto się było narodzić tylko po to, ażeby to zobaczyć, to usłyszeć, tego dotknąć. Życie jest piękne i kto tego nie dostrzega ten nie dowie się, że znajduje się w raju.

„Tę krótką opowieść napisała sama Matka Natura”

Epilog: Kiedy we wrześniu 1991 roku o zmroku znalazłem się na tejże samej polanie, na próżno oczekiwałem jakiegokolwiek odgłosu życia. Po IZERSKIEJ ARENIE pozostało tylko to wspomnienie.



*W każdym z nas są góry
i doliny.
W każdym z nas jest
przepaść.
W każdym z nas jest miłość,
co góry równa,
doliny wywyższa,
a nas samych czyni
dobrem i złem.
W każdym z nas jest
perć
niczym droga do nieba.
W każdym z nas jest
piarg
co stożkiem swym
wrasta w serca takt
i dyktuje ruch
przemijania.*

Tadeusz Gołuch

TATRY PIERWSZY RAZ

Andrzej Słota

Giewont, góra-symbol w naszych Tatrach. Owiana legendą o śpiącym rycerzu, który czeka na znak. Dominuje nad Zakopanem, jakby ochrania swym majestatem. Giewont z Zakopanem, czy Zakopane z Giewontem to jedno.

Na samym początku naszego stulecia, bo w roku 1901 — wzorem alpejskich olbrzymów — postawiono na Giewoncie żelazny krzyż. Jak na owe czasy przedsięwzięcie niesamowite. Siedemnaście metrów konstrukcji o łącznej wadze 1800 kg! Sprytny był proboszcz z Poronina. Elementy krzyża, a było ich aż 400, grzeszny lud podhalański wyniósł na wierzchołek jako pokutę.

Giewont, magiczna góra z żelaznym krzyżem. Przyciąga i kusi. Jednym wystarczy popatrzeć nań przez olbrzymią lunetę z Krupówek, inni sami wdzierają się na wierzchołek. Oblegany jest przez różnej maści turystów i wycieczkowiczów, którzy z turystyką nie mają nic wspólnego. Wielu wystarczy, że byli tylko na Giewoncie, inni szukają następnych tatrzańskich szczytów. Co roku Giewont przyciąga tłumy ludzi. Magiczne działanie krzyża powoduje, że większość fotografuje się z nim właśnie.

Ja też kiedyś uległem urokowi tej góry. Od niej rozpocząłem swoje tatrzańskie wędrówki. To były dawne czasy, dla mnie pionierskie. Bywałem już w górach, ale w Tatrach nigdy. Nie byłem przygotowany na wysokogórskie wędrówki, poszedłem po prostu w trampkach. Zresztą w tych czasach trudno było zdobyć dobre, turystyczne buty.

Najładniejsza trasa na Giewont: od Zakopanego przez Strążyską i Grzybowiec. Droga bardzo widokowa.

Do Giewontu doszedłem błyskawicznie tj. w czasie o wiele krótszym niż podaje się w przewodniku. Przewodnik przez zupełny przypadek kupiłem

w antykwariacie. Z tymi wydawnictwami też nie było łatwo. Szybko znikają z półek kolejne, rzadkie wznowienia.

Na wierzchołku niezbyt przyjemnie. Po przebrnięciu przez tłum na końcowej już ścieżce jestem na Giewoncie. Na górze ścisk, wrzawa jak na targu. Przy zejściu trzeba uważać. Kamienny chodnik błyszczący w słońcu jak posadzka, wypolerowana przez miliony par butów. W sezonie letnim wycieczka na Giewont nie należy do przyjemności.

Uwaga moja skierowała się ku odległym Tatrom Wysokim. Poza tym odkryłem, że tuż niedaleko rozpościera się grzbiet Czerwonych Wierchów i niebywałe (!) zdecydowanie wyższych od Giewontu. Rzut oka na mapę, ocena odległości i dalej. Naprzód! Na Czerwone Wierchy! Jeszcze tylko nieśmiertelne zdjęcie pod krzyżem i już mam Giewont poza sobą. Idę na Kopę Kondracką. Ależ ta ścieżka rozdeptana. Coś niesamowitego!

Upała okropny. Cały spływam potem. Pocieszeniem jest to, że po raz pierwszy przekroczę zaczarowaną dla mnie wysokość 2000 metrów. Mam tę satysfakcję, że z moich znajomych nikt tu jeszcze nie był. Ale zdziwią się, jak opowiem, że na Giewont patrzyłem z góry! Wreszcie jestem na moim pierwszym dwutysięczniku. Siadam na trawie i delektuję się wspaniałymi widokami. Cicha Dolina, zamknięta w oddali piramidą Krywania, symbolem wolności Słowaków. Z Czerwonych Wierchów Krywań jest prawie w zasięgu ręki.

Jest też i coś dla znużonego ciała. Pałaszuję wszystko co mam w plecaku i wypijam ostatnie łyki herbaty. Czuję, że za mało jej zabrałem. Będę miał nauczkę na przyszłość. Może dojdę do jakiejś wody. Ale uzmysławiam sobie zaraz, że woda jest tylko w dolinach. Tatry, to nie Beskidy, czy Gorce, gdzie często po drodze przekracza się strumienie i potoki. Nie, nie zejść w dolinę. Trudno, jakoś to wytrzymam. Czuję, że tu, na Czerwonych Wierchach urosły mi skrzydła. Ponieważ mam nieco czasu i wiem, że wrócić muszę do Zakopanego na nocleg, postanawiam dojść aż do Kasprowego Wierchu. Tam na pewno ugaszę pragnienie.

Na szczęście ścieżka jest wygodna i nie narzekam na moje trampki. Po udeptanych trawkach idzie mi się dobrze. Idę ku Wysokim Tatrom. Teraz one z kolei przyciągają do siebie. Z lewej jedna dolina, z prawej druga. Cisza. Ta urzekająca cisza brzmi jak muzyka. W dół do Cichej Doliny jest blisko tysiąc metrów. Tysiąc metrów powietrza, a ja w tym kryształowym powietrzu słyszę jak woda pluska. Słyszę wyraźnie jak przelewa się z jednego kamienia na drugi. Wydawać by się mogło, że dzięki tej muzyce mógłbym policzyć kamienie w potoku.

Cisza i spokój. Tu czuje się ten majestat gór. Ta cisza nad Cichą Doliną jest wprost urzekająca. Przywykły do śpiewu ptaków w innych górach niż Tatry – jestem zauroczony tą niesamowitą pustką. Tu nie ma ptaków. Wyjątkiem jest para kruków, która krąży nade mną. Ich złowrogi krzyk odbija się echem po wielokroć od trawiastych upłazów i skał. Rozczuła mnie widok muchy, która przysiadła na kamieniu przede mną. I ona też jest inna. Po prostu piękna, zielona i kolorowa.

Idę grzbietem Czerwonych Wierchów. Idę? Nie, lecę! Jak na skrzydłach, niczym ptak. Podałem się czarowi, który oby trwał wiecznie! Jestem tu w górach, lecz jednocześnie czuję, jakby mnie nie było. Coś takiego przeżyłem po raz pierwszy. Jak w transie pokonałem całą grań do Świńskiej Przełęczy. Nie czułem zmęczenia, ni pragnienia.

Do rzeczywistości przywołało mnie ostatnie podejście — pod wierzchołek Kasprowego Wierchu. Na kamienistej w tym miejscu ścieżce trampki zaczęły palić niemiłosiernie. I ta suchość w gardle. Niesamowita. Słońce przez cały czas przypalało mi plecy, na szczęście osłonięte mokrym od potu i przyklejonym plecakiem.

Podejście pod Kasprowy jakby wydłużało się w nieskończoność, a przecież to tylko 130 metrów! To co na dole wydawało się zupełnie łatwe okazało się teraz trudne. Wreszcie jestem. Siadam na kamieniu i ogarniam wzrokiem drogę, którą przebyłem. Nad Czerwonymi Wierchami łśni już na szczęście czerwona kula zachodzącego słońca. Giewont, który jeszcze rano wznosił się wysoko i kusił swym kształtem — teraz jakby zapadł się gdzieś w głąb. Czuję jakbym był innym człowiekiem.

Czas wracać. Czekają na mnie przecież. Schodzę z wierzchołka Kasprowego do budynku stacji. Czuję w nogach cały dzień. Postanawiam zjechać kolejką. Dowiaduję się, że ostatni kurs do Kuźnic mam za 30 minut. Jeszcze tylko pić! Kilka łyków z kranu przynosi wprawdzie ulgę, ale nie gasi rozpalonego gardła. Wchodzę do restauracji z myślą o herbacie. Barman przy barze wyciera jakieś ostatnie szklanki.

— Co podać? — pyta. — Zaraz zamykamy.

Na półkach stoi piwo. Eksportowy Żywiec za — bagatela — 140 złotych! Toż to majątek! Trzykrotne przebicie ceny sklepowej!

— Niech pan da tego Żywca.

Radość w ustach i radość w sercu.

Ostatnim kursem zjechałem na dół, choć żał było wracać. Pan kolejarz, który wracał do domu po pracy wziął ode mnie za połowę biletu. Do kieszeni.

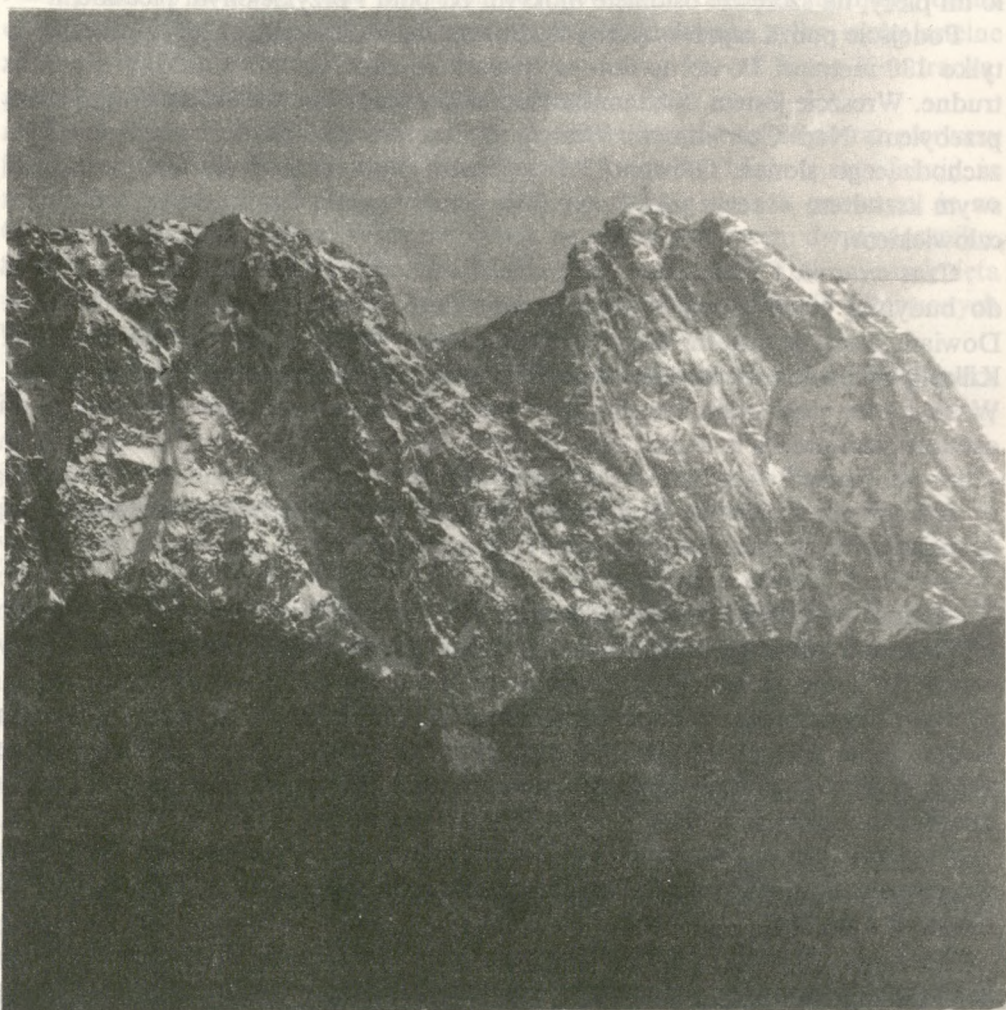
Było ciepło i przez otwarte okno wagonika patrzyłem za słońcem, które tliło się jeszcze na wierzchołku Kasprowego i Czub Kondrackich. Czuję się dziwnie lekko. Nie byłem pewien co podziałało na mnie w ten sposób. Czy to góry, czy ta minimalna dawka alkoholu. A może jedno i drugie?

Pierwszy raz w Tatrach. Ta pierwsza tatrzańska wycieczka ugodziła mnie w serce jak strzała Kupida. Wówczas zdałem sobie sprawę, że od gór, od Tatr już nie mam odwrotu.

Tatry — najpiękniejsze góry. Moje góry. Staram się bywać w nich jak najczęściej, lecz myślami jestem w nich stale. Będąc w domu moja dusza dalej błąka się po tatrzańskich ścieżkach. Ilekroć jadę w Tatry i potem powracam — pewna część mnie samego pozostaje tam zawsze. Podczas kolejnej wyprawy, gdy jestem w miejscu w którym już byłem, odnajduję tę moją część, podnoszę

i wracam do wspomnień. Do deszczu, który wówczas spadł i zmoczył mnie dokładnie, do słońca, które niemiłosiernie paliło w innym znów dniu, do czasu który minął i nie powróci. A szkoda. Wracam do wspomnień, dokładam do nich nowe przeżycia i idę dalej. Do tamtego kawałka dokładam nowy, dzisiejszy i wiem, że znów mnie ubyło. Znów zostawiłem tam w górach jakiś kawałek mojej duszy. Tym razem większy.

I wiem, że niedługo będę musiał znów pojechać w Tatry. Po to, żeby znów siebie odnaleźć.



Giewont

Fot. A. Liberak

29 maja 1953 r. zdobycie Mount Everestu

CO SIĘ ZMIENIŁO W HIMALAIZMIE

Marian Bała

Tragiczne wydarzenia ostatnich kilku lat, które doprowadziły do dramatycznego wykruszenia się czołówki polskich himalaistów mamy już za sobą. W wypowiedziach w publicznych środkach przekazu wielu nawet dobrze obeznanych w tematyce alpinistycznej dziennikarzy i znanych alpinistów starszego pokolenia a również, co zaskakuje, niektórych młodszych, zdumiewa często nikła znajomość realiów współczesnych nawet himalajskich szczytów. Czy nam się to podoba czy nie, chodzenie po Himalajach wygląda teraz inaczej niż jeszcze kilkadziesiąt lat temu. Skończyły się czasy zdobywania ośmiotysięczników najłatwiejszymi drogami. Obecnie wchodzi się na nie coraz trudniejszymi drogami pokonując nieraz ogromne ściany. Taka działalność wymaga całkiem innej taktyki. Czy zmiany poszły w dobrym kierunku czy w złym jest sprawą dyskusyjną nawet wtedy, gdy bierzemy pod uwagę tylko zagadnienia etyki i bezpieczeństwa.

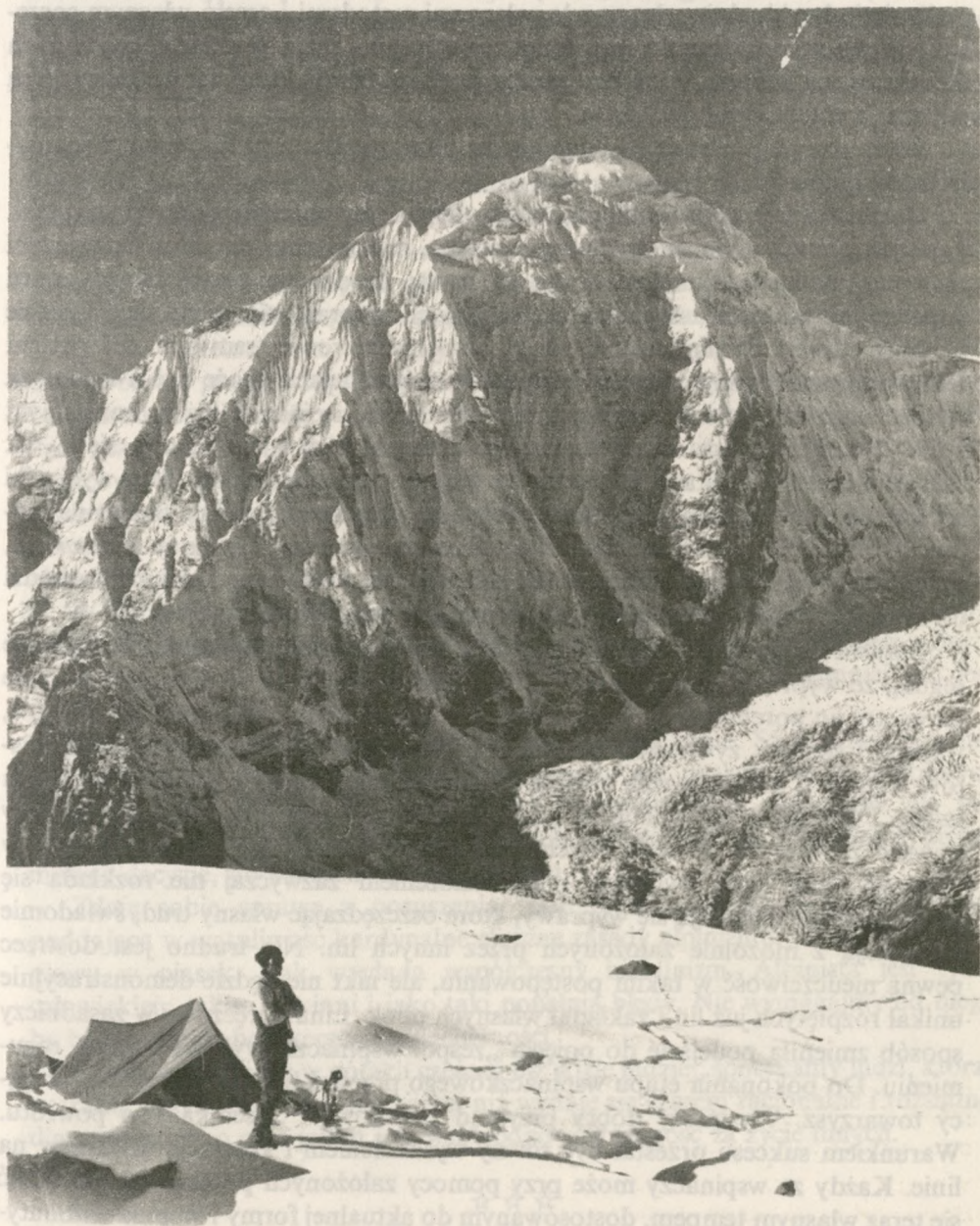
Zmieniły się czasy, zdecydowanie ułatwił się dostęp do gór, zmienił się styl wspinania, jakość sprzętu, sprawność alpinistów i przede wszystkim mentalność ludzi poświęcających się alpinizmowi. Nie można oceniać współczesnego himalaizmu stosując kryteria sprzed lat.

Z wielu aspektów związanych ze zmianami we współczesnym himalaizmie chciałbym zwrócić uwagę szczególnie na dwa: organizację wypraw i styl wspinania. Znajomość rzeczywistości pozwoli nam może spojrzeć trochę inaczej na przyczyny wypadków w Himalajach. Wyprawy budzą szczególne zainteresowanie dopiero wtedy gdy zdarzy się wypadek i to najczęściej śmiertelny. Ludzie w górach ginęli zawsze. Możliwość śmierci musi być wkalkulowana w cenę, którą alpinista może (ale nie musi) zapłacić za szansę przeżycia czegoś tak wspaniałego jak zdobywanie gór. Gdy wszystko jest „w porządku”, poza sławą w środowisku, do opinii publicznej niewiele dociera z tego co naprawdę dzieje się na wyprawie.

Przyzwyczajeni byliśmy do tradycyjnego alpinizmu opartego o działanie zespołów powiązanych nadrzędną zasadą, że najważniejszy jest sukces wyprawy jako zespołu, w którym nawiasem mówiąc główna zasługa zdobycia szczytu była przypisana kierownikowi – wodzowi. Obowiązywała żelazna zasada poruszania się w zespołach powiązanych liną (uważnie czytając literaturę wiemy jednak, że w praktyce nawet dawniej było inaczej np. Norton czy Smythe na Evereście, Aschenbrenner na Nanga Parbat), mozolnego, czasochłonnego zakładania kolejnych obozów w drodze na szczyt i rygorystyczny wojskowy styl w wyprawach alpinistów angielskich czy niemieckich kontynuowany później przez alpinistów radzieckich. Wyprawy tego typu finansowane przez najwyższe władze państwowe miały zazwyczaj propagandowo – polityczny charakter. Miały one podnieść prestiż polityczny krajów czy też przywódców państwowych. Odbywały się specjalne typowania najwybitniejszych alpinistów krajowych, organizowano specjalne obozy treningowe itp. Zrozumiałe, że w tych wyprawach interesy osobiste poszczególnych wspinaczy nie grały roli. W wybranej grupie alpinistów, o tym kto ruszał do ostatecznego ataku i ewentualnie wchodził na szczyt, decydowała w najlepszym wypadku osiągnięta na wyprawie forma, a w najgorszym – osobista sympatia kierownika. Pozostali często spełniali rolę tragarzy wysokościowych bez względu na osiągniętą formę. Wywierana na alpinistę presja, która wynika z wymagań niewiele mających wspólnego z chodzeniem po górach, doprowadzała niejednokrotnie do tragicznych skutków.

W ciągu ostatniego ćwierć wieku zmieniły się najbardziej dwie zasadnicze sprawy, które wpłynęły na rytm i zasady zdobywania najwyższych gór świata. Są to: 1. rozwój techniki i 2. reklama. Technika wyposażała himalaistów w znacznie doskonalszy sprzęt. Nowoczesna łączność, dłuższe, lżejsze a mocniejsze liny, doskonalsze namioty, lżejsze i cieplejsze ubiory, poprawiły sytuację człowieka walczącego z przyrodą. Ogromne upowszechnienie alpinizmu spowodowało, że szereg firm, niejednokrotnie wykorzystując doświadczenia kosmiczne, zajęło się produkcją, sprzętu na potrzeby himalaistów. Skoro zaczęła się masowa produkcja, to trzeba ją było sprzedać. Zjawiła się reklama. To jej wkroczenie do himalaizmu spowodowało, że niejedna wyprawa himalajska była (i jest) zależna od interesów fabryki butów, plecaków czy specjalnego pożywienia.

W chwili kiedy organizacja wyprawy stała się sprawą prawie prywatną, gdy każdy posiadacz odpowiedniej ilości gotówki może zorganizować dowolną wyprawę – sytuacja uległa zmianie. Wyprawa przestała być monolitem realizującym wspólny cel. Każdy uważa, że płacąc określoną kwotę za uczestnictwo w wyprawie, ma prawo do wejścia na szczyt. Nie można całkowicie negować słuszności podobnego podejścia. Szczególnie pod tym względem organizowane były wyprawy przez Herligkoffera. Pozwolenie wejścia (tzw. licencje) załatwiał szef. Praktycznie każdy mógł wpłacając odpowiednią kwotę zostać uczestnikiem wyprawy i próbować wejść na szczyt. Więż między uczestnikami takich wypraw jest czysto iluzoryczna, ograniczona (poza wspólnym pozwoleniem) do wspólnej



karawany czy wspólnej bazy. W ramach takich wypraw poszczególne grupy realizują indywidualnie własne cele, własnymi metodami i często własnym sprzętem. W tej sytuacji często się zdarza, że wyprawy mają w składzie wybitnych alpinistów, za których wszystkie koszty ponoszą firmy, które zainteresowane są reklamą swoich wyrobów.

Wielu naszych czołowych himalaistów dokonywało w tych ramach wspianych wyczynów.

Na takich lub podobnych zasadach odbywa się obecnie większość wypraw. Taka jest prawda. Właśnie ta sytuacja sprawia, że uczestnicy nie czują się związani ze sobą, chociaż poruszają się po tej samej drodze na szczyt. Każdy musi odpowiadać za siebie. Współuczestnicy takich wypraw nie czują się za siebie bardziej odpowiedzialni niż np. zwykli współpasażerowie tramwaju. Nie jestem całkowicie przekonany czy taka postawa w tych układach, może być uważana za wysoce naganną. Ludzie w górach nie zachowują się inaczej niż w normalnym życiu. Różnica polega na tym, że na co dzień rzadko spotykamy się z tak ekstremalnymi warunkami jak w czasie wypraw wysokogórskich. Tam wychodzi na jaw to, kim jesteśmy naprawdę. Przyjaźń połączona z pełną wzajemną odpowiedzialnością za partnera musi być stworzona wcześniej. Tylko w wyprawach, organizowanych od początku przez dobrze żyte ze sobą grupy ludzi nie dochodzi do drastycznych sytuacji budzących powszechne wątpliwości etyczne.

Sprawa druga to stosowany styl wchodzenia na ośmiotysięczniki. Jest prawie regułą, że wyprawy zabierają ze sobą i zakładają w drodze na szczyt nieraz całe kilometry lin poręczowych. Oczywiście poręczowanie ułatwia zakładanie obozów, transport sprzętu, żywności i zwiększa bezpieczeństwo poruszających się alpinistów. Trudne i niebezpieczne miejsca można łatwiej przejść w znacznie krótszym czasie. Poręczówki pozwalają na bezpieczny odwrót przy załamaniu pogody czy powrót ze szczytu. Z założonych poręczówek korzystają wszyscy uczestnicy wyprawy choć trud związany z ich założeniem zazwyczaj nie rozkłada się równomiernie. Zdarzają się wyprawy, które oszczędzając własny trud, świadomie korzystają z mozołnie założonych przez innych lin. Nie trudno jest dostrzec pewną nieuczciwość w takim postępowaniu, ale nikt nie będzie demonstracyjnie unikał rozpiętych już lin i zakładał własnych obok. Lina poręczowa w zasadniczy sposób zmieniła podejście do pojęcia „zespół wspinaczkowy” w dawnym rozumieniu. Do pokonania etapu wspinaczkowego przestał być potrzebny asekurowający towarzysz. Wystarczy dobry przyrząd zaciskowy i „ósemka” do powrotu. Warunkiem sukcesu przestał być równy wyszkoleniem i kondycją towarzysz na linie. Każdy ze wspinaczy może przy pomocy założonych poręczówek poruszać się teraz własnym tempem, dostosowanym do aktualnej formy i stopnia aklimatyzacji. Niewątpliwie poręczowanie zwiększa i to w znaczny sposób indywidualne szanse na wejście szczytowe. Niestety bezpośrednim skutkiem takiego stylu stało się prawie całkowite zerwanie odpowiedzialności za wspinających się innych

Ważnym czynnikiem jest również ograniczona (poza wspólnym poręczowaniem) do wspólnej

uczestników wyprawy. Każdy asekuruje się sam, idzie gdzieś daleko z przodu czy z tyłu, spotkanie następuje dopiero przy stawianiu namiotu w kolejnym obozie. Jeżeli towarzysz, z którym wspólnie się wyszło z bazy czy obozu, osłabnie, dowiadujemy się o tym lub nie, dopiero w kolejnym obozie. Nie znam osobiście przypadku pozostawienia rannego partnera wspinaczkowego np. po jego odpadnięciu, ale znam kilka wypadków pozostawienia człowieka samemu sobie, osłabionego do ostatecznych granic, niezdolnego praktycznie do jakiegokolwiek działania. Przypisuję ten fakt raczej nieświadomości stanu w jakim znajduje się partner. Tempo poruszania się nie jest czymś najistotniejszym. Ambicja często nie pozwala na przyznanie się do własnej słabości. Wola wejścia na szczyt odgrywa w himalaizmie zasadniczą rolę i niejednokrotnie, przesłania nam nieraz całkowicie możliwość rzetelnej oceny własnej formy. Jakże łatwo jest przecenić własne siły czy też ocenić granicę dopuszczalnego ryzyka. Wspinacze poruszają się często bez bezpośredniego kontaktu ze sobą. Sytuacje zagrożenia powstają zwykle w warunkach ekstremalnych, takich jak gwałtowne załamanie pogody, deterioracja, krańcowe wyczerpanie czy rozpaczliwa walka o własne przetrwanie. Powiedzmy sobie jednak szczerze, że każde ukrywanie własnej słabości, nadmierny, nieuzasadniony optymizm, czy błędna ocena własnej formy, stanowią poważne zagrożenie również dla życia partnera i nie jest na pewno względem niego czymś uczciwym.

W Himalajach nie można liczyć, że partner nas „przeciągnie”, że przetoruje drogę czy wyniesie za nas sprzęt. Takie podejście na pewno nie jest „fair”. Analizując różne wypadki możemy się przekonać, że to bynajmniej nie jest problem marginesowy.

Bądźmy ostrożni w wydawaniu sądów o czyjejs winie. Szczególnie powinni być ostrożni w osądach ci, którzy sami nigdy nie znaleźli się w podobnych okolicznościach. Sądzę, że wielu, nawet doświadczonych alpinistów nie jest w stanie wyobrazić sobie sytuacji w jakich niejednokrotnie przychodzi podejmować decyzje, po których nie ma odwrotu.

Zdaję sobie sprawę z poruszenia jakie może wywołać moja wypowiedź poddająca w wątpliwość kardynalne etyczne zasady alpinizmu, ale nie chowajmy głowy w piasek. Tak wygląda współczesny himalaizm. Alpinista jest tylko człowiekiem takim jak inni i jako taki popełnia błędy. Nie wymagajmy od niego by był wzorcem bohaterstwa, szlachetności.

Trzeba wierzyć, że w górach częściej niż gdzie indziej, spotykamy ludzi, którzy potrafią, ryzykować znacznie więcej niż wydaje się czasem racjonalne i rozsądne, dla nadrzędnego celu jakim jest współodpowiedzialność za życie innych.



Jak dowiedzieliśmy się w czasie przygotowywania tomu do druku, francuska organizacja gospodarcza, podjęła się oczyszczenia terenu Przełęczy Południowej z „odpadów” pozostawionych przez himalaistów po wyprawach.

Największy problem stanowią setki butli tlenowych i resztki namiotów, a wszystko to skute lodem.



Fot. M. Bała

W GÓRACH TURCJI I IRANU

Czesław Klimczyk

Opuszczając Warszawę 1-go lipca 1960 roku wyprawa Klubu Wysokogórskiego w Hindukusz, kierowana przez Bolesława Chwaścińskiego wyznaczyła geograficzny kierunek rozwoju szkoleniowo-wyczynowego Polskiego Alpinizmu. W wyniku sportowych zmagania z górami Azji Mniejszej i Azji ukształtował się najwspanialszy monolit ludzi gór, który 17 lutego 1980 roku dokonał pierwszego zimowego wejścia na najwyższy punkt globu – MOUNT EVEREST.

Dążąc do tego sukcesu przed 20-stu laty, w 1973 roku w górach południowego Iranu, działała wyprawa Krakowskiego Klubu Wysokogórskiego w masywie górskim Koh-e-Jupar, w rejonie Kermanu. Jej kierownikiem i organizatorem był Henryk Bednarek, a zespół tworzyli: Grażyna Barburska, Ewa Waldeck-Kurtykowa, Czesław Klimczyk, Kazimierz Liszka, Stanisław Mizerski, Henryk Skowera, Andrzej Skrzyński i Andrzej Tyrpa. (Henryk Skowera – optymista jadący prywatnym samochodem zakończył swój udział na terenie Turcji; zmógł go Taurus Armeński). Uczestnicy, rezygnując z dogodności własnego transportu, wzięli na barki plecaki o wadze 70 kg. Z takim to bagażem samolotem dotarli do Moskwy. Dzięki wrodzonemu talentowi Kazimierza Liszki, po rozmowie z panienkami ze służbowego okienka, nasz bagaż za jedyne dwie pary plażowych okularów i jeden magiczny długopis z negliżem, dotarł w całości do Baku. Rozpoczęliśmy zwiedzanie stolicy Azerbejdżanu. Wcześniej jednak zapewniliśmy sobie miejsca na statku Guriew.

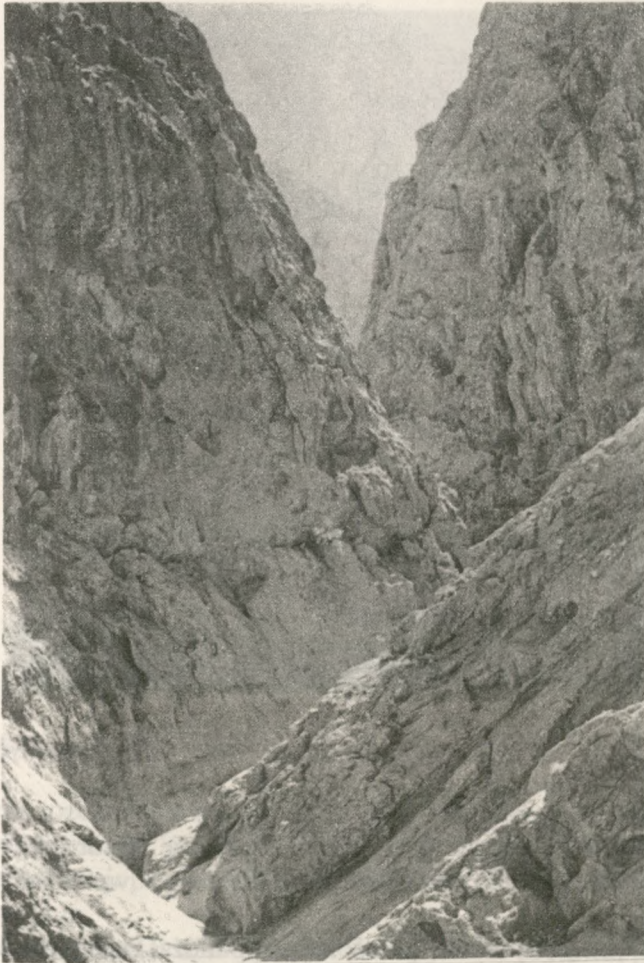
Zaskoczeniem dla nas był widok wydobywanego spod asfaltowej jezdni pięknego dziedzińca XIV-wiecznego zespołu pałaców szachów Szyrwanu. Ten wspaniały zabytek architektoniczny islamu w wyniku działania „świadomości rewolucyjnego ludu” był skazany na zagładę.

Nocą przepłynęliśmy Morzem Kaspijskim do irańskiego portu Bandar-e-Pahlavi. Po pokonaniu autobusem przełęczy gór Elburs, Teheran powitał nas wysmukłą bramą Persów. Gościnność Polskiej Ambasady pozwoliła na 4-dniową aklimatyzację termiczną (lato 1973 roku było nadzwyczaj upalne). Dalszą podróż przez Kerman (1070 km) uczestnicy odbyli autokarem docierając do wsi Dżupar na przedpolu gór Koh-e-Jupar. Góry te to część masywu Kuh-Rud w Iranie południowym, na obrzeżu Pustyni Lota. Pierwszą noc spędziliśmy w obejściu posterunku cesarskiej policji. Na kolację nafaszerowaliśmy stróżę porządku do syta mięsem wieprzowych konserw. Sądzę, że dobry Bóg wybaczył nam nakarmienie głodnych, a Mahomet popatrzył łaskawym okiem na nieświadomie grzeszących swych wyznawców.

Niestety nie udało się nam wynająć osłów do transportu bagażu w góry. Miejscowy spryciarz znający język angielski żądał za tę usługę niebotycznej sumy. Rankiem następnego dnia poznaliśmy we wsi uczynnego, niemieckiego klimatologa, który w księżycową noc, dostarczył nasz ładunek mikrobusem przez kamienną pustynię, do podnóża gór. Dużym utrudnieniem w dalszym marszu do doliny Langar stanowiły olbrzymie, dobowe amplitudy temperatury — ok. 50°C — od kilkunastostopniowego mrozu nocą w partiach szczytowych do ok. +45°C (w cieniu) w ciągu dnia.

Za olbrzymią rozpadliną głębokości 70—120 m, która dzieli dolinę Langar, wśród spalonych suchorostów, wybraliśmy miejsce na bazę, w terenie jak cała prawie dolina bezwodnym. W dniach 15 i 16 sierpnia rozpoczęliśmy działalność rekonesansową. H. Bednarek i E. Waldeck weszli na szczyt Tappe (3600 m) przez przełęcz Talhuni. S. Mizerski i A. Tyrpa spenetrowali północne stoki Se Shah (3860 m), natomiast C. Klimczyk, K. Liszka i A. Skrzyński w bucikach spacerowych, w jakich krakowianie przechadzają się po linii AB w Rynku, osiągnęli przez wschodnią przełęcz, wschodni wierzchołek Mil-e-Balant. Wszystko zaczęło się niewinnie od szczeliny na początku Wielkiego Kenionu ograniczonego ścianami dochodzącymi do wysokości 200 metrów, potem były 30 i 60-metrowe progi wśród scenerii skalnych olbrzymów. Jako pierwsi zesliśmy do doliny Langar w ciągu 7 godzin; drogę oceniliśmy na +IV. To solowe zejście bez koniecznego sprzętu zakończyło się sympatycznie, gdyż „Parkins” (kierownik) w myśl zasady, że zwycięzców się nie karze, darował tą naszą lekkomyślność.

Po tych spacerowych przechádzkach nastąpiła seria wejść sportowych. 17 sierpnia C. Klimczyk, K. Liszka i A. Skrzyński dokonali I-go wejścia lewym filarem północnej ściany Talhuni (3900 m). Trudności +IV, czas przejścia — 6 1/2 godz. Przynieśliśmy z tej wyprawy piękne kryształły górskie. S. Mizerski, A. Tyrpa, E. Waldeck zrobili I-wsze wejście środkowym filarem Talhuni — skala trudności IV, 8 godzin. 19 sierpnia H. Bednarek, K. Liszka, A. Skrzyński jako pierwsi weszli prawym filarem północnym na Mil-e-Bozorg (3800 m), trudność IV, w 4,5 godz. Tego samego dnia C. Klimczyk i A. Tyrpa przetrawersowali od przełęczy



Wielki Kanion

Fot. C. Klimczyk

wschodniej wszystkie 4 wierzchołki najwyższego szczytu masywu Mil-e-Balant (ok. 4050 m, trudność III, 4 godz.). 20 sierpnia G. Barburska i H. Bednarek weszli Wielkim Kenionem i północną granicą na główny wierzchołek Mil-e-Balant (I wejście, trudność +IV, czas przejścia 8 godzin). Natomiast S. Mizerski i A. Tyrpa przeszli środek północno-wschodniej Mil-e-Gar (ok. 3850 m, trudność V, 8 godzin, I-sze przejście).

Życie nocne urozmaicały nam 50 centymetrowe jaszczury karmione suszonymi kabanosami, na które przy temperaturach dnia dochodzących do +50° C nie mieliśmy zapotrzebowania. Rozwiązując wszystkie ważniejsze problemy alpinistyczne Doliny Langer

zakończyliśmy działalność sportową w Górach Dżuparu. Wracaliśmy autobusem przez Shiraz — kolorowy Paryż wschodu. Zatrzymaliśmy się w miejscowym hotelu. Intrygowała nas pobliska druga stolica starożytnej Persji — Persepolis, założona w VI wieku p.n.e. przez Dariusza I, rozbudowana przez Kserksesa I, zdobyta oraz częściowo spalona przez Aleksandra Wielkiego. Zwiedzenie jej było ucztą duchową. Potem był Isfahan — zielona oaza wśród jałowych pustyń. „Miastem róż i słowików” nazywali go perscy poeci. Za czasów Szacha Abbasa I z dynastii Safawidów, Isfahan był większy od Rzymu i Stambułu. Posiadał 162 meczety, 48 szkół wyższych, 182 karawanseraje. Do największych atrakcji turystycznych miasta należy wschodni bazar, gdzie można zobaczyć rewelacyjne



Dolina Langar i jej górne otoczenie

Fot. C. Klimczyk

wyroby ze srebra. Po zwiedzeniu pałacu Ali Kapu i bajecznie kolorowego Meczetu Szacha oraz wyższej uczelni muzułmańskiej (medresy) wróciliśmy do Teheranu.

Dwa dni później pojechaliśmy do wioski położonej u podnóża Demavendu (5671 m) i weszliśmy na najwyższy szczyt Iranu (niektórzy uczestnicy poprawili życiowe rekordy wysokości). Na szczycie Demavendu jako proporzec rozpięliśmy serwetę ze strojem Lachów Sądeckich podarowaną przez dziewczynę ze Starego Sącza. Dalszą podróż uczestnicy kontynuowali pociągiem, autobusem, a nawet autostopem do tureckiego portu Izmir (starożytna Smyrna).

Chcieliśmy jeszcze wejść na Ararat, ale ten „obiekt strategiczny” był strzeżony przez wojsko. Potem było zwiedzanie zabytków architektury greckiej i wielka przyjemność — kąpiel w czystych, ciepłych wodach Morza Egejskiego. Pobliski Efez, miasto jońskie założone w XI wieku p.n.e., kusił nas wspaniałościami kultury greckiej.

Po całodziennym chodzeniu, przy pełni księżyca, założyliśmy z Andrzejem Tyrpą romantyczny biwak wśród ruin. Sądząc po kolumnadzie byliśmy przekonani, że sypialnię naszą stanowi willa bogatego kupca. Jakież było nasze ran-



Autor na najwyższym szczycie masywu Mill-e-balland (4050 m)

Fot. C. Klimczyk

ne rozczarowanie, gdy z tablicy informacyjnej wynikało, że noc spędziliśmy w pisuarach gimnazjonu. Rano przygotowaliśmy śniadanie na marmurowej, sedesowej płycie. Mieliśmy świadomość sterylnej działalności słońca poprzez stulecia.

Cieśninę Bosfor przepłynęliśmy jeszcze promem, ponieważ najdłuższy wiszący most Europy otwarto dopiero z końcem września. Most łączący dwa kontynenty, wówczas czwarty pod względem długości na świecie, zbudowano w miejscu, gdzie w roku 512 p.n.e. ułożono pierwszy most pontonowy pod kierunkiem króla Dariusza perskiego.

Stambuł położony na siedmiu wzgórzach, którego panorama jest zdominowana przez czołowy zabytek architektury bizantyjskiej — świątynię Hagia Sophia i jedyny w świecie muzułmański meczet o 6-ciu minaretach, stanowił koniec naszej przygody.

ODYSEJA ALPEJSKA

Jacek Karczewski

PROLOG

Po turystycznej penetracji szlaków tatrzańskich i po wyprawach gorczańsko-czarnohorskich, w sierpniu 1991 Oddział Łódzki PTT zorganizował wycieczkę w najwyższe góry Europy. Naszym celem było poznanie Alp Szwajcarskich i Austriackich. Rok później uzupełniły trasę o Alpy Włoskie i Francuskie. W tych ostatnich główną atrakcją było zdobycie Mont Blanc...

Chodziliśmy głównie po ścieżkach turystycznych, choć i na nich zdarzały się „momenty emocjonalne”. Chcieliśmy, aby każdy z uczestników znalazł coś dla siebie, zależnie od swoich upodobań i możliwości. Zależało nam, aby poznanie Alp, choć pobieżne, było możliwie pełne. Dlatego na trasie wyprawy znalazły się głównie pozycje „pięciogwiazdkowe”. Dojazd w Alpy i przemieszczanie się w ich obrębie nie było tylko „pożeraniem kilometrów”. Kładliśmy nacisk na poznanie terenów, przez które wiodła nasza trasa. Mówiliśmy więc o kulturze, historii, zabytkach, folklorze zwiedzanych krajów.

W krótkim tekście trudno zdać dokładną relację z przebiegu wycieczki. Mieści się w nim tylko część wrażeń.

To co zostało tu opowiedziane, nie pretenduje do roli dziennika wypraw. Jest niepełnym i bardzo subiektywnym przekazem impresji, które spisane zostały „w ciągu wielu dni i dla pokrzepienia serc” tych wszystkich, którzy powątpiewają w możliwość realizacji swych marzeń...

ODSŁONA PIERWSZA

„Polskie Towarzystwo Tatrzańskie w Alpach! To brzmi tak wspaniale, że aż nieprawdopodobnie. Ale marzenia stają się rzeczywistością i wkrótce odetchniemy rześkim, alpejskim powietrzem podziwiając nowe, dla większości z nas, widoki”.

Tymi słowami zaczynał się „tekst wstępny” przewodnika, który otrzymał każdy z uczestników wyprawy „Alpy 91”. Wyprawa ta trwała od 15 sierpnia do 1 września 1991, a uczestniczyło w niej 40 osób.

Gdy 15 sierpnia znalazłem się w naszym wynajętym „TAMie”, trudno mi było uwierzyć, że zawiezie nas w rejony, których poznanie do niedawna wydawało mi się nierealne. Jeszcze pół roku wcześniej przerażały nas – przyszłych uczestników – trudności finansowo-organizacyjne. Trzeba było zgromadzić fundusze, wynająć autokar, załatwić wizy i ubezpieczenia, zamówić noclegi, przygotować ekwipunek, „zabezpieczyć” zapasy żywności... Na mnie spoczywał obowiązek opracowania trasy, jako że miałem pełnić „zaszczytną funkcję” pilota. Było to o tyle ciekawe, że nigdy wcześniej nie byłem w terenach, do których organizowany był wyjazd...

Dziś dochodzę do wniosku, że wycieczka doszła do skutku, bo każdy miał swój „organizacyjny udział” i sumiennie wykonywał powierzone mu zadania. Główną „sprężyną” wycieczki był jednak Tadeusz Wdowiak. To on „pchnął PTT na alpejski szlak”, był autorem trasy i kierownikiem wyprawy, która przy okazji stała się jego... podróżą poślubną. W natłoku spraw, związanych z organizacją wycieczki, znalazł jeszcze czas na ożenek?!



15 sierpnia 1991 roku. Ruszamy... Dwa pierwsze dni dostarczają wielu sytuacji stresowych. Nie znajdujemy noclegu w Pradze, nocujemy na campingu w Beroun, którego głównymi lokatorami... są potężne szczyprawki włączące do śpiworów. Następnego dnia po wizycie w Ratyzbonie, nie mamy już czasu na Monachium, gdzie z trudem znajdujemy nocleg... Trzeciego dnia wjeżdżamy do Szwajcarii. Wzdłuż całej trasy towarzyszą nam tabliczki z napisem PTT. Można je spotkać nawet na najwyższych przełęczach. Okazuje się, że tak oznakowane są... przystanki autobusowe. Ale zrobiło się miło...

U stóp wapiennego masywu Säntis (2502 m) pierwsze spotkanie z Alpami i Szwajcarią. Camping na ślicznej łączce, wysoko ponad pięknym miasteczkiem Appenzell. Przed nami koronkowe szczyty, barwiące się wszelkimi odcieniami zachodzącego słońca. Na campingu odbywa się akurat wesele. Goście przywiezieni autokarem bawią się do 19, potem odjeżdżają na dół. Wszyscy spotkani ludzie (właściciele campingu, goście weselni i inni) – uśmiechnięci, serdeczni, mili. To pierwsze wrażenie Szwajcarii potęgować się będzie z każdym dniem.

Następnego dnia – w niedzielę – mamy zamiar zobaczyć w miasteczku folklor: słynne koronkowe stroje, w które ubierają się idący do kościoła mieszkańcy tego ciekawego kantonu. Jesteśmy zbyt wcześnie – Appenzell jeszcze śpi. Jesteśmy nieco rozczarowani. Jedziemy dalej i zatrzymujemy się w Stein nad Renem. Spacerujemy po ulicach miasteczka, które jest „jak z bajki”. Żaden opis nie odda uroku zaułków, domów, brukowanych ulic, po których jeżdżą jedynie... dorożki, zaś spacerują – ludzie w przepięknych, „egzotycznych” strojach. Mamy więc „szwajcarski folklor” – pstrykają migawki naszych aparatów rejestrując nieco-

dzienne kostiumy. Okazuje się jednak, że w Stein odbywa się akurat europejski festiwal folklorystyczny, a nasz „szwajcarski folklor” pochodzi z... Holandii!

Tego samego dnia docieramy do słynnych, największych w Europie, wodospadów Renu pod Szafuzą. Pływamy stateczkiem, który podwozi pod skałę, przegradzającą wodospady w połowie nurtu rzeki. Z jej trzęsącego się od przelamującej się wody szczytu konstatujemy, że „kajakiem chybaby się tu nie dało przepłynąć”.

Następny punkt programu i... następne wzruszenie. Rapperswil. Zamek hrabiego Platara, który w 1869 założył tu słynne „Muzeum Polskie”. W kilku salach bardzo duża, pięknie i mądrze zorganizowana ekspozycja, która pokazuje naszą historię, kulturę, folklor i związki polsko-szwajcarskie. Sporo zwiedzających. Ze wzruszeniem czytamy umieszczony na postawionej w 1860 Kolumnie Barskiej napis autorstwa Kornela Ujejskiego: „Niespożyty duch Polski, stuletnią, krwawą walką protestujący przeciw ciemnącej go przemocy, z wolnej ziemi Helwetów przemawia do sprawiedliwości Boga i świata”

Nocujemy w Zug. Nazwa miasteczka odpowiada realiom. Ze szwajcarską punktualnością przejeżdżają tuż koło naszych namiotów pociągi, których pęd wyrzuca nas prawie na zewnątrz. Nie ma mowy o zaśnięciu (kto to mówił, że w Szwajcarii pociągi w nocy nie kursują?!).

Następnego dnia zwiedzamy przepiękną Lucernę i objeżdżamy Jezioro Czterech Kantonów. Znajdujemy się w miejscu, które było kolebką państwowości szwajcarskiej. To tutaj 1 sierpnia 1291 roku trzy kantony: Uri, Schwyz i Unterwalden podpisały deklarację o połączeniu się w związek. Czyli 700 lat temu narodziła się Konfederacja Szwajcarska. Więc flagi, transparenty, proporczyki, okolicznościowe imprezy...

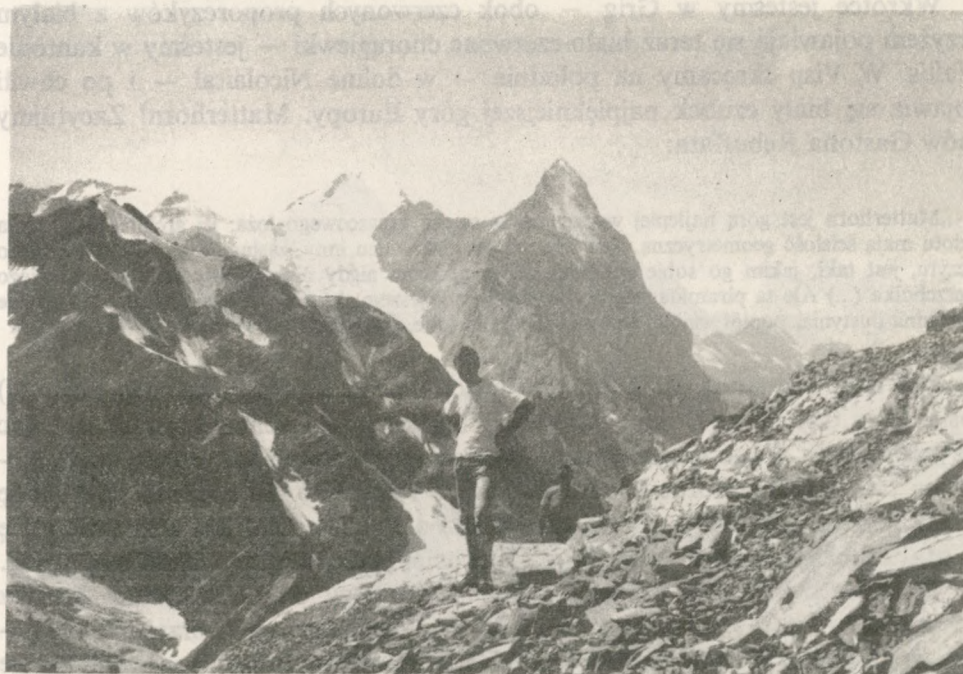
Jedziemy dalej. Mijamy wapienny, zdobyty już w 1555 przez Gessnera szczyt Pilatus (2121 m), na który zbudowano pierwszą na świecie kolejkę zębatą. Wzdłuż jezior: Sarner, a później Brienz, wjeżdżamy w Alpy Berneńskie. Pojawiają się białe kolosy, wysyłające do swych podnóży cielska lodowców. Wjeżdżamy do Grindelwald i na trzy noce zatrzymujemy się na campingu Aspen, tuż pod północną ścianą Eigeru (3970 m).

„Eiger wynurza się niby ponury wichrzyciel z rozkosznych łąk otaczających Kleine Scheidegg: jest pośępny, zimny i nie wzbudza radości. Żaden lodowiec ani nawet pole wiecznego śniegu nie oddzielają go od ziemi; złowrogi gład pośród zagonu kwiatów. Nieustannie pogrążony w cieniu nie bierze udziału w codziennej wędrówce Ziemi dookoła Słońca; ledwie kilka promieni prześlizguje się jego granicą i ogrzeje ją nieco...”

Tak pisał o tym słynnym alpejskim kolosie Gaston Rebuffat. Rzeczywiście – wydaje się, że gigantyczna bryła skalna przewali się na rozbite pod nią namioty. Tyle książek opisujących boje o Eigerwand przeczytałem. A teraz mam okazję oglądać tę alpejską „ścianę ścian”. Kilka razy szczypię się, żeby uwierzyć, że naprawdę tu jestem... Wszystkie nazwy są mi doskonale znane z lektur. Wypatrujemy „trawersu Hinterstoissera”, kolejnych pól śnieżnych, „Rampy”, „Pajaka”

i „Wahadła”. Góra powoli pogrąża się w ciemności nocy — widać tylko światełka znajdującej się w ścianie stacji kolejki. W mroku ściana potężnieje i urasta. Zdaje się, że swym ogromem przesłania całe rozgwieżdżone niebo...

Odprawa przy latarkach. Dzielimy się na grupy, które jutro będą zwiedzały różne zakątki rejonu. Z Jurkiem Howańskim, Czesiem Szadkowskim i Andrzejem Wyszogrodzkiem wybieramy się wzdłuż Oberer Grindelalddgletscher, pod Wetterhorn. Wstajemy o trzeciej i przechodzimy przez uśpiony Grindelwald. Ciemności powoli ustępują. Zaczyna się wspaniałe widowisko. Góry rozpalają się tysiącami świateł wschodzącego słońca. Odnajdujemy ścieżkę wzdłuż lodowca. Pnie się ponad urwiskiem, z widokiem na spływającą rzekę lodu. Z góry spływają strumyki tworząc mieniące się kropelkami wody kaskady. Ponieważ jest wcześnie — nikogo nie spotykamy. Wstaje piękny, upalny dzień. Zaczyna się „kąpiel słoneczna”, która na długo pozostawi na naszych ciałach trwale ślady. Dochodzimy do schroniska. Przed nim rozbite namioty. Spotykamy... polskich alpinistów z Wrocławia. Idziemy dalej pod lodowiec. Eiger staje się teraz bardziej „szpiczasty”, Mönch „rozszerza się”. Pod samym lodowcem spotykamy... stado owiec z dzwoneczkami. Kto je tu wpędził?



Widok na Mönch i Eiger spod Wetterhornu (Grindelwald-Aspen, Szwajcaria)

Fot. J. Howański

Schodzimy na camping. Spotykamy inne grupy wracające z gór. Część osób wybrała się na przełęcz Jungfrau (3475 m) „Top of Europe”, inni „zdobyli” Faulhorn (2681 m), niektórzy zwiedzili Gletscherschlucht i okolice lodowca Unter Grindelwaldgletscher. Wszyscy pełni wrażeń i zadowoleni.

Następny dzień i następne atrakcje: słynna U-kształtna dolina Lauterbrunnen. Z jej progów, z przyczepionych do doliny wiosek (Mürren), spływają w dół wodospady. Zwiedzamy Taminaschlucht – podziemny wodospad drążący w skale wodny tunel. Wracamy przez Wengen, oglądamy słynną, narciarską trasę zjazdową, idziemy do lodowca Eiger i wracamy przez łączkę Alpigen, znaną z „taternickiej literatury”.

Nazajutrz żegnamy się z „bajkowym Grindelwald”, który był dla nas tak łaskawy (podobno „najstarsi górale” nie pamiętali tu tak długotrwałej dobrej pogody). Autokar wspina się na przełęcz Grimsel, droga ostrymi zakrętami pokonuje strome zbocze. Podziwiamy zbiorniki wodne zbudowane pod przełęczą i wreszcie stajemy na siodle. Otwiera się piękny widok na przełęcz Furkę (2431 m) i dolinę Rodanu. Do niej właśnie nasz autokar wykonuje zjazd. Podziwiamy rowerzystów, którzy przemierzają tę trasę. Wydają się być mniej zmęczeni od... naszego autokaru.

Wkrótce jesteśmy w Grig – obok czerwonych proporczyków z białym krzyżem pojawiają się teraz biało-czerwone chorągiewki – jesteśmy w kantonie Wallis. W Visp skręcamy na południe – w dolinę Nicolaital – i po chwili pojawia się biały czubek najpiękniejszej góry Europy. Matterhorn! Zacytujmy znów Gastona Rebuffata:

„Matterhorn jest górą najlepiej wyluskaną ze swego kruszcowego łoża; jej architektura i linia wlotu mają ścisłość geometryczną. Ten wierzchołek, jak żaden inny, zasługuje na nazwę idealnego szczytu, jest taki, jakim go sobie wyobrażają dzieci, które nigdy nie widziały żadnego górskiego wierzchołka (...) Ale ta piramida jest o tyle piękniejsza jeszcze, że stoi samotnie. Otacza ją jedynie kamienna pustynia, popiół wierchów, senne, przygarbione, połogie wierzchowiny”.

W Täsch (ostatniej miejscowości w dolinie, do której dojeżdżają pojazdy) zostaniemy trzy noce. Niestety niebo się chmurzy – przechodzi burza, całą noc też pada deszcz. Rano wszystkie okoliczne szczyty w chmurach. Późno wychodzimy na przechadzkę biorąc kurtki od deszczu i parasole. Ze względu na pogodę mamy w planie pójście do Zermatt i zwiedzenie miasteczka. Ale rozpogadza się – Matterhorn odsłania się powoli, jakby chciał podkreślić swą niezwykłą urodę.

Na razie zwiedzamy Zermatt, chyba piękniejszy od Grindelwald, bo bez samochodów. Stare, drewniane domki na „kurzych stopkach”, przykryte dachówką z łupków kamiennych. W każdym oknie misternie sadzone kompozycje kwiatowe. Studnie z wodą przelewającą się przez drewniane kadzie. Na głównej ulicy miasteczka, doprowadzającej do stacji kolejki, duży ruch i wielojęzyczny gwar. Znów wszyscy uśmiechnięci, zyczliwi...

Część z „naszych” wjeżdża kolejką na Klein Matterhorn (3820 m), gdzie czynne wyciągi umożliwiają w sierpniu, jazdę na nartach. My wyjeżdżamy do Schwarzsee (2582m) – mimo że jest już późno, chcemy choć dotknąć grani Hörnli, którą wiedzie najłatwiejsza droga na Matterhorn. Ścieżka wśród piargów ostrymi zakosami, pnie się mozolnie do góry. Po dwóch godzinach doprowadza nas do schroniska Hörnlihütte (3260 m) leżącego na początku grani. Widok „pięciogwiazdkowy”. Z jednej strony Matterhorn – „cudowny stos kamieni” – z granicą Hörnli i słynną północną ścianą. Z drugiej – masyw Monte Rosa z najwyższym szczytem Szwajcarii – Dufoursspitze (4634 m). Siedemnaście szczytów ponad 4000 m. Z ich wierzchołków spływa ponad 40 lodowców łączących się w drugi co do wielkości w Alpach lodowiec Görner. W tym „białym morzu” – Görnergrat (3130 m) – „wyspa”, na którą wiedzie kolejka zębata...

Po krótkim odpoczynku schodzimy na przełęcz i dochodzimy do niewielkiego progu, od którego zaczyna się wspinaczka na Matterhorn. Na progu tablice poświęcone tym, którzy nigdy ze szczytu nie wrócili. Za pomocą rozwieszonych lin pokonujemy najpierw skalny kominek, a później ściankę, wyprowadzającą na pokryte kamieniami zbocze. Przez lornetkę oglądamy dalszą drogę. Wcale to strasznie nie wygląda...



U stóp Matterhornu, powyżej schroniska Hörnlihütte (Täsch-Zermatt, Szwajcaria).

Fot. J. Howański

Niestety jest już późno i trzeba wracać. Szkoda! Schodzimy do schroniska. Zastanawiamy się, czy za 8 FCH nie zanocować tu, a jutro... Niestety? O odwrocie przesądza istotny fakt – od pięciu lat walczę z cukrzycą i codziennie muszę wstrzykiwać sobie insulinę. A ta została na campingu.

Na drugi dzień, już kolejką, jedziemy do Zermatt. Część grupy wjeżdża na Görnegrat, pozostali jadą „alpejskim metrem” do Sunnegi (2300 m), skąd przez Blauherd (2601 m), Tuftern (2205 m) i Täsch-Alp, niezwykle widokową ścieżką wracamy na camping. Z całej drogi piękne widoki na Matterhorn – robimy mnóstwo zdjęć, przypominających nam obrazki z... opakowań szwajcarskiej czekolady.



Widok na Matterhorn z drogi do Täsch-Alp.

Fot. M. Wyszogrodzka

Pora żegnać się z Alpami Szwajcarskimi. Nocujemy w Vaduz – stolicy Księstwa Lichtenstein. Po jego zwiedzeniu wjeżdżamy do Austrii. Oglądamy piękny Innsbruck, a potem mamy w planie najwyższe w Europie wodospady Krimml. Okazuje się jednak, że droga do nich jest płatna, a nam kończą się fundusze. Decydujemy się jechać okrężną drogą. Nie przewidzieliśmy, że pakujemy się w „kanał”, który okaże się najdramatyczniejszą przygodą na trasie. Szosa jest wąska, o niespotykanym nachyleniu, przekraczająca mostki, których dopuszczalne obciążenie jest o wiele niższe od ciężaru naszego autokaru. Na wycofanie

się szans nie ma, a przed jazdą do przodu „włosy dęba stają”. Większą część trasy pokonujemy pieszo, a nasz kierowca – Sylwester Gradowski – przebija się przez tę pułapkę. Nic też dziwnego, że po pokonaniu tego „odcinka specjalnego” Sylwek dostał od całego autokaru spontaniczne i naprawdę zasłużone brawa.

Dwa dni w Alpach Austriackich. W Kaprun, u stóp Grossglockner (3797 m). Pierwszego dnia idziemy na miejscową Gubałówkę – Schmittenhohe (2000 m), spacerujemy tam po trawiastych łączkach, a w lesie zbieramy znakomite... rydze. Drugiego robimy wycieczkę ze „Skialpenzenter” pod Kitzsteinhorn (3029 m) do Mooserboden (2040 m) – Morskiego Oka, tyle że sztucznego. Znow prze-kraczamy wodospady i podziwiamy piękną scenerię zlodowaciałych szczytów, wznoszących się nad zbiornikami retencyjnymi...

Wycieczka zbliża się do końca. Przed nami Salzburg. Rok 1991 to rok mozartowski. Tak jak w Szwajcarii wszystko „kręciło się” wokół 700-lecia Konfederacji, tak tutaj rocznica 100-lecia śmierci Mozarta eksponowana jest na każdym kroku. Niestety, dużo czasu tracimy na zwiedzanie nieciekawych wnętrz salzburskiego zamku, tak że na samo miasto zostaje nam tylko dwie godziny. To za mało, by zanurzyć się w atmosferę miasta, które żyje Mozartem i... z Mozarta.

Jeszcze tylko Wiedeń... Zwiedzamy Schönbrunn, włoczmy się po starówce, podziwiamy panoramę miasta z wieży Stephankirche, a wieczorem fundujemy sobie „Vien by night”.

Kończymy wycieczkę. Nocny przejazd przez Czecho-Słowację i po 4010 km „lądujemy” w Łodzi.

Relacjonując wycieczkę w „Kronice” Oddziału Łódzkiego PTT napisałem „Udało się nam zobaczyć ważną część najwyższych gór Europy, poznaliśmy historię i kulturę krajów, przez które wiodła trasa wycieczki, zawiązaliśmy wiele przyjaźni i lepiej poznaliśmy się wzajemnie. Przybyło nam mnóstwo doświadczeń, wrażeń i wspomnień. Zaś niżej podpisanemu przybyło trochę siwych włosów, kiedy to, pilotując wycieczkę opierał się nie na własnym doświadczeniu, a jedynie na materiałach przewodnikowo-literackich oraz na relacjach osób, znających omawiane tereny...

Vivat Polskie Towarzystwo Tatrzańskie!

Vivat Tadeusz!

Do zobaczenia za rok...”

ODSŁONA DRUGA

Jest 7 sierpnia 1786 roku. Z małej i niewielu osobom znanej miejscowości Chamonix wyrusza w góry dwóch ludzi: poszukiwacz minerałów Jacques Balmat i miejscowy lekarz Michel Paccard. Następnego dnia, jako pierwsi w historii, staną na szczycie Mont Blanc...

Jest 7 sierpnia 1992 roku. Z Placu Dąbrowskiego w Łodzi wyrusza druga wyprawa PTT w Alpy. Jej głównym celem jest Chamonix i Mont Blanc. Życzę wszystkim uczestnikom by ich prywatne, osobiste marzenia spełniły się w takim stopniu, w jakim przed 196 laty spełniło się marzenie Balmata i Paccarda.

Tym razem bogatsi o ubiegłoroczne doświadczenia, planujemy tę wyprawę starannie. Kierownikiem zostaje Zbyszek Łuczak, który ustala trasę w sposób znakomity. Większość biwaków nad wodą, przeloty dzienne dostosowane do autokaru, którym tym razem jest „Mercedes”. Plan jest niesamowity: mamy przejechać przez Dolomity, zatrzymać się w St. Moritz, zobaczyć ominięty w ubiegłym roku Tessyn, pięć dni pobyc w Chamonix, objechać Jezioro Genewskie, a wracać przez Grenoble, Prowansję, kanion rzeki Verdon, Lazurowe Wybrzeże (Cannes, Nicea, San Remo, Monaco) i Północne Włochy (Mediolan, Pavia, Padwa, Verona, Wenecja).

Jak w ubiegłym roku w „grupie żywieniowej” jestem z Małgosią, Andrzejem i Piotrkiem Wyszogrodzkiem. Małgosia jest naszym „ministrem finansów”, Andrzej (współ z Czesiem Szadkowskim i Markiem Baranowskim) ma funkcję kwatermistrza, ja znów jestem pilotem; wygląda więc na to, że Piotrek będzie „człowiekiem do zadań specjalnych”. I rzeczywiście...

Na przedniej szybie autokaru widnieje napis: „Polish Tatra Society”, w lukach spoczywają raki i czekany. My w środku podnieceni nową przygodą.

Nie będę przedstawiał szczegółowego dziennika wyprawy, ograniczę się do najważniejszych, górskich wrażeń. Jak w poprzedniej „odsłonie” posłużę się cytatami Gastona Rebuffata z jego wspaniałej książki „Gwiazdy i burze”.

Zacznemy „górską relację” od Dolomitów...

„Dolomity wyrzeźbiła erozja. Lecz wyglądają tak, jakby raczej same wyszły z ziemi. Dziwne to i fantastyczne połączenie: z czarodziejskiej kniei leśnego poszycia wynurzają się skamieniałe piszczalki olbrzymich organów. Nie spływają tędy lodowce i śniegu wiecznego tu mało: klimat jest za łagodny i ściany za strome aby śnieg mógł się na nich utrzymać (...) Dolomitom potrzebna jest przychyłość słońca. Bez niego są monotonne, bez blasku, jednostajne, czasem brudnoszare, czasem żółte. Ale wystarcza jedno muśnięcie słonecznego promienia, aby ożyły; pod dobroczynnym działaniem ciepła nabierają krasy i choć pozostają niedostępne, zaczynają przyciągać...”

Wjeżdżamy w Dolomity. Jeśli uda się, zatrzymamy się na kilka dni, jeśli nie, przejedziemy tylko przez nie i pobędziemy w rejonie Berniny. Sytuacja zmusza do wybrania tego drugiego wariantu. Wszystkie campingi przepełnione — nie ma mowy o zatrzymaniu się czterdziestoosobowej grupy. Może to zresztą dobrze. Tu trzeba przyjechać na dłużej. Jedziemy więc krętą szosą zachłystując się kolejnymi widokami: grupa Cristallo (3221 m), Cortina d’Ampezzo, przełęcz: Pordoi (2230 m) i Falzarego (2105 m), Gruppe di Sella, Marmolada (3342 m), dolina Eggental — przesuwały się za oknami naszego autokaru. Nabieramy przekonania, że trzeba tu koniecznie wrócić!

W St. Moritz, na campingu w Pontresinie, jesteśmy trzy dni. Marek Baranowski i Staszek Kulma nie wytrzymują i już pierwszego dnia, po popołudniowym przyjeździe na camping, wspinają się na wznoszącą się nad nim grań Pitz Murgal. Złapała ich tam burza. Przemoczeni, późną nocą, wracają do obozu.

Następny dzień jest piękny. Autobus podwozi nas do Silvaplana. Stąd część grupy wjeżdża kolejką na Corvatsch (3295 m), a część przez jezioro Hahnen wchodzi na przełęcz Fuorola Surlej. Otwiera się jeden z piękniejszych widoków górskich, jakie mi było dane oglądać. Białe kolosy Berniny wysyłają lodowce w głąb ogromnej doliny. Lodowiec kończy się jeziorem, z którego wypływa rzeka przepływająca w dole doliny przez zielone łąki. Idziemy w górę doliny, wzdłuż lodowca do położonego na skalnej ostrodze schroniska Coaz (2385 m). Po drodze mijamy „dzikie krowy” z przytwierdzonymi dzwoneczkami. Robi się późne popołudnie. Jest tak pięknie, że zapominamy o uciekającym czasie. Te „chwile zapomnienia” okupione zostały długim marszem, zakończonym grubo po zmroku...

Nazajutrz decydujemy się na relaksową wycieczkę wzdłuż lodowca Morteratsch do schroniska Boval (2495 m). Znow upał i znow piękne widoki. Wracamy na obiad na camping, a potem idziemy do wylotu lodowca Morteratsch. Ustawione tabliczki informują, jak daleko sięgało czoło lodowca w minionych latach obrazując tempo cofania się lodu. W samym krańcu lodowca wielka grota lodowca, z której wypływa potężna rzeka. „Z pewną taką nieśmiałością” wchodzimy do groty. Potem zakładamy raki i spacerujemy po ostrym jak pumeks lodowcu.

Kolejny dzień to test dla kierowcy i autokaru. Najpierw karkołomny zjazd z Malojapass (1817 m) a potem nad jeziorem Como przejazd przez miasteczka uliczkami tak wąskimi, że trzeba... składać boczne lusterka autokaru. Już drugi raz mamy szczęście — Edmund Bancewicz, nasz kierowca, jest mistrzem doskonałym...

Cały dzień poświęcamy na zwiedzanie Tessynu. Zachłystujemy się południowoalpejskimi widokami, zwiedzamy Lugano, Bellinzonę, Locarno. W tym ostatnim mieście kolejny „polski ślad”. W ślicznie położonym klasztorze Madonna del Sasso maleńka kapliczka Matki Boskiej Ostrobramskiej przypomina najnowszą historię — wystawili ją polscy żołnierze, którzy w czasie ostatniej wojny byli internowani w Szwajcarii.

P.S. Już po zakończeniu pisania tego tekstu dostałem informację, która, jak sądzę, jest interesująca i stanowi uzupełnienie wiadomości podanych wyżej. Autorem „polskiej” kapliczki w klasztorze Madonna del Sasso w Locarno jest Pan Zdzisław Pręgowski, architekt, właściciel firmy „Prewi”, od czasów wojny mieszkający w Szwajcarii, i niezwykle zasłużony dla „sprawy polskiej” (jest m.in. prezesem fundacji, ze składek której powstał w Warszawie „Dom Sybiraka”, a także organizatorem „wakacji witaminowych” dla polskich dzieci — w wyniku tej akcji, w okresie: 1.08.1981 — 1.11.1983 przebywało w Szwajcarii 1955 dzieci z Polski). Pan Zdzisław Pręgowski jest również wydawcą książek, napisanych przez swojego ojca — Zenobiusza Pręgowskiego, zajmujących się historią polskiej turystyki narciarskiej w Karpatach Wschodnich („Złota Księga Narciarstwa Polskiego”, wydana przez „Kraj” w 1992 r.). Kapliczka, o której mowa, została ofiarowana przez 2 Dywizję Strzelców Pieszych, internowaną w latach 1940 — 1945 w Szwajcarii. Postawiona została 8.12.1942 w Monti Trinita w Ticino, a w 40 lat później — 8.12.1982 — przeniesiona helikopterem do ogrodów Madonna del Sasso.

ODSZŁONA DRUGA

W Lugano nad jeziorem o tej samej nazwie nocleg. Tym razem koło lotniska! W ubiegłym roku był Zug z jego pociągami, teraz lotnisko... W przyszłym roku zostanie nam tylko... kosmodrom! Właściciel campingu wystawia nam astro-nomiczny rachunek, ale proponuje zniżkę, jeśli zrezygnujemy z formalnego blan-kietu, który musiałby odprowadzić do Izby Skarbowej! W Szwajcarii coś takiego?!

Pełni emocji wsiadamy 15 sierpnia do naszego autokaru. Mamy dziś pierwszy raz zobaczyć Mont Blanc. Zanim to nastąpi musimy przejechać przez kolejne przełęcze, z których pierwszą jest Simplon (2005 m) — „nie puściła” w ubiegłym roku. Za Martigny znów wspinaczka na przełęcze: de la Forclaz (1530 m) i de Montetes (1461 m). Z tej ostatniej wynurza się Mont Blanc. Okrzyk radości... wreszcie!

Pięć dni w Chamonix. Na znakomitym campingu „Mer de Glace”, przy pięknej pogodzie. Wieczorem odprawa i plany na najbliższą przyszłość. Jutro pierwszą kolejką do Montenvers i na lodowiec Mer de Glace. Nadal „literackie skojarzenia”: Aiguille Verte (4121 m), Dru (3754 m), Grandes Jorasses (4208 m), Dent du Geant (4013 m) widoczne doskonale... Najpierw przez skalny próg na lodowiec, a potem w rakach drepczemy po tym „morzu lodu”. „Gdzie wola, tam i droga!” Mijamy szczeliny, podziwiamy „jeziorka”, nisze wypłukane przez wodę. Woda to wpływa, to ginie pod lodem.



Na lodowcu Mer de Glace. W dali — Grandes Jorasses (Chamonix, Francja) Fot. J. Karczewski

Tłum ludzi, wkraczający na lodowiec, błyskawicznie rozpiezcha się — widać tylko pojedyncze grupki, które udają się w różne strony. Początkowo decydujemy się na wyjście do schronu Charpoua (2811 m), ale potem zmieniamy zamiar i idziemy w kierunku schroniska Requin (2516 m). Jest tak ślicznie, że rezygnujemy z dojścia do niego na rzecz dłuższego „popasu” w czasie którego lornetujemy pobliską ścianę skalną, gdzie wspina się „szkółka alpinistyczna”. Teraz zapada decyzja: nie ma na co czekać, trzeba korzystać z pogody i najbliższe dwa dni przeznaczyć na próbę wejścia na Mont Blanc! Schodzimy wcześniej do Chamonix, żeby się przygotować. Po drodze oglądamy miasto. Zatrzymujemy się na cmentarzu nad grobami Terraya i Whympera oraz przed tablicami Grońskiego i Żuławskiego.



Masyw Mont Blanc — widok z La Praz na grań wejściową (Chamonix, Francja).

Fot. M. Wyszogrodzka

Na campingu podniecenie udziela się całej grupie. Dzielimy się na zespoły, które w każdej sytuacji muszą trzymać się razem. Niedyspozycja którejś osoby nakłada na jej towarzysza obowiązek wspólnego wycofania się.

Na najwyższy szczyt Europy decyduje się wyjść 10 osób. W moim namiocie dodatkowa stresowa sytuacja: Małgosia i Andrzej nie chcą puścić swego „nieletniego dziecięcia” – Piotrka. Ten oczywiście nie przyjmuje tego do wiadomości i nerwowa atmosfera trwa całą noc. Nad ranem Piotrek dostaje wreszcie zgodę (pod warunkiem, że cały czas będzie się trzymał blisko mnie!!) i w błyskawicznym tempie pakuje się do plecaka typu... „Mont Blanc”.

Ruszamy więc ostatecznie w 11 osób. Pierwszą kolejką wjeżdżamy do stacji Bellevue (1800 m), na której przesiadamy się do „tramwaju Mont Blanc”. Ten z kolei wwozi nas na wysokość 2386 m, do stacji Nid d’Aigle. Dalej już trzeba iść pieszo. Pogoda piękna, według prognoz ma się taka utrzymać do jutra. Zbyszek Rembowski narzuca bardzo dobre, równe tempo marszu i po dwóch godzinach dochodzimy do schroniska Tete Rousse (3167 m). Tu krótki popas. Lornetujemy dalszą, doskonale widoczną drogę na szczyt Aiguille du Gouter (3817 m). Świetnie widoczny jest cel dzisiejszego dnia: tuż pod wierzchołkiem blaszane schronisko przyczepione do zbocza. Jest tak blisko, że chyba przewodnikowy, czterogodzinny czas dojścia jest grubo przesadzony...

Zanim wejdziemy na grzędę skalną, którą trzeba wspiąć się do schroniska, musimy pokonać najtrudniejsze miejsce na trasie – trawers kuluaru ciągnącego się od szczytu do podnóża góry. Kular bombarduje stale lecącymi z góry kamieniami. Rzeczywiście, gdy zbliżamy się do niego, robi się aż żółto od „dymu”, który wzbija kamienna lawina. Na szczęście trawers jest bezśnieżny, więc można szybko nim przebiec. Oddychamy z ulgą, gdy cała jedenastka jest po drugiej stronie żlebu...

Teraz już tylko w górę. Droga nie jest trudna, szybko pniemy się po wielkich głazach. Utrudnienie stanowią „tramwaje” turystów, wchodzących i schodzących ze szczytu. Większość zespołów w regularnej uprzęży, związanych liną, asekurowanych się. Chyba ta cała „otoczka sprzętowa” ma dodać animuszu i podnieść powagę sytuacji. My, w naszym ekwipunku, wyglądamy jak „kopciuszki”.

Do wysokości 3500 m idzie się świetnie, a potem... Robię trzy szybkie kroki i nagle czuję, że nie mam czym oddychać. Plecak ciąży jakby ktoś dosypał do niego kamieni. Znów kilka kroków i znów przymusowy odpoczynek. Inni mają te same problemy. Ostatni zaporęczowany odcinek do schroniska pokonują „na rzesach”. Wchodzę na „werandę”, siadam na metalowej siatce i... czuję, że do wstania potrzebna mi będzie pomoc!!! Zmęczenie potworne, głowa boli, brakuje powietrza! Wszyscy... płaczą! Łzy lecą ciurkiem i nie można ich powstrzymać. Najgorsze jednak przed nami. „Wczołgujemy się” do schroniska, które jest tak przepelnione, że z trudem można znaleźć jakieś miejsce do „przycupnięcia”. W dodatku atmosfera też daleka od tej, do której przyzwyczyli nas schroniska szwajcarskie. Nie chcą słyszeć o przenocowaniu nas, proponują dojście do Vallota, który jest podobno pusty (w Vallocie tłok był jeszcze większy!). Jesteśmy tak zmęczeni, że nie reagujemy na to wyproszenie. Na szczęście dziewczyny są

w trochę lepszej formie i gotują herbatę. Pić można „na okrągło”. Wreszcie za 95 FF dostajemy upragnione „karty pobytu”. Nie rozwiązują one jednak problemu, bo chętnych na podłogę jest więcej niż wynosi jej powierzchnia. Magda Rogulska, zrezygnowana, pakuje z powrotem do plecaka... szczoteczkę do zębów, którą zabrała ze sobą...

O godz. 20.00 najszybsi rzucają się na podłogę i stoły, reszta w kucki drzemie przy ścianie. Ja zajmuję miejsce pod stołem, z podkurczonymi nogami. Mogę tylko leżeć na prawym boku. W pewnym momencie „dostaję kopa”. Plastikowy „Koflach” łąduje na moim brzuchu. To leżący obok Japończyk „poprawił sobie pozycję”. O śnie nie ma mowy. W mózgu „gwiazdy i burze”, głowa pęka, cały świat wiruje, czuję, że temperatura przekracza 37°. Najgorsze jest oddychanie. Mam lekki kaszel i za każdym takim „kasznięciem” wydaje mi się, że wyrzucam z siebie ostatnie rezerwy tlenu! W pewnym momencie konstatuje, że... dziś są moje imieniny. Nigdy jeszcze w czasie imienin nie byłem tak nieprzytomny!

„Upojna noc” trwa do drugiej nad ranem. Wtedy następuje zbiorowa pobudka. Doceniam strategiczną pozycję, jaką zająłem wczoraj wieczorem. Z pomocą nogi stołu, pod którym leżę, mogę usiąść! Czuję się tak źle, że zastanawiam się, czy będę w stanie zejść. O wyjściu wyżej nawet nie myślę. Z trudem robimy jakąś namiastkę jedzenia, w „pijanym widzie” wstrzykuję sobie insulinę (nie wiem nawet, ile jednostek?!!) i wychodzę przed schronisko. To mnie otrzeźwia. Wracam do środka, myślę o mojej „dwójce” (chyba raczej „jedyńce”!?) – Magdzie Rogulskiej, która w myśl ustaleń ma zostać w schronisku, o Piotrku, który też ma się mnie trzymać... Myślę też, że skoro już tu wlażłem... Spróbujemy jednak kawałek iść.

Zakładamy raki i wychodzimy ze schroniska. Kolejny wspaniały widok. Zupełna noc, rozgwieżdżone niebo, a przed nami wąż ludzi, wspinających się przy świetle czołówek na Dome du Gouter (4304 m). Metoda posuwania się jest taka sama jak wczoraj: dziesięć kroków do przodu – odpoczynek. Idziemy w czwórkę z Magdą, Anią Lorenc i Piotrkiem, który ma więcej siły, wrywa do przodu i marznie, czekając na nas. Wydaje nam się, że już wolniej iść nie można, a jednak okazuje się, że w naszym tempie wyprzedzamy idących przed nami. Czuję się zresztą znacznie lepiej niż w dusznym schronisku. Sceneria też uskrzydla...

Po dwóch godzinach dochodzimy do obniżenia, przez które trawersuje się Dome du Gouter. Widać dalszą drogę – przełęcz Col du Dome (4237 m), schronisko Vallot (4362 m), grań Bosses, wierzchołek Mont Blanc (4807 m). Tak blisko! Pierwsze światła są już w partii podszczytowej...

Z ciężkim sercem postanawiamy z Magdą przerwać dalszą wędrówkę. Patrząc na błagalny wzrok Piotrka i pozwalając mu z Anią dojść do Vallota. Z Magdą zbaczamy ze szlaków i wchodzimy na szczyt Dome du Gouter (4304 m). Jest 6 rano. W dolinach zupełnie ciemno (tylko światła Chamonix), na szczyty wpełza jutrzienka. Śniegi różowieją. Aguille du Midi (3842 m), na który wybrali się

wczoraj kolejką pozostali uczestnicy wycieczki, głęboko w dole; wokół tysiące wierzchołków alpejskich, przed nami kopuła szczytowa Mont Blanc... Pięknie!!!

Jest zimno, więc rozpoczynamy zejście. W czasie jego trwania wstaje kolejny „lazurowy” dzień. Wracamy do schroniska, w którym można teraz zjeść, a nawet przespać się w pokojach. Zbyszek Łuczak tak skomentował swoje wrażenia z wycieczki: „Za 400 FF mogłem się przespać z żoną na stole”. W schronisku jest najbardziej doświadczony z nas Staszek Kulma i jego „złapała wysokość” uniemożliwiająca zdobycie szczytu. A wczoraj tak wspaniale zachowywał się na trasie: wracał, pomagał innym, dodawał ducha. Myślę, że był jednym z głównych bohaterów tej eskapady. Ta decyzja o wycofaniu się – mądra, wynikająca z doświadczenia – jeszcze wzmocniła autorytet Staszka.

Z niepokojem czekamy na pozostałych. Około 10 zjawiają się Małgosia Ołdak i Zbyszek Rembowski. Doszli do Vallota i rozpoczęli odwrót. Nie spotkali Ani i Piotrka... Emocje oczekiwania rosną. Wreszcie zjawiają się: Ania, Piotrek, Jurek Howański i Marek Baranowski. Byli na szczycie!!! Główną sprężyną był Piotrek, który parł do przodu jak czołg. A oto relacja Marka Baranowskiego z „ataku szczytowego”:

„Około godziny 6.00 zaczęło świtać, a my z Jurkiem docieraliśmy do schroniska Vallota na wysokości 4350 m. Przed nami wylał się cały majestat gór, wysokich, surowych szczytów Alp. Ból głowy ustąpił, ale byliśmy zmęczeni. Ujrzelśmy cały szlak wejściowy na grań szczytową, po której przesuwały się „mrówki” – grupki turystów. Masyw Mont Blanc jest monumentalny. Nam wydawało się, że przerasta nasze możliwości. Dlatego postanowiliśmy podchodzić, ale rezerwowaliśmy czas na powrót. Nad Vallotem dołączyła do nas para: Anna i Piotr. Piotr podbudował nas psychicznie i ruszyliśmy, każdy swoim krokiem w górę. Piękna panorama gór i widoki spływających lodowców dodały nam „skrzydeł” do dalszej wspinaczki.

Sam wierzchołek osiągnęliśmy po godz. 8.00, we trzech kolejno: Piotr, Jurek i ja (Ania niestety nie doszła, a szkoda – miała tak blisko). Mogliśmy sobie pogratulować: najwyższa góra Europy – Mont Blanc – 4807 m – pokonana przez nas. Był to sukces (na miarę naszych możliwości), spełniły się nasze wielkie marzenia...

Szczyt nie ma żadnego oznaczenia, stanowi dość rozległą platformę, „czapę” zamrożonego śniegu. Na szczycie byliśmy ok. pół godziny razem z kilkunastoma turystami. Trafiliśmy na piękną, słoneczną pogodę, nie mogliśmy nacieszyć oczu wspaniałą panoramą Alp. Trud naszej trójki został sownie wynagrodzony”.

Jeszcze tylko zejście wszystkich w dół i... niespodzianka: powitanie przez resztę grupy w les Houches. Jest „Sto lat!” dla zdobywców, herbata w termosach, uściski. A wieczorem szampan na cześć zwycięzców.

Następnego dnia śpimy do południa i stać nas tylko na krótką wycieczkę do le Chapeau. Na pożegnanie Chamonix idziemy przez la Flegere (1877 m) do



Mont Blanc, 18.VIII.1992: Piotr Wyszogrodzki, Jurek Howański i Marek Baranowski — na szczycie!

widniejących w folderach ślicznych jeziorok La Blanc (2352 m). Widać stąd „naszą Górę” — jest piękna. Do jeziorok sypią się grosiki. Z każdym z nich leci pragnienie powrotu w ten „czarowny świat”.

EPILOG

Podsumowując moje realcje myślę, że pomysł Tadeusza zorganizowania przez PTT wyjazdu w Alpy był znakomity. Poza indywidualnymi wrażeniami, wyprawy zaowocowały: nakręconymi przez Włodka Janusika i Zbyszka Łuczaka filmami, arcyciekawymi konkursami przeźroczy, „przewodnikami — informatorami”, które zostały „na tę okoliczność” wydrukowane, uroczymi wierszami Zbyszka Łuczaka, komentującymi obie wyprawy oraz doświadczeniami, które na pewno zostaną wykorzystane.

„Napięty” program mógł być zrealizowany tylko dzięki dyscyplinie i zaangażowaniu wszystkich uczestników. To dzięki Nim impreza przybrała taki właśnie kształt. Jeszcze raz potwierdziło się, że różnorodność postaw i charakterów może taką wycieczkę wzbogacić.

W drugim wyjeździe w Alpy różnica wieku między najstarszym a najmłodszym uczestnikiem wynosiła 58 lat. Trudno w 40-stoosobowej grupie wymagać pełnej jedności zainteresowań. A mimo to stanowiliśmy zespół bardzo zgrany. Poznaliśmy się i zaprzyjaźniliśmy, to dużo.

Kasia i Zbyszek Łuczakowie ostatniego dnia wycieczki, gdy po autokarze krążyły nasze przewodniki dla dokonania „okolicznościowych wpisów”, napisali mi wierszyk, którego fragment niech stanowi zwieńczenie tych spisanych jeszcze na gorąco wrażeń:

*„A jeśli kiedyś się zdarzy,
A wszystko zdarzyć się może,
Poleżeć na jakimś plaży,
Przeplłynąć jakieś morze,
Zdobyć góry wysokie,
Zachłysnąć się ich siłą,
Samotnie – bez grupy. Wspomnij
Jak razem było miło.
Bo jeśli gdzieś wysoko
Świt błądy nas zaskoczy
Dobrze mieć kogoś przy boku
I czyjeś życzliwe oczy...”*

☆☆☆

Zgodnie z życzeniem Redakcji Pamiętnika podajemy koszty wycieczek, liczone na jednego uczestnika.

Alpy 1991 (głównie Szwajcaria i Austria) czas pobytu 15 dni, kosztowały jednego uczestnika ok. 3 do 4 mln. złotych.

Wynajęto w Polsce autobus z kierowcą. Paliwo kupowano ze wspólnej kasy, żywność prawie w całości przywieziono ze sobą. Sporo kosztowały kolejki, wstępy do muzeów, no i owoce czy drobne pamiątki.

Alpy 1992 (39 osób). Wycieczka 25-dniowa kosztowała każdego uczestnika ok. 5 do 6 mln złotych. Były w tym 23 noclegi, autobus, ubezpieczenie. Żywność prawie całą zabrano z Polski. Najwięcej kosztowały kolejki linowe, wstępy do muzeów, zakup owoców i chleba.

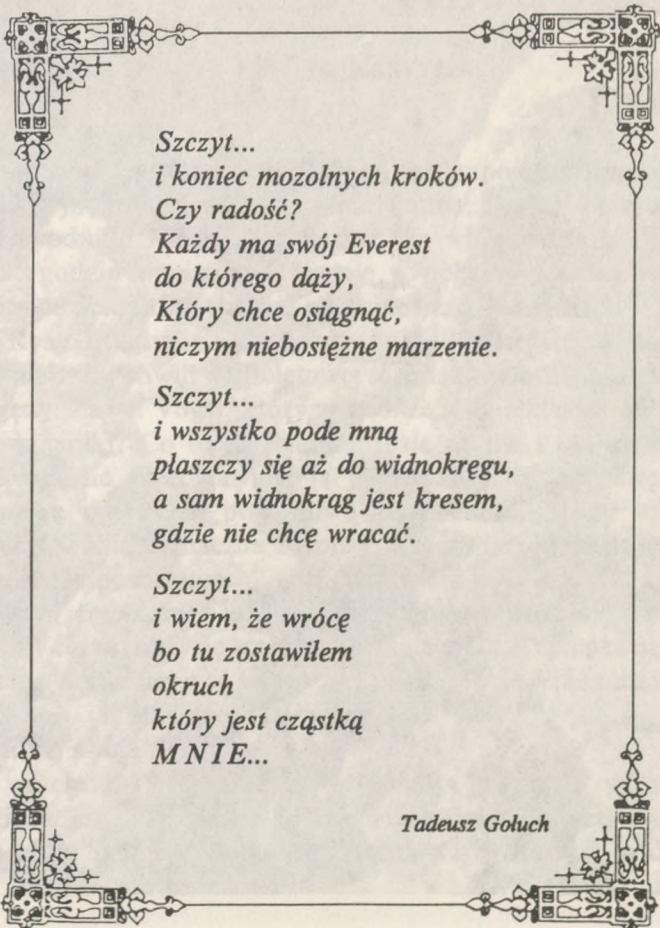
Naturalnie podane przez nas ceny zakładają oszczędne gospodarowanie.

☆☆☆

W wyprawie „Alpy '91” uczestniczyli: Stanisława Andrzejewska-Wdowiak (zastępca, a prywatnie żona kierownika), Grażyna i Ryszard Białkowsky, Janusz Bieńkowski, Krystyna Cichor, Małgorzata Chojnacka, Dorota Florczak, Henryka Howańska, Jerzy Howański (kwatremistrz), Jadwiga Janusik, Włodzimierz Janusik (mistrz kamery), Jacek Karczewski (pilot), Maria Kondratowicz, Wanda

i Stefan Kowalscy, Teresa Kuczyńska, Małgorzata Kunach, Aleksandra Lesz, Urszula Łuczak, Zbigniew Łuczak (mistrz kamery), Ewa Małolepsza (tłumacz), Ewa Marciniak, Andrzej Misiak, Beata Osmulska, Zbigniew Rembowski, Magdalena Rogulska (kronikarz), Zdzisław Siedlecki, Ewa Strzyżkowska, Czesław Szadkowski (kwatermistrz), Małgorzata Szczepanik, Stanisław Tałady, Hieronim Wdowiak (kierownik), Iwona i Andrzej Wodzińscy, Elżbieta Wolff, Małgorzata Wyszogrodzka (skarbnik), Andrzej Wyszogrodzki, Beata i Cezary Zydkowie (lekarze), Sylwester Gradowski (kierowca).

W wyprawie „Alpy '92” uczestniczyli: Marek Baranowski (kwatermistrz), Joanna i Janusz Bieńkowsy, Krystyna Cichor, Małgorzata Chojnacka, Katarzyna Dąbrowska, Jadwiga Dyl, Izabela Gołota, Henryka i Maja Howańskie, Jerzy Howański (zastępca kierownika), Jacek Karczewski (pilot), Agnieszka Klimżyńska, Jadwiga i Wiesław Kośkowie, Wanda i Stefan Kowalscy, Teresa Kuczyńska (lekarz), Małgorzata Kulma, Stanisław Kulma, Anna Lorenc, Urszula Łuczak, Zbigniew Łuczak (kierownik), Ewa Małolepsza (tłumacz), Małgorzata Ołdak, Teresa Papszun-Ciach, Zbigniew Rembowski, Magdalena Rogulska, Barbara Skowron, Agnieszka i Marian Stanięcy, Hanna Stodoła, Czesław Szadkowski (kwatermistrz), Maciej Śmiechowicz, Katarzyna Turska, Elżbieta Wolff, Małgorzata Wyszogrodzka (skarbnik), Andrzej Wyszogrodzki (kwatermistrz), Piotr Wyszogrodzki, Edmund Bancewicz (kierowca).

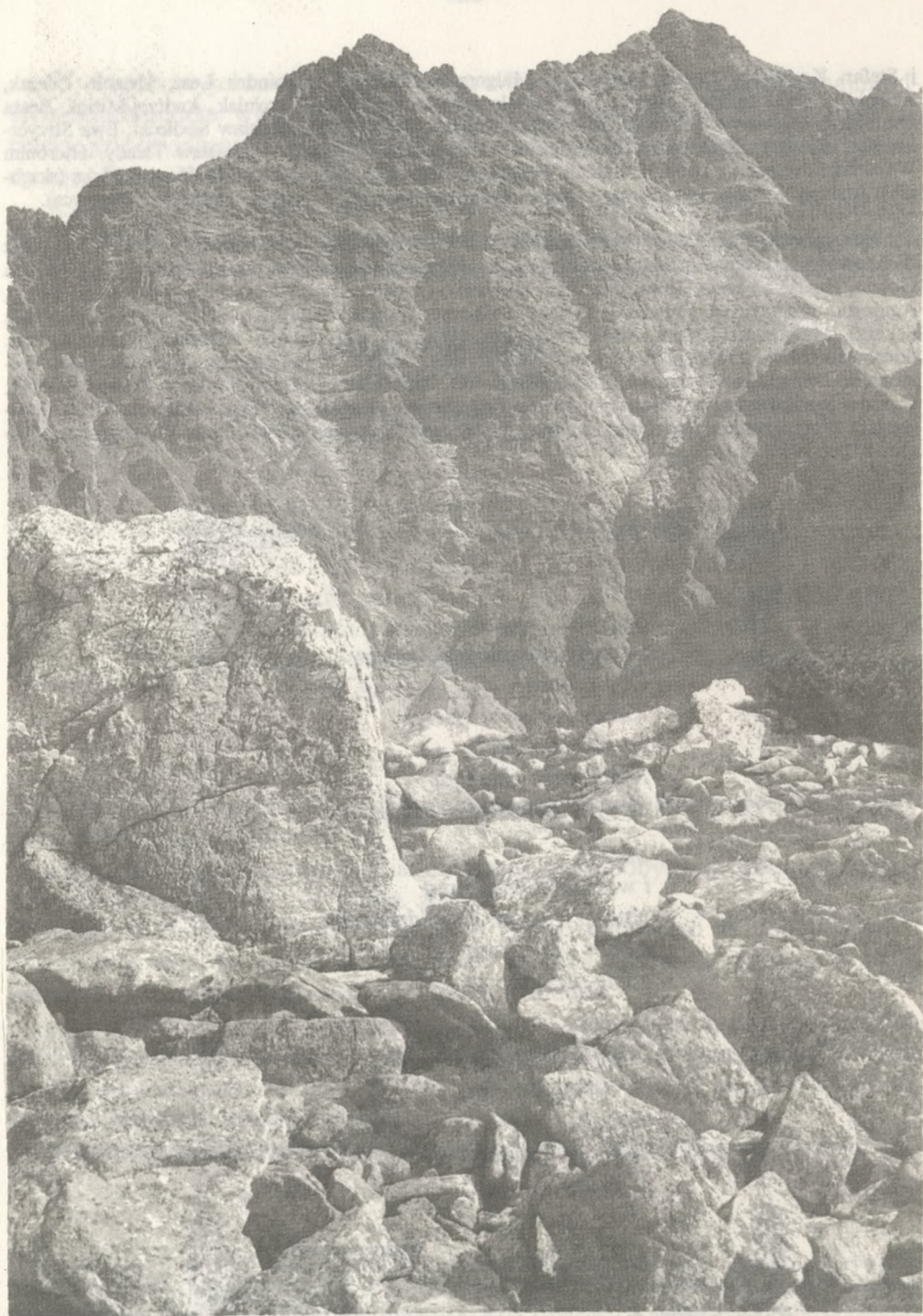


Szczyt...
*i koniec mozolnych kroków.
Czy radość?
Każdy ma swój Everest
do którego dąży,
Który chce osiągnąć,
niczym niebosiężne marzenie.*

Szczyt...
*i wszystko pode mną
plaszczy się aż do widnokregu,
a sam widnokrag jest kresem,
gdzie nie chcę wracać.*

Szczyt...
*i wiem, że wrócę
bo tu zostawiłem
okruch
który jest częścią
M N I E...*

Tadeusz Gołuch



Widok z szczytu (z lewej strony), Jacek Karłowicz (1900), 1900, Wanda

Pamięci Jadzi Brydównej

NIŻNE RYSY

Alina Kaszyn

„...z ponad brzegów Czarnego Stawu... tak imponująco przedstawiająca się, ponad 650 m wysokości licząca pn. zach. ściana...”. Tak opisywał Niżne Rysy w swym przewodniku Mieczysław Świerz. Ta właśnie ściana pociąga mnie od dawna. Sześć godzin wspinaczki. To nie w półtorej godziny pn. zach. ściana Mnicha, wprawdzie bardzo trudna, ale stanowczo za krótka.

...Niżne Rysy... patrzę na nie ze skraju Doliny za Mnichem przy zachodzie słońca. Właśnie w tej chwili na fioletowej ścianie uwydatniają się kociołki po obu stronach grzędy. Paweł Vogel, który zeszedł ze mną z klasycznej Mnicha, mówi: „Widzisz te kociołki? Co to za ściana... Idzie się nią i idzie... czego się boisz? Zupełnie niesłusznie przedstawiają ją jako wspaniałą wyprawę...” — ciągnie Paweł z typową dla siebie pogardliwą gestykulacją. Mimo to boję się jej... „W dolnej części ściany znaczna ekspozycja i urwiste przykre trawki, w górnej części ściany skała pewniejsza...” — pisze Świerz. Właśnie to... zawsze mam lęk przed urwistymi trawkami. Jeśli dla Świerza są „przykre”, to dla mnie tym przykrzejsze. Wolę ekspozycję trawersu Zamartej Turni i jej pewną skałę niż takie trawki. Dlatego odkładamy tę ścianę na „potem”. Ale ściana mnie kusi... Pytam Łapińskiego — ... jak najlepiej ją przejść?...

„Każdy idzie swoją drogą” — odpowiada.

Połowa września 1949 roku. Ze schroniska wychodzi wczesnym rankiem czworo ludzi. Jadzia i ja niesiemy liny. Jadzia ma czymś jeszcze wypchany plecak, a ja zwykle kilka pętli, podręczną apteczkę, dwie latarki i trochę „różności”.

Mężczyźni — to wysoki, chudy, świetnie zapowiadający się taternik, inżynier, zwany „Szybki Józef” i drugi, niższy, mocnej budowy Jan. Obaj dźwigają ciężkie plecaki. Duży wybór żelaznych haków, stalowych karabinków. Oczywiście Józef, który ma wielki apetyt, a pieniędzy mało, niesie parę bochenków chleba.

Okružamy senne jezioro i od razu zaczyna się niepotrzebna gonitwa. Zmieniają się to czarna, kędzierzawa głowa Jadzi, to złocista głowa Jana. Ten wyścig mnie denerwuje. Chodzę po Tatrach nie tylko dla wspinaczki, lecz dlatego, że Tatry są ciągle inne. Zmienny koloryt uzależniony od nieba, chmur, czasu pogody. Tego się w biegu nie widzi... Poza tym akurat dzisiaj czuję się „zdechle” fizycznie i psychicznie. Na podejściu do Czarnego Stawu prześcignęliśmy jakichś dwóch bardzo młodych ludzi z linami. Okružamy staw. Amfiteatralnie schodzące ściany szczytów powoli się zamykają. Nie ma już słońca, zostało w dole. Żeby odpocząć wołam do Jana, aby wyjaśnił mi przyczynę koloru tego stawu. Jan przystaje i długo mi tłumaczy. Skąd on wie tyle rzeczy? Wczoraj mnie zaskoczyła jego wiedza muzyczna. Wiem, że dużo pracuje zarobkowo, ale i dużo czyta. Patrzę na jego szeroką, stale lekko uśmiechniętą twarz. Niebieskoszare oczy zdają się należeć do człowieka spokojnego, którego niełatwo coś wyprowadzić może z równowagi, lecz w niektórych błyskach tych oczu wyczuwam nerwowość.

Podchodzimy lekko wznoszącym się zboczem, a potem po urwisku. Nagle Jan wdrapuje się na zwalisko głazów i porusza ich chwiejną równowagę. Bloki omal go nie przydużyły; szczęśliwie uskoczył. Głazy toczą się w dół, czuć zapach siarki. Śmiejemy się nerwowo. Głupi przypadek, a mógłby się skończyć dla Jana smutno. Jesteśmy już pod szeroką, kruchą rynną. Wspomniana dwójka wiąże się liną. „Wy też na tę ścianę?” — pytają nas i uśmiechają się miłe twarze. Wzajemne mruknięcie nazwisk, po którym nadal się nie znamy. Widzę, że Józef jest niezadowolony, że ktoś nas wyprzedził. Ja czuję się nadal marnie. Zastanawiam się, może lepiej wycofać się z tej wspinaczki. Trójka lepiej by sobie radziła na ścianie, niż dwie dwójki. Wstrzymuje mnie niewytłumaczalny lęk. Lecz gdy zdejmując z ramienia linę dotykam ją dłonią, zapominam jak zwykle o niepokoju. Józef wlepia we mnie swe czarne oczy i mówi — „Idziemy razem”. Dotychczas wspiniałam się z Janem, lecz może „Szybki” widząc moje złe samopoczucie chce mi zapewnić swą lepszą opiekę, niż towarzystwo początkującego Jana. Wiążemy się. „Ci dwaj” wspinają się wprost i od razu „zatykają się”. Józef idzie w lewo, łatwym terenem na trawki. Potem znowu zachodzikiem na trawki. Ich ekspozycja przykro na mnie działa. Skalisty, łatwy trawers w lewo i znowu przepaściste trawki. Gdy spoglądam w dół, wydaje mi się, że coś mnie wciąga w urwisko. Przebieram bezmyślnie nogami. Józef i Jan mają dobre, podklejone wycinkami z opony samochodowej buty. Moje miękkie butki nie są na trawy. Nagle wspomnienie — „...„cokolwiek robisz, skup się na tym”... Tak mawiała zmarła w powstaniu warszawskim moja babka Anna. Już nie patrzę w dół. Uważnie wyszukuję najlepsze miejsca na postawienie nogi. Okraczamy żeberko, szukamy

kazalnicy. Czy to tamten występ, a może to ten nad naszymi głowami? Nie możemy się zorientować. Znajdujemy się pod nadzwyczaj trudną ścianką. W opisie jej nie było. Józef skręca w lewo i znowu trawy. Za nami Jan i Jadzia. Teraz jakieś zachodziki i wchodzimy w lewy kociołek. Natychmiast „wycof”, bo kociołek jest u góry zamknięty wspierającymi się wzajemnie głazami. Teraz Józef zaczyna drogę w prawo i wyszukuje trawiastą rynnę. Wbija najdłuższy z naszych haków jako stanowiskowy i dość szybko się nią wspina. Wchodzę w rynnę i myślę, że jeżeli kiedyś czytałam o pionowych trawach, to właśnie tu je spotkałam. Idę, a trawa muska mnie po twarzy. Chciałabym jak najprędzej ukończyć to przejście, a to prawie cały wyciąg liny. Józef woła do mnie, że dobrze mnie asekuje. Wreszcie jestem przy Józefie stojącym przy bloku. „Szybki” woła do Jana, by szedł i sam już chce iść dalej, lecz go wstrzymuje. Tłumaczę mu, że dotychczas Jan chodził po cudownie chropowatym, tatrzańskim gruncie. Mimo swych butów na oponach nie wiadomo jak sobie poradzi w tej rynnie. Jadzia ma możliwość asekurować go tylko z haka wbitego w trawiaste podłoże, a to jest zabezpieczenie iluzoryczne. Gdyby odpadł, w urwisko po wyrwaniu haka może polecieć dwoje ludzi. Z obrzydzeniem patrzę w tę czeluść i gdy już widzę, że nasi pod rynną odwiązują się, mimo protestów obu mężczyzn zrzucam Janowi linę. Dopiero gdy „jasnowłosa” dochodzi do bloku, uspakajam się co do bezpieczeństwa naszej pary. Marzę o tych, wspomnianych przez Świerza, pewniejszych skałkach. Idziemy zachodzikami dalej. Jeden skalisty, wiodący w lewo, jest jak korytko wąskie i głębokie. Idąc nim odpoczywam. Znajdujemy się na wygodnej platformie. Skosem w prawo ciągnie się skalisto-trawiasta rynna. Hak stanowiskowy i Józef pakuje się w nią. Z dołu rynna wydaje się tylko trudna, więc nie rozumiem, czemu mój partner tak długo się w niej męczy. Wbija hak przelotowy i zaraz prawie woła: „trzymaj!” Widocznie czuję się w niej niepewnie. Wołam do Jadzi i Jana, by zaczekali w korytku, bo mogą polecieć kamienie. „Ci dwaj” są podobno obok nich. Wreszcie Józef wzywa mnie. Idę i przekonuję się, że droga, która z dołu robiła wrażenie łatwej, jest bardzo trudna. Idę po bardzo gładkich, malutkich, dachówkowato, niekorzystnie, pochylonych stopieńkach, które nie trzymają nogi. Dochodzę do solidnego haka i zaraz Józef robi trawers w prawo. Wchodzi na wielką, prawie pionową płytę, wbija w nią hak i znika za górną krawędzią. Moja 38-metrowa lina wystarcza na jakieś stanowisko, bo słyszę jak woła:... „można iść!...”

Rynna solidnie mnie zmęczyła. Z wysiłkiem wślazę na płytę, która jest wspaniale chropowata. Chcę jednak odpocząć, chwycić się karabinka. Spojrzenie na wbity do połowy łyżkę powstrzymuje mnie. Mam wrażenie, że wyrwę ją, gdy ją obciążę, a ponieważ lina ma luz, to „dyndnę” po płycie. Szybko zatem odpinam karabinek i wspinam się w górę. Lina naciąga się, widocznie Józef chce mi pomóc. Wchodzę na skraj płyty i po łysym, stromym trawniku zbliżam się do kolegi, który siedzi na wygodnej półce. Na prawo gładka, pionowa ścianka, na lewo

stromy, trawiasty teren z rozrzuconymi blokami. Mówię Józefowi, że trzeba ostrzec naszą dwójkę, iż hak w płycie jest niepewny i jednocześnie spostrzegam, że hakiem stanowiskowym nad półką jest nasz najmniejszy, „zegarmistrzowski”. Józef odpowiada coś niewyraźnie i wstaje z półki, na której ja natychmiast siadam i przypętłam się. Józef wchodzi szybko na trawiaste zbocze. Wołam, by zatrzymał się, bo chodzi mi o ostrzeżenie partnerów, lecz on idzie szybko w górę. Właściwie zawsze tak chodzi i tylko woła: „...luzu!... luzu!” W tym zdradliwym terenie to ryzyko. Krzyczę: „...pół liny, ... ćwierć liny...”. Nagle (moje przeczucie i myśl, że na tym odcinku nie ma solidnego haka) dzieje się coś nienormalnego, coś czego nie było w czasie naszych poprzednich wspinaczek, coś, czego się spodziewałam, że kiedyś musi nastąpić.

Tyle wspinaczek przeszliśmy szczęśliwie. Zdarzyło mi się myśleć, że któraś zakończy się tragicznie. Może to obawy mej matki, że każdego taternika złapie śmierć. Uważałam chwilami, że się wymigam. Lecz właściwie dlaczego ja mam ocaleć, a inni mają ginąć? „Znowu tragedia w Tatrach” — taki będzie tytuł w gazetach. Ten ogrom myśli jak błyskawica przelatuje mi przez głowę. Jest równy momentowi zawiśnięcia Józefa w powietrzu, zaczepionego jakby na niewidzialnej linie, oderwanego od stromizny. On będzie się zsuwał, nie zdąży wybrać liny, szarpnięcie wyrwie „zegarmistrzowski” i oboje runiemy w dół. W tej sekundzie widzę, jak spod nóg Józefa rusza wielki kamień i sunie po zboczu, jakby na mnie. Nie ma gdzie uskoczyć. Patrzę weń tępo, jest już blisko mnie. Nagle trafia na coś twardego w podłożu, zmienia nieco tor, przelatuje tuż obok mnie i w podskokach gna przez łysawy trawnik. Widzę Jana wysuniętego połową ciała nad krawędź płyty. Jan spostrzega kamień i nadstawia wyciągniętą w obrońnię dłoń. Kamień uderza w nią. Głowa i tułów Jana zataczają łuk do tyłu. Kamień i Jan znikają za krawędzią płyty... Łoskot lecących głazów. Rozpętało się istne piekło. Jedne głazy ściągają inne... Nie widzę tego piekła, lecz słyszę. Tam spada Jan... Czy głaz go wyprzedził? Chyba tak, lecz to już obojętne. Ale nie jest obojętne, że pod spodem są „ci dwaj”. Lawina kamienna zda się walić bez końca. Za moment ściągnie mnie spadający Józef... Nie, nie ściągnął mnie..., jakimś sposobem utrzymał się i już stoi przy mnie na półce. „Szybki” stoi pewnie, chwytam go za rękę i jednocześnie uświadamiam sobie, że moj odruch jest mu niepotrzebny, jakby teatralny. Nie pomoże nikomu, ani Janowi ... temu już nic nie pomoże... Nie mógł mu pomóc hak, marnie wbity w płytę. I te myśli..., czemu to nie ja padłam ofiarą, lecz właśnie Jan, dobry człowiek... Tak... tragedia na wymarzonych przeze mnie Niżnych Rysach... Tragedia autentyczna, a ja jak widz biorę w niej udział. Siedzę w amfiteatrze i widziałam jak Jan zastaniał się przed nadchodzącą śmiercią. Czuję do siebie odrazę, że ocalałam. Czy człowiek, który ocalał, gdy drugiego zniszczyła śmierć, może być szczęśliwym? Wiem, kogo uszczęśliwię mym życiem. Moja radość się skończyła jednak, Jan już nie pójdzie w góry.

Józef z przerażonymi oczyma krąży ostrożnie po trawniku pode mną i usiłuje przekrzyczeć huk. Może to echo od Kazalnicy.... „Jasiu, Jasiu, Janie!” – woła w przepaść. „... Janie, ukochany Janie!” Gdy Józef woła nadaremnie, każda moja myśl krąży koło tego imienia. Trzymam już Józefowi linę do zjazdu. Z dołu ktoś cicho woła. Jadzia? Nie rozumiemy. Józef wchodzi w klucz zjazdowy... i słaby głos z dołu – „Zrzućcie linę!” Kto woła? Odwiązuję się błyskawicznie (oczywiście lina przechodzi przez karabinek), robię na jej końcu pętlę i „Szybki Józef” trzymając się jej schodzi na skraj płyty, by zrzucić linę we właściwym kierunku.

– „Trzymajcie, bo nie... trzymajcie, bo nie wyjdę o własnych siłach...” Czyj to niewyraźny głos? Ciągniemy linę, do której ktoś ciężki się uczepił. Serce mi na moment zamiera, bo zza płyty wychyla się kaptur, potem twarz Jana i jak zwykle uśmiech, ale usta śmieją się kurczowo, a oczy mówią, że to człowiek, który widział śmierć. Jan wchodzi na półkę potykając się i chwiejąc, a my patrzymy na niego jak na zjawę.

– Jasiu, Jasiu... – Józef nie wie, jak przemówić do niego...

– Co Cię boli? Co ci się stało?! – Obmacuje go troskliwie.

– Chcesz cardiasolu? – pytam się. – Chcesz jabłko? – pyta Józef. Jesteśmy śmieszni ze swoimi darami. Co możemy mu ofiarować na ścianie?

Jesteśmy tak szczęśliwi z jego ocalenia, że oddalibyśmy wszystkie skarby, gdyby do nas należały. Tymczasem ofiarowuję mu czekoladę – mój całodzienny prowiant. Odmawia. Opatruję mu bardzo odrapane ręce. Jest lekko zszokowany, trzęsie się. Boli go kostka u nogi.

– Wracamy – mówi Józef.

Jan się uparł. – „Nie możecie sobie psuć przeze mnie wyprawy... Będziecie mieli ze mną jednak ten kłopot, że w trudniejszych miejscach będziecie musieli zrzucić mi linę. Musimy tę ścianę skończyć...” Co z innymi, Jan nie wie. Zabieram się do asekurowania Jadzi, która woła, że chce iść. Słyszę długie wybijanie haka, okrzyk:

– Idę!, więc ściągam linę, później okrzyk – Trzymaj mocno!... – i słyszę drugie wybijanie. Jadzia doszedłszy na półkę oddaje mi dwa haki; jeden z nich to wąska, zgięta do połowy łyżka. Widzę radosny i triumfujący uśmiech „Szybkiego”.

– Ale Ci się udało... – mówi Jadzia do Jana. Stojąc z boku widziała wszystko. Jan strącony przez głaz poleciał swoją drogą, a głaz swoją. Ponieważ wyszedł nad haka ponad cztery metry, poleciał w dół trochę więcej niż dwa razy tyle. Na koniec szurnął po płycie. Jej pochyłość uratowała go przed połamaniem, a powietrzość pod płytą – przed rozbiciem. Na szczęście nie było pod płytą żadnej półki. W czasie lotu głową w dół, kaptur opadł mu na głowę. „Tamci dwaj” byli akurat pod przewieszką i kamienie przelatowały nad nimi.

Dość długo odpoczywamy po wrażeniach i wobec nieustępliwości Jana idziemy wreszcie dalej. Co jakiś czas „Szybki” lub ja odwiązujemy się z liny i zrzucamy ją Janowi. Zabiera to sporo czasu. Jednak droga staje się łatwiejsza.

Cały czas idziemy grzędą, chociaż chyba powinniśmy wejść w prawe kociołki. Grzęda daje nam widok na całą ścianę, zachęca do drogi środkiem. Widzimy ogrom ściany — idziemy i idziemy, a ściana się nie kończy. W lewo wspaniałe, gładkie płyty. Na szerokiej platformie jemy solidny posiłek. Częstujemy się wzajemnie, humory są dobre i wpadamy w swój zwykły zwyczaj wzajemnego, niezłośliwego pokpiwania. Z radością zauważam, że już jestem w dobrym stanie fizycznym. W czasie poprzednich wycieczek lub wspinaczek zauważyłam, że ten dobry stan powstaje we mnie, gdy dojdę do mniej więcej 2000 m n.p.m lub wyżej. Z ciekawością rozglądam się po turniach i przełęczach, których wysokości znam w przybliżeniu i zgadza się! Można by powiedzieć, że badający mnie w Zakopanem lekarze określając moją kondycję jako świetną nie pomylili się. Psychiczenie nadal czuję się dziwnie „nieswojo”. Podziwiamy Żabięgo Konia, który widziany z naszej wysokości, ma kształt ostro skrzęsanej turni. Dochodzimy pod skalisty pas. Z dołu od nas wygląda to na półki, gzymsy, ścianki. To co chciałam, wreszcie skała. Stwierdzamy, że jest już bardzo późno i należałoby się spieszyć, bo dzień wrześniey krótki. Od razu przychodzi mi do głowy ogrom myśli i tłumacząc wszystkim, że faktycznie to nie znamy topografii ściany, a zwłaszcza wyjścia z niej, to znaczy wejścia na szczyt. Opis Świerza czytałam z „Szybkim Józkiem” z pożyczonego i oddanego przewodnika, ale jaki jest fragment końcowy, nie pamiętamy. Oglądając ścianę z Doliny za Mnichem widziałam gołym okiem kociołki i grzędę i miałam wrażenie, że grzęda wrasta w skalistą, szczytową, płytową partię wierzchołka (to ta, widziana z szosy do Moka, przewieszona ku zachodowi turnia). Gdy gnaliśmy w sierpniu granią Mięguszowieckich, miałam wrażenie, że Niżne Rysy posiadają parę wierzchołków; ani „Szybki”, ani Jan nie zwrócili na to uwagi. Według mnie, największe trudności zaczynają się pod pochyloną turnią, a wtedy będzie już całkowity mrok. Paweł mówił mi o kociołkach, a nie wspominał o wyjściu z nich, a ja się go o to nie zapytałam. „Łaptaś” powiedział, że każdy idzie swoją drogą. „Rozumiem to” — mówię — „ale swojej drogi nie można robić w ciemnościach i z musu biwakować nad urwiskiem”.

— Alina — usiłuje mnie przekonać „Szybki”, jak zwykle nieobliczalny — „przejdziemy ścianę za dnia...” Jadzia wykrzykuje „toż do szczytu już blisko!...” Jan milczy, jest właściwie najinteligentniejszym z nas, ale początkujący i myśli może, ile to czasu zabrało zrzućcie mu liny.

Przeważająca liczba głosów sprawia, że ruszamy, ale ja bez przekonania. Ścianki są coraz to stromsze, wąskie gzymsy, półeczki... Jest wieczór. Szarość ogarnia szczyty i na domiar złego zaczyna kropić deszcz. Jesteśmy w tej chwili na spadzistych półeczkach. Znowu ekspozycja. Siedzę na małej półeczce, która jest tak wygładzona, że aby się z niej nie zsunąć trzymam się karabinka od haka, który tkwi przy mym udzie, a jednocześnie asekurowuję „Szybkiego” i widzę, jak buty ślizgają mu się na mokrych krawędziach. Jeśli on zleci, oboje zawiśniemy na jednym, szczęśliwie solidnym haku. Ale „Szybki” jest dobrym taternikiem, pcha

się dalej. Nerwowo jestem „klapnięta”, a w tej sytuacji jest to niedopuszczalne. Czuję, że jesteśmy jakby w pułapce. Czemu zamiast pozostać na biwak na proponowanym przeze mnie miejscu, weszliśmy wyżej? Słyszę wbijanie haka... wołanie „iść!” Jakże inaczej idzie się po śliskich skałach z górną asekuracją. Już w mroku wychodzę na jasną, trójkątną platformę w niszy. Jej ostry kąt wcina się w ciemny komin. Na jej przednim brzegu tkwi hak. Teraz Józef rozwiązuje się i rzuca linę. Ileż to czasu zajmuje, bo lina zaczepia się na półeczkach, a stanowisko Jana jest w bok od naszego. Wreszcie Jan złapał linę i dochodzi do nas. Wpełza na platformę ze słowami: „Jak dobrze jest wreszcie móc wygodnie usiąść”. Przyczepiam go do karabinka. „Szybki” już włązi w komin, a towarzyszą mu prośby Jana, by nie stracił na nas kamieni. Zdejmuję więc z Jana długi plecak (zasłoni mi kręgosłup). „Mam asekurować?” – pytam. „Nie” – burknięcie. „Szybki” wolno idzie przez komin. Opieram plecy Jana o swe nogi, na których już mam dwie pary wełnianych spodni. Jemu będzie ciepłej, a mnie przyjemnie (ale Jan ma o tym nie wiedzieć). Stojąc tak cały czas oświetlam jednocześnie latarką krąg liny, by poprawić, gdyby nastąpiło splątanie. Słyszę już nad kominem głuchy odgłos wbijanego haka. Liny po trochu ubywa. Nad słuchuję, z góry nie ma wołania. Pewnie w ciemnościach Józef nie może znaleźć stanowiska. Upływają minuty, może kwadrans. Widzę w ścianie niszy mały, biały punkcik. Dotykam delikatnie krótkiej łodyżki. Dr Zofia Paryska zaraz by się spytała, co to za kwiatek rośnie na tej wysokości. Nagle nad nami, ale nieco z boku, słyszę bardzo gniewny głos Józefa.

– Co Wy robicie tak długo? Wołam i wołam, a nie idziesz... W duszy się roześmiałam. Czy Józef zapomniał, że ukształtowanie terenu może spowodować, że głos kogoś będącego blisko może być niesłyszalny? Wołam więc bardzo wyraźnie:

– ... Nie było słychać! Kiedy mam iść? – Za dwanaście minut... – niewyraźna odpowiedź. Odliczam w myśli czas, a Jan pyta, czy mu zrzucimy linę.

– Oczywiście – odpowiadam. Podchodzę do kominka, a Jan znowu

– Nie zapomnijcie o mnie. Latarka zawieszona na szyi dynda. Oświetlenie nią komina z dołu daje mi obraz bardzo ogólny. Wspinam się bardzo ostrożnie i powoli. Komin nietrudny, lecz skała niepewna. Gdy oświetlam jakiś fragment ścianki, to oczywiście pomaga mi, ale gdy latarka odwróci się, to jest już tylko czerń. Obmacuję skały komina, ... teraz chyba dobre oparcie, płaskie. Opieram na nim dłoń... i to „dobre” odchyła się jak duża księga z regału... – „Jezus Maria” – wyszeptalam i wepchnęłam kamień z powrotem. Wreszcie opuszczam komin. Teren nad nim dla mnie fatalny. Strome trawy, między nimi strome łysiny ziemi, w które wbicie miękkiego noska buta jest trudne, miejscami niepewne skałki. Dochodzę do haka (najdłuższy z naszych) i chyba robię głupstwo – odpinam karabinek i przesuвам się parę metrów ku górze. Moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, ale to tylko oczy człowieka. Widać jasną pręgę liny ciągnącą się ku górze. Z góry bardzo wyraźny głos pyta:

— Czy stoisz pewnie? Nie mogę już wrócić do haka, wbijam palce w trawy, pół stopy na jakimś występku skalnym i odpowiadam: „... Nie, a poza tym odpięłam się...” Jasna pręga liny sunie jednak powoli w górę. Stoję tak z twarzą w trawie i myślę zimno: „Gdy Józef odpadając pociągnie mnie za sobą, czy ja będę trzymać kurczowo w zaciśniętych palcach wyrwane trawy, czy rozczapierzę palce, by chwytać coś, czego poniżej nie ma”. Sekundę potem modłę się gorąco do Matki Bożej by ta wspinaczka miała szczęśliwy koniec. Zaraz potem wymyślam sobie od idiotek, że nie nakłoniłam Józefa, aby zszedł do niszy na biwak. Na niebie zapalają się już gwiazdy. Cisza. Ani wołania, ani odgłosu wbijanego haka. Widocznie brak szczelin... Coś leci, to tylko kamyk. Wreszcie słyszę wyraźny odgłos wbijanego haka i jego coraz wyższy ton. Głos z góry:

— Można iść!... Dochodzę do Józefa po terenie trawiastoskalnym, to co jaśniejsze, to skały, a co ciemniejsze — to trawy. Myślę, że Józef to dobry wspinacz, szedł przecież w ciemnościach, a „ci dwaj” szli na pewno tędy, gdy było jeszcze szaro. Józef siedzi na jasnej, krótkiej ale szerokiej półce. Zapala ostatniego papierosa i świeci latarką, gdy wbijam w ściankę nad półką (a wybór szczelin duży) jeszcze dwa haki. Parę metrów nad nami są „ci dwaj”. Chwałę „Szybkiego”, że tak pięknie przeszedł jako pierwszy na linie w ciemnościach. Gdy odpoczął, podaję mu linę, by zrzucił ją w niszę, bo „nasza para” bardzo by chciała być z nami. Trzymam go na krótkiej linie gdy schodzi, lecz wraca, bo lina nawet do komina nie dosięgła. Sądząc po głosie, wydaje mi się, że Józef nie jest w pełni przytomny. Czym prędzej przywiązuję go do haka, badam tętno, bardzo nierówne. Wmuszam w niego cukier, jabłko i chleb, a jednocześnie wołam do tych nad nami, że proszę o pożyczenie liny i aby jeden z nich zszedł na półkę i chwilowo został z nami. Zaraz jeden młodzik schodzi z liną. Wpinam go do haka, do którego jest wpięty Józef, dowiązuję ich linę do naszej i obszernie wyjaśniam obu, że zjadę ubezpieczona prusikiem. Tłumaczę im dalej, że znakiem, iż wszystko idzie pomyślnie, będzie moje pohukiwanie „uhu”. Mają nadśłuchiwać i nie gadać. Gładząc Józefa po twarzy wyczułam, jak mu się rozszerzył policzek w uśmiechu. On wie, że sowa to mój ulubiony ptak. Przypinam pętlę, polecam się mej Patronce i częściowo schodzę, częściowo zjeżdżam — jasne to skała, ciemne to trawy. Nagle na ciemnym fragmenciku, prawa noga wpada w coś niegłębokiego. Oświetlam linę bardzo dokładnie, nie zauważam uszkodzenia. W odpowiednim miejscu robię trawers nad komin i jestem kilka metrów nad nim. Moja lina się skończyła. Słyszę wysoki głos Jadzi i wołam, że zrzucam linę. Ustalamy, na jaki sygnał ma iść Jan. Mój powrót na półkę jest bardzo powolny i męczący. Lina nie została dostatecznie naciągnięta. Przesuwanie prusika w górę na nienapiętej linie jest utrudnione. Ale „uhu, uhuu” rozlega się na ścianie. Zależnie od trudności terenowych robię różne kombinacje. Wreszcie półka. Józef już całkowicie oprzytomniał i po umówionym sygnale, podciąga z tym drugim Jana. Następnie szybko wspięła się do nas Jadzia. Podaje mi długi hak i mówi, że prawie go ręką wyciągnęła. Młody wraca z liną do kolegi powyżej. Wiążemy się do haków.

— Jadziu — mówię — my obie będziemy na bokach, bo musimy naszych panów podgrzewać (są w szortach), ale pamiętaj, nie możesz ani na ułamek sekundy się zdrzemnąć, bo się zsuniemy. Niech mężczyźni śpią.

— Dobrze — odpowiada rześkim głosem, co mnie dziwi, bo Jadzia jest wielkim śpiochem. Jako najlepiej zaopatrzona w ubranie ofiaruje sweterek, który wsuwam Janowi pod wiatrówkę. Jest najgorzej z nas ubrany, Józef i ja mamy wełniane, grube swetry. Siadamy po dwoje na plecakach. Tak chytrze wymanewrowałam, że Jan jest przy mnie. Jemy połowę z resztek naszego jedzenia. Zbijamy się ciasno, bo półka jest krótka i tak nam ciepłej. Dobrze, że jej szerokość pozwala na podkurczenie nóg. Jan objął mnie ramieniem, bo luźniej. Zadzieram głowę do góry i patrzę na turnię szczytową; przewieszona nad nami zasłania niebo. Z tyłu na nią jest księżyc. Myślę, jak to nam jutro pójdzie. Ciemno. W dole dwa światełka, światełek przybywa. Martwimy się, czyżby Pogotowie już szło po nas? Chcemy ukończyć ścianę sami. Światełek przybywa — to gwiazdy odbite w tafli Morskiego Oka. Dla zabicia czasu trójka gada o głupstwach, ja milczę i rozmyślam. Przypominam sobie, o czym mnie uczono na fachowych kursach wspinaczkowych. Wreszcie zaczynam mówić, na tyle głośno, że i ci dwaj usłyszą. Jutro nim zaczniemy kończyć wspinaczkę, musimy sprawdzić nasze liny. W czasie mego obniżenia się nad komin i powrotu bałam się, aby lina, na której zjeżdżałam, nie nadcięła się na jakimś występie. Jan powinien swą linę, na której spadał, powiesić u siebie na ścianie, na pamiątkę i kupić nową, a najlepiej to kupić dwie cieńsze i wspinać się na podwójnej, jak niekiedy czynił Paweł Vogel. Ktoś mruczy, że to rzadki wypadek i zaczyna mówić o Świerzu, lecz mu przerywam, że lina może zostać nadcięta w łatwym terenie Żabiego Niżnego. Jadzia domaga się:

— Mów jak to z liną na Żabim było — więc opowiadam:

„Przyjechałam do Morskiego Oka, bo i dobra pogoda była i wiedziałam, że jest Paweł Vogel. Paweł zobaczywszy mnie powiedział: „To dobrze, wobec tego jutro Janusz pójdzie z Bieńkowskim, a ja będę szła z Ertą. Ona się jeszcze nie wspinała, ale jest wysportowana. Cel — Żabi Niżni, najłatwiejszą, ale ciekawą drogą”. Nazajutrz zesłam jak zwykle najwcześniej, by zjeść śniadanie. Później zszedł Janusz, wicie, to znacznie młodszy brat Pawła, a był z nim pan o sympatycznej twarzy z bliznami po ospie. Przedstawił mi się wyraźnie — Władysław Bieńkowski. Gdy coś tam jedli, Bieńkowski przyglądał mi się z dyskretną ciekawością i jakby z życzliwością. Pomyślałam, że jest to pewno wynikiem opowiedzenia mu przez Voglów o moich taternickich wyczynach. Wreszcie pojawił się Paweł z młodą kobietą, która wymamrotała: Erta S. i zaczęła mi się nahalnie przyglądać. Wyszliśmy. Prawie zaraz za mostkiem na Rybim Potoku skręciliśmy w mieszany las. Bieńkowskiego wszystko interesowało — drzewa, rośliny. Erta nic nie niosła, natomiast, mówiąc językiem naszych babek, krygowała się. Gdyby nie to, że była dosyć wysoka, możnaby powiedzieć, że płatała się

pod nogami. Poniżej dwóch źlebków Paweł zatrzymał się, by objaśnić Bieńkowskiemu panoramę od Opalonego do Mięszowieckiego Czarnego, no i oba Mnichy. Miałam już za sobą, pod kierunkiem Tadeusza Pawłowskiego, kurs wysokogórski w drugiej połowie 1947 r. i byłam uczestnikiem kursów dla kandydatów na przewodników tatrzańskich, więc już część grani cokolwiek znałam. Nagle Bieńkowski, który stał obok mnie, spytał, w jakim rejonie Warszawy byłam w czasie powstania. Odpowiedziałam, że od Placu Trzech Krzyży do Marszałkowskiej i najchętniej na szóstych piętrach, a w ogóle, to krążyłam po całym Śródmieściu. Teraz ja się chciałam coś zapytać, ale Paweł nas rozdzielił. Szliśmy prawym źlebkem, łatwym i urozmaiconym. Bieńkowski świetnie sobie radził. Ze źlebka skręciliśmy na wypukłą, trawiastą grzędę. Tutaj Janusz ubezpieczył Bieńkowskiego, wobec tego ja — Ertę. Wyjaśniłam jej, że z liną należy się delikatnie obchodzić, nie wolno jej wyszarpywać spomiędzy kamieni. Teraz teren to były trawy, a wśród nich płyty. Szłam z Ertą wzdłuż żeberka; interesowało mnie, co jest za nim, ale było za gładkie, bym mogła wejść na jego krawędź. Wyżej jednak było w nim miałutkie siodelko, a w pobliżu płyta. Wbiłam w płytę hak, ubezpieczyłam do niego Ertę i pouczyłam, jak mnie asekurować. Weszłam na siodelko i zobaczyłam, że rozpląszcza się ono w ciemnej, pionowej ścianie, która była dobrze urzeźbiona. Nastąpiło coś, czego nigdy nie mogłam sobie wytłumaczyć. Ściana po prostu jakby mnie urzekła. Zawołałam — „luzu!” i zaczęłam robić trawers. Na razie było tylko trudno. Popęniłam błąd, bo była doskonała szczelina na hak przelotowy, a ja go nie wbiłam i nadal trawersowałam. Ściana stała się więcej niż bardzo trudna. Utknęłam, a o wbiciu haka nie było przy moich umiejętnościach mowy. Pomyślałam, że jeśli będę wracać lub stać, odpadnę, ale mam dwie szanse — lina jest nowa, a Erta może jednak utrzyma. W tym momencie na siodelku pojawił się Paweł. Doszedł do mnie po prostu błyskawicznie i równie szybko wbił hak i wpiął mnie na niego. Poleciał mi wrócić się i zejść na drugą stronę. Po paru minutach pojawił się z pękiem liny na ramieniu i wpatrzył się w odcinek liny pomiędzy Ertą a żeberkiem. Wpatrzyłam się również i zobaczyłam, że półtorej żyły było przecięte jak nożem.

Paweł powiedział: — Szkoda, nowa lina i już tylko na pętle.

W tej sytuacji ustaliliśmy, że Paweł będzie szedł do „celu” z Ertą (miał zapasową linę w plecaku). Janusz nadal będzie szedł z Bieńkowskim, a ja albo zejść do schroniska, albo kawałek się obniżyć i następnie wejść na przełęcz pod Żabią Czubą i dalej granią na północ i z Siedmiu Granatów zejść do szosy. Oczywiście wybrałam ten drugi wariant. Na widok Tatr Słowackich uciekło zmartwienie z liną i postanowiłam je stopniowo poznawać. Na początek wybierzemy się z Jadzią zimą na Żabie. Przy kolacji Bieńkowski usiłował wręczyć mi cztery i pół tysiąca złotych na nową linę, ale odmówiłam, uważając, że on niczemu nie zawinił. W rezultacie Władysław Bieńkowski przysłał mi pieniądze do domu”.

On — z Ministerstwa Oświaty, powiedział sennie Wszystkowiedzący. Rozmowy cichną i każdy oddaje się swoim myślom. Czuję się bliższa niebu i jednocześnie zauważam, jak małe są moje codzienne kłopoty, gdy patrzę na nie z tej perspektywy. Myślę też, jak względna jest miara wielkości i miara czasu. Jeszcze długo do rana, do słońca, do ruchu, do wznowienia wspinaczki... Długo. Ale jak krótkie jest te ostatnie kilka godzin, które spędzam z Janem. Jutro wraca do domu. Przytuleni głowami patrzymy na srebrnoniebieskie granie Mięgoszowieckich. Chciałabym zatrzymać czas, ale niewidoczny księżyc gdzieś za nami przesuwa się nieubłaganie i oświetla coraz to niższe kotły. Ukazuje piękno i odmierza czas. Z jego światłem odchodzą w przeszłość chwile spędzone z Janem. Żabi Koń jest w cieniu; gdy wstaje słońce wydobędzie go z mroku, będzie to początek końca bycia z Janem. Na razie zimne światło oblewa szczyty. Jan jest przy mnie. Chyba drzemie, ale niekiedy wstrząsa się bardzo silnie. Może to wspomnienie lotu głową w dół? Obejmuję jego kolana i kładę na nich twarz. Jego głowa na mych ramionach dodaje mi ciepła i radości. Zimne, obojętne światło oblewa Kazalnicę. Jestem przy Janie. Jest mi ciepło. Józef chyba śpi.

— Jadziu — pytam szeptem — śpisz?

— Przecież miałam czuć — opowiada. Jadzia jest zawsze obowiązkowa.

— Andrzeju, nie śpij, bo zlecisz — i zawinięty w płachtę człowiek — nietoperz poprawia pozycję. Robi się zimno. Księżycowa poświata znika. Z mroku wyłania się iglica. Teraz marzę o śnie, chociaż dziesięć minut, choć pięć... ale musimy iść. Wczesny powrót zapobiegnie wysłaniu Pogotowia. Nasz biwak w szarzyźnie świtu wygląda niesamowicie i jednocześnie śmiesznie — płatanina lin. Widać teraz, nad jakim urwiskiem nocowaliśmy. Apatyczny Józef tak wolno porządkuje liny, że włączam się do pomocy. Niewolnik nikotyny cierpi bez papierosa. Pytam się o papierosy dwójki nad nami. Nie palą. Jeden z nich ma spuchnięte kolano, a drugi miał w nocy atak bóli wątroby. W trudniejszych miejscach zwróć się do nas o pomoc, której udzielimy w miarę naszych możliwości.

Zauważam, że w prawo da się chyba okrążyć przewieszoną turnię. Od razu cała nasza szóstka wiąże się w nieprawidłowy tramwaj. Przechodzimy koło jakichś odpekniętych bloków, potem przez łatwe, ciemne kociołki i tuż koło dwóch potężnych, białych, stojących prostopadłościaków. Odślania się niewidoczna dotąd, jasna, długa załupa. Nią łatwo w lewo na przełączkę w grani. Tam dopada nas słońce. Przed słońcem uciekają strach i tęsknota. Łatwo wchodzimy na turnię szczytową i rozwiązujemy się. Teraz szerokim żlebem bez trudności w dół. Tylko powoli, bo dwóch mężczyzn utyka. Przy stawie spotykamy Pawła i Bromowiczów, którzy wyszli na nasze spotkanie.

W parę tygodni później przychodzi do nas list od Jana. Píše, że już mu zdjęli gips z nogi. Miał jednak pękniętą kostkę.



O ZACHODZIE...

Stanisław Urbański

Na Szpiglasową Przełęcz dotarłem przed końcem jesiennego dnia. Słońce pomarańczowe, ogromne, jak zwykle o zachodzie, tonęło w ciemnej płaszczyźnie horyzontu podobnej do wielkiego jeziora nocy. Niebo na wschodzie nabierało odcienia seledynu. Można było poznać, że noc będzie pogodna, ale chłodna. Dokoła były Tatry, szarogranitowe, trwające niezmiennie od wieków, nieprzemijające.

Gdy patrzyłem na ten wieczorny świat nakryty otchłanią niebieskosłonu, przyszło mi do głowy, że dane mi jest oglądać nieskończoność przestrzeni i czasu. Było to wrażenie przyjemne, ale i nieco przerażające, bo prawem kontrastu uwidaczniała się krótkotrwałość naszego świata. Sobie samemu wydałem się maleńki w zestawieniu z otaczającymi mnie górami. Nieprawdopodobne zdawało się moje dzisiejsze wędrowanie przez Zawrat, Dolinkę pod Kołem, Gładką Przełęcz, grań Liptowskich Murów aż tutaj.

Nie miałem się gdzie zbyt spieszyc. Do Morskiego Oka było niedaleko, mogłem więc sobie pozwolić na chwilę spokojnego wypoczynku wśród pustych o tej porze gór. Nie było widać już turystów ni strażników.

Po plecach przebiegł mi dreszcz wieczornego chłodu. Włożyłem sweter, zarzuciłem na ramiona plecak i powoli zacząłem schodzić ceprostradą. Rozległa cisza panowała wokół. Czasem tylko pod stopą stęknął ruchomy głaz lub chrobotał żwir. Zatrzymałem się chwilę. Dzień dopalał się w żarze zachodu, znad Niżnych Rysów wstawał miesiąc w pełni. W tej księżycowo-słonecznej szarości lśnił stawek Staszica i małe oczka Mnichowych stawków. Im niżej zanurzałem się w głąb doliny, tym bardziej wyglądała ona jak jakaś inna, pusta i wymarła planeta.

Schodząc z wolna w zapadającą noc rozmyślałem o minionych dawno latach, o wszystkim co mnie w tych stronach spotkało i o nas samych, dziewczętach i chłopcach tamtych czasów...

Na wysokości Mnichowych Pleców zapadła noc. Mimo to w oblanej księżycowym blaskiem dolinie jasno było prawie jak w dzień. Wyraźnie widziałem wstęgę ścieżki wśród rzadkich kęp kosodrzewiny. W pewnym momencie, na myśl o pobycie w zapełnionym obcymi mi ludźmi schronisku, przepełniła mnie niechęć.

— Przyjdę tam — myślałem — i zapewne prócz kilku znajomych twarzy schroniskowego personelu, nie spotkam nikogo z tych, z którymi tu bywałem.

Ta niechęć rosła we mnie coraz bardziej. Zatrzymałem się. Stałem tak przez dłuższą chwilę i wtedy przyszło mi do głowy, że mógłbym tu gdzieś zanoć. Myśl ta wydała mi się niezwykle kusząca i zaraz zacząłem czynić w pamięci przegląd odpowiednich ku temu miejsc.

— Najbardziej wygodne będzie lokum przy którymś z Mnichowych stawków — rozważałem. — Leżą ponad dnem doliny, ominie mnie nocny spływ chłodu. A raniem nikt nie powinien mnie niepokoić, bo nie po drodze tamtędy na Wrota Chałubińskiego, na Szpiglasową Przełęcz czy nawet na Mnicha... Tak, tam będzie najlepiej i pamiętam takie miejsce wśród maliniaków, gdzie w suchym, trawiastym zakątku nocleg powinien być wygodny i spokojny.

Zszedłem więc ze ścieżki na dno doliny i zacząłem podchodzić na Mnichowe Plecy. Chwilę błądziłem wśród kosówek i gładów, aż wreszcie trafiłem. To było tutaj. Jesień wysuszyła trawy i mchy tworząc z nich doskonały, sprężysty materac. Teraz tylko coś zjeść i można spać.

Nabrałem ze stawku wody do menażki i rozpałem prymus, który wypełnił świat ciepłym, swojskim szumem. Kupiłem ten prymus przed laty od kolegi taternika — Słowaka i służył mi niezawodnie przez całe lata.

Ani razu nie musiałem zaświecać latarki, bo księżyc wędrujący wśród gwiazd ponad czarnym konturem Miękuszwowieckich Szczytów dawał tyle blasku, że chyba można by czytać książkę. Zjadłem parę kanapek. W tym czasie woda zawrzała. Zgasiłem prymus, usłyszałem ciszę. Zawsze czekałem na ten moment, chociaż niekiedy bardziej wtedy odczuwałem samotność, pozbawiony jakby obecności szumnego i ciepłego towarzysza.

Herbata po całodziennym wędrowcu smakowała mi bardzo. Piłem ją leżąc w śpiworze i paląc papierosa. Uśmiechnąłem się, gdy przypomniało mi się, jak na biwaku w Kobylanach Janek Długosz — „Palant” — twierdził, że śpiąc pod gołym niebem, należy zaślaniać sobie twarz, bo można nabawić się skrzywienia czy też grymasu, który już nigdy nie ustąpi. Wiele razy spałem w blasku księżycy a nigdy nic podobnego mi się nie zdarzyło.

Dopiłem herbatę, zgasiłem niedopałek. Otulony w śpiwór spoglądałem na ciemne kontury szczytów. Opanowała mnie radość, że nie zszedłem do schroniska. Teraz mogę tu leżeć przytulony przez góry przyjaźnie i gościnnie. Marzyłem o tych górach już wtedy, gdy jako małemu chłopcu jawiły się na horyzoncie oglądane przez starą lornetkę, którą mam do dziś. Potem, kiedy je poznałem, stały się prawie moim drugim domem, przywiązały mnie do siebie na zawsze. I tak już zostało. Nieraz dały mi srogą naukę, ale nigdy naprawdę nie skrzywdziły.

Rozmyślając o tym wszystkim zapadłem w przedsenny stan, kiedy myśli biegną niby pomału, lecz jednak bardzo bystro i wyraziście. Wiele rzeczy i zdarzeń odczuwa się bardziej dokładnie i zrozumiale. Często ich prawdziwy sens i znaczenie można ocenić i przeżyć o wiele lepiej i dogłębniej. Te właśnie chwile przed zaśnięciem przynoszą nieraz rozwiązanie niejednego problemu usuwając wątpliwości i dając spokój. Na tym polega rozkosz zasypiania.

Obudziło mnie światło. Było tak intensywne i jaskrawe, że poprzez zamknięte powieki docierało do moich źrenic i wymazywało resztki snu. Cholerny ten księżyc — pomyślałem — jednak „Palant” miał rację, żeby nie zasypiać z nieosłoniętą twarzą. Przecież to nie do wytrzymania!

Uchyliłem ostrożnie powieki, spojrzałem przed siebie. Ogarnął mnie strach. Cała dolina zalana była jakąś dziwną, aż do bólu raziącą światłością. Przybierała ona na sile, kontury gór ginęły w niej jak we mgłę. Po chwili nie widziałem już nic, tylko ów blask i miałem wrażenie, że oddalam się od wszystkiego co było moim światem. Wrażenie, początkowo przerażające, zmieniało się z wolna w jakiś spokój i przyjemne odprężenie. Już nie czułem zupełnie pierwotnego strachu. Światłość złagodniała nie tracąc nic z intensywności. Wtedy właśnie usłyszałem głos.

— Cześć staruszku! — mówił ktoś obok — Jak się masz?

Głos był znajomy. Nie miałem wątpliwości. Nikt inny nie wymawiał w taki, nieco chrapliwy, sposób litery „r”. Tylko przecież!?

Otworzyłem oczy. Przez okno wpadał snop słonecznych promieni i on to właśnie raził moje źrenice. Odwróciłem wzrok od okna i wtedy spostrzegłem go. Był to Adam Skoczyła i uśmiechał się patrząc na moją ogłupiałą zapewne minę. No bo przecież od dawna już go nie było. Więc co to wszystko znaczy?!

— Adam! — zawołałem gwałtownie zrywając się z posłania. — Skąd ty tutaj?

Był dokładnie taki sam jak wtedy, gdy widziałem go po raz ostatni. Wydatny nos, przymrużone w uśmiechu oczy i kosmyk włosów opadający na czoło. Spoglądał na mnie z rozbawieniem.

— Nie denerwuj się — powiedział — zaraz ci wszystko wy tłumaczę. Spałeś po prostu jak kamień i chyba zbyt nagle cię zbudziłem. Ale czekamy już wszyscy, żeby sobie pogadać.

— Jacy wszyscy? — zapytałem nerwowo — Gdzie my jesteśmy?

— Tutaj. Po prostu tutaj. — odrzekł — Sam zobaczysz. Ale chodźmy, bo tam napewno się niecierpliwia.

— Jezus, Maria! — krzyknąłem prawie, bo coś okropnego zaczęło mi świtać w skolowanym mózgu. Czy to jest...? Czy to znaczy, że mnie już nie ma na świecie?

Adam zarechotał tym swoim dobrze znanym śmiechem, od którego twarz mu poczerwieniała. Po chwili uspokoił się.

— Przecież widzisz, że jesteś — odpowiedział — Zresztą zaraz wszystko będziesz wiedział. Tymczasem podaj mi rękę i chodźmy.

Uścisk jego dłoni był mocny i ciepły. Jak zawsze. I na pewno był to mój stary kumpel i przyjaciel Adam. Świadomość, że to nie zwid, ale realny i namacalny

człowiek, jakby mnie uspokoiła, chociaż nadal niewiele byłem w stanie zrozumieć. Po skrzypiących, drewnianych schodach zesliśmy piętro niżej i weszliśmy do sali, której wygląd wydawał mi się znajomy. Zanim w oszłomionej tym wszystkim mózgownicy zdołałem sobie przypomnieć, skąd znam to pomieszczenie, zobaczyłem ich. Stali, siedzieli przy stołach, a na mój widok otoczyli mnie tłumnie. Wszyscy, o których mówiło się ze smutkiem i wspominało z nutką żalu. Stanoch — „Gaz”, Janek Długosz — „Palant”, Czarnocki — „Pysiek”, Jacek Bilczewski, Tadek Strumiłło, Westfalewicz — „Marynarz”, Ewka Dewitz..., jednym słowem, ogromna gromada, o której sądziłem, że nikogo z nich już nie zobaczę. Wyglądali normalnie i zdrowo witając mnie uśmiechami. Czułem się wśród nich radośnie i spokojnie, chociaż gdzieś we wnętrzu nurtowała mnie dalej owa pierwotna wątpliwość, żeby nie rzec, obawa.

— Kochani — odezwałem się — powiedzcie mi w końcu, gdzie my jesteśmy. Niech wiem, czy dlatego was widzę, że mnie już nie ma.

— Trzeba mu wszystko objaśnić — rzekł Janek Długosz — bo minę ma wciąż taką, że przysięgam Bogu, nie wytrzymam dłużej.

— Słuchaj — poważnym głosem zaczął Adam. Słuchaj uważnie i postaraj się zrozumieć to, co ci powiem, chociaż będzie to dla ciebie trudne, bo nie jesteś tu w ten sposób jak my. Sam nie wiem, jakby ci to najlepiej objaśnić, bo doprawdy nie wiadomo nikomu z nas, dlaczego uczyniono dla ciebie ten wyjątek. Po prostu, jak się to mówi po urzędniczymu, nie jesteś tu jeszcze zameldowany na stałe, ale jakby czasowo. Nas wybrano do spotkania z tobą, żebyś nie czuł się obco i żeby cię to zbyt nie przestraszyło.

— Adaś — rzekłem błagalnym tonem — opowiadasz mi tak dziwne i niemożliwe rzeczy, że nie sposób w to uwierzyć. Czemu nie powiesz wprost całej prawdy? Widzisz, że się już nie boję.

— Uparłeś się — przerwał mi — a nie bujałem ani trochę. Po prostu to jest tak: my wszyscy jesteśmy tu już na zawsze. Ty nie. Pomyśl, może pojmiesz. Choć naprawdę wszystko wie się dopiero, gdy przybędzie się tu na zawsze. Największą trudność sprawi ci pojęcie faktu, że czas nie istnieje. To po prostu wynalazek umysłu ludzkiego, dzięki któremu tam, wśród was, można wprowadzić jakąś kolejność wydarzeń, co jest niezbędne do życia, przynajmniej w takiej formie, jaką ono tam przybrało. Wśród ludów pierwotnych pojęcie czasu jest bardzo mgliste. Często nie odróżniają oni nawet snu od jawy i żyją terażniejszością. Znanе jest stare powiedzenie: „Sen — śmierci brat”. Prostsze organizmy — zwierzęta, owady czy bakterie — nic o czasie nie wiedzą, bo im to po prostu nie potrzebne. Wynalazek czasu opanował ludzi do granic szaleństwa i popędza ich tykaniem zegara przez tą maleńką terażniejszość nazywaną życiem. W końcu znika ta maleńka terażniejszość i w indywidualnym wymiarze staje się nieskończonością, w jakiej my tu jesteśmy po przekroczeniu Wielkiego Progu. Przecież to, co nazywa się wiecznością, to tylko nieskończona ilość drobnych terażniejszości. Przemiana zwana Wielkim Progiem nie jest straszna. Miałeś zresztą sam okazję

spróbować, jak to jest. Tylko w początkowych chwilach jest nieprzyjemna. Nawet może być bolesna i połączona z obawą przed niewiadomym. Zawsze ta obawa jest największa. Odkryli to niektórzy autorzy i reżyserzy, pamiętasz choćby Hitchcocka? Po niemiłym początku zapanowuje spokój.

— Ale co się tutaj robi? — zapytałem niepewnie i naiwnie. Nie nudne jest takie wieczne trwanie?

Wszyscy roześmiali się jak z niedorzecznego pytania. Zrobiło mi się głupio, jakbym popełnił ogromną gafę.

— Widzisz... — wtrącił Tadek Strumiłło — ...każdy człowiek, chociaż o tym najczęściej nie wie, ma wmontowany taki specjalny organ psychiczny, w którym zakodowane są pewne prawa i normy oraz jest tam coś w rodzaju liczydła. Te prawa są bezwzględne i pewnym działaniom nadają znak dodatni, innym ujemny. Na przykład zabijanie ma znak ujemny z wyjątkiem pewnych specjalnych sytuacji jak obrona. Podobnie jest ze wszystkim, co człowiek robi. Coś z tych praw przesiąka do świadomości ludzkiej i przybiera formy i nazwy systemów etyczno-prawnych, czy też tego, co bywa nazywane sumieniem. To liczydło, wmontowane każdemu przy urodzinach, działa w ukryciu tak dobrym, że człowiek nawet nie zdaje sobie sprawy z jego istnienia. Koduje ono wszystkie ludzkie działania z odpowiednim znakiem. Świadomość tego ujawnia się dopiero tuż przed Wielkim Progiem i wtedy każdy otrzymuje — czy chce, czy nie — saldo swego życia. Ostateczny znak tego bilansu przesądza o rodzaju nieśmiertelności. Ci z dodatnim znakiem mają do dyspozycji wszystko i wszystkich, których kochali i mogą swoje szczęśliwe chwile powtarzać, ile razy zechcą. Ci, którym ów bilans wypadł ujemny, muszą powielać swe złe czyny z pełną świadomością ich prawdziwej wartości, a bez jednego momentu szczęścia czy spotkania z bliskimi i kochanymi. Jest to tak przerażające, że nie sposób tego wyrazić i nie ma możliwości jakiegokolwiek zmiany.

My, którym udało się nie utonąć w otchłani minusów, nie nudzimy się tu wcale, jak to śmiesznie przed chwilą sformułowałeś. Mamy nawet możliwość oglądania wszystkich terażniejszości, jakie były i jakie będą. A jest ich nieskończenie wiele i jest to bardzo interesujące. Chyba i tobie będziemy mogli coś z tego pokazać. Na przykład przyszłość alpinizmu.

Przeszliśmy z sali na coś w rodzaju balkonu czy ganku. Obok mnie zajął miejsce Andrzej — „Gaz”. Wskazał mi jakby ścianę mgły, z której zaczęły wyłaniać się kontury kształtów i obrazów. Oglądałem je z podziwem graniczącym z osłupieniem. To co zobaczyłem przekraczało granice fantazji.

Alpinizm został z gór wyparty. Musiało się tak stać, bo góry zamieniono w parki i rezerwy. Ponadto uznano, że wspinanie w naturalnych warunkach jest zbyt ryzykowne i niebezpieczne. Doszło do tego pomału i niedostrzegalnie. Najpierw zabroniono wspinania się inaczej jak tylko z górną asekuracją. Dzięki temu postęp techniczny, nie hamowany instynktem samozachowawczym, dokonał

olbrzymiego skoku i nowocześni wspinacze z łatwością przechodzili fragmenty wcześniej traktowane jako niepokonalne. Potem „Główny Związek Wspinactwa”, bo tak nazywano tę dziedzinę sportu, wprowadził maszyny do wspinania. Umieszczone one były w specjalnych halach. Umożliwiło to stworzenie, za pomocą odpowiednich urządzeń, dowolnie założonych warunków klimatycznych od upału przez burze i deszcze, aż po śnieżne kurniawy i mróz. Szczelna kabina w jakiej znajduje się maszyna wspinaczkowa, pozwala odtworzyć środowisko najwyższych gór z jego klimatem i niskim ciśnieniem. Sama maszyna przypomina transporter taśmowy postawiony pod dowolnym kątem. Taśma owego transportera to istny cud techniki. Jej nad wyraz pomysłowa i skomplikowana konstrukcja pozwala na bieżąco odtwarzać dowolną rzeźbę skalnej lub śnieżnolodowej ściany. Można w nią wbijać haki, asekurować z czekana, kopać jamy śnieżne. Są jak prawdziwe, sztuczne góry.

Nieskończona liczba odmian terenu, klimatu i pogody, zakodowana w pamięci komputera, przekazywana jest do urządzenia formującego taśmę i warunki atmosferyczne. Tą metodą wspinacze na przesuwającej się taśmie pokonują ścianę o założonej wielkości i trudnościach, a jako że szybkość przesuwu jest regulowana w zależności od kondycji i sprawności wspinającego się zespołu mierząc tę prędkość i pozostałe parametry można przeprowadzić bardzo dokładną klasyfikację, czyli spełnić niezrealizowane dotąd marzenie „prawdziwych sportowców — alpinistów”. Zawsze bowiem podstawową trudność w porównaniu wyników osiągniętych na tej samej nawet drodze wspinaczkowej powodowała niepowtarzalność i względność warunków w jakich wspinaczka się odbywała. Genialne umysły inżynierów, usunęły wreszcie tę niedogodność. Dzięki czemu skala ocen stała się bezwzględnie obiektywna i bez niepotrzebnych wątpliwości można było zawodnikom nadawać hierarchiczne stopnie jak w wojsku.

Zbędne też stały się wyjazdy w naturalne góry, bo wszystko można było mieć na miejscu w dowolnym mieście i to w sposób nie fatygujący, a bardziej ekonomiczny czasowo i finansowo. Specjalne trybuny i telewizja pozwalały oglądać walkę wspinaczy z trudnościami najokropniejszych zerw. Dotąd było to tylko marzeniem. Opłaty widzów za to mrozące w żyłach widowisko, pokrywały koszt eksploatacji maszyny wspinaczkowej.

Aby nie stracić wielce atrakcyjnego dla publiczności elementu krwawej sensacji, można zaprogramować i odtworzyć także każdy nieszczęśliwy wypadek lub katastrofę. Jest to zwykle tylko efekt teatralny i aktorzy wychodzą z niego cało. W wyjątkowych wypadkach da się jednak za osobną zgodą specjalnie uprawnionych władz doprowadzić do kalectwa lub śmierci zawodnika, jeśli taki bieg zdarzeń byłby konieczny z jakichś względów, na przykład prawnych lub ideologicznych.

E.M.W. — Elektroniczna Maszyna Wspinaczkowa sprawiła w ten sposób, że mimo ogromnej popularności sportu wspinaczkowego, staromodne góry stały się niepotrzebne. Zostały one sprowadzone do roli terenów wykorzystywanych dla

celów gospodarczych, naukowych i wojskowych. Niestety przedostatni aspekt w związku z ogólnym zatruciem i zniszczeniem środowiska naturalnego stał się zaledwie marginesem. Tylko w niewielu wydzielonych rezerwach przyrody, do których wstęp mieli nieliczni uprawnieni, prowadzili naukowcy obserwację umierającej natury.

W czasie prelekcji czy sesji naukowej odbywających się od czasu do czasu w zmechanizowanych ośrodkach wspinactwa, wspomniano niekiedy o archaicznych alpinistach — naturystach, którzy niegdyś lekkomyślnie łązili po prawdziwych górach, przestrzegając bzdurnych obyczajów, zwanych etyką, które nie mają nic wspólnego ze zdrowym, rzeczowym, sportowym materializmem. Wielu z nich ginęło wskutek kaprysów przyrody, wówczas jeszcze nie opanowanej, a także z powodu własnej amatorszczyzny i nieudolności technicznej. Opisy tego pełnego dziwacznych zabobonów i przesądów staromodnego prealpinizmu cytowane były jako przykłady prymitywizmu i zacofania dawnych pokoleń, budząc politowanie, śmiech, a nawet oburzenie. Jak można było na tak niskim poziomie rozwoju technicznego porywać się na ryzykowne przedsięwzięcia w prymitywie naturalnych warunków, bez możliwości dokładnego pomiaru wyników, bez nagród, medali, ba! — bez jakiegokolwiek widowni, która nagrodziłaby zawodników oklaskami? W razie nieszczęścia jakżeż trudna i nieskuteczna była akcja ratownicza. Nie to co w hali wspinaczkowej. Ówczesne ofiary niejednokrotnie umierały w samotności, bez jakiegokolwiek szansy ratunku. Z punktu widzenia nowoczesnej ideologii sportu można to ocenić jedynie jako bezsens, a praalpinistów jako bandę straceńców, których porównać da się tylko z neandertalczykiem atakującym rozjuszonego niedźwiedzia zaostrzonym patykiem. Sam zaś wynik tych prymitywnych zmagania pozostawał niezauważony przez nikogo i nie nagradzany. Interesowała się nim tylko mała grupka podobnie nienormalnych hobbystów. W zamierzonych początkach nowoczesnego wspinactwa próbowano co prawda nadać mu jakiś wymierny sens i cel materialny wykonując płatne prace na wysokich budowach. Cóż jednak miało to wspólnego z prawdziwym sportem i jego duchem?

Tyle mniej więcej dowiedziałem się obserwując przeprowadzane za pomocą E.M.W. zawody. Widowisko było jednak wspaniałe. Kolorowo przystrojeni zawodnicy z wyhaftowanymi na kombinezonach nazwiskami i przynależnością klubową wspinali się na taśmowe ściany z szybkością i zręcznością jakiej pozazdrościć mogły by im nawet małpy. Centralna sterownia serwowiała im najróżniejsze figle atmosferyczne i inne nieprzewidziane trudności. Oni zaś z filmowymi uśmiechami na ustach wychodzili zwycięsko z najokropniejszych sytuacji. Na zakończenie każdej konkurencji rozlegał się gong oznajmiający koniec pomiaru czasu i pozostałych parametrów. Potem były fanfary na elektrycznych gitarach i perkusji, bukiety sztucznych kwiatów i rozdanie nagród pieniężnych. Dzięki temu co lepsi stawali się ludźmi majątnymi i nie musieli

zajmować się niczym oprócz sportu. Obejrząwszy wizję nadchodzącej przyszłości poczułem się nieco oszołomiony. Wydała mi się ona jakimś surrealistycznym snem, zdumiewającym, ale zarazem niezbyt miłym.

— Czy nie przeraża was oglądanie tego rodzaju przyszłości? — zapytałem.

— O nie — odparł „Gaz” — nas to nie dotyczy. Nasz świat i to co przeżyliśmy to były prawdziwe góry, a nie sterowana taśma. Takie obrazy z przyszłości ogląda się tutaj, jeśli ktoś ma na to ochotę, jak spektakl w telewizji. Zajmujemy się tu rzeczami miłymi, spotkaniami z bliskimi, przeżywamy najlepsze nasze minione chwile. Robimy to co trzeba by czuć się w pełni szczęśliwymi. Nieraz wracamy do naszych przyjaciół i zdarzeń, które miały miejsce w tamtych staromodnych górach. Wtedy zdarza się czasem, że spotykają się teraźniejszości nasze i tych, którzy jeszcze żyją. Tam u was nazywa się to marzeniami sennymi i dzięki nim możemy, aczkolwiek niezbyt wyraźnie, widzieć się poprzez barierę Wielkiego Progu. Przypomnij sobie, czy nieraz, po przebudzeniu z takiego snu, nie wydawało ci się, że spotkałeś naprawdę i realnie kogoś z tych, których dawno już nie ma? Widzisz jaką intuicję mieli ci, którzy już dawno ukuli przysłowie „sen — śmierci brat”. A sam Wielki Próg to tylko niewielki krok i wciąż jesteśmy bliżej siebie niż przypuszczasz.

— Zaczynam to rozumieć — rzekłem zadumany — i wiesz, że jest to dla mnie jakieś krzepiące i piękne...

— Ale nie myśl, że wszyscy mają tu tak dobrze — podjął „Gaz”. Jeśli w ostatniej chwili obrachunku czyjeś postęпки przeważą szalę in minus, wygląda to całkiem inaczej. Taki nieszczęśnik przeżywa swe uczynki w nieskończoność. Świadom tego, co dokonał i bez nadziei na jedną choćby chwilę spokoju i szczęścia, a droga do wszystkiego, co niegdyś było mu bliskie, pozostaje wieczyście zamknięta. Bez końca już krąży obłędnie i monotonicznie w klatce zła, wiedząc, że sam ją sobie zbudował. Pełna świadomość tego pojawia się w człowieku nieuchronnie najpóźniej w ostatniej chwili przed Wielkim Progiem wraz z obrazem i bilansem całego życia. To trwanie wśród własnego zła, bez cienia nadziei na dobro i szczęście, to jest właśnie to, co nazywamy piekłem. Ale wracajmy do naszych przyjaciół — dodał — bo dobrze jest być razem z bliskimi, prawda?

Właśnie chcieliśmy wejść na powrót do sali, gdy na niebie pojawiła się różowa zorza, a przed nami stanął człowiek przypominający mi żywo dziewiętnastowiecznego alpinistę żywcem jakby wyjętego ze starych rycin. Był to starszy pan z ujmującym uśmiechem, podobny do znanego mi prataternika Stanisława Porębskiego, zdobywcy prawego filara północnej ściany Zadniego Mnicha w 1909 roku. Jeszcze w latach 50-tych, po wojnie wędrował nieraz po Tatrach. Ubrany był w lodenową kurtkę zapinaną na srebrne guziki w kształcie gwiazd, spodnie — pumpy, grube skarpety i podbite gwoździami górskie buty — „bergsteigery”. Na jego widok Gaz ujął mnie za rękę i zupełnie bez sensu, bo przecież było dopiero południe, powiedział: Dobranoc Staszku! Pamiętaj!...

— Co to...? — zapytałem zdziwiony, ale nie dokończyłem już pytania. Olśniła mnie eksplozja jaskrawego blasku, która nagle zgasła i pograżyła moje oczy w absolutnej czerni.

— Oślepiłem! — zdążyłem jeszcze pomyśleć i zniknąłem sam dla siebie.

Obudził mnie powiew chłodnego wiatru. Uchyliłem powieki i zobaczyłem szary kontur Mięgoszowieckich Szczytów na tle porannego nieba. Usiadłem w śpiworze z szeroko otwartymi oczyma patrzałem na ten dobrze znajomy widok.

— Śnię chyba! — przemknęło mi przez głowę. Zaraz się obudzę i zobaczę znów tamto grono przyjaciół. Ależ nie, przecież nie śpię! O Boże! Cóż to był za sen!

W Dolince za Mnichem nie widać było nikogo. Tylko nad Zadnim Mnichem krążył wielki ptak, chyba orzeł. Patrzyłem na ten widok dłuższy czas, aż znad Rysów uniosło się słońce i ciepłym blaskiem wypędziło cienie z doliny i z mego umysłu. Poczuję się świeżo i rześko. Zaczynał mi doskwierać głód. Zrobiłem parę kanapek i zagotowałem wodę na herbatę. Gdy uciął szum prymusa, usłyszałem dźwięk dzwonów przywiany aż tutaj gdzieś z dolin. Przecież to niedziela — uświadomiłem sobie — i trzeba wracać do domu. Ale bez pośpiechu, bo cały dzień dopiero przede mną. Spokojnie spakowałem plecak i powędrowałem w dół ceprostradą. Im niżej schodziłem, tym bardziej było kolorowo. Jesień krwawiła się czerwienią liści i złociła upłazy zeschniętymi trawami i ziołami. Mój zegarek nienakrecony wczoraj przez zapomnienie, zatrzymał się i nie wiedziałem, która może być godzina. Sądząc po słońcu było dość wcześnie. Na ścieżce nie było dotąd nikogo. Wędrując w dół przypominałem sobie senne marzenia dzisiejszej nocy. Pamiętałem ten sen, co rzadko się zdarza, bardzo wyraźnie, zupełnie jakbym to przeżył naprawdę. Czemuż nie można śnić na temat jaki byśmy sobie życzyli? — zadałem sobie retoryczne pytanie. Jakżeż byłoby to miłe, tym bardziej, że w akcji snu bierze się aktywny udział, a nie patrzy jak w kinowy ekran. Szkoda, że nie umiemy śnić na żądanie.

Gdy znalazłem się na placyku koło schroniska, było tam pusto i cicho. Zdziwiło mnie to, ale w końcu o tej porze roku ruch turystyczny bywał niewielki. Stara, kochana buda! — pomyślałem wchodząc na ganek. Przetrwiała tyle lat i tyle niedorzecznych pomysłów rozbudowy, przebudowy, a nawet likwidacji, lansowanych przez urzędnicze umysły.

Drzwi schroniska nie były zamknięte. Przez pustą werandę wszedłem do jadalni i stanąłem jak wryty. Teraz dopiero uświadomiłem sobie, że tamta sala, która śniła mi się nocą, to była właśnie jadalnia schroniska. Śniąc nie skojarzyłem sobie tego. Ale czemu tu nie ma nikogo? Nawet z kuchni nie słychać było odgłosów zwykłej, porannej krzątania. Czyżby schronisko było nieczynne? Byłby to pech, bo miałem ochotę na kubek kawy. Zdziwiony i trochę zaniepokojony położyłem plecak na krześle i postanowiłem wejść do kuchni, aby dowiedzieć się czemu panuje tu taka pustka i cisza. Wtedy na schodach wiodących z piętra usłyszałem czyjeś kroki. No, nareszcie się ktoś przebudził — pomyślałem z ulgą.

Powróciła mi chęć wypicia filiżanki kawy. Drzwi z klatki schodowej skrzypnęły znajomym dźwiękiem i do jadalni wkroczył starszy pan ubrany nieco dziwnie.

Wyraźnie widziałem jego kurtkę staromodnego kroju zapinaną na srebrzyste guziki w kształcie gwiazdek, spodnie – pumpy, i podkute gwoździami górskie buty – „bergsteigery” ...

– Witaj, poranny ptaku! – powiedział uśmiechając się serdecznie i życzliwie. Dostaliśmy wiadomość, że nadlatujesz i wszyscy czekamy na ciebie! Zbliżał się do mnie z dłonią wyciągniętą gestem pełnym radości i przyjaźni.

– O Boże! Czy to sen, czy już rzeczywistość – pomyślałem i ...

Przypominamy:

Adam Skoczylas (1929–1966), studiował medycynę i psychologię. Po znanym wypadku w lawinie z Czeskiego Szczytu w czasie nielegalnego pobytu w Tatrach Słowackich wydalony z uczelni. Wraz z Jerzym Hajdukiewiczem brał udział w szwajcarskiej wyprawie, która zdobyła Dhaulagiri (8167 m), w 1960 roku; osiągnął wysokość 7.200 m. Wyprawę opisał w książce „Biała Góra”. Napisał też dwa tomiki górskich opowiadań: „Cztery dni słońca” i „Tam gdzie góry sięgają nieba” (o Nepalu). Zmarł przedwcześnie na raka.

Andrzej Stonoch „Gaz” (1935–1964), z wykształcenia biolog. Turysta górski, narciarz, taternik, długoletni instruktor. Ukoronowaniem jego działalności górskiej były wyjazdy w Kaukaz (1958), Piryn (1959), Alpy Julijskie (1961) i Alpy Szwajcarskie (1962 i 1963). Zmarł po wypadku motocyklowym.

Jan Długosz „Palant” (1929–1962), z wykształcenia ekonomista, ale całe swoje życie poświęcił górcom. Czołowy taternik swego pokolenia. Na swoim koncie ma kilkadziesiąt liczących się pierwszych przejść – letnich i zimowych – w Tatrach, Alpach, Pirynie i na Kaukazie (np. I wejście środkowym filarem Freney na Mont Blanc, nowa droga na Dychtau). Dużo pisał, w licznych artykułach prasowych opisywał swoje górskie przejścia. Pośmiertnie ukazała się pozycja książkowa „Komin Pokutników”. Zginął tragicznie na Zadnim Kościelecu jako instruktor w czasie szkolenia taternickiego komandosów. Pochowany na Pęksowym Brzysku w Zakopanem.

Henryk Czarnocki „Pysiek” (1924–1956), inżynier budownictwa wodnego. Już od lat chłopięcych chodził po górach i jeździł na nartach, a pierwszą wspinaczkę na Kościelec odbył w 1942 r. Bezpośrednio po wojnie wszedł do czołówki taternickiej mając na swoim koncie wiele pięknych i wysoko cenionych przejść zarówno w Tatrach Polskich jak i Słowackich. Lubił również wędrowki beskidzkie, Jurę Krakowską i Pojezierze Mazurskie.

Tadeusz Strumiłło (1929–1956), muzykolog, także sporo pisał. Taternictwo uprawiał od 1948 roku, a w 1951 roku wszedł do ówczesnej czołówki. Miał na swoim koncie ok. 30 letnich i zimowych pierwszych przejść i wielką ilość nowych wariantów.

Henryk Czarnocki i Tadeusz Strumiłło zginęli 12 kwietnia 1956 r. w lawinie na pd. stokach Mięgoszowieckiego Szczytu Pośredniego w trzynastym dniu zimowego przejścia grani Tatr Wysokich.

Jacek Bilczewski (1931–1957), ukończył Wydział Mechaniczny Politechniki Gliwickiej i pracował jako starszy projektant w Biurze Projektów Urządzeń Przemysłu Hutniczego. W ciągu 6 lat w Tatrach przeszedł wiele ciekawych dróg letnich i zimowych. W czasie obozu w Alpach Ötztalskich wszedł na Wildspitze (3774 m) i na Watzenspitze (3583 m). Zginął tragicznie na skutek poślizgnięcia się wraz z Tadeuszem Korkiem w czasie zejścia żlebem z Hińczowej Przełęczy w dniu 28 marca 1957 roku.

Tadeusz Westfalewicz „Marynarz” (1933–1954), student matematyki, doskonale zapowiadający się taternik, zginął porwany przez odpęknęty blok w czasie akcji ratunkowej po Adama Miłówek, w nocy z 16 na 17 sierpnia 1954 roku.

Ewa Dewitz (1937–1958), studentka architektury, dobrze zapowiadająca się taterniczka ze środowiska warszawskiego. Zginęła w katastrofie awionetki nad Genewą. Rodzice całe ubezpieczenie przeznaczyli na zakup nowoczesnego sprzętu ratowniczego (tzw. zestaw alpejski) dla Grupy Tatrzańskiej GOPR. Miało to niebagatelne znaczenie.



POWRÓT DO KRAINY WSPOMNIEŃ (II)

(Znów w Świdowcu, Czywczynach i Hryniawach)

Zbigniew Grzegorzewski

Druga wyprawa PTT w Karpaty Wschodnie była zorganizowana w ramach IX Tygodnia Gór, organizowanego przez łódzkie PTT i SKPB. Trzecia wyprawa, zimowa, miała charakter typowo narciarski.

Następne wyprawy były poświęcone turystyce górskiej. Trasa czwartej wyprawy to Łuchy-Pop Iwan-Howerla-Pietros-Jasinia-Bliźnica-Okole-Bratkowska-Przełęcz Legionów-Sywula-Dolina Salatruka-Rafałowa. (Uczestnicy: Zbigniew Bień, Ewa Chojwa, Zbigniew Grzegorzewski, Monika Jedlińska, Rafał Leśniak, Piotr Nurczyński, Krzysztof Pietruszewski, Stanisław Wojech).

Trasa piątej wyprawy to Łuchy-Pop Iwan-Smotres-Szybene-Burkut-Czywczyn-Burkut-Baba Ludowa (Hryniawy)-Hryniawa. (Uczestnicy: Barbara Bartyś, Zbigniew Bień, Dariusz Głoc, Zbigniew Grzegorzewski, Małgorzata Kunach, Anna i Krzysztof Sztekmilerowie, Marek Wałasiński).

Szosta wyprawa jest już realizowana w ramach Euroregionu-Karpaty. Pierwszy raz PTT wraz z Uniwersytetem Łódzkim podejmuje prace badawczo-naukowe. Przedsięwzięcie to uzyskało wsparcie naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych...

Autor spodziewa się, że będzie można w III tomie „Pamiętnika” umieścić szersze, ciekawsze opracowanie.

Z Karpatami Wschodnimi mieliśmy swoje porachunki, niedawne, z pierwszej wyprawy odrodzonego PTT, w 1989 roku. Wtedy zawiodła nas pogoda. W Czarnohorze, na Howerli, w iście zimowych warunkach, jakie nastąpiły z początkiem września, przyszło pogodzić się z koniecznością zarządzenia odwrotu, choć kusila wędrówka do osławionego Popa Iwana. Deszcze, śnieg, mgły pokrzyżowały nasze plany. Zwieźliśmy jednak z gór pełne barw wspomnienia o bezkresie, o wyjątkowej dzikości Gorganów. Z innymi wędrówkami, tej nie sposób było porównać. Różne były gorgańskie i czarnohorskie wspomnienia — to przecież wówczas, gdy schodziliśmy granią Howerli, po dojściu do prijutu (takie tamtejsze prymitywne schronisko), okazało się, że jeden z nas został gdzieś tam w górze.

Wszystko skończyło się szczęśliwie. Nadal uważam, że wtedy dobrze trzymaliśmy się reguł wędrowania.

Góry raz jeszcze dobrze dały nam poznać smak swej potęgi. Od tej wyprawy coś zmieniło się w łódzkim PTT. Zaczęły się cotygodniowe spotkania, zamęczaliśmy kolegów, którzy z nami nie byli, powtarzaniem tych samych opowieści. Dlatego przyłgnęło do nas określenie: „gorganiarze”. Tęsknota za tymi górami okazała się tak silna, że pojechaliliśmy tam jeszcze czterokrotnie, a gdy piszę te słowa, organizujemy szósty wyjazd w Karpaty Wschodnie.

SPOTKANIE Z POPEM

Znów jesteśmy w krainie wspomnień, z którą wiąże się kilkadziesiąt lat historii PTT. Cerkiewka huculska pod Delatynem dla wiernych otwiera wrota. Nasza obecność na mszy wywołuje zdziwienie.

Polaków ostatnio widziano tu w 1938 roku, gdy na kolonie przyjechały dzieci — taki traf losu, że akurat z Łodzi. Jest maj AD'90, swoje wrażenia z Gorganów i Czarnohory, wyniesione z poprzedniej wyprawy uzupełniamy o objazd po Huculszczyźnie, zaczepiając o rąbki Bojkowszczyzny (w Gorganach mieszkali przecież Bojkowie). Zwiedzamy cerkiewki, zatrzymujemy się w miasteczkach, znanych tylko z książek o mocno przeżółkłych stronicach. Tym razem góry to dodatek



Cerkiew huculska

do trasy krajoznawczej; postanowiliśmy spotkać się tylko z Howerlą, by dotrzeć do Popa Iwana.

W górę poszliśmy naszym śladem sprzed kilku miesięcy. W Czarnohorę ruszyliśmy od Koźmieszczika, gdzie dawniej była gajówka czecho-słowackiej służby granicznej, a teraz na polanie odległej o 15 km od Jasini prijut. Ledwie wydostaliśmy się z doliny, ledwie dotarliśmy do dawnej granicy polsko-czecho-słowackiej (słupek graniczny 4)¹, przykleiła się do nas mgła. Nie honor jednak drugi raz Popowi odpuścić, więc z Howerli ruszyliśmy ku Breskułowi, Danczerzowi i Turkułowi, by dotrzeć na biwak nad Jez. Niesamowitym. Schodząc z grani na wschodnią stronę wykonywaliśmy marszrutę rozpaczy, bardziej pełzaliśmy niż maszerowaliśmy. Słynne miejsce obozowisk, opisywane w przedwojennych przewodnikach nie chciało ukazać ani odrobiny swego uroku. Można było tylko ulec starej huculskiej legendzie, że w ciemne burzliwe noce nad Niesamowite przylatuje diabeł, by policzyć dusze samobójców spoczywających w lodowej toni jeziora. Diabeł łagodnieje, gdy posłyszysz głos trombity, wówczas dusze znów spoczywają w spokoju... Dlatego też żaden z juhasów nie śmiał zmącić kamieniem spokoju lustra Niesamowitego.

Diabeł mówił nam dobranoc, witał nas na dzień dobry. Nad ogniskiem usiłowaliśmy osuszyć nasze ubrania, nie przejmując się zbytnio wypalonymi dziurami. Tacy desperaci, jak Marek Wałasiński, suszyli nad ogniem także śpiwory. Ta zabawa trwała do południa, gdy do obozowiska przebiły się promienie słońca. Skłoniło to część naszej grupy do wyruszenia na Popa Iwana. Była to trudna decyzja. Czekало nas dziesięć godzin nieustannego marszu, a w perspektywie powrót nocą. Zaczynamy od słupka 31/7 pod Breskułem, by przybliżyć się do tego upragnionego z numerem 16, na Pop Iwanie. Trawersujemy podcięte żlebiki między Turkułem i Rebrami, starając się pozostać na wysokości ok. 1800 m n.p.m.

Na grani, odnajdujemy zasieki jeszcze z I wojny światowej. Przy kolejnych trawersach brniemy już po kolana w śniegu. Pogoda znów się psuje, mgła, deszcz i tak jest po samego Pop Iwana (2022 m). Tam chowamy się w ruinach polskiego obserwatorium. Tyle mamy satysfakcji, że doszliśmy do wymarzonej góry — nic więcej. Przed nami powrotna droga, trudniejsza, bo w niepogodzie i o zmroku. Im bliżej bazy, tym częściej musimy się zatrzymywać, aby przekonać się czy nadal jest nas dziewięciu. Okazuje się, że nasz architekt Włodek Witkowski zaśląbł z wyczerpania wędrówką, nie ma się czemu dziwić, takie są te góry. Wprawdzie szybko dochodzi do siebie, ale zapewnienia, że w porządku są mocno przesadzzone. Przekonujemy się o tym, gdy raz po raz zamiast podążać granią kieruje się ku kolejnej mijanej dolinie. Zapada noc, a mgła jest taka, że odbija światło naszych

¹ Polecam uwadze wszystkich wybierających się w te góry, gdyż nie ma lepszych punktów orientacyjnych niż takie słupki graniczne, w większości dobrze zachowane w Gorganach i Czarnohorze.

czołówek. Aby zachować odległość, przy której każdy widzi jeszcze swego poprzednika, depczemy sobie po piętach. Niespodziewanie ilość świecących latarek zwiększa się: to Stasiu Wojech wyszedł nam naprzeciw (Stachu ma specyficzną naturę, wstaje o piątej rano, przez godzinę czy dwie krąży codziennie wokół namiotów, gwizdząc ze zdenerwowania, że wszyscy jeszcze śpią, nie uznaje też wychodzenia w góry w południe, dlatego nie poszedł z nami na Popa). W bazie stać nas tylko na to, aby zagrzebać się w śpiwory.

Następnego dnia ścieżką spod Turkułu schodzimy ku dawnej klauzie Howerla. Na pożegnanie gór mamy piękną pogodę. Ścieżka jest ze wszechmiar godna polecenia — wokół niebывałe widoki. Na połoninach depczemy dywany z krokusów, których nie sposób ominąć. O godzinę drogi od gajówki (o 45 minut wcześniej znajduje się niezamieszkała chata pasterska, nadająca się doskonale na nocleg) przy klauzie są Łuhy, skąd kursują już autobusy do Bogdana i Rachowa.



W drodze do klauzy Howerla

„Porachunki” z Popem nie zostały jednak wyrównane. Dlatego powróciliśmy tu po trzech miesiącach. Zaczęliśmy od Łuhów. Kierowca napotkanej ciężarówki porzucił swe mało istotne zajęcia, jakim jest praca na państwowej posiadzie i postanowił dowieźć nas możliwie najbliżej upragnionej góry. Podróż to kar-

kołomna, kilkakrotnie mamy wrażenie, że ciężarówka runie do potoku, co wbrew prawom fizyki jednak się nie zdarza. Tak oto dotarliśmy tam, gdzie dawniej była kłauza Balcatul. Dawniej stąd wychodził znakowany żółty szlak, łączący się później z niebieskim, by przy słupku granicznym 13 wyprowadzić na główną grań Czarnohory. Właśnie tędy, przez Waskul (1734 m) dostajemy się na Pop Iwana, pozostawiając za plecami bliskiego Stoha, gdzie już granica rumuńska. Gdy grań coraz bardziej zyskuje na stromości, trzeba wędrować po głazach i płytach. Wreszcie przekonaliśmy się dlaczego ruiny na Popie przez Ukraińców i Hucułów zwane są „zamczyskiem”. Największe niegdyś w środkowej i wschodniej Europie obserwatorium rzeczywiście przypomina zamek postawiony na skale. Nad głównym wejściem poraniony pociskami orzeł w koronie. Wnętrze budynku kompletnie zdewastowane przed wielu laty. Gdy w 1939 r. W. Midowicz opuszczał niedawno oddane do użytku obserwatorium wszystko zostawił otwarte, włącznie z sejfem. Jednak armia radziecka z dziką radością prowadziła dzieło zemsty i niszczenia. Nie udało się nam odnaleźć zejścia do dwóch podziemnych kondygnacji, ani wejścia do tunelu kutego w skale, który wyprowadzał gdzieś poza linię graniczną. Nadziemne kondygnacje są wspaniałym punktem widokowym, a „wieża” daje wyobrażenie o tym, jak wielki musiał być teleskop sprowadzony niegdyś z Wlk. Brytanii.

Trzecie zmaganie się z Popem Iwanem przynosi pełną satysfakcję. Pomimo świetnych map Wojskowego Instytutu Geograficznego (z 1933 r.) nie możemy rozróżnić niektórych szczytów; to dlatego, że wszędzie wokół są tylko góry. Przekonujemy się o tym, że Czarnohora jest czymś wyjątkowym, wielką połoniną, po której trzydzieści kilometrów wędruje się przy względnie niewielkiej różnicy wzniesień, w zasadzie cały czas pozostając na wysokości 1600-1800 m n.p.m. Znane nam Łuhy są o tysiąc metrów niżej, tak bowiem głębokie są doliny. Z Popa powędrowaliśmy ku Gutin Tomnatikowi. Jezioro polodowcowe w jego kotłach okazuje się piękniejsze od osławionego Jez. Niesamowitego. Z trzech stron strzeżone jest przez dwutysięczniki. To chyba najpiękniejsze miejsce na biwak w całych Karpatach Wschodnich.

Góry ofiarowują nam co najlepsze. Następnego dnia wypełniony jest wymarzonymi widokami. Przy słupku gr. 30 rzucamy plecaki, aby najpierw powędrować na Szpycie, później na Wielkie Kozły. To wyjątkowo oryginalne boczne granie Czarnohory. Grań jest dość wąska, Kozły najeżone są turniczkami, a na Szpyciach skaliste turniczki grupują się w zębra; te najstromejsze, najbardziej strzeliste – to Szpyciańskie Igły. Wędrówka po obu graniach pochłania dwie godziny, byłoby więc błędem pomijanie Szpyci i Kozłów podczas wędrówek Czarnohorą. Za Breskułem (na przełęczce przy słupku gr. 39) znów decydujemy się na podobne ułatwienie: rzucamy 30-kilogramowe plecaki i uwolnieni od tego ciężaru wchodzimy na Howerlę (2058 m). Wejście od tej strony okazuje się strome, ale krótkie i łatwe. W dole dobrze widoczny Zaroślak (zaroślak – rzadki las), gdzie

postawiono jedno z najslawniejszych schronisk PTT, a jeszcze niżej Prut ze swymi ponad stumetrowymi kaskadami. Niestety, nie możemy zboczyć ku Zaroślakowi, mamy przecież umówione spotkanie z Pietrosem, więc spod Howerli oddalamy się ku zachodowi. Następnego dnia stajemy na Pietrosie Czarnohorskim (2020 m), mijając po drodze tabliczki przykute do skał, upamiętniające turystów, którzy tu zginęli (Howerla i Pietros są bardzo atrakcyjne dla narciarzy, ale ich kotły są bardzo lawiniaste). Do Jasini wracamy przez Łazeszczinę, jest to nużąca, wielogodzinna mitręga. Tylko Zbyszek Biń decyduje się na inny wariant, schodzi do Kwasów (to równie długie i męczące zejście).

ŚWIDOWIEC

Przechodząc przez Cisę, naprzeciw stacji kolejowej w Jasini, koło pięknej cerkiewki, łatwo odnaleźć ścieżkę, która ramieniem Bukowinki, prowadzi na Bliźnicę, najwyższą w Świdowcu. Po bez mała czterech godzinach docieramy na rozległą polanę Dragobrat. Tam prijut i schronisko, oba puste, nazwijmy to



Ciężarówką pod Bliźnicę

z przyczyn organizacyjnych (najwykleszy bałagan). W schronisku warunki, jakich się nie spodziewaliśmy: na zewnątrz załamanie pogody, śnieg, a my bierzemy prysznic, tniemy w brydza. Rano namówiliśmy kierowcę ciężarówki, by wiozł nas możliwie najbliżej Bliźnicy — taki mamy kaprys, widząc, że będzie jakaś zmiana przygody. W Polsce chyba żaden kierowca nie puściłby się w taką trasę, ze względu na bezpieczeństwo i obawy, że zniszczy samochód. Ciężarówką docieramy na przełęcz (1553 m). Teraz do Bliźnicy mniej niż godzina drogi. Mijamy opadające po lewej urwiska skalne, a na szczycie (1883 m) przy triangulu urządzamy sobie fetę fotograficzną. Bliźnicę nocą pokrył śnieg, zmrożone powietrze sprawia, że widoki są wyjątkowo rozległe. Najbliżej ku zachodowi całe pasmo Świdowca. Ku północy Gorgany z dominującą na pierwszym planie Połoniną Czarną, w której najwyższa jest Bratkowska (1792 m). Na płd-wsch. Czarnohora, gdy na południu Pop Iwan Marmaroski i Karpaty Marmaroskie, może też Alpy Rodniańskie. Zachwycamy się otoczeniem Dragobratu, te wspaniałe tereny zjazdowe, wytrzymują porównanie z kotłem Kasprowego Wierchu. Są również wyciągi narciarskie. Tylko zwykle nie ma kto z nich korzystać.

Świdowiec to wielka wyspa otoczona innymi pasmami górskimi. Gdy patrzy się na mapę, może się wydawać taką niższą Czarnohorą. Też jest blisko 30-kilometrową połoniną. Poza Bliźnicą zбочa są trawiaste, strome i bardzo poźłobione. Granica lasu znajduje się znacznie niżej niż w Czarnohorze, co jeszcze dodaje Świdowcowi walorów widokowych. Konsekwencje tego są takie, że o wodę tu bardzo trudno. Na całej grani tylko jedno źródło, w zachodniej części Świdowca. Nocować trzeba na grani, albo nisko w dole, tam gdzie łączą się ścieżki z Podpuli, Tempej i Stajkowego Płaju. Nie tak wiele tracąc na wysokości pod Todiaską można odnaleźć bez kłopotu ładne jeziorko. To miejsce godne polecenia na biwak. Biwaku nie sposób uniknąć. Przejście głównego grzbietu wymaga dwóch dni. Za Todiaską, skręcając na południe, ku Tataruce, można zejść do źródeł Czarnej Cisy i na Okole, skąd ścieżką dociera się na Bratkowską, a więc w Gorgany (uwaga, duże trudności orientacyjne!). Warto przejść jednak cały główny grzbiet Świdowca, ze względu na bardzo widokowy charakter tego pasma. Z Podpuli można zejść do Ust Czorna, albo z Tempej do Krasnego, gdzie również znajduje się stacja kolejowa wąskotorówki. Z obu tych miejscowości, jeżeli podąża się na zachód, ścieżki prowadzą na Połoninę Krasną.

Pod koniec sierpnia w Świdowcu spotykaliśmy pasterzy, których zadziwiało i zaciekało widok rozbitych namiotów. Chętnie więc na swych koniach pokonują kilkunastokilometrowe odległości, aby dowiedzieć się kto zacz. Polskie papierośy bardzo im smakują, są bardzo rozczarowani, jeżeli nie spotkają się z takim poczęstunkiem.

CZYWCZYNY (Nad Czarnym Czeremoszem)

Będąc na czarnohorskim Popie Iwanie warto zapuścić się w Dolinę Czarnego Czeremoszu. Tak zrobiliśmy w 1992 roku. Na Popa wyruszyliśmy wówczas znów z klawuzy Balcatul, tym razem jednak potokiem Balcatul kierując się bezpośrednio ku wierzchołkowi. Polecam ten wariant wędrowki wszystkim, którzy chcą się narazić na dodatkowe atrakcje. Wędruje się bowiem głębokim wąwozem, ciągle przekraczając wartki potok, z dużymi trudnościami wybiera się też odnogi potoku, w które warto się zapuścić, aby nie stracić kierunku na szczyt. Wąwóz ten trudno opuścić, a jednak w odpowiednim momencie trzeba się na to zdecydować, by wydostać się na główną grań. Minąwszy Popa Iwana należy dotrzeć do słupka gr. 18, by skręcić na wschód ku Szczytowi Smotrca (1896 m), a jest to też bardzo specyficzny szczyt, godny odwiedzenia, od niedawna stoi na nim krzyż. Żanim dojdzie się do Smotrca po prawej otwiera się dolina Pohorylca, a u jej początku widać ruiny schroniska (PTT czy AKN?). To doskonale miejsce na biwak, zwłaszcza, że wody tu nie brakuje. Dalej można podążać w dół Pohorylca. Wędrowka ciekawa, ale uciążliwa. Warto, wychodząc na lewo, dotrzeć do ścieżki. Droga staje się coraz wyraźniejsza, trafia się na chatę zamkniętą tylko na skobel (zamieszkałą?), wartą zwiedzenia, bo to tak, jakby w czasie cofnąć się o sto lat. Dalej już bez problemu dociera się do osady Szybeny, a znajdujemy się już wówczas na terenach dawnej fundacji hr. Skarbka. Będąc w Szybenym warto nadłożyć drogi, aby dotrzeć do klawuzy o tej samej nazwie. To najlepiej zachowana z zapór, jakie kiedykolwiek oglądaliśmy. Jest w ruinie, ale nadal tamuje bieg potoku Szybeny, więc możliwe, że aktualne są dawne informacje, iż u stóp Munczetyka leży głębokie, „zagarniające 40 morgów jezioro o pojemności 400 000 metrów kubicznych”. Choć na Czeremoszu nie ma już darabów, a klawuz nie używa się do spławu drewna, to warto przyrzeć się tej wyjątkowej budowli, jaką jest szybeńska zapora.

Z Szybenego czeka nas pyszna podróż wynajętą ciężarówką, do Burkutu, wzdłuż biegu Czarnego Czeremoszu. Burkut słynął jako uzdrowisko polskiej szlachty z Pokucia i Podola, ze względu na źródła szczawów alkaliczno-żelazistych. Z dawnej miejscowości uzdrowiskowej niewiele pozostało, ale to odległa historia (Burkut został zniszczony w 1848 r., aby nie służył za schronienie powstańcom z Siedmiogrodu). Rozbijamy obóz nad zakolem Czeremoszu. Następnego dnia szukamy ciężarówki, która powiezie nas w głąb Połonin Czywczyńskich. Przez przypadek trafiamy do domu leśnika, wywołując radosny spór czy przed rokiem widziano tu Polaków, czy jesteśmy pierwsi od kilkudziesięciu lat (gospodarze dają nam jednak pierwszeństwo i wynoszą słoje bimbrowe). Leśnik to ważna postać, więc pojawia się też samochód i w radosnym nastroju przejeżdżamy przez mostki nad Czarnym Czeremoszem, docierając do dużego budynku, niegdyś gajówki Dobryń, skąd drogą wzdłuż potoku podążamy na południe. Po godzinnej wędrowce zaczyna się podejście na połoniniasty Czolakin (1472), a tam mini-

kołchoz, z własną „elektrownią”. Kilkanaście chat, a w jednej „zakład” produkcji serów. Ugoszczeni podążyliśmy ku Czywczynowi. Jest stromo, więc nasz leśnik uznaje, że to świetne miejsce do... snu. Dalej na szczęście możemy iść sami. Wydostajemy się na piramidę wyraźnie dominującego Czywczynu (1769 m), tam triangul. Piękna to góra, w dole, jakże blisko Czywczynarz (1585 m), gdzie powinno być źródło i słupek gr. 30. Bardzo przestrzegano nas jednak przed wchodzeniem na obecną granicę ukraińsko-rumuńską. Widok na góry jeszcze dziksze, od tych które znamy. Przed nami Pietros Budyjowski, a przede wszystkim jest to niezrównany szczyt do podziwiania Karpatów Marmoroskich i Alp Rodniańskich. Wracając szukamy naszego przewodnika-leśnika. Nie znajdujemy go pod Czywczynem, wracamy więc do kołchozu. Na uboczu znajduje się nieco nowszy dom. Otwieramy pierwsze drzwi – tam basen. Dalej sauna. O dziesiątki kilometrów od najbliższego miasta kołchozowa elita żyje całkiem wygodnie. Za kolejnymi drzwiami znajdujemy leśnika. Wracamy do Burkutu....

Porzucamy z żalem Dolinę Czarnego Czeremoszu. Górny bieg potoku, ta część Połonin Czywczyńskich, aż po Karpaty Marmorowskie to chyba najdzikszy rejon górski Europy. Do naszego obozowiska nad rwącą rzeką dotarło dwóch turystów z Krakowa. Jesteśmy zgodni, że od lat innych turystów tu nie widziano.

Podążając w dół Czarnego Czeremoszu można dotrzeć do Zielonego, gdzie właśnie poddawana renowacji jest piękna cerkiewka, znów spełniająca swą sakralną rolę. Nasz pech polegał na tym, że przybyliśmy gdy świętowano pierwszą rocznicę niepodległości Ukrainy. Jak na święto tej rangi przystało, przestały kursować autobusy tutejszego odpowiednika PKS. Przekonaliśmy się za to, że bezpieczni jest już domek służby granicznej, szlabanu nikt nie opuszcza. Podążając z Zielonego dalej, można dotrzeć do Żabiego (Werchowyna), niegdyś drugiej co do wielkości wsi w Polsce, liczącej 6 tys. mieszkańców. Żabie to wieś najliczniej zamieszkała przez Hucułów. W pobliżu też Krzywopole i Krzyworównia, a więc rodzinne strony Stanisława Vincenza, autora jedynej, polskojęzycznej sagi huculskiej.

My jednak wybraliśmy Dolinę Białego Czeremoszu. Z Czywczynów w Hryniawy najlepiej podążać właśnie z Burkutu.

HRYNIAWY (nad Białym Czeremoszem)

W Burkucie jest sklep, za sklepem źródło zdrojowej wody. Koloryt lokalny: wódkę sklepową trzyma się w domu. Zbyt cenny to towar, za miesięczną tutejszą pensję można kupić cztery półlitrowki... Blisko sklepu jest najkrótsza ścieżka z Doliny Czarnego Czeremoszu do doliny Białego Czeremoszu. Stromo, nieustannie w górę na Połonię Łukawica (1506 m). Bez większych kłopotów orientacyjnych można podążać ku najwyższej Babie Ludowej (1586 m).

Zadziwiająca jest odmiana... cywilizacyjna.

Połoniny są przeorane drogami polnymi ze względu na wypas owiec. Wystraszone naszą obecnością uciekają na wpół zdziczałe konie. Do naszego obozowiska pod Babą Ludową przychodzi pasterz, który proponuje szaszłyki z dowolnie wybranej owcy znajdującej się jeszcze w zagrodzie. Ku jego rozczarowaniu nie przystajemy na tę propozycję.

Na przełęczy między Babą Ludową (zwaną także Babą Lodową) i Stefulcem odnajdujemy coś, co nas wprawia w zdumienie. W opustoszałym budynku stoją jeszcze rzędy krzesel. Tu było objazdowe kino, dla pasterzy z Hryniaw i Czywczyn. Chyba lata minęły odkąd pojawił się tu ostatni widz.

Spod „kina” można różnymi ścieżkami iść w dolinę. Tak też zrobiliśmy, podążając tam, gdzie wieś Perehrestne. Nie trafiliśmy jednak na słynne progi i wodospady Hramitnego, dopływu Białego Czeremoszu. Podążaliśmy ku Hryniawie, niegdyś ostatniej wsi nad Białym Czeremoszem na terenie Polski. W Hryniawie przekonał się, że owszem, kursują autobusy, ale rozkład jazdy uzależniony jest... od kierowców. Na miejsce noclegu wybraliśmy okazały budynek dawnego kołchozu. Czy kołchoz istnieje, nie wiadomo. Dom wydaje się opustoszały, jest świetnym dla nas schroniskiem.

Z Jabłownicy mamy kursowy autobus do Kutów (Wyżnica). Z żalem żegnamy się z górami. Z okien autobusu podziwiamy bieg Białego Czeremoszu. Jabłonica, Fereskula, Koniatyń, Dołhopole, Stebne, Uściryki... mijamy kolejne piękne cerkiewki huculskie.

Później już tylko myślimy o kolejnej wyprawie. Przecież tyle zostało jeszcze do zobaczenia...

TAMTE GÓRY

*Jeszcze tylko kamienie czekają
Łzami piargów sphywając do stóp,
Do stóp twoich, do zielonych dolin...
...Jeszcze tylko czerwienią się mieni
Zagubiony wśród regli jesiennych stary buk.
Te powroty są inne — twarde
Jak omszony granitowy złom
Te powroty milczące, zasłuchane
W tamte dni i w te — które są.*

T. Gołuch

Artykuł dyskusyjny

TURYSTA GÓRSKI TOLERANCYJNY

Krzysztof J. Szmidt

Odpowiadając niejako na apel Redakcji, zamieszczony w tomie I „Pamiętnika PTT” (Kraków 1992), ośmielam się przesłać krótki artykuł polemiczny. Dotyczy on bezpośrednio pewnych postaw zajmowanych przez „ludzi gór” oraz... braku tolerancji niektórych autorów, którzy z drwiny uczynili narzędzie krytyki i dydaktyki. Proszę – *rzecz jasna* – o opublikowanie mojego tekstu mając nadzieję, że spełnia on wymogi redakcyjne.

Jestem pedagogiem społecznym, pracownikiem naukowym Uniwersytetu Łódzkiego i wędrowcą górskim, któremu w 20-letniej wędrówce towarzyszą głównie motywy estetyczne i emocjonalne. Z prawdziwą radością powitałem reaktywowanie PTT i jego rocznika. Mam nadzieję, że przyczynią się one choć częściowo urzeczywistnieniu pewnych celów zarysowanych w artykule, a „Pamiętnik” stanie się centrum dyskusji dotyczącej gór i ludzi gór – w czym będzie „lepszy” od partykularnych „Wierchów”.

Wpadły mi ostatnio w ręce dwie różne typologie turystów górskich („bywalców schronisk” i „górskich wędrowców”): jedna autorstwa A. Słoty w „Pamiętniku Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego” t 1, druga S. Primusa, opublikowana na łamach „Optymisty” (Kto i po co chodzi w góry? Mała typologia górskiego wędrowca, „Optymista” nr 11). Obie typologie zasługują na analizę porównawczą, co nie jest jednak moim celem, obie też w sposób kliniczny ukazują brak... tolerancji autorów dla innych, niż przez siebie reprezentowanych, typów turysty górskiego.

Jak wiadomo, klasyfikacje i typologie tworzy się po to, by uporządkować jakieś złożone zjawisko lub proces, umożliwiając tym samym dalszy ich opis i wyjaśnienie. Typologie proste, bądź złożone konstruuje się na podstawie określonych kryteriów (cech), które traktowane są jako wskaźniki różnicujące ów proces lub zjawisko. Próżno szukać u obu autorów śladu podstawy typologicznej i wady tej bynajmniej nie usprawiedliwia ironiczno-satyryczny charakter obu typologii. Bo na jakiejś podstawie autorzy dokonali podziału ogółu turystów górskich na typy, jakieś cechy różnicujące wzięli jednak pod uwagę. Uważna lektura obu tekstów dowodzi, iż tymi cechami (wskaźnikami) będącymi kryteria-

mi podziału są tak różne cechy jak: ubiór i ekwipunek turysty, sposoby zachowania się na szlaku i w schronisku, stopień trudności pokonywanych dróg i... kultura spożywania posiłków. Nie do końca jasny proces myślowy doprowadził obu autorów do utworzenia następujących typologii „bywalców schronisk” i „wędrowców górskich”:

Andrzej Słota

1. Ceper — dziś Stonka
 - a) przypadkowa
 - b) rasowa
2. Weterani — czyli Stara Gwardia
3. Turysta Początkujący
 - a) Niedołągi
4. Wytrawny Turysta — czyli Stary Rep Górski
5. Balangmeni

Stanisław Primus

1. Turystyczna Gawiedź — Ceprostwo lub Stonka
2. Klasyczny Turysta Górski
3. Klasyczny Łazik Górski — Turysta Wysokogórski
4. Turysta — Zapalony Neofita
5. Taternik — Alpinista
6. Łojant czyli Ekstermalista
7. Alpinista Wysokościowiec — Zdobywca

Łatwo zauważyć można, że typologie te noszą również cechy układu hierarchicznego, głównie u S. Primusa biorą pod uwagę natężenie danej cechy. Utworzono więc pewną „drabinę wtajemniczenia”, a nie obiektywną, pozbawioną ocen i sądów wartościujących typologię. I tu docieramy do sedna sprawy. Nie zamierzam ganić autorów za braki w znajomości metodologii badań społecznych, lecz za brak tolerancji. Obie próby typologii aż kipią od sądów wartościujących, ośmieszających lub sztychających z jednego typu turysty i wynoszących pod niebiosa inny typ — ten, który zapewne autorzy reprezentują we własnej osobie. Z charakterystyk poszczególnych, nisko sklasyfikowanych w hierarchii typów przebija poczucie wyższości autorów i pogarda dla tych, co niżej. Przykłady? Proszę bardzo: „Stonka jaka jest, każdy widzi. Wyelegantowana, często w garniturze i krawacie (...). Na widok tych wysztychowanych osobników stałym bywalcom gór robi się aż niedobrze”, „Ta druga, rasowa (Stonka — K.J.Sz) powinna być przede wszystkim ostro i bezlitośnie tępiona”, „Na górskiej wycieczce (przedstawiciel Stonki — K.J.Sz) pragnie być rozluźniony i maksymalnie rozebrany. Jeśli przypadkowo znajdzie się na dłuższym podejściu, głośno cierpi, narzeka. W górach zdarza mu się wszystko, co najgorsze: głód, pragnienie, przemoknięcie, odmrożenie” (S. Primus).

Stonce przeciwstawia się Klasycznych Turystów Górskich, Repów i Weteranów Górskich, inny osobnik wędrujący po górach jest kimś gorszym; trzeba się go jak najszybciej pozbyć, ponieważ przeszkadza lub co najmniej rozśmiesza tych Prawdziwych i z Prawdziwego Zdarzenia. Warto w tym miejscu postawić kilka pytań: czy nagi tors i reklamówka w ręce jest czymś gorszym od tradycyjnej

koszuli flanelowej i plecaka firmy „Janitex”? Zanim odpowiemy na to pytanie, warto przypomnieć sobie własne pierwsze kroki w górach. Czy wielu Starych Repów Górskich nie trafiło w Tatry z autobusową lub wczasową Stonką? Czy geneza pasji górskiej wielu wybitnych alpinistów nie ma charakteru właściwego Stonce? Czy żaden z Repów nie widział osób odzianych w Goretexy, Sympatexy i Polary, obutych w Koflachy lub Hanwagi, z przerzuconymi przez ramię linami marki Edelweiss i młotkiem Salewy (typ Ultra Light), którzy mimo to zachowywali się na szczycie lub w „Moku” skandalicznie?

Nie każdy, dla którego widok Stonki jest niemiły przyzna, że ten typ turysty będzie dominował w tatrzańskich dolinach regłowych, na Czantorii, Śnieżce i górze Chełm nad Myślenicami dopóty, dopóki właściciele ośrodków wczasowych i tak zwanych kwater nie zamkną ich na głucho.

W końcu nie każdy Prawdziwy Turysta chce przyznać, że szlaki którymi chodzi się na tyle łatwe, że łatwo sobie na nich radzi również pani Helenka obuta w „japonki” i pan Janek w „arabach”.

Góry są nie tylko nasze (chciałoby się powiedzieć „niestety”). Typowy wczasowicz ma takie samo prawo korzystania z uroków i atrakcji górskich tak długo jak nie naraża swojego lub cudzego życia i nie niszczy chronionej przyrody. Gdy uznamy, że reprezentant Stonki igra z niebezpieczeństwem jest miejsce i czas, by zwrócić mu na to uwagę lub skutecznie interweniować. Nota bene: do jakiego typu autorzy omawianych typologii zaliczyliby trzy siostry zakonne, ubrane w habit, które tak uwikłały się w pokonywanie Wrótek, że nie obyło się bez mojej pomocy?

Pawdziwym Turystom radzę więc zachować na szlaku więcej tolerancji dla Cepra. Z młodego Cepra może ukształtować się jeszcze Klasyczny Turysta Górski lub nawet Alpinista. Ja w swojej 20-letniej wędrówce górskiej wielokrotnie widziałem takie przepoczwarczenia. Wraz z moimi studentami mam w zwyczaju odwiedzać góry w maju bądź wrześniu. Proszę sobie tylko wyobrazić: na szlaku na Babią Górę nie spotkaliśmy nikogo, w Dolinie Strążyskiej minął nas jeden Stary Rep, na Wielkim Szyszaku byliśmy tylko my. Czy nie brzmi to pięknie dla uszu Klasycznego Łazika Górskiego?

Gdy natomiast z rodziną przebywam w Tatrach w okresie wakacji, muszę uzbroić się w cierpliwą tolerancję ilekroć pokonujemy trasy typu: Hala Gąsienicowa przez Jaworzynkę, Gęsia Szyja przez Rusinową Polanę i szczególnie Morskie Oko od Włosienicy. Przedmiotem cierpliwości i asertywnej postawy („Ty jesteś w porządku. Ja jestem w porządku”) jest oczywiście rzesza Ceprów i Stonki, która jednak bardzo rzadko trafia na Wołowiec i Starorobociański Wierch, prawie nigdy na Przełęcz pod Chłopkiem i niemal nigdy na Jarzabczy Wierch. Można więc tak planować trasy, aby kontakt z nienawistną ciżbą ograniczyć do minimum.

Ale i takie świadome omijanie Ceprów i Stonki nie zawsze jest skuteczne. Przykładem może być wrześniowa wędrówka w Dolinie Pięciu Stawów Spiskich

i pobyt w Chacie Tery'ego. Nawet tam, nawet wtedy, gdy przeszło gwałtowne załamanie pogody i śnieg pokrył trasy dojścia, trafili się polscy, klasyczni według opisu A. Słoty przedstawiciele Stonki. Opuszczali schronisko pełni chęci do odmiany i samorozwoju, a to dzięki spokojnej, taktownej akcji wychowawczej prowadzonej wspólnie przez nowego chatara, pewnego starszego pana-bywalca Himalajów i niżej podpisanego. I tu docieramy do sedna sprawy i jednocześnie finału: drwić ze Stonki jest łatwo, trudniej jest Stonkę uwrażliwić na piękno i trudności gór, wdrożyć do specyficznych sposobów zachowania się w górach, w końcu trudno jest odpowiednio wyekwipować panią Helenkę i pana Janka. Jednym słowem – problemem jest realizacja humanistycznie pojmowanego Wychowania do Gór lub Pedagogiki Górskiej. Bo to, że gór należy się uczyć nie jest tylko zgrabną metaforą, lecz bardzo pragmatycznym postulatem pedagogicznym.

Ortodoksyjnym, dogmatycznym turystom górskim, którym ich własny styl uprawiania górskiej wędrówki wydaje się najlepszy i jedynie możliwy dedykuje mądrą myśl Anthony'ego de Mello: „Egoizm jest wymaganiem od innych, by żyli życiem, które akurat Tobie wydaje się najwłaściwsze”.

Od Redakcji: Myślmy, że autorzy typologii potraktowali swoje teksty z przymrużeniem oka. Ale dyskusja jest potrzebna, bo sprawa wychowania następnych pokoleń turystów jest istotna.

ODSZUKAMY NASZE ŚLADY

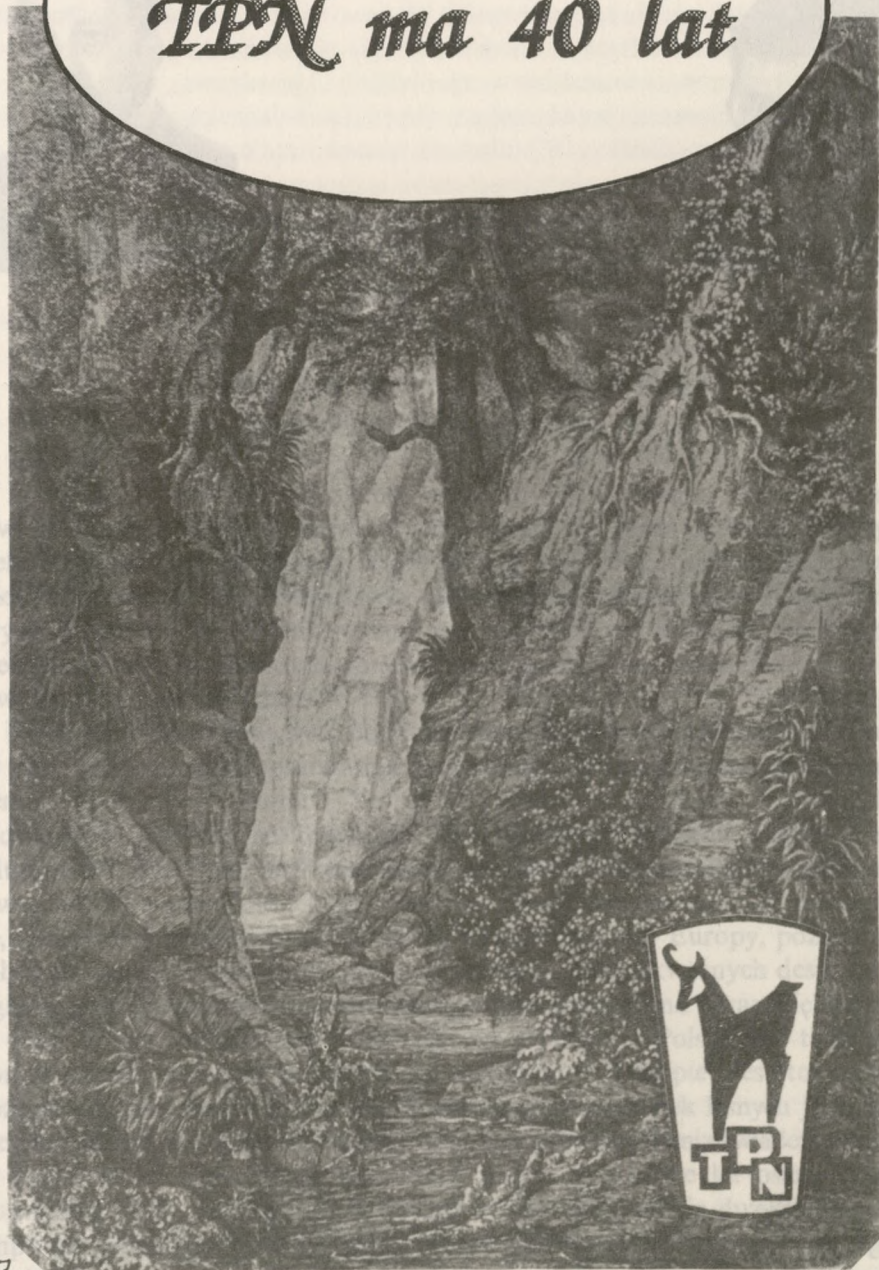
*Odszukamy nasze ślady w pustym lesie,
Odnajdziemy pelen słońca, złoty wrzesień,
Usiądziemy przy ognisku, pomilczymy
I w płomienie bardzo długo popatrzymy.
...Jesteś z nami — jakbyś zawsze z nami była,
Znasz te skały jakbyś zawsze tu chodziła,
Jakbyś czuła przyjacielski uścisk liny...
...Więc chodź z nami — przy ognisku pomilczymy,
A gdy ogień, późno w nocy wreszcie zgaśnie,
Z liny zwojem, pod swą głową, z nami zaśniesz.*

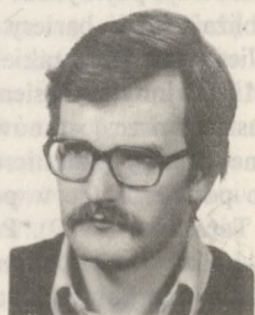
T. Wasilczuk



planckie trasy, aby kontakt z mienwiastą ciałą ograniczyć do minimum, 57
Aparatowe, wydane omiianie Centrow i Stokki nie zawsze
Przykadek moze byc wrzeziowa wedrowka w Dolinie Piciu Stawow Spisic

II
TPN ma 40 lat





„NIE BYŁO NAS, BYŁ LAS...”

Zbigniew Krzan, Paweł Skawiński
Pracownia Naukowo-Badawcza TPN

Na znacznym obszarze Europy, rozmiary oddziaływania zanieczyszczonego powietrza, przekraczają możliwości ich neutralizacji przez przyrodę. Dlatego od wielu lat obserwuje się procesy, które niszczą środowisko przyrodnicze. Najbardziej widoczne jest zamieranie lasów na terenach o największych imisjach szkodliwych gazów i pyłów. Jak ważny jest ten problem świadczą podejmowane obecnie międzynarodowe działania na rzecz ograniczenia rozmiarów emisji szkodliwych związków do atmosfery.

W latach osiemdziesiątych, pod auspicjami Europejskiej Komisji Ekonomicznej przy ONZ została opracowana Konwencja o Transgranicznym Zanieczyszczeniu Powietrza, w ramach, której 20 państw europejskich zobowiązało się zredukować wielkość emitowanych do atmosfery związków siarki i innych polutantów. Fakt ten jest miernikiem ważności problematyki zanieczyszczeń powietrza. Równocześnie ten akt dobrych intencji nie spowodował, automatycznie, znaczącej poprawy. Nadal przecież, znaczne obszary Europy, pozostają pod wpływem zanieczyszczeń powietrza i związanych z nimi kwaśnych deszczy, które zagrażają zanieczyszczeniem środowiska przyrodniczego na coraz większą skalę.

Cały obszar południowej i południowo-zachodniej Polski jest terenem, na którym zanieczyszczenia powietrza są najwyższe w Europie. Jest to realne zagrożenie naszych ekosystemów, a w szczególności zbiorowisk leśnych jako najbardziej narażonych na zanieczyszczenia. Jak realne są to zagrożenia świadczy ekologiczna klęska lasów sudeckich, która miała miejsce w połowie lat osiemdziesiątych (Boratyński 1990). Zanim jednak wystąpi klęska obumierania dużych połąci lasu, symptomy narastającego zagrożenia, można obserwować w postaci ogólnego obniżenia kondycji zdrowotnej poszczególnych drzew. Żółkną i przerzedzają się

korony drzew na skutek ograniczania liczby roczników igieł na pędach. Następnie zamierają pojedyncze drzewa. Są to pierwsze sygnały zapowiadające klęskę. Lasy zbliżają się do bariery po przekroczeniu której, nie mają już szans na przetrwanie. Niestety, objawy takie są już od szeregu lat obserwowane w Tatrach i na Podhalu. Między innymi Gąsienica Byrcyn i Holeksa (1986) na podstawie przeprowadzonej lustracji drzewostanów tatrzańskich w rejonie Hali Gąsienicowej, wykazali wyraźne objawy obumierania pojedynczych drzew, a nawet ich grup. Znalazło to potwierdzenie w późniejszych badaniach przeprowadzonych przez Rymarza i Tarasiuka (1989). Pogłębianie się procesów zamierania lasów w Tatrach potwierdziły nasze badania (Skawiński 1992). Jest też udokumentowany fakt zamierania świerków w Kotlinie Zakopiańskiej (Holeksa 1901).



Tak umierają drzewa

W 1991 roku opracowaliśmy w Pracowni Naukowo-Badawczej TPN prognozę przewidywanego obumierania lasów tatrzańskich wskutek oddziaływania skażonego powietrza (Krzan i Skawiński 1993). Prognozę tą opracowaliśmy na podstawie wyników wieloletnich badań rozmiarów i składu jakościowego zanieczyszczeń powietrza (Krzan 1991) w oparciu o ustaloną na podstawie charakterystyki przyrodniczej drzewostanów ich względną wrażliwość na skażenie.

ROZMIARY SKAŻEŃ

Ciągły pomiar jakości powietrza czyli monitoring techniczny, jest jedyną metodą pozwalającą na stwierdzenie w jakim stopniu, środowisko danego obszaru jest poddane presji ze strony zanieczyszczeń powietrza. W zależności od metod pomiaru, posiadanego sprzętu i systematyczności obserwacji, uzyskane wyniki pozwalają, mniej lub bardziej precyzyjnie, określić zawartość w powietrzu takich związków trujących jak dwutlenek siarki (SO_2), tlenki azotu (NO_x), fluoru i innych. Natomiast analizy zawartości cząsteczek pyłu w atmosferze, umożliwiają nie tylko określenie rozmiarów zapylenia, lecz również pozwalają stwierdzić obecność trujących metali ciężkich, takich jak ołów czy kadm. Stosowana w Polsce metoda monitoringu technicznego jest stosunkowo prymitywna, a jej wyniki obarczone błędami. Jednak przy założeniu wieloletnich, systematycznych, pomiarów pozwala na wyciąganie wniosków, dla celów praktycznych, o stanie skażenia powietrza. Monitoring ten został zaprojektowany w początkach lat osiemdziesiątych przez Instytut Badawczy Leśnictwa w Warszawie.

To I.B.L. również pokrywa koszty jego realizacji w całej Polsce.

W Tatrach Polskich obserwacje rozpoczęto w 1985 roku. Zgromadzone przez te lata dane, dają podstawy do porównań rozmiarów skażeń, zarówno w stosunku do innych regionów Polski, jak i analizę sytuacji na terenie samego Parku. **Średnie rozmiary skażenia powietrza tatrzańskiego** głównym polutantem czyli dwutlenkiem siarki **plasują Tatry w środku stawki nadleśnictw południowo-wschodniej Polski**, a stwierdzane okresowo rozmiary maksymalne tego skażenia są porównywalne do średnich rozmiarów skażeń na Śląsku. Obserwowany w ostatnich latach nieznaczny spadek rocznych rozmiarów skażeń, należy wiązać raczej z zapaścią gospodarczą kraju, a nie przyjmować tego jako objaw trwałej poprawy jakości powietrza wskutek podejmowanych zabiegów i działań.

Zawarte w zanieczyszczonym powietrzu tlenki siarki i azotu stykając się z parą wodną obecną w powietrzu, tworzą kwasy, które opadając na powierzchnię jakiegoś obszaru, powodują bezpośrednie oparzenia roślin. Są przez nie wchłaniane i wraz z metalami ciężkimi gromadzą się w ich aparacie asymilacyjnym, zakłócając normalne procesy metaboliczne. Stopień tego zakłócenia i jego skutki zależą od koncentracji szkodliwych substancji. Szkodliwe związki docierają również do gleby, bezpośrednio, bądź też wraz z opadającymi liśćmi i igłami oraz rozkładającymi się roślinami. Powoduje to przekształcanie środowiska glebowego – zakwaszanie, wymywanie składników mineralnych w głąb profilu glebowego, oraz zmiany chemiczne, które blokują możliwość pobierania przez rośliny niektórych składników mineralnych.

Wszystko to powoduje, że roślinność, szczególnie lasy zmuszone są żyć w coraz to trudniejszych warunkach. Należy jednocześnie uświadomić sobie fakt, że lasy tatrzańskie i bez skażeń rosną w skrajnie trudnych warunkach klimatyczno-

glebowych. Dlatego są bardzo wrażliwe na najmniejsze nawet zmiany niekorzystne dla ich rozwoju.

Czy zatem los naszych lasów jest przesądzony?

Czy wkrótce ujrzymy nagie Tatry, bezdrzewne od stóp po najwyższe szczyty? Już sam fakt, że na tak postawione pytania nie można udzielić jednoznacznie negatywnej odpowiedzi jest przerażający, pozostaje natomiast mieć nadzieję, że w przyrodzie będą działać naturalne czynniki obronne, a podejmowane przez ludzi próby ochrony lasów pozwolą zapobiec nieszczęściu. Jest wiele przesłanek wskazujących, że jeśli nawet dojdzie do wielkopowierzchniowego zamierania lasów w Tatrach, to proces ten nie będzie gwałtowny, a jego nasilenie różne, w poszczególnych partiach Tatr. Wskazują na to, między innymi, obserwacje obecnego stanu zagrożenia drzewostanów Tatrzańskiego Parku Narodowego.

Należy w tym miejscu jednak wyraźnie stwierdzić:

WSZYSTKIE DRZEWOSTANY W TATRACH POLSKICH SĄ ZAGROŻONE PRZEZ ZANIECZYSZCZENIA POWIETRZA

Stosunkowo najmniej zagrożone są lasy bardziej odległe od obszarów zurbanizowanych — Zakopanego i Podhala, jeden w Tatrach Zachodnich — doliny: Chochołowska i Lejowa, drugi zaś we wschodnich, rejon Białki i Rybiego

TATRZAŃSKI PARK NARODOWY



Potoku, a także Wierch Porońca i Gęsiej Szyi. W tym drugim obszarze występują jednak lokalne strefy zagrożeń średnich w rejonie Włosienica — Morskie Oko i Łysa Polana — Palenica Białczańska.

Strefa zagrożeń średnich występuje w rejonie położonych bliżej terenów zurbanizowanych. Znalazły się w niej drzewostany w górnej części dolin: Lejowej, Kościeliskiej i Miętusiej oraz Małej Łąki. W tej samej strefie znalazła się także znaczna część lasów w dolinie Bystrej, oraz w rejonie Brzezin i Zazadni. Najbardziej natomiast zagrożone przez zanieczyszczenia powietrza są drzewostany rosnące w bezpośrednim sąsiedztwie Zakopanego, czyli w Reglach Zakopiańskich od Doliny Kościeliskiej aż po Dolinę Bystrej.

Dość istotnym elementem wnioskowania o źródłach skażeń jest sezonowa analiza rozmiarów skażeń. Wykazuje ona corocznie znaczny wzrost rozmiarów zanieczyszczenia powietrza w okresie od października do maja, a spadek w pozostałych miesiącach. Tak więc zarówno sezonowe wahania rozmiarów skażeń, jak i ich przestrzenny rozkład na terenie Tatrzańskiego Parku Narodowego (Krzan 1989) wskazują wyraźnie na znaczący udział zanieczyszczeń lokalnych w globalnym wpływie skażeń powietrza na degradację lasów tatrzańskich.

WRAŻLIWOŚĆ

Jak wiadomo, drzewostany tatrzańskie, występują na różnym podłożu geologicznym, w różnych strefach wysokościowych, na odmiennych ekspozycjach. Odznaczają się też zmiennością składu gatunkowego oraz wieku. Zachodzi zatem pytanie, czy ich wrażliwość na zanieczyszczenia powietrza jest zróżnicowana i czy możemy przepowiadać tempo i kolejność zamierania poszczególnych lasów. Otóż na wrażliwość drzewostanów na zanieczyszczenia powietrza mają wpływ przede wszystkim: siedlisko, skład gatunkowy, struktura pionowa oraz wiek drzewa. Wyjaśnijmy to bliżej.

Siedlisko to charakter podłoża oraz warunki klimatyczne. Od rodzaju podłoża zależą możliwości neutralizowania kwaśnych opadów. Większe możliwości takiego neutralizowania mają gleby wytworzone na podłożu skał węglowych (wapień, dolomity). O kondycji drzew decydują czynniki klimatyczne. Im wyżej, tym trudniejsze warunki wzrostu i rozwoju. W strefie górnej granicy lasu, drzewa podlegają stresom powodowanym przez niskie temperatury, wiatr i śnieg. W takich warunkach łatwiej o zniszczenie drzewa, zwłaszcza, gdy niekorzystne czynniki klimatyczne wystąpią łącznie z zanieczyszczeniami powietrza. Szczególnie niebezpieczne są tzw. mgły. Otóż dwutlenek siarki oraz tlenki azotu znajdujące się w atmosferze, łączą się z cząsteczkami wody zawieszonymi w powietrzu. Drobinę tak powstałej kwaśnej mgły mogą stykać się z drzewami dysponując większą powierzchnią niż ta sama ilość kwasu zawarta w deszczu. Każdy kto pamięta

obraz lasu spowitego mgłą, może sobie wyobrazić, jak taka kwaśna emulsja musi oddziaływać na igły czy liście drzew.

Następnym elementem określającym wrażliwość na zanieczyszczenia jest skład gatunkowy drzewostanów. Dla przeżycia lasu w warunkach zagrożeń imisyjnych niezwykle istotne jest czy składa się on z gatunków drzew mniej, czy bardziej odpornych na zanieczyszczenia. Otóż najbardziej odporne są lasy o urozmaiconym składzie gatunkowym z dużym udziałem drzew liściastych, a wśród iglastych z przewagą modrzewia. Gatunkiem najbardziej wrażliwym na imisje jest jodła.

Objawy zamierania jodeł w Tatrach są zauważane już od kilkunastu lat.

Bardzo istotną kwestią przy przebiegu „choroby imisyjnej” jest struktura pionowa drzewostanów. Otóż największą szansę przetrwania, wobec zagrożeń imisyjnych, mają drzewostany składające się z więcej niż z jednej warstwy drzew. To jest wówczas, gdy pod okapem drzewostanu górującego, znajduje się tzw. drugie piętro drzew, a na dnie lasu podrost, czyli najmłodsze pokolenie. Widać to, wyraźnie na przykładzie dwupiętrowego drzewostanu świerkowo-jodłowego. Korony najwyższych drzew tworzą warstwę ochronną, jakby „parasol” chroniący drzewa niższej warstwy przed oddziaływaniem z „góry”. W takich warunkach nawet najmniej odporna jodła nie wykazuje objawów „choroby imisyjnej”. Sytuacje takie, dosyć częste w Tatrach, są nadzieją na przetrwanie drzew, zwłaszcza jodły, o ile jak najdłużej będzie nad nim rozpostarty „parasol” a więc wyższy, zwarty drzewostan. Szczególnie istotne są tu naturalne cechy przystosowawcze jodły, która jako gatunek cieniowyttrzymały potrafi pod okapem drzewostanu „trwać” nawet kilkadziesiąt lat czekając na rozpad drzewostanu górującego. Jest więc nadzieja, że te „kilkadziesiąt lat” wystarczy by jodła przetrwała „pod parasolem”, a w tym czasie powietrze nad Tatrami będzie już czyste.

Wrażliwość na imisje jest ściśle związana z wiekiem drzew. W miarę starzenia się ich odporność na zanieczyszczenia wyraźnie się zmniejsza. **Uważa się, że drzewa powyżej 100 lat są najbardziej podatne na imisje.** Najodporniejsze są drzewa do 30 roku życia.

Znając drzewostany występujące w Tatrzańskim Parku Narodowym można pokusić się o odpowiedź, w jakich rejonach drzewostany wykazują największą wrażliwość na zanieczyszczenia powietrza, a w jakich odznaczają się największą odpornością?

Okazuje się, że największą podatność na zagrożenia wykazuje starodrzew świerkowy występujący w piętrze regla górnego, zwłaszcza w strefie górnej granicy lasu. Wśród tych drzewostanów oczywiście bardziej zagrożone są te, które rosną na podłożu skał krystalicznych, a więc na glebach kwaśnych. Najmniejszą wrażliwością odznaczają się drzewostany w obrębie tzw. Regła Zakopiańskiego. Są to bowiem lasy wielogatunkowe z dużym udziałem drzew liściastych, miejscami również modrzewia. Charakteryzują się one często strukturą wielopiętrową oraz, co bardzo ważne, rosną na podłożu gleb wytworzonych ze skał węglowych, a zatem neutralizujących kwaśne deszcze.

Uzyskany obraz wrażliwości drzewostanów na zanieczyszczenia powietrza jest w znacznym stopniu przeciwstawny do prezentowanego wyżej rozkładu zagrożeń ze strony tych zanieczyszczeń. Najmniej wrażliwe okazały się drzewostany Regła Zakopiańskiego, a także lasy w rejonie Wierch Porońca i grupy Gęsiej Szyi. Drzewostany Regli Zakopiańskich zawdzięczają swoją wrażliwość na imisję temu, że rosną one na bogatych w węglan wapnia glebach, a także dlatego, że zachowały się tu częściowo mało przekształcone przez człowieka lasy z dużym udziałem buka i innych gatunków liściastych. Stosunkowo mała wrażliwość drzewostanów w rejonie Wierch Porońca i Gęsiej Szyi wynika natomiast z faktu istnienia w tym terenie dużej ilości młodników powstałych na rozległych powierzchniach po wiatrołomach z 1968 roku. Młodniki te charakteryzuje duża różnorodność gatunkowa, ze znaczącym udziałem liściastych: jarzębiny, wierzby, olszy i buka. Dodatkowo, szczątkowo zachowane, znacznie rozrzedzone górne piętro ze świerkiem i jodłą chroni je częściowo przed bezpośrednim oddziaływaniem szkodliwych substancji z powietrza.

Rejony o średniej wrażliwości to stosunkowo wąski pas lasów obejmujący drzewostany w dolnej części dolin: Chochołowskiej, Lejowej, Kościeliskiej i Bystrej. Zdecydowana większość lasów tatrzańskich wykazuje natomiast wysoki stopień wrażliwości na skażenia powietrza. Dotyczy to wszystkich drzewostanów regla górnego, oraz silnie przekształconych w przeszłości drzewostanów regla dolnego, w których dominującym składnikiem jest świerk, niekiedy z domieszką jodły. O wysokiej wrażliwości drzewostanów regla górnego, zdecydowały w dużym stopniu ubogie, często skrajnie ubogie gleby i trudne warunki klimatyczne.

PROGNOZA

Pomimo najlepszych chęci trudno być optymistą w przewidywaniu przyszłości lasów w Tatrach. Nawet w krótkim okresie kilku lat można nie tylko stwierdzić istotne szkody poczynione przez skażenia, ale zauważyć stałe pogarszanie się sytuacji. Nie trzeba być specjalistą, żeby dostrzec umierające świerki w rejonie Myślenickich Turni, Iwaniackiej Przełęczy czy Morskiego Oka. Obumierają pojedyncze drzewa, a także całe ich grupy.

Jest więc już bardzo blisko katastrofy na większą skalę.

Nasza prognoza (oby się nigdy nie sprawdziła) jest następująca: w pierwszym etapie procesowi degradacji, aż do zamierania włącznie, podlegać będą drzewostany w reglu górnym, a zwłaszcza w rejonach dolin: Chochołowskiej, Kościeliskiej i Bystrej, a także w rejonie Hali Gąsienicowej oraz Morskiego Oka i Włosienicy. Szczególnie wyraźnie proces zamierania może zaznaczyć się w Dolinie Kościeliskiej, gdzie obumieranie drzewostanów postępować będzie najprawdopo-

dobniej poczynając od Hali Pyszej w dół, aż do wylotu doliny. Jakkolwiek trudno dziś przewidzieć intensywność tych procesów to jednak wymienione wyżej rejonny należy uznać obecnie za najbardziej zagrożone.

Kolejny etap degradacji będzie dotyczył większości pozostałych drzewostanów tatrzańskich, a proces zamierania będzie postępował od górnej granicy lasu w dół, obejmując w pierwszym rzędzie, monokultury świerkowe i drzewostany z dużym udziałem jodły i świerka. Większe szanse na przetrwanie mają jedynie lasy położone w rejonie Wierch Porońca i Gęsiej Szyi, a także fragmenty wielogatunkowych drzewostanów w Tatrach Zachodnich.

Taka zapowiedź przyszłości nie napawa optymizmem, wynika z niej wyraźnie, że w pierwszej kolejności wymrą lasy w rejonach szczególnie cennych przyrodniczo i atrakcyjnych turystycznie (Dolina Kościeliska, Hala Gąsienicowa, Morskie Oko). Nie można też wykluczyć, że stanie się to w najbliższych latach i może przybrać rozmiar klęski ekologicznej porównywalnej do tej, jaka wydarzyła się na początku lat osiemdziesiątych w Karkonoszach. Badający zagadnienie zamierania lasów w Karkonoszach Boratyński i inni (1990) nie mają złudzeń co do tego, że podobny los spotka lasy w Karpatach, podkreślają też, że proces obumierania lasów już się tu rozpoczął, choć jego intensywność nie jest jeszcze tak wysoka jak w Karkonoszach. Z badań cytowanych wyżej autorów wynika jednak wyraźnie, że proces zamierania górnoreglowych świerczyn w Karkonoszach miał dwa okresy o różnej intensywności. Pierwszy w latach 1978–1982, w którym zamieranie przebiegało stosunkowo wolniej i drugi 1982–1984 o znacznie zwiększonej intensywności tegoż procesu, w wyniku którego 1/3 górnoreglowych świerczyn przestała istnieć, a następnie 1/3 wyraźnie obumierała.

Czy da się coś uratować?

Czy jednak w Tatrach stanie się tak jak w Karkonoszach i tak jak to przewiduje prognoza? Tego nie można niestety wykluczyć. Tatry znajdują się w strefie o najwyższym zagrożeniu przez zanieczyszczenia powietrza w Europie. Jest to zagrożenie nieco mniejsze niż w Sudetach bezpośrednio przyległych do pogranicza niemiecko-czesko-polskiego, gdzie opady siarki i innych polutantów są najwyższe w Europie (Latocha 1985), ale jednocześnie wielokrotnie większe niż na przykład w północno-wschodnich rejonach Polski czy w krajach skandynawskich. Na te olbrzymie skażenia przemysłowe nakładają się dodatkowo znaczne ilości dwutlenku siarki i tlenków azotu lokalnego pochodzenia. Trudno obecnie oczekiwać szybkiego i radykalnego zmniejszenia rozmiarów emisji dalekiego zasięgu, a znaczące, ograniczenie lokalnych wpływów jest, w najbliższej przyszłości, mało prawdopodobne,

**OGRANICZENIE ROZMIARÓW SKAŻENIA POWIETRZA W TATRACH
BYŁOBY JEDYNYM SKUTECZNYM SPOSOBEM NA POWSTRZYMANIE
POSTĘPUJĄCYCH JUŻ PROCESÓW DEGRADACYJNYCH.**

Łukasiewicz (1989) upatruje możliwości poprawy warunków życia drzew w skażonym środowisku głównie w ograniczeniu emisji stwierdzając, że w warunkach nadmiernego skażenia „niemożliwe jest jakiejkolwiek zagospodarowanie terenu, zwłaszcza roślinnością drzewiastą”. Tymczasem o tym, że skażenie środowiska przyrodniczego w TPN jest już nadmierne, świadczą wyniki badań przeprowadzonych w 1988 roku w rejonie regla przez Rymarza i Tarasiuka (1989). Autorzy ci stwierdzili, że z badanych kilku tysięcy drzew 4% było zamierających, 33% silnie uszkodzonych, a ponad 50% dalszych wykazało lżejsze uszkodzenia przez emisje. Nieuszkodzonych było zaledwie 20% buków, 6% świerków i tylko 2% jodeł.

Szczyściem w nieszczęściu jest fakt, że według ocen różnych autorów od 50 do 80% zanieczyszczeń powietrza w Tatrach i na Podhalu pochodzi ze źródeł lokalnych. Jest więc możliwe ich znaczne ograniczenie. Na jeden ze sposobów wskazał Liberak (1992) w 1 tomie Pamiętnika PTT pisząc o wodach geotermalnych jako alternatywnym nośniku energii. Innymi „czystymi” nośnikami energii mogą być też elektryczność i gaz, jednak ich szerokie zastosowanie napotyka na barierę nie do przebiccia — brak wystarczających środków finansowych.

Czy istnieją jeszcze inne możliwości ograniczenia negatywnych skutków oddziaływania skażenia powietrza na drzewostany TPN? W przypadku drzewostanów regla górnego, a więc drzewostanów świerkowych możliwości takich nie ma. Jedynie fragmenty lasów dolnoreglowych, w przeszłości przekształconych przez człowieka w monokultury świerkowe, mogą być przedmiotem intensywnych zabiegów przebudowy składu gatunkowego, zmierzających do ich lepszego dostosowania do siedliska. Winno to w perspektywie zmniejszyć ich wrażliwość na skażenia. Jeśli jednak zważyć, że taki proces przebudowy w przypadku drzewostanów musi trwać dziesiątki lat, to w praktyce nawet te zabiegi nie są w stanie zapobiec w istotnym zakresie procesom degradacyjnym. W terenach przemysłowych rozważane są możliwości zastępowania zamierających drzew gatunkami o wyraźnie mniejszym stopniu wrażliwości na emisje (Łukasiewicz 1989). Takie działania w TPN nie są możliwe do zastosowania, głównie z powodu statusu parku narodowego, jak również z uwagi na bariery przyrodnicze — specyficzne warunki glebowe i klimatyczne.

Jak więc będzie brzmiała druga część znanego powiedzenia, którym rozpoczęliśmy ten artykuł?

Piśmiennictwo

- Boratyński A., Konca B., Zientarski J. 1990. An instance of the most endangered forest association in the mountains of Central Europe. *Pirineos* 133: 3–32.
- Gąsienica Byrcyn W., Holeksa J. 1986. Czy las tatrzański zginie? *Las Polski* 24: 16.
- Holeksa J. 1991. Zamieranie świerków w Kotlinie Zakopiańskiej. *Tatry* 2: 19–21.

Krzan Z. 1989. Rozmiary i rozkład przestrzenny zanieczyszczeń powietrza w Tatrzańskim Parku Narodowym. *Chrońmy Przyrodę Ojczyzn* 3: 26–31.

Krzan Z. 1991. Czyste powietrze w Tatrach? *Tatry* 2: 18–19.

Krzan Z., Kot. M. 1991. Zanieczyszczenia środowiska i ich skutki w przyrodzie Tatrzańskiego Parku Narodowego. Materiały z Konferencji „Zanieczyszczone środowisko, a fizjologia rośliny” *PTBot.*, Warszawa 10–11. V.: 49–54.

Krzan Z., Skawiński P. Prognoza degradacji drzewostanów Tatrzańskiego Parku Narodowego pod wpływem zanieczyszczeń powietrza. *Prądnik. Prace i Materiały* (w druku).

Latocha E. 1985. Zagrożenie świerczyn górskich w Europie Środkowej przez imisje przemysłowe. *Sylwan* 79, 1: 17–26.

Liberek A. 1992. Światło w tunelu. *Pamiętnik Polskiego Towarzystwa* 1: 277–280.

Łukasiewicz A. 1989. Drzewa w środowisku miejsko-przemysłowym w „*Życie drzew w skażonym środowisku*” PWN, Warszawa-Poznań: 49–86.

Matuszkiewicz W. 1979. Fitosocjologiczne podstawy typologii lasów Polski. *Prace IBL* 558-561, 558: 3–39.

Rymarz J. Tarasiuk S. 1989. Jeszcze o zdrowotności drzewostanów Tatrzańskiego Parku Narodowego. *Las Polski* 3: 11.

Skawiński P. 1992. Zamieranie drzewostanów w Tatrach. *Tatry* 3: 23–25.

Wawrzoniak E., Ostalski B. 1987. Pomiar zanieczyszczeń powietrza w lasach — monitoring techniczny. *NCR-347, IBL, Warszawa*.



Niekończąca się dyskusja i niewyszukane napady na dyrekcję TPN skłoniły nas do przedruku z Tygodnika Podhalańskiego (z 8.VIII.93) artykułu Zofii Radwańskiej-Paryskiej. Pozwiliśmy sobie zmienić tylko tytuł.

Mamy nadzieję, że będzie to jedna z ostatnich pozycji na ten temat i skończą się wreszcie niepotrzebne i jędrzące wystąpienia, a pomyślimy jak ratować TPN.

UPORZĄDUJMY HIERARCHIĘ WARTOŚCI

Zofia Radwańska-Paryska

W „Echu Krakowa” (9-11 lipca) ukazał się artykuł o bardzo złożonym tytule, zaczynającym się, jak następuje: „Nieczyste siły działają w Zakopanem”. I rzeczywiście! Nieczyste, nawet powiedziałabym: brudne. Bo tylko brudne siły mogą się tak uwziąć na Tatrzański Park Narodowy i rzucać się na niego używając wszelkich, nawet najbardziej fałszywych argumentów na „zbożnej” podstawie, że cel uświęca środki. Dalszy ciąg tytułu: „TPN musi uwzględnić interes turystów i miasta”. Ależ wręcz przeciwnie: to miasto i turyści muszą uwzględnić interesy Parku i ochrony jego przyrody.

Czym byłoby Zakopane bez Tatr? Prowincjonalną dziurą, pięciorzędowym osiedlem bez żadnego znaczenia. Trzeba trochę myśleć i zdawać sobie sprawę z tego, że **tylko Tatry nadają znaczenie Zakopanemu** i te Tatry trzeba szanować, chronić i oszczędzać, a nie dewastować, aby ciągnąć zyski. One są dla całego naszego narodu, a nie dla jakiegokolwiek uprzywilejowanej grupy. Narciarzom i turystom – o ile trzymają się przepisów parkowych – nikt nie broni korzystać z Tatr, natomiast robogroszom chcącym tu robić interesy – wara!

Przed wojną odbywały się w Tatrach imprezy narciarskie, nawet FIS i nie było problemów, a teraz nagle okazuje się, że Tatry mają stanowić jedyne źródło rozwoju Zakopanego i trzeba je przerobić na jakąś fabrykę imprez sportowych, na Lunapark – no i oczywiście źródło bogacenia się dobranej grupy pseudobiznesmenów.

Śmieszne są to argumenty, że przy „odpowiednim zmodernizowaniu” Tatr będą przyjeżdżać zagraniczni turyści i zostawiać te upragnione dolary. A toć przyjeżdżają, przyjeżdżają! Ale właśnie głównie dla przyrody Tatr, a nie dla kolejek i wyciągów (p. art. Grocholskiego, Tyg. Podh. nr 17, 3 maja). Przeciętna roczna liczba turystów w Tatrach liczona jest w milionach. Jakies limity przecież muszą być. Nie ma nieograniczonych możliwości pomieszczenia w Zakopanem, w Tatrach ile tylko wlezie zwiedzających. Śmieszne są powtarzane w kółko analogie z Alpami: Tatry, wielokrotnie mniejsze od Alp mają spełnić taką jak Alpy rolę jakościowo i ilościowo.

Doprawdy, dawno już nie czytałam artykułu opartego na tak kompletnej i głębokiej ignorancji, a do tego zwłaszcza na kłamliwym przeinaczaniu faktów, na posługiwaniu się „faktami”, które już dawno zostały sprostowane (Gaz. Krak. nr 119, 26.V i nr 120, 27.V).

A zaczyna się ów artykuł od eleganckiego oznajmienia, że są ludzie używający nazwiska Byrcyn (dyrektor TPN) jako wyzwiska. No cóż! Wolno psu na Pana Boga szczekać, ale powtarzanie i naśladowanie tego szczekania nikomu zaszczytu nie przynosi.

Jeszcze mniej zaszczytu przynosi namawianie urzędnika państwowego jakim jest dyrektor TPN, do wyłamywania się z jego obowiązków służbowych, określonych ustawą o parkach narodowych. Zrozumcież raz nareszcie, oszołomy, że żaden dyrektor parku narodowego nie jest „Samodzierzą Wsierassiji” i na własną rękę nie mówi w razie potrzeby „Nie”, tylko wykonuje obowiązujące go przepisy, co też jak najbardziej słusznie czyni dyrektor Byrcyn, jak to podkreślił wiceminister ochrony środowiska prof. dr Andrzej Grzywacz.

Również według owego omawianego tu artykułu, TPN ma być jakoby solą w oku kilku milionów narciarzy i społeczności zakopiańskiej (która liczy parędziesiąt tysięcy). Ale te zakusy dążące do zawładnięcia i wykorzystania na swój sposób Tatrzańskiego Parku Narodowego, te projekty kombinatorskie, ta bezpardonowa walka o szmal — są gorzej niż solą w oku KILKUNASTU milionów społeczności polskiej, miłośników Tatr i ich wspaniałej, a zagrożonej przyrody.

Zaś na odwołaniu ze stanowiska dyr. Byrcyna zależy właśnie tylko małej grupie amatorów forsy. O protestach przeciwko tym zabiegom świadczy ogromna fala listów i wypowiedzi, broniąca Parku przed zniszczeniem, a dyr. Byrcyna przed pomówieniami i kłamstwami. Kłamstwem jest wiadomość, że Związek Podhalań wypowiedział się *in corpore* przeciw dyr. Byrcynowi. Opublikowane były tak głosy poszczególnych górali odcinających się od tego, jak i oficjalne zaprzeczenie Zarządu Głównego Związku Podhalań (Tyg. Podh. nr 19, 16.V). Kłamstwem jest również podawanie, że TPN zwleka z planem zagospodarowania Kasprowego. Park dawno wykonał wszystkie należące do niego zadania, a to właśnie miasto Zakopane zwleka, nie wykonując dotąd obowiązującego studium krajobrazowego, podstawy zagospodarowania (Gaz. Krak. 26.V i 27.V, Tyg. Podh. nr 17, 2.V).

I kłamstwem także jest twierdzenie, że Nosal i Kasprowy „zostały oddane we władanie zwolenników nart” (jeszcze by też), zezwolono tylko tam na ściśle określone inwestycje, „władanie” zaś należy do Parku. Dodajmy, że w żadnych zagranicznych parkach narodowych inwestycje takich nie wolno robić, a w statutach i regulaminach wyraźnie się podaje, że ani przemysłowe, ani ludyczne urządzenia znaleźć się w parkach narodowych nie mogą.

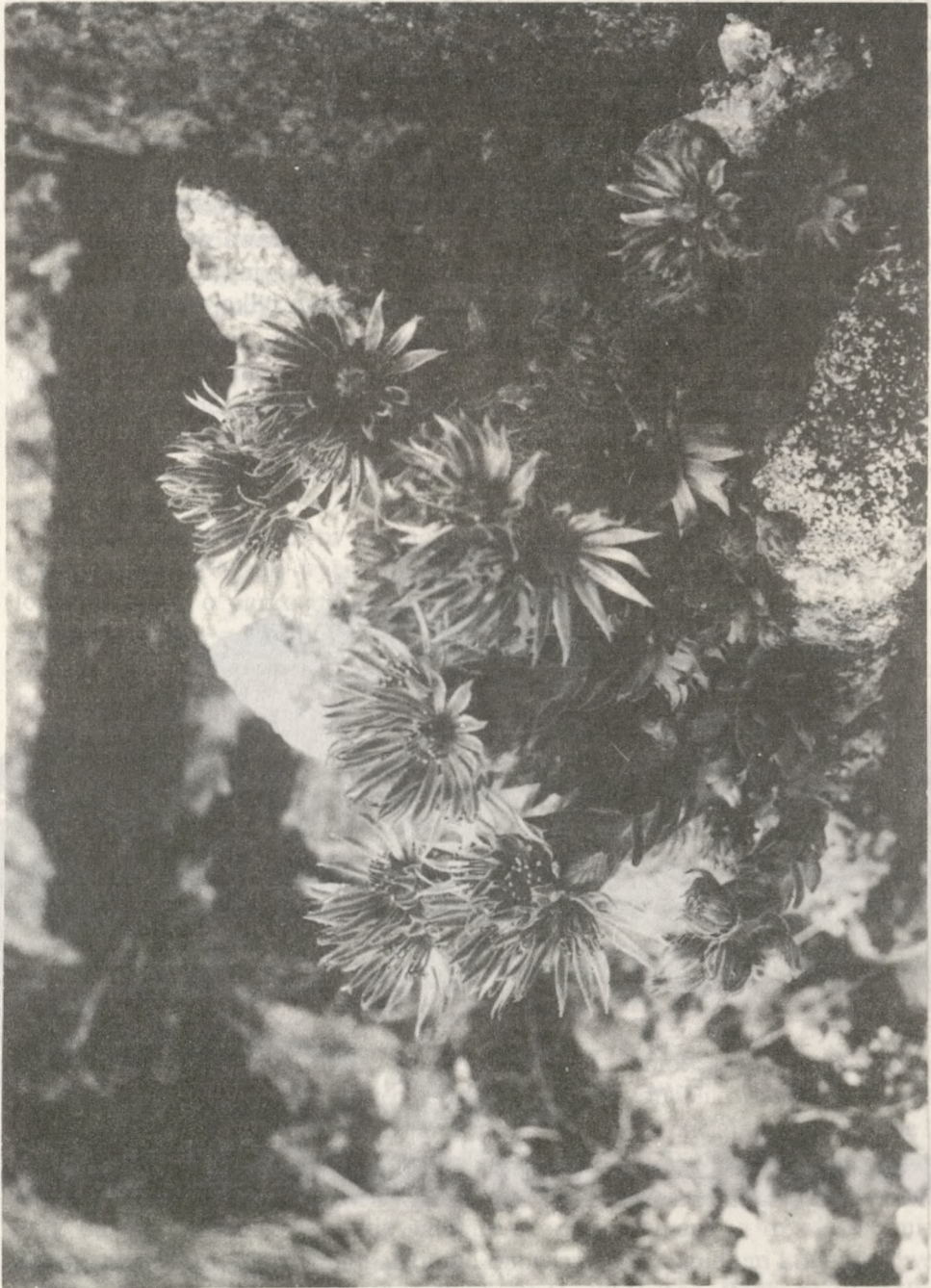
Podkreślę wreszcie, że jedynym gospodarzem TPN jest dyrekcja i właściwa władza (ministerstwo) i nikt inny nie może rościć sobie prawa do rządzenia się w Parku jak szara gęś po niebie. A pisanie takich tendencyjnych, obraźliwych, pełnych kłamstw i bzdur artykułów przynosi ich autorom tylko wstyd.



Ruiny zamku czorszyńskiego

Fot. A. Szubert (1905 r.)

Ścieszać się to argumenty, że przy „odpowiednim modernizowaniu” Tatr



Fot. J. Nowak

Artykuł dyskusyjny

KTO MA RZĄDZIĆ W PARKU NARODOWYM

Tomasz Kozik

Znane jest polskie przysłowie o braku jedzenia gdy kucharek sześć... Nie inaczej jest z władzą: gdzie sześciu rządzących tam brak poważnych rezultatów ich działań.

Tak jest w przypadku Tatrzańskiego Parku Narodowego. Tu terenem rządzi kto inny, drogi, mosty, kolejki i wyciągi należą do różnych właścicieli. Na przykładzie Tatrzańskiego Parku Narodowego chciałbym skromnie zaproponować pewne rozwiązanie tego galimatiasu.

Konflikt interesów między społecznością szerszą i węższą będzie chyba istniał zawsze. Przykładem może być choćby zwykłe wysypisko śmieci, którego istnienie jest konieczne w skali regionu, ale może być sprzeczne z interesami mieszkańców najbliższej osady. Wydaje się, że w takim sporze interesów, o racji którejś ze stron powinna rozstrzygać konieczność. Jeżeli coś jest ważne dla ogółu społeczeństwa, to interesy lokalne nie mogą być ważniejsze.

Park Tatrzański wprowadził częściowo uciążliwe ograniczenia dla niektórych mieszkańców Zakopanego i okolic; nie można ścinać hektarów drzew, wypasać owiec, pobierać kamienia jako surowca budowlanego, eksploatować minerałów, zbierać owoców lub chociażby spacerować po lesie byle jak i byle gdzie. Jest to jednak jedyny w Rzeczypospolitej obszar o charakterze alpejskim. Dlatego wymaga szczególnej obrony przed interesami mniejszych grup. Na razie idzie to kulawo. Szosa do Morskiego Oka z jednej strony podlega Tatrzańskiemu Parkowi Narodowemu, ale z drugiej — lokalnemu zarządowi dróg, który gdyby miał pieniądze, na

pewno naprawiłby szkody wyrządzone przez osuwiska. Czy dyrekcja TPN miałaby w tej sprawie coś do powiedzenia? Rodzi się więc pytanie, kto jest rzeczywistym panem sytuacji odnośnie tej szosy: dyrekcja dróg, czy dyrekcja Parku? Analogiczne pytanie można stawiać co do schronisk turystycznych, kolejki linowej itp. Szczególnie niekorzystny jest fakt, że teren Parku Tatrzańskiego jest jednocześnie terenem bądź to miasta Zakopanego, bądź to sąsiednich gmin. W celu uniknięcia w przyszłości konfliktu interesów władz Parku z władzami lokalnymi — trzeba teren Parku wyjąć całkowicie spod jurysdykcji sąsiadów.

Zbliżająca się reforma podziału administracyjnego Kraju nasuwa okazję do dokonania tego. Wszystkie parki narodowe w Polsce powinny stanowić wydzielone jednostki niezależne od miejscowej administracji i podległe organizacyjnie Ministerstwu Ochrony Środowiska.

Na terenie Parku jedynowładcą powinna być jego dyrekcja, która musi postępować z ogólną ustawą o ochronie przyrody i rozporządzeniem o powołaniu danego parku narodowego¹.

Trzeba wreszcie dokonać właściwej selekcji straży Parku, a wybranych ludzi uzbroić, by nie bali się kłusowników. Zaznaczam, że uzbrojona i wyposażona w radio straż powinna przede wszystkim, grzecznie pouczać turystów o zasadach ochrony przyrody.

Skąd na to wszystko pieniądze? Odnośnie dofinansowania, różnych inwestycji trzeba wyraźnie zaznaczyć, że administrator terenu tylko wydaje na nie zgodę, nie musi natomiast ich finansować. Jeżeli ktoś chce, aby przez Park biegła linia wysokiego napięcia czy szosa — to niech ją utrzymuje na własny koszt; jeżeli mu to nie odpowiada, będzie np. jeździł wyboistą drogą gruntową. Rola dyrekcji Parku będzie się sprowadzała do ewentualnego wyrażenia zgody, a także do nadzoru ekologicznego. W przypadku zagrożenia dla otoczenia, prowadzenia inwestycji bez wymaganej zgody lub sprzeczności poglądów, dyrekcja o silnych uprawnieniach zawsze będzie mogła wyegzekwować swoje zdanie. Ten sam, mechanizm powinien dotyczyć również części działalności bieżącej — np. utrzymywania linii autobusowej.

Wątpliwym źródłem są opłaty za parkingi lub wstępy do Parku. Jeżeli już one są — to czy nie należałoby ich egzekwować staranniej? W Tatrzańskim Parku Narodowym można (nawet wbrew swojej woli) uniknąć opłaty wchodząc doń o określonych porach (np. wcześniej rano, późnym popołudniem, wieczorem) lub w określonych miejscach (np. Dolina Lejowa, Żleb Staników, Toporowa Cyrhla).

Przejęcie na własność schronisk, wyciągów narciarskich itp. zapobiegłoby transferowi zysków poza Park i wzbogaciłoby jego kasę. Przy okazji niech wreszcie

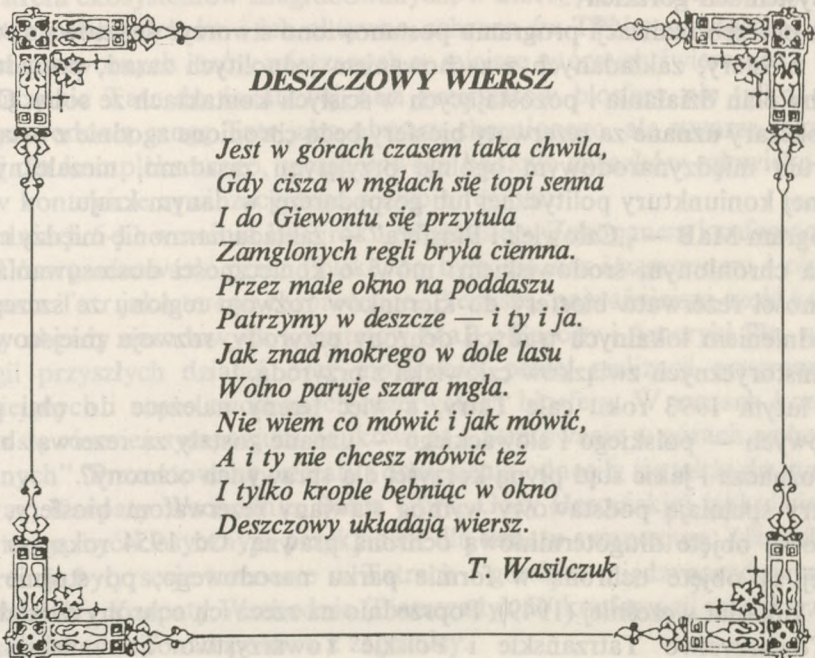
¹ W szczegółach może się okazać, że część władzy wygodniej jest pozostawić administracjom ościennym — np. obsługę zjawisk incydentalnych (pożary, zabójstwa). Chodzi tutaj głównie o wytyczenie szczylnych granic gospodarczych.

zostanie załatwiona sprawa 1000 ha Parku Narodowego, które do dziś oficjalnie należą do PTTK, a kiedyś członkowie TT i PTT kupili je, by założyć w Tatrach Park.

Wszystkie te zyski pokrywałyby koszty związane *stricte* z ochroną przyrody, konserwacją szlaków i badaniami naukowymi. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę, że istnieją takie dziedziny działalności, które bezpośrednich zysków nie przynoszą. Należą do nich ochrona przyrody.

Jeżeli nie zdecydujemy się na dofinansowanie ochrony przyrody, to ponieść będziemy musieli jeszcze większe wydatki, choć formalnie — na inne cele np. na import żywności, kupno leków, pokrycie spadku wydajności pracy, leczenie chorych niemowląt.

Uregulowań wymaga także status otuliny Parku. Wydaje się jednak, że wobec zmian ustrojowych, w tym decentralizacji nadającej lokalnym kacykom coraz większego znaczenia, „usuwerennienie” władz parków narodowych jest tym celem, do którego należy dążyć. W tym duchu także należy rozwiązywać konflikty korzeniami tkwiące w przeszłości. Nie mogą mieć racji poprzedni właściciele terenów objętych parkiem narodowym, którzy twierdzą „my byliśmy tu pierwsi, a Park powstał po nas”. Park narodowy jest prawnym reprezentantem interesów przyrody — każdego niedźwiedzia, sarny, świerku, czy źdźbła trawy. Wobec nich nikt nie może mówić, iż „był pierwszy”. Niestety jeszcze długo trzeba będzie bronić przyrodę przed tymi, którzy w imię cywilizacji, bądź płytko rozumianych potrzeb, chcieliby wszystko wyciąć, wystrzelać i zabetonować.



DESZCZOWY WIERSZ

*Jest w górach czasem taka chwila,
Gdy cisza w mgłach się topi senna
I do Giewontu się przytula
Zamglonych regli bryła ciemna.
Przez małe okno na poddaszu
Patrzymy w deszcze — i ty i ja.
Jak znad mokrego w dole lasu
Wolno paruje szara mgła.
Nie wiem co mówić i jak mówić,
A i ty nie chcesz mówić też
I tylko krople bębniąc w okno
Deszczowy układają wiersz.*

T. Wasilczuk

TATRY REZERWATEM BIOSFERY

Barbara Morawska-Nowak

W roku 1971 Międzynarodowa Unia Ochrony Przyrody powołała program badań pod hasłem „Człowiek i Biosfera” („Man and Biosphere”, w skrócie „MaB”). Od początku jego istnienia Polska jest jednym z 24 krajów świata wchodzących w skład Rady Koordynacyjnej programu. W odniesieniu do gór w ramach programu znalazł się m.in. temat: „Skutki działalności ludzkiej w ekosystemach górskich”.

Dla potrzeb realizacji programu postanowiono stworzyć światową sieć rezerwatów biosfery, zakładanych z zachowaniem jednolitych zasad, posiadających podobny plan działania i pozostających w ścisłych kontaktach ze sobą. Oznacza to, że obszary uznane za rezerваты biosfery będą chronione zgodnie z ustalonymi na forum międzynarodowym ogólnie przyjętymi zasadami, niezależnymi od aktualnej koniunktury politycznej lub gospodarczej w danym kraju.

Program MaB – „Człowiek i Biosfera” – zakłada harmonię między człowiekiem, a chronionym środowiskiem: mówi o konieczności dostosowania zasad działalności rezerwatu biosfery do kierunków rozwoju regionu ze szczególnym uwzględnieniem lokalnych tradycji ochrony przyrody, rozwoju miejscowej kultury i historycznych związków człowieka z przyrodą.

W lutym 1993 roku całe Tatry, a więc tereny należące do obu parków narodowych – polskiego i słowackiego – uznane zostały za rezerwat biosfery. Co to oznacza i jakie stąd płyną korzyści dla sprawy ich ochrony?

Tatry spełniają podstawowy wymóg stawiany rezerwatom biosfery, a mianowicie są objęte długoterminową ochroną prawną. Od 1954 roku po stronie polskiej są objęte ochroną w formie parku narodowego, po stronie słowackiej o kilka lat wcześniej (1949). Poprzednio na rzecz ich ochrony działało przez lata Towarzystwo Tatrzańskie i Polskie Towarzystwo Tatrzańskie (patrz:

Pamiętnik PTT t. I [1992] str. 208-217). Po słowackiej stronie w myśl tych samych zasad działał KČST czyli Klub Československých Turistu. W latach trzydziestych oba państwa wykupywały duże posiadłości w Tatrach, by je objąć ochroną (Rząd Czechosłowacji wykupił majątek Hohenlohego, a polski własności Uznańskich i Fundacji Kórnickiej).

Innym ważnym wymogiem każdego rezerwatu biosfery jest strefowanie antropogenicznych wpływów na przyrodę rezerwatu; przy czym muszą być wydzielone minimum dwie strefy: jądro i strefa buforowa. W rezerwacie biosfery Tatry wydzielono 4 strefy, a mianowicie:

I — jądro rezerwatu (ściśle reżim ochronny) stanowiąc mają najmniej przekształcone tereny w Dolinie Rybiego Potoku, Dolinie Pięciu Stawów Polskich, w części Doliny Gąsienicowej, w masywie Czerwonych Wierchów i górnej części Doliny Kościeliskiej.

II — strefa buforowa, otaczająca jądro rezerwatu — obecne rezerwaty ściśle regła górnego: rejon Kasprowego Wierchu, Giewontu, Regli Zakopiańskich, Komińskiego Wierchu i górnych partii Doliny Chochołowskiej.

III — strefa przejściowa, strefa harmonijnego zagospodarowania — Dolina Chochołowska i Lejowa. Dopuszcza się tam tradycyjne formy gospodarki leśnej, pasterstwa, pozyskiwania zwierzyny. W strefie tej będzie dana możliwość pogodzenia rozwoju społeczności lokalnej z równoczesnym zachowaniem wysokich walorów przyrodniczych regionu.

IV — strefa ekosystemów zdegradowanych, w której prowadzona będzie przebudowa tych ekosystemów i ich aktywna ochrona (w TPN przywracanie w reglu dolnym pierwotnych lasów mieszanych w miejsce wtórnych świerczyn).

Włączenie Tatr do światowej sieci rezerwatów biosfery nie tylko podnosi międzynarodową rangę Tatr jako obszaru chronionego, ale stwarza także możliwości dla kompleksowego, szczegółowego badania związków człowieka z przyrodą w kontekście cywilizacyjnego rozwoju regionu.

W dniach 6-11 września 1993 roku odbyła się w Zakopanem konferencja Euro MaB IV organizowana przez Polskę, co było dla nas i zaszczytem i okazją do pokazania Tatr jako terenu chronionego. Pierwszą, najważniejszą część konferencji były obrady narodowych komitetów MaB z Europy i Ameryki Płn. na temat strategii przyszłych działań oraz możliwości pełnej realizacji programu MaB w istniejących i nowo tworzonych rezerwach biosfery. W ramach konferencji odbyło się również sympozjum naukowe pt. „Strefowanie w górach wobec zmian globalnych”. Prezentowane referaty i doniesienia odnosiły się także do innych gór (Kaukaz, Karpaty Wschodnie, Babia Góra, Góry Herceńskie) jakkolwiek nasze Tatry mogą być klasycznym przykładem dla tematu sympozjum. Uzupełnieniem konferencji były sesje terenowe w Tatrach i górskim międzynarodowym rezerwacie biosfery Karpaty Wschodnie (Bieszczady). W konferencji udział wzięło ok. 100 osób, w tym ponad połowa z zagranicy.

United Nations Educational, Scientific
and Cultural Organization



Programme on Man and the Biosphere

By decision of the Bureau of the International
Co-ordinating Council of the Programme on Man
and the Biosphere, duly authorized
to that effect by the Council

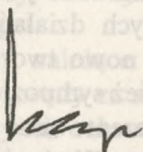
Tatra Biosphere Reserve

is recognized as part
of the international network of Biosphere Reserves.

This network of protected samples of
the world's major ecosystem types
is devoted to conservation
of nature and scientific research
in the service of man.

It provides a standard against which can be measured
the effects of man's impact
on his environment.

Date Paris, 15 February 1993


Director-General
of Unesco

III
120 lat

Towarzystwo
Tatrzańskie

Z ostatniej chwili!

APEL UCZONYCH O UZNANIE TATR ŚWIATOWYM DZIEDZICTWEM LUDZKOŚCI

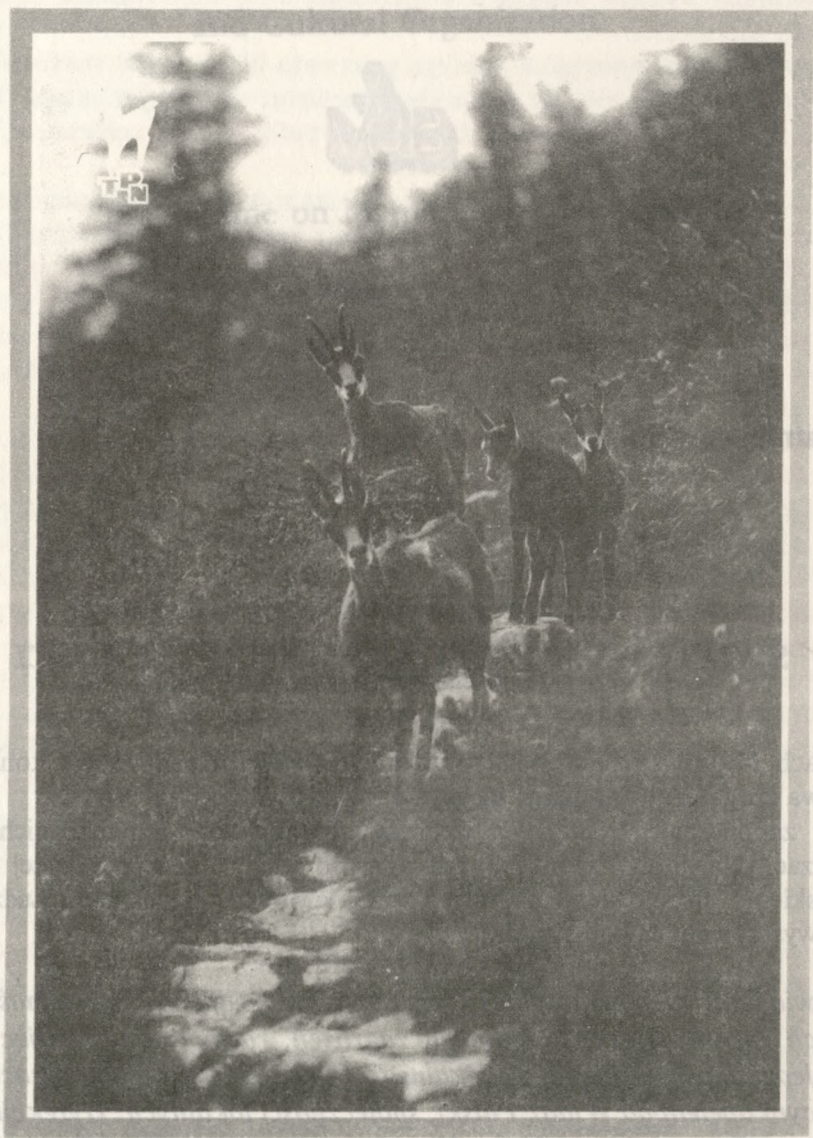
W dniach 11–13 sierpnia 1993 roku odbyła się międzynarodowa konferencja naukowa zorganizowana przez Instytut Biochemii i Biofizyki PAN.

Na zakończenie konferencji zebrani wystąpili do odpowiednich agend Organizacji Narodów Zjednoczonych oraz do władz Rzeczypospolitej Polskiej z wnioskiem o ustanowienie obszaru Tatr Światowym Dziedzictwem Ludzkości.

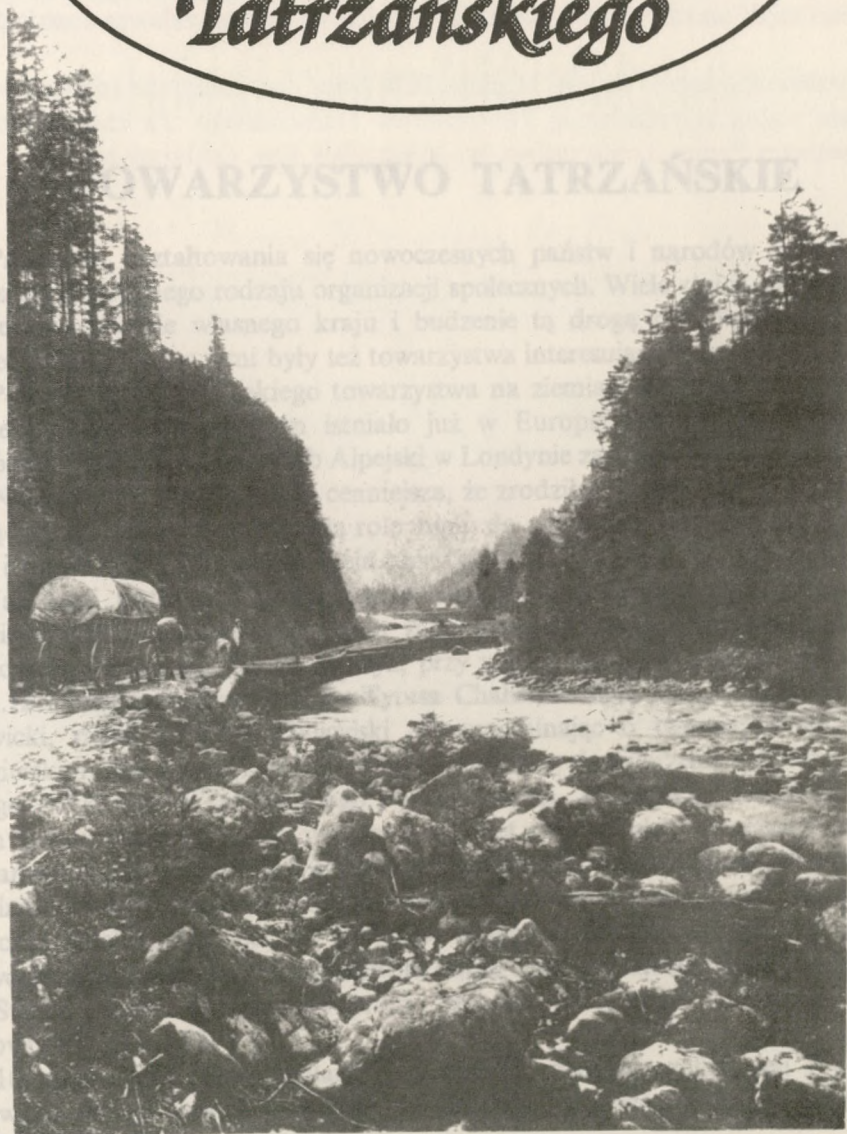
W wystąpieniu czytamy m.in.:

„Świadomi niepowtarzalnego piękna i przyrodniczej bezcenneści Tatr oraz ich różnorodnych, ogromnych zagrożeń, równocześnie czując współodpowiedzialność za los tego unikalnego Parku Narodowego, zwracamy się z gorącym apelem do Władz Polski, społeczności lokalnych, Dyrekcji i Rady Naukowej Tatrzańskiego Parku Narodowego oraz organizacji międzynarodowych, w szczególności UNESCO oraz Komitetu "Man and Biosphere" o podjęcie niezbędnych kroków na rzecz uznania Tatr za Światowe Dziedzictwo Ludzkości oraz zintensyfikowanie działań na rzecz ich ochrony”.

United Nations Educational, Scientific



III
120 lat
Towarzystwa
Tatrzańskiego



TOWARZYSTWO TATRZAŃSKIE

Procesowi kształtowania się nowoczesnych państw i narodów towarzyszyło powstawanie różnego rodzaju organizacji społecznych. Wiele z nich stawiało sobie za cel poznawanie własnego kraju i budzenie tą drogą patriotycznych postaw społecznych. Między nimi były też towarzystwa interesujące się specjalnie górami.

Pomysł utworzenia takiego towarzystwa na ziemiach polskich nie spadł więc z nieba. Przed 1873 rokiem istniało już w Europie 15 towarzystw górskich, z których najstarszym był Klub Alpejski w Londynie zawiązany 22. XII.1857 roku.

Nasza inicjatywa była tym cenniejsza, że zrodziła się pod zaborami, w nieistniejącym państwie i tym większą rolę miało do odegrania Towarzystwo Tatrzańskie i to nie tylko jako organizacja turystyczna.

Jak głosi historia, 3 sierpnia 1873 roku na obiedzie wydanym w kuźnickim „Zwierzyńcu” przez właściciela dóbr zakopiańskich Ludwika Eichborna na cześć właściciela Szczawnicy Józefa Szalaya, przy udziale wielu znakomitych osobistości m.in. ks. Józefa Stolarczyka i dr Tytusa Chałubińskiego, jeden z gości — Feliks Pławicki, poseł na Sejm Galicyjski — wspominając o tworzącym się właśnie Węgierskim Towarzystwie Karpackim, zaproponował utworzenie natychmiast polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego z przydomkiem „Galicyjskie” z siedzibą w Nowym Targu. Większość gości utworzyła komitet założycielski Towarzystwa, a opracowanie Statutu powierzono Feliksowi Pławickiemu i adwokatowi Franciszkowi Biesiadnickiemu (ostatecznie drugim autorem Statutu był Eugeniusz Janota). Założyciele zadeklarowali po 100 guldenów wpłaty na fundusz założycielski, co było wówczas znaczną kwotą, ale umożliwiło dobry start dla działalności Towarzystwa.

Statut został zatwierdzony przez „cesarsko-królewskie” namiestnictwo we Lwowie 19 marca 1874 r.

10 maja 1874 roku zwołano w Krakowie zebranie założycieli i wybrano pierwszy zarząd zwany wówczas „Wydziałem” z prezesem hr. Mieczysławem Reymem.

Pierwszy rok istnienia Towarzystwa był okresem kształtowania się jego oblicza i składu władz. Obok arystokratów weszli potem do Wydziału niezamożni inteligenci — profesorzy gimnazjalni jak Leopold Świerż czy Walery Eljasz. To oni z czasem okazali się najbardziej zaangażowanymi działaczami. Były też spory o siedzibę Towarzystwa. Zwyciężył Kraków.

31 maja 1874 roku na pierwszym walnym zgromadzeniu wszystkich członków dokonano zmian w Statucie usuwając z nazwy przymiotnik „Galicyjskie” i wprowadzono zapis umożliwiający tworzenie oddziałów w całym zaborze austriackim.

Wyobrazili sobie, że jest 31 maja 1874 roku i w Krakowie rozpoczyna się pierwsze walne zgromadzenie Towarzystwa Tatrzańskiego. Za chwilę zabierze głos pierwszy Prezes Towarzystwa hr. Mieczysław Rey. Oddajmy mu głos:



rys. w. nat. i lit. M. G. Staryński

rys. lit. P. Pallera, me. L. Wernic

WYBUCH CZARNEGO DUNAJCA

w dolinie Kościelisko, w obwodzie Sandeckim od północy.

ZAGAJENIE

PIERWSZEGO WALNEGO ZGROMADZENIA

TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO *14 maja 1910 r.*

PRZEZ

Przesa Mieczysława hr. Reya.

Witając Szanownych Panów, mam zaszczyt zagać pierwsze walne posiedzenie Członków Towarzystwa Tatrzańskiego. Widząc po większej części w rękach szanownych panów statut naszego Towarzystwa, określający cel tegoż, sędzę, że jest on znanym Szanownemu Zgromadzeniu. Cel ten da się określić dwoma słowami: *pożytek* i *przyjemność*. Pożytek dla kraju, dla umiejętności, w badaniu — ile siły Towarzystwa pozwolą — i w niesieniu pomocy w badaniach przyrodniczych tych skarbów, które przyroda złożyła w łonie gór naszych. Przyjemność w rozszerzaniu wśród naszej społeczności zamiłowania do alpejskiej przyrody, w ułatwianiu przystępu do rdzenia gór podróżnikom w Tatry, w ulepszeniu komunikacyj, w wytworzeniu możebnych wygod, bez których góry nasze, mimo swego uroku, wielu odstręczać nie przestaną.

Dzięki zasłużonym mężom nauki i pióra, dzięki artystom naszym, góry ojcyste zaczynają coraz więcej zaludniać się podróżnikami; ale brak owych wygod i ulepszeń, pierwotny prawie stan Tatr jest główną przyczyną, że nie są one dostatecznie poznane, uznane i cenione, że nie pozyskały, że się tak wyrażę, należnej im sławy. A jednak ktokolwiek zwiędził góry nasze, ten przyznać musi, że przyroda ma tam tyle piękna, pełna majestatycznej grozy i wdzięku, tak jest niezwykłą, tak zachwycającą, że śmiało spółzawodniczyć one mogą z najrozgłośniejszymi górami innych krajów, a cóż dopiero mówić o zdobyczach, jakie umiejętność wydobyć może z tego świata skalistych olbrzymów. Jestto jeszcze *terra incognita* pod względem wyczerpujących badań i na tém polu nietylko nauka ale i dobrobyt kraju znacznych może się spodziewać korzyści. W innych krajach istnieją oddawna podobne naszemu Towarzystwu, istnieją i rozwijają się szybko i przyczyniają się wielce do spopularyzo-

wania zamięłowania do przyrody, do badania jęj tajemnic, a tęp samęp dają pokarm dla myśli i serca, podnoszą myśl i serce, a przeto uzacniać muszą. Nieodżałowanej pamięci śpiewak ziemi naszej, który był zarazem wielkim miłośnikiem przyrody, znakomitym geografem i geologiem, powiedział:

„W góry! w góry! miły bracie!
Tam swoboda czeka na cię“.

W tych kilku słowach poety wielka zamyka się prawda, którą każdy z nas uczuł odetchnąwszy świeżem gór powietrzem: bo niezaprzeczenie nie ma silniejszego związku nad tajemniczy węzeł łączący każdą jednostkę z całą przyrodą. Piękna i wielka natura oddziaływa całą potęgą swoją, przemawia do człowieka całą swoją tajemniczą siłą i ztąd w duszy rodzi się ta swoboda, o której śpiewa poeta, swoboda opierająca się na wzniesieniu ducha w krainy piękna, bo tylko w tych krainach duch ludzki prawdziwie swobodnym być może. Powiedziałem swobodnym, a mógłbym przypomnieć, że jeśli gdzie, to w górach uczucia *wolności* najprzód w piersi budziły się ludzkie; wolności opartej na prawie i porządku, bez których nie ma wolności, a której natura jest najdoskonalszym wzorem. Jest wolną pomimo nieprzekraczalnych praw swoich, a jest piękną, bo wolną.

Gór to tedy — jak powiedziałem — jest tajemną siłą rozbudzanie wielkich i szlachetnych uczuć, oraz wzniosłych natchnień. Wszak i w literaturze naszej posiadamy wiele drogocennych pereł i w malarstwie niejeden klejnot, do których poeci i artyści czerpali natchnienie w pośród alpejskiego świata, a mam nadzieję, że i w naszym towarzystwie znajdzie się zastęp ludzi, co podąży z pomocą pracom Komisji fizyograficznej w jęj badaniach przyrodniczych, jako i innym mężom nauki oraz i artystom. Zebraliśmy się tutaj przynosząc dobrą wolę. Dołożmy do nięj i to, czego nam Polakom najwięcej brakuje, wytrwałości i pracy, a da Bóg, że nasze Towarzystwo w skromnym swym zakresie działania przysłuży się społeczeństwu i krajowi.

Z wielką radością pośród was, panowie, widzę mężów wielkiej zasługi, znakomitej wiedzy i wybitnego stanowiska.

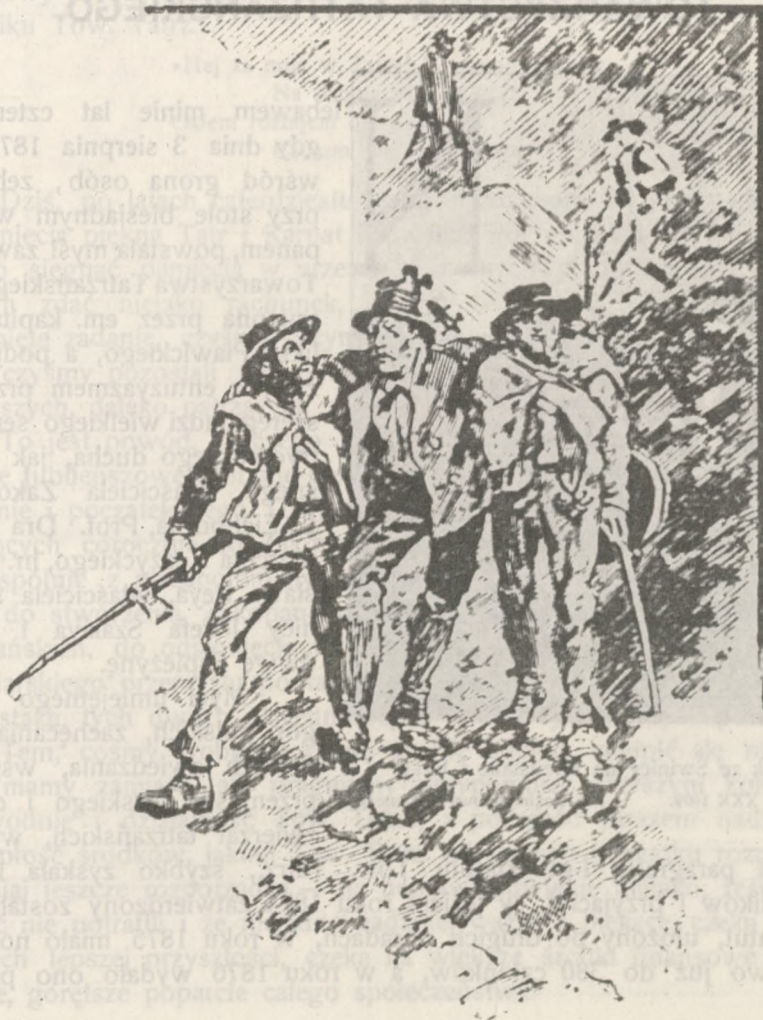
Jako przewodniczący imieniem całego Towarzystwa składam dzięki wielce szanownym panom: Dr. Majerowi, Prezesowi Akad. Umiej., Dr. Kuczyńskiemu, Przewodniczącemu w Komisji fizyograficznej, oraz p. Bobowskiemu, reprezentantowi Wys. rządu, że raczyli przystąpić do naszego Towarzystwa i dzisiaj obecnością swoją zaszczycają nasze zgromadzenie, dodając mu tęp samęp powagi i uznania jęgo celów, na które to ogólne uznanie pragnąłbym, ażeby nasze Towarzystwo czynami umiało sobie zasłużyć.

Za jeden z najważniejszych warunków powodzenia naszego Towarzystwa uważam jak najściślejsze stosunki tegoż z Komisją fizyograficzną, utworzoną przy Akademii Umiejętności w Krakowie. Obecność tedy dzisiejsza obudwóch prezesów tych wysokocennych instytucyj, pozwala mi mieć nadzieję, że obiedwie te instytucyje przychylnęm i przyjaznęm okiem spoglądają na zakładające się Towarzystwo Tatrzańskie i jęgo cele. W końcu obecność reprezentanta Wysokiego rządu między nami daje mi otuchę, że i Wysoki rząd nie zechce nam odmawiać swego poparcia.

Z dobrą tedy, panowie, wróżbą, z dobrą otuchą i wytrwałością przystępujemy do pracy — a uczciwęj myśli życzę z całego serca „Szczęść Boże!“

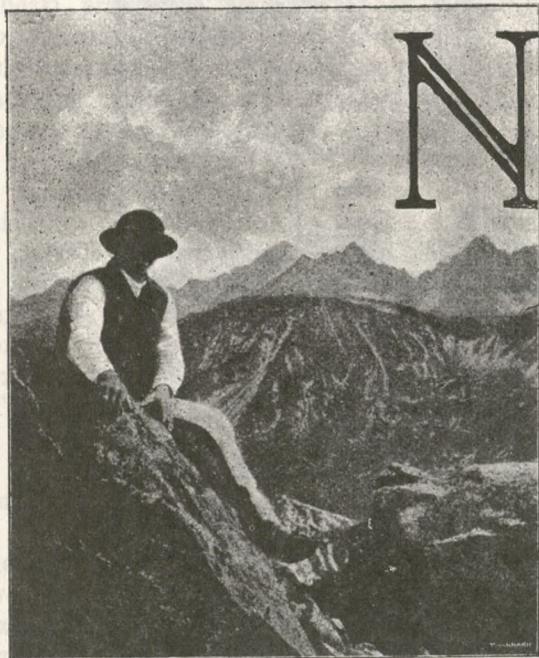
W roku 1913 podsumowywano 40-letnią działalność Towarzystwa Tatrzańskiego. Dokonał tego ówczesny prezes TT prof. Władysław Szajnocha, a przyszłe zadania Towarzystwa nakreślił przewodniczący Sekcji Ochrony Tatr dr Jan Gwalbert Pawlikowski.

Mimo, że od tego czasu minęły już dwa następne czterdziestolecia, wiele zawartych w tych wystąpieniach ocen i poglądów nie straciło na aktualności. Dlatego w Pamiętniku pełne teksty wystąpień obu reprezentantów ówczesnego Towarzystwa Tatrzańskiego.



DR. WŁADYSŁAW SZAJNOCHA.

POGLĄD NA CZTERDZIESTOLETNIĄ-DZIAŁALNOŚĆ TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO.



Widok ze Świnicy na Miedziane i Rysy.

Pam. T. T. XXX 1909.

Fot. Kazimierzowa Kostanecka.

Niebamem minie lat czterdzieści, gdy dnia 3 sierpnia 1873 roku wśród grona osób, zebranego przy stole biesiadnym w Zakopanem, powstała myśl zawiązania Towarzystwa Tatrzańskiego, myśl rzucona przez em. kapitana Feliksa Pławickiego, a podjęta później z entuzjazmem przez cały szereg ludzi wielkiego serca i patriotycznego ducha, jak ówczesnego właściciela Zakopanego L. Eichborna, Prof. Dra Janotę, Marcina Kęszyckiego, hr. Mieczysława Reya, właściciela Szczawnicy Józefa Szalaya i Ks. Jądwigę Sapieżynę.

Myśl umiejętnego badania gór polskich, zachęcania ogółu do ich zwiedzania, wspierania przemysłu górskiego i ochrony zwierząt tatrzańskich, wyrażona w 1-y m paragrafie I-go statutu Tow. Tatr., szybko zyskała licznych zwolenników i przyjaciół, w jesieni roku 1874 zatwierdzony został ostateczny statut, ułożony po długich obradach, w roku 1875 miało nowe Towarzystwo już do 380 członków, a w roku 1876 wydało ono pierwszy

Z dobrą tedy, panowie, wrodłą, z dobrą stacą i wytrwałością przystępujmy do pracy — a uczciwej myśli tyje z całego serca „Szczęść Boże!”

Pamiętnik z poezjami Asnyka i Władysława Ludwika Anczyca i artykułami o Tatrach i Czarnohorze profesora M. Nowickiego, Dra Wierzbickiego, Księdza Sutora, Księdza Stolarczyka, Księdza Witwickiego i innych.

Celem Tow. Tatr., mówił w roku 1874 pierwszy prezes Tow. Tatr. hr. Mieczysław Rey, jest pożytek dla kraju i dla umiejętności w poznawaniu i badaniu tych skarbów, które przyroda złożyła w łonie gór naszych, i przyjemność w rozszerzaniu zamilowania do tej przyrody, w ułatwianiu przystępu do rdzenia gór i w ulepszeniu komunikacyi, a prawdziwie narodowy poeta, Władysław L. Anczyc, wołał z zapalem w pierwszym Pamiętniku Tow. Tatr.:

»Hej za mną w Tatry! W ziemię czarów,
Na strome szczyty gór!
Okiem rozbijem dal obszarów,
Czołami sięgniem chmur«.

Dziś, po latach czterdziestu, nam dziedzicom tej przewodniej, myśli odświeżenia piękna Tatr i Karpat i otwarcia gór polskich dla całego narodu, wolno sięgnąć pamięcią w przeszłość naszych początków i należy sobie samym zdać niejako rachunek, czyśmy — chociaż w części — spełnili wytknięte zadanie, czyśmy przynieśli krajowi i narodowi prawdziwy pożytek i czyśmy pozostali wiernymi tym ideałom, jakie przyswiecały oczom pierwszych, daleko patrzących założycieli Tow. Tatr.

To jest powód, dla czego Wydział Tow. Tatr. pragnął urządzić dziesięcioletnie Jubileuszowe zebranie Członków Tow. Tatr. i przypomnieć ogółowi istnienie i początek tego Towarzystwa, o którym niejeden z tych tysięcy jeżdżących corocznie do Zakopanego zapomina łatwo, niepomyślnie, że ono to wspólnie z niezapomnianym Drem Chałubińskim przyczyniło się głównie do stworzenia Zakopanego, do udostępnienia grzbietów i szczytów Tatrańskich, do odświeżenia Czarnohory, do wytworzenia nowoczesnego rzeźbiarskiego przemysłu podtatrańskiego i do ocalenia od zagłady Kozicy i Świstaka, tych dwóch najcenniejszych ozdób żywej przyrody tatrańskiej.

Tem, cośmy zrobili, a raczej zrobić zdołali, chęć się nie chcemy i nie mamy zamiaru, ale pragniemy przypomnieć szerszym kołom myśli przewodniej i działalności Tow. Tatr., a podnieść zarazem nadzwyczajną szczupłość środków, jakimi Tow. Tatr. od samego początku rozporządzało i dzisiaj jeszcze rozporządza — na usprawiedliwienie niejako, żeśmy więcej zrobić nie potrafili i że niejedno zadanie, ważne i piękne, czeka w górach naszych lepszej przyszłości, czeka na większe środki finansowe i na gorliwsze, gorętsze poparcie całego społeczeństwa.

Tow. Tatr. w pierwszej linii dbało przede wszystkim o zachowanie Polsce każdego kawałka ziemi górskiej i pilnowało polskiego charakteru każdej piędy Karpat i Tatr. Gdy nasi sąsiedzi węgierscy przed kilkunastu laty poczęli sobie rościć urojone prawa do części Morskiego Oka, tej perły Tatr Wysokich, całe społeczeństwo polskie jak jeden mąż stanęło w obronie praw historycznych do tego bezwartościowego, a przecież bezcennego kawałka nagich skał i posępnego jeziora i Tow. Tatr. stało się organem wykonawczym obrony kraju, który i zebrał liczne materiały prawne, potrzebne do rozsa-



Zbójnicy tatrzańscy.

Pam. T. T. XXVI. 1905.

dzenia sporu i poinformował o nich wszystkie kompetentne i rozstrzygające czynniki. Cały szereg ludzi, chętnych i gorących patriotów, przyszedł wtedy Tow. Tatr. z wydatną i gorliwą pomocą, a z pośród nich i dzisiaj nie wolno nam zapominać o tych rzecznikach narodowej sprawy: sędzi polubownym z naszej strony Ekscellencyi Dr Aleksandrze Tchórznickim, o b. galicyjskim prokuratorze skarbu Dr Wiktorze Kornie i znakomitym historyku prof. Balcerze, którzy, wszyscy razem, ten proces narodowy wygrali i zdobyli prawnie na zawsze to, cośmy i dawniej już posiadali i z czego dumniśmy byli, jako z precudnego tworu przyrody, o którym mówił wielki poeta Asnyk, iż tam:

»myśl twórcza straszliwą pięknnością wykwiła:

Pięknnością niezmierną potęgi i siły .



Szczyt Babiej Góry, według rysunku W. Eljasza Radzikowskiego z r. 1860.

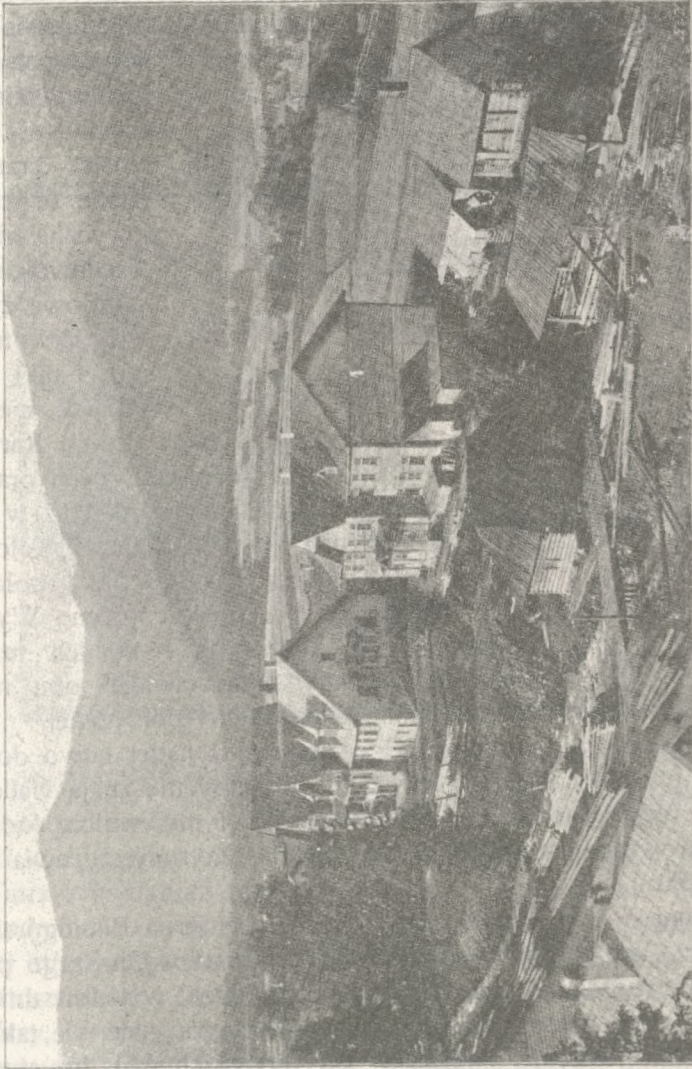
Pam. T. T. XXVI. 1905.

Łatwiejsze zadanie miało Tow. Tatr. z kresami Polskich Karpat na wschodzie i zachodzie. Tam nie chodziło o odzyskanie dawnych praw, lecz tylko o utrzymanie polskiego narodowego stanu posiadania. Już w r. 1876 utworzył się Oddział Stanisławowski, a później w r. 1878 Oddział Kołomyjski Tow. Tatr., które oba, później w jeden oddział: Czarnohorski połączone, wzięły w opiekę Czarnohorę, to najwyższe i tak piękne pasmo Wysokich Karpat, otwały ją dla szerokiego koła krajowych i obcych turystów i szeregowały w zastępach swych członków przedstawiciele obu narodowości, Polaków i Rusinów, bez różnicy plemiennej i politycznej.

Dzisiaj Czarnohora, Chomiak i Gorgany są już nader łatwo dostępne i te przepiękne grzbiety lesiste i kwieciste połoniny nie znają walk narodowościowych między tamtejszą, rdzennie ruską i malowniczą ludnością, a polskimi wędrowcami, szukającymi tam piękna przyrody, zdrowia i swobody ducha i ciała.

Podobne narodowe zadanie miał i ma do spełnienia Babiogórski Oddział Tow. Tatr., utworzony w roku 1905, z inicjatywy naszego członka honorowego Dra Hugona Zapałowicza. Z pod Wawelu w piękne dni wiosenne możemy łatwo dojrzeć śnieżny grzbiet Babiogóry, ale nie tak łatwo było urządzać tam dawniej wycieczki dla szerokich kół turystycznych i z żalem musimy wyznać, że obcy prędzej się na pięknościach tego potężnego trzonu górskiego poznali, niżli my sami. Oddział Babiogórski musiał też wobec napływu tamże obcych, nie polskich turystów, wywieścić

Rok też 1902, rok wygrania sporu o Morskie Oko, zapisał się złotymi głoskami w dziejach i Tatr i Tow. Tatr. i od tego roku jesteśmy bogatsi w posiadanie narodowe niebotycznych stoków Rysów i Mięguszwieckiego i w podniosłość przeświadczenie, że prawa historyczne nie znają przedawnienia, że narodowi żywemu jego pierwotnej własności nikt trwale odebrać nie zdoła.



Szkola zawodowa dla przemysłu drzewnego w Zakopanem, obok (na lewo) dawnego Dworca Tow. Tatr., spalonego w r. 1900.

na Babiej Górze przede wszystkim sztandar narodowego posiadania i zaznaczyć że, my tam jesteśmy we własnym domu, na własnej ziemi. Dzisiaj i tam możemy być już spokojni, stoimy już na straży piękności naszego kraju naszymi siłami, w naszym schronisku Babiogórskiego Oddziału.

O wiele łatwiejsze zadanie miały dwa inne nasze Oddziały: Pieniński założony w r. 1893 i Nowosądecki, utworzony w r. 1906, które oba na obszarze tak uroczych Pienin i lesistego sandeckiego Beskidu mogły całą

swą działalność wyteńczyć w kierunku czysto turystycznym, torowania i budowania ścieżek, łatwiej dostępnych i mniej kosztownych.

Obok piękności dzikiej przyrody Tatr i Karpat, równowartościowym czynnikiem dla bogactwa narodowego jest człowiek, zamieszkujący od wieków te lesiste i skaliste pustkowia. I nim, tym ludem tatrzańskim i karpackim, jego życiem, dobrobytem i przemysłem musiało się zająć Tow. Tatr. Przez otwarcie tysiącom wędrowców łona Tatr i wysokich Karpat, już tem samym podniósł się dobrobyt tamtejszych mieszkańców i społeczna kultura i poziom oświaty tego ludu, oraz poczucie narodowej wspólności. Tow. Tatr. budową schronisk, dróg



Waltery Cjanz R.

Górale zakopańscy.

Pam. T. T. XXVI. 1905.

i ścieżek i bezpośrednim zetknięciem się miejskiego turysty z ludem góralskim działało siłą rzeczy cywilizacyjnie i niejednokrotnie uszlachetniająco i rozbudzało potrzeby ducha i nowoczesnego życia u górali, tak często opornych wobec wszelkiego postępu. Ale poza tą bezwiedną, mimowolną niejako działalnością, była i akcja celowa, uwidoczniająca się niejednokrotnie w pewnych kierunkach. Tow. Tatr. już w r. 1876 założyło w Zakopanem skromniuchną początkowo szkołę rzeźbiarską, która dzisiaj roz-

rosła się w wielką Zawodową Szkołę dla przemysłu drzewnego i która dała chleb do ręki blisko 400-tu swym wychowankom, dobrobyt ich rodzinom i wygląd artystyczny ich siedzibom i wyrobom.

Przy poświęceniu nowego budynku tej Szkoły w lipcu 1883 r. mówił o Tow. Tatr. tak zasłużony dla Tatr proboszcz Zakopański X. Stolarczyk, że »je na szczęście Zakopanego Opatrzność Boska jakby ze snu wywołała«, i że »Tow. Tatr. naprawdę i sprawiedliwie, jako twórca tego Zakładu, na węgielnym kamieniu ku wiecznej pamięci wyrytem być powinno«.

Tow. Tatr. może więc chlubić się tem swoim dziełem, dokonaniem w interesie ludu podhalańskiego.

O historię tego ludu, jego zwyczaje, tradycje, podania i stroje dba przedewszystkiem zawiązana w r. 1911 Sekcja Ludoznawcza w Zakopanem, której rozwoju prac i badań odnośnie do całego ludu polskiego, okolice podtatrzańskie zamieszkującego, szczerze wszyscy pragniemy.

Tow. Tatr. nie zapomina nadto nigdy i o bratnim narodzie ruskim we wschodniej Galicyi, i świetna wystawa etnograficzna huculszczyzny, urządzona przez Oddział Czarnohorski Tow.

Tatr. w Kołomyi w r. 1880 i liczne prace w Pamiętniku Tow. Tatr. o huculach, świadczą dowodnie o naszych staraniach i w tę także, ruską stronę skierowanych.

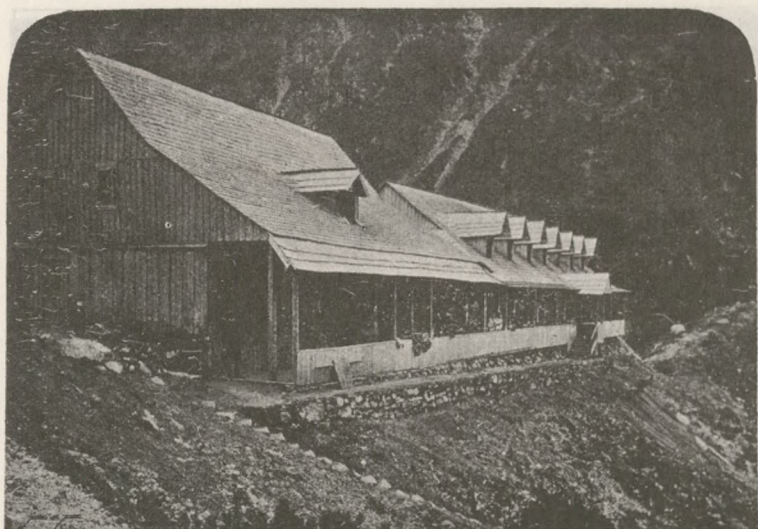
Poza działalnością narodową i ludoznawczą, działalność naukowa i czysto turystyczna Tow. Tatr. wysuwa się na pierwszy plan. Tow. Tatr. od samego początku istnienia zajmowało się badaniami naukowymi nad



Pierwsze schronisko Tow. Tatr. nad Morskiem
Okiem w r. 1874.

Pam. T. T. XXIV. 1903.

fauną, florą i budową geologiczną Tatr i Karpat, nad tak pięknymi jeziorami tatrzańskimi i nad klimatem górskim i całe szeregi odnośnych prac, publikowanych w Pamiętniku Tow. Tatr., możnaby tutaj wymienić obok licznych górskich stacji meteorologicznych, utrzymywanych kosztem i staraniem Tow. Tatr. Zawiązana w r. 1911 Sekcja Przyrodnicza w Zakopanem popularyzowaniem wiadomości przyrodniczych o Tatrach przez wykłady publiczne i utrzymywaniem tamże stałej Stacji meteorologicznej położyła



Uzupełnione schronisko Tow. Tatr. nad Morskim Okiem w r. 1892,
spalone 1/X 1898.

Pam. T. T. XXIV. 1903.

już w tym kierunku specjalnie wielkie zasługi, a z jej biuletynów meteorologicznych o stanie pogody w Tatrach, korzystają stale setki turystów, dostosowujących swe plany wycieczkowe do każdorazowego stanu pogody.

Czyż mamy tutaj mówić szczegółowo o udostępnieniu Tatr i różnych części Karpat przez Tow. Tatr. dla najszerzych kół naszego społeczeństwa? Potrzeba tylko porównać dzisiejsze warunki dostania się w głąb łańcucha Tatr, a stan z przed 40-tu laty, tylokrotnie humorystycznie opisywany, aby ocenić działalność Tow. Tatr. na tem właśnie polu. Ono starało się o kolej z Chabówki do Zakopanego, o ten doskonały gościniec krajowy z Zakopanego do Morskiego Oka i do Kościeliskiej Doliny, ono pobudowało mniejsze drogi, jak nad Regłami i wiele, a wiele ścieżek w głąb

Tatr i na najwyższe grzbiety i szczyty i może chlubić się Orlą Percią, tem znakomitem dziełem naszego członka honorowego Ks. Gadowskiego.

Ile przyczyniło się Tow. Tatr. do stworzenia dzisiejszego Zakopanego, wiadomem jest chyba ogólnie. Prawie nie do uwierzenia wydawać nam się dzisiaj może, że ono w latach 1874 do 1885 »budowało i utrzymywało w obrębie wsi Zakopanego aż do Jaszczurówki drogi, mosty, ścieżki i chodniki i oświetcano Zakopane bez otrzymania jakiegokolwiek opłaty od



Tymczasowe schronisko Tow. Tatr. nad Morskiem Okiem w r. 1899.

Pam. T. T. XXIV. 1903.

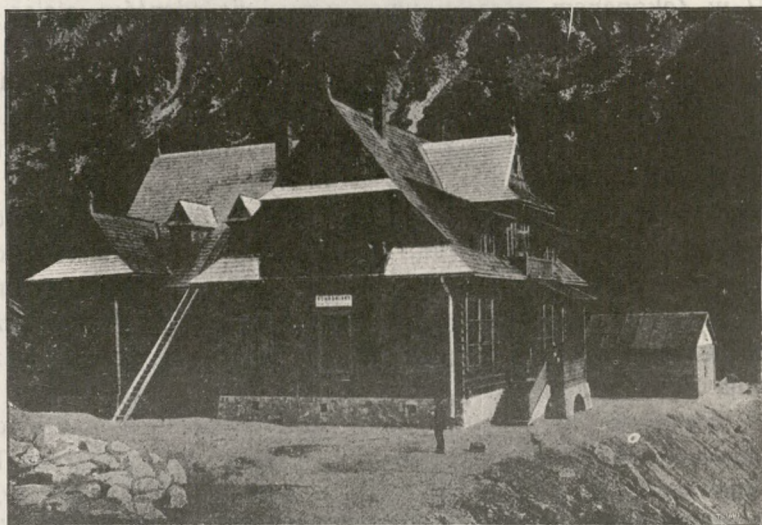
gości lub pomocy od gminy«. Nawet »stupy telegraficzne na przestrzeni Nowy Targ-Zakopane -- jak to wiemy z oficjalnych publikacji — postawiło Towarzystwo Tatrzańskie i odnawiało je przez lat dziesięć własnym i znacznym stosunkowo kosztem, aby tylko uzyskać w Zakopanem w r. 1882 stację telegraficzną«.

Udostępnienie Tatr wywołać musiało naturalnie olbrzymi rozwój naszej turystyki, a za tem poszło powstanie polskiego taternictwa, które nie zna już niedostępnych dla stopy ludzkiej grzbietów i szczytów.

Sekcja Turystyczna Tow. Tatr., istniejąca od roku 1903 w Zakopanem, przede wszystkim uprawia i kształtuje taternictwo na najwyższym stopniu, hartując i ciało i ducha w walce z trudnościami i kształcąc silne

i wytrwałe młodsze pokolenie, zdolne do brania przeszkód i w przepaści-
stych turniach i w życiu. Wydawnictwo »Taternika«, od r. 1907 przez
Sekcyę Turystyczną prowadzone, popularyzuje jej dążności i starania daleko
poza obrębem szerokiego koła członków Tow. Tatr.

Do ułatwienia najszerszym kołom wędrowek i wycieczek po Tatrach
niezbędne były przedewszystkiem górskie schroniska. Tow. Tatr. od samego
początku podjęło ich budowę i cały szereg mniejszych i większych schro-



Nowe schronisko nad Morskiem Okiem, zbudowane w r. 1908.

Pam. T. T. XXX. 1909.

Fot. J. Czerwiński.

nisk w Tatrach, na Czarnohorze, w Pieninach i na Babiejgórce stanął sta-
raniam Tow. Tatr., lub jego Oddziałów. Nie jedno z nich padło później
w ciągu lat ofiarą płomieni, ale odradzały się one zawsze prędzej lub
później, a główne i najważniejsze, nasze dzisiejsze schronisko nad Morskiem
Okiem, postawione w roku 1908 kosztem prawie 80.000 koron, może być,
pomimo pewnych mniejszych usterek, przecież niemalą chlubą i ozdobą
Tatr polskich.

Z rozwojem turystyki tatrzańskiej musiało iść naturalnie w parze wy-
tworzenie i wyszkolenie przewodników tatrzańskich, dalej powstanie tak po-
żytecznego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego w Zakopanem, oraz roz-
wój narciarstwa, które tak niesłychanie szybko zdobyło sobie trwałą popu-
larność w najszerszych kołach karpackich i tatrzańskich turystów.

Tow. Tatr. stale kształciło przewodników tatrzańskich, dbało o ich dobro i może być dumne, że wśród tych jego uczniów byli niejednokrotnie tacy, którzy z zapalem i poświęceniem narażali swe życie w ochronie powierzonych sobie wędrowców, a na zawsze pozostanie zapisany w pamięci Tatr prawdziwy bohater-przewodnik, Klimek Bachleda.

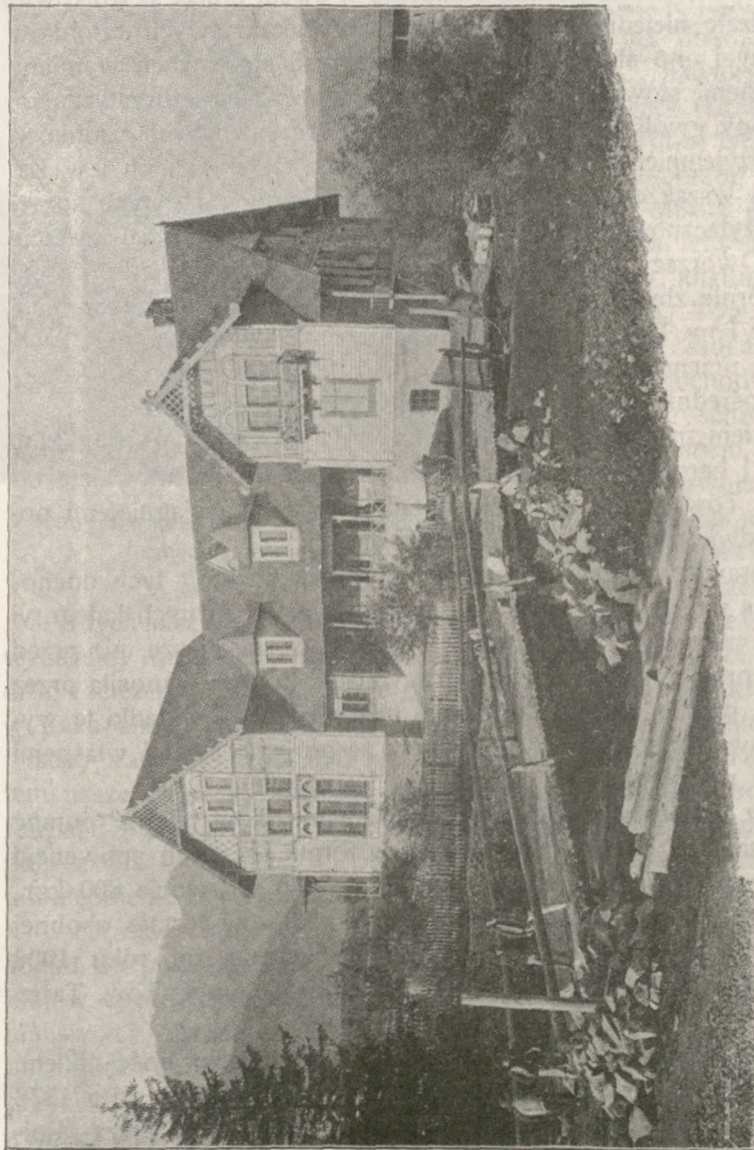
Narciarstwo nader szybko rozwinęło się u nas w osobną gałąź tatrzańskiej i karpackiej turystyki zimowej, odślanając piękno tych gór nawet i w szacie śniegowej i Sekcja Narciarska Tow. Tatr., utworzona w r. 1907 w Zakopanem, coraz nowych pozyskuje adeptów, stając godnie w szeregu innych krajowych i obcych związków narciarskich.

Lawiny w Tatrach nie odstraszą też już dzisiaj żadnego z narciarzy, pomimo, iż ich cień tragiczny ciąży na katastrofie, której ofiarą padł jeden z najznakomitszych polskich taterników, genialny muzyk i idealista tatrzański, Mieczysław Karłowicz.

Z biegiem lat, gdy coraz liczniejsze tysiące turystów i wędrowców zaludniać zaczęły i w lecie i w zimie puste dawniej turnie i hale, okazało się, że nie tylko należy udostępniać góry, ale trzeba także chronić ich piękność; człowiek bowiem umie nie tylko podziwiać cuda przyrody, ale potrafi także psuć je i niszczyć. Dzieła ludzkie i czyny nie zawsze dostosowują się do powagi przyrody i naród, który chce piękno natury zachować nieskalane dla przyszłych generacji, musi je także chronić przed wybrykami fałszywej lub nierozumnej pseudokultury. I w Tatrach to samo stać się musiało. Siłą konieczności powstała w łonie Tow. Tatr. w r. 1912 w Zakopanem Sekcja Ochrony Tatr, ochrony ich piękności przed niszczącą ręką lekkomyślnego lub nierozważnego turysty i od chwili, gdy ona powstała, możemy już pewniej liczyć na ocalenie przed zagładą całego szeregu właściwych Tatrom roślin i zwierząt i na uratowanie niejednego krajobrazu przed zniszczeniem na rzekomy przemysłowy użytek.

Ochrona piękności Tatr nie wymaga bynajmniej ich zamknięcia dla wielkich rzesz żądnych widoków i wrażeń, — o to już dbają czasami sami właściciele obszarów górskich, — ale wymaga złagodzenia niszczycielstwa ludzkiego, niszczycielstwa często bezmyślnego, a nieraz nawet karygodnego.

Te wszystkie wyżej wymienione gałęzie działalności Tow. Tatr. podpadają pod miano *pożyteczności* krajowej i narodowej, o której mówił pierwszy Prezes Tow. Tatr. hr. Rey w r. 1874. Ale i o drugim celu przez niego wtedy wymienionym, o *przyjemności*, Tow. Tatr. także zapominać nie mogło. Ono dbało, w miarę możliwości finansowej i o *przyjemność* dla swych członków, postawiło w r. 1882 Dworzec tatrzański



Dworzec Towa. Tatr. w Zakopanem; zbudowany w r. 1882, a rozszerzony w r. 1893,
spłonął 21 stycznia 1900 r.

w Zakopanem, t. j. dom klubowy, który wszakże niestety już w r. 1900 padł ofiarą pożaru, ono utrzymuje stale czytelnię gazet i wypożyczalnię książek w Zakopanem, posiada cenną bibliotekę w swem biurze w Krakowie, ono nadto urządzało niejednokrotnie zbiorowe wycieczki swych członków w Tatry i Pieniny i ono stoi od dawna w rozległych stosunkach wymiany publikacji z licznymi stowarzyszeniami obcemi, alpejskimi i turystycznymi całej prawie Europy, gwoli uprzyjemnienia życia i pouczenia swych członków.

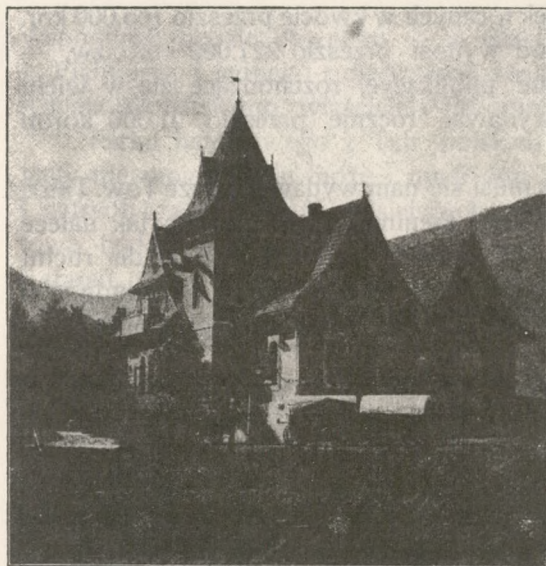
Sprawa uprzyjemnienia naszym członkom pobytu w Tatrach i w Zakopanem musiała wszakże wobec względów finansowych i innych spraw bezpośredniej użyteczności, schodzić nieraz na drugi plan i dzisiaj szczerze ubolewamy, że Dworzec Tatrzański w Zakopanem, — po spaleniu się dawnego — powtórnie zbudowany w r. 1903 z pierwotnem przeznaczeniem na dom klubowy Tow. Tatr., musieliśmy dotąd wynajmować na cele Zawodowej Szkoły dla przemysłu drzewnego, aby uzyskaną w ten sposób kwotę obracać na bezpośrednie cele schronisk, ścieżek, oraz wydawnictw.

Środki bowiem materialne Tow. Tatr. w ciągu całych lat 40-tu były zawsze szczupłe i bardzo skromne i wszystkie dochody razem wzięte od czasu powstania Tow. Tatr. wyniosły dotąd — wraz z zaciągniętymi pożyczkami — zaledwie niespełna 820.000 kor.

Główna i prawdziwie trwała część, dochodząca do 45% tych dochodów, przypada na wpisowe i wkładki naszych członków różnych kategorii i pomimo, iż dla członków zwyczajnych są wkładki dzisiaj niższe, niż przed wielu laty, gdyż przy założeniu Tow. Tatr. wkładka roczna wynosiła przez dwa lata 12 kor., później zaś aż do dzisiaj tylko 6 kor. — wkładki te wyniosły tyle, iż Tow. Tatr. może być dumnym, że głównie swemi własnymi siłami i środkami pracowało i w Tatrach i w Karpatach.

Naturalnie z najgłębszą wdzięcznością zapisuje Tow. Tatr. pomoc udzielaną mu od samego początku przez Kraj, w formie rocznych subwencji Wydziału krajowego i Sejmu, najpierw, już od r. 1876 w kwocie 800 kor., później w kwocie 1000, a nawet 2000 kor., a nadto w formie osobnej rocznej subwencji w kwocie 2500 koron, przeznaczonej od roku 1908 począwszy, na spłatę pożyczki 50.000 kor., zaciągniętej przez Tow. Tatr. na budowę nowego schroniska nad Morskim Okiem.

Poparcie Skarbu Państwowego było natomiast zawsze dość nikłym. Poza objęciem przez Państwo Szkoły rzeźbiarskiej w Zakopanem od r. 1878 począwszy i poza subwencją na cele naukowe, udzielaną nam przez Ministerstwo Oświaty w kwotach różnych od r. 1904, raz tylko uzyskaliśmy subwencję od Ministerstwa kolejowego w roku 1907 i 1908 w kwocie po



Nowy Dworzec Tow. Tatr. w Zakopanem,
zbudowany w r. 1903.

400 kor. rocznie i raz od Ministerstwa Robót publicznych w kwocie 1500 koron w r. 1911 na już dokonane rekonstrukcje niektórych schronisk i ścieżek tatrzańskich.

Wobec tych skromnych zatem zapomóg ze strony Państwa, Miasta Krakowa, Miasta Lwowa, Izby handlowej w Krakowie i kilkunastu Rad powiatowych, Tow. Tatr. musiało zawsze szukać innych także źródeł dochodu przez wydzierżawianie schronisk i Dworca w Zakopanem, oraz przez sprzedaż wydawnictw, map, odznak i widokówek, aby jako tako podołać przecież coraz zwiększającym się potrzebom i wydatkom.

Z tych naszych szczupłych dochodów w ogólnej kwocie około 820.000 kor. wydaliśmy w ciągu lat 40-tu przeszło 220.000 koron na budowę schronisk, dróg i ścieżek w Tatrach, około 60.000 kor. na budowę i utrzymanie Dworca w Zakopanem, około 120.000 kor. na wydawnictwo Pamiętnika, widoków i mapy Tatr, około 30.000 kor. na Szkołę przemysłu drzewnego, a poza-tem nasze Oddziały wydały na schroniska i ścieżki w różnych okolicach Karpat i Pienin przeszło 100.000 koron, razem więc — wraz z zaciągniętymi pożyczkami — wyłożyło Tow. Tatr. i jego Oddziały w ciągu lat 40-tu na udostępnienie i otwarcie gór polskich niespełna milion koron.

Na okres lat 40 jest to suma naturalnie mała, bardzo-mała i w stosunku do potrzeb, jakie istniały i ciągle istnieją i w stosunku do innych krajów cywilizowanych, które rok rocznie przeznaczają na cele udostępnienia swoich obszarów górskich krocie i krocie.

Niech mi wolno będzie przytoczyć tutaj dla porównania jeden jedyny przykład, t. j. Szwecję, której ludność wynosi zaledwie niespełna 6 milionów, a której wielkie Towarzystwo turystyczne: »Svenska Turistföreningen« liczy obecnie przeszło 55.000 członków, płacących wkładkę roczną po 3 kor. szwedzkie, t. j. około 4 kor. austriackich. Towarzystwo to rozporządza też

obecnie dochodem z samych wkładek rocznych w kwocie przeszło 165.000 kor. szwedzkich — ogólny jego dochód wynosi przeszło 227.000 kor. szw. — i może na same swoje różnorodne publikacje, rozchodzące się w wielu a wielu tysiącach egzemplarzy, wydawać rocznie przeszło 91.000 koron szwedzkich.

Jak więc niesłychanie ubogiem musi się nam wydawać nasze Tow. Tatr. i jak rozległe obszary naszych Karpat i Pienin, wobec naszych tak dalece skromnych środków materyalnych, muszą leżeć jeszcze odłogiem dla ruchu turystycznego, pomimo, iż naród polski liczy przeszło 20 milionów ludności!

To, co już w naszych i dla naszych gór i dla naszego góralskiego ludu można było zdziałać, zawdzięcza się istotnie osobistej przeważnie inicjatywie i osobistej dobrej woli i pracy jednostek patriotycznego ducha i gorącego serca. Uczni nasi i poeci pierwsi szli w góry odkrywać zagadki przyrody i po natchnienie wieszczę. Po Staszicu, Goszczyńskim, Połu, miejscowe duchowieństwo podtatrzańskie i podkarpackie nieraz torowało drogi turystyczne przyszłym pokoleniom. Ks. Stołarczyk w Zakopanem, Ks. Sutor, Ks. Sofron Witwicki w Żabiu i inni, to pionierzy na drodze taternictwa polskiego. W Tatrach dawna generacja właścicieli obszarów dworskich, ofiarna, chętna i dalej patrząca, przychodziła w pomoc odkrywczym i turystycznym usiłowaniom i Tow. Tatr z prawdziwą wdzięcznością



Narciarz

wspominać będzie dawnego — w latach 1870 — właściciela Zakopanego, L. Eichborna i jednego z pierwszych swoich wicepresów, zasłużonej pamięci Adama Uznańskiego, właściciela Poronina.

Parku narodowego z Tatr polskich Tow. Tatr. wszakże zrobić niestety nie mogło i nie może i musi ono zawsze liczyć tylko na dobrą wolę i patriotyczną ofiarność dzisiejszych właścicieli obszarów tatrzańskich, gotowe będąc do szczerzej wdzięczności za każde poparcie swych dążeń i starań.

Niemniej gorąca wdzięczność należy się ze strony Tow. Tatr. tak czynnym dawniejszym jego Prezesom, a przede wszystkim tym, nieżyjącym już dzisiaj członkom dawniejszych Wydziałów, którzy byli prawdziwymi filarami Tow. Tatr., oddając mu swój czas, swoje siły, a niejednokrotnie i swoje środki. Dr. Daniel Wierzbicki, jeden z pierwszych skarbników Tow. Tatr., Walery Eljasz, autor pierwszego umiejętnego Przewodnika po Tatrach, a w pierwszej linii niezapomniany nigdy Prof. Leopold Świerz, przez lat przeszło 30 niezamordowany Sekretarz Tow. Tatr., to są postaci owiane ożywym urokiem turni tatrzańskich, prawdziwie skalne opoki, na których opierało się i rozwijało w ciągu lat 40 mozolne, a pracowite życie Tow. Tatr.

Ich wspierała w pracy nad górami polskimi liczna rzesza delegatów Tow. Tatr., rozrzuconych po całej Polsce. Nieraz Królestwo Polskie i Księstwo Poznańskie więcej prawie dostarczało członków Tow. Tatr., niż sama Galicya i zasługą to było nie tylko miłości do gór w tych krainach polskich, które gór same nie posiadają, ale i naszych wszystkich tamtejszych delegatów, prawdziwie niestrudzonych i nieustających w pracy jednania nam członków, Tatrom i Karpatom miłośników, a dobrej narodowej sprawie wiernych i pomocnych przyjaciół. Im też wszystkim składa tutaj za ich 40-letnią pracę Tow. Tatr. najgorętsze i najszczerze podziękowanie.

Wdzięczność głęboką czujemy też dla tych wszystkich łaskawych naszych dzisiejszych gości, którzy nie będąc jeszcze naszymi członkami, raczyli przybyć na dzisiejsze Jubileuszowe Zebranie, a którzy samą swą obecnością okazują wspólność z naszymi celami i dążeniami.

Witamy też ich serdecznie tak, jak i Reprezentantów różnych naszych polskich, pokrewnych z nami Stowarzyszeń i Instytucji, którzy w tej chwili dla nas uroczystej do nas przybyli, na wspólnej narodowej niwie zawsze razem z nami pracując.

Dzięki im wszystkim za łaskawe do nas przybycie, za ich już nam nieraz wyrażane uprzejme życzenia, a w tej ich obecności wolno nam

czepać ufnosć w trwałą i pomyślną przyszłość Towarzystwa Tatrzańskiego, które odwieczną i majestatyczną mowę naszych Tatr i Karpat tłumaczyć chce narodowi słowami poety ze »Skalnego Podhala«:

- »Pójdźcie do gór, wy, którzy w dolinach cierpicie, —
- »... wy wszyscy nędzni, słabi, cisi;
- »patrzcie: niebo nad wami śmiałe, wielkie wisi,
- »bujne, wielkie, wystrzela dookoła życie!«

Władysław Szajnocha.



Godło przewodników tatrzańskich.

Bliższe szczegóły z historii Tow. Tatr. zawiera
Pamiętnik T. T. tom XXXIV z roku 1913.

DR. J. GW. PAWLIKOWSKI.

PRZYSZŁE ZADANIA TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO.



Na stokach Wielkiej Kopy.

Pam. T. T. XXX. 1909.

Fot. M. Karłowicz.

Stan obecny lub przebieg rzeczy minionych opowiadający historyk czy sprawozdawca, może zająć stanowisko czysto przedmiotowe. Moje zadanie jest inne. Mam mówić nie o tem, co było, ale o tem, co będzie lub być powinno, a w takich rzeczach decyduje podmiotowe poczucie i rozumienie. I nawet w tem ograniczonym znaczeniu do przedmiotowości przyznać się nie mogę, jakobym nie wypowiedział zdania własnego, ale reprezentował ciało zbiorowe; — ogół członków w tych sprawach nie miał sposobności się wypowiedzieć, a Wydział Towarzystwa nie ujął wytycznych swego przyszłego działania w żadne uchwały i paragrafy. Program musi być wprzód ustalony w umysłach, zanim ustalony będzie na papierze. Gdzieby nie było odpowiedniego doboru i zespołu ludzi przejętych wspólną ideą, tam program jest nie na to, aby był wykonywany, ale aby był kompromitowany. Zespół zaś i zestrój nie może być zadekretowany, ale wytwarza się zwolna przez wspólną pracę i wymianę myśli. W ten tylko sposób powstaje kierunek pewien organicznie, i tylko takie organiczne jego powstanie daje mu siłę i gwarancję trwałości.

Poglądy zatem, które wypowiem, są tylko mymi osobistymi poglądami. Jeżeli jednak lojalność nakazuje mi to wyznać, to nie chcę przez to powiedzieć, abym się czuł w poglądach tych odosobnionym; mownica



Wielkie Kozły na Czarnohorze.

Fot. E. Lang.

referenta wyznaczonego przez Wydział Towarzystwa nie jest oczywiście miejscem stosownym do uzasadniania jakiegoś votum separatum. Gdybym też nie był przekonany, że w zasadniczych punktach jestem w zgodzie ze wszystkimi organami Towarzystwa, zarówno Sekcjami, jak i Wydziałem, z natury rzeczy jak każdy rząd bardziej może od nich konserwatywnym,



Schronisko Tow. Tatr. w Roztoce, przebudowane w r. 1912.

Pam. T. T. XXXIV. 1913.

Fot. dr. S. Komornicki.

nie byłbym się mógł podjąć tego referatu. A chyba też nie byłby mi przydzielony. I to zechciejcie Panowie bądź co bądź położyć na wagę mych wywodów.

Kto pamięta Tatry choćby z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, przed powstaniem i niedługo po powstaniu Towarzystwa Tatr., ten musi stwierdzić wielką między Tatrami ówczesnymi a dzisiejszemi różnicę. Różnica ta wychodzi im i na korzyść i na niekorzyść. Rysem Tatr najbardziej charakterystycznym, rysem, który stanowi o ich piękności i właściwym uroku, jest ich pustynność, ich dzikość i jałowość. Każdy ślad kultury ludzkiej cha-

rakter ten psuje i mać. W dawnych Tatrach człowiek znaczył swoje ślady tylko życiem pasterskim. Ale ten człowiek i to życie tak bardzo wyrosły z podłoża i tak z niem były zestrojone, że służyły raczej do dopełnienia obrazu. Ciszę i samotnię przerywający niekiedy krzyk juhasa był jak krakanie orła albo świst dzikiego kozła, głosem tej samej dzikiej natury. Ten kontrast między pustynią a oblewającym ją dokoła życiem stanowił jej nieopisany, niedający się z niczem porównać urok. Zanurzenie się w głębię Tatr było dla duszy i ciała czemś podobnem, jak zanurzenie się po dniu upalnym w zimną wodę rwącego potoku. Wychodziło się z tej kąpieli silniejszym, młodszym i lepszym. A także i życie w dziedzi-
nach podtatrzańskich, w szczególności w Zakopanem, było bardzo różne od dzisiejszego. Charakteryzowała je nie tylko wielka swoboda, ale przede-
wszystkiem blizkie zetknięcie się z ludem. Lud ten posiadał niepospolite
przymioty fizyczne i duchowe, posiadał pierwotną, szlachetną, w niejednym
rysie subtelną obyczajowość. Posiadał ten lud dalej swoiste poczucie pię-
kna i swoistą sztukę, a przede wszystkim posiadał precudowny obrazowy
język, którym mówił o swoim życiu i swoich górach. I to była druga
krynica orzeźwienia i młodości.

Ale ta sielanka miała swoją ciemną stronę: tych, którzy cieszyli się
pięknością Tatr, było niewielu, a lud żywił się owsianą mąką, coby zresztą
nie było nieszczęściem, gdyby mąki tej często nie brakowało.

I oto ludzie miłujący Tatry chcieli się z innymi, jak najliczniejszymi,
uczuciem swoim podzielić, — ludzie miłujący ten lud, chcieli sprowadzić
do niego dobrobyt. Byli to właśnie ci ludzie, którzy założyli Towarzystwo
Tatrzańskie, był obok nich Dr. Tytus Chałubiński. I zarożyły się wkrótce
Tatry i Podtatrze od napływu »gości«; ruch zamącił samotność, gwar ciszę.
Spełził urok Tatr dziewiczych, zmieniła się także dziewicza dusza ludu. Za
ludźmi obcymi przyszły ich obyczaje i urzędnienia, indywidualne cechy
tatrzańskiej przyrody i ludu zmąciła niwelująca banalność tak zwanej kultury.

Jak tedy należy oceniać korzyści i straty tego rozwoju? Oczywiście
po stronie tych, którzy z niepokojem wskazują na jego strony ciemne,
niema mowy o tem, ażeby zamknąć Tatry dla ludzi, by je tem pewniej
zakonserwować; natomiast jednostronnym optymistom nie można oszczę-
dzić zarzutu pewnej lekkomyślności. Rozumują oni nie jak właściciel, który
nierozdzielnie związany jest ze swoją ziemią, ale jak zły dzierżawca, który
wysawszy z niej jednodniowy dochód, pozostawi ją w ruinie. Traktują
oni Tatry, jak rzecz do skonsumowania. Przeciw temu wysunąć należy
wszystkie argumenta natury nie tylko idealnej, ale nawet i materialnej, boć

jeśli w gruncie rzeczy urok Tatr jest podstawą ich wartości ekonomicznej, jako miejsca wędrówki »dólskich« przybyszów, to zniweczenie tego uroku musi w dalszej przyszłości zniweczyć i ich wartość materialną.

Problem, który się tutaj nasuwa, jest to problem wynalezienia sposobu pogodzenia dwóch przeciwieństw, dwóch napozór sprzecznych tendencji — uprzystępniania i zachowania. Nie można pozostać na stanowisku bez troski, jakie było zupełnie naturalnym w początkach okresu



Schronisko Oddziału Babogórskiego Tow. Tatr. na Markowych Szczawinach pod Babią Górą, zbudowane w r. 1906.

Pam. T. T. XXXIV. 1913.

Fot. K. Sosnowski.

uprzystępniania, kiedy problem ów jeszcze nie powstał. Gdy człowiek przychodzi po raz pierwszy z siekierą w puszcze odwieczne, nie pojawia się jeszcze potrzeba ochronnych ustaw lasowych; maksyma »nie było nas, był las, nie będzie nas, będzie las«, nie ma w sobie jeszcze nic rażącego; ale któż chciałby twierdzić, że ona uprawnioną jest na zawsze? Siekiera, która w puszczy pierwotnej jest narzędziem kultury, może się stać z czasem narzędziem wandalizmu i barbarzyństwa. Wśród wolnej przyrody nikt nie myśli i myśleć nie potrzebuje o sprawie zanieczyszczania rzek i potoków, ponieważ niebezpieczeństwo to nie istnieje; w miejscach niezamieszkałych nie trzeba się troszczyć o zakażenie powietrza przez dym i chorobotwórcze bakterie. Problemy te powstają, kiedy w pustynię w kro-

czył człowiek i jego kultura. Któż chciałby twierdzić, że w imię kultury przyjąć trzeba z poddaniem, a nawet z uznaniem, jako jej produkt, brudne wody i zatrute powietrze? Owszem, sprawą kultury jest tępić to zło, które za nią mimowolnie się wkrada, a tępić je znaczy zatrzymać, względnie przywrócić to, co było przedtem: dla kultury i przez kulturę chronić stan natury.

Zupełnie podobny problem, jak w przytoczonej tu dla przykładu dziedzinie higieny, pojawił się i istnieje dzisiaj w odniesieniu do piękna przyrody. Uświadomienie sobie i ukochanie piękna przyrody jest jedną z najcenniejszych zdobyczy współczesnej kultury duchowej. Współczesna kultura materialna zagroziła temu pięknu szeregiem niebezpieczeństw. A nawet samo ukochanie przyrody przyniosło z sobą nowe niebezpieczeństwa. Ono to bowiem wywołało owe nowoczesne »wędrowki ludów«, odbywające się corocznie z miasta na wieś i w okolice słynne z piękności, ono stworzyło ów prąd uprzystępniania miejsc pustynnych, niedostępnych, zwłaszcza gór, przydając przez to tym miejscom nowe, obce im przedtem wartości materialne. Idealne interesy skrzyżowały się przez to z interesami materialnymi, które, obce wszelkiej idealnej pobudce, rozpoczęły pod uzurpowaniem nieprawnie hasłem kultury, barbarzyńską gospodarkę rabunkową.

Reakcja przeciw temu stanowi rzeczy powstała w początkach dwudziestego wieku, nie dawniej, jak przed lat dziesiątkiem, pod nazwą ochrony przyrody. Problemem tym zajęła się inicjatywa prywatna, potem za jej pobudką administracje państw, które wytworzyły już nawet osobne ku temu organa, wreszcie ustawodawstwo. Takie organizacje i ustawy posiadają już wszystkie państwa europejskie z wyjątkiem Rosyi, państw bałkańskich, Hiszpanii i Austrii; posiadają je też kulturalne państwa zamorskie. Wzorem było wielokrotnie starsze nieco ustawodawstwo o ochronie zabytków sztuki. Zrozumiano, że przyroda w niemniejszym stopniu potrzebuje ochrony, jak sztuka; owszem, że raczej dzieła sztuki mogą być zastąpione przez inne; dzieła przyrody, raz zniszczone, zostają zniszczone na zawsze. Ich zachowanie opiera się na różnorodnej potrzebie: na potrzebie estetycznej, która ma też wysokie kulturalno-społeczne znaczenie, — na potrzebie poznawczej, gdyż zaginione bezpowrotnie twory przyrody nie pozwolą nam już nigdy odsłonić niektórych tajemników bytu, — na potrzebie wychowawczej, gdyż przyroda jest najdzielniejszym źródłem kształcenia sił moralnych, umysłowych i fizycznych, — na potrzebie wreszcie społecznej, gdyż oblicze ziemi jest obliczem ojczyzny, a ukochanie tego oblicza i dążenie do zachowania go w niezmiętej piękności, jest skła-

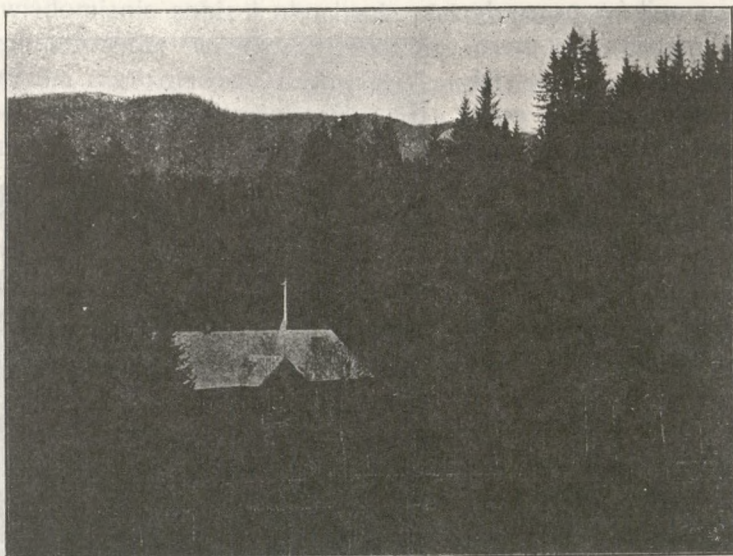
dnikiem i wychowawcą uczucia patriotyzmu. Zakres i sposób ochrony zawisł od tego, czy chodzi o okolice zaludnione i oddane kulturze rolnej, czy też o pustki i nieużytki, których jedyną wartością jest ich piękność. W pierwszym wypadku w samym charakterze okolicy leży jej przekształcenie przez człowieka; tu chodzić może tylko o to, aby tem przekształceniem rozumnie pokierować, aby oprócz względów materialnych, użytkowych, znalazły swój wyraz także potrzeby idealnej natury. Ochrona właściwa dotyczy tu tylko pojedynczych, szczególnie godnych zachowania tworów i pomników przyrody.

Obok tego rozciąga się szerokie pole estetycznego ukształtowania przetwarzającej przyrodę techniki ludzkiej. Zupełnie inaczej tam, gdzie chodzi o pustki i nieużytki, w szczególności zatem o góry; tu jest właściwe pole ochrony absolutnej. Tu nie przeciwstawiają się ochronie żadne ważne interesy, oprócz interesu materialnego wyzyskiwania sentymentu dla piękności przyrody. Tego interesu zaś nie można uznać za równorzędny z interesami właściwej, twórczej, ekonomicznej produkcji; często jest to tylko pasożyt na idealnym dobru społecznym, jakim jest piękno przyrody. Prowadzi on wobec tego dobra gospodarę rabunkową, podobną do rozbierania starożytnych zamków na cegłę, do wywożenia zabytków historycznych i dzieł sztuki za granicę, do rugowania w imię interesu księgarskiego wielkiej literatury przez sensacyjne, na raty sprzedawane romanse. Nawet z czysto materialnego, ale społecznie prywatno-gospodarczego punktu widzenia, przedsiębiorstwa takie są wątpliwej wartości. Miarą tej wartości nie może być zysk przedsiębiorcy, ale całokształt ekonomicznego obrotu w otaczającej góry okolicy. Na to wpływa frekwencja przybyszów, jej jakość ekonomiczna i czas pobytu turystów, momenta, które nie zawsze



Dworek Oddziału Czarnohorskiego Tow. Tatr.
w Żabiu, otwarty w r. 1892.
Pam. T. T. XXXIV. 1913.

znajdują swój wyraz w statystyce. Zresztą, środki zwabiania turystów nie mogą być zawsze i wszędzie te same. Tatry nie leżą tak jak Alpy na głównym szlaku turystycznym Europy, przez które przejeżdża każdy i często w przelocie tylko chce się górom przypatrzeć, ku czemu służy mu kolejka górська i hotel szczytowy; Tatry, leżąc na uboczu, muszą zwaćbiać ku sobie szczególną jakąś atrakcją. Są to góry małe, raczej skały niż góry i wszelkie urządzenia techniczne stają się na nich widoczne

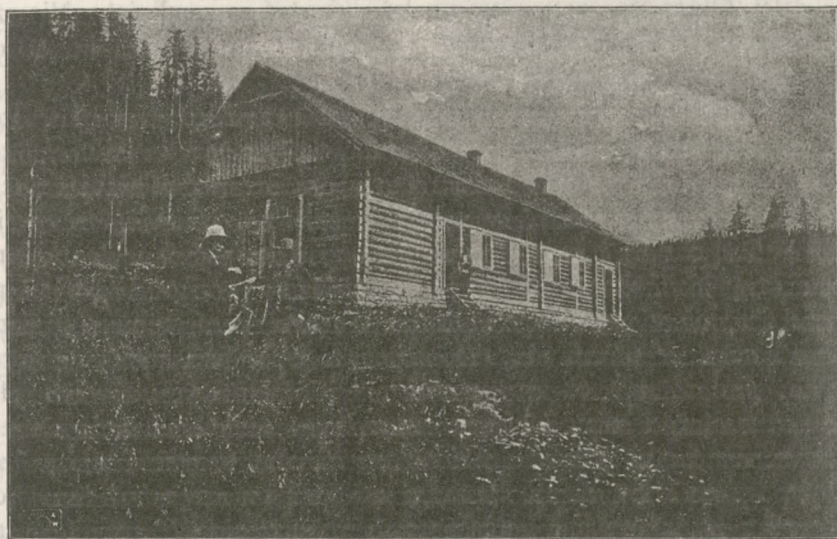


Dworek Oddziału Czarnohorskiego Tow. Tatr. w Worochcie,
otwarty w r. 1895.

Pam. T. T. XXXIV. 1913.

i psują niechybnie ich piękność; w Alpach urządzenia takie nikną, a wreszcie pozostaje jeszcze zawsze dość miejsca, których one nie dotkną. Alpy, pomijając właściwe trzony górskie, poprzerynane są zaludnionymi dolinami, w których ślady człowieka nie rażą; Tatry są bezludną pustynią i na tej pustynności polega ich urok. Wreszcie rozwinięte środki komunikacyjne równają się w skutkach zmniejszeniu przestrzeni; taki skutek pożądaný jest tam, gdzie chodzi o pokonanie przestrzeni obojętnej, więc monotonnej, dla prędszego dobiecia się do miejsc godnych widzenia. Tatry odznaczają się nadzwyczajną koncentracją, od chwili wejścia w ich

głęb niema już przestrzeni monotonnej i obojętnej; z powodu ich małości niema też potrzeby skracania drogi dla dostania się na czas do dogodnych miejsc noclegowych. Tak jak małe parki i ogrody powiększa się przez pokręcenie ścieżek, tak też w interesie oględnej polityki turystycznej nie leży pomniejszanie Tatr przez zbytne upraszczanie komunikacji w ich wnętrzu. Rozbrzmiewające coraz silniej w świecie cywilizowanym hasło ochrony przyrody, hasła wychowania fizycznego i sprawności fizycznej, propaganda



Nowe schronisko Oddziału Czarnohorskiego Tow. Tatr. pod Howerlą,
zbudowane w r. 1911.

Pam. T. T. XXXIV. 1913.

Fot. H. Gąsiorowski.

turyzmu pieszego, wszystko to coraz to bardziej podnosi cenę gór dzikich. Jeśli chodzi o przyciąganie do Tatr obcych turystów z powszechnie uczęszczanych, banalnych szlaków turystycznych, to nie osiągnie się tego przez konkurowanie z tymi szlakami banalnością; reklama powinna brzmieć: »Absolutna pustynia górską w pośrodku Europy; Wygodny dojazd, — dogodne warunki pobytu u wstępu«! W tem hasle leży turystyczna przyszłość Tatr, w tem ich właściwa, swoista atrakcja, a to jest tem ważniejsze, że to jest zgodne z zachowaniem idealnej wartości, jaką Tatry przedstawiają dla swoich miłośników. Czy Tatry będą mogły zostać kiedykolwiek »parkiem narodowym« we właściwym tego słowa znaczeniu, tj. rezer-

watem absolutnym, będącym dobrem publicznym, tego przesądzać nie można; ale trzeba je tak traktować, jak gdyby nim były. Tak tylko uczyni się je drogim dla serca narodu klejnotem i wydobędzie się z nich największą sumę idealnego i materialnego dobra.

Towarzystwo Tatrzańskie położyło niespożytą zasługę spopularyzowania i uprzystępnienia Tatr. To jest dzieło dokonane, na które może ono spojrzeć z dumą. Ale dzień czterdziestoletniego jubileuszu nie jest dla niego bynajmniej dniem zakończenia pracy, lecz dniem refleksyi, jak ją prowadzić dalej. Okres uprzystępniania należy uważać za zamknięty. Nie ażeby w tym kierunku nie dało się jeszcze z pożytkiem tu i ówdzie coś zrobić, ale że to nie może już ani w drobnej części wyczerpywać sił i zadań Towarzystwa. Gdyby na tem chciano poprzestać i to uważać na zawsze za cel główny, niewątpliwie zesłoby się na manowce i uczyniło więcej szkody, niż pożytku. Nie można stanąć na stanowisku, że ścieżki winny być coraz lepsze i wkońcu przybrać charakter ścieżek ogrodowych, że drogi winny zamieniać się na gościńce, a gościńce na koleje, — że schroniska mają być coraz wspanialsze i wytworniejsze, aby wreszcie dorównać elegancją miejskim willom i hotelom. Taki program byłby programem zaprzepaszczenia Tatr. W tej dziedzinie hasłem być powinno, że ścieżki wolno robić tylko w ten sposób, aby nie mąciły pustynnego charakteru gór, że drogi jezdne nie powinny być wogóle doprowadzane do wnętrza Tatr, i że ich ostateczną granicą, której nigdy nie wolno przekraczać, a bardzo często nie wolno dosięgać, jest górna granica wysokich lasów, — że właściwą postacią schronisk nie jest postać rzucająca się w oczy, ale postać niknąca z oczu o ile możności jak najzupełniej — i t. d. Szczegółowe zasady i technikę takich urządzeń trzeba stworzyć. Jest to zadanie nie łatwe i nie bardzo wdzięczne, bo zadanie wychodzące z wyższego punktu widzenia, niż przeciętna filisterska opinia. Ale mniemam, że Towarzystwo do takich zadań dorosło i że rzeczą jego nie jest zniżać się ku niedojrzałej opinii, ale raczej opinię tę ku swemu stanowisku podnieść i do dojrzałości doprowadzić.

Te zasady określające własny kierunek gospodarowania w Tatrach winny być uzupełnione zasadą, że wszelkie inne, obce, przeciwnego typu i pokroju gospodarowanie ma być wszelkimi sposobami zwalczane i tępienie. Tow. Tatr. winno się uważać za odpowiedzialnego stróża Tatr, cennego klejnotu, jakiemu w Koronie Rzeczypospolitej niema równego. Ma ono ten klejnot zachować w całej krasie nietknięty, dla przyszłości. Dlatego, dopóki idea parku narodowego, jako rezerwatu oddanego pod straż Towa-

rzystwa, na razie nie da się urzeczywistnić, wypadnie szukać sposobów i środków, którymiby Towarzystwo w dzisiejszym stanie rzeczy to swoje najważniejsze zadanie jak najskuteczniej osiągnąć mogło. Środki te mogą być rozmaitego rodzaju, a odnalezienie ich i wyzyskanie będzie rzeczą zdolności i energii organów Towarzystwa.

Te zadania, jakkolwiek pierwszorzędnej wagi, mają tę złą stronę, że są natury raczej negatywnej; a przy spełnianiu zadań tego rodzaju wyczerpuje się łatwo energia i usypia czujność. Takby może było, gdyby przed Towarzystwem nie otwierały się równocześnie szerokie pola pozytywnego działania. Na te pola wkroczyło już Towarzystwo, nadając sobie w ostatnich czasach nowy statut i nową organizację. Muszę wyznać, że w moich oczach jest to czyn zasługujący na najwyższe uznanie. Stare organizacje i ludzie, którzy się długą pracą z nimi zrosili, choćby to byli ludzie wcale niepospolici, rzadko umieją wyjść z zakłętego koła nabytej rutyny i przystosować się do zmienionych potrzeb czasu. Zdolność takiego przystosowania się świadczy o niezwyklej sprężystości i energii życiowej, która nie tylko każe się cenić, ale zarazem wróży najlepiej o przyszłym rozwoju Towarzystwa.



Dach koszarów żandarmeryi zerwany prądem powietrza wytworzonym przez lawinę.

Pam. T. T. XXXII. 1911.

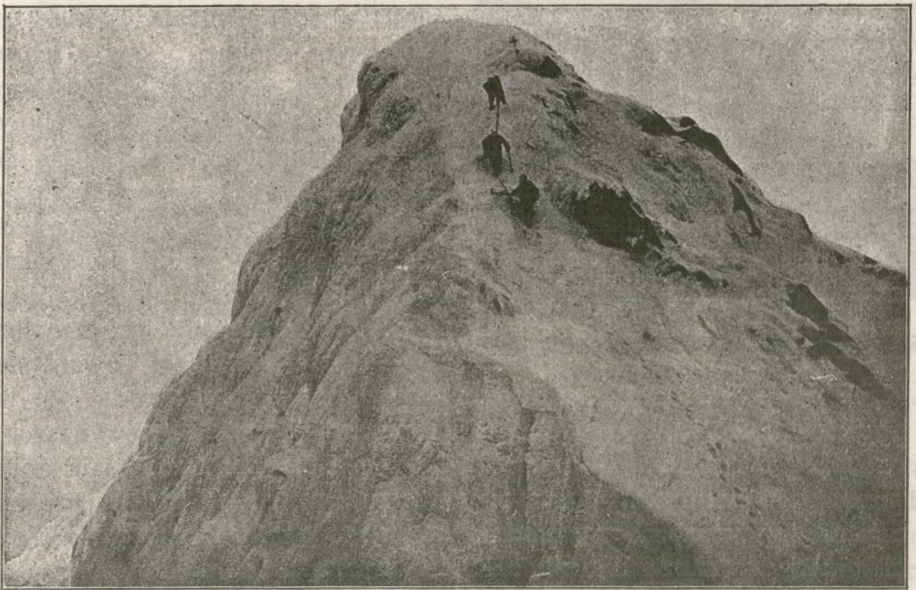
Zdjęcie »Zawratu«.

Głównym wyrazem przekształcenia i odmłodzenia Towarzystwa jest powstanie sekcji i bardzo szczęśliwe zespolenie ich z organizacją centralną. Z jednej strony posiadają one wolną od wszelkiego biurokratyzmu autonomię, przy której bujnie i swobodnie rozwijać się mogą, z drugiej, nie są oderwanymi od pnia odłogami, ale zespolone organicznie z tym pniem, przez udział w Wydziale centralnym, wzmacniają jego żywotność i siłę.

Jednym z głównych zadań Towarzystwa była zawsze i pozostać musi piecza nad turystyką tatrzańską. Turystyka ta z biegiem czasu znacznym

uległa przeobrażeniom. Dawnymi czasy wycieczki w Tatry nie były to wycieczki, ale wyprawy, podobne karawanom w głębię czarnego łądu. Typem ich były wyprawy Dra Tytusa Chałubińskiego. Profesor kroczący przy dźwięku sabałowych gęśli pod białym parasolem wśród wielkiego taboru objuczonych torbami górali, przypominał Livingstona lub Stanleya. Inni na mniejszą skalę chadzali podobnie. Taki typ wycieczek uzasadniał się rozmaitemi przyczynami; — może mniejszą znajomością szlaków tatrzańskich, — w braku utartych i znaczonych ścieżek większemi niż dziś odległościami, — brakiem noclegowych schronisk. Ale przyczyną najważniejszą było to, że pierwsi miłośnicy Tatr obejmowali jedną i nierozdzieloną miłością góry wraz z wyrosłym pośród nich ludem. Wycieczki były życiem nie tylko wśród gór, ale i wśród górali. Człowiek rozprostowywał się tutaj po przymusie banalnej kultury nie tylko wpośród wolnej przyrody, ale wpośród pierwotnej, a tak swoistej i poetycznej kultury tego ludu. Toć jest charakterystycznym, że Chałubiński, kiedy mu przyszło zejść w dziedzinę węgierskie, mijał z odrazą hotele Szmeksu i Szczyrbskiego jeziora, a nocował opodal od nich z taborem swoim w lesie. Do towarzystwa swego dopuszczał z rzadka tylko i nielicznych »ceprów«; chciał być z górami i góralami swymi sam na sam. Ale o psychologii i właściwym uroku tych wypraw możnaby mówić długo i wiele, — przekracza to jednak ramy dzisiejszego referatu. Tow. Tatr. tego typu turystyki bezpośrednio zrazu nie zmieniło, — dodało tylko typ nowy, w postaci wycieczek zbiorowych, które przedstawiały zdemokratyzowaną, ale równocześnie z konieczności skurczoną i zmarniałą formę typu pierwszego. Na zupełne przeistoczenie turystyki wpłynęło jednak Tow. Tatr. w sposób pośredni; robione, lub choćby tylko znaczone ścieżki, plany i mapy, schroniska, uczyniły zbędnym tabor przewodnicki, a wreszcie często i przewodnika wogóle. Popularyzacja i demokratyzacja turystyki wytworzyła wtedy obok typu wycieczek zbiorowych, typ wycieczek samoistnych. Typ pierwotny taboru stawał się coraz to bardziej anachronizmem, ale koniec położyło mu nie samo tylko uprzystępnienie Tatr, lecz i zawisłe w wielkiej części od niego przeistoczenie się góralskiego ludu i idąca za tem zmiana stosunku do niego. Dlatego można dawnego typu turystyki żałować, ale nie można go już wskrzesić. Typ ten stał poza granicą popularnego, przeciętnego typu wycieczkowca, przez swój intensywny stosunek do Tatr, był to typ »taternicki«. Dzisiaj na przeciwnym krańcu, na zupełnie odmiennej podstawie wytworzył się nowy typ wyrosły ponad przeciętną turystykę, nowy typ »taternicki«, którego wyrazem jest Sekcja turystyczna Towarzystwa w dzi-

siejszej swojej postaci zamkniętego klubu. Ten »ezoteryzm« turystyczny, wymagający od swoich członków szczególnych kwalifikacji, jest wielce szacowny i potrzebny, jako uwieńczenie turystyki, jako pepiniera i propaganda kwalifikacji nadprzeciętnych. Dla mnie jest on szczególnie sympatyczny przez to, że nawiązuje w nowej, dzisiaj jedynie możliwej formie, ów intensywny stosunek do Tatr, który w odmiennej postaci istniał dawniej, a który na tle nowoczesnej popularnej turystyki niełatwo się pleni. Taki intensywny



Wejście na Mały Kozi Wierch.

Pam. T. T. XXXIV. 1913.

Fot. S. Zdyb. »Tatry«.

stosunek do dzikiej, górskiej przyrody zdaje się być bronią doskonałą w walce podjętej o ochronę Tatr. »Taternik« jest urodzonym szermierzem do tej walki, chyba, że wedle znanego skądinąd niepociesznego wzoru, liberalizując i rewolucjonizując za młodu, zbyt łatwo z wiekiem wchodzi między filistry i zaczyna się entuzjasmować do górskich kolejek i szklanki piwa w szczytowych hotelach... Trzeba umieć pamiętać, że młodość jest nieśmiertelną i że jest zawsze cenną i czcigodną, chociaż to już nie jest nasza własna młodość.



Sygnalizowanie Tatrzańskiego ochotniczego
Pogotowia ratunkowego.

Pam. T. T. XXXII. 1911.

stytucji przypadnie jakaś ich część do spełnienia. Mieści się tam robota dróg i ścieżek, budowa schronisk, ochrona roślin i zwierząt, czuwanie nad zachowaniem się człowieka w górach, sprawa zapewnienia Towarzystwu wpływu na inne czynniki gospodarujące w Tatrach, obowiązek czuwania nad całymi Tatrami i strzeżenia ich charakteru i piękności; — rzeczy te praktyka musi ukształtować, a doświadczenie rozwinąć.

Jest jeden jeszcze punkt, w którym dawny stosunek do Tatr uległ zmianie, a tym razem wyłącznie tylko na korzyść. Nietylko Tatry, ale samo nawet Zakopane istniało dawniej dla przybyszów tylko w lecie. Uroki zimy podhalańskiej zostały dopiero później odkryte. Dla Zakopanego, a pośrednio dla Tatr, miało to ogromne znaczenie; bo dopiero takie podwojenie sezonu pozwoliło zamortyzować, a zatem i zaprowadzić kulturalniejsze urządzenia w Zakopanem. To rozumie się wyszło na korzyść i letniemu ruchowi turystycznemu. Później jednak za odkryciem powabów i zalet zimy podhalańskiej, przyszło i odkrycie piękności zimy w samych Tatrach. Stało się to z chwilą wprowadzenia nart. Dziś obok Sekcji turystycznej,

Było jakiś czas rzeczą sporną, czy Sekcja turystyczna, jako reprezentantka rzetelnego taternictwa, nie jest właśnie powołaną do zastępowania sprawy ochrony Tatr w łonie Towarzystwa. Decyzja wypadła za podziałem pracy i dziś niema już takiej kwestyi spornej, bo wejście w robotę pokazało, jak liczne i wielostronne ta sprawa mieści w sobie zadania. Oddana ona jest w ręce osobnej Sekcji »Ochrony Tatr«, która w ciągu jednorocznego istnienia zdołała ją już w głównych zarysach sformułować i ustalić jako jedną ze spraw najważniejszych w działalności Towarzystwa. Memoriał wniesiony przez nią do Wydziału ustala zasady i wskazuje bogaty program zadań. Zasady te przeniknąć powinny cały organizm Towarzystwa, a zadania są tak różnorodne, że właściwie każdemu z organów naszej in-

istnieje w Towarzystwie sekcja turystyki zimowej, Sekcja narciarska. Być może, że będzie to dla Towarzystwa punktem wyjścia nowych obowiązków i zadań, — a więc potrzeby utrzymywania reprezentacji swojej i otwartego lokalu w Zakopanem na podobę sezonu letniego, także i w zimie, urządzenia zimowych schronisk, a może i ujęcia w rękę sportów zimowych, które nie mogą pozostać dłużej w stanie tak nieuregulowanym, jak dotychczas.



Stacja meteorologiczna Sekcji Przyrodniczej T. T. w Zakopanem.

Pam. T. T. XXXIV. 1913.

Otwarcie Tatr dla turystyki zimowej jest w skutkach swoich niczem innym, jak pomnożeniem Tatr. Obok »ochrony« hasło »pomnożenia« Tatr możnaby przyjąć za zwięzłą i wymowną dewizę całej działalności Towarzystwa. Takim pomnożeniem Tatr jest ich uprzystępnienie do właściwej racjonalnej granicy; wspomnę jako przykład perć przez szczyty Gąsienicowych wierchów, czyli t. zw. (niezbyt szczęśliwie) »Orlą perć« i w najbliższej okolicy Zakopanego perć zareglową, które otworzyły szlaki zgoła przedtem nieuczęszczane. Trzeba jednak pamiętać, że uprzystępnianie poza właściwą granicę, niwecząc przyrodzone piękności, Tatry już nie pomnaża, ale kurczy. Lecz istnieją inne sposoby dalszego ich pomnożenia. Jeden z nich odnalazła, jak wspomniałem, turystyka zimowa, — inny polega na

umożliwieniu zwiedzania Tatr szerokim sferom ludzi niezamożnych, zwłaszcza młodzieży, a to przez organizację wycieczek zbiorowych i urządzenie domu turystycznego; przez te środki zaistnieją Tatry dla tysięcy ócz i serc, dla których przedtem nie istniały. Innym jeszcze sposobem jest odkrycie rzeczy nowych lub choćby zwrócenie uwagi na coś, co dotąd obojętnie pomijano; tak np. odkrycie całkiem przedtem nieznanych grot Kościeliskich, a także za tem idące ukazanie piękności zбоч doliny, pomnożyło niepomniernie Kościeliska. Są przecież jeszcze takie rzeczy piękne i ciekawe, około których przechodzi się ciągle, nie mając dla nich należytego zrozumienia, są do podjęcia w Tatrach takie korzyści, o których dotąd prawie się nie myślało.

Naukowe badanie przyrody tatrzańskiej uważało Towarzystwo zawsze za jedno ze swych zadań; położyło też w tym kierunku niewątpliwe zasługi. Będzie to zawsze zapewne działalność tylko pomocnicza, bo organizacją badań naukowych zajmują się inne powołane czynniki; i jako taka jest jednak ważną, i na przyszłość z programu Tow. wykreśloną być nie może. Tow. powinno zwłaszcza i może bardzo skutecznie dawać inicjatywę, a pomoc jego będzie dla każdego badacza zawsze bardzo cenna. Bardzo cennem byłoby w szczególności utworzenie w Zakopanem laboratoryów, w których mogłoby się odbywać przynajmniej pierwsze i nie znośzące zwłoki badanie i tymczasowe klasyfikowanie okazów. Ale poza tem jest wobec przyrody tatrzańskiej do podjęcia cały szereg zadań. W poczuciu tego stworzyło też Tow. w ostatnich czasach osobny organ »Sekcję przyrodniczą«. W jakiej mierze zakres zadań i możliwości Tow. przez powstanie tej sekcji w tej dziedzinie się rozszerzy, to nie da się z góry określić i przewidzieć. Takie rzeczy nie zależą od programu, ale od ludzi. Mówić można tylko o tem, co w normalnych, przeciętnych warunkach przyjąć wolno za cel i za wytyczną. Otóż jest cały szereg takich zagadnień w dziedzinie badania przyrody, które rozwiązane być mogą najskuteczniej przez zorganizowanie pracy zbiorowej. Pod kierunkiem wytrawnego zawodowca oddać tu mogą niepomierne usługi ludzie niezupełnie jeszcze wykwalifikowani, przedewszystkiem siły młodsze, będące w okresie zawodowych studyów. Pewna ilość takich sił znajdzie się zawsze w Zakopanem i to stale, tem bardziej zaś w sezonie letnim. Możliwość oparcia się o sekcję i jej środki wyjdzie nietylko na korzyść nauki, ale będzie także prawdziwem dobrodziejstwem dla tych ludzi. Chcę tu jednak przedewszystkiem mówić o rzeczy z punktu widzenia Towarzystwa, mojem zdaniem, jeszcze ważniejszej. Tatry są, zwłaszcza dla młodzieży, ale i wogóle dla wszystkich, doskona-

łem polem ćwiczenia energii i sprawności fizycznej; mogą one być jednak i być powinny niemniej dobrą szkołą do wyrobienia innych jeszcze przymiotów. Zdolność widzenia tego, na co się patrzy, zdolność obserwacyjna, jest jednym z najcenniejszych, może najcenniejszym, podstawowym przymiotem umysłu. Nauka książkowa tego przymiotu nie rozwija. Rozwijanie zmysłu obserwacyjnego jest problemem analogicznym i równorzędnym ze sprawą tak już dziś popularną wychowania fizycznego. Jak wychowanie fizyczne tak

i kształcenie zdolności obserwacyjnej podnosi sprawność człowieka, jego energię życiową i otwiera przed nim nowe, obfite źródło radości z życia. Każde ziarno, każda nauka przyjmuje się najlepiej na glebie ku temu podatnej. Taką idealną glebą dla rozwijania zmysłu spostrzegania są Tatry. I oto tu leży źródło nowego »pomnożenia Tatr«: trzeba otworzyć ludziom oczy na przyrodę otaczającą, do której zbliżają się z miłością i zaciekawieniem sposobni i chętni do zapoznania się z nią, ale nie mający ku temu klucza. Ileż to ludzi przechodzi przez Tatry, nie umiejąc odróżnić granitu od wapienia, nie umiejąc określić roślinności bezmała inaczej, jak nazwami drzewo, kwiat i trawa, — nie mówiąc już o dającym tyle zadowolenia śledzeniu sił rzeźbiących góry, lub o postrzeganiu tak urozmaiconych wśród górskiej przyrody zjawisk biologicznych. Sekcja przyrodnicza powinna podjąć wdzięczne zadanie tego otworzenia oczu zwiedzającym Tatry na przyrodę tatrzańską, a środki ku temu są bardzo rozmaite: wykłady, demonstracje, organizacja wycieczek pod kierunkiem ludzi ukwalifikowanych, stworzenie popularnej literatury. Literatura ta nie powinna się wiele zajmować teoryami, ale dawać poprostu wskazówki do obserwacji; niezbędnym przedewszystkiem jest atlas kieszonkowy roślin tatrzańskich,



Na szczycie Ganku (Klimek Bachleda i St. Radzikowski).
Pam. T. T. XXXII. 1911.

przystępny klucz do ich oznaczania ze wskazówkami ekologicznymi i biologicznymi, — przewodniki geologiczne i t. p. Z biegiem czasu zmienił się bardzo, znamienne typ przewodników po Tatrach; dawny przewodnik Wal. Eljasza był przez połowę entuzjastycznym opisem piękności tatrzańskich, — typ dzisiejszego przewodnika jest to typ suchych, rzeczowych wskazówek; mniemam, że typ przyszły do tych rzeczowych wskazówek wyłącznie turystycznej natury, doda wskazówki przyrodnicze.



Z wycieczek sandeckiego »Beskidu«: Grupa narciarzy w Czerczu.

Pam. T. T. XXXIV. 1913.

Fot. Dr. Płochocki.

Zupełną analogię do Sekcji przyrodniczej i jej zadań stanowi Sekcja etnograficzna. Można tylko jeszcze podkreślić, że w gromadzeniu etnograficznych zapisek i okazów mogą wziąć udział z powodzeniem i korzyścią po krótkim, odpowiednim przygotowaniu także laicy. Można więc osiągnąć równocześnie dwa rezultaty: ukształcić i zająć wielu ludzi z wielką dla nich moralną korzyścią, a równocześnie wzbogacić materiał wiedzy etnograficznej. Ludzie, którzy tutaj nabędą wprawy i zamiłowania do tego rodzaju zajęcia, może nieraz zastosują je później także w innych okolicach

Polski. Materiał etnograficzny wszędzie, a przede wszystkim na Podhalu, coraz to szybciej zanika, praca nad zachowaniem jego szczątków dla pamięci potomnych jest ważną i pilną, a Sekcja etnograficzna może i powinna tutaj działać bardzo wiele. Rozumie się, że pracowników winna sobie jednać i kształcić na całym Podtatrzu.



Gorgany: Wysoka, Ihrowyszcze i Sywula.

Pam. T. T. XXXIV. 1913.

Fot. M. Affanasowicz.

Niezmiernie ważnym faktem dla rozwoju Sekcji przyrodniczej i etnograficznej, a doniosłym także dla całego Towarzystwa jest stosunek, w jaki ono wchodzić poczyna z Towarzystwem Muzeum Tatrzańkiego im. Dra Tytusa Chałubińskiego. Przed kilku zaledwie tygodniami uchwalono odstąpić pod budowę Muzeum kawałek gruntu Towarzystwa, położony tuż obok jego Dworca. Z tem zbliżeniem zewnętrznem idzie w parze już dzisiaj zbliżenie wewnętrzne; Muzeum przyznało przedstawicielom Sekcji Towarzystwa miejsce i głos w swojej reprezentacji. W nowym gmachu mu-

zealnym znajdują pomieszczenie pracownie, które oddane zostaną do użytku sekcji. Nie trzeba tłumaczyć, że dla przedstawionych tutaj zadań sekcji zbiory muzealne, zarówno przyrodnicze jak etnograficzne, mają pierwszorzędne znaczenie. Wspólność terenów pracy, udział tych samych ludzi, wzgląd na potrzebę skupienia i zaoszczędzenia zarówno sił, jak środków materialnych, zdaje się prowadzić logicznie i nieodzownie do coraz bliższego zespolenia się ze sobą obu Towarzystw. Dla Tow. Tatr. ma zespolenie takie jeszcze to znaczenie, że skupi ono w jego ręku cały kompleks spraw, zapewni mu pewną wyłączność, a przez to podniesie powagę jego głosu, gdzie chodzić będzie o interesy Tatr; odbije się to korzystnie we wszystkich dziedzinach jego działalności.

Przed niedawnym czasem powstała myśl założenia w łonie Towarz. jeszcze jednej sekcji, pod nazwą »Sekcji przyjaciół Zakopanego«. Zadania jej, bardzo wielostronne, streszczają się w dążeniu podniesienia Zakopanego i warunków pobytu w niem na wyższy szczebel wymagań kulturalnych. Rzecz jasna, że to rozszerzyłoby niepomiernie sferę działania, a zatem i sferę wpływów Towarzystwa. Ze względów, które przytoczyłem, takie rozszerzenie sfery wpływów przedstawia wielkie korzyści; nie da się natomiast zaprzeczyć, że przeciw temu projektowi można też podnieść poważne wątpliwości, które wymagają gruntownego rozpatrzenia. Dlatego mówić o nim dzisiaj nie uważam za stosowne. Bądź jak bądź, w tej czy w innej formie, w takim czy innym zakresie, Tow. będzie musiało silniej osadzić się i zaznaczyć na Podtatrzu. Jeśli zwiększanie atrakcyi Tatr na przyjezdnych musi się odbywać już nie drogą dalszego uprzystępniania, ale raczej przez polepszenie warunków pobytu u wstępu, to musi Tow. w interesie swej własnej sfery działania zatroszczyć się także o te warunki; jeśli w tym interesie leży też zwiększenie swej powagi i wpływów, to nie może ono pozostawać w skromnym ukryciu, ale musi się więcej ujawniać, przyciągać ku sobie, stanowić pewien ośrodek. Tak było dawniej, kiedy Tow. Tatr. w Zakopanem było wszystkim, bo cprawda, poza niem nie było tu jeszcze niczego. Dalszy rozwój Zakopanego usunął Tow. w cień, ale zdaje się przychodzi okres, w którym ono znowu wysunie się naprzód, a to raz skutkiem własnej swej reorganizacyi i rozrostu, a następnie dlatego, że wśród rozstrzelonych dzisiaj rozmaitych dążeń i usiłowań, daje się czuć potrzeba pewnego punktu oparcia, pewnego wspólnego ośrodka. Dlatego mniemam, że przedewszystkiem trzeba będzie wznović dawną tradycję Dworca tatrzańkiego, z czasów, gdy był on głównym punktem zbornym i rodzajem miejscowego »kursalu«. Dziś takiego centralnego punktu bra-

kuje; brakuje go wogóle dla Zakopanego i brakuje dla tych wszystkich coraz liczniejszych, którzy w działalności Tow. są zainteresowani; posiedzenia sekcji odbywają się przecież dziś po kawiarniach. Dlatego jestem zdania, że nie tylko Dworzec trzeba oddać w całej pełni do użytku członków, ale że co więcej, trzeba będzie wkrótce pomyśleć o jego przekształceniu i rozszerzeniu. Zresztą stan jego dzisiejszy wobec okazałego gmachu muzealnego, który ma stanąć tuż obok, i w otoczeniu mającego powstać pięknego alpinarium, okaże się jako całkiem niemożliwy do utrzymania.



Głazy w Gorganach.

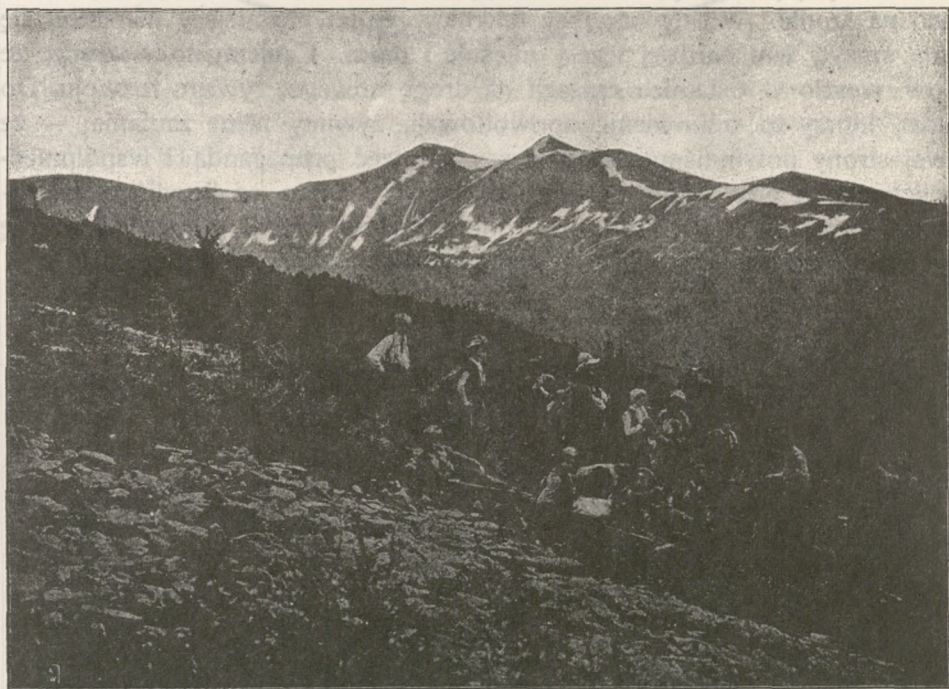
Pam. T. T. XXXIV. 1913.

Fot. Z. Hetper.

Ważność rozwoju Podtatrza dla Tatr nie ogranicza się do samego Zakopanego. To zadanie, jakie Tow. wobec Zakopanego w swoim czasie spełniło, wypadnie mu może podjąć w pewnej mierze wkrótce wobec innych miejscowości podtatrzańskich. O innych, pozatatrzańskich okolicach i o Oddziałach Towarzystwa mówić nie będę, gdyż przekracza to moją kompetencję. W sprawach Tatr jest Tow. pierwszą instancją, w sprawach innych Oddziałów jest tylko instancją wyższą, czuwającą. Oddziały muszą autonomicznie radzić o sobie. Ogólny przecież kierunek Tow., o którym mówiłem, wpłynąć musi i na Oddziały, a sposoby postępowania w Tatrach mogą znaleźć i u nich odpowiednie do miejsca i okoliczności zastosowanie.

Nakoniec wypada mi poświęcić parę słów jednej jeszcze, bardzo ważnej rzeczy, tj. organowi Tow., którym jest jego »Pamiętnik«. Pismo służy za środek propagandy, budzenia zainteresowania, urabiania opinii. Dla spełnienia tych zadań musi się starać o popularność wśród społeczeństwa. Nie wiem, czy o Pamiętniku Towarzystwa napisano kiedy jaką recenzję. Uważany on jest za organ wewnętrzny instytucji, w którym częścią zasadniczą jest sprawozdanie, a trochę artykułów dodano dla okras. W tych warunkach trudno jest i o szerszą popularność i o artykuły. Ażeby to zmienić, trzeba przede wszystkim z miejsca naczelnego usunąć sprawozdanie. W łonie Sekcyj kursuje myśl, aby oprócz Pamiętnika wydawać krótkie, periodyczne »wiadomości«. Gdy się działalność Sekcyj szerzej rozwinie, będzie to zapewne nieuniknionem; wtedy sprawozdania będzie można tutaj przemieścić. Tymczasem można je usunąć na koniec Pamiętnika i równocześnie skrócić. Dalej sam tytuł powinien wskazywać, że nie jest to tylko organ wewnętrzny instytucji, i dlatego byłbym zdania, że tytuł »Pamiętnik Tow. Tatr.« należałoby zmienić na tytuł »Rocznik Tatrzański, organ Towarzystwa Tatrzańskiego«. Jeśli stoi się na stanowisku, że Tow. Tatr. powinno jeśli nie wchłonąć w siebie, to przecież zogniskować cały kompleks interesów, zwłaszcza interesów idealnych, Tatr i Podtatrza, to trzeba do tego poglądu przystosować i pismo. Dotąd w Pamiętniku od początku jego istnienia pomieszczano artykuły o sprawach najrozmaitszych, a przecież nie można powiedzieć, aby Pamiętnik wszystkie te sprawy rzeczywiście zastępował i był niejako ich miarodajnym rzecznikiem i reprezentantem. Na tle Podhalańszczyzny rozwinęła się literatura podhalańska, góralska gwara zapłodniła język literacki, sztuka ludowa Podhala zbudziła nowy ruch w sztuce stosowanej i w budownictwie, około tego ruchu powstał gwar, a nawet hałas namiętny sprzecznych poglądów, — prądy ważne i płodne rozbrzmiewające w kraju — idea kształcenia sprawności fizycznej, idee ochrony swojszczyzny, ochrony przyrody, szerzenia dla celów narodowych krajoznawstwa i przystosowania do tego turystyki — wszystkie one uderzają falą o Tatry i Podhale... Czy przyszły historyk, który sięgnie do Pamiętnika Towarzystwa w mniemaniu, że tam znajdzie pierwszorzędne źródło pouczenia o tem wszystkim, nie dozna zawodu? Nie znajdzie on tam bodaj sprawozdawczej relacji lub choćby danych bibliograficznych. A nawet w zakresie najistotniejszej dziedziny Towarzystwa, w zakresie znawstwa Tatr, czytelnik nie znajdzie dostatecznych informacji i wskazówek, nie dowie się nie tylko co, ale czy i gdzie o Tatrach pisano, — jak chyba tylko przygodnie. Wszystko to nie są zarzuty przeciw redakcji,

która z wielkim trudem i poświęceniem pracuje i zdobywa bardzo nieraz cenne artykuły; są to zarzuty przeciwko obecnemu typowi pisma, o którego zmianie trzeba pomyśleć. Wtedy sama czynność redakcyjna stanie się nie tylko wdzięczniejszą, ale wobec zwiększenia zakresu treści i ożywienia zainteresowania tak czytelników, jak autorów, bodaj że — łatwiejszą.



Gorgany: Grzbiet Sywuli (1835 m) z Iłowyszcza.

Pam. T. T. XXXIV. 1913.

Fot. M. Affanasowicz.

Wreszcie sędzę, że byłoby bardzo wskazaniem, aby taki »Rocznik Tatrzański« był organem nie tylko Towarzystwa, ale, zawsze pod redakcją Tow., stał się także organem innych Towarzystw, pracujących na Podtatrze, jak np. Muzeum im. Chałubińskiego, Tow. Sztuki Podhalańskiej i t. d.; — wyszłoby to na dobre zarówno treści Rocznika, jak i tym wszystkim instytucjom, jak wreszcie samemu Towarz., które w ten sposób stwierdziłoby umocniło swą rolę centralnego ogniska.

Kiedy się mówi o przyszłości, wolno mówić nie tylko o dziś, ale

o jutrze, i o dniu pojutrzejszym; dlatego nie sądzę, abym się spotkał z zarzutem, że wychodzę gdziekolwiek poza realne granice możliwości. Z pewnością, dla osiągnięcia tych celów potrzeba sił i środków, tj. więcej członków i więcej pieniędzy; ale cele mają to do siebie, że działają zapładniająco na środki. Wiemy wszyscy taternicy, że im piękniejszy uśmiecha się nam szczyt, tem bardziej tężeją mięśnie i płuca. Czujemy to wszyscy, że Tow. weszło w ostatnich czasach na drogę nowego, żywego rozwoju. Do ludzi, którzy to odnowienie spowodowali, żywimy pełne zaufanie; — ze swej strony powinniśmy ich wszyscy poprzeć propagandą i współpracownictwem. A gdy każdy rzetelnie zrobi swoje, to to, co liczyliśmy na pojutrze, stanie się może już jutro, a może jeszcze dziś. Z tą nadzieją kończę życzeniem na pomyślność tej pracy, góralskiem »Racz Bóg żegnać!«



Z Kroniki Polskiej Macieja Miechowity.

Pam. T. T. XXIII. 1902.

IV

Kronika PTT

O STYL POLSKIEGO
TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

WYSTĄPIENIE PREZESA PTT MACIEJA MURZI
NA DZIEŹDZIE DELEGATEK
10 paźd



O STYL POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

WYSTĄPIENIE PREZESA PTT MACIEJA MISCHKE
NA II ZJĘDZIE DELEGATÓW PTT W LUDŹMIERZU,
10 października 1992 r.

Statut Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w § 3 stanowi, że „PTT zrzesza osoby zainteresowane czynnie kształtowaniem humanistycznych postaw wobec gór oraz ochronę tych wartości”.

Celem PTT jest (§ 7 ust. 1) „wychowanie społeczeństwa, zwłaszcza młodzieży, dla idei umiłowania i ochrony gór...”

Ponadto (ust. 3) „ochrona środowiska naturalnego i krajobrazu ziem górskich...”

Dla osiągnięcia tych celów PTT (§ 8 ust. 1): „zrzesza miłośników gór oraz dba o wysoki poziom ich wiedzy, kultury i kwalifikacji turystycznych”.

Statut wyraźnie stawia na pierwszym miejscu humanistyczny stosunek członków PTT do Gór.

Hasła te rozwija Program PTT.

Jak wygląda realizacja tych haseł w roku 1992?

Widzę zarysowujące się w Towarzystwie trzy nurty.

Pierwszy stawia na działalność górską w sposób „dający radość i zapewniający bezpieczeństwo”.

Drugi to ochrona przyrody.

Trzeci nazwałbym regulaminowo-szkoleniowym.

1) Jak objawia się nurt pierwszy?

Jego zwolennicy widzą — na tle Gór — Człowieka. A więc szacunek dla Gór, ale także szacunek dla Człowieka.

Szacunek dla Gór nakazuje oczywiście także respektowanie przyrody górskiej, wynikające z wewnętrznej potrzeby, a nie z zakazów.

Szacunek dla Człowieka, to respektowanie potrzeb i uczuć bliźniego. To kultura w schronisku, koleżeństwo na szlaku. Wzorowanie się na wybranych autorytetach. Stąd pojawia się stosunek: Mistrz — Adept.

Kto jest Adeptem? To ten, co zaczyna poznawać Góry, dąży w Góry, może naśladować Mistrza, może chce go przewyższyć.

A Mistrz? Tu definicja trudniejsza. Na pewno nie musi być Mistrzem ten, co ma GOT wyższego stopnia niż Adept. Na pewno nie jest Mistrzem ten, co sam się za takiego uważa, co powołuje się na swoją „elitarność” i żąda dla niej uznania (nawet przywilejów).

Według mnie Mistrzem można się stać przez uznanie środowiska. Wymaga to własnego starania o postępowanie zgodne z zasadą szacunku dla Gór i dla Człowieka. Że to niewymierne! Że w zależności od środowiska Mistrz może być Mistrzowi nierówny!

Ale każdy Mistrz musi zdobyć uznanie swojego środowiska.

To nurt pierwszy..

2) Nurt ochrony przyrody.

W przeciwieństwie do zwolenników nurtu pierwszego, którzy ochronę przyrody zaczynają od własnej postawy, własnych działań — nurt drugi uważa, że ochronę przyrody należy wymusić na osobach trzecich. Powoduje to konflikt pomiędzy ochroniarzami a innymi.

Przypomnijmy sobie jak ta sprawa przebiegała w Tatrach w ciągu ostatnich osiemdziesięciu lat. Za mojego dzieciństwa i młodości w górach „swoboda czekała na Cię”. Był zamknięty zwierzyniec księcia Hohenlohe, co wzbudzało niechęć turystów, ale teren zakazany był niewielki i obejmował stosunkowo mało interesujący obszar. W pozostałych rejonach panowała swoboda. Potem przysłała okupacja hitlerowska.

Po II wojnie nastąpiła „okupacja” przez WOP. Z kolei na terenach ofiarowanych narodowi przez hr. Zamyskiego utworzono Tatrzański Park Narodowy. Zakazy zaczęły się mnożyć, a Straż Parku zasłużyła sobie na ogólną niechęć turystów.

W ostatnich latach wydawało się, że nowa dyrekcja TPN znajdzie jakiś *modus vivendi* z ludźmi. Niestety na razie nadzieje te nie ziściły się. Zakazy są nadal dominującą cechą krajobrazu tatrzańskiego, a ich uzasadnienie często karkołomne. Przykład: dolna droga do schroniska w Roztoce. Straż graniczna popuściła, ale TPN trzyma się twardo. Do niedawna otwarcie drogi miało przeszkadzać w rui jeleniom z Białej Wody. Teraz nazywa się, że zagraża niedźwiedź.

Nawiasem mówiąc, czy nie za wiele tych niedźwiedzi w Tatrach? Ochrona zwierzyny — słuszna rzecz, ale czy człowiek ma całkiem wycofać się ze zwierzynca tatrzańskiego?

Jak wygląda realizacja ochrony przyrody przez członków naszego towarzystwa?

Toczą się z Parkami rozmowy na temat Straży Ochrony Przyrody. Toczą się opornie. TPN byłby skłonny nadać członkom PTT status strażników. Bez prawa do nakładania mandatów.

Znaczna część Towarzystwa wyraża zadowolenie z takiego postawienia sprawy. Ale są gorliwcy, uważający, że trzeba „onych” zmusić mandatami do przestrzegania przepisów ochroniarskich. I co? Skutek może być wątpliwy, a Towarzystwo ściągnie na siebie odium turystów.

3) Nurt trzeci.

Zwolennicy tego stylu pragną wszelką działalność członka Towarzystwa podporządkować ustalonym regułom i regulaminom. Wprowadzić dryl wojskowy. Dryl biurokratyczny znany z PTTK: stopnie, odznaki...



Osobiście jestem zwolennikiem nurtu humanistycznego. Mam prawo sądzić, że nie jestem w tym odosobniony.

Może to wywołać zarzut: a co z ochroną przyrody?

Otóż wyznawcy humanistycznego stosunku do Gór zaczynają ochronę przyrody od siebie. **To ja mam tak zachowywać się w górach, by im w niczym nie szkodzić.**

W przeciwieństwie do tego „ochroniarze” uważają, że oni stworzeni są do wyższych przeznaczeń i żądają, aby inni stosowali się do różnych zakazów.

Nawet ci członkowie Towarzystwa, którzy pragną działać jako Strażnicy Ochrony Przyrody, domagają się dla siebie uprawnień do egzekwowania zakazów wobec „innych”.

Ujawnia się jakaś utajona psychika żandarma.

No i na koniec: dryl wojskowo-biurokratyczny. Ten kierunek jest całkiem sprzeczny z tradycją Towarzystwa Tatrzańskiego. Zwolennicy drylu uważają, że mają prawo podporządkowania sobie innych, mniej wartościowych członków Towarzystwa. Może to doprowadzić do zabicia osobistego stosunku do Gór.

Wyjątek może stanowić sprawa GOT. Kontynuowanie tej odznaki jest zgodne z tradycją.

Podsumowując myślę, że rozwój Towarzystwa winien iść w kierunku stylu humanistycznego.

II ZJAZD DELEGATÓW

PROTOKÓŁ

Dnia 10 października 1992 roku o godz. 10.30 w Domu im. Orkana i Tetmajera Oddziału Związku Podhalan w Ludźmierzu rozpoczęły się obrady II Zjazdu Delegatów Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Zebranych powitała serdecznie gospodyni Domu Ewa Krupa-Iwulska.

Obrady otworzył prezes PTT Maciej Mischke. Minutą ciszy uczczono tych, którzy odeszli w okresie mijającej kadencji. Następnie Prezes M. Mischke powitał gości Zjazdu:

- członka honorowego PTT prof. dr Ryszarda W. Schramma,
- p. Stanisława Krupę i p. Ewę Krupa-Iwulską z Oddziału Związku Podhalan w Ludźmierzu,
- ks. Tadeusza Juchasa — proboszcza parafii w Ludźmierzu,
- dr Wojciecha Gąsienicę-Byrcyna — dyrektora Tatrzańskiego Parku Narodowego,
- dr Jerzego Sawickiego i p. Zbigniewa Machalicę z Sekcji Parków Narodowych Polskiego Klubu Ekologicznego,
- p. Edwarda Kudelskiego — wiceprezesa ZG PTTK,
- p. Marka Staffę — przewodniczącego Komisji Turystyki Górskiej ZG PTTK,
- p. Grzegorza Lato z Muzeum Tatrzańskiego,
- p. Tadeusza Pudzisa — redaktora „Orla Tatrzańskiego” oraz delegatów i innych członków PTT przybyłych na Zjazd.

Prezes M. Mischke odczytał listy od zaproszonych posłów podhalańskich Andrzeja Gąsienicy-Makowskiego i Stanisława Żurowskiego, prof. Marii Gumińskiej

— przewodniczącej Polskiego Klubu Ekologicznego oraz kolegów Jerzego Preislera i Romualda Zareby, którzy z różnych przyczyn nie mogli przybyć na Zjazd.

Jednogłośnie powołano Prezydium Zjazdu: przewodniczącego — Zbysława Kałkowskiego z Krakowa, 2 zastępców — Krzysztofa Lipińskiego z Łodzi i Jana Wypartowicza z Krakowa, 2 sekretarzy — Barbarę Morawską-Nowak z Krakowa i Ewę Michalak z Kalisza.

Obrady toczyły się według następującego porządku dziennego:

1. Zagajenie — Prezes ZG PTT.
2. Powołanie Prezydium Zjazdu.
3. Przyjęcie porządku obrad.
4. Przyjęcie regulaminu obrad.
5. Uchwała w sprawie nadania godności członka honorowego PTT.
6. Powołanie Komisji: Mandatowej i Skrutacyjnej, Statutowej oraz Wnioskowej.
7. Przyjęcie protokołu z I Zjazdu Delagatów PTT.
8. Sprawozdanie merytoryczne Zarządu Głównego.
9. Sprawozdanie finansowe Zarządu Głównego.
10. Sprawozdanie Głównej Komisji Rewizyjnej.
11. Sprawozdanie Głównego Sądu Koleżeńskiego.
12. Sprawozdanie Komisji Mandatowej i stwierdzenie prawomocności obrad.
13. Dyskusja nad sprawozdaniami.
14. Przerwa: godz. 14.00 — 16.00
15. Uchwała w sprawie absolutorium dla ustępującego Zarządu Głównego.
16. Wybory władz Towarzystwa.
17. Uchwała w sprawie zmian Statutu (referuje Komisja Statutowa).
18. Sprawa Pamiątnika PTT.
19. Uchwała w sprawie finansów Towarzystwa.
20. Sprawozdanie Komisji Wnioskowej i podjęcie uchwał.
21. Wolne wnioski.
22. Zamknięcie obrad przez Przewodniczącego Zjazdu.

ad. 4. Zdecydowaną większością głosów przyjęto zaproponowany przez Przewodniczącego regulamin obrad.

ad. 5. Prezes M. Mischke zaproponował Zjazdowi tylko jedną kandydaturę na członka honorowego PTT — Ojca św. Jana Pawła II. Poinformował o przeprowadzonej korespondencji z kurią rzymską. Postawił wniosek o wystąpienie do Papieża Jana Pawła II z prośbą o przyjęcie godności członka honorowego naszego Towarzystwa. Uchwałę przyjęto zdecydowaną większością głosów przy jednym głosie sprzeciwu.

Ludźmierz, 10 października 1992 r.

Jego Świątobliwość
Jan Paweł II
Citta del Vaticano

Ojcze Świąty,

Przypadła nam w udziale zaszczytna powinność powiadomienia Jego Świątobliwości o zainicjowanej przez Zarząd Główny naszego Towarzystwa, a gorąco i entuzjastycznie przyjętej przez naszych członków uchwale:

II Zjazd Delegatów Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego odbyty dnia 10 października 1992 w Ludźmierzu prosi Ojca Świętego Jana Pawła II o przyjęcie Członkostwa Honorowego Towarzystwa.

Dla nas wszystkich, związanych z bogatą w tradycje górską, Tatrom szczególnie poświęconą i założoną w roku 1873 organizacją, będzie drogą i bliskie sercu przeświadczenie, że Honorowym Członkiem zostaje największy z Polaków naszych czasów.

W Sanktuarium Ludźmierskim stoi tron papieski. Dla Delegatów Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego tron nie był pusty. Duch Jego Świątobliwości był tam wśród nas.

Sekretarz Towarzystwa
Barbara Morawska-Nowak

Prezes
Maciej Mischke

☆☆☆

Watykan, 20 listopada 1992

Szanowny Panie Prezesie,

W imieniu Jego Świątobliwości Jana Pawła II wyrażam podziękowanie za list z dnia 10 października br. z wiadomością o uchwale II Zjazdu Delegatów Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego.

Jest powszechnie znana miłość Ojca Świętego do gór, a zwłaszcza do Polskich Tatr, które były dla niego przez tyle lat nie tylko miejscem wypoczynku, ale także modlitwy, medytacji i twórczych natchnień.

Ojciec Świąty życzy, aby Wasze Towarzystwo dobrze służyło pogłębianiu i utrwalaniu niezwykle bogatej kultury regionu tatrzańskiego, tak bardzo zakorzenionej w wierze ojców, udzielając na te prace swego błogosławieństwa.

Z wyrazami szacunku
Mons L. Sandri
Asesor

ad. 6. Wybrano komisje zjazdowe: Mandatowo-Skrutacyjną: Marian Wolny (Poznań), Tomasz Borowski (Ostrzeszów) i Jerzy Podosek (Kraków) oraz Wnioskową: Antoni Dawidowicz (Kraków), Małgorzata Kieres (Nowy Sącz) i Jan Siwiec (Gliwice).

Wybór Komisji Statutowej przesunięto na późniejszy termin.

ad. 7. Przy 3 głosach sprzeciwu przyjęto protokół z I Zjazdu Delagatów PTT.

ad. 8. Sprawozdanie z działalności Zarządu Głównego PTT za okres kadencji (1989.10.07 — 1992.10.10) przedstawiła Barbara Morawska-Nowak, sekretarz Towarzystwa. (*patrz Pamiętnik PTT t. 1.: „Trzy lata działalności”*).

Prezes Maciej Mischke wyjaśniając przyczyny poinformował o niezrealizowanych wnioskach przyjętych na I Zjeździe. Podziękował członkom za współpracę i za krytykę oraz przedstawił swoje refleksje na temat stylu działania Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego.

ad. 9. Sprawozdanie finansowe Zarządu Głównego przedstawił skarbnik Ludwik Rogowski (tekst publikujemy po protokole).

ad. 10. Sprawozdanie Głównej Komisji Rewizyjnej przedstawił jej przewodniczący Stanisław Gerega. Główna Komisja Rewizyjna stawia wniosek o udzielenie absolutorium ustępującemu Zarządowi Głównemu. Jako główne problemy uznał sprawę schronisk, przywrócenia konwencji turystycznej, przywrócenia GOT w PTT. Złożył podziękowanie i wyrazy uznania dla Sekretarza Towarzystwa Barbary Morawskiej-Nowak za całokształt jej pracy. Podziękował Oddziałom, które nadesłały Komisji sprawozdania finansowe. Szczególnie wyróżnił Oddział PTT w Kaliszu za działania na rzecz całego Towarzystwa (odznaki, legitymacje) podkreślając zasługi Romualda Zaręby i Józefa Durdena.

ad. 11. Antoni Dawidowicz stwierdził, że nie było potrzeby zwoływania Sądu Koleżeńskiego, bo nie zgłoszono żadnej sprawy. A. Dawidowicz zgłosił chęć opracowania projektu regulaminu sądów koleżeńskich PTT.

ad. 12. Jerzy Podosek w imieniu Komisji Mandatowo-Skrutacyjnej poinformował, że w Zjeździe bierze udział 67 delegatów na wybranych 103. Komisja stwierdziła prawomocność obrad.

ad. 13. Otwierając dyskusję nad sprawozdaniami przewodniczący zaprosił do wypowiedzi gości Zjazdu.

Jako pierwszy zabrał głos Edward Kudelski, wiceprezes ZG PTTK. Poinformował, że Zjazd PTTK odbędzie się 26.02.1993 roku. Ogólna refleksja — PTT i PTTK mają te same zainteresowania i problemy. W kraju obserwuje się regres działalności społecznej. Należy więc unikać rozproszenia — jest nas zbyt mało. Dla PTTK ważne jest utrzymanie schronisk i szlaków. W latach 1991 — 1992 oddano nowe obiekty. Nieprawdą jest, że PTTK wyprzedaje schroniska górskie:

miało to miejsce jedynie w wypadku Szrenicy. Opracowano jednolity, jasny regulamin schronisk i przejrzysty system zniżek. Na Zjazd PTTK przygotowywany jest manifest — podkreśla się ważność wyrazistego wizerunku organizacji i osobowości prezesa. PTTK kontynuuje tradycje PTT poprzez przyznawanie GOT, odznaki wprowadzonej w 1937 roku przez PTT.

Jerzy Sawicki (Polski Klub Ekologiczny) pogratulował wszystkim, którzy doprowadzili do wskrzeszenia Towarzystwa, które autentycznie kontynuuje tradycje przedwojennego PTT. Poinformował, że od 11 lat prowadzi Sekcję Parków Narodowych PKE. Ochrona przyrody była zawsze silnym nurtem w PTT. Ruch turystyczny w parkach narodowych należy regulować, kierować go w nieznanne, a równie piękne tereny. W Tatrach nie można już zagęszczać szlaków. PKE opowiedział się za przekazaniem całości dóbr materialnych znajdujących się na terenie parków w ręce jednego dysponenta — dyrekcji parków. Dlatego PKE wspomaga dyrekcję TPN w przejściu przez Park kolejki na Kasprowy Wierch. Przejmując różne prywatne własności góralskie należy dać właścicielom rekompensaty pieniężne lub tereny zastępcze poza Parkiem. J. Sawicki obiecał informować PTT o podejmowanych sprawach dotyczących gór i życzył Towarzystwu „orlich skrzydeł”.

Marek Staffa (Komisja Turystyki Górskiej PTTK) podkreślił łączność naszych organizacji. Różni nas spojrzenie na pewne zagadnienia. Podkreślił zmianę poglądów w PTTK, odeszło się od taniej reklamy. Celem jest stworzenie warunków dla uprawiania turystyki górskiej. Chodzi o utrzymanie schronisk i szlaków. Problemem staje się fizyczne kurczenie się gór — z jednej strony napiera urbanizacja, z drugiej strony maleją tereny, po których można się swobodnie poruszać. Uważa się, że turystyka górską zagraża przyrodzie, bo łatwiej jest nas zwalczać jak organizacje gospodarcze.

Turystyki nie należy utożsamiać z ruchem spacerowym. Maleje ilość turystów wewnątrz gór. Spadła też liczba zdobywców GOT. Zagrożeniem dla gór była turystyka masowa i narciarstwo sportowe, a obecnie staje się nim kolarstwo wysokogórskie i turystyka jeździecka. M. Staffa poinformował o wieloletnich kontaktach zagranicznych KTG i o sukcesach w kontaktach ze słowackim i czeskim towarzystwem turystycznym. Uzgodniono wspólne szlaki graniczne, uporządkowanie szlaków dojsciowych, swobodę poruszania się obu stron w strefie przygranicznej, gęstą sieć przejść granicznych rowerowo-piesznych. M. Staffa podkreślił istniejącą wymianę informacji pomiędzy KTG, PTTK, a PTT.

Grzegorz Lato z Muzeum Tatrzańskiego wyraził chęć bliższego poznania PTT. Przypomniał dawne związki PTT z Towarzystwem Muzeum Tatrzańskiego. Prosił o przysłanie Muzeum naszych wydawnictw. Zaprosił nas do Dworu w Łopusznej, w którym zrodziła się idea powołania TT.

Dyrektor TPN dr Wojciech Gąsienica-Byrcyn wyraził radość ze zbieżności celu TPN i PTT jakim jest ochrona Tatr. Podzielił się aktualnymi problemami Parku. W związku z ogólną sytuacją następuje zmiana zachowań ludzi i organizacji wyrażająca się dążeniem władz lokalnych Zakopanego do uszczuplenia obszaru Parku. Zagrożenie lasu tatrzańskiego widoczne jest już gołym okiem; obserwuje się obniżenie zasięgu świerka o 200 m, mamy tylko 2% zdrowych drzewostanów. Mieszkańcy Zakopanego żyją w zadymionych terenach. Program związany z zagospodarowaniem, lasów oraz terenów nieleśnych jest bardzo kosztowny. Brak jest pieniędzy na działalność podstawową. Odpłatność na wstęp do Parku to niewielka część dochodów, dzięki którym można będzie zrealizować pewne zadania. Trudno jest uzyskać dotacje rządowe lub zagraniczne. Przejęcie kolejki na Kasprowy mogłoby dać Parkowi roczny dochód w wysokości 10 mld zł, który byłby przeznaczony na ratowanie środowiska. TPN odmawiając członkom PTT wolnego wstępu (bez opłat) na teren Parku nie chciał stwarzać precedensu, bo chętnych było wielu. Park potrzebuje wielu protektorów i partnerów do współpracy. Dobrze układa się współpraca z Polskim Klubem Ekologicznym, Ligą Ochrony Przyrody, Muzeum Tatrzańskim, oddziałem Zakopiańskim PTTK. Dyrektor TPN życzy „aby nam równie dobrze układała się współpraca, a Tatry będą nasze”.

Zbigniew Machalica (Sekcja Parków Narodowych PKE) jako były członek PTT wyraził radość z reaktywowania PTT. Obecny czas wzywa nas do ratowania przyrody górskiej. PTT posiada wspaniały przymiotnik „tatrzańskie” w nazwie. Tatry są zagrożone bezpośrednio przez zamiar wyłączenia wielkich obszarów spod ochrony. Cieszy się, że PTT jest sojusznikiem w ratowaniu Tatr. Wystąpienie zakończył słowami: „Szczęść Boże w pracy dla ratowania gór, dla ratowania narodu”.

Jerzy Podosek (Kraków) zaproponował, aby wyrazić podziękowanie Panu Prezydentowi Wałęsie za trafną i mądrą decyzję przyznania śmigłowca dla potrzeb Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego.

Adam Liberak (Oddział Kraków) opowiedział się za zasadą, aby w Parku był jeden gospodarz. TPN domagając się przejęcia kolejek miał na uwadze, aby dochody z nich pozostawały w gestii Parku. Również PTTK powinno powierzyć schroniska Parkowi.

Antoni Dawidowicz (Kraków) – obecny Zjazd jest zakończeniem pewnego etapu w PTT, który można określić jako zaistnienie. Materialnym tego wyrazem jest ukazanie się I tomu Pamiętnika PIT. Działalność wydawnicza jest bardzo ważna dla Towarzystwa jako propagująca jego działalność. Nie powinniśmy również zaniedbywać prowadzenia działalności gospodarczej. Sprawa GOT nie powinna być źródłem konfliktu z PTTK, jedynie sprawą wzajemnych uzgodnień. Zdobywca odznaki miałby prawo zadecydować, czy przyzna mu ją PTT czy PTTK.

Jacek Nabzdyk (Poznań) – w PTT należy wypracować praktyczną działalność, jak tworzenie własnej bazy (ubolewał, że nie powiodła się zainspirowana przez niego akcja chatk studenckich). Istnienie schroniska PTT na Młodej Horze już daje pozytywne efekty. Jest za organizowaniem spotkań turystycznych w górach. J. Nabzdyk uważa, że PTT powinno być elitarne, dlatego zaproponował wyższe składki.

Piotr Ziółkowski (Łódź) poparł stanowisko przedmówcy w sprawie organizowania spotkań górskich. Jesteśmy małą organizacją, nie znamy się, nikt się z nami specjalnie nie liczy. Chcemy być zauważeni. Oddziały są rozsiane po kraju, brak między nimi wzajemnej informacji. Dlatego jest za organizowaniem spotkań ogólnopolskich.

Kolega z Gliwic (nazwiska nie zanotowano) sprzeciwił się tworzeniu elitarności Towarzystwa przez podnoszenie składek. Nie ważne jest, kto ile ma w portfelu, ważne jest zamiłowanie do chodzenia po górach.

Andrzej Grabowski (Kalisz) powiedział jak widzi działalność Towarzystwa. Oddziały powinny się wzajemnie powiadamiać o organizowanych imprezach, wymieniać biuletyny, prowadzić biblioteki, gromadzić i wymieniać między sobą przezrocza, okazy dydaktyczne, pamiątki własnej działalności. Prowadzić kroniki swej działalności.

Barbara Morawska-Nowak (Kraków) zwróciła P. Ziółkowskiemu uwagę, że w ubiegłej kadencji były organizowane spotkania ogólnopolskie i otwarte posiedzenia ZG w górach, w których członkowie Oddziału Łódzkiego nie brali udziału.

Józef Michlik (Ostrzeszów) – schronisko na Młodej Horze jest wspólnym tworem całego Towarzystwa. Podkreślił znaczenie wzajemnego zaufania, bez którego, jego zdaniem, nie ma Towarzystwa. Cieszy się z powrotu różnych ludzi do PTT.

J. Michlik wypowiedział się za przyjęciem sprawozdania Zarządu Głównego i za opracowaniem krótkiego, zwięzłego Statutu. Należy dalej wydawać Pamiętnik i w związku z tym powołać Komisję Wydawniczą – zaproponował do niej Tomasza Borowskiego z Oddziału w Ostrzeszowie. Podkreślił znaczenie pracy społecznej członków PTT na rzecz schronisk i parków narodowych: grupa z Ostrzeszowa wykonała w tym roku pewne prace dla schroniska na Polanie Chochołowskiej. Do TPN należy się po prostu zgłaszać. Należy też przestrzegać zasady: „Nie szkodźmy górcom, a będzie dobrze”.

Maciej Zaremba (Nowy Sącz) podziękował zarządowi Głównemu za owocną trzyletnią działalność i wręczył Prezesowi M. Mischke i Sekretarzowi B. Morawskiej-Nowak pamiątkowe albumy wydane z okazji 700-lecia Nowego Sącza.

Wydanie I tomu Pamiętnika PTT uznał za największe nasze osiągnięcie. Pamiętnik należy kontynuować. Zwrócił uwagę na przypadającą w 1993 roku rocznicę 120-lecia powstania Towarzystwa Tatrzańskiego. Sprawy przewodnictwa wymagają regulacji prawnej: stale jeszcze brak ustawy o turystyce. Zauważył, że należy zgłaszać członków do odznaczeń, przez to też może będziemy lepiej zauważani.

Adam Liberak podkreślił ważność powołania Komisji Wydawniczej oraz większego włączenia się Oddziałów i poszczególnych członków w redagowanie Pamiętnika. Największe trudności pojawiły się w zebraniu materiałów informacyjnych z Oddziałów.

A. Liberak zwrócił uwagę na sprawę ochrony przyrody. Lasy są rabowane przez samych leśników. Przykład — przetrzebiona Gubałówka. Bardzo ważna jest propaganda sadzenia lasu — już dziś sadźmy młody las, który wyrosnie naszym wnukom.

Zbigniew Grzegorzewski (Łódź) — siła Towarzystwa nie jest taka mała. Przykład — Oddział w Łodzi, który już zorganizował 5 dużych wypraw w Karpaty Wschodnie i 2 wyprawy w Alpy. Dzięki tym wyjazdom uczestnicy łączą się trwale z PTT.

Jerzy Lefeld (Warszawa) — oddział nie ma funduszy na remont chaty w Bieszczadach. Należy dotrzeć z informacją o Towarzystwie do dawnych członków PTT przebywających za granicą. J. Lefeld jest zwolennikiem umowy z Parkiem w sprawie zryczałtowanej opłaty PTT za wstęp członków do Parku. Ważne jest byśmy byli w Tatrach jako grupa społeczna i oddziaływali na innych turystów. Przypomniał, że od 1.01.1993 roku będziemy mieć 2 sąsiadów w górach, z którymi należy pertraktować np. w sprawie konwencji turystycznej.

Janusz Smolka (Radom) zadeklarował pomoc w organizowaniu przez PTT Społecznej Straży TPN w 1993 roku.

Jerzy Podosek (Kraków) zaproponował stałą rezerwację jednego pokoju w schronisku dla członków PTT.

Tomasz Weber (Oddział Opole) poparł tę propozycję pod warunkiem ustalenia rocznej składki PTT na poziomie 240.000,- zł.

ad. 14. Przerwa w obradach — gorąco oklaskiwany występ młodzieżowego zespołu podhalańskiego.

ad. 15. Przewodniczący obrad poddał pod głosowanie wnioszek o udzielenie absolutorium ustępującemu Zarządowi Głównemu.

Wniosek przeszedł przy 5 głosach wstrzymujących się. Prezes M. Mischke podziękował sali za miłe oklaski oraz wszystkim koleżankom i kolegom za współpracę: szczególnie B. Morawskiej-Nowak i A. Liberakowi.

Następnie Przewodniczący poddał pod głosowanie wnioski o zdjęcie z porządku dziennego sprawy rozpatrywania zmian w Statucie. W sprawie tej wypowiedzieli się M. Zaremba, R. Schramm i K. Kabat.

W głosowaniu wniosek upadł, przeciw było 29 osób, za — 31.

Ad. 16. Wybory władz Towarzystwa.

Przewodniczący obrad przypomniał zasady głosowania. Głosowanie jest tajne.

a) Wybór Prezesa.

J. Michlik zgłosił kandydaturę Macieja Mischke na Prezesa.

S. Krok zgłosił kandydaturę Antoniego Dawidowicza z Krakowa.

Obaj kandydaci wyrazili zgodę na kandydowanie. A. Dawidowicz podkreślił, że zgadza się kandydować, aby stało się zadość zasadom demokracji.

W trakcie obliczania wyników wyborów zabrali głos:

J. Michlik (Ostrzeszów), który poinformował, że wszelkie kursy i szkolenia prowadzone przez PTT na Młodej Horze będą bezpłatne.

R. W. Schramm (Poznań) zwrócił uwagę na prawo Prezesa do zgłaszania kandydatów do Zarządu.

Po obliczeniu głosów Komisja Skrutacyjna ogłosiła, że w głosowaniu wzięło udział 68 delegatów.

Prezesem ZG PTT na kolejną kadencję został wybrany 51 głosami Maciej Mischke. Antoni Dawidowicz otrzymał 16 głosów, 1 głos uznano za nieważny.

Nowowybrany Prezes podziękował za wybór („nie chcem, ale muszem”), zobowiązał się kontynuować dotychczasowe działania i jeszcze raz podkreślił ważność stylu naszego Towarzystwa.

b) Wybory Zarządu Głównego

Zgłoszono 25 kandydatów do nowego Zarządu Głównego.

Andrzej Rumiński z Wrocławia poddał w wątpliwość wybór na delegata Artura Desławskiego. Po wypowiedziach M. Mischke i A. Dawidowicza sprawę oddalono.

Nastąpiła krótka autoprezentacja kandydatów.

Do Komisji Skrutacyjnej wybrano dodatkowo Andrzeja Piądlowskiego, na miejsce kandydującego do Zarządu Jerzego Podoska.

Po obliczeniu głosów Komisja Skrutacyjna stwierdziła, że w głosowaniu wzięło udział 69 osób. Oddano 65 ważnych głosów.

Poszczególni kandydaci otrzymali następującą liczbę głosów i weszli do Zarządu:

1.	Barbara Morawska-Nowak (Kraków)	—	65
2.	Maciej Zaremba (Nowy Sącz)	—	62
3.	Józef Michlik (Ostrzeszów)	—	61
4.	Ludwik Rogowski (Kraków)	—	61
5.	Jerzy Preisler (Poznań)	—	59
6.	Krzysztof Kabat (Nowy Targ)	—	57
7.	Antoni Dawidowicz (Kraków)	—	56
8.	Zbigniew Grzegorzewski (Łódź)	—	56
9.	Jerzy Podosek (Kraków)	—	50
10.	Janusz Smolka (Radom)	—	50
11.	Bronisława Alicja Nabzdyk (Opole)	—	47
12.	Zbigniew Prusowski (Gliwice)	—	47
13.	Halina Filarowska (Poznań)	—	46
14.	Ewa Michalak (Kalisz)	—	45
15.	Czesław Klimczyk (Oświęcim)	—	42
16.	Marek Stawski (Poznań)	—	42
17.	Tomasz Weber (O/Opole)	—	39
18.	Andrzej Grabowski (O/Kalisz)	—	38
19.	Piotr Ziółkowski (O/Łódź)	—	37
20.	Stanisław Trębacz (Chrzanów)	—	35

Pozostali koledzy otrzymali:

21.	Jacek Nabzdyk (Poznań)	—	34
22.	Edward Puchlerski (Gliwice)	—	32
23.	Jan Miedziak (Łódź)	—	31
24.	Artur Desławski (Wrocław)	—	23
25.	Stanisław Krok (Radom)	—	17

c) Wybór Głównej Komisji i Głównego Sądu Koleżeńskiego

Do Komisji Rewizyjnej zostali zgłoszeni następujący kandydaci:

1. Jacek Nabzdyk (Poznań)
2. Leszek Raczyński (Opole)
3. Wojciech Stankiewicz (Ostrzeszów)
4. Zbysław Kałkowski (Kraków)
5. Izabela Niewiadomska (Opole)

Do Sądu Koleżeńskiego zgłoszono następujących kandydatów:

1. Krzysztof Lipiński (Łódź)
2. Czesław Kurkowski (Radom)
3. Mariusz Choina (Gliwice)
4. Dorota Flanc (Bydgoszcz)
5. Stanisław Kuczyński (Białystok)
6. Leonard Bargenda (Ostrzeszów)
7. Małgorzata Kieres (Nowy Sącz)

Przyjęto wniosek, aby Komisja Rewizyjna liczyła 5 członków. Przegłosowano wniosek Antoniego Dawidowicza, aby głosować tajnie na całe listy (tytu kandydatów, ile miejsc). Wniosek przyjęto 27 głosami, przy 11 głosach przeciwnych.

Po przeprowadzonych tajnych wyborach Komisja Skrutacyjna w składzie: Jerzy Podosek, Tomasz Borowski i Marian Walny ogłosiła, że w obu głosowaniach oddano 65 ważnych głosów.

Komisja Rewizyjna w zgłoszonym składzie została wybrana głosami 61 delegatów.

Główny Sąd Koleżeński został wybrany w zgłoszonym składzie głosami 63 delegatów.

ad. 17. Uchwała w sprawie zmian Statutu.

Poddano głosowaniu wniosek, aby Komisja przygotowująca zmiany w Statucie, w składzie: Tomasz Weber — przewodniczący, Bronisława Alicja Nabzdyk i Leszek Raczyński — członkowie, stała się Komisją Statutową Zjazdu. Wniosek przyjęto zdecydowaną większością głosów.

K. Kabat poddał pod rozważenie sposób przyjmowania zmian: czy głosowanie nad każdym punktem oddzielnie czy też głosowanie nad całością.

K. Lipiński, wiceprzewodniczący obrad zaproponował, aby wspólnie przegłosować paragrafy, w których zmiany mają charakter formalno-redakcyjny, a pozostałe, dotyczące istotnych zmian przegłosowywać oddzielnie. Propozycję przyjęto.

Redakcyjne zmiany w Statucie PTT:

Tomasz Weber w imieniu Komisji Statutowej przedstawił blok formalno-redakcyjnych poprawek Statutu, które dotyczyły:

rozdz. 2 § 8. Dla osiągnięcia tych celów PTT:

pkt. 2 „podejmuje związaną z górami pracę wychowawczą i popularyzatorską wśród dzieci i młodzieży”,

pkt. 7. „szkoli przewodników górskich”,

pkt. 8. „nabywa, buduje i utrzymuje schroniska, schrony, baczki, stacje turystyczne i górskie wieże widokowe i dba o właściwe użytkowanie górskich szlaków turystycznych”,

pkt. 10. „wspiera wszelkie działania na rzecz ochrony górskiego krajobrazu przyrodniczego i kulturowego w jego nawarstwieniach historycznych i przeciwdziała szkodliwym wpływom zmasowanego ruchu wycieczkowego na stan zasobów przyrody górskiej,

rozd. 3 § 18 pkt. 2. „... skreślenie z listy członków przez Zarząd Oddziału z powodu nieuiszczenia składki członkowskiej za okres przekraczający 1 rok”,

rozd. 5 § 27 „Nadzwyczajny Zjazd Delegatów jest zwoływany przez Zarząd Główny z własnej inicjatywy lub na wniosek Głównej Komisji Rewizyjnej albo na żądanie Walnych Zgromadzeń co najmniej połowy ogólnej liczby Oddziałów. Zarząd Główny zwołuje nadzwyczajny Zjazd Delegatów w terminie 3 miesiące od dnia otrzymania żądania (wniosku) lub podjęcia uchwały”,

§ 32 pkt. 3. „Posiedzenia Zarządu Głównego odbywają się nie rzadziej niż co 6 miesięcy, a w każdym przypadku na żądanie co najmniej połowy jego członków”,

§ 34 pkt. 3 „Postanowienia § 32 pkt. 2 oraz pkt. 4 stosuje się odpowiednio”,

§ 35 pkt. 4. „Tryb postępowania Sądów Koleżeńskich określa regulamin uchwalony przez Główny Sąd Koleżeński”

i pkt. 6 „Postanowienia § 32 pkt. 2 oraz pkt. 4 stosuje się odpowiednio”,

rozd. 6. § 36 pkt. 4. „Walne Zebranie jest najwyższą władzą Koła, uprawnioną do przyjmowania sprawozdań zarządu, ustalania kierunków działania i dokonywania wyboru władz Koła. W Walnym Zebraniu udział biorą z głosem stanowiącym wszyscy zwyczajni członkowie Koła”,

pkt. 5. „Zarząd Koła kieruje bieżącą działalnością Koła w okresie między.... (dalej bez zmian),

pkt. 6 (nowy) „Zarząd Oddziału może rozwiązać Koło w przypadkach podanych w § 38 pkt. 1 a, b”,

§ 37 pkt. 3. „Terenem działalności Oddziału jest terenowa jednostka administracyjna lub samorządowa, którą określi uchwała Zarządu Głównego”,

§ 38 pkt. 1a „... w ciągu jednego roku nie wykazał żadnej merytorycznej działalności”.

W związku z wprowadzeniem zmiany § 35 pkt 4 zaproponowano skreślenie § 49 pkt 3 „Tryb postępowania Sądu Koleżeńkiego Oddziału określa regulamin uchwalony przez Zarząd Główny”.

Zastrzeżenia wzbudził jedynie punkt dotyczący częstotliwości zwoływania posiedzeń Zarządu (propozycja 2 razy w roku). Zdecydowana większość przyjęła tę propozycję.

Cały blok poprawek został przyjęty zdecydowaną większością głosów, przy jednym głosie sprzeciwu.

Zmiany merytoryczne

1. rozdz. 1 § 2 — przyjęto sformułowanie: „PTT jest sukcesorem i kontynuatorem Towarzystwa Tatrzańskiego powołanego w 1873 roku przemianowanego w 1922 na Polskie Towarzystwo Tatrzańskie i istniejącego do 1950 roku” z pominięciem sformułowania „do bezprawnego rozwiązania” (zdecydowana większość).

A. Liberak przypomniał, że prawie cały ówczesny Zarząd Główny zgodnie z sugestią prof. Goetla głosował wówczas „za” (rozwiązaniem PTT).

Również R.W. Schramm uznał, że rozwiązanie PTT formalnie było prawne.

Po tych wyjaśnieniach M. Zaremba zaproponował pominięcie tego sformułowania. Tylko 3 osoby głosowały za poprawką w wersji Komisji. Za wersją poprawioną głosowała zdecydowana większość.

2. rozdz. 2 § 8 — dodać pkt. 4a: „prowadzi akcję zdobywania GOT”.

Artur Desławski wyjaśnił, że chodzi tu o przywrócenie odznaki GOT PTT.

Przeciw wprowadzeniu sprawy GOT PTT do Statutu wystąpili: K. Lipiński, J. Siwiec i K. Kabat. Uznali, że w sprawie GOT można podjąć oddzielną uchwałę, bez wprowadzania tego punktu do Statutu.

W wyniku głosowania większością głosów poprawkę odrzucono (za było 11 delegatów).

3. rozdz. 4 § 22 — proponowano sformułowanie: „Formę głosowania w wyborach władz PTT ustala gremium wyborcze”.

K. Lipiński poparł wersję Komisji, przeciw niej wypowiedzieli się A. Dawidowicz i R. Schramm.

Za poprawką Komisji głosowało — 27 osób, przeciw — 28, 4 osoby wstrzymały się od głosu. Poprawkę odrzucono. Pozostano przy dotychczasowym zapisie: „Władze PTT są wybierane w głosowaniu tajnym”.

4. rozdz. 6 § 46 pkt. 1 — Wyraźną większością, przy 1 głosie sprzeciwu przyjęto nowy zapis: ... Zarząd Oddziału składa się z Prezesa i 7-10 członków wybieranych przez Walne Zgromadzenie. Zarząd wybiera ze swego grona wiceprezesa, sekretarza i skarbnika”.

5. Wyraźna większość, bez sprzeciwu wyraziła zgodę na skreślenie w § 50 punktu 2 „Wszelkie postanowienia władz PTT zmierzające do uszczuplenia majątku PTT wymagają zgody władzy rejestracyjnej”.

Przewodniczący obrad podziękował Komisji za dobre przygotowanie się i sprawne przeprowadzenie sprawy zmian Statutu.

ad. 18. Sprawa Pamiętnika PTT (został dowieziony w przerwie Zjazdu).

Adam Liberak — redaktor Pamiętnika — stwierdził, że nad Pamiętnikiem pracowały 2 osoby i ukazał się „na wariackich papierach”. Na przyszłość widzi konieczność powołania zespołu wydawniczego. Pamiętnik jest podsumowaniem życia naszej organizacji, stąd apel o włączenie się do przygotowywania materiałów. Zaapelował o opisywanie własnych przeżyć, wspomnień, o podawanie faktów i wydarzeń, które należy ocalić od zapomnienia.

Na pytanie: „Czy wydajemy następny tom?” odpowiedzią były oklaski.

Wobec tego musimy sobie zdać sprawę z kosztów wydania, które będą rosnać. Pomyśleć o przedpłatach. Wystartowaliśmy z Pamiętnikiem z pomocą dotacji uzyskanej dzięki prof. Stefanowi Kozłowskiemu; sytuacja może się nie powtórzyć.

Prezes Maciej Mischke wyraził uznanie dla pracy jaką wykonali redaktorzy: **Adam Liberak** i **Barbara Morawska-Nowak** i postawił wniosek o powołanie tych samych redaktorów do następnego tomu Pamiętnika. Uznał, że należy zobowiązać Zarząd Główny do powołania Komisji Wydawniczej, która miałaby za zadanie zająć się sprawami finansowymi wydawnictwa.

ad. 19. Uchwała w sprawach finansów Towarzystwa.

Opierając się na propozycjach ostatniego posiedzenia ZG **Prezes M. Mischke** zaproponował roczną składkę za rok 1993 w wysokości 120.000 zł. W ramach tej składki mieściłyby się:

subskrypcja	— 50.000,- zł
opłata roczna za wstęp w Tatry	— 20.000,- zł
potrzeby Zarządu Głównego	— 10.000,- zł
potrzeby Oddziału	— 40.000,- zł

Prezes prosił o upoważnienie dla Zarządu Głównego do zmiany wysokości składek na rok 1994 i 1995.

Na temat wysokości składek wywiązała się ożywiona dyskusja.

B. Morawska-Nowak wyjaśniła, że proponując Dyrektorowi Parku ryczałtową, całoroczną opłatę za wstęp członków PTT do Parku miała na uwadze podniesienie rangi naszej legitymacji, która by do tego uprawniała. Nie otrzymaliśmy odpowiedzi co do wysokości tego ryczałtu, ale byłby on raczej symboliczny.

Z. Kolakowski podkreślił wagę podejmowania przez nas pracy społecznej na rzecz Parku.

M. Zaremba sprzeciwił się tak wysokim składkom. Ze składki należy wyłączyć wstępy do Parku i subskrypcję Pamiętnika.

Wypowiedź **M. Zaremba** poparli: **K. Krawczyk** (Chrzanów), **J. Smolka** i **S. Krok** (Radom). **M. Kieres** (Nowy Sącz) była za włączeniem do składki opłaty dla TPN.

Za wysokimi składkami optowali **T. Weber** (Opole) i **J. Nabzdyk** (Poznań). **T. Weber** podkreślał wagę rangi naszej legitymacji (wstęp do Parku), **J. Nabzdyk** sprawę nabywania schronisk. Obaj widzieli możliwość różnicowania składek.

R. W. Schramm (Poznań) przypomniał, że przed wojną składki w PTT były wysokie, ale za to „Wierchy” były „za darmo”, legitymacja PTT uprawniała do swobodnego poruszania się w pasie konwencji itd. Aby budżet rodzinny nie był zbyt obciążony, żona członka PTT płaciła 50% składki, dzieci 25%. R.W. Schramm uznał, że Pamiętnik nie musi się mieścić w składce, a sprawę wstępów do TPN można zostawić w gestii Oddziałów. Musimy się jednak przyzwyczaić, że teraz nic nie ma za darmo.

Wyniki dyskusji poddano głosowaniu:

- 1) składka roczna 240.000,- zł — za zniżkami dla członków rodzin,
- 2) składka roczna 60.000,- zł, — z tego 20.000,- zł na Zarząd Główny
- 3) składka roczna 20.000,- zł — całość na Zarząd Główny.

Przyjęto 33 głosami propozycję drugą. Pierwsza uzyskała 11 głosów, trzecia — 1 głos za.

Zjazd uchwalił upoważnienie dla ZG do ustalenia wysokości składek w latach 1994 i 1995.

Większością głosów powierzono sprawę ogłoszenia subskrypcji na II tom Pamiętnika PTT uznaniu Komisji Wydawniczej.

Tylko 8 osób głosowało za ryczałtową, roczną opłatą za wstęp w Tatry w wysokości 20.000 zł od członka. Większość głosowała za odstąpieniem od tej propozycji. Wniosek upadł.

ad. 20. Sprawozdanie Komisji Wnioskowej przedstawił Jan Siwiec. Sprezycowano i przyjęto następujące wnioski:

1. Zobowiązać Zarząd Główny do kontynuacji wydawania Pamiętnika.
2. Powołać Komisję Wydawniczą.
3. II Zjazd PTT składa podziękowanie redaktorom Pamiętnika — Adamowi Liberakowi i Barbarze Morawskiej-Nowak.
4. Powołać Komitet Redakcyjny w tym samym składzie.
5. Kontynuować prace nad tworzeniem bazy noclegowej PTT.
6. Rozważyć możliwość wynajęcia na stałe 1 pokoju w schroniskach.
7. Kontynuować, we współpracy z PTTK, starania o swobodne poruszania się w górach w strefie przygranicznej.
8. Podjąć działania w celu weryfikowania i przyznawania GOT przez PTT.
9. Usprawnić wymianę informacji pomiędzy Oddziałami PTT.
10. Podjąć działania w sprawie zawarcia umowy o powołaniu społecznych strażników ochrony przyrody.
11. Wystąpić do władz w sprawie przejęcia przez TPN kolei linowych (tekst wystąpienia przygotowany przez Dyрекcję TPN). Wniosek ten wywołał dyskusję i różnicę zdań. Przeciwny wnioskowi był Prezes Mischke, za wnioskiem wypowiedział się E. Puchlerski (Gliwice), przewodnik tatrzański

zrzeszony w Centrum Przewodnickim przy TPN.

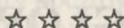
Przewodniczący obrad zaproponował przyjęcie uchwały następującej treści:
„PTT w pełni popiera starania TPN o przyjęcie w zarządzanie kolei linowych”.

Wniosek przyjęto zdecydowaną większością głosów.

12. Zobowiązać Oddziały do prowadzenia kroniki.
13. Ogłosić subskrypcję na II tom Pamiętnika.

Ewa Michalak

Barbara Morawska-Nowak



Na zakończenie pragniemy podkreślić dobrą atmosferę Zjazdu, któremu towarzyszyła wystawa dorobku niektórych Oddziałów (pokazano kroniki, wydawnictwa, fotogramy z wędrowek górskich). Przed salą obrad zorganizowano sprzedaż ekwipunku turystycznego (O/Nowy Targ), map Karpat Wsch. (O/Łódź), okolicznościowych pocztówek i wydawnictw własnych (O/Poznań i O/Kraków). Każdy uczestnik Zjazdu otrzymał specjalne okolicznościowe wydanie „Co słyszać?”.

W przerwie można było posilić się w zorganizowanym bufecie, a nawet potańczyć przy góralskiej kapeli. Dobra organizacja Zjazdu była zasługą jego organizatora Krzysztofa Kabata i członków Oddziału Podhalańskiego.



Na drugi dzień uczestnicy Zjazdu wzięli udział w mszy św. odprawionej w Sanktuarium Ludźmierskim i spotkali się z proboszczem ks. Tadeuszem Juchasem (wymiana wydawnictw, pamiątkowe zdjęcia).

GOSPODARKA FINANSOWA ZARZĄDU GŁÓWNEGO PTT W LATACH 1989-1992

Ludwik Rogowski

Działalność Zarządu Głównego PTT bazowała na składkach członkowskich. Wynosiły one w poszczególnych latach:

1989	—	1400,- zł
1990	—	3000,- zł
1991	—	6000,- zł
1992	—	24000,- zł

Z kwoty tej Oddziały odprowadzały 25% na rzecz działalności Zarządu Głównego.

W związku z zamiarem wydania Pamiętnika Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego wystąpiono z prośbą o dofinansowanie do Ministerstwa Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa i otrzymano dotacje w wysokości 50.000.000 zł.

Równocześnie ogłoszono przedpłaty na Pamiętnik w wysokości 50.000 zł za 1 egzemplarz.

Wpływy Zarządu Głównego PTT w okresie między zjazdami (1989-1992) wynosiły 80.415.100,- złotych, na co składały się:

Składki Oddziałów	—	8.437.159,-
Dotacja na Pamiętnik PTT	—	50.000.000,-
Pożyczka na Pamiętnik PTT	—	4.000.000,-

Przedpłaty z Oddziałów i indywidualne na Pamiętnik PTT	— 15.940.000,-
Wpływy z darowizn	— 2.037.981,-
<hr/>	
Razem (w zaokrągleniu)	80.415.100,-

Wydatki Zarządu Głównego dotyczyły głównie wydania Pamiętnika. Na inne wydatki składały się koszty związane z korespondencją i wydawaniem biuletynu informacyjnego „Co słyhać?” (opłaty pocztowe, koperty, papier kserograficzny). Zarząd Główny nie wynajmował lokalu i nie zatrudniał żadnych pracowników, korzystał z mieszkania i pracy społecznej Sekretarza Towarzystwa. Nie wypłacono również żadnych delegacji członkom Zarządu Głównego z tytułu udziału w posiedzeniach.

Wydatki Zarządu Głównego PTT w okresie sprawozdawczym wynosiły 71.761.600,- złotych, i składały się na nie:

Koszty własne Zarządu Głównego	— 6.761.640,-
Koszty wydania Pamiętnika PTT (do momentu zamknięcia sprawozdania)	— 65.000.000,-
<hr/>	
Razem: (w zaokrągleniu)	71.761.600,-

Okres sprawozdawczy został zamknięty **dodatnim saldem w wysokości 8.653.500 złotych.**

Dla dalszej informacji podaje się, że całość kosztów wydania Pamiętnika wyniosła 91.626.00 — i resztę kosztów pokryto ze sprzedaży. Ponadto redaktorom zwrócono łącznie 1.000.000,- zł tytułem kosztów przejazdów, rozmów telefonicznych i korespondencji.

Honorariów autorskich nie wypłacono.

Przebieg i Oddziałów i Indywidualne	-	12.240.000,-
na Pamiątkę PTT	-	2.037.281,-
Wpływy z darowizn		
Razem (w zaokrągleniu)		80.412.100,-

DZIAŁALNOŚĆ PO II ZJEŹDZIE

Barbara Morawska-Nowak

Wybrany na II Zjeździe Delegatów Towarzystwa Zarząd Główny ukonstytuował się następująco:

Prezes: Maciej Mischke (Kraków)

Wiceprezysi: Krzysztof Kabat (Nowy Targ), Józef Michlik (Ostrzeszów)
Tomasz Weber (Oddz. Opole)

Sekretarz: Barbara Morawska-Nowak (Kraków)

Skarbnik: Ludwik Rogowski (Kraków)

Członkowie Prezydium: Antoni Dawidowicz (Kraków), Jerzy Podosek (Kraków), Juliusz Jerzy Preisler (Poznań), Maciej Zaremba (Nowy Sącz).

Pozostali członkowie: Halina Filarowska (Poznań), Andrzej Grabowski (Oddz. Kalisz), Zbigniew Grzegorzewski (Łódź), Czesław Klimczyk (Oświęcim), Ewa Michalak (Oddz. Kalisz), Bronisława Alicja Nabzdyk (Opole), Zbigniew Prusowski (Oddz. Gliwice), Janusz Smolka (Radom), Marek Stawski (Poznań), Stanisław Trębacz (Chrzanów), Piotr Ziółkowski (Oddz. Łódź).

Przewodniczącym Komisji Rewizyjnej został Jacek Nabzdyk (Poznań), przewodniczącym Sądu Koleżeńskiego Krzysztof Lipiński (Łódź).

Zarząd Główny odbył już trzy posiedzenia wliczając w to posiedzenie poświęcone ukonstytuowaniu się Zarządu, które odbyło się bezpośrednio po zakończeniu Zjazdu. Następane posiedzenia odbyły się 9 stycznia 1993 r. na Młodej Horze i 15 maja 1993 r. w Głucholazach.

Sprawy organizacyjne

1. Sąd Wojewódzki w Krakowie, Wydział I Cywilny postanowieniem z dnia 14 maja 1993 r., akt Ns Rej. St. 243/92 wpisał do rejestru stowarzyszeń zmiany statutu dokonane na II Zjeździe Delegatów PTT w Ludźmierzu. Sprawa przeciągnęła się w związku z błędnym zapisem w rejestrze. Obecnie PTT jest wpisane do rejestru stowarzyszeń pod pozycją 902.
2. Urząd Patentowy RP powiadomił, że dnia 8 grudnia 1992 roku został zarejestrowany na rzecz Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego wzór zdobniczy pt. sweter przedstawiony w opisie i fotografii i uzyskał świadectwo ochronne nr 11757. Twórca wzoru zdobniczego Krzysztof Kabat otrzymał świadectwo autorskie nr 5270.
Produkcja swetrów została ponownie uruchomiona.
3. Stanisław Krok (Radom) załatwił produkcję legitymacji PTT.

Kontakty z Parkami Narodowymi

Tatrzański Park Narodowy

Janusz Smolka i Adam Liberak przedstawili w TPN projekt regulaminu Straży Ochrony Przyrody, w oparciu o który członkowie PTT mogliby pełnić funkcję strażników ochrony przyrody w TPN. Został on pozytywnie oceniony przez Dyрекcję Parku. Dyrekcja okazała się niekompetentna do jego zatwierdzenia. Regulamin wędrował kolejno do Wojewódzkiego Konserwatora Przyrody w Nowym Sączu, do Wojewódzkiego Konserwatora Przyrody w Krakowie, a obecnie trafił do Ministerstwa. Sprawa do dziś nie została załatwiona.

Z nowym rokiem 1993 wzmogły się ataki i naciski na Dyrekcję Parku w związku z planami realizacji inwestycji narciarskich i hotelarskich w Tatrach. Wymieniono w tej sprawie korespondencję z Głównym Konserwatorem Przyrody prof. Andrzejem Grzywaczem.

30.04.1993 roku Rada Gminy Tatrzańskiej podjęła uchwałę o wystąpieniu do Ministra Ochrony Środowiska z wnioskiem o odwołanie dr Wojciecha Gąsienicy-Byrcyna ze stanowiska Dyrektora TPN.

Zarząd Główny wystosował do Komisji Sejmowej i Ministerstwa pismo popierające działania Dyrekcji Parku i biorące ją w obronę.

Adam Liberak zredagował list protestacyjny, który podpisało szereg znanych osób z Zakopanego i nie tylko.

Podobne listy z podpisami skierowały do władz oddziały w Gliwicach i Poznaniu.

Żywiecki Park Krajobrazowy

Dyrektor Żywieckiego Parku Krajobrazowego Piotr Gawłowski przedstawił Zarządowi Głównemu szeroką ofertę tematów, w rozwiązywaniu których oczekuje współpracy PTT. Są to: szlaki turystyczne, przewodnictwo, propaganda ochrony przyrody, współpraca ze Słowacją w tworzeniu wspólnych obszarów chronionych i turystycznych, a nawet wydawanie legitymacji uprawniających do poruszania się w tych obszarach.

Do współpracy z Parkiem został upoważniony Józef Michlik prowadzący schronisko na Młodej Horze, na terenie Żywieckiego Parku Krajobrazowego.

Babiogórski Park Narodowy

Na zaproszenie Dyrektora Babiogórskiego Parku Narodowego mgr inż. Jacka Wizimirskiego przedstawiciele Zarządu Głównego Barbara Morawska-Nowak i Antoni Dawidowicz odbyli wstępne rozmowy na temat perspektywy współpracy z Parkiem. Dyrekcja Parku przedstawiła szeroki wachlarz tematów, w których oczekuje pomocy i współpracy, jak przewodnictwo, regulacja ruchu turystycznego, utrzymanie szlaków itp.

Świętokrzyski Park Narodowy

Oddział PTT w Skarżysku-Kamiennej zawarł porozumienie o współpracy z Dyrekcją Świętokrzyskiego Parku Narodowego.

Przewodnictwo w PTT

Przekazano do Komisji Sejmowej uwagi do projektu ustawy o turystyce w punktach dotyczących spraw przewodnictwa. Uwagi zostały wzięte pod uwagę w kolejnym projekcie, który nadal nie satysfakcjonuje PTT z uwagi na ograniczenia w prowadzeniu wycieczek przez naszych członków.

2 maja 1993 r. odbyła się w Szczawnicy narada przewodników — członków PTT. Postanowiono rozszerzyć skład zespołu d/s przewodnictwa i powierzyć mu opracowanie ramowych wytycznych organizacji przewodnictwa w PTT. Dyskultanci byli zgodni, że z konkretnymi działaniami należy się wstrzymać do uchwalenia ustawy o turystyce. W związku z rozwiązaniem Sejmu sprawa i tej ustawy przeciągnie się i może będzie czas ją dopracować.

Zarząd Główny na posiedzeniu w Głuchołazach powołał Komisję d/s Przewodnictwa w rozszerzonym składzie: Maciej Zaremba, Stanisław Trębacz, Zbigniew Prusowski, Edward Puchlerski, Tadeusz Mikulski, Adam Wnęk.

Górska Odznaka Turystyczna PTT

Zwolennicy przywrócenia Górskiej Odznaki Turystycznej PTT nalegali na przyspieszenie jej wprowadzenia i opracowywali projekty odznaki i książeczki; prym wodził Stanisław Krok, który bez zgody i uchwały Zarządu Głównego zaczął podpisywać książeczki GOT PTTK przyznając odznaki GOT PTT. Sprokował swym postępowaniem reakcję Komisji Turystyki Górskiej PTTK. Został wezwany przez Zarząd Główny do zaprzestania tych praktyk do czasu podjęcia w tej sprawie uchwał.

Na posiedzeniu Zarządu Głównego PTT w Głuchołazach Janusz Smolka przedstawił zebrane materiały dotyczące GOT PTT i swoje stanowisko w tej sprawie. Zaproponował wprowadzenie odznaki za odwiedzanie schronisk, co łączy się z poznawaniem kolejnych partii górskich.

Dyskusja nie doprowadziła do uzgodnienia stanowisk. Postanowiono powołać Komisję d/s Odznak Górskich w składzie: przewodniczący – Tomasz Weber – Antoni Dawidowicz, Alicja Nabzdyk, Jacek Nabzdyk, Janusz Smolka. Komisja ma się zająć również stroną prawną wprowadzania odznak PTT.

Kontakty z PTTK

Barbara Morawska-Nowak reprezentowała PTT na XIII Walnym Zjeździe PTTK, który odbył się 26-28.06.1993 roku w Poznaniu, a jej wystąpienie zostało pozytywnie przyjęte przez delegatów Zjazdu.

3.04.1993 roku przedstawiciele ZG PTT – Maciej Mischke, Barbara Morawska-Nowak i Maciej Zaremba spotkali się z przedstawicielami Komisji Turystyki Górskiej PTTK Jerzym Gajewskim, Edwardem Kudelskim i Markiem Staffą. Rozmawiano o przewodnictwie, GOT, utrzymaniu szlaków, zniżkach w schroniskach, jako tematach wspólnych zainteresowań. KTG PTTK oczekuje sprecyzowania zakresu współpracy z naszej strony. Ponownie spotkano się 26.06.1993 roku (M. Mischke, B. Morawska-Nowak, J. Gajewski, M. Staffa).

Janusz Smolka wziął udział w naradzie aktywu górskiego PTTK, w dniu 29 maja 1993 roku w Krakowie.

X Ogólnopolskie Spotkanie Oddziałów PTT

odbyło się w dniach 14-16 maja 1993 roku w Głuchołazach (Góry Opawskie). Organizatorem spotkania był Oddział PTT w Opolu przy współpracy Oddziału w Brzegu. Uczestnicy spotkania mieli okazję poznać mało znany rejon górski, jak również odbyć wycieczkę z czeskie Jeseniki. Spotkanie było także czwartym z serii spotkań poświęconych ochronie sudeckich kaplic i kalwarii. W czasie trwania spotkania została odprawiona po raz pierwszy Droga Krzyżowa

na odrestaurowanej Kalwarii na Górze Chrobrego w Głucholazach, a w informatorze zaznaczono, że odnowienie kalwarii było inspirowane przez PTT. Spotkaniem naszym zostały zainteresowane miejscowe władze samorządowe i kościelne, a także Wojewódzki Konserwator Zabytków w Opolu. Z powodu niedociągnięć organizacyjnych nie doszło do planowanego spotkania na temat ochrony zabytków sakralnych w górach.

Wyprawa PTT w Karpaty Wschodnie z okazji 120-lecia PTT

Oddział PTT w Łodzi organizuje ogólnopolską wyprawę w Karpaty Wschodnie. Kierownikiem wyprawy jest Zbigniew Grzegorzewski. Prace organizacyjne są znacznie zaawansowane. Nawiązano kontakty z Ministerstwem Spraw Zagranicznych i władzami Euroregionu Karpaty, które okazały zainteresowanie i poparcie dla programu naukowego wyprawy. W wyprawie ma wziąć udział 46 osób, w tym 10-ciosobowa grupa studentów Uniwersytetu Łódzkiego, prowadząca badania naukowe i 5-ciosobowa grupa filmowa. Początek wyprawy 14 sierpnia 1993 roku, wyprawa potrwa dwa tygodnie.



Nowosądeczczanie budują szlak Bł. Kingi

MŁADA HORA

Jerzy Preisler

Młada Hora to małeńki przysiółek, położony w górnej części Doliny Danielki w Beskidzie Żywieckim, na południowym krańcu Polski na wysokości 873 m npm. Gdy spojrzemy stamtąd na otaczający świat beskidzkich szczytów, grzbietów i dolin uderza nas przede wszystkim ciemna przestrzeń lasów, przerywana smugami polan i hal, językami dolin, osiedlami góralskimi, a niżej łąkami oraz uprawnymi polaciami zboczy. Szata gór jest zmienna nie tylko pod względem zasięgu, ale i bogactwa i różnorodności drzewostanów, w których dominują świerki oraz w niewielkiej ilości jodły i buki.

Przysiółek ten urzekł w 1984 roku turystów z Ostrzeszowa, którzy związali się z nim na trwałe. W przysiółku była opuszczona, stara szkoła, którą zagospodarowano na schronisko dla wędrowców górskich. Obecnie jest to pierwsze schronisko Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego prowadzone przez Józefa Michlika „Bacę”.

Gościnność i atmosfera schroniska, uroki okolic, ciekawość terenu i mieszkających tam ludzi spowodowały, że w czerwcu 1991 roku zorganizowałem tam przy pomocy finansowej Instytutu Pedagogiki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu 14-dniowy obóz dla studentów III roku pedagogiki (specjalność turystyka i krajoznawstwo).

Oprócz wędrówek turystyczno-krajobrazowych głównym celem naszego obozu były badania etnograficzne. Przeprowadziliśmy szereg wywiadów z miejscową ludnością zbierając legendy, przyspiewki, interesowaliśmy się budownictwem, przedmiotami codziennego użytku, a także pochodzeniem górali żyjących w przysiółku.



Grupa studentów UAM z Poznania z dr Jerzym Preislerem, kierownikiem badań, przed schroniskiem PTT

Początkowo byliśmy przyjmowani nieufnie. Towarzyszyły nam pytania mieszkańców — „...Co to ci młodzi ludzie od nas chcą?” Po tygodniu młodzież była już z miejscowymi za pan brat.

Plonem naszych badań są liczne zebrane materiały, fragmenty których pozwalamy sobie przedstawić na łamach Pamiętnika naszego Towarzystwa.

Ślady najwcześniejszego osadnictwa na Żywiecczyźnie zostały odkryte w latach 1937-38 podczas prac wykopaliskowych na Grójcu. Pod szczątkami średniowiecznego zamku przetrwały pozostałości umocnień obronnych, resztki cmentarzyska, gliniaste naczynia, narzędzia, broń oraz ozdoby z brązu i żelaza. Natrafiono tu na ślady kultury łużyckiej pochodzące z V w. p.n.e. Osada na Grójcu (612 m) należała do najwyższej położonych osad kultury łużyckiej w Beskidach. Grójec, z którego roztacza się rozległy widok na Kotlinę Żywiecką, Dolinę Soły oraz Dolinę Koszarawy, już w najdawniejszych czasach spełniał rolę strategiczną, czego dowodem są odkopane fragmenty obronnego wału osady z I w. p.n.e.

Nawarstwianie się kolejnych kultur oraz znalezienie tutaj monet rzymskich świadczą o ciągłości osadnictwa na Żywiecczyźnie oraz o kontaktach handlowych z Europą poprzez powiązanie, między innymi ze słynnym szlakiem bursztynowym.

Pod koniec XV w. na terenie Beskidów Zachodnich pojawiła się pasterska ludność wołoska, która przywędrowała z okolic rumuńskiego Siedmiogrodu. Wołosi wprowadzali, przede wszystkim gospodarkę pasterską i szalaśnictwo. Swobody wsi żywieckiej z czasów wołoskich były stopniowo ograniczone od końca XVI w. przez wprowadzanie gospodarki folwarcznej. Warunki życia we wsiach żywieckich stawały się bardzo ciężkie. Wprowadzenie pańszczyzny i nędza zmuszały górali do ucieczki. Prowadziło to m.in. do powstawania zbójnictwa. Do dnia dzisiejszego w pieśniach i legendach ludowych przewijają się wątki z życia zbójników.

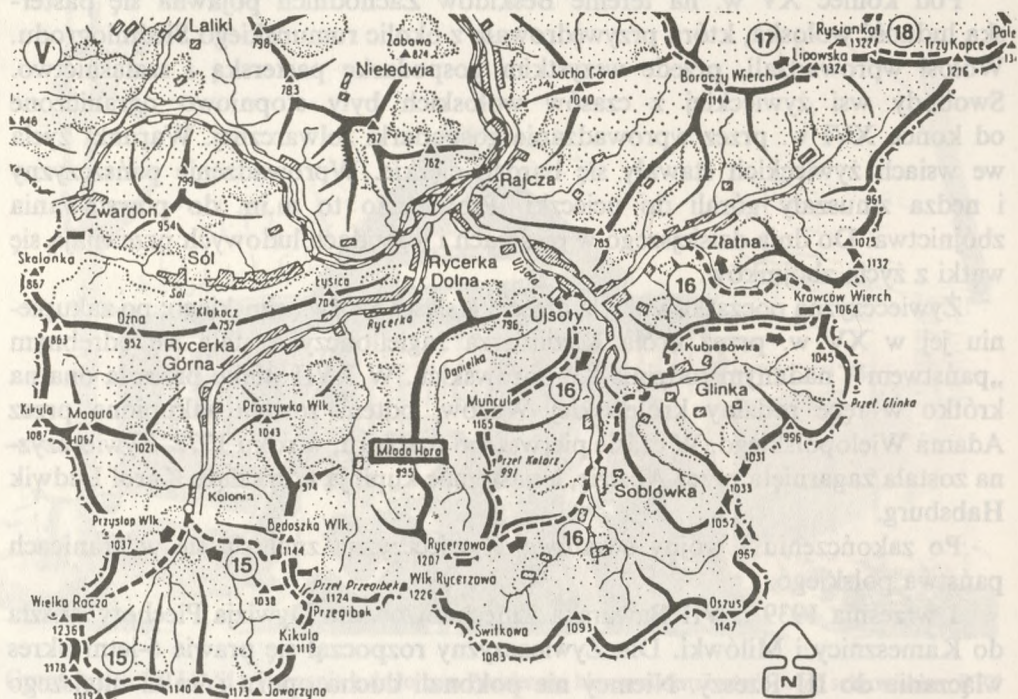
Żywiecczyzna początkowo była częścią Księstwa Oświęcimskiego; po zakupieniu jej w XV w. przez króla Kazimierza Jagiellończyka stała się odrębnym „państwem”, nadanym rodzinie Komorowskich. W XVII wieku przeszła ona na krótko w ręce rodziny królewskiej Wazów, potem została zakupiona przez Adama Wielopolskiego. W czasie pierwszego rozbioru, w roku 1772, Żywiecczyzna została zagarnięta przez Austrię, a następnie kupił ją arcyksiążę Karol Ludwik Habsburg.

Po zakończeniu I wojny światowej Żywiecczyzna znalazła się w granicach państwa polskiego.

1 września 1939 r. VII Bawarska Zmechanizowana Dywizja Piechoty weszła do Kamesznicy i Milówki. Dla Żywiecczyzny rozpoczął się prawie 6-letni okres włączania do III Rzeszy. Niemcy nie pokonali ducha oporu i walki tutejszego społeczeństwa. Polskie oddziały partyzanckie, wszędzie aktywnie wspomagane były przez ludność wsi i przysiółków, zwłaszcza w rejonach Romanki, Rysianki, Lipowskiej, na pograniczu polsko-słowackim i w paśmie Wielkiej Raczy. W 1944 r. 50-osobowy oddział partyzantów polskich, słowackich i radzieckich pod dowództwem kapitana Waleriana Burzi „Jefermowa” przybył na Mładą Horę z Orawy po upadku powstania słowackiego i kwaterował tam przez całą jesień, kontrolując szlaki górskie w okolicy Zwardonia, Soli i Ujsół i chroniąc górali przed rabunkiem ze strony okupanta.

Przysiółek Młada Hora rozłożony jest na stokach góry o tej samej nazwie w górnej części Doliny Danielki. Nazwa słowackiego pochodzenia przypomina czasy, kiedy w ramach monarchii austro-węgierskiej kontakty między Żywiecczyzną, a leżącą na południe od niej Słowacją, należącą wówczas do Królestwa Węgier, były znacznie żywsze niż obecnie. Atrakcję krajoznawczą osady stanowią stare domostwa będące przykładem cieszynki beskidzkiej.

Usytuowanie Mładej Hory na obszarze Beskidu Żywieckiego ilustruje mapa.



Jak powstała Młoda Hora (gadka).

„Wzieli na placówkę młodego i łoś ucikł w góry. Szedł, szedł aż zaszedł na polane. A lasy były wtedy wielgachne, drzewa ogromne i paprocie, które zakrywały człowieka. Na tej polanie był strumień i tam młody został. A on przyszedł sum, jak palec. Nic nie miał. I jak tu żyć. Był głodny. Zeszedł do wsi Rycerka, a była tam wtedy jedna chałupa. Mieszkał w niej gospodarz Zarymbka z dwiema córczuchami. Jednej spodobał się młody i posła z nim w góry. Wzieni oni ze sobą ziemniaków, zboża i młode owiecki. Wyrobili kawałek ziemi. I posadzili sobie na polanie ziemniaki i posiali zboża. A spali pod gołymi gżani owieckami młodymi. I od tej góry, na której mieskali, i od tych małych owiecek co pasali, ludzie zaci zwać ich gospodarzami z Młodej Hory. A rozmanażali się. Mieli dziecków seść. Córki zostały i sły w świat, a synowie zenili się. I tak powstała Młoda Hora.

A jak się państwo nastala tutaj to kszionze z Habsburgów, zabrol lasy i ziemie, i dziedzic ten nadol nazwe Młoda Hora z sądu w Krakowie”.

Materiał zebrano dzięki nagrany wywiadom z Franciszkiem Salachną, a później Marią Wolną, mieszkańcami Młodej Hory. F. Salachna jest siódmym pokoleniem zamieszkującym Mładą Horę, a legendę o powstaniu wsi usłyszał od swojego pradziadka. Przepisując legendę z zapisu dźwiękowego starano się zachować wyrażenia gwarowe jak „wzienli na placówkę”, zapożyczenia obcojęzyczne „a” zamiast „i”, oraz naturalny szyk wyrazów w zdaniach. Czytając ją mogli Państwo zwrócić uwagę, iż mieszają się tu dwa nurty: udokumentowany, historyczny, dotyczący księcia z Habsburgów, nazwiska gospodarza z niedalekiej Rycerki, opisów przyrody z nurtem baśniowym.

Miejscowe słownictwo. Mieszkańcy Młodej Hory posługują się językiem charakterystycznym tylko dla siebie. Większość z nich zajmuje się uprawą roli, toteż w swoisty sposób nazywają narzędzia – przedmioty pracy:

kosok – sierp
trownica – płachta do noszenia siana
haka – kopaczka lub kultywator
lińjok – do wyznaczania bruzd przy sadzeniu ziemniaków.

Pola uprawne znajdują się pobliskiu (niedaleko) domu lub na Wyrobniońce (na końcu wsi).

Inne przykłady nazw gwarowych to:

maśnicka – masielnica
pradło – tarka do prania
lamposka – mała lampa naftowa
pucyrki – drewniane naczynia do mięsa
gajdy – nosidła do wiader
skopiec – drewniane naczynie do udoju mleka
putnia – drewniane wiadro do wody
przęślica – deska, na której siedzi gaździna przędąc,
z kręzelem na wyczesaną wełnę
falfa – szpulka na uprzedzoną wełną
łapka – pedał uruchamiający kołowrotek
cierlice – urządzenie do tarcia lnu
motowidło – urządzenie do zwijania nici w motki
wozówka – drewnitnia
szopa – obora
kicoki – krzaczki zarastające pola
kruda – kupa kamieni wyzbieranych z pola
teble – szczeble drabiny
kluki – kule inwalidzkie
syndzioly – gonty

Gwara na Młodej Horze jest nadal żywą częścią języka, choć nie bez wpływu na nią są radio i telewizja.

Przyśpiewki mają swoisty, odrębny charakter. Wynika to z tego, iż piosenki powstałe na Orawie, Słowacji, na Węgrzech przywędrowały tutaj wraz z pasterzami szukającymi nowych terenów pod wypas owiec i zostały przyswojone oraz podporządkowane specyficznym, miejscowym cechom. Maria Wolna zaśpiewała nam kilka przyśpiewek, które przypominają o rodowodzie ludzi żyjących w Młodej Horze.

*Na Podolu biały kamień,
Podolanka siedzi na nim
Siedzi, siedzi, wianki wije,
z białej róży i lelije
Psysel ku niej Podolanek,
Podolanko daj mi wianek...*

*Tam z tej strony Wisły z małego Podola
Zakochali się dwaj ze scerego serca...*

A także inne:

*Jincy woda jincy
w kadzi po obryncy.
Kocholem cie dziwce
już nie bydem wincyj*

*W zielonym gajiku ptaskowe śpiewają
już mego milego na wojnę wołają
Wołają, wołają musisz musisz iść pomóc
mnie tu Jasiu, mnie biedną
sirote na świecie zostawis.
Zostawim cie ludziom i Bogu na niebie.
Jo za rocek za dwa powróce do ciebie.
Już te nie rok nie dwa jak sie wojna tocy
już moja Anitulka wyplakala locy.
Nie plac Andziu nie plac nie załuj ze jego.
Jedzie nas tu tysonc wybier se jedno.
I posła go sukać w tom zielonom drogom.
Znalazla Jasienka z porombanom głowom.
Kieby jo wiedziala, ze ci sie ma dostać
toby ci kozala po doktora posłać.
Nie pomoże doktor, ani zodnej maści
bo w mojej głowisi porombane kości.
Bywaj ze mi bywaj moja Andziu zdrowa.*

Instrumenty własnego wyrobu oraz upodobania ludności związane z:

- krajobrazem i przyrodą „w zielonym gaiku ptaskowie śpiewają”
 - z zawodem pasterskim „łowcozu, łowcozu gdzieście łowce paśli, straciłam wianusek, wyście mi go nasli”
 - przekazaniem mądrości ludu,
- kształtowały te przyśpiewki.

Do krótkich przyśpiewek przygrywano sobie na piszczałkach jednootworowych, tzw. pasterskich lub wielkopostnych, zrobionych z gałęzi cierniowej róży lub jaworu.

Mieszkańcy Młodej Hory śpiewają głosem czystym, dźwięcznym, metalicznym o silnym brzmieniu. Śpiewają jednogłosowo. Kobiety w stosunku do mężczyzn śpiewają nisko, na zakończenie wykonują ostre glisanda, przypomina to pokrzykiwania pasterskie.

Architektura Młodej Hory oczarowuje każdego turystę swoimi pięknymi i oryginalnymi rozwiązaniami. Charakterystyczna jest sylwetka dachu: czterospadowy, z okapami osłaniającymi szeroką przyzbę. Ściany zbudowane z drewnianych belek. Okna małe, czasem z okiennicami. Niska furta — drewniana.

Każdy element budowli powstał w duchu mądrej zasady: zdobi i chroni przed kapryśną pogodą. Małe odrzwia i drzwi, szerokie przydaszki poniżej pułapu, osłaniają przed deszczem i zimnem.



Najstarsza chałupa w Młodej Horze

Wnętrze chaty ma typ tzw. mieszkalno-gospodarczy. Pod jednym dachem: szopa, stodoła, wozówka, spiżarnia i izby mieszkalne. Część mieszkalna składa się z dwóch izb i kuchenki. W Młodej Horze spotyka się również tradycyjne jedno-izbowe chaty i współczesne budownictwo willowe. Wielkość i strukturę przestrzenną chaty kształtuje liczebność rodziny, charakter gospodarstwa przydomowego, sytuacja ekonomiczna.

Połączenie zabudowań gospodarczych w jedną całość, pozwala w trakcie długotrwałych opadów i innych niesprzyjających warunków atmosferycznych na nie opuszczanie domostwa. Dziś nie muszą nawet nosić wody ze studni (doprowadzono wodę do każdej chaty) i korzystają z elektryczności.

Szkoda tylko, że coraz więcej chat stoi opuszczonych i niszczeje.

Dzisiaj Młoda Hora jest bardzo małym przysiółkiem. Przed II wojną światową było tutaj ok. trzydzieści gospodarstw, z których obecnie zamieszkałych pozostało dwanaście. Działania wojenne, bardzo nieurodzajna gleba, sprawiły, że ludzie zaczęli opuszczać Mładą Horę i emigrować do miast. Obecnie kilka posesji znajduje się w posiadaniu napływowej ludności, która spędza tutaj miesiące letnie. W dwunastu gospodarstwach żyje obecnie 42 osoby, w tym 18 mężczyzn, 14 kobiet,



Widok na przysiółek Młoda Hora

10 dzieci. Głównym zajęciem mieszkańców jest praca na kilkuhektarowych poletkach ziemi. Pracą na roli zajmują się głównie kobiety. Mężczyźni zatrudniani są w przemyśle drzewnym w Ujsołach, Rajczy lub w leśnictwie. Mieszkańcy dorabiają pracą chałupniczą szyjąc rękawice i przędząc wełnę na kołowrotkach, często elektrycznych. Obecnie pracują również w pobliskim ośrodku wczasowym. Dzieci uczęszczają do szkoły w Ujsołach. Dawniej szkoła była we wsi, jednak zlikwidowano ją w 1974 r. Niepokojąco niska jest liczba młodych ludzi w Młodej Horze. Opuszczają oni rodziną miejscowość w poszukiwaniu pracy.

Życie na Młodej Horze nie jest łatwe. Samo zakupienie podstawowych towarów wymaga zejścia do Ujsoł, 8 km.

Dalsza komunikacja jest niezmiernie utrudniona, bowiem na przystanek PKS-u trzeba zejść do Ujsoł, a na stację PKP do Rycerki (2 godz. drogi).

W Młodej Horze jest piękna kaplica (poprzednia pochodziła z 1860 r.), msze św. odbywają się raz na dwa tygodnie.

Już prawie w każdym domu znajduje się telewizor, radio a nawet video.

Trudne warunki życia nie zdołały jednak zatrzeć w mieszkańcach Młodej Hory gościnności i pogody ducha. Zawsze przyjmowali nas z serdecznym uśmiechem i poczęstunkiem.

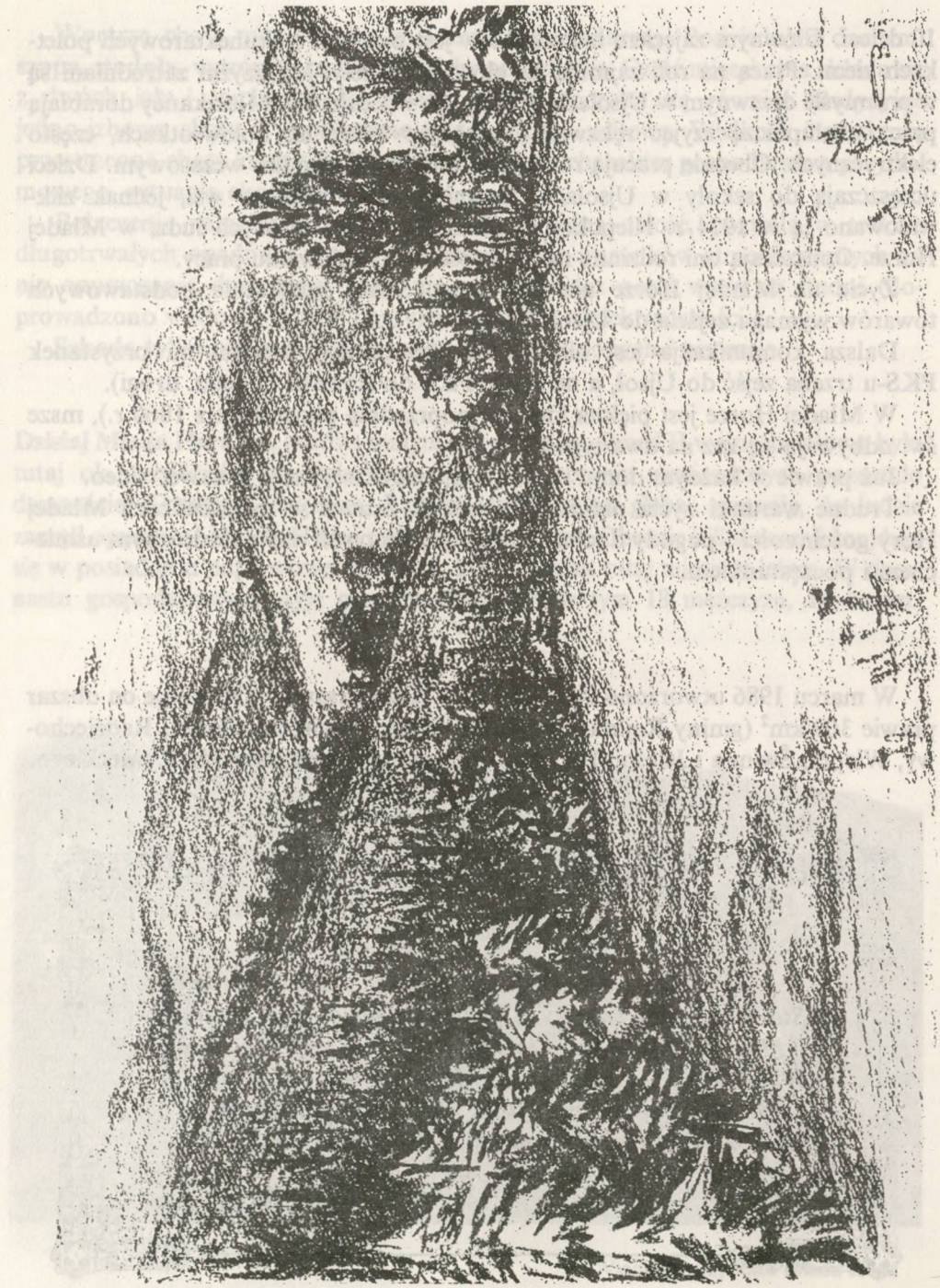
* * *

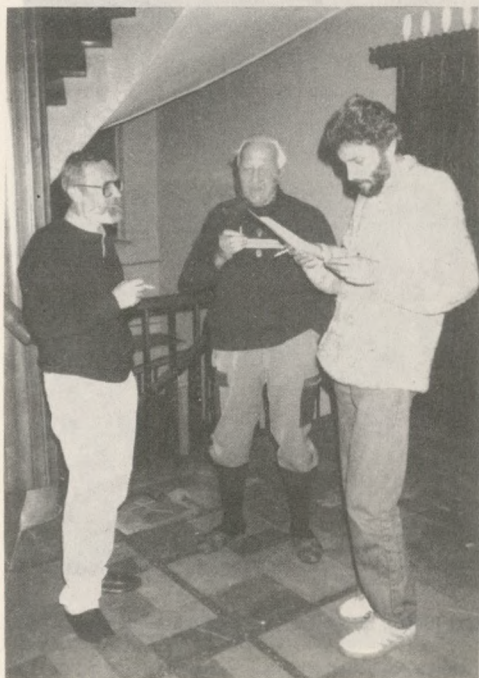
W marcu 1986 utworzono Żywiecki Park Krajobrazowy. Obejmuje on obszar prawie 360 km² (gminy Rajcza, Ujsoły, Milówka, Węgierska Górka, Radziechowy, Wieprz, Świnna i Jeleśnia) – więc dość znaczna część Beskidu Żywieckiego.

KAMIEN

*Kamień przez słońce nagrany w złotych plamach porostów
Stał zapatrzony na góry. Tkwił nieruchomo — po prostu.
...Może się zgubił przed laty, gdy mknął z innymi po stoku
Wbiwszy się w splot kosodrzewin, w zielony, ospały spokój.
Może był lżą granitową, którą wiatr chłodny wycisnął
I tu jak w oczu kąciku, znalazł swą małą przystań.*

T. Wasilczuk





W kuluarach II Zjazdu:
K. Lipiński, M. Mischke, Z. Grzegorzewski.



Tego nie ma w sprawozdaniu, ale na II Zjeździe PTT
było i tak.



Nasi w Stolicy (zarząd Oddziału warszawskiego PTT)



W Chyżu u Bacy – jak w domu – M. Mischke, J. Michlik (Baca), B. Morawska-Nowak, P. Gawłowski



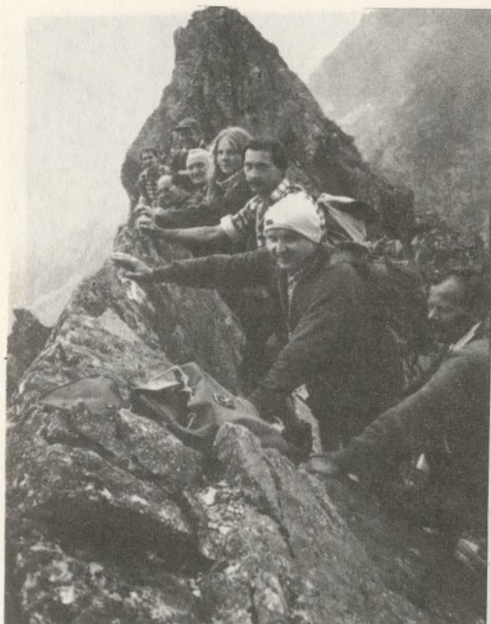
Ziemniaczanka młodohorska – styczeń 1993 r.



Nowy Sącz — w drodze na Krzyżne — 16.08.1992 r.



Krakowiacy w Młodej Fatrze — sierpień 1992 r.



Nowy Sącz na Orlej Perci — 16.08.1992 r.



Kalisz z Chrzanowem na Gęszej Szyi — 2.08.1992 r.



Nowy Sącz na Howerli — sierpień 1993 r.



Święty Krzyż. Ogólnopolskie spotkanie PTT — 5.06.1992 r.



X Ogólnopolskie spotkanie PTT — kaplica św. Anny na Górze Parkowej w Głuchołazach



Drogę nam zaorali – 14.05.1993 r. Góry Opawskie.



W czasie spotkania w Głuchołazach byliśmy w czeskich Jeseníkach.

NASZE ODDZIAŁY

Obecnie PTT posiada 22 oddziały terenowe. Podstawowe informacje o nich zawarte są w zestawieniu poniżej:

Oddział PTT	Prezes	Adres kontaktowy
1	2	3
Białystok	Kuczyński Stanisław	skr. poczt. 211 15-057 Białystok 24
Bielsko-Biała	Weigel Jan	ul. Karłowicza 4/32 43-300 Bielsko-Biała
Brzeg	Gerega Stanisław	ul. Majora Hubala 7a/407 45-275 Opole
Bydgoszcz (Oddz. Pomorski) Kolo w Słupsku	Flanc Dorota Kaczmarczyk Jacek	ul. Połczyńskich 6/163 85-711 Bydgoszcz Zakład Geografii WSP ul. Arciszewskiego 22B 76-200 Słupsk
Chrzanów	Trębacz Stanisław	ul. Trzebińska 1/14 32-500 Chrzanów
Dęblin	Kamer Adam	Ratusz Miejski Ref. Spraw Obywatelskich Rynek 12, 08-520 Dęblin
Gliwice	Prusowski Zbigniew	ul. Sudecka 11 44-200 Rybnik
Kalisz	Zaręba Romuald	ul. Toruńska 18/1 62-800 Kalisz
Katowice	Ślusarczyk Janusz	Zakład Historii Kultury AWF, ul. Mikołowska 72 40-065 Katowice
Kraków	Hołuj Adam	skr. poczt. 791 30-960 Kraków
Łódź	Grzegorzewski Zbigniew	ul. Gościńska 4-6/33 93-356 Łódź
Nowy Sącz (Oddz. Beskid)	Zaremba Maciej	ul. Królowej Jadwigi 43/7 33-303 Nowy Sącz 5
Nowy Targ (Oddz. Podhalański) Opole	Wnęk Adam Raczyński Leszek	ul. Wojska Polskiego 10/84 34-400 Nowy Targ ul. Piotrkowska 9/30 45-384 Opole
Ostrzeszów	Michlik Józef	Młoda Hora 291 34-371 Ujsoły lub os. Nowotki 25/19 63-500 Ostrzeszów
Oświęcim	Klimczyk Czesław	ul. Chrobrego 3/18 32-602 Oświęcim
Poznań	Preisler Juliusz Jerzy	ul. Działowa 8 61-747 Poznań
Radom	Krok Stanisław	ul. Malczewskiego 20/1 26-600 Radom
Skarżysko-Kamienna	Stanik Tadeusz	ul. Sikorskiego 7/14 26-100 Skarżysko-Kamienna
Warszawa	Lefeld Jerzy	ul. Cieszkowskiego 1/3 m 103 01-636 Warszawa
Wrocław	Desławski Artur	ul. Wiślańska 18/5 54-152 Wrocław
(Oddz. Sudecki) Zielona Góra	Szreffel Zdzisław	ul. Chrobrego 43/7 65-052 Zielona Góra

NASZE ODDZIAŁY

Obecnie PTT posiada 22 oddziały terenowe. Podstawowe informacje o nich

Oddział PTT w Białymstoku

Sprawozdania nie nadesłano.

Oddział PTT w Bielsku-Białej

Udało się „ożywić” Oddział, a właściwie rozpoczął on na nowo swą działalność. Przyczyniły się do tego zabiegi Józefa Michlika i Barbary Morawskiej-Nowak, którzy nawiązali kontakt z ówczesnym sekretarzem Oddziału Piotrem Gawłowskim, a szczególnie pozyskanie dla sprawy PTT w Bielsku Białej znanego taternika, przewodnika i ratownika Jana Weigla.

24 marca 1993 r. odbyło się Walne Zgromadzenie Oddziału, na którym wybrano nowy Zarząd z prezesem Janem Weiglem na czele. Zarząd rozpoczął działalność od uporządkowania spraw organizacyjnych łącznie z dokonaniem rejestracji Oddziału w Urzędzie Wojewódzkim w Bielsku-Białej w dniu 15 kwietnia 1993 r.

Organizowane są cotygodniowe spotkania i dyżury Oddziału. Oddział posiada też gablotkę, w której umieszczane są aktualne informacje związane z działalnością. Rozpoczęto organizowanie wycieczek dla członków i sympatyków PTT w Beskidy i Tatry.

Aktualny skład Zarządu Oddziału

1. Prezes:	Weigel Jan	inż. chemik	Bielsko-Biała
2. Wiceprezes:	Mikulski Tadeusz	przewodnik górski	Bielsko-Biała
3. Wiceprezes	Sarecki Zenon	inż. mechanik	Bielsko-Biała
4. Sekretarz:	Holerek Grzegorz	inż. włókiennik	Bielsko-Biała
5. Z-ca sekretarza	Skotnicki Andrzej	inż. włókiennik	Bielsko-Biała
6. Skarbnik:	Pawełek Ewa	techn. ekonomista	Bielsko-Biała
7. Z-ca skarbnika	Stawiarski Mieczysław	techn. mechanik	Bielsko-Biała

Członkowie Oddziału:

8. Awecki Ryszard	prac. umysłowy	Bielsko-Biała	26. Misztal Stanisław jr.	uczeń	Bielsko-Biała
9. Badura Janusz	prac. umysłowy	Skoczów	27. Niemczyk Józef	techn. mechanik	Bestwina
10. Borzemski Jan	inż. budowlany	Bielsko-Biała	28. Pawelek Jerzy		Bielsko-Biała
11. Botwina Krystyna	lab. medyczny	Czechowice-D.	29. Pukowski Jerzy	techn. mechanik	Czechowice-D.
12. Botwina Stanisław	inż. architekt	Czechowice-D.	30. Sieńczak Jan	techn. mechanik	Czechowice-D.
13. Bulka Roman	inż. mechanik	Bielsko-Biała	31. Sokalska Zofia	lab. medyczny	Bielsko-Biała
14. Duraj Alicja	nauczycielka	Bielsko-Biała	32. Sokolski Wojciech	techn. budowlany	Bielsko-Biała
15. Duźniak Marek	mech. maszyn	Kozy	33. Skotnicka Anna	romanistka	Bielsko-Biała
16. Fiedor Antoni	mechanik kierowca	Szczyrk	34. Szupina Alojzy	prac. umysłowy	Cieszyn
17. Gawłowski Piotr	mgr ekonomii	Jaworze Górne	35. Śpiewak Witold	inż. chemik	Bieruń Stary
18. Kłaput Łukasz	prac. umysłowy	Bielsko-Biała	36. Tarnawa Jan	inż. mechanik	Bielsko-Biała
19. Korbel Andrzej Janusz	architekt	Bielsko-Biała	37. Weigel Ewa	fizyk	Bielsko-Biała
20. Kozik Krzysztof		Bielsko-Biała	38. Weigel Jacek	techn. mechanik	Bielsko-Biała
21. Kubik Witold	nauczyciel	Bielsko-Biała	39. Wronowska Irena	prac. umysłowy	Bielsko-Biała
22. Kwiatkowski Janusz	techn. elektryk	Bielsko-Biała	40. Wronowski Tadeusz	inż. architekt	Bielsko-Biała
23. Mierzwa Wiesław	konstruktor	Sosnowiec	41. Zielezińska Anna	lekarz	Bielsko-Biała
24. Misztal Irena Dorota	filolog	Bielsko-Biała	42. Zielezińska Barbara	dentystka	Bielsko-Biała
25. Misztal Stanisław	inż. mechanik	Bielsko-Biała			

Oddział PTT w Brzegu

W maju 1993 roku Oddział był współorganizatorem ogólnopolskiego spotkania Towarzystwa w Głuchołazach (Góry Opawskie), przygotowując program związany z tamtejszymi kalwariami. Prezes Oddziału Stanisław Gerega nawiązał kontakty z wojewódzkimi i miejscowymi władzami kościelnymi i samorządowymi inspirując odnowienie kalwarii w Prudniku i Głuchołazach. W czasie trwania spotkania odbyło się pierwsze nabożeństwo Drogi Krzyżowej na odnowionej kalwarii.

Inną akcją społeczną podejmowaną przez Oddział były starania o przywrócenie komunikacji pasażerskiej na nieczynnej od roku 1989 linii kolejowej Brzeg-Wiązów-Strzelin, co umożliwiłoby dogodny dojazd z Brzegu w Kotlinę Kłodzką. Starania zakończyły się pomyślnie i 9 maja 1993 roku odbyła się na tej linii promocyjna jazda tzw. autobusu szynowego produkcji Kolejowych Zakładów Maszyn w Raciborzu.

Aktualny skład Zarządu Oddziału

1. Prezes:	Gerega Stanisław	teletechnik	Opole
2. Wiceprezes:	Grajewski Krzysztof	inż. konstruktor	Brzeg
3. Sekretarz:	Wojtasiewicz Jerzy	technik elektryk	Brzeg
4. Skarbnik:	Wojewódka Zbigniew	kupiec	Brzeg
5. Członek zarządu:	Hudziak Jerzy	inż. elektryk	Brzeg
6. Członek zarządu:	Mieruszyński Zenon	inż. sanitarny	Brzeg
7. Członek zarządu:	Ochman Bartosz	uczeń	Brzeg

Członkowie Oddziału:

8. Augustyniak Małgorzata	techn. ekonomista	Brzeg	21. Nowak Krzysztof	techn. mech.	Brzeg
9. Brzezińska Zenobia	emerytka	Brzeg	22. Ochman Małgorzata	inż. zoolog	Brzeg
10. Brzeziński Mirosław	emeryt	Brzeg	23. Potaczalo Tomasz	techn. elektromech.	Brzeg
11. Cahus Andrzej	teletechnik	Brzeg	24. Skibiński Wiesław	dr historii sztuki	Brzeg
12. Ciesielski Henryk	inż. elektryk	Brzeg	25. Socha Dariusz	techn. elektryk	Brzeg
13. Dankowski Waldemar	emeryt	Brzeg	26. Stefaniszyn Genowefa	nauczyciel	Brzeg
14. Dąbrowski Jerzy	mgr inż. elektryk	Brzeg	27. Sztymar Marian	inż. elektryk	Brzeg
15. Gądek Lucjan	techn. elektryk	Brzeg	28. Tyrakowski Tomasz	techn. budowl.	Brzeg
16. Gigiel Jan	kolporter	Namysłów	29. Wodzyńska Anna	techn. RTG	Brzeg
17. Hudziak Teresa	techn. ekonom.	Brzeg	30. Wielicka-Pabian Renata	inż. budowlany	Lewin Brzeski
18. Hudziak Sebastian	uczeń	Brzeg	31. Wojciechowska Barbara	inż. budowlany	Brzeg
19. Kafel Jan	inż. mech.	Brzeg	32. Wojciechowski Wojciech	inż. budowlany	Brzeg
20. Kamińska Barbara	techn. bud.	Brzeg	31. Wójcik Janusz	inż. leśnik	Brzeg

Zmarł: Szelc Zbigniew

Oddział Pomorski PTT w Bydgoszczy

W maju 1992 roku Oddział w Bydgoszczy zorganizował wyjazdy na Mładą Horę, na Babią Górę i w Karkonosze. W lecie zorganizowano pobyt w Gorcach w oparciu o bazę studencką na Gorcu, skąd urządzano wycieczki oraz wyjazd w Gorgany. Po wakacjach prezentowano przegląd z wyprawy w Gorgany i z innych wypraw górskich, zorganizowano wystawę rysunku dziecięcego o tematyce górskiej i wystawę fotografii krajobrazu górskiego.

Równocześnie pojawiły się trudności organizacyjne związane ze zmianą zamieszkania członków Zarządu. Podjęto wówczas działania w celu nawiązania kontaktów z innymi oddziałami z północnej Polski, przeżywającymi podobne kłopoty organizacyjne i spadek liczby członków.

Powstała idea zorganizowania międzyregionalnego Oddziału PTT, którą zrealizowała Dorota Flanc, dotychczasowy sekretarz Oddziału. Inicjatywa powiodła się, do Oddziału przystąpiły osoby z oddziałów w Gdańsku i Słupsku, które praktycznie przestały działać oraz kilka osób zainteresowanych PTT z północnej Polski.

Wybrano nowy Zarząd, opracowano program działalności i harmonogram imprez na rok 1993. W ramach tego programu odbył się już 5-ciodniowy wyjazd w Tatrę (9 osób). W dniach 20–28 lipca przewidziany jest wyjazd w Gorce.

Rozpoczęto wydawanie biuletynu informacyjnego Oddziału pt. „Obserwator Tatrzański”, ukazały się 2 numery.

Skład Zarządu:

1. Prezes:	Flanc Dorota	pedagog	Bydgoszcz
2. Wiceprezes:	Chełmicka-Bordzio Beata	pedagog	Suwałki
3. Wiceprezes	Szwarc Marek	inż. mech.	Bydgoszcz

4. Sekretarz:	Chylińska Katarzyna	pedagog	Bydgoszcz
5. Skarbnik:	Szwarc Marzena	pedagog	Bydgoszcz
6. Członek Zarządu:	Damińska Aldona	studentka	Gdańsk
7. Członek Zarządu:	Kuśmider Andrzej		Włocławek
8. Członek Zarządu:	Mieszkowska-Lepa Maria	studentka	Gdańsk

Członkowie Oddziału:

9. Banaszewicz-Lipińska Dorota	ekonomista	Bydgoszcz	21. Kuchajewicz Jadwiga	ekonomista	Bydgoszcz
10. Bordzio Adam	pedagog	Suwałki	22. Kwiatkowska Małgorzata	inż. rolnik	Bydgoszcz
11. Daniuk Małgorzata	pedagog	Czaplinek	23. Kwiatkowski Roman	mechanik	Bydgoszcz
12. Gąsiorowska Mirosława	prawnik	Bydgoszcz	24. Lepa Tomasz		Gdańsk
13. Górka Barbara	techn. budowl.	Bydgoszcz	25. Lewandowski Waldemar	dokumentalista	Poznań
14. Górski Jacek	ekonomista	Bydgoszcz	26. Lipiński Waldemar	ekonomista	Bydgoszcz
15. Heid Marek	inż. mechanik	Bydgoszcz	27. Marszałek Dobromiła	pedagog	Bydgoszcz
16. Jurkiewicz-Lewandowska Iwona	studentka	Poznań	28. Petrykowski Andrzej	ekonomista	Warszawa
17. Kalińska Aniela		Bydgoszcz	29. Petrykowska Elżbieta	farmaceuta	Warszawa
18. Karczyński Tomasz	geograf	Słupsk	30. Piskorska Lidia		Bydgoszcz
19. Kryszka Barbara	inż. budowl.	Łódź	31. Piskorski Michał	uczeń	Bydgoszcz
20. Kryszka Tadeusz	ekonomista	Łódź	32. Szczepańska Magdalena		Czaplinek
			33. Szwarc Szymon	uczeń	Bydgoszcz

W skład Oddziału wchodzi również 14 członków tworzących Koło PTT w Słupsku.

Koło PTT w Słupsku

Oddział PTT w Słupsku, który praktycznie w 1992 roku nie działał, wznowił działalność w kwietniu 1993 roku. Ze względu na mniejszą liczbę członków postanowiono działać jako Koło przy Oddziale Pomorskim PTT w Bydgoszczy. Wybrano nowy zarząd Koła.

Aktualny skład Zarządu:

1. Prezes:	Kaczmarczyk Jacek	nauczyciel	Słupsk
2. Wiceprezes:	Janecka Marta	studentka	Słupsk
3. Skarbnik:	Jędraszewska Anna	studentka	Słupsk

Członkowie Koła:

4. Białomyszy Dariusz	student	Białogard	10. Loritz Agnieszka	studentka	Konin
5. Czajka-Górka Hanna	nauczycielka	Leszno	11. Małek Grzegorz	nauczyciel	Giżycko
6. Dobrzyniewicz Julian	student	Słupsk	12. Mikołajczyk Małgorzata	studentka	Darłowo
7. Górkiewicz Joanna	nauczycielka	Białogard	13. Różalski Daniel	student	Smólkizno
8. Jaworska Joanna	studentka	Konin			woj. słupski
9. Kania Dorota	studentka	Słobity woj. elbląskie	14. Sobczyk Barbara	studentka	Dźwirzyna

Oddział PTT w Chrzanowie

Oddział kontynuował i rozwijał z powodzeniem swą dotychczasową działalność rozbudzając zainteresowanie górami, czego wyrazem był wzrost liczby członków. Głównym motorem działania był prezes Stanisław Trębacz, który prowadził wszystkie organizowane przez Oddział wycieczki. W maju 1992 roku odbyła się autokarowo-pieszna wycieczka w Małe Pieniny i Beskid Sądecki, z udziałem 38 osób, a w czerwcu w Bieszczady z udziałem 39 osób. Od sierpnia do października Stanisław Trębacz prowadził cztery kilkudniowe wycieczki wysokogórskie w Tatry; liczba uczestników wynosiła od 8 do 19 osób. 6 grudnia 1992 roku 24 osoby weszły na Babią Górę w warunkach zimowych. Ponadto zorganizowano gratisową wycieczkę dla uczniów I L.O. w Chrzanowie na Babią Górę z udziałem 45 osób (czerwiec 1992).

W roku 1993 odbyły się dotychczas wycieczki: w Beskid Średni (na otwarcie sezonu), w Beskid Sądecki i Pieniny (30.04–3.05 – 42 osoby), w Karkonosze (26–30.05 – 32 osoby), w Beskid Śląski – do źródeł Wisły (13.06 – 46 osób).

Kontynuowano spotkania i odczyty z zaproszonymi prelegentami:

W okresie od połowy 1992 do połowy 1993 – dwukrotnie z Arturem Midą nt. „Góry Anglii” i „Pireneje”, dwukrotnie z ks. prof. dr Jerzym Pawlikiem nt. „Poznawanie gór jako element kształtowania osobowości” i nt. „Góra Athos - ośrodek kultu bizantyjskiego”, z red. Wiesławem Wójcikiem nt. „Tytus Chałubiński a Towarzystwo Tatrzańskie”, inż. Stanisławem Kopciem nt. „Wspinaczka wysokogórska a piękno Alp Szwajcarskich”, z himalaistami: Januszem Skorkiem nt. wyprawy na Lothse i ponownie z Krzysztofem Wielickim nt. wyprawy na Manaslu, z Marianem Bałą nt. Hindukuszu i Afganistanu, z Janem Siwcem nt. wejścia na Elbrus, mgr inż. Jackiem Płonczyńskim nt. Dolomitów włoskich, mgr inż. Kazimierzem Kluczewskim nt. Alp Austriackich, inż. Jackiem Ornickim nt. Gór Riła w Bułgarii, mgr inż. Edwardem Puchlerskim nt. Słowackich Tatr Wysokich (dol. Białej Wody, Jaworowa i Kieżmarska).

Nowy rok 1993 rozpoczęto Oplątkiem Oddziału.

17 września 1992 roku odbyło się II Walne Zgromadzenie Oddziału podsumowujące jego trzyletnią działalność. Wybrano nowy zarząd. Prezesem został nadal Stanisław Trębacz.

Aktualny skład Zarządu:

1. Prezes:	Trębacz Stanisław	inżynier	Chrzanów
2. Wiceprezes:	Rapacz Józef	inżynier	Chrzanów
3. Sekretarz:	Jeleń Zygmunt	nauczyciel	Chrzanów
4. Skarbnik:	Woźniak Franciszek	ekonomista	Chrzanów
5. Członek zarządu:	Blitek Anna	farmaceutka	Chrzanów
6. Członek Zarządu:	Mzyk Marceli	inżynier	Chrzanów
7. Członek Zarządu:	Piądłowski Andrzej	technik	Chrzanów
8. Członek Zarządu:	Zielińska Jadwiga	inżynier	Chrzanów

Członkowie Oddziału:

9. Biel Adam	kosztorysant	Chrzanów	37. Krawczyk Danuta	operator	Trzebinia
10. Blachuta Maria	ekonom.	Chrzanów	38. Krawczyk Zbigniew	technik	Trzebinia
11. Boratyński Dariusz	uczeń	Libiąż	39. Kucia Jacek	technik	Jaworzno
12. Boratyński Jerzy	inżynier	Libiąż	40. Lewiński Andrzej	inżynier	Chrzanów
13. Bulek Józef	technik	Chrzanów	41. Likus Antonina	ekonom.	Chrzanów
14. Chmiel Michał	chemik	Chrzanów	42. Likus Halina	elektromonter	Chrzanów
15. Chmielewski Zygmunt	lekarz stomat.	Libiąż	43. Majcherczyk Marian	inżynier	Trzebinia
16. Ciepiewski Bogusław	kierowca	Libiąż	44. Majcherczyk Piotr	inżynier	Trzebinia
17. Czarnik Jan	technik	Chrzanów	45. Marciniak Andrzej	programista	Chrzanów
18. Czarnik Mariusz	uczeń	Chrzanów	46. Marcinkowski Leopold	inżynier	Jaworzno
19. Dereszowska Teresa	technik	Chrzanów	47. Opitek Małgorzata	technik	Chrzanów
20. Dereszowski Tadeusz	inżynier	Chrzanów	48. Ostrowski Henryk	szlifierz	Chrzanów
21. Dębiec Tadeusz	inżynier	Chrzanów	49. Paul Marek	inżynier	Chrzanów
22. Drobnik Piotr	inżynier	Chrzanów	50. Podgórska-Ryś Krystyna	farmaceutka	Chrzanów
23. Gała Maria	ekonom.	Chrzanów	51. Poręba Jan	inżynier	Chrzanów
24. Górecki Andrzej	inżynier	Chrzanów	52. Rudal Krzysztof	uczeń	Chrzanów
25. Górecki Marek	mechanik	Chrzanów	53. Skopiata Józef	technik	Chrzanów
26. Janic Stefan	monter	Chrzanów	54. Strzelichowski Andrzej	technik	Młoszowa
27. Janik Mirosław	ekonom.	Chrzanów	55. Tomaszewicz Tadeusz	lekarz	Chrzanów
28. Jaśko Katarzyna	uczennica	Chrzanów	56. Trębacz Maria	prac. umysłowy	Chrzanów
29. Kaczanowska Danuta	prac. umysłowy	Chrzanów	57. Węgrzynowska Anna	fotograf	Chrzanów
30. Kaczanowski Krzysztof	technik	Chrzanów	58. Węgrzynowski Arkadiusz	inżynier	Chrzanów
31. Kaczanowska Agnieszka	uczennica	Chrzanów	59. Wołos Dorota	lekarz	Chrzanów
32. Kępiński Tadeusz	technik	Trzebinia	60. Wołos Zdzisław	ekonom.	Chrzanów
33. Klamczyńska Stanisława	techn. odzieżowy	Trzebinia	61. Woźniak Józef	księgowy	Sosnowiec
34. Klimczak Stanisława	chemik	Trzebinia	62. Zielińska Agnieszka	studentka	Kraków
35. Kosowski Bolesław	inżynier	Chrzanów	63. Zieliński Zdzisław	technik	Chrzanów
36. Kozińska Katarzyna	uczennica	Chrzanów			

Oddział PTT w Dęblinie

Dnia 17 grudnia 1992 roku odbyło się Walne Zgromadzenie trzech dęblińskich kół PTT z udziałem 32 członków. Podjęto uchwałę o wyodrębnieniu się z Oddziału Radomsko-Dęblińskiego PTT i wybrano zarząd nowego Oddziału.

Zarząd Główny PTT pismem z dnia 15 marca 1993 roku zatwierdził nowy Oddział Dębliński PTT z siedzibą w Dęblinie.

6 maja 1993 r. odbyło się Walne Zgromadzenie Oddziału, na którym zatwierdzono Statut Oddziału, perspektywiczny plan działalności programowej oraz podjęto uchwałę o współdziałaniu z Oddziałami PTT w Radomiu i Skarżysku-Kamiennej w ramach struktury poziomej o nazwie „Okręg Świętokrzyski”. Oddział w pełni popiera ideę zorganizowania turystycznego szkolenia młodzieży szkolnej i swobodę wędrowania po górach.

Prowadzona jest działalność wycieczkowa w małych grupach na terenie Gór Świętokrzyskich, w perspektywie po Beskidach i w Tatrach.

Aktualny skład Zarządu.

1. Prezes:	Kamer Adam	mechanik	Dęblin
2. Wiceprezes:	Juś Rober		Dęblin
3. Sekretarz:	Walczuk Janusz	oficer WP	Dęblin
4. Skarbinik:	Świdorski Grzegorz		Dęblin
5. Członek zarządu:	Chmura Robert	uczeń	Dęblin
6. Członek zarządu:	Łuczyński Andrzej		Dęblin
7. Członek zarządu:	Marczak Wanda		Dęblin
8. Członek zarządu:	Seredyn Maria		Dęblin

Wykazu członków nie nadesłano.

Oddział PTT w Gliwicach

Oddział organizuje comiesięczne spotkania z prelekcjami, poprzedzane zebraniem zarządu. Odnotować tu można następujące tematy: A. Michalik: Parki narodowe USA, E. Puchlerski: Dolina Roztoki i Słowackie Tatry Wysokie (dwa spotkania), spotkanie z z-cą dyrektora TPN Stanisławem Czubernatem. W styczniu 1993 r. po raz pierwszy zorganizowano Oplątek Oddziału.

W dniach 22-24 maja 1992 roku zorganizowano wyjazd na Orawę, w którym wzięło udział 45 osób. Punktem kulminacyjnym wyjazdu był udział w odsłonięciu tablicy ku czci Piotra Borowego w Lipnicy Wielkiej.

W dniach 26-28 marca 1993 roku zorganizowano zimowe wejście na Babią Górę, w którym wzięło udział 15 osób (warunki zimowe nie zawiodły).

Oddział nawiązał współpracę z Wojewódzkim Ośrodkiem Kultury w Bielsku-Białej oferując udział w badaniach terenowych, dotyczących ochrony tradycji ludowej.

Oddział posiada w swym składzie 35 przewodników górskich i przodowników GOT. Czterech z nich wzięło udział w konferencji nt. przewodnictwa PTT, a Edward Puchlerski i Zbigniew Prusowski weszli w skład Komisji ZG d/s przewodnictwa.

Co dwa miesiące ukazuje się ciekawie redagowany przez Jana Siwca biuletyn informacyjny Oddziału pt. „Hyr”.

Aktualny skład Zarządu:

1. Prezes:	Pruszowski Zbigniew	inż. chem.	Rybnik
2. Wiceprezes d/s org.:	Siwiec Jan	dr inż. górnik	Gliwice
3. Wiceprezes d/s progr.:	Puchlerski Edward	inż. elektryk	Gliwice
4. Sekretarz:	Olszak Grażyna	inż. chem.	Katowice
5. Skarbnik:	Choina Mariusz	techn. chem.	Gliwice
6. Członek Zarządu:	Romanowski Romuald	inż. budowl.	Gliwice
7. Członek Zarządu:	Szczerba Tadeusz	inż. elektryk	Gliwice

Członkowie Oddziału:

8. Bieg Tadeusz	dr inż. chem.	Gliwice	44. Lasota Mariola	techn. kosmet.	Rybnik
9. Bielecka Anna	tech. ceramik	Gliwice	45. Lepiarczyk Barbara	nauczycielka	Rydułtowy
10. Bilski Jacek	stomatolog	Tychy	46. Maleta Edward	nauczyciel	Gliwice
11. Bożek Elżbieta	technik	Gliwice	47. Marek Krzysztof		Chorzów
12. Brschmański Jacek	inż. mech.	Gliwice	48. Michalik Lech	inż. chemik	Gliwice
13. Bratek Tadeusz	nauczyciel	Katowice	49. Milek Zbigniew	inż. chemik	Sosnowiec
14. Brol Witold	mgr	Gliwice	50. Mokrzycka Grażyna	inż. chemik	Gliwice
15. Czupryna Tadeusz	techn. mech.	Rybnik	51. Moszyński Adam	uczeń	Gliwice
16. Doroszevska Danuta	lekarz	Bystrzyca Kłodzka	52. Niedzielska Krystyna	inż. chemik	Mysłowice
17. Dobrogowska Agnieszka	uczennica		53. Nowicki Sławomir	student	Gliwice
18. Dolina Marian	mistrz ap. laborat.	Zabrze	54. Pańczyszyn Andrzej	filolog	Gliwice
19. Dolla-Rożak Ewa	rolnik	Rydułtowy	55. Pelka Piotr	inż. elektr.	Semianowice
20. Durda Grażyna		Gliwice	56. Pradelok Witold	dr inż. chem.	Gliwice
21. Dziędziewicz-Kirkin Zdzisław	inż. chemik	Gliwice	57. Preidl Wojciech		Gliwice
22. Fokt Izabela	inż. chem.	Jaworze Grn.	58. Pruszowska Hiacenta	elektronik med.	Rybnik
23. Galant Andrzej	mgr inż.	Gliwice	59. Przybyła Krystyna	techn. rekl.	Gliwice
24. Gawkowska Teresa	techn. chem.	Gliwice	60. Przybysz Bogdan	inż. chemik	Gliwice
25. Gierczycki Andrzej	dr inż. chem.	Gliwice	61. Putowski Janusz	mechanik	Gliwice
26. Gładkowska Małgorzata	artysta muz.	Bytom	62. Remiszewski Ryszard	mgr administr.	Gliwice
27. Gorzawska Anna	prac. socjalny	Rybnik	63. Rykiert Zygmunt	inż. bud.	Gliwice
28. Gorzawski Andrzej	techn. budowl.	Rybnik	64. Sadowska Helena	lekarz	Gliwice
29. Hus Stella	nauczyciel	Ruda Śl.	65. Salamon Wiktor	inż. budowl.	Rybnik
30. Hyla Stanisław	inż. mech.	Gliwice	66. Schab Tadeusz	prac. umysł.	Gliwice
31. Kachel Kazimierz	nauczyciel	Knurów	67. Siomkajło Alicja	inż. elektr.	Gliwice
32. Kapes Roman	techn. budowl.	Rybnik	68. Siwiec Danuta	socjolog	Gliwice
33. Kolant Jadwiga	pielęgniarka	Gliwice	69. Smolec Bożena	mgr inż.	Zabrze
34. Koneczny Stefan	emeryt	Gliwice	70. Smolec Włodzimierz	dr	Zabrze
35. Korecki Marek	inż. elektr.	Gliwice	71. Spyрка Wiesław	inż. chemik	Stryżawa
36. Kosuth Andrzej	chemik	Gliwice	72. Styś Zygmunt	inż. mech.	Gliwice
37. Kotowicz Bolesław	mechanik	Gliwice	73. Sznirch Antoni		Sosnowiec
38. Kranz Leszek	nauczyciel	Gliwice	74. Ulatowski Wiesław	inżynier	Sosnowiec
39. Krzesiński Andrzej	inż. elektr.	Gliwice	75. Urbańczyk Krzysztof	energetyk	Gliwice
40. Kunicki Marian	techn. mech.	Żory	76. Wałaszek Leszek	inż. transp. sam.	Gliwice
41. Kwaśnicki Reneusz	inż. elektr.	Gliwice	77. Wojas Danuta	inż. elektr.	Gliwice
42. Lasota Adam	inż. górnik	Rybnik	78. Wojas Piotr	inż. elektr.	Gliwice
43. Lasota Janusz	inż. chemik	Wodzisław Śl.	79. Wojnar Janusz	inż. chemik	Knurów
			80. Wroński Karol	techn. mech.	Gliwice
			81. Zarzycki Stanisław	inż. budowl.	Gliwice
			82. Zieliwicz-Madej Ewa	dr inż. frod.	Katowice

Oddział PTT w Kaliszu

Oddział kontynuował dotychczasową działalność, której nie zakłóciła nawet czasowa nieobecność Prezesa. Co miesiąc, poza okresem wakacji, odbywały się w Centrum Kultury i Sztuki w Kaliszu spotkania klubowe z programem, poprzedzone zebraniem zarządu. W okresie od maja ub. roku odbyły się prelekcje ilustrowane przezroczami: Ewa Michalak – Góry Izerskie, Romuald Zaręba – Tatry Słowackie, E. Stanecka – Niebezpieczeństwa w górach, P. Nowak – Góry Grecji; pogadanki o zasadach uprawiania turystyki górskiej; wyświetlono filmy górskie: „Oni się wspięli ponad szczyty” i „K2”.

Poza indywidualną działalnością górską członków zorganizowano wyjazdy w Góry Świętokrzyskie w maju 1992 (40 osób), w Tatry Słowackie (30 osób) we wrześniu 1992 i w Beskid Żywiecki w czerwcu 1993. Członkowie Oddziału brali licznie udział w spotkaniach ogólnopolskich PTT: w czerwcu 1992 w Górach Świętokrzyskich (7 osób) i w maju 1993 w Górach Opawskich (8 osób), co zasługuje na pochwałę.

Zarząd działał w niezmiennym składzie, prezesa zastępowała pod jego nieobecność Ewa Michalak – sekretarz Oddziału.

Aktualny skład Zarządu:

1. Prezes:	Zaręba Romuald	inż. budowl.	Kalisz
2. Wiceprezes:	Durden Józef	plastyk	Kalisz
3. Wiceprezes:	Kościelniak Władysław	artysta grafik	Kalisz
4. Sekretarz:	Michalak Ewa	chemik	Ostrów Wlkp.
5. Skarbnik:	Żuprańska Halina	ekonomistka	Kalisz
6. Członek Zarządu:	Grabowska Irena	instr. kult.	Kalisz
7. Członek Zarządu:	Misul Anna	fizykoterapeuta	Kalisz
8. Członek Zarządu:	Gross Urszula	historyk	Kalisz

Członkowie Oddziału:

9. Brodzińska Barbara	insp. finans.	Kalisz	24. Kalinowska Helena	bibliotekarz	Kalisz
10. Braniewicz Hanna	studentka	Ostrów Wlkp.	25. Kalita-Sadło Anna	ekonomista	Kalisz
11. Czeplina Jan	mgr inż. geodeta	Kalisz	26. Kęsiak Józef	mechanik	Kalisz
12. Dudkiewicz Małgorzata	prawnik	Kalisz	27. Koszycarska Jadwiga	pielęgniarka	Kalisz
13. Fibingier Barbara	pedagog kult.	Kalisz	28. Kościelniak Janina	ekonomista	Kalisz
14. Fijałkowski Krzysztof		Kalisz	29. Kozioł Daniela	sojolog	Kalisz
15. Gałuszka Gabriela	krawcowa	Kalisz	30. Kliber Mirosława	ekonomista	Opatówek
16. Gołębiewska Małgorzata	prac. umysł.	Opatówek	31. Kraszewski Stanisław	techn. budowl.	Kalisz
17. Grabowski Andrzej	dr inż. leśnik	Golechów	32. Kulczyński Julian	matematyk	Kalisz
18. Grześkowiak Henryk	ekonomista	Ostrów Wlkp.	33. Kurzawa Barbara	technik	Kalisz
19. Hazubski Maciej	chemik	Ostrów Wlkp.	34. Kurzawa Elżbieta	ekonomista	Kalisz
20. Hertz Urszula	prac. umysł.	Kalisz	35. Krzywdą Maria	księgową	Kalisz
21. Jachowicz Helena	ekonomista	Kalisz	36. Krzywdą Henryk		Kalisz
22. Józwiak Małgorzata	telefonistka	Turek	37. Kołacińska Krystyna		Kalisz
23. Kaniewski Jerzy	ksiądz	Ostrów Wlkp.	38. Kołata Zdzisław		Kalisz

39. Kołata Artur		Kalisz	52. Stanecka Ewa	prac. umysł.	Kalisz
40. Laśkiewicz Barbara	ekonomista	Kalisz	53. Smuś Daniela	prac. umysł.	Kalisz
41. Malaga Jadwiga	prawnik	Kielce	54. Stendera Aleksandra	instr. hig.	Ostrów Wlkp.
42. Michalak Jarosław	techn. roln.	Pleszew	55. Stróżyk Grażyna	prac. umysł.	Wschowa
43. Nowak Przemysław	student	Kalisz	56. Stróżyk Lidia	studentka	Wschowa
44. Nowotna Stanisława	inż. roln.	Kalisz	57. Suwała Hanna	prac. umysł.	Kalisz
45. Pudełko Edward	archeolog	Kalisz	58. Szydło Barbara	ekonomista	Kalisz
46. Pierucka Maria	biolog	Kalisz	59. Turkowska Zuzanna	tech. budowl.	Kalisz
47. Przysłupska Maria	biolog	Kalisz	60. Trześniewski Henryk	insp. finans.	Kalisz
48. Pyrek Halina	tech. budowl.	Kalisz	61. Zaręba Halina	ekonomista	Kalisz
49. Ruda Czesław	ekonomista.	Kalisz	62. Ziennikiewicz Zbigniew	geodeta	Jarocin
50. Rut Elżbieta	prawnik	Kielce	63. Ziennikiewicz Regina	technolog żyw.	Jarocin
51. Sadło Andrzej	tech. mech.	Kalisz	64. Zupański Jan	tech. mech.	Kalisz

Oddział PTT w Katowicach

W grudniu 1992 roku dr Janusz Ślusarczyk, z AWF w Katowicach, nawiązał kontakt z Zarządem Głównym z zamiarem zorganizowania Oddziału PTT.

20 stycznia 1993 roku odbyło się zebranie założycielskie.

Oddział Akademicki PTT, przy AWF Katowice, utworzono 15 marca 1993 roku uchwałą ZG PTT. Działalność Oddziału skupia się głównie na organizowaniu krótkotrwałych wyjazdów w rejony górskie. Oddział prowadzi działalność w trzech sekcjach: turystyki górskiej, narciarskiej i wspinaczkowej.

Od marca 1993 roku zorganizowano 5 wyjazdów: w Beskid Żywiecki (rejon Pilska, Babiej Góry, Policy), dwa w Tatry (kwiecień – Czerwone Wierchy, maj – Tatry Wysokie), w Beskid Śląski (Czantoria-Stożek-Kubalonka-Barania-Węgierska Górka) oraz w Beskid Mały.

Do końca 1993 przewiduje się:

- zorganizowanie 3-5 następnych wycieczek krótkoterminowych,
- w ramach sekcji narciarskiej od grudnia – zorganizowanie wyjazdów do Szczyrku i Korbiewa, połączonych z nauką jazdy na nartach (instruktorzy PZN),
- w miesiącu lipcu przeprowadzenie dwutygodniowego obozu wędrownego w Słowackie Tatry Wysokie i Niskie.

Prócz działalności wyjazdowej OA PTT zorganizował kilkanaście spotkań poświęconych tematyce górskiej dla pracowników uczelni i środowiska studenckiego, m.in. cykl prelekcji poświęconych florze i faunie karpackiej, obrazowany przezroczami, trzy spotkania nt. Babiogórskiego Parku Narodowego. W trakcie spotkań wykorzystywano także materiały prywatne, video nakręcane podczas wyjazdów w góry (m.in. Pireneje, Alpy, Kaukaz). Nawiązano także kontakty z Baraniogórskim Ośrodkiem Muzealnym PTTK.

Ożywioną działalność prowadzi Studenckie Koło Naukowe Turystyki Górskiej, które odbyło kilka zebrań. W jesieni na XXX Ogólnopolskim Zjeździe Studenckich Kół Naukowych trzech członków tego Koła (jednocześnie członkowie PTT) wystąpi z referatami na tematy górskie.

Od października 1993 przewiduje się wydawanie własnego biuletynu informacyjnego.

Aktualny skład Zarządu:

1. Prezes:	Ślusarczyk Janusz	dr, naucz. akad.	Katowice
2. Wiceprezes:	Kubica Krzysztof	student	Lubliniec
3. Sekretarz:	Augustyn Marcjanna	prac. naukowy	Chorzów
4. Skarbnik:	Kachtel Zbigniew	student	Koszarawa
5. Członek zarządu:	Powolny Lech	dr, naucz. akad.	Katowice
6. Członek zarządu:	Sas-Nowosielski Krzysztof	prac. nauk.	Katowice
7. Członek zarządu:	Saulicz Edward	prac. nauk.	Ruda Śląska
8. Członek zarządu:	Kasprzyk Paweł	student	Jaworzno
9. Członek zarządu:	Kędziński Grzegorz	student	Katowice
10. Członek zarządu:	Gryzowski Jacek	student	Oświęcim

Członkowie Oddziału

11. Benek Adam	student	Katowice	23. Kaczanowicz Wiesław	prac. nauk.	Katowice
12. Botor Jarosław	student	Zabrze	24. Kłobuczek Marek	student	Pietrowice Wlk.
13. Bortel Piotr	prac. nauk.	Bytom	25. Konopacki Edward	student	Jaworzno
14. Gamrat Witold	student	Bielsko-Biała	26. Kudrys Rafał	prac. nauk.	Międzybrodzie Bialskie
15. Gawliczek Mariusz	student	Gaszowice Wlk.			
16. Gierczak Robert	student	Sosnowiec	27. Lignar Krzysztof	student	Biecz
17. Giergiel Wojciech	student	Tarnowskie Góry	28. Mazanek-Belbassakis	prac. nauk.	Katowice
18. Greła Sławomir	student	Tarnobrzeg	29. Skóra Małgorzata	prac. nauk.	Czeladź
19. Grzyb Michał	student	Zabrze	30. Szałeki Grzegorz	student	Jaworzno
20. Holobut Roman	student	Strzelce Opolskie	31. Tomik Rajmund	prac. nauk.	Katowice
21. Hutniczak Tomasz	student	Tarnów	32. Woźniczka Zygmunt	prac. nauk.	Katowice
22. Kaczanowicz Małgorzata	prac. nauk.	Katowice			

Oddział PTT w Krakowie

Oddział kontynuował swą dotychczasową działalność. Spotkania i dyżury odbywały się w każdy poniedziałek w lokalu Klubu Wysokogórskiego Kraków. Organizowano pokazy przeźroczy z wyjazdów górskich członków. Gośćmi Oddziału byli: prof. Krzysztof Birkenmajer z prelekcją na temat działalności polskiej

stacji polarnej na Antarktydzie i dr Włodzimierz Mokry z prelekcją „Symbolika krzyża w literaturze i sztuce ukraińskiej”. Odbył się wieczór poezji tatrzańskiej; wiersze czytała Maria Przybylska.

Zorganizowano wyjazdy górskie Oddziału: na Mładą Horę (18-21.06.1992), w Małą Fatrę (23-30.08.1992), do Roztoki (12-14.03.1993) i na Polanę Chochołowską (10-13.06.1993). Ponadto członkowie Oddziału odbywali wycieczki górskie we własnych grupach koleżeńskich.

W sezonie letnim 1992 przystąpiono do remontu szałasów na Gorcu Kamieniec-kim, angażując w sprawę i pieniądze i pracę społeczną. Wymieniono cały dach w szałasie i drewni. Położenie szałasów przy szlaku turystycznym sprzyjało regularnym aktom wandalizmu. Sytuacja ta zmusiła Zarząd Oddziału do rezygnacji z dalszych prac remontowych i wycofania się z umowy z właścicielem.

Zniechęcony spadkiem zainteresowania członków, Prezes Andrzej Słota podał się do dymisji; wcześniej jeszcze z funkcji sekretarza zrezygnował Sebastian Słota. Na poszerzonym o członków krakowskich Zarządu Głównego i o Komisję Rewizyjną zebraniu Zarządu w dniu 15.03.1993 r. postanowiono nie zwoływać nadzwyczajnego walnego zgromadzenia Oddziału i powierzyć prowadzenie Oddziału wyłonionemu ze składu obecnego zarządu, wiceprezesowi Adamowi Hołujowi.

Aktualny skład Zarządu:

Prezes	vacat		
2. Wiceprezes urzędujący:	Hołuj Adam	elektryk	Kraków
3. Sekretarz:	Morawska-Nowak Barbara	biolog	Kraków
4. Skarbnik:	Malak Krzysztof	przedsiębiorca	Kraków
5. Członek zarządu:	Mischke Maciej	inż. budowl.	Kraków
6. Członek zarządu:	Anna Nosek	kierowca	Kraków
7. Członek zarządu:	Rogowski Ludwik	elektroenerg.	Kraków
8. Członek zarządu:	Słota Andrzej	techn. mech.	Kraków
9. Członek zarządu:	Słota Sebastian	student	Kraków

Członkowie Oddziału:

10. Adamczyk Andrzej	student	Kraków	20. Brzózka Krzysztof	automatyk	Kraków
11. Augustyn Józef	blacharz samochodowy	Kraków	21. Bujak-Lenczowska	inż., insp. nadzoru	Kraków
12. Bała Marian	chemik	Kraków	Magdalena		Dobczyce
13. Bartosik Bronisław	oficer mar. handl.	Kraków	22. Bułat Adam	inżynier	
	pośrednik handl. nieruchom.		23. Bylica Andrzej	zaopatrzeniowiec	Kraków
		Limanova	24. Chojko Krzysztof	technik	Kraków
14. Bartosik Barbara	inż. budowl.	Kraków	25. Cieśliewicz-Godziec Ewa	teatrológ	Kraków
15. Baryła Janusz	biolog	Kraków	26. Cinal Sergiusz	uczeń	Kraków
16. Będkowski Stanisław	muzykolog	Kraków	27. Cisoń Ewa	filolog germanista	Kraków
17. Będkowska Danuta	informatyk	Kraków	28. Cisoń Jan	filolog germanista	Kraków
18. Biernacki Zbigniew	techn. samoch., antykwariusz		29. Czerwińska Maria	lekarz	Kraków
		Częstochowa	30. Dajda Krystyna	kosztorysant	Kraków
19. Bill Grzegorz	nauczyciel	Tomaszów. Maz.	31. Dańda Antoni	inżynier	Kraków

32. Dawidowicz Antoni	matematyk		93. Piórko Barbara	ekonomista	
33. Dudzik Małgorzata	inż. chemik		94. Plezia Marian	filolog, em. prof.	
34. Dukiel-Zawadzka Barbara	chemik		95. Podosek Jerzy	inż. metalurg	
35. Eliasińska Małgorzata	farmaceuta		96. Prosak Władysław	inż. metalurg	
36. Fiton Ewa	nauczyciel	Tomaszów Maz.	97. Przybylska-Więckowska Maria	aktorka	
37. Fiton Zbigniew	technik	Tomaszów Maz.	98. Pudełko Andrzej	technik	
38. Frączek Lesław	redaktor		99. Pudełko Józef	techn. elektronik	
39. Gacek Szczepan	ksiądz	Gliczarów	100. Rogowska Anna	student	
40. Godzic Wiesław	filolog		101. Rogowska Danuta	ekonomista	
41. Góralczyk Maria	dziennikarz	Warszawa	102. Ronikier Michał	student	
42. Grabowski Jerzy	nauczyciel	Kingston, Kanada	103. Rozwadowski Józef	biskup	Łódź
43. Hajto Jacek	student	Kraków	104. Rudziński Ryszard	lekarz	
44. Heller Krystyna	nauczyciel	Kraków	105. Rusin Piotr	prawnik	
45. Holuj Marek	geodeta	Kraków	106. Sajak Marian	szlifierz	
46. Jagoda Jan	technik	Kraków	107. Satora Małgorzata	student	
47. Jagoda Ryszarda	rejestratorka medyczna	Kraków	108. Sauczek Benedykt	ekonomista	
48. Jamrozik Tomasz		Kraków	109. Sawicki Jan		London
49. Janik Krzysztof	zaopatrzeniowiec	Kraków	110. Sebesta Antonina	naucz. akadem.	Mysłenice
50. Jankiewicz Leszek	lekarz	Lublin	111. Szczyńska Aneta	ortoptyka	
51. Jasińska Celina	ekonomista		112. Seweryn Janusz	urzędnik	
52. Jasińska Monika	uczennica		113. Siermontowski Aleksander	inż. konstruktor	
53. Kalkowska-Szkup Joanna	studentka		114. Siermontowski Konrad	redaktor	
54. Kalkowski Zbysław	inż. konstruktor		115. Skrzyński Adam	uczeń	
55. Koziej Marek	geolog		116. Skrzyński Andrzej	ekonomista	
56. Kowalski Jerzy	naucz. akadem.		117. Skrzypczyk Stanisław	student	
57. Kowalski Maciej	uczeń		118. Socjusz-Podosek Maria	dr inż. metalurg	
58. Kozłowski Stefan	geolog, prof.	Warszawa	119. Sokorska Violetta	techn. analityk med. USA	
59. Kuczynski Jerzy	chemik	Lublin	120. Steindel Stanisław	inż., em. docent	Genewa
60. Kuklińska Anna	inż. chemik		121. Stryjeński Jan		
61. Kuklińska Elżbieta	uczennica		122. Szkup Paweł	student	
62. Kukliński Marek	inż. metalurg		123. Szulc Agata	operator	
63. Kuraczyk Mirosław	nauczyciel	Świętowo Graniczne	124. Szulc Barbara	przy mężu	
64. Kusał Leszek	student		125. Świder Paweł	student	
65. Lechwar Marian	inż. mechanik		126. Tarnowska Monika	plastyk	
66. Lenczowski Adam	geodeta	Dobczyce	127. Tarnowski Maksymilian	inż. mechanik	
67. Liberak Adam	dziennikarz	Zakopane	128. Tataruda Janina	przedawca	Tomaszów Maz.
68. Madejski Mariusz	student		129. Teodorowicz Stefania	poligraf	
69. Majchrzak Stanisław	ekonomista		130. Unrug Juliusz	student	
70. Malak Elżbieta	ogrodnik		131. Urbański Stanisław	elektryk	
71. Maryewaka Róża	lekarz		132. Wawrzyniak Mieczysław	techn. górnik	Tymbark
72. Mąsior Agata	rolnik	Bobrek	133. Wąsowska Maria	nauczycielka	
73. Mąsior Maria	urzędnik	Bobrek	134. Winiarska Bożena	kosmetyczka	
74. Mąsior Zbigniew	kierowca	Bobrek	135. Winiarska Maria	urzędnik	
75. Mischke Danuta	inż. metalurg		136. Witkowska Zofia	wychowawca	
76. Mischke Kazimierz	inż. górnik		137. Wnętrzycki Kazimierz	emeryt	
77. Miszke Jan	inż. mechanik		138. Woyciechowski Antoni	inż. miern.	Wieliczka
78. Młeczko Krzysztof	geodeta		139. Woyciechowski Jan Kanty	techn. budowl.	Osieczany
79. Naczek Jacek			140. Woyciechowska Henryka	przy mężu	Osieczany
80. Nawrot Halina	bibliotekarz		141. Wójcik Dorota Elżbieta	technik	
81. Negrey Maciej	kompozytor		142. Wójcik Wiesław Aleksander	redaktor	
82. Nęcza Maria	inż. metalurg		143. Wypartowicz Jan	dr inż. metalurg	
83. Niemiec Barbara	ekonomista		144. Zachariasiewicz Tadeusz	poligraf	
84. Niweliński Józef	biolog, em. prof.		145. Zacharska Helena	nauczyciel	
85. Nowak Janusz	botanik-lichenolog		146. Zacharzewski Michał	student	
86. Oleksyn Barbara	chemik		147. Zawadzki Jerzy	lekarz	
88. Oleksyn Krystyna	geochemik		148. Zbroja Lech	inż. mechanik	
89. Onderka Bogusław	fizyk		149. Żak Robert	uczeń	
90. Onderka Zbigniew	inż. górnik, prof.		150. Żywiecki Andrzej	zaopatrzeniowiec	
91. Onderka Zdzisław	informatyk				
92. Pieprzyk Marta	ekonomista				

Zmarli:

Bogusz Józef
Midowicz Władysław

Oddział PTT w Łodzi

Wybrany w listopadzie 1991 roku Zarząd Oddziału rozpoczął działalność od kolejnej zmiany lokalu. W Łódzkim Domu Kultury znaleziono dogodnie miejsce spotkań, zyskano przyjaciół i znaczną pomoc w realizacji programu Oddziału. Spotkania nabrały ogólnołońskiego charakteru, a ich tematyka reklamowana była w lokalnej telewizji, radiu i miesięczniku „Kalejdoskop Kulturalny”.

Na przełomie roku 1991/92 zorganizowano wyjazd narciarski do Turcji na Ukrainie (10 osób). Kolejny górski wyjazd zimowy odbył się w marcu w Tatrach Zachodnie z bazą w schronisku na Ornakach (15 osób).

Wiosną organizowano wyjazdy wspinaczkowe w skałki kroczyckie i biwaki w Szczawinie pod Zgierzem.

W sezonie letnim zorganizowano ponownie wyprawę w Alpy (39 osób). Zwiedzono góry Austrii, Szwajcarii, Francji, Włoch, a ukoronowaniem wyprawy było wejście Marka Baranowskiego, Jerzego Howańskiego i Piotra Wyszogrodzkiego na Mont Blanc. W drodze powrotnej odwiedzono Łazurowe Wybrzeże, Wenecję i Dolomity.

Włodzimierz Janusik z żoną odbyli rekonesansowy wyjazd do Norwegii i Szwecji z zamiarem zorganizowania wyjazdu Oddziału w 1993 roku.

Podczas kolejnego wyjazdu w Karpaty Wschodnie przewędrowano przez Gorgany, Czarnohorę i Połoniny Hryniawskie (8 osób).

Odbyto szereg indywidualnych i grupowych wyjazdów w Tatry Polskie i Słowackie, w tym większy wyjazd z bazą w Dol. Pięciu Stawów w październiku 1992 i wyjazd narciarski do Zakopanego w okresie Nowego Roku 1993.

We wszystkich wyjazdach – dużych i małych – pod patronatem Oddziału Łódzkiego PTT wzięły udział 173 osoby.

Na spotkaniach klubowych prezentowano filmy video, nakręcone przez stałych operatorów Oddziału: Zbigniewa Łuczaka, Włodzimierza Janusika, Henryka Swarabowicza i Krzysztofa Pietruszewskiego w czasie wyjazdów w Tatry, Alpy, na Ukrainę i do Norwegii. Aby pogłębić wiedzę o różnych górach i wyprawach zapraszano znanych alpinistów. Na temat ideologii i tragicznej śmierci Wandy Rutkiewicz dyskutowano z Andrzejem Wilczkowskim, a o wyprawie na Nanga Parbat opowiadał, przy przeźrocach, Marek Grochowski. Inne spotkania wypełnili członkowie Oddziału – Jacek Karczewski, Czesław Szadowski, Włodzimierz Janusik i inni, prezentując przeźrocza z Tatr, Alp, Andów, Gorganów.

W październiku 1992 roku zaczął się ukazywać biuletyn Oddziału „ZAKOS” pod redakcją Włodzimierza Janusika. Zamieszczając w biuletynie reklamy zyskano 5% rabat w dwóch sklepach ze sprzętem sportowym; do zniżkowych zakupów upoważnia legitymacja PTT z opłaconymi składkami. Zaprowadzono kronikę Oddziału, prowadzi ją Magdalena Rogulska.

Na tradycyjnie już zorganizowanej Wigilii Oddziału uhonorowano specjalnym dyplomem i pamiątkowym „Buciozem” OŁ PTT kilku kolegów za szczególne osiągnięcia w rocznej działalności. „Buciozy” otrzymali zdobywcy Mont Blanc oraz Marek Zawadzki za szczególne umiłowanie Karpat Wschodnich i Zginiew Rembowski za wzorowe zachowanie w górach podczas wejścia na Mont Blanc i późniejszą wytrwałą walkę z chorobą.

Tegoroczna próba zimowego przejścia grani Polskich Tatr Zachodnich (28.03-1.04) na skutek dużych opadów śniegu i alarmu lawinowego zakończyła się niepowodzeniem, a drobną namiastką przeżyć był nocleg na Przełęczy Iwaniackiej.

W kwietniu 1993 roku otwarto wystawę fotograficzną „Tatry — obiektywem PTT”.

W Oddziale działa Komisja Wypraw ZG PTT, która organizuje w lecie 1993 Ogólnopolską Wyprawę PTT w Karpaty Wschodnie dla uczczenia 120 rocznicy powstania Towarzystwa Tatrzańskiego. Cel wyprawy poszerzono o badania naukowe prowadzone przez członków Oddziału i studentów Uniwersytetu Łódzkiego.

Aktualny skład Zarządu:

1. Prezes:	Grzegorzewski Zbigniew	dziennikarz	Łódź
2. Wiceprezes:	Janusik Włodzimierz	lekarz	Łódź
3. Wiceprezes:	Nurczyński Piotr	mechanik	Łódź
4. Sekretarz:	Pietruszewski Krzysztof	włókiennik	Łódź
5. Skarbnik:	Pietruszewska Małgorzata	włókiennik	Łódź
6. Członek zarządu:	Jedliński Zbigniew	chemik	Łódź
7. Członek zarządu:	Rembowski Zbigniew	konstruktor	Łódź
8. Członek zarządu:	Swarabowicz Henryk	plastyk	Łódź
9. Członek zarządu:	Wyszogrodzki Andrzej	inż. mechanik	Łódź

Członkowie Oddziału:

10. Adamska Ilona		Łódź	27. Chojnacka Małgorzata	nauczyciel	Łódź
11. Arndt Anna	inż. mech.	Łódź	28. Chojwa Ewa	nauczyciel	Łódź
12. Bakinowski Tadeusz	inż. konstr.	Łódź	29. Cupniak Ewa		Łódź
13. Barański Janusz	antykwarjusz	Łódź	30. Dyl Jadwiga	ekonomista	Łódź
14. Baranowska Bogumiła	ekonomista	Łódź	31. Florczak Dorota	planista	Łódź
15. Baranowski Marek	inż. bud.	Łódź	32. Garda Konrad	prawnik	Łódź
16. Baranowski Bartłomiej	student	Łódź	33. Glińska Hanna	inż. konstr.	Łódź
17. Bartzak Mirosława	planista	Łódź	34. Golc Dariusz	student	Łódź
18. Bartzak Włodzimierz	techn. bud.	Łódź	35. Gutenplan Danuta		Łódź
19. Bartyś Barbara	lekarz	Łódź	36. Góral Tadeusz	ekonomista	Łódź
20. Bień Zbigniew	inżynier	Łódź	37. Grudziń Robert		Łódź
21. Budnik Ferdynand		Łódź	38. Hemka Krystyna	księgowa	Łódź
22. Białkowski Ryszard	mechanik	Łódź	39. Howańska Henryka	techn. arch.	Łódź
23. Bukrant Jolanta		Łódź	40. Howański Jerzy	techn. bud.	Łódź
24. Brylikowska Barbara	nauczyciel	Łódź	41. Janusik Jadwiga	lekarz	Łódź
25. Cichor Krystyna	techn. arch.	Łódź	42. Jedlińska Monika	studentka	Łódź
26. Chojnacki Ireneusz	adwokat	Łódź	43. Jeżak Elżbieta		Łódź

44.	Junczyk Jadwiga		Łódź	91.	Podgórska Agata	techn. med.	Łódź
45.	Junczyk Krzysztof		Łódź	92.	Potocka Anna		Łódź
46.	Just Jolanta	lekarz	Łódź	93.	Potocki Tomasz	inż. bud.	Łódź
47.	Juszyński Krzysztof	mechanik	Łódź	94.	Rembowska Maria	ekonomista	Łódź
48.	Kaniewska Joanna	nauczycielka	Łódź	95.	Rogulska Magdalena	inż. bud.	Łódź
49.	Karczewski Jacek	inż. energ.	Łódź	96.	Rożek Zdzisław	ekonomista	Łódź
50.	Kędziński Roman	inż. włókiennik	Łódź	97.	Siedlecki Marek	nauczyciel	Łódź
51.	Kisiel Adam	emeryt	Łódź	98.	Siedlecki Piotr	aktor	Łódź
52.	Kondratowicz Maria	techn. mech.	Łódź	99.	Siekiera Mirosław	inż. elektr.	Łódź
53.	Kotala Jacek		Łódź	100.	Starożytnik Dariusz	architekt	Łódź
54.	Kośka Wiesław		Łódź	101.	Styczkowska Ewa	farmaceutka	Łódź
55.	Kośka Jadwiga		Łódź	102.	Szadkowski Czesław	techn. bud.	Łódź
56.	Kowalczyk Tadeusz	informatyk	Łódź	103.	Szmgiel Jan	architekt	Łódź
57.	Kowalska Wanda	lekarz	Łódź	104.	Sztekmler Anna	studentka	Łódź
58.	Kowalski Stefan	inżynier	Łódź	105.	Sztekmler Krzysztof	artysta muzyk	Łódź
59.	Koźmińska Sylwia		Łódź	106.	Świdorski Jacek		Łódź
60.	Krzyżanowska Ewa	ekonomista	Łódź	107.	Talady Stanisław	mechanik	Łódź
61.	Kuczyńska Teresa	lekarz	Łódź	108.	Telega Stanisława	nauczyciel	Łódź
62.	Kunach Małgorzata	nauczyciel	Łódź	109.	Tkaczyk Magdalena		Łódź
63.	Kuziemska Ewa	farmaceutka	Łódź	110.	Tomaszewska Elżbieta		Łódź
64.	Lesz Aleksandra	informatyk	Łódź	111.	Tomaszewska Katarzyna		Łódź
65.	Lewicki Bogdan		Łódź	112.	Torbicki Sławomir	automatyk	Łódź
66.	Lipińska Krystyna		Łódź	113.	Urbanik Stefan	prawnik	Łódź
67.	Lipiński Krzysztof	prawnik	Łódź	114.	Urbanik Wiesława	nauczyciel	Łódź
68.	Lorenc Anna		Łódź	115.	Wachowski Adam	ekonomista	Łódź
69.	Łodwig Krystyna	nauczyciel	Zgierz	116.	Wagner Irena		Łódź
70.	Łodwig Roman	inż. mech.	Zgierz	117.	Wałasiński Marek	mechanik	Łódź
71.	Łodwig Stanisław	inż. włókiennik	Zgierz	118.	Wiśniak Bogusława	akwizytor	Łódź
72.	Łuczak Urszula	prawnik	Łódź	119.	Wiercioch Aleksandra	techn. bud.	Łódź
73.	Łuczak Zbigniew	rzemieślnik	Łódź	120.	Wilczyński Jacek		Łódź
74.	Macjon Aleksandra	studentka	Łódź	121.	Wdowiak Stanisława	ekonomista	Łódź
75.	Macjon Józef	nauczyciel	Łódź	122.	Wdowiak Tadeusz	inż. włókiennik	Łódź
76.	Malolepsza Ewa	lekarz	Łódź	123.	Wodzińska Iwona	informatyk	Łódź
77.	Marciniak Ewa	informatyk	Łódź	124.	Wodziński Andrzej	inż. włókiennik	Łódź
78.	Markowicz Andrzej	kupiec	Łódź	125.	Wojech Stanisław	kierowca	Łódź
79.	Mercik Jan	ekonomista	Łódź	126.	Wolff Elżbieta	inż. bud.	Łódź
80.	Miedziank Jan	socjolog	Łódź	127.	Wóźniak Janina		Łódź
81.	Mieszalska Barbara		Łódź	128.	Wyszogrodzka Małgorzata	informatyk	Łódź
82.	Mikołajczyk Lucyna	ekonomista	Łódź	129.	Wyszogrodzki Piotr	student	Łódź
83.	Mrozowski Janusz	nauczyciel	Łódź	130.	Zajda Wiesława		Łódź
84.	Niemczyk Andrzej	mechanik	Łódź	131.	Zaloba Miłosz	prac. muzeum	Łódź
85.	Obrzud Iwona		Łódź	132.	Zapolska Bolesława	informatyk	Łódź
86.	Opila Ewa		Łódź	133.	Zawadzki Marek	elektryk	Łódź
87.	Opila Daniel		Łódź	134.	Ziółkowski Piotr	lekarz	Łódź
88.	Osmulska Beata	lekarz	Łódź	135.	Zydek Cezary	lekarz	Łódź
89.	Ozimski Andrzej		Łódź	136.	Zydek-Miękoś Beata	lekarz	Łódź
90.	Pilc Janusz	energetyk	Łódź	137.	Żurek Andrzej		Łódź

Oddział PTT Beskid w Nowym Sączu

W 1992 roku zorganizowano łącznie 28 wycieczek górskich, w których wzięły udział 883 osoby; w tym w Beskid Sądecki – 6, w Tatry – 3, w Beskid Wyspowy – 2 i po jednej w Pieniny, Beskid Niski, Pogórze Ciężkowickie, Gorce i Beskid Żywiecki. Pozostałe wycieczki to wyjazdy na Słowację; w tym 7 wycieczek

w Tatry Słowackie i 5 w inne grupy górskie oraz wyprawa w Czarnohorę we wrześniu 1992 roku. Wszystkie wycieczki były prowadzone społecznie przez 16 przewodników górskich – członków Oddziału. Informacje o wycieczkach były ogłaszane na afiszach i w lokalnej prasie. Działały 2 punkty informacyjne, w których można było zapisywać się na wycieczki, płacić składki, nabywać wydawnictwa PTT i inne. W 1993 roku działalność ta jest kontynuowana.

W sierpniu 1992 roku 19 członków Oddziału wzięło udział w organizowanej przez Koło Przewodników wyprawie w Alpy włoskie i francuskie.

Z okazji 700-lecia śmierci Bł. Kingi i dla upamiętnienia Jej udanej ucieczki przed Tatarami, w porozumieniu ze starosądeckim klasztorem, oznakowano szlak turystyczny ze Starego Sącza przez Przehybę do Krościenka. Tablice wyrzeźbione artystycznie w drzewie przez Bogusława Repelewicza, członka Oddziału, rozmieszczone na ozdobnych rogalach, zostały niestety częściowo zniszczone przez nieznaną sprawców.

W sezonie zimowym sekcja narciarska organizowała wędrowki narciarskie w okolicach Nowego Sącza.

Ukazywał się biuletyn informacyjny Oddziału „Beskid”, nadrobiono zaległości w wydawaniu pisma. W dalszym ciągu uzupełniono Górską Bibliotekę Oddziału, która liczyła na koniec 1992 roku 271 tomów. Prowadzono kronikę Oddziału; aby zapewnić stałą dokumentację fotograficzną do kroniki, zakupiono aparat fotograficzny.

Działalność Oddziału mogła się dobrze rozwijać dzięki przychylności i wsparciu lokalnych władz administracyjnych. Cieszy się ona zainteresowaniem społeczeństwa, czego wyrazem jest wzrost liczby członków o 24 osoby w stosunku do roku 1991.

26 września 1992 roku odbyło się walne zgromadzenie sprawozdawczo-wyborcze Oddziału, na którym wybrano nowe władze. Skład Zarządu całkiem się zmienił, pozostał tylko ten sam prezes – Maciej Zaremba.

Aktualny skład Zarządu:

1. Prezes:	Zaremba Maciej	właściciel prywatnego biura turystycznego	Nowy Sącz
2. Wiceprezes:	Totoń Anna	bibliotekarz	Nowy Sącz
3. Sekretarz:	Kieres Małgorzata	lekarz	Nowy Sącz
4. Skarbnik:	Mikusiński Robert	inżynier	Nowy Sącz
5. Członek Zarządu:	Małota Leszek	nauczyciel	Nowy Sącz
6. Członek Zarządu:	Mikusińska Jolanta	laborant	Nowy Sącz
7. Członek Zarządu:	Pogwizd Tadeusz	prac. umysł.	Nowy Sącz
8. Członek Zarządu:	Świgit Wojciech	elektromonter	Jamnica

Członkowie Oddziału:

9.	Baran Jadwiga	uczennica	Nowy Sącz	60.	Krajewska Zofia	techn. odzieżowy	Nowy Sącz
10.	Baran Marian	nauczyciel	Nowy Sącz	61.	Kręcichwost Antoni	lekarz	Piwniczna
11.	Baran Teresa	uczennica	Nowy Sącz	62.	Krawczyk Stanisława	prac. umysł.	Tęgorozże
12.	Baranowski Jerzy	nauczyciel	Nowy Sącz	63.	Kroh Antoni	literat	Nowy Sącz
13.	Berezowski Andrzej	fotograf	Nowy Sącz	64.	Krokowska Jadwiga	ekonomistka	Grybów
14.	Berowski Aleksander	monter	Świniarsko	65.	Krokowski Karol	właściciel sklepu	Grybów
15.	Bieniek Andrzej	uczeń	Nowy Sącz	66.	Krzyżanowski Zdzisław	lekarz	Nowy Sącz
16.	Blicharz Alicja	nauczyciel	Grybów	67.	Kuczyńska Eugenia	emerytka	Nowy Sącz
17.	Blicharz Grażyna	nauczyciel	Grybów	68.	Kuropeska Kazimierz	prac. umysł.	Nowy Sącz
18.	Blicharz Marta	dziewiarz	Grybów	69.	Kurzawa Robert	murarz	Nowy Sącz
19.	Bochenek Ryszard	elektryk	Nowy Sącz	70.	Lachowski Józef	inżynier	Nowy Sącz
20.	Bodziony Jacek	uczeń	Jazowsko	71.	Langer Leszek	uczeń	Nowy Sącz
21.	Ciesielaki Marek	laborant	Nowy Sącz	72.	Leśnik Monika	ekonomista	Nowy Sącz
22.	Cybulski Ryszard	ekonomista	Nowy Sącz	73.	Leśnik Stanisław	prawnik	Nowy Sącz
23.	Czachowska Ewa	właściciel pryw. biura turyst.	Nowy Sącz	74.	Ładoś Janusz	adwokat	Nowy Sącz
24.	Czaja Adam	handlowiec	Nowy Sącz	75.	Maciaś Józef	techn. bud.	Nowy Sącz
25.	Dąbrowski Antoni	fotograf	Nowy Sącz	76.	Maciaś Maria	intendentka	Nowy Sącz
26.	Dąbrowski Rafał	elektryk	Nowy Sącz	77.	Majocha Helena	ekonomista	Nowy Sącz
27.	Duda Tadeusz	historyk	Stary Sącz	78.	Marchacz Halina	nauczycielka	Podole
28.	Durlak Jacek	pracownik umysł.	Piwniczna	79.	Marchacz Jan	rzemieślnik	Podole
29.	Dzikiewicz Adam	adwokat	Nowy Sącz	80.	Marchacz Jolanta	nauczycielka	Podole
30.	Firek Ryszard	drukarz	Nowy Sącz	81.	Marchacz Witold	student	Podole
31.	Fiut Renata	pielęgniarka	Nowy Sącz	82.	Michalczewicz Jakub	uczeń	Nowy Sącz
32.	Fyda Kazimierz	nauczyciel	Nowy Sącz	83.	Migrała Leszek	prac. umysł.	Nowy Sącz
33.	Gawlik Rudolf	nauczyciel	Nowy Sącz	84.	Mikusiniński Witold	inżynier	Nowy Sącz
34.	Garnand Paweł	pracownik umysł.	Nowy Sącz	85.	Mrówka Eugeniusz	nauczyciel	Nowy Sącz
35.	Giercuszkiewicz Michał	kier. schron.	Nowy Sącz	86.	Mról Jerzy	elektryk	Nowy Sącz
36.	Głuc Władysława	nauczycielka	Nowy Sącz	87.	Nowak Leszek	rehabilitant	Nowy Sącz
37.	Gołdyn Zenon	lekarz	Nowy Sącz	88.	Ogórek Mirosław	żołnierz	Stary Sącz
38.	Gomułka Ignacy	nauczyciel	Nowy Sącz	89.	Ogórek Tadeusz	nauczyciel	Piwniczna
39.	Gorczyca-Luchowska Elżbieta	lekarz	Nowy Sącz	90.	Oleksiak Beata	studentka	Nowy Sącz
40.	Haracz Stanisław	informatyk	Nowy Sącz	91.	Orlita Józef	kolejarz	Nowy Sącz
41.	Haraf Halina	ekonomista	Piwniczna	92.	Orlita Wojciech	uczeń	Nowy Sącz
42.	Hebda Krzysztof	elektryk	Nowy Sącz	93.	Pacut Irena	rencistka	Nowy Sącz
43.	Jagodzińska-Kohmann Krystyna	lekarz	Nowy Sącz	94.	Paprocka Ryszarda	lekarz	Nowy Sącz
44.	Kaleta Bożena	krawcowa	Nowy Sącz	95.	Paprocki Aleksander	inżnier	Nowy Sącz
45.	Kaleta Krzysztof	techn. mech.	Nowy Sącz	96.	Pierzga Maria	laborant	Łącko
46.	Klimek Anna	nauczycielka	Podole	97.	Pietras Mieczysław	inżynier	Nowy Sącz
47.	Klimek Józef	nauczyciel	Podole	98.	Piotrowski Antoni	nauczyciel	Nowy Sącz
48.	Knap Romuald	uczeń	Nowy Sącz	99.	Piprek Wiesław	inżynier	Nowy Sącz
49.	Kochanik Tadeusz	techn. mech.	Nowy Sącz	100.	Podwika Jadwiga	pielęgniarka	Stróże
50.	Kohmann Andrzej	lekarz	Nowy Sącz	101.	Podwika Wanda	uczennica	Stróże
51.	Koldras Jolanta	techn. budowl.	Nowy Sącz	102.	Pogwizd Józef	artysta grafik	Nowy Sącz
52.	Korzelski Jerzy	nauczyciel	Nowy Sącz	103.	Pogwizd Tomasz	uczeń	Nowy Sącz
53.	Kossowski Wiesław	prac. umysł.	Piwniczna	104.	Rams Anna	techn. chem.	Nowy Sącz
54.	Kowalczyk Robert	uczeń	Nowy Sącz	105.	Rams Paweł	techn. sam.	Piwniczna
55.	Kowalczyk Teresa	dietytyczka	Nowy Sącz	106.	Repelewicz Bogusław	nauczyciel	Nowy Sącz
56.	Kowalczyk Władysław	inżynier	Nowy Sącz	107.	Repelewicz Paweł	uczeń	Nowy Sącz
57.	Kowalewski Wacław	prac. umysł.	Piwniczna	108.	Rodak Wojciech	uczeń	Krużłowa
58.	Kowalska-Truchan Bogumiła	księgarz	Męcina	109.	Rogóz Andrzej	lekarz	Nowy Sącz
59.	Kowalski Marek	bezrobotny	Męcina	110.	Rolka Urszula	prac. umysł.	Nowy Sącz
				111.	Rosiek Romuald	elektromechanik	Librantowa
				112.	Rosmanith Jerzy	dentysta	Nowy Sącz
				113.	Rosmanith Rafał	uczeń	Nowy Sącz
				114.	Rzepka Barbara	ekonomista	Nowy Sącz

115. Siwek Jerzy	inżynier	Nowy Sącz	132. Witek Wiesław	techn. mech.	Nowy Sącz
116. Smağa Stanisław	nauczyciel	Nowy Sącz	133. Wolak Bernadeta	prac. umysł.	Nowy Sącz
117. Sobańska Iwona	uczennica	Nowy Sącz	134. Wójs Józef	prac. umysł.	Nowy Sącz
118. Stawowy Stanisław	lekarz	Nowy Sącz	135. Wójtowicz Marek	elektromechanik	Nowy Sącz
119. Średniawa Adam	uczeń	Gostwica	136. Wzorek Jadwiga	pielęgniarka	Kraków
120. Talaga Maria	inżynier	Nowy Sącz	137. Zaremba Jacek	redaktor	Nowy Sącz
121. Talar Andrzej	mechanik	Piwniczna	138. Zaremba Małgorzata	uczennica	Nowy Sącz
122. Tokarski Witold	nauczyciel	Nowy Sącz	139. Zaremba Marek	uczeń	Nowy Sącz
123. Traciłowska Iwona	studentka	Nowy Sącz	140. Zaremba Wanda	plastyk	Nowy Sącz
124. Traciłowska Lidia	nauczycielka	Nowy Sącz	141. Zawratka Krzysztof	mechanik	Nowy Sącz
125. Traciłowska Maria	ekonomista	Nowy Sącz	142. Ziaja Anastazja	prac. fiz.	Nowy Sącz
126. Tarcilowski Lech	inżynier	Nowy Sącz	143. Ziaja Paweł	sztukator	Nowy Sącz
127. Traciłowski Tomasz	uczeń	Nowy Sącz	144. Ziółkowski Edward	techn. budowł.	Bartkowa
128. Wiktorowski Fabian	uczeń	Nowy Sącz	145. Zieliński Zbigniew	inżynier	Nowy Sącz
129. Wilk Janusz	techn. mech.	Nowy Sącz	146. Zubek Agata	nauczycielka	Golkowice
130. Witecka Lucyna	ekonomista	Nowy Sącz			
131. Witek Ewa	bibliotekarz	Nowy Sącz	Zmarli: Czuchra Franciszek		

Oddział Podhalański PTT w Nowym Targu

Miniony rok 1992 przyniósł daleko idące osłabienie aktywności członków Oddziału, a co za tym idzie zmniejszenie liczby członków. Odbyto kilka wycieczek górskich, np. szczytami Pienin. W lipcu 1992 kilkusobowa grupa z Oddziału gościła u zaprzyjaźnionej grupy Horskiej Służby w Dolinie Vratnej (Mała Fatra).

Na jesiennym zebraniu Oddziału poszukiwano sposobów wyjścia z impasu dokonując zmian osobowych w składzie Zarządu Oddziału. Prezes Krzysztof Kabat, przy współudziale członków Oddziału i Józefa Michlika, zorganizował II Zjazd Delegatów PTT w Ludźmierzu.

27 czerwca 1993 roku Oddział zorganizował Mszę św. w kaplicy pod Turbaczem z okazji 120 rocznicy powstania PTT. Pogoda nie dopisała i była jedną z przyczyn małej frekwencji. Po Mszy św. spotkano się z księdzem, rozmawiano o PTT dawnym i obecnym, atmosfera spotkania była bardzo sympatyczna.

Prezes Krzysztof Kabat zrezygnował, w czerwcu 1993 roku, ze swej funkcji powierzając prowadzenie Oddziału wiceprezesowi Adamowi Wnękowi.

Aktualny skład Zarządu:

Prezes:	vacat		
1. Wiceprezes urzędujący:	Wnęk Adam	inż. budowlany	Nowy Targ
2. Sekretarz i Skarbnik:	Wojdyła Danuta	instruktor KO	Nowy Targ
3. Członek Zarządu:	Gądek Grzegorz	student	Nowy Targ
4. Członek Zarządu:	Poździk Danuta	kasjerka	Maniowy
5. Członek Zarządu:	Sikorski Grzegorz	kolejarz	Nowy Targ
6. Członek Zarządu:	Staszek Leszek	fotograf	Nowy Targ

Członkowie Oddziału:

7. Aścik Andrzej	fizyk	Starachowice	22. Koterba Tadeusz	mechanik	Nowy Targ
8. Chrobak Zbigniew	krawiec	Nowy Targ	23. Krauzowicz Józef	rat. GOPR	Nowy Targ
9. Cieślewicz Alicja	prac. schr.	Dol. Chochołowska	24. Misiura Mirosław	student	Nowy Targ
10. Cieślewicz Wincenty	kier. schr.	Dol. Chochołowska	25. Pactwa Michał	uczeń	Nowy Targ
11. Cygoń Barbara	studentka	Nowy Targ	26. Pinkwart Maciej	etnograf	Zakopane
12. Czajka Ireneusz	uczeń	Nowy Targ	27. Podkanowicz Renata	masażystka	Zakopane
13. Długopolski Zbigniew	fotograf	Ludźmierz	28. Połaczek Czesław	techn. budowl.	Oświęcim
14. Doległo Mieczysław	prac. schr.	Dol. Chochołowska	29. Połaczek Ireneusz	nauczyciel	Klikuszowa
15. Dul Adam	uczeń	Nowy Targ	30. Słowiński Marek	techn. mech.	Nowy Targ
16. Galdyś Barbara	nauczyciel	Nowy Targ	31. Słowiński Paweł	student	Nowy Targ
17. Giluk Anna	etnograf	Zakopane	32. Staszal Paweł	handlowiec	Nowy Targ
18. Grabowska Maria	nauczyciel	Nowy Targ	33. Wielkiewicz Henryk	uczeń	Nowy Targ
19. Gromala Paweł	stolarz	Nowy Targ	34. Wielkiewicz Janusz	uczeń	Nowy Targ
20. Jankowska Danuta	prac. schr.	Dol. Chochołowska	35. Wąsowicz Urszula	nauczyciel	Łopuszna
21. Kabat Krzysztof	artysta plastyk	Nowy Targ	36. Wąsowicz Wiktor	mgr org. turyst.	Łopuszna

Oddział PTT w Opolu

Oddział był organizatorem X Ogólnopolskiego Spotkania PTT i posiedzenia Zarządu Głównego w Głuchołazach (Góry Opawskie) w maju 1993 r.

Aktualny skład Zarządu:

	Prezes:	Raczyński Leszek	lekarz	Opole
1.	Wiceprezes:	vacat		Opole
2.	Sekretarz:	Majcher Irena	prawnik	Opole
3.	Skarbnik:	Kurowska Ewa	laborant przem.	Opole
4.	Członek Zarządu:	Nabzyk Bronisława	prawnik	Opole
5.	Członek Zarządu:	Szumiec Grażyna	prac. umysł.	Strzelce Opolskie
6.	Członek Zarządu:	Małojko Waldemar	maszynista	Opole
7.	Członek Zarządu:	Świrski Bogusław	rencista	Opole

Członkowie Oddziału:

8. Antonik Ryszard	techn. mech.	Opole	18. Kamiński Bogusław	prawnik	Opole
9. Baranowski Zygmunt	prac. umysł.	Opole	19. Kamysz Franciszek	emeryt	Opole
10. Beker Wojciech	lekarz	Opole	20. Kubik Jadwiga	prac. WSP	Opole
11. Bigda-Pisarek Elżbieta	adwokat	Chrzastowice	21. Kubik Jan	prac. nauk. WSI	Opole
12. Bujak Kazimiera	technik	Opole	22. Leszczyńska Irena	prawnik	Opole
13. Chojnacki Ryszard	prawnik	Opole	23. Liba Halina	prac. umysł.	Opole
14. Cieszyński Zygmunt	inżynier	Opole	24. Machnik-Chojnacka Ewa	nauczycielka	Opole
15. Fikus Kazimierz	techn. elektr.	Opole	25. Majcher Jarosław	dziennikarz	Opole
16. Halon Maria	nauczycielka	Opole	26. Marko Andrzej	inż. rolnik	Opole
17. Horaczuk-Marzec Ewa	stomatolog	Opole	27. Michalik Marek	prac. umysł.	Opole

28. Misiak Juliusz	techn. mech.	Opole	33. Pisarek Wiktor	radca prawny	Chrzastowice
29. Miś Włodzimierz	dziennikarz	Opole	34. Sachnik Jan	ekonomista	Opole
30. Motta Bożena	nauczycielka	Opole	35. Szumiec Zbigniew		Strzelce Opolskie
31. Niewiadomska-Marko Izabela	lekarz	Opole	36. Weber Tomasz	prac. nauk. WSP	Wrocław
32. Pankiewicz Joanna	prawnik	Opole	Zmarł: Rospond Władysław (wiceprezes)		

Oddział PTT w Ostrzeszowie

Działalność Oddziału ukierunkowana była głównie na prowadzenie schroniska „Chyż u Bacy”. Z udziałem wszystkich chętnych osób przebywających w Chyży przeprowadzono szereg prac remontowo-modernizacyjnych. W Chyży zorganizowano szereg spotkań o charakterze towarzyskim jak Sylwester, Wawrzyńcowe Hudy, Andrzejki. W czasie ferii zimowych 1992 roku zorganizowano zabawę zimową na śniegu pod nazwą Wszechświatowa Olimpiada Zimowa Młoda Hora '92, a w sezonie zimowym 1993, w oparciu o zbudowany przy Chyży 350-metrowy wyciąg narciarski, prowadzono naukę jazdy na nartach. Odbywano również wycieczki narciarskie w okolice Młodej Hory. Chyż stanowił bazę dla wycieczek młodzieżowych. Oddział był współorganizatorem zajęć terenowych kursu dla przodowników turystyki górskiej organizowanego przez Wojewódzką KTG PTTK z Poznania.

Oddział nawiązał ścisłą współpracę z Zarządem Żywieckiego Parku Krajobrazowego. Zorganizowano Punkt Informacyjny Parku w Chyży. W Chyży gromadzone są zbiory Biblioteki Górskiej i zbiory etnograficzne z okolic Młodej Hory.

Bywalcy Chyży pomagali mieszkańcom przysiółka w wielu pracach, przyczyniło się to do wzajemnego poznania i zacieśnienia bliskich więzów z tubylcami. Schronisko było otwarte dla wszystkich, nie tylko członków PTT i wszyscy byli wciągani w podejmowane inicjatywy.

Z kolei pomagano innym schroniskom. W lipcu 1992 grupa z Ostrzeszowa, w czasie pobytu na Polanie Chochołowskiej, wykonała społecznie pewne prace dla tamtejszego schroniska. Akcja została powtórzona w 1993 r.

Działalność górską Oddziału nie ograniczała się jedynie do okolic Chyży, odwiedzano również inne grupy górskie, także na Słowacji (Mała Fatra).

W Ostrzeszowie odbywały się comiesięczne spotkania Oddziału, a członkowie w ramach składki członkowskiej otrzymywali wydawnictwa PTT: Pamiętnik PTT, Wołanie, Co słychać?, a także Wierchy. Działalność środowiskową prowadziło, skupiające 15 osób, Koło w Odolanowie, kierowane przez Aleksandrę Miądowicz.

19 września 1992 roku odbyło się Walne Zebranie Sprawozdawczo-Wyborcze. Prezesem został nadal Józef Michlik.

W czasie II Zjazdu Delegatów Oddział zorganizował wystawę fotografii górskich Dariusza Wrzalskiego, członka Oddziału.

19 marca 1993 roku w Muzeum Regionalnym w Ostrzeszowie otwarto wystawę „Ostrzeszowianie w Polskim Towarzystwie Tatrzańskim”, zapoznającą z dawnym i obecnym dorobkiem Towarzystwa w miejscowym środowisku. Oddział wydawał biuletyn informacyjny „Ondraszek” jako dodatek do „Co słyszać?”. Zamieszczano informacje o działalności PTT w prasie.

W czerwcu 1993 roku Oddział wziął udział w Dniach Ziemi Ostrzeszowskiej poprzez zorganizowanie wycieczki dla dzieci i młodzieży na Wzgórza Ostrzeszowskie.

Oddział był organizatorem posiedzenia Zarządu Głównego w Chyży w styczniu 1993 roku, po którym odbyła się „Wigilia Mładohorska” połączona z ogólnym składaniem sobie życzeń, kołędowaniem i śpiewaniem innych, znanych ogólnie piosenek.

Utrzymywane są bliskie kontakty z wieloma Oddziałami, których członkowie chętnie odwiedzają Chyżę (Nowy Targ, Nowy Sącz, Chrzanów, Radom, Dęblin, Kraków, Łódź i Poznań) i wspomagają także materialnie jej utrzymanie. Obóz naukowy UAM z Poznania, pod kierunkiem Jerzego Preislera, prowadził badania etnograficzne na Młodej Horze; następnie wydano informator turystyczny.

Aktualny skład Zarządu:

1. Prezes:	Michlik Józef	fizyk, kierownik schroniska	Młoda Hora gm. Ujsoły
2. Wiceprezes:	Majchrzak Andrzej	inżynier	Ostrzeszów
3. Sekretarz:	Golus Jan	mechanik	Ostrzeszów
4. Skarbnik:	Kałwiński Zenon	mechanik	Ostrzeszów
5. Członek Zarządu:	Borowski Tomasz	inżynier	Poznań
6. Członek Zarządu:	Kaczmarek Andrzej	mechanik	Ostrzeszów
7. Członek Zarządu:	Miądowicz Aleksandra	prac. umysł.	Odolanów

Członkowie Oddziału:

8. Apathy Jan	stolarz	Młoda Hora	20. Cudniewicz Tadeusz	gastronom	Ostrzeszów
9. Bacik Irena	inżynier	Ostrzeszów	21. Czubak Ewa	technik	Odolanów
10. Bacik Mariusz	mechanik	Ostrzeszów	22. Drzazga Anna	studentka	Ostrzeszów
11. Banasiak Aleksandra	nauczycielka	Ostrzeszów	23. Drzazga Marek	nauczyciel	Ostrzeszów
12. Banasiak Grzegorz	techn. budowl.	Ostrzeszów	24. Galas Małgorzata	studentka	Kraków
13. Bargenda Leonard	inżynier	Ostrzeszów	25. Galas Monika	studentka	Kraków
14. Bilińska Ewa	nauczycielka	Kraszewice	26. Giel Czesława	ogrodnik	Odolanów
15. Biliński Bogdan	inżynier	Kraszewice	27. Golus Grażyna	ekonomista	Ostrzeszów
16. Bojszcak Aleksandra	uczenica	Ostrzeszów	28. Grabowska Beata	studentka	Poznań
17. Bojszcak Magdalena	uczenica	Ostrzeszów	29. Grabowska Bożena	tokarz	Taczanów
18. Chlebos Agnieszka	studentka	Ostrów Wlkp.	30. Grobelny Bolesław	nauczyciel	Ostrzeszów
19. Chorowska Barbara	studentka	Suchy Las	31. Grochowski Adam	technik	Odolanów

32. Gruszka Maria	technik	Ostrów Wlkp.	75. Nowak Mariusz	uczeń	Brzeg Dln.
33. Homieja Andrzej	uczeń	Ostrzeszów	76. Nowak Włodzimierz	elektryk	Ostrzeszów
34. Idczak Tomasz	student	Grabów	77. Olejniczak Wojciech	mechanik	Ostrzeszów
35. Janicki Krzysztof	technik	Ostrów Wlkp.	78. Owoc Danuta	laborantka	Ostrzeszów
36. Janicki Marian	ekonomista	Odolanów	79. Owoc Ireneusz	mechanik	Ostrzeszów
37. Jankowiak Stanisława	fizyk	Ostrzeszów	80. Pajak Dariusz	elektromonter	Katowice
38. Jankowiak Zbigniew	ekonomista	Ostrzeszów	81. Pawlak Paweł	mechanik	Ostrzeszów
39. Jendrzeczak Mariusz	elektromonter	Katowice	82. Pawlak Wioletta	pielęgniarka	Ostrzeszów
40. Jurkiewicz Józef	ekonomista	Kalisz	83. Paech Izabela	studentka	Poznań
41. Kaczmarek Janina	laborantka	Ostrzeszów	84. Piotrowski Stanisław	nauczyciel	Poznań
42. Kaczmarek Lech	ekolog	Poznań	85. Pisulla Jacek	nauczyciel	Ostrzeszów
43. Kałużna Iwona	studentka	Katowice	86. Plotkowiak Katarzyna	pielęgniarka	Poznań
44. Kapelańczyk Maria	nauczycielka	Ostrzeszów	87. Rybczyńska Danuta	ekonomista	Kalisz
45. Karasińska Małgorzata	inżynier	Ostrzeszów	88. Rzepecka Mirosława	mgr turystyki	Ostrzeszów
46. Kasprzyk Wojciech	elektromonter	Piekary Śląskie	89. Sajdak Beata	nauczycielka	Ostrzeszów
47. Kiek Hanna	ekonomista	Bytom	90. Sauer Paweł	technik	Ostrzeszów
48. Kodyniak Anna	studentka	Poznań	91. Siakowska Teresa	nauczycielka	Ostrów Wlkp.
49. Koniarska Tatiana	uczennica	Mikolów	92. Spychalski Dariusz	ekonomista	Antonin
50. Kowalczykiewicz Leon	ekonomista	Pleszew	93. Stankiewicz Wojciech	inżynier	Poznań
51. Krenc Małgorzata	ekonomista	Odolanów	94. Stekliński Jan	technik	Bielsko-Biała
52. Krowicki Andrzej	nauczyciel	Ostrzeszów	95. Stempkiewicz Urszula	technik	Ostrzeszów
53. Król Ludwik	ekonomista	Ostrzeszów	96. Stobrala Zenon	nauczyciel	Ostrzeszów
54. Kucharski Wojciech	inżynier	Poznań	97. Suliga Aleksandra	uczennica	Mikolów
55. Kuzaj Stanisław	technik	Ostrzeszów	98. Szewczyk Anna	nauczycielka	Ostrzeszów
56. Lampasiak Grzegorz	leśnik	Bystrzyca Kł.	99. Szczypkowska Jolanta	sprzedawca	Antonin
57. Lesiak Anna	uczennica	Czajków	100. Sztajgłi Marek	uczeń	Mikolów
58. Lewek Zenon	inżynier	Ostrzeszów	101. Szulc Barbara	laborantka	Wałbrzych
59. Libudziec Stefania	mechanik	Ostrzeszów	102. Śniatacz Józef	mechanik	Ostrzeszów
60. Linkowski Wojciech	biolog	Ostrzeszów	103. Śniągł Wanda	technik	Ostrów Wlkp.
61. Litwinowicz Mirosław	ksiądz	Poznań	104. Świdowicz Mirosława	ekonomista	Pleszew
62. Łagodzińska Małgorzata	elektryk	Poznań	105. Tomczak Jan	strażnik	Jarocin
63. Maciejewska Elżbieta	nauczycielka	Odolanów	106. Tomczak Piotr	stolarz	Niedźwiedź
64. Majchrzak Grażyna	technik	Ostrzeszów	107. Tomczak Urszula	krawcowa	Jarocin
65. Matuszczak Andrzej	meliorant	Ostrów Wlkp.	108. Wawrzyniak Aleksandra	studentka	Kazimierz
66. Miądowicz Bogusława	uczennica	Odolanów			Biskupi
67. Miądowicz Kamila	uczennica	Odolanów	109. Weindich Liliana	magazynier	Bytom
68. Michalak Alina	nauczycielka	Ostrzeszów	110. Wiertlak Krystyna	rolnik	Odolanów
69. Michalak Tomasz	mechanik	Ostrzeszów	111. Wiktor Krzysztof	jubiler	Kraków
70. Michlik Anna	nauczycielka	Ostrzeszów	112. Wiśniewska Paulina	nauczycielka	Poznań
71. Michlik Małgorzata	studentka	Szamotuły	113. Wrzański Dariusz	mechanik	Ostrzeszów
72. Michlik Roman	inżynier	Ostrów Wlkp.	114. Żurkiewicz Stanisław	inżynier	Krotoszyn
73. Morek Przemysław	nauczyciel	Ostrzeszów			
74. Nowak Ewa	ekonomista	Ostrzeszów	Zmarli:	Brożek Dorota	

Oddział PTT w Oświęcimiu

Rozpoczęto intensywną działalność turystyczną zaraz po powołaniu Oddziału 30 marca 1992 roku. Pierwszą wycieczkę odbyto już w dniach 3-5 kwietnia 1992 roku w okolicy Zwardonia. Prawie co tydzień organizowano wycieczki w Beskid Mały, Żywiecki i Pieniny. W czasie wakacji miały miejsce wycieczki na Babią Górę i Pilsko z noclegami na szczytach. W dniach 8-15 sierpnia 1992 r. zorganizowano obóz w słowackich Tatrach Wysokich.

W sezonie zimowym organizowano wyjazdy narciarskie.

Działalności Oddziału sprzyja proboszcz parafii św. Maksymiliana w Oświęcimiu ks. Stanisław Górny, który dał do dyspozycji lokal na comiesięczne spotkania Oddziału, a także miejsce w gablocie na ogłoszenia. W czasie spotkań, które są otwarte dla zainteresowanych spoza PTT, odbywają się odczyty o tematyce górskiej i pokazy przeźroczy.

Prezes Czesław Klimczyk czuwa nad całokształtem działalności pozostawiając inicjatywę innym. Tak więc trasy wycieczek projektuje Michał Myśliwiec, foto-reportażem zajmuje się Ryszard Wilczak, kronikę prowadzi Ewa Wilczak, a oprawę muzyczną — Anna Porębska, Renata Klimowicz i Katarzyna Kupiec. Jako imprezę towarzyską Oddziału zorganizowano Dzień Kupały 24 czerwca 1992 roku.

Aktualny skład Zarządu:

1. Prezes:	Czesław Klimczyk	plastyk	Oświęcim
2. Wiceprezes:	Paweł Adamek	uczeń	Oświęcim
3. Sekretarz:	Tatiana Wilczak	uczennica	Oświęcim
4. Skarbnik:	Anna Strama	techn. ekonomista	Oświęcim
5. Kom. rewizyjna:	Maria Kramarczyk	nauczyciel	Oświęcim
6.	Ewa Wilczak	nauczyciel	Oświęcim

Członkowie Oddziału:

7. Bartyzel Bartosz	uczeń	Oświęcim	21. Mycek Zofia	chemik	Oświęcim
8. Bartyzel Wiesław	inż. mech.	Oświęcim	22. Myśliwiec Michał	student	Oświęcim
9. Borowska-Górka Danuta	bibliotekarz	Oświęcim	23. Pawłowski Marek	rencista	Kalwaria Zebrzyd.
10. Chowaniec Andrzej	techn. mech.	Oświęcim	24. Piekut Hanna	nauczyciel	Oświęcim
11. Gawron Renata	techn. ekonom.	Oświęcim	25. Porębska Anna	bibliotekarz	Oświęcim
12. Górka Grzegorz	lekarz	Oświęcim	26. Rumak Adam	elektromonter	Oświęcim
13. Graff Jan	chemik	Oświęcim	27. Rzepa Kazimierz	mgr inż.	Oświęcim
14. Klimczyk Iwona	studentka	Oświęcim	28. Rzepa Małgorzata	uczennica	Oświęcim
15. Klimowicz Renata	fizjoterapeuta	Oświęcim	29. Smoleń Wojciech	student	Oświęcim
16. Kramarczyk Ewa	uczennica	Oświęcim	30. Strumińska Agnieszka	uczennica	Oświęcim
17. Kramarczyk Magdalena	uczennica	Oświęcim	31. Trzop Brygida	nauczyciel	Oświęcim
18. Kramarczyk Piotr	uczeń	Oświęcim	32. Wilczak Przemysław	uczeń	Oświęcim
19. Kupiec Katarzyna	uczennica	Oświęcim	33. Wilczak Ryszard	elektromonter	Oświęcim
20. Michałek Mariusz	elektromonter	Oświęcim	34. Wyrobek Agnieszka	studentka	Myślenice

Oddział PTT w Poznaniu

Oddział kontynuował i rozwijał swą dotychczasową działalność. W lecie 1992 roku, przy współudziale AKG „Ornak” i Klubu Górskiego „Dziabadło”, zorganizowano obozy w Tatrach, Beskidach i Bieszczadach. W sezonie zimowym

odbyły się obozy narciarskie w Zakopanem i Bukowinie Tatrzańskiej. Łącznie w obozach uczestniczyło 115 osób. W ciągu roku organizowano niedzielne wycieczki po Wielkopolskim Parku Narodowym i w okolice Poznania; wzięło w nich udział ok. 215 osób. Klub Górski „Dziabadło” zorganizował zawody skałkowe. Odbyły się konkursy wiedzy o Tatrach i innych górach Polski oraz wystawy fotograficzne o tematyce górskiej. Organizowano giełdy turystyczne. Wraz z Pracownią Organizacji Turystyki UAM zorganizowano sympozjum nt. „Młoda Hora a Żywiecczyzna”, wydano informator turystyczny nt. Młodej Hory, zorganizowano wystawę pt. „Poznań nieznaną”.

Kontynuowano współpracę z TPN, kierownictwem schroniska „Ornak”. Oddziałem Poznańskim Związku Podhalan, biorąc udział w posiadach Oddziału. W 1992 roku nawiązano współpracę z Wielkopolskim Parkiem Narodowym, Domem Ludowym w Bukowinie Tatrzańskiej, Klubem Sudeckim PTTK w Poznaniu oraz Akademickim Klubem Ekologicznym przy NZS UAM.

W czerwcu 1993 roku obóz studencki pod kierownictwem Jerzego Preislera przeprowadził weryfikację wszystkich szlaków turystycznych w Tatrach Polskich i przygotował raport o ich stanie dla Dyrekcji TPN.

Trwają przygotowania do sympozjum nt. Kantak — życie i działalność oraz starania zmierzające do odnowienia tablicy Kantaka w Dolinie Kościeliskiej. Regularnie ukazywał się biuletyn Oddziału „Świstak”.

23 listopada 1992 roku odbyło się Walne Zgromadzenie Sprawozdawczo-Wyborcze Oddziału. Wybory nie przyniosły wielkich zmian w składzie Zarządu, prezesem pozostał nadal Jerzy Preisler.

Aktualny skład Zarządu:

1. Prezes:	Preisler Juliusz Jerzy	nauczyciel akadem.	Poznań
2. Wiceprezes:	Kostrzewski Andrzej	geograf	Poznań
3. Sekretarz:	Rachlewicz Grzegorz	geograf	Poznań
4. Skarbnik:	Filarowska Halina	ekonomista	Poznań
5. Członek Zarządu:	Cudera Leszek	inż. elektryk	Poznań
6. Członek Zarządu:	Lesiczka Leszek	geograf	Poznań
7. Członek Zarządu:	Snuszka Halina	ekonomista	Poznań
8. Członek Zarządu:	Zwoliński Zbigniew	geograf	Poznań

Członkowie Oddziału:

9. Bartoszewski Witold	inż. mech.	Poznań	16. Brzeziński Jerzy	psycholog	Poznań
10. Biskup Barbara			17. Brzostkowska Alina	filolog	Poznań
11. Biskup Dorota			18. Chruścička-Woś Wioletta	psycholog	Luboń
12. Bogucka Zdzisława	pielęgniarka	Września	19. Chudy Jarosław	techn. elektronik	Poznań
13. Borkowska Małgorzata	technolog żywienia	Poznań	20. Chwalisz Zbigniew		Poznań
14. Borkowski Marek	technolog żywienia	Poznań	21. Cieklińska Lucyna		Świnoujście
15. Brzeziński Jan Krzysztof	inż. mech.	Poznań	22. Ciekliński Piotr	makler okrętowy	Świnoujście

23. Ciesielski Bogumił	geolog	Poznań	78. Machowska Grażyna	psycholog	Poznań
24. Czarnecka Leopolda	śpiewaczka	Poznań	79. Machowski Jarosław	mgr inż. ogrodnik	Poznań
25. Czerniak-Gacka Elżbieta	ekonomista	Gdynia	80. Magdziarek Marcin	uczeń	Poznań
26. Czubernat Stanisław	leśnik	Zakopane	81. Malecki Grzegorz	elektryk	Poznań
27. Dębska Elżbieta	lekarz	Poznań	82. Marchwicka Danuta	mgr inż. bud.	Poznań
28. Dębski Janusz	inż. mech.	Murówna	83. Marcinkowski Bogdan	inżynier	Poznań
		Goślina	84. Maruszewski Tomasz	psycholog	Poznań
29. Dohnal Jarosław Maciej	zootechnik	Poznań	85. Matuszewska Krystyna	studentka	Poznań
30. Dolata Wanda	tech. budowl.	Poznań	86. Matyja Aleksander	księgarz	Poznań
31. Dorozalski Grzegorz	prawnik	Poznań	87. Mazurczak Witold	historyk	Poznań
32. Dudzińska Iwona	muzyk	Poznań	88. Miazek Ireneusz	spawacz	Lubon
33. Dudziński Edmund	inż. roln.	Poznań	89. Michałowski Kornel	muzykolog	Poznań
34. Falkiewicz Barbara		Puszczekowo	90. Michałowski Rafał	geograf	Poznań
35. Fechner Barbara	chemik	Poznań	91. Mikolajczak Jarogniew	muzyk	Poznań
36. Fechner Ireneusz	mgr inż. mech.	Poznań	92. Miłkowska Iwona	chemik	Poznań
37. Fieske Beata		Poznań	93. Miłkowska Monika	tech. wystaw.	Poznań
38. Fieske Włodzimierz	techn. mech.	Poznań	94. Mniszak Zenon	informatyk	Poznań
39. Frajtąg Andrzej	techn. elektr.	Poznań	95. Nabziyk Agnieszka	uczeń	Poznań
40. Godyński Julian	inż. elektr.	Mosina	96. Nabziyk Jacek	inż. budowl.	Poznań
41. Górka Aleksandra	studentka	Śrem	97. Nabziyk Piotr	uczeń	Poznań
42. Gorynia Alina		Poznań	98. Naskręć Jerzy	inż. budown.	Śrem
43. Gorynia Anna	uczenica	Poznań	99. Naskręć Piotr	uczeń	Śrem
44. Gorynia Zenon	posadzkarz	Poznań	100. Niedzielski Janusz	informatyk	Śrem
45. Grzegorzczak Krzysztof	inż. elektr.	Mosina	101. Nowak Witold	chórzysta	Poznań
46. Grzondziel Anna	chemik	Poznań	102. Nowicki Jerzy	inż. elektr.	Jarocin
47. Heydel Andrzej		Poznań	103. Ogrodowczyk Jan	informatyk	Poznań
48. Hoppel Andrzej	uczeń	Poznań	104. Olejnik Zdzisław	hydrogeolog	Poznań
49. Jaskuła Marian	technik	Poznań	105. Pawlak Zdzisław	inż. elektr.	Poznań
50. Jeneralczyk-Zielonka Hanna	geograf	Poznań	106. Piechowiak Marzenna	nauczyciel	Poznań
51. Jeż Jan		Poznań	107. Pisarska Barbara	radca prawny	Poznań
52. Józwiak - Bartoszczyńska Jolanta	etnograf	Poznań	108. Pisarski Wojciech	mechanik	Poznań
53. Jurczykowski Tomasz	elektr. automat.	Poznań	109. Plewczyńska Ewa	pedagog	Poznań
54. Kiciński Piotr	inż. leśnik	Rogoziniec	110. Polaczyk Dorota	studentka	Poznań
55. Kilarski Stanisław Piotr	kelner	Poznań	111. Preisler Michał	geograf	Poznań
56. Kłoczowska Maćkowiak Aleksandra	geograf	Poznań	112. Przymuszała Tadeusz		Leszno
57. Klysz Piotr	geomorfolog	Poznań	113. Rabaska Dorota		Poznań
58. Kolenda Izabela	polonista	Poznań	114. Rachlewicz Janusz	lekarz	Poznań
59. Koralewski Bogdan	techn. drogowy	Poznań	115. Rachlewicz Katarzyna	mgr rehb. ruchu	Poznań
60. Kostrzewski Włodzimierz		Poznań	116. Reich Katarzyna	studentka	Poznań
61. Kowalik Stanisław	psycholog	Poznań	117. Rozmiarek Genowefa	geograf	Poznań
62. Kozik Tomasz	chemik	Poznań	118. Rozumek Wiesław	elektronik	Poznań
63. Kozłowski Jerzy	historyk	Poznań	119. Ruciński Andrzej		Poznań
64. Koźmiński Wiesław Andrzej	inż. komunikacji	Poznań	120. Rućński Kazimierz	inż. rolnik	Poznań
65. Krajna Stanisław	techn. mech.	Poznań	121. Rućński Krzysztof		Poznań
66. Króliewicz Stanisław	student	Pila	122. Rugała Lech	teletechnik	Poznań
67. Królikowski Feliks	nauczyciel	Śrem	123. Rygielski Wiesław	geograf	Poznań
68. Krutel Krzysztof	student	Pila	124. Schramm Ryszard Wiktor	biochemik, em. prof.	Poznań
69. Kubisz Wacław		Poznań	125. Schramm Tomasz	historyk	Poznań
70. Kukorowski Jacek	student	Poznań	126. Sęk Tadeusz	naucz. akadem.	Poznań
71. Kundegórski Marek	inż. mech.	Poznań	127. Siaba Eugenia	techn. ekonomista	Poznań
72. Kurek Krzysztof	frezer	Buk	128. Sprutta Mariusz Stefan	student	Wągrowiec
73. Laurentowski Witold	technik	Puszczekowo	129. Stachowiak Bronisława	techn. ekonomista	Poznań
74. Lisiński Stanisław	socjolog	Poznań	130. Stawski Marek	student	Poznań
75. Loks-Matyja Stanisława	filolog	Poznań	131. Stengert Jan	inż. budown.	Poznań
76. Lorkiewicz Andrzej	stomatolog	Grodzisk Wlkp.	132. Szymankiewicz Zenon	inżynier	Poznań
77. Mechalska Hanna	studentka	Poznań	133. Tamulewicz Jan	geograf	Puszczekowo
			134. Tomczak Andrzej	nauczyciel	Grodzisk Wlkp.
			135. Turek Teodora	nauczycielka	Poznań
			136. Turek Władysław	inż. rolnik	Poznań
			137. Unolt Jerzy	ekonomista	Poznań
			138. Walny Marian	inż. inform.	Wiry

139. Waraczyński Wojciech	student	Poznań	144. Żebrun Eugeniusz		Poznań
140. Wichlacz Andrzej	chemik	Poznań	145. Żebrun Jakub Jan	uczeń	Poznań
141. Wojtkowiak Małgorzata	ekonomista	Poznań	146. Zielonka Ryszard	monter telekom.	Poznań
142. Wojtkowiak Przemysław	inż. elektr.	Poznań	147. Zwolińska Urszula	geograf	Poznań
143. Wypijewski Tomasz	ekonomista	Poznań			

Oddział PTT w Radomiu

Działające na terenie Dębłina koła PTT podjęły inicjatywę usamodzielnienia się. Przeprowadzono ankietę wśród członków, 39 osób na 40-stu ankietowanych wypowiedziało się za utworzeniem samodzielnego Oddziału w Dęblinie. 17 grudnia 1992 roku z udziałem Prezesa R-D O/PTT Stanisława Kroka odbyło się zebranie założycielskie Oddziału i wybory jego władz. Decyzja usamodzielnienia się została zaakceptowana przez Zarząd Oddziału Radomsko-Dęblińskiego, a następnie przez uchwałę Zarządu Głównego PTT.

Natomiast nie odbyło się jeszcze zebranie sprawozdawczo-wyborcze Oddziału w Radomiu i działa tam dotychczasowy Zarząd Oddziału Radomsko-Dęblińskiego. Ze składu zarządu ustąpił Janusz Smolka.

Na terenie Radomia działają aktywnie dwa Koła: Koło PTT PAX, prowadzone przez Janusza Smolkę i Koło Akademickie PTT na WSI, prowadzone przez Adama Lisicę.

Działalność Koła PTT PAX prowadzona jest równoległe z działalnością Koła PTTK, Oddziałem Towarzystwa Przyjaciół Orawy i Kołem Hubalczyków. Ma to swoje dobre i złe strony, szereg imprez organizowanych jest wspólnie jak np. ostatni Rajd Szlakami Kurierów Polski Pdzimnej w Bieszczadach w czerwcu 1993 roku; zaciera się jednak przy tym sam wizerunek PTT.

Koło Akademickie PTT przy WSI organizowało wielodniowe wędrowki górskie po Beskidach i Tatrach oraz jednodniowe wycieczki w Góry Świętokrzyskie i do Puszczy Kozienickiej. W lecie 1992 roku dr Ryszard Świetlik, w uzgodnieniu z Dyrekcją TPN, zorganizował wyprawę naukową w Tatry z grupą 9-ciu studentów. W czasie wyprawy dokonano analizy chemicznej wód z jezior i potoków Tatr Wysokich badając zakwaszenie i zanieczyszczenie metalami ciężkimi. W lipcu 1992 roku zorganizowano także obóz wspinaczkowy w Rzędkowicach prowadząc na nim szkolenie taternicze. Odbył się tygodniowy wyjazd na Orawę z udziałem 14 osób. Na przełomie roku zorganizowano obóz narciarski na Młodej Horze. Co miesiąc odbywają się spotkania klubowe z programem, o charakterze otwartym; w programie są zagadnienia metodyki turystyki górskiej i zasad bezpieczeństwa, relacje z wyjazdów ilustrowane przezroczami, prezentowane są gawędy góralskie, proza i poezja związana z górami.

Koło Szkolne przy I Społecznym LO rozpada się, obóz wędrowny w Beskidzie Żywieckim nie osiągnął zamierzonych rezultatów. Podobnie, po odejściu maturzystów w 1992 roku, zaprzestało działalności Koło PTT przy Internacie w Białobrzegach.

Oddział PTT w Radomiu nadal współpracuje blisko z Oddziałem PTT w Skarżysku-Kamiennej, kolejne trzecie już spotkanie odbyło się 16 kwietnia 1993 roku. Oba Oddziały łączą krytyczny stosunek do pracy Zarządu Głównego.

Prezes Oddziału Stanisław Krok wydaje biuletyn wyrażający poglądy Zarządu Oddziału lub jego własne, w którym rozpracowuje różne zagadnienia jak: kadra programowa PTT i jej szkolenie, reaktywowanie GOT PTT, deklaracja programowa Oddziału. Uruchomił produkcję legitymacji PTT dla całego Towarzystwa. Wydał kilka skryptów do szkolenia narciarskiego i alpinistycznego oraz zbiór dokumentów i pamiętników z dotychczasowej działalności Radomsko-Dęblińskiego Oddziału PTT.

Oddział był organizatorem IX Ogólnopolskiego spotkania Oddziałów PTT w Górach Świętokrzyskich w czerwcu 1992 roku.

Aktualny skład Zarządu:

1. Prezes:	Krok Stanisław	emeryt WP	Radom
2. Wiceprezes:	Kwiatkowski Zygmunt	nauczyciel	Radom
3. Skarbnik:	Mazur Tomasz	nauczyciel akad.	Radom
4. Członek Zarządu:	Kurkowski Czesław	emeryt	Radom
5. Członek Zarządu:	Lisica Adam	nauczyciel akad.	Radom
6. Członek Zarządu:	Osika Agata	plastyk	Dęblin
7. Członek Zarządu:	Walczuk Janusz	oficer WP	Dęblin

Członkowie Oddziału:

8. Andrzejczak Andrzej	prezes	Radom	25. Galecka Joanna	uczennica	Radom
9. Batkowski Jan	historyk sztuki	Radom	26. Gawroński Michał	naucz. akadem.	Radom
10. Bieńkowski Lech	techn. budowl.	Radom	27. Gębska Anna	uczennica	Radom
11. Borowik Robert	student	Radom	28. Gniadek Tomasz	techn. garbarz	Radom
12. Bujak Krzysztof	uczeń	Radom	29. Golus Janina	technik	Radom
13. Bujak Marek	technik	Radom	30. Golus Marian	technik	Radom
14. Burchard Kazimierz	inżynier	Radom	31. Gołębowska Danuta	prac. fiz.	Radzymin
15. Cerfass Anna	wspinacz przem.	Radom	32. Górka Bogumił	naucz. akadem.	Radom
16. Cerfass Radosław	wspinacz przem.	Radom	33. Grzeźlukowski Adam	student	Radom
17. Dąbrowska Magdalena	nauczycielka	Radom	34. Heczkowski Marcin	student	Otwock
18. Deja Józef	naucz. akadem.	Radom	35. Hernik Aneta	uczennica	Radom
19. Dobrzański Rafał	uczeń	Ząbki	36. Jarosik Justyna	studentka	Radom
20. Domańska Rebata	uczennica	Radom	37. Jasiński Jacek	uczeń	Radom
21. Domańska Sylwia	uczennica	Radom	38. Jędrasiewicz Aneta	uczennica	Radom
22. Erd Andrzej	naucz. akadem.	Radom	39. Keczor Tadeusz	naucz. akadem.	Radom
23. Gac Agnieszka	ekonomista	Radom	40. Kaim Piotr	kierowca	Radom
24. Galas Zdzisław	żołnierz zaw.	Radom	41. Kamienik Tomasz	mech. sam.	Radom

42.	Karcz Piotr	uczeń	Radom	85.	Rogowski Piotr	uczeń	Radom
43.	Kluczny Czesław	techn. mech.	Gliwice	86.	Rogowski Tomasz	uczeń	Radom
44.	Kmiotek Justyna	uczennica	Radom	87.	Rudnicki Zbigniew	student	Radom
45.	Kopania Mirosław	student	Ostróda	88.	Rybiński Robert	uczeń	Radom
46.	Korcza Tomasz	nauczyciel	Radom	89.	Sasin Robert	student	Radom
47.	Kosma Zbigniew	naucz. akadem.	Radom	90.	Sidorko Paweł	uczeń	Radom
48.	Kostrzewska Kinga	uczennica	Radom	91.	Sielicka Joanna Marta	ekonomista	Marki
49.	Kowal Małgorzata	nauczycielka	Radom	92.	Sielicki Ireneusz Witold	mechanik	Marki
50.	Kowalik Marek	historyk	Radom	93.	Sikora Małgorzata	ekonomista	Radom
51.	Krawczyk Artur	student	Radom	94.	Skora Wojciech	student	Skarżysko Kam.
52.	Krawczyk Karolina	uczennica	Radom	95.	Skalska Katarzyna	ekonomista	Radom
53.	Krok Anna	naucz. akadem.	Radom	96.	Skałbani Grzegorz	uczeń	Radom
54.	Krok Tomasz	nauczyciel	Kraków	97.	Skoczylas Marek	nauczyciel	Radom
55.	Kruszyński Jerzy	lekarz	Radom	98.	Smolka Beata	nauczycielka	Radom
56.	Krzętowska Krystyna	naucz. akadem.	Radom	99.	Smolka Janusz	nauczyciel	Radom
57.	Kubacka Jolanta	prac. socjalny	Chełmno	100.	Stachoń Grażyna	ekonomista	Radom
58.	Kurowski Janusz	mechanik	Knurów	101.	Suchodolski Krzysztof	energetyk	Radom
59.	Kwil Marcin	uczeń	Białobrzegi	102.	Suwala Tomasz	techn. mech.	Radom
60.	Kwil Urszula	nauczycielka	Białobrzegi	103.	Szczyński Marek	uczeń	Radom
61.	Kwil Stefan	weterynarz	Białobrzegi	104.	Szewczyk Dariusz	uczeń	Radom
62.	Leszczyńska Danuta	technik	Radom	105.	Szyrowski Marcin	techn. samoch.	Radom
63.	Lisica Marcin	student	Radom	106.	Szymański Kazimierz	inżynier	Radom
64.	Lukasiewicz Jadwiga	techn. analityk	Radom	107.	Świadek Leszek	górnik	Knurów
65.	Łukasiewicz Mariusz	student	Radom	108.	Świętojański Czesław	inż. elektr.	Radom
66.	Marek Krzysztof	mechanik	Leszczyny	109.	Świętojański Przemysław	uczeń	Radom
67.	Mazur Elżbieta	nauczycielka	Radom	110.	Świerczkowska Ewa	ekonomista	Radom
68.	Mazur Iwona	nauczycielka	Radom	111.	Świtlik Ryszard	naucz. akadem.	Radom
69.	Mazur Tomasz	naucz. akadem.	Radom	112.	Tomczyk Agnieszka	naucz. akadem.	Radom
70.	Mastalerz Jacek	monter	Radom	113.	Tomczyk Beata	uczennica	Radom
71.	Mączyńska Alina	chemik	Radom	114.	Taraś Zygmunt	elektroenergetyk	Radom
72.	Mikos Maciej	student	Radom	115.	Tarasiewicz Anna	uczennica	Radom
73.	Misterkiewicz Elżbieta	nauczycielka	Radom	116.	Tumidajowicz Stanisław	górnik	Gliwice
74.	Misterkiewicz Bogusław	naucz. akadem.	Radom	117.	Turecka Wiesław	nauczycielka	Radom
75.	Murawski Józef	nauczyciel	Radom	118.	Utkowska Ewa	ekonomista	Radom
76.	Osiński Kazimierz	student	Radom	119.	Wieczorek Piotr	uczeń	Radom
77.	Parczewski Jan	naucz. akadem.	Radom	120.	Woś Agnieszka	nauczycielka	Radom
78.	Pawelczyk Aneta	studentka	Radom	121.	Wypych Jolanta	bibliotekarka	Radom
79.	Pawelczyk Włodzimierz	nauczyciel	Radom	122.	Zajac Dariusz	uczeń	Radom
80.	Pawłowski Marian Marek	rencista	Marki	123.	Zajac Leszek	techn. mech.	Rybnik
81.	Perczak Tadeusz	prawnik	Radom	124.	Zarzycki Henryk	inżynier	Radom
82.	Pokrowski Henryk	fotograf	Radom	125.	Zgorzelak Wojciech	student	Radom
83.	Posuniak Rafał	uczeń	Radom	126.	Zwierzynska Bożena	pielęgniarka	Radom
84.	Rogala Piotr	tech. mech. sam.	Nadziejów k/Niekłania				

Oddział PTT w Skarżysku-Kamiennej

Zorganizowano 26 wycieczek weekendowych po Wyżynie Kielecko-Sandomierskiej, 2-tygodniowe wycieczki górskie, 1-tygodniową wycieczkę rowerową i 6 spotkań świetlicowych. Ponadto członkowie Oddziału odbyli szereg indywidualnych wycieczek górskich. Dla młodzieży szkolnej organizowano wycieczki i odczyty oraz — wspólnie z PTTK — turniej krajoznawczy i zjazd. Wysłano

szereg pism interwencyjnych w sprawie ochrony przyrody i swobody wędrowania. Współpracowano z Oddziałem Radom. Podpisano porozumienie o współpracy ze Świętokrzyskim Parkiem Narodowym.

W 1992 r. odeszło z Oddziału 7 osób. Przewiduje się dalsze odejścia.

W dniu 16.12.1992 odbyło się Walne Zgromadzenie Członków Oddziału, na którym wybrano nowe władze.

Aktualny skład Zarządu:

1. Prezes:	Stanik Tadeusz	inż. elektryk	Skarżysko-Kamienna
2. Wiceprezes:	Śliwiński Edward	techn. energ.	Skarżysko-Kamienna
3. Sekretarz:	Puchta Walerian	inż. chemik.	Skarżysko-Kamienna
4. Skarbnik:	Jankowska Monika	prac. socjalny	Skarżysko-Kamienna
5. Członek Zarządu:	Glinka Jadwiga	ekonomistka	Skarżysko-Kamienna
6. Członek Zarządu:	Kubiakowska Elżbieta	ekonomistka	Skarżysko-Kamienna
7. Członek Zarządu:	Puchta Marek	fizyk	Skarżysko-Kamienna
8. Członek Zarządu:	Rzuchowski Grzegorz	techn. mech.	Skarżysko-Kamienna

Członkowie Oddziału:

9. Adamiec Krzysztof	uczeń	Suchedniów	26. Lenard Anna	nauczycielka	Skarżysko-Kam.
10. Bialkowski Jacek	inż. org. przem.	Skarżysko-Kam.	27. Lenard Dariusz	techn. mech.	Skarżysko-Kam.
11. Brzezińska Janina	techn. chem.	Skarżysko-Kam.	28. Łubek Henryk	inż. mech.	Skarżysko-Kam.
12. Czernilewski Aleksander	techn. mech.	Skarżysko-Kam.	29. Mrozicki Jacek	inż. mech.	Skarżysko-Kam.
13. Czernilewska Krystyna	ekonomista	Skarżysko-Kam.	30. Oliński Włodzimierz	magazynier	Skarżysko-Kam.
14. Dubiel Zbigniew	inż. chem.	Skarżysko-Kam.	31. Płader Anna	ekonomista	Skarżysko-Kam.
15. Galuba Gabriela	uczennica	Skarżysko-Kam.	32. Płader Lidia	techn. biomech.	Skarżysko-Kam.
16. Glinka Tadeusz	przedsiębiorca	Skarżysko-Kam.	33. Pótorak Anna	nauczycielka	Skarżysko-Kam.
17. Glinka Zofia	nauczycielka	Skarżysko-Kam.	34. Pótorak Waldemar	techn. elektr.	Skarżysko-Kam.
18. Górski Andrzej	inż. elektryk	Radom	35. Przybyłko Wiesław	techn. energ.	Warszawa
19. Górka Ewa	inż. elektr.	Radom	36. Puchta Maria	nauczycielka	Skarżysko-Kam.
20. Jelonek Michał	student	Kielce	37. Pytlasińska Urszula	inż. elektr.	Skarżysko-Kam.
21. Kalabun Jolanta	techn. mech.	Elbląg	38. Rot Zbigniew	mechanik	Skarżysko-Kam.
22. Kowacz Jan	uczeń	Suchedniów	39. Różycki Marek	student	Skarżysko-Kam.
23. Krogulec Zofia	techn. mech.	Skarżysko-Kam.	40. Rymarczyk Anna	nauczycielka	Skarżysko-Kam.
24. Kwapiszewska Jolanta	nauczycielka	Skarżysko-Kam.	41. Swat Jan	telemonter	Skarżysko-Kam.
25. Kwapiszewski Witold	techn. elektr.	Skarżysko-Kam.	42. Swat Lidia	prac. adm.	Skarżysko-Kam.
			43. Szlączak Barbara	farmaceuta	Skarżysko-Kam.
			44. Świerczyński Tomasz	ekonomista	Skarżysko-Kam.
			45. Włodarczyk Jan	inż. mech.	Skarżysko-Kam.
			46. Zmijewski Rafał	uczeń	Paruszów

Oddział PTT w Warszawie

Warszawski Oddział PTT wynajmuje lokal w Warszawskim Domu Kultury przy ul. Elektoralnej 12, w którym w pierwszy i trzeci czwartek miesiąca w godz. 17⁰⁰-19⁰⁰, odbywają się regularne spotkania członków oraz dyżury i okresowe zebrania Zarządu.

Podczas spotkań członkowie Koła lub zapraszani prelegenci spoza członków (pracownicy instytutów naukowych, członkowie PZA i PKG) wygłaszają prelekcje ilustrowane przezroczami, związane z tematyką górską. Do najciekawszych tematów prezentowanych w ostatnim okresie można zaliczyć: „Jak powstały góry”, „Góry Ałtaju Gobijskiego”, „Panorama Alp Szwajcarskich z Rygi” (ref. J. Lefeld), „Góry Kamczatki” (ref. M. Malinowski), „Góry Płd. Norwegii”, „Japonia i góra Fudzi”, „Przełęcz Wysokich Tatr Słowackich” (ref. T. Gutry), „Reakcje organizmu człowieka na dużych wysokościach” (ref. A. Okińczyc). Wygłaszano także prelekcje szkoleniowo-poglądowe związane z Tatrami Polskimi.

Przed Wigilią Bożego Narodzenia 1992 r. zorganizowano tradycyjnie uroczysty Oplątek w siedzibie Koła.

Niezależnie od odczytów, członkowie Koła spotykają się okresowo w soboty na wycieczkach do Puszczy Kampinowskiej oraz dwa razy w roku na wspólnym wyjeździe w Tatry – w jesieni i na wiosnę.

Aktualny skład Zarządu:

1. Prezes:	Jerzy Lefeld	geolog	Warszawa
2. Z-ca Prezesa:	Wanda Borzemska	lek. weterynarii	Warszawa
3. Sekretarz:	Hanna Charazińska	prac. umysł.	Warszawa
4. Skarbnik:	Robert Kamiński	zaopatrzenowiec	Warszawa
5. Członek Zarządu:	Barbara Mazurkiewicz	inżynier	Warszawa
6. Członek Zarządu:	Wiesław Furmaniuk	technik	Warszawa
7. Członek Zarządu:	Tomasz Gutry	elektronik	Warszawa

Członkowie Oddziału:

8. Ambroziewicz Paweł	inżynier	Warszawa	30. Nawalany Piotr	technik	Warszawa
9. Bojanowski Jerzy	inżynier	Warszawa	31. Nehring-Lefeld Maria	paleontolog	Warszawa
10. Charazińska Sylwia	uczennica	Warszawa	32. Okińczyc Andrzej	lekarz	Warszawa
11. Chlewicka Inga	lekarz	Warszawa	33. Okińczyc Anna	germanistka	Warszawa
12. Chmielewska Anna	zootechnik	Warszawa	34. Olkuśnik Marek	historyk	Warszawa
13. Dobrzyńska Katarzyna	biolog	Warszawa	35. Rydziński Piotr	inżynier	Warszawa
14. Dobrzyński Waldemar	informatyk	Warszawa	36. Rzepakowski Witold	technik	Warszawa
15. Dziel Danuta	inżynier	Warszawa	37. Sapieryński Mirosław	ekonomista	Warszawa
16. Garińska Romana	inżynier	Warszawa	38. Sikorska Elżbieta	filmoznawca	Warszawa
17. Gariński Marek	inżynier	Warszawa	39. Sikorski Adam	geotechnik	Warszawa
18. Janyszek Aleksander	inżynier	Warszawa	40. Smulikowska Ewa	historyk sztuki	Warszawa
19. Janyszek Barbara	inżynier	Warszawa	41. Sokolowski Andrzej	geolog	Warszawa
20. Jastrzębowski Andrzej	architekt	Warszawa	42. Tawczyński Jerzy	techn. elektronik	Warszawa
21. Kłosiński Stanisław	student	Warszawa	43. Toruń Jędrzej	fizyk	Warszawa
22. Konopka Jan	adwokat	Warszawa	44. Tryburcy Maciej	uczeń	Warszawa
23. Kończycza Małgorzata	elektromechanik	Warszawa	45. Woźniak Hanna	etnograf	Warszawa
24. Kończycki Janusz	elektromechanik	Warszawa	46. Woźniak Roman	inżynier	Warszawa
25. Kowalski Marian Maciej	inżynier	Warszawa	47. Zaborski Andrzej	prawnik	Warszawa
26. Krasuska Agnieszka	studentka	Warszawa	48. Załęski Aleksander	fotograf	Warszawa
27. Krzyśków Robert	student	Warszawa	49. Żołądek Teresa	ekonomista	Warszawa
28. Łojek Wiesława	filolog	Warszawa	50. Żółtowski Piotr	chemik	Warszawa
29. Monkiewicz Sławomir	inżynier	Warszawa			

Oddział Sudecki PTT we Wrocławiu

Impas w działalności Oddziału został przełamany. Do jesieni uporządkowano sprawy Oddziału. 24 września 1992 roku wybrano pozostałych członków Zarządu. Nie zanikły jednak zastrzeżenia do wyboru nowego prezesa, rozliczenia przeszłości i proponowanego programu pracy. Nastąpił rozłam w Zarządzie Oddziału. Reperkusją tego był dalszy ubytek członków i pomysł powołania Koła Sudeckiego przy Oddziale Krakowskim – z pozostałych członków Oddziału. Na posiedzeniu Zarządu Głównego w Młodej Horze udzielono Zarządowi trzymiesięcznego moratorium dla wykazania prawidłowości pracy Oddziału. Równocześnie zlecono członkom Komisji Rewizyjnej – Leszkowi Raczyńskiemu i Izabeli Niewiadomskiej przeprowadzenie kontroli w Oddziale. Na kolejnym posiedzeniu Zarządu Głównego w Głuchołazach przyjęto pozytywnie sprawozdanie prezesa Desławskiego ze stanu organizacyjnego Oddziału. Oddział uregulował zaległe składki na rzecz Zarządu Głównego za lata 1990-1992.

Aktualnie Oddział liczy 32 członków i odbywa comiesięczne spotkania w każdy trzeci czwartek miesiąca. Członkowie prowadzą indywidualną działalność górską, w której wyróżnia się Małgorzata Michalska. M. Michalska nawiązała też kontakt z posłem UD Radosławem Gawlikiem, przewodniczącym Komisji Sejmowej Ochrony Środowiska.

Rozpoczęto wydawanie własnego pisma pt. „Zbyrcok”.

Aktualny skład Zarządu:

1. Prezes:	Desławski Artur	architekt	Wrocław
2. Wiceprezes:	Mazurkiewicz Krzysztof	elektronik	Wrocław
3. Sekretarz:	Ługowska Jolanta	filolog	Wrocław
4. Skarbnik:	Maj-Hruby Wanda	ekonomista	Wrocław
5. Członek zarządu:	Skowroński Mieczysław	architekt	Wrocław
6. Członek zarządu:	Łyszczarek Leszek	geograf	Wrocław
7. Członek zarządu:	Mirowska Nella	fizyk	Wrocław

Członkowie Oddziału:

8. Bednarek Zdzisław	lekarz	Wrocław	20. Michalska Małgorzata	lekarz	Wrocław
9. Broniewska Anna		Wrocław	21. Nikiel Renata		Wałbrzych
10. Bylińska Ewa	biolog	Wrocław	22. Ojrzynski Zdzisław		Wrocław
11. Drobiński Włodzimierz	inż. elektr.	Wrocław	23. Pawłowska Małgorzata		Wrocław
12. Dziuba Ewelina	mgr inż. rolnik	Wrocław	24. Piaseczyński Zdzisław	Wrocław	
13. Dziuba Stanisław	biolog	Wrocław	25. Piątek Jolanta		Bogatynia
14. Gisges-Rajewska Elżbieta	lekarz	Wrocław	26. Poprawki Lech	hydrolog	Wrocław
15. Gołaszewska Maria		Wrocław	27. Pysznik Marek	architekt	Wrocław
16. Grzegorzczak Andrzej	inż. mech.	Wrocław	28. Stefaniak Jacek	technik	Oleśnica
17. Kaplanów Janusz		Wrocław	29. Stróżecka Krystyna	chemik	Wrocław
18. Kaplanów M.		Wrocław	30. Szeliga Wojciech	farmakolog	Wrocław
19. Kwiatkowska-Korczak Janina	lekarz	Wrocław	31. Szlachta Beatrycze	filolog	Wrocław
			32. Wojtatowicz Maria	mgr inż. rolnik	Wrocław

Oddział PTT w Zielonej Górze

Liczba członków Oddziału spadła do 35, mimo to podtrzymano w nim pewne tradycje i rozwinięto nowe inicjatywy. Do tradycji Oddziału należy wspólny wrześnieiowy wyjazd w Tatry – w 1992 roku bazą było schronisko na Hali Kondratowej, w 1993 roku grupa z Zielonej Góry przebywać będzie w Pięciu Stawach i Morskim Oku. Miejscami częstych wyjazdów górskich są pobliskie Karkonosze i Rudawy Janowickie.

W lecie 1992 r. grupa z Oddziału w Zielonej Górze działała w Kaukazie Zachodnim.

W październiku 1992 roku zainicjowano wspólną imprezę – I Spotkania z Piosenką Turystyczną, Szwajcarka '92. Była wędrownka, a potem ognisko i śpiew; w wyjeździe wzięło udział 15 osób.

Postanowiono rozpropagować góry w Zielonej Górze i 20 lutego 1993 roku na scenie kameralnej Teatru Lubuskiego wystawiono spektakl „Poezja Gór”. Wiersze i piosenki o tematyce górskiej zaprezentowano na tle wspaniałej przyrody tatrzańskiej (przeźrocza), przy ciekawej oprawie muzycznej. Rozreklamowany wcześniej w prasie, radiu i telewizji spektakl spotkał się z zainteresowaniem szerszej publiczności. Gościem wieczoru był znany himalaista Aleksander Lwow, który odpowiadał na licznie zadawane pytania.

Od stycznia 1993 roku Oddział zdobył nowy, dogodny lokal na spotkania w Ośrodku Folkloru w Zielonej Górze.

Aktualny skład Zarządu:

1. Prezes:	Szreffel Zdzisław	insp. sanit.	Zielona Góra
2. Wiceprezes:	Galewski Wiesław	techn. mech.	Gubin
3. Wiceprezes:	Bydalek Adam	inż. mech.	Zielona Góra
4. Sekretarz:	Jankowiak Maria	ekonomista	Zielona Góra
5. Skarbnik:	Łęczycki Józef	policjant	Zielona Góra
6. Członek Zarządu:	Machniak Krzysztof	inż. mech.	Zielona Góra
7. Członek Zarządu:	Sieciechowicz Andrzej	inż. elektr.	Nowa Sól
8. Członek Zarządu:	Sierżęga Tomasz	techn. metrolog	Zielona Góra
9. Członek Zarządu:	Kadzińska Małgorzata	techn. hotelarz	Gubin
10. Członek Zarządu:	Płocka Krystyna	nauczyciel muzyki	Zielona Góra
11. Członek Zarządu:	Sobczak Jadwiga	techn. mech.	Zielona Góra

Członkowie Oddziału:

12. Bydalek Andrzej	inż. mech. prof.	Zielona Góra	17. Gradzik Teresa	ekonomista	Zielona Góra
13. Bydalek Barbara	rusycystka	Zielona Góra	18. Haracz Elżbieta	studentka	Gubin
14. Czechowski Józef	inż. mech.	Zielona Góra	19. Kiraga Antoni	techn. budowl.	Nowa Sól
15. Dąbrowska Małgorzata	inż. mech.	Zielona Góra	20. Kiraga Dariusz	student	Nowa Sól
16. Ferenc Kamila	ekonomista	Krosno Odrz.	21. Kowalewska Kazimiera	ekonomista	Nowa Sól

22. Machniak Janina	ekonomista	Zielona Góra	29. Skorupa Mariusz	tokarz	Zielona Góra
23. Morzyc Andrzej	mechanik	Żagań	30. Sobczak Roman	dr inż. mech.	Zielona Góra
24. Musiałkowska Beata	techn. budowl.	Zielona Góra	31. Stasiński Piotr	techn. mech. roln.	Czerwieńsk
25. Owsianik Marcellina	ekonomista	Zielona Góra	32. Szymański Wiesław	archiwista	Zielona Góra
26. Pietruska Teresa	technik	Czerwieńsk	33. Tarnawa Maria	zootechnik	Zielona Góra
27. Płocki Dariusz	elektromonter	Zielona Góra	34. Tarnawa Ryszard	techn. mech.	Zielona Góra
28. Sieja Małgorzata	nauczycielka	Zielona Góra	35. Werner Franciszek	dr inż. elektr.	Zielona Góra



NR 6
MARZEC 93



POLSKIE TOWARZYSTWO TATRZAŃSKIE

Oddział Łódzki

BIULETYN INFORMACYJNY

ZAKOS



NASZE CZASOPISMA

Wydawane przez poszczególne oddziały periodyki, stabilizują się, tworzą, każdy własny styl. Są coraz ciekawsze. Okazuje się, że turystyka górska to temat niewyczerpany. Każde z naszych pism zamieszcza informacje ogólne, dotyczące naszej organizacji i porusza sprawy regionalne. Tym razem przejrzysty układ i bogactwo informacji pokazują, że powoli oddziały krzepną.

Teraz parę słów o treści periodyków, które do nas dotarły.

„Obserwator Tatrzański” Oddział PTT Bydgoszcz

W drugim numerze z maja 1993 bardzo ciekawe uwagi Katarzyny Chylińskiej na temat turystyki młodzieżowej. Jest to temat godzien szerszego omówienia, bo Chylińska poruszyła sprawę wychowywania następnego pokolenia turystów.

„Hyr” Oddział PTT Gliwice

Coraz lepiej drukowany, podejmuje szereg tematów bardzo ważnych. Niestety inne pisma nasze nie robią ciekawszych przedruków. Takim tematem jest sprawa rezerwatu rzeki Białki. Ten ośmiohektarowy rezerwat jest trochę zapomniany, bo wszyscy przecież krzyczą o wielkich sprawach Tatr i Pienin. A właśnie rezerwat Obłazowa, teren gdzie znaleziono pierwsze ślady zamieszkania człowieka na Podhalu, jest poważnie zagrożony. Ten sygnał powinien dotrzeć do kolegów z Nowego Targu.

Drugi ważny problem, który poruszają koledzy z Gliwic, to sprawa bardzo szybkiego zanikania prawdziwego budownictwa podhalańskiego. Projektanci nie potrafili się dostosować do zmian i postępu cywilizacyjnego. Ich propozycje to albo drewniany stylizowany dom parterowy albo kwadratowa landara przykryta dachem, który tylko kątem nachylenia udaje styl podhalański. Ten problem dotyczy nie tylko Podhala, ale całej Polski. Tylko, że styl podhalański jest jedyny w swoim rodzaju. Te ostatnie uwagi pochodzą od niżej podpisanego.

„Zakos” Oddział PTT Łódź, Koledzy napisali w tytule – biuletyn informacyjny oddziału, ale to nieprawda. To właściwie zupełnie dobrze robiona własna gazetka. Widać po informacjach zawartych w „Zakosie”, że Łodzianie to ruchliwe, pełne inicjatywy, grono turystów i narciarzy. Opisy wypraw i wycieczek robione ciekawie. Gazetka ma tylko jedną wadę niejako techniczną, przydałyby się wyraźne czytelne tytuły poszczególnych pozycji. Nawet kosztem 2 wierszy tekstu. A może spróbować różnych formatów pisma?...

I następna wielka wada, która dotyczy wszystkich oddziałów – nie podajemy informacji o tym co robią koledzy i koleżanki w innych oddziałach, a to ważne, bo tworzymy jedną rodzinę turystów.

Biuletyn Okręgu Świętokrzyskiego PTT (Radom, Dęblin i Skarżysko-Kamienna), Redaktor nie może się zdecydować na tytuł. Każda gazetka wychodzi pod innym tytułem; jest to najczęściej jakaś góra lub miejsce, opisane później wewnątrz numeru. Z przejrzanых dotychczas naszych gazetek oddziałowych, ta jest powiedziałbym najbardziej wojująca o sprawy zasadnicze, a zawierająca najmniej informacji codziennych. Ważny jest temat propagandy turystyki wśród młodzieży. Tą sprawą zajmuje się oddział bardzo i warto jej poświęcić więcej uwagi. Niewątpliwie młody, początkujący turysta musi mieć jakiś cel do osiągnięcia. Może to być rodzaj GOT-u lub coś podobnego. Cele jednak trzeba wskazywać. Może warto w tej sprawie porozumieć się z Bydgoszczą...

„Beskid” Oddział PTT w Nowym Sączu. Ten dwumiesięcznik jest w porównaniu z ub. rokiem znacznie lepiej redagowany i wydawany. „Beskid” zawiera sporo informacji ogólnopolskich, większe pozycje o sprawach miejscowych i niestety też mało wiadomości z życia innych oddziałów. Doskonały serwis wiadomości o wycieczkach. Widać z niego, że oddział dużo ich organizuje. Cyfrowo to nie wygląda imponująco, 28 wycieczek, ale jeśli do tego dodamy, że brały w nich udział 883 osoby i było w tym 13 wycieczek zagranicznych, a z tego jedna w Czarnohorę to już jest ładny dorobek. Na temat tej ostatniej wycieczki mamy jednak prośbę do **Wszystkich członków PTT...** sentymenty sentymentami, ale nie wieszajmy polskiej flagi komuś „w jego domu”. Ciekawe jak byśmy się czuli gdyby nam Niemcy zaczęli wieszać niemieckie flagi na Mazurach, Opolszczyźnie i we Wrocławiu (to uwaga recenzenta).

„Świstak” pismo poznańskiego Oddziału PTT. Ukazuje się najregularniej od 3 lat. Ma stałą ciekawą koncepcję popularyzacji pewnych tematów i spraw. Po serii informacyjnej o faunie chronionej, przyszedł czas na florę chronioną. Ta druga seria jest chyba bardziej potrzebna jak pierwsza, bo co tu ukrywać, rośliny chronione są znacznie mniej znane kolegom, niż wilki, rysie czy dziki. Niebawem trzeba będzie wrócić do fauny i pokazać najciekawsze gady, płazy, a potem owady. Ostatnio „Świstak” pisze sporo o parkach narodowych, a bardzo udany był numer 12 poświęcony całkowicie Bieszczadom.

„Informator z Kozicą” Oddział Podhalański PTT w Nowym Targu.

Otrzymaliśmy pierwszy numer z kwietnia br. Początek bardzo dobry, bo sporo informacji i jak to mogliśmy przeczytać, udała się wycieczka do Małej Fatry. Czekamy na następne numery.

„Wołanie” krakowskiego Oddziału PTT stało się już najbardziej szacownym informatorem. Wychodzi od 6 lat i obecnie ukazał się nr 13, ale nie pechowy. Jest pełen wiadomości miejscowych i ciekawy dla szerszego grona członków. „Wołanie” publikuje w ostatnim numerze spis treści wszystkich numerów. Tak oto, nie wiadomo kiedy zebrało się sporo tego.

Tyle o naszych gazetkach i informatorach. Dobrze, że się rozwijają. Szkoda, że współpraca między poszczególnymi zespołami redakcyjnymi jest tak skromna.

opr. AL

By ułatwić współpracę i wymianę wiadomości, podajemy adresy naszych periodyków:

Obserwator Tatrzański PTT Bydgoszcz — Marek Szwarz, ul. Powstańców Śląskich 9/I/16
85-665 Bydgoszcz

Zakos PTT Łódź — W. Janusik, ul. 1 Maja 21, 95-100 Zgierz

Krokus PTT Świętokrzyski St. Krok, ul. Malczewskiego 20/1, 26-600 Radom.

Beskid PTT Nowy Sącz — M. Zaremba, ul. Królowej Jadwigi 43/7, 33-300 Nowy Sącz

Świstak PTT Poznań — Jerzy Preisler, ul. Działowa 8, 61-747 Poznań

Informacja z Kozicą PTT Nowy Targ, ul. Harcerska 9, 34-400 Nowy Targ

Wołanie PTT Kraków — M. Mischke, skr. poczt. 791, 30-960 Kraków

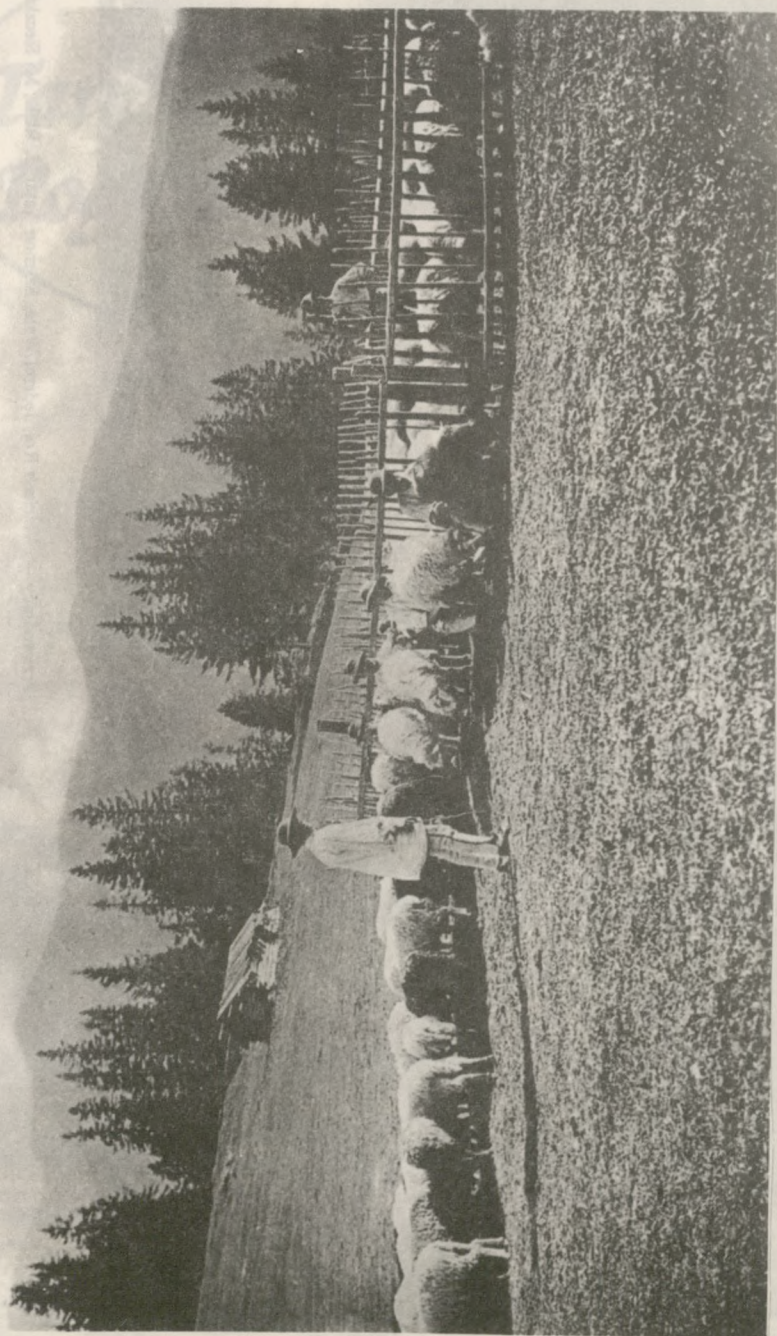
BESKID

Nr 4 (10)

Lipiec - Grudzień 1991



Pismo Oddziału POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO BESKID w Nowym Sączu



Przystop Miętusi. Dojenie owiec

Fot. S. Krygowski (1905 r.)



Przewodnicy — Wojciech Roj, Jędrzej Wala, Szymon Tatar, J. Wala, M. Siczka

(A. Szubert)

V
Tatrzańskie Ochotnicze
Pogotowie Ratunkowe



PIERWSZY ROK NIEZALEŻNOŚCI

Wybrany 21 grudnia 1991 roku Zarząd TOPR, któremu przesował Wojciech Krok, podał się do dymisji na Walnym Zebraniu dnia 8 maja 1993 r. Prezes i członkowie Zarządu doszli do wniosku, że pierwszy okres organizowania samodzielności TOPR już minął i teraz czas powołać nowe władze na pełną kadencję.

W ciągu prawie półtorarocznego „panowania” załatwiono większość podstawowych spraw porządkując w pierwszej kolejności sprawy prawne.

Po rejestracji 13 listopada 1991 r., przez pół roku (do 21 maja 1992) załatwiano sprawę podpisania protokołu z Urzędem Kultury Fizycznej i Turystyki w sprawie finansowania TOPR, a następnie przeprowadzono przekazanie notarialne majątku GT-GOPR na rzecz TOPR.

W tym okresie zaczęto również dużą inwestycję o podstawowym znaczeniu dla szybkiego działania ratownictwa w górach. Montaż nowej (radiowej) sieci łączności, miał objąć wszystkie instytucje działające w Tatrach. Niestety potem niektóre organizacje wycofały się udawadniając tym samym, że tak naprawdę nie obchodzi ich bezpieczeństwo turysty i narciarza w Tatrach. TOPR otrzymał główne wsparcie finansowe z UKFiT, a Urząd Miasta Zakopanego, Bank PKO i Telekomunikacja Polska, dołożyły się w sporym procencie. Po zakończeniu prac (w lipcu 1993 prace jeszcze trwały) wszystkie schroniska, placówki TPN, służby Parku Narodowego i ratownicy, będą miały łączność z centralą TOPR.

Drugim ważnym elementem, który usprawnił ratownictwo górskie, był dar Prezydenta R.P., który ofiarował TOPR-owi nowy polski śmigłowiec „Sokół”. Ta pomoc trafiła w samą porę. Poprzedni śmigłowiec MI-2 miał już za sobą 18 lat służby, a ratownicy tatrzańscy nie mieli pieniędzy na nowy. W ciągu pierwszych 7 miesięcy działalności w górach „Sokół” – polski śmigłowiec ze Świdnika – zdał znakomicie egzamin.

W nowej sytuacji, kiedy to z kiesy państwowej coraz trudniej zdobyć pieniądze, zarząd TOPR podpisał umowę z Bankiem PKO, Towarzystwem Ubezpieczeniowym Warta i z przedsiębiorstwem Castrol.

W ciągu półtora roku zrobiono wiele. Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe jest sprawnie działającą, niezależną placówką. Nic dziwnego, że w czasie walnego zgromadzenia w dniu 8 maja 1993 r. prezesem wybrano znów Wojciecha Kroka, a jego zastępcą ponownie Władysława Cywińskiego. Sekretarzem został Maciej Pawlikowski, a członkami zarządu Mieczysław Kołodziejczyk, Piotr Konopka i Rafał Mikiewicz.

Zarząd powierzył funkcję naczelnika doktorowi Robertowi Janikowi, a jego zastępcą został Jan Krzysztof.

Poniziej przedstawiamy sylwetkę nowego naczelnika TOPR.

POWRÓT

*Powiekami przykrywasz zgasłego dnia kształt
Biały Żleb, stromy śnieg, młotka stuk.
Zagubiony w zmęczeniu jakiś czas już spełniony,
Pewny hak, mocny chwyt, lśniący lód.
Teraz jest ciepły dom, głosów szmer
I splekanych na wietrze ból warg.
Z trudem zbliża ku tobie się sen,
Jakby szedł stromą ścieżką przez piarg...*

T. Wasilczuk

potrzebuje jakiejś specjalnej grupy krwi, którą trzeba dostarczyć jak najprędzej z Krakowa. Tak amerykański „płp” pomógł u nas pierwszy raz choremu. Ta wiadomość pobudziła akcję społeczną. Zaczęto zbierać pieniądze na samolot sanitarny. Dostaliśmy go w tym samym roku. Był to wyremontowany „kukuruźnik” z demobilu radzieckiego z gondolami na skrzydłach, w których przewożono chorych. Zaczęliśmy wykorzystywać go do latania z dziećmi chorymi na koklusz. To często pomagało.

Red. — To jednak była trochę amatorszczyzna i zapal...

T. A. — Amatorszczyzna nie, bo piloci byli już dobrzy. Latali u nas jeszcze niektórzy z RAF. To raczej był zapal i chęć niesienia pomocy. Właściwe lotnictwo sanitarna, które było chyba wtedy jedyną tego typu organizacją w Europie środkowej, zaczęło powstawać w Polsce w 1945 roku. W Katowicach, a nie w Warszawie.

NOWY NACZELNIK TOPR

Nowy Zarząd Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego wybrał nowego Naczelnika.

Jest nim dr Robert Janik. W góry zaczął chodzić, kiedy miał 14 lat, czyli w 1955r. Jego pierwszym przewodnikiem i nauczycielem był ojciec, znany i bardzo lubiany w Rabce lekarz, dr Adam Janik. Działacz społeczny, w najlepszym tych słów znaczeniu.

Dr Robert Janik zaczął uprawiać taternictwo w 1964 roku. Już jako student medycyny w Krakowie został ratownikiem — ochotnikiem Grupy Podhalańskiej GOPR. Rok później, po zakończeniu studiów, znalazł się jako młody lekarz w szpitalu miejskim w Zakopanem.

W tym czasie zaczął się sporo wspinać z takimi doskonałymi taternikami i ratownikami jak dr Jerzy Hajdukiewicz i Michał Jagiełło. Poznawał coraz lepiej Tatry.

Równocześnie zaczął się specjalizować w chirurgii.

W 1967 roku został ratownikiem — ochotnikiem Grupy Tatrzańskiej GOPR.

W 1974 był na swojej pierwszej wyprawie w Alpy.

W 1978 był lekarzem polsko-angielskiej wyprawy na Kohle Mandaras w Hindukuszu. Dwa lata później brał udział w I Zimowej Wyprawie na Mount Everest pod kierownictwem Andrzeja Zawady.

W 1984 był w Andach, a rok później znów brał udział w wyprawie na Kangchendzongę w Himalajach.

Wcześniej został lekarzem — GOPR.

Przez jakiś czas jeszcze pracował w szpitalu, ale równocześnie ratownictwo górskie zajmowało mu coraz więcej czasu, więc całkowicie poświęcił się sprawom ratownictwa.

Dr Robert Janik ma żonę i dwoje dzieci.

Nowy naczelnik TOPR nie będzie miał łatwego życia, bo Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe ma w perspektywie spore kłopoty finansowe.

Ale zyczymy jak najmniej wypadków.

W nowej sytuacji, kiedy to z kasy państwowej coraz trudniej zdobyć pieniądze, Zarząd TOPR podpisał umowę z Bankiem PKO, Towarzystwem Ubezpieczeniowym Warta i z przedsiębiorstwami Castrol.

W ciągu półtora roku zrobiono wiele. Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe jest sprawnie działającą, niezależną placówką. Nic dziwnego, że w czasie walnego zgromadzenia w dniu 8 maja 1993 r. prezesem wybrano znów Włodzisława Kieka, a jego zastępcą ponownie Władysław Cywiński. Sekretarzem został Maciej Pawlikowski, a członkami zarządu Mieczysław Kołodziejczyk, Piotr Konopka i Rafał Mikiewicz.

Zarząd powierzył funkcję naczelnika doktorowi Robertowi Janikowi, a jego zastępcą został Jan Krzysztof.

30 LAT NAD TATRAMI

Rozmowa z pilotem — ratownikiem

Tadeuszem Augustyniakiem

Redakcja: *30 lat temu wykonał Pan pierwszy lot ratunkowy w Tatrach...*

Kapitan Tadeusz Augustyniak: Tak ... 30 lat minęło. W lotnictwie to cała epoka. Kiedy pierwszy raz usiadłem za sterami śmigłowca był rok 1960. SM-1, śmigłowiec budowany na licencji radzieckiej w Świdniku był napędzany stosunkowo słabym, silnikiem tłokowym. Nauczyłem się go pilotować w wojsku. Powołano mnie specjalnie na kurs doskonalenia pilotażu, bo krakowski Zespół Lotnictwa Sanitarnego miał otrzymać śmigłowiec.

Red.: — *Ale jak się zaczęło to Pana latanie?*

T. A. — To typowa choroba młodych, zdrowych ludzi, która mnie nie przeszła. Kiedy wybuchła II wojna światowa miałem 9 lat. Widziałem walki powietrzne, rozbite samoloty, bombardowania, a jednak chciałem latać. Dlatego już w 1946 r. mając 16 lat zapisałem się na pierwszy kurs szybowcowy w Krakowie. Pilotów było wtedy bardzo mało, a zapłać do odbudowy tradycji polskiego lotnictwa olbrzymi. Dlatego nieliczna kadra przedwojennych działaczy Aeroklubu, wkładała wiele wysiłku w wyszkolenie nowego pokolenia entuzjastów lotnictwa. Rok później skończyłem drugi kurs szybowcowy, a kiedy miałem 18 lat trafiłem do cywilnej szkoły dla pilotów i mechaników i zostałem pilotem motorowym. Niebawem, bo w ciągu 2 lat, zostałem kierownikiem Aeroklubu w Krakowie.

Red.: — *A kiedy zaczął Pan karierę pilota sanitarnego?*

T. A. — Sporadyczne loty na pomoc zaczęliśmy dość wcześnie. Pamiętam, w 1950 r. zadzwoniono do nas z PCK z wiadomością, a równocześnie z prośbą o pomoc. Okazało się, że chora na stole operacyjnym szpitala w Nowym Sączu

potrzebuje jakiejś specjalnej grupy krwi, którą trzeba dostarczyć jak najprędzej z Krakowa. Tak amerykański „pipper” pomógł u nas pierwszy raz choremu. Ta wiadomość pobudziła akcję społeczną. Zaczęto zbierać pieniądze na samolot sanitarny. Dostaliśmy go w tym samym roku. Był to wyremontowany „kukuruznik” z demobilu radzieckiego z gondolami na skrzydłach, w których przewoziło się chorych. Zaczęliśmy wykorzystywać go do latania z dziećmi chorymi na koklusz. To często pomagało.

Red. — To jednak była trochę amatorszczyzna i zapal...

T. A. — Amatorszczyzna nie, bo piloci byli już dobrzy. Latali u nas jeszcze niektórzy z RAF. To raczej był zapal i chęć niesienia pomocy. Właściwe lotnictwo sanitarne, które było chyba wtedy jedyną tego typu organizacją w Europie środkowej, zaczął tworzyć Tadeusz Więckowski w 1955 r. Po Warszawie, gdzie powstał pierwszy Zespół Lotnictwa Sanitarnego, założono następny w Katowicach, a niebawem w Krakowie. Znalazłem się w nim jako trzeci z pilotów w 1959 r. Rok potem, po przeszkoleniu śmigłowcowym, trafiłem do Sanoka, gdzie wraz ze starszym kolegą z lotnictwa polskiego w Wielkiej Brytanii, Władysławem Gedyminem zabezpieczałem ruch turystyczny w pustych Bieszczadach. W poprzednich sezonach turystycznych, robili to tylko piloci z Warszawy.

Red. — Tak zaczęło się latanie w górach...

T. A. — Tak. Bieszczady pokazały mi, że latanie nawet w niewysokich górach, przy miejscowych zawirowaniach, wymaga innego spojrzenia z góry na świat.

Red. — Jak to rozumieć?

T. A. — Po prostu jak leci się nad górami, często jest inny kierunek wiatru od tego, na jaki natrafia się nagle w dolinie nad ziemią.

Red. — Stacja w Bieszczadach pobudziła apetyty innych...

T. A. — Tak bym nie powiedział. Po prostu śmigłowce stały się wielkim odkryciem dla służb ratunkowych. Wielu ludzi widząc możliwość śmigłowców w ratowaniu życia, zaczęło zabiegać o wykorzystanie śmigłowców dla przyspieszenia pomocy potrzebującym. Takim propagatorem tej idei był dr Adam Janik z Rabki. To on doprowadził do pierwszych lotów próbnych na Turbacz w 1961 r. Tam też wybrano pierwsze lądowisko, które przygotowywali harcerze. Ale pierwszy lot ratunkowy odbył się na trasie schronisko na Rysiance — Katowice. Wykonał go kolega Jan Kozłowski, który w lutym przewoził dwie zaszadzone osoby.

Red. — Potem był rok 1962 i Mistrzostwa Świata w narciarstwie i saneczkarstwie.

T. A. — Tak. Lotnictwo sanitarne wysłało dwa śmigłowce do Zakopanego i do Krynicy. Troszkę nas to zbliżyło do gór. Dla mnie ten pierwszy dyżur był spokojny. Wprawdzie próbowałem dolecieć do Pięciu Stawów Polskich, gdzie turystka złamała nogę, ale zawróciły mnie zamieć i mgła. W tym samym roku podpisaliśmy umowę o stałej współpracy w niesieniu pomocy między GOPR,

a Zespołem Lotnictwa Sanitarnego. Rok później, 16 kwietnia, otrzymaliśmy z Zakopanego wiadomość:

— „W Pięciu Stawach Polskich narciarz złamał nogę. Jest bardzo lawinisto. Nie ma mowy o transporcie toboganem”.

Poleciałem. Tak złamana noga inż pułkownika Zieleniewskiego przeszła do historii ratownictwa górskiego w Tatrach.

Red. — Czy to się gładko odbyło?

T. A. — No, nie bardzo. Siadłem wtedy na stawie, bez nart, na kołach w głębokim śniegu. Naturalnie śmigłowiec zapadł się po brzuch i trzeba go było najpierw odkopać, by móc wystartować. Potem już w 12 minut byliśmy na Równi Krupowej.



Kapitan Tadeusz Augustyniak

fot. Maciej Gąsienica

Red. — Ale początkowo nie wiele lataliście w Tatrach...

T. A. — To nie było takie proste. Trzeba było wybierać lądowiska, zrzutowiska sprzętu. Robiliśmy to razem z ratownikami G. Strzebońskim i J. Uznańskim. Do tego musieliśmy uczyć się topografii gór z powietrza, a ratownicy współpracy z nami. W górach każda dolina ma swoje lokalne zawirowania. Trzeba je znać. Ratownicy ćwiczyli ze śmigłowcem lądowania, zawis, desant z powietrza, wciąganie rannego itp. Nasilenia tej współpracy nastąpiło w 1975 r. kiedy śmigłowiec coraz częściej i dłużej pozostawał na prowizorycznym lądowisku przy zakopiańskim szpitalu. Dla nas był to też techniczny krok do przodu, bo mieliśmy nowy śmigłowiec MI-2. Miał on dwa mocniejsze silniki, które pozwalały na śmielsze latanie w górach. Rok 1975 był początkiem stałych dyżurów przy szpitalu zakopiańskim w czasie sezonów zimowego i letniego w górach. Mieliśmy już łączność radiową na pokładzie z ekipą na ziemi, ale to, jak pokazała praktyka, nie wystarczało. Brakowało prostej sygnalizacji optycznej. Opracowaliśmy ją wspólnie z ratownikiem Maciejem Gąsienicą. Potem przygotowaliśmy całą instrukcję współpracy ratowników górskich ze śmigłowcem. Niektóre elementy tego opracowania znalazły później zastosowanie w morskim ratownictwie śmigłowcowym.

Naszą wiedzę na temat ratownictwa z powietrza uzupełniliśmy poważnie dzięki dr Jerzemu Hajdukiewiczowi, który mając kontakty z alpinistami szwajcarskimi, załatwił dla nas wyjazd do stacji ratownictwa śmigłowcowego. Tam w Alpach sporo się nauczyłem.

Red. — Latał Pan na MI-2 18 lat. Teraz latacie „Sokołem”. Czy to taka duża różnica?

T. A. — Mówiłem już na początku naszej rozmowy, że w lotnictwie to cała epoka postępu technicznego. „Sokołem” możemy przerzucić jednorazowo na miejsce wypadku całą ekipę ratunkową ze sprzętem (nawet 10 osób) i czekać w zawisie na dowolnej wysokości. Możemy oświetlić miejsce akcji reflektorami. Winda może wciągnąć na pokład nie jedną, ale nawet trzy osoby... Trudno porównywać.

Red. — Czy ma Pan w pamięci specjalne akcje, kiedy „po kręgosłupie spływał pot”?

T. A. — Tego „potu na kręgosłupie” nie miałem, ale przeżycia, które powodowały maksimum napięcia, aby uratować sytuację, miałem parę razy. W 1970 r. leciałem jednosilnikowym śmigłowcem SM-1 z Krakowa do Rabki. Nagle nad Lubaniem, rozleciał mi się silnik. Miałem chyba 150 m wysokości, a pod śmigłowcem las. Śmigłowiec zaczął opadać lekko wirując, a ja miałem parę sekund, by ustawić maszynę w pozycji najmniej groźnej dla pasażerów. Siadłem szczęśliwie na drzewach.

W Tatrach zabierałem turystkę, która zasłabła w Piekiełku. W śmigłowcu byli jeszcze czterej ratownicy czyli komplet. Po starcie jeden z silników stanął. W MI-2 przy dużym obciążeniu to było groźne. Nie wiedziałem, czy dociągnę do Kalatówek, ale w końcu siadłem na Bachledzkim Wierchu. To był chyba rok 1978. Takich wydarzeń było parę...

Red. — Ile ma Pan wylatanych godzin?

T. A. — Łącznie na samolotach 8 tys. godzin, a w tym na śmigłowcach już ponad trzy tysiące. Jeżeli Pan weźmie pod uwagę, że średni lot w Tatrach trwa ok. 20 minut, to nabierało się tego trochę.

Ponieważ kapitan Augustyniak nie lubi mówić o sobie, oddajemy głos ratownikowi — instruktorowi ratownictwa górskiego Maciejowi Gąsienicy, który tak opowiedział o wspólnej akcji w 1976 roku.

— Wiadomość o wypadku taterników niemieckich dostaliśmy o godzinie 14. To było 10 marca. W Morskim Oku kurzyło. Była zadymka. W Zakopanem nie było widać Gubałówki. W Morskim Oku dyżur miał Staszek Łukaszczyk. Porozumiałem się z kapitanem Augustyniakiem. Mielśmy informację, że jeden z taterników ma prawdopodobnie uraz kręgosłupa. Postanowiliśmy spróbować lecieć. Równocześnie z Morskiego wyszła 8-mioosobowa grupa złożona z ratowników i taterników. Śmigłowiec wystartował o 14.20. Dolecieliśmy na morenę przy Morskim. Wyrzuciliśmy część sprzętu, żeby było lżej i poleciliśmy nad Czarny Staw. O lądowaniu nie było mowy. Sypki śnieg wirował wściekle nie tylko na skutek zawiei, ale i działania rotora. Wyrzuciliśmy linę i z Jankiem Stawowym zjechaliśmy w dół po linie tych 30 metrów na Czarny Staw. Kurzyło tak, że w pierwszej chwili nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy. Tadiusz odleciał na morenę i za parę minut wrócił ze sprzętem i zrzucił go nam. Poszliśmy w kierunku Niemców. Leżeli przy stawie. Byli związani liną. Spadli chyba z 200 m. Jeden miał uszkodzony kręgosłup, drugi głowę i połamane nogi. W tym czasie doszli do nas ratownicy i taternicy z Morskiego Oka. Wiedzieliśmy, że jeśli nie weźmiemy tego Niemca z uszkodzonym kręgosłupem do śmigłowca, to jedno chybnienie noszy przy transporcie od Czarnego Stawu do Morskiego Oka (a było lawinisto) może go zamienić w kalekę do końca życia. Zapytałem Tadiusza, czy spróbuje lądować. Ubiliśmy mu śnieg na morenie przy Czarnym Stawie. Przez 45 minut 12 ludzi deptało sam skraj moreny. O 15.45 nadleciał Tadeusz — to świetnie pamiętam. Musiał siadać od Rysów, tak by dziobem lądować w kierunku Morskiego Oka. Kierowałem nim z dołu. Belkę ogonową i śmigiełko musiał ustawić między dwoma głazami. Inaczej się nie dało. Pylilo tak, że dwukrotnie podrywałem go do góry. Ryzykowaliśmy trochę, ale decydował stan niemieckich taterników. Zapakowaliśmy rannych do śmigłowca i ustawiliśmy się tak w kolorowych wiatrówkach, by pilot dokładnie widział punkt zagrożenia i kierunek lotu. Start był bardzo trudny. Miałka masa wirowała i kłębiła się jeszcze bardziej niż przy lądowaniu. O 15.50 ranni odlecieli do szpitala, 15 minut później odebrały ich służby szpitalne. Obaj się uratowali.

Red. — Przepraszamy Pana Kapitana za tę wstawkę w rozmowę, ale skoro ktoś tak niechętnie mówi o sobie, to trzeba korzystać z informacji innych współtowarzyszy.

T. A. — Proszę mnie zrozumieć. Zespół Lotnictwa Sanitarnego dlatego tak się nazywa, że niesie pomoc zgrany zespół ludzi. Przez tych 30 lat zmieniali się piloci i obsługa naziemna (każdy z nich coś przeżył), ale ZESPÓŁ nie zawodził. Dlatego głupio jest mówić o sobie tylko dlatego, że mam to szczęście i przez 30 lat ratuję ludzi w górach.

Dla nas każdy lot na ratunek życia jest równie ważny. Potem jak dowiedzimy „cieńkiego” (umierającego) pacjenta do szpitala, to pytamy o niego do pierwszej wiadomości „będzie dobrze”. Nasz pasażer często nawet nie wie o nas.

Red. — Czy można obliczyć jak często ratunek z powietrza ratuje życie?

T. A. — Rozumiem, że pytanie dotyczy sytuacji, w której dzięki pomocy z powietrza nie tylko skrócono samą akcję, ale uratowano życie.

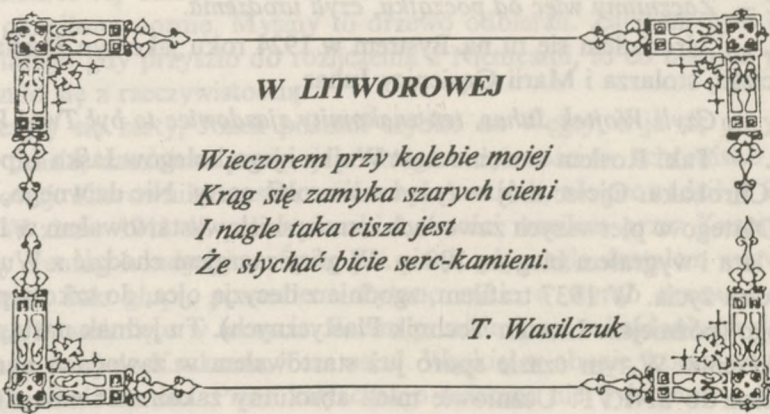
Red. — Tak.

T. A. — Odpowiedź na to pytanie jest trudna. Dr Hartwig, niestety nie pamiętam z kim, opracował analizę pracy śmigłowca przez 5 lat. Wynika z niej, że średnio co 10 wypadek ratowany z pomocą śmigłowca, kończył się tylko dlatego szczęśliwie, że pomoc z powietrza przyspieszała działanie. Udział śmigłowca w akcji ratowniczej bywa różny. Raz dowozi do wylotu jaskini leki, które 1000 m głębiej podaje umierającemu lekarz — ratownik. (Był taki wypadek. W jaskini kroplówkę podawał dr Robert Janik, obecny naczelnik TOPR). Innym razem śmigłowiec odnajduje zasypane śniegiem na stoku Giewontu dziecko, tak wychłodzone, że zdaniem lekarzy zmarłoby w następnej pół godzinie.

Nie da się dokładnie obliczyć, kiedy śmigłowiec ratuje życie, a kiedy tylko pomaga. Są sytuacje, kiedy turysta po wypadku jest tak szybko w szpitalu, że nie przeżywa wstrząsu powypadkowego.

Red. — Panie Tadeuszu, życzymy jeszcze długich lat sprawności za sterami „Sokoła”.

A. Liberak



W LITWOROWEJ

*Wieczorem przy kolebie mojej
Krag się zamyka szarych cieni
I nagle taka cisza jest
Że słychać bicie serc-kamieni.*

T. Wasilczuk

ŚCIEŻKI RATOWNIKA

Rozmowa z ratownikiem Józefem Uznańskim

Przeglądałem kiedyś archiwa zdjęć fotograficznych z wypraw ratowniczych i ćwiczeń ratowników tatrzańskich. Później zajrzałem do opisów wypraw. Często trafiałem tam na Józefa Uznańskiego. W moim archiwum nie natrafiłem na jakąś dłuższą rozmowę z Józkiem.

— *A może by go pokazać jako typowego ratownika tamtych czasów kiedy ratownictwo przechodziło największe przemiany...*

Józek nie miał na to ochoty. Ustaliliśmy w końcu, że takie życiorysy trzeba pokazywać. Rozmowę zaczęliśmy od słów Józka.

J. Uznański — Dobrze, ale na początek pierwsze zastrzeżenie, ja wykonywałem to co było moim obowiązkiem. W czasie wojny, zaraz po wojnie i gdy zostałem ratownikiem.

Red. — *Zacznijmy więc od początku, czyli urodzenia.*

J. U. — Urodziłem się tu na Bystrem w 1924 roku jako syn Józefa Uznańskiego, cieśli, stolarza i Marii Gąsienicy Juhas.

Red. — *Czyli Wojtek Juhas, ten znakomity zjazdowiec to był Twój Wujek.*

J. U. — Tak. Rosłem w cieniu nart Wujka i jego kolegów Jaśka Lipowskiego i Józka Chrobaka. Ojciec mój w tym czasie robił narty. Nic dziwnego, że zrobił i mnie. Dłatego w pierwszych zawodach narciarskich wystartowałem w 1929 roku mając 4 lata i wygrałem bieg na 100 m. W góry zacząłem chodzić z Wujkiem już od 10. roku życia. W 1937 trafiłem, zgodnie z decyzją ojca, do szkoły przemysłu drzewnego (późniejsze Liceum Technik Plastycznych). Tu jednak nastąpiło tragiczne zdarzenie. W tym czasie sporo już startowałem w zawodach narciarskich i należałem do SNPTT. Uczniowie mieli absolutny zakaz należenia do klubów

i startów w zawodach. Klub mnie powołał na obóz kadry młodzieżowej. Po roku nauki musiałem opuścić szkołę.

Red. — *Jakie miałeś wtedy wyniki? Pamiętam, że wtedy mówiło się o Tobie.*

J. U. — W 1939 r. na Mistrzostwach Polski narobiłem trochę zamieszania, bo w biegu zjazdowym, mimo, że startowałem z numerem 157 byłem 18. (Na trasie FIS I). A potem w slalomie po pierwszym przejeździe byłem trzeci, po drugim ósmy. Znalazłem się więc w kombinacji alpejskiej na 7 miejscu. Pamiętaj, że miałem 15 lat.

Red. — *Gdzie Cię zastała wojna?*

J. U. — W Nowym Bystrem, we wsi pod Zakopanem. Tam rolnik, Zubek, zorganizował na większą skalę produkcję nart. Pracował u niego mój ojciec. Trochę mu pomagałem. Zaraz po wybuchu wojny wróciliśmy do Zakopanego. Wujka Wojtka nie było. Dopiero się później dowiedziałem, że był związany z grupą dywersyjną, która została zorganizowana na Podhalu wcześniej, przed Wrześniem. Należało do niej kilku sportowców.

Red. — *A kiedy zaczął się ruch kurierski?*

J. U. — To trudno powiedzieć dokładnie, ale już w październiku. Początkowo to była działalność niezorganizowana, bo po prostu znajomi z Polski zwracali się o pomoc w przejściu na Węgry. Wiem, że z końcem października Wojtek przepadł i za parę dni wrócił. Wiedziałem już, że chodzi na Węgry, ale nie chciał mnie brać ze sobą. W listopadzie powiedział mi „następnym razem”, ale już nie wrócił. Szukało go Gestapo.

Wśród narciarzy sytuacja była dość trudna. Niemcy mieli doskonałe rozeznanie w tym środowisku, bo austriacki trener, Sepp Röhrl okazał się szpiegiem. Dość szybko zaczęły się aresztowania wśród sportowców.

Red. — *A co Ty robiłeś?*

J. U. — Dostałem pracę z Józkiem Jaroszem przy odbiorze drzewa. Poniżej Hali Gąsienicowej chłopci na polecenie Niemców, wycinali las. Każdy musiał wyrobić określoną normę. Myśmy to drzewo odbierali. Żał nam było chłopów i lasu. Dlatego gdy przyszło do rozliczenia z Niemcami, to co było na papierku nie zgadzało się z rzeczywistością.

Skończyły się zarty, Józek poszedł szybko na Węgry, a ja się ukryłem. Po pewnym czasie, zacząłem pracę, jako tragarz żywności w schronisku na Hali Gąsienicowej. Kierownikiem schroniska był Austriak, ale prowadził je Zygmunt Wójcik. W zimie 1941-42 pełne plecaki żywności woziłem przez Kasprowy. To był dobry trening kondycyjny. Śnieg już ginał, gdy nagle dostałem wezwanie do żandarmerii. Jak głupi, poszedłem. Pytano mnie o wyrąb drzewa, o moich znajomych i zamknięto w areszcie. Potem przewieziono w kajdankach do Nowego Targu, a dalej do Krakowa. Tam na ul. Wąskiej w obozie, kompletowano nas na wysyłkę do Niemiec. Przez cały czas o ucieczce nie było mowy. Po trzech

tygodniach, wsadzono wszystkich do pociągu specjalnego. Tylko nasza grupa z Podhala szła skuta. Na granicy Guberni zmieniła się obstawa. Dostaliśmy jedzenie. Rozkuto nas. Przed Katowicami pociąg zaczął zwalniać. Spróbowałem wyjść na korytarz. Nikt mnie nie pilnował, Podszedłem do drzwi. Nie były zamknięte. Skoczyłem na nasyp. Zwinęło mnie. Potłukłem się. Teraz trzeba było iść na południowy wschód. Bylem ostrzyżony jak więzień. Trzeba było przykryć gołą głowę, bo mnie zdradzała. Trafił się strach na wróble, zabrałem mu czapkę. Samotny człowiek pokazał mi gdzie granica. Kiedy z Kalwarii zobaczyłem Tatry, lżej się szło.

W Zakopanem w połowie kwietnia 1942 nawiązałem kontakt z ZWZ. Parę razy chodziłem przez granicę z dokumentami, a dwa razy z ludźmi do leśniczówki na Podbańskiej. Sytuacja robiła się coraz trudniejsza. W domu były częste rewizje. Raz zmaltretowali ojca, bo myśleli, że to ja. Trzeba się było wynosić. Poszedłem na Turbacz.

W zimie 1944 poszedłem z dokumentami na Słowację. Po drodze, wstąpiłem do domu. To było wieczorem. Przenocowałem. Gdy się rano obudziłem wszędzie leżał świeży śnieg. Nie można było iść na granicę i robić nowy ślad. Zdecydowałem, że pojedę przez Kasprowy. Kiedy wszedłem do budynku stacji, zobaczyłem, że cały jest obstawiony. Nie bardzo mogłem się cofnąć, bo spostrzegł mnie volksdeutsch, tłumacz gestapo Domaradzki. Jakby nigdy nic, wsiadłem do wagonika. Jechało chyba 10 osób, jakieś kobiety, paru rekonwalescentów i cywil z odznaką hitlerowską w klapie. W czasie przesiadki na Myślenickich Turniach konduktor szepnął mi tylko: — Uważaj! góra obstawiona! Polowanie było na kogoś innego, ale ja nie miałem ochoty być przypadkową ofiarą. Stałem obok konduktora. Szeptem ustaliliśmy, że on przed samym dojazdem otworzy mi prawe drzwi a ja już, niby zaczęną dopasowywać narty. Niemcy w wagoniku nie reagowali kiedy przypinałem sobie narty. W pierwszej chwili się pewnie nie orientowali co się dzieje. Potem wagonik zaczął zwalniać i zbliżał się do peronu. Drzwi się otwały. Miałem kijki w jednej ręce. W tym momencie ktoś mnie chwycił za wiatrówkę i coś krzyknął po niemiecku. Szarpnąłem się, wyrwałem pistolet schowany w kapturze i syknąłem: — Hände Hoch! Wszyscy się cofnęli. Wagonik dotykał śniegu. Skoczyłem na śnieg. Skuliłem się i zjechałem. Później Józef Wawrytko mówił, że strzelali za mną z pomostu... nie słyszałem. Wiedziałem tylko, że szybko muszę się dostać z Kasprowej na Halę Gąsienicową i tam się ukryć.

Schowali mnie u Bustrzyckich. Wieczorem poszedłem przez Liliowe do Podbańskiej i wróciłem na Turbacz.

Red. — Nie dowiedziałeś się później, czemu Niemcy obstawili kolejkę.

J. U. — Nie. Ale powodów mogło być wiele. Na Słowacji działała już różnej maści partyzantka. Gestapo węszyło wśród Polaków, bo zaczęła się pewna konsolidacja działań. Wzmogła się akcja dywersyjna na Słowacji. Na Podhalu pokazał się cichociemny „Przyjaciół”, który zajmował się współpracą polsko-słowacką w walce z Niemcami. Wtedy o wielu sprawach nie wiedziałem.

Byłem zwykłym żołnierzem AK, ale parę miesięcy później 12. z nas było w Powstaniu Słowackim. Braliśmy udział w akcji na lotnisko.

Red. — *Jaki to był oddział?*

J. U. — Byłem w 4 batalionie „Lamparta” X kompanii por. Pazura. Z nas wybrano tych 12 z „Przyjacielem”. Potem wróciliśmy na Turbacz.

Red. — *A kiedy rozwiązano oddział?*

J. U. — 17 stycznia 1945 r. Wtedy wróciłem do domu.

Red. — *Na długo?*

J. U. — Niestety nie. Dokładnie po 4 tygodniach przyszło NKWD i wywieźli mnie do Trestenej na Słowacji. Tam był zborny punkt wysłkowy na Sybir. Uciekłem w ciągu 2 tygodni. Partyzantka nie miała już sensu. Nawiązałem kontakt z „Przyjacielem”. Miał pod swoją opieką kilkunastu „spalonych” i próbował przygotować przerzut do strefy amerykańskiej. W Sierockim kilku się ukrywało. Poszedłem po nich. Dzień był umówiony. Trafiłem na kocioł. Moja wina. Kiedy zbliżałem się do zagrody otoczonej płotem było zbyt cicho. Za płotem z desek rozpętała się strzelanina. Zginął mój kolega Tadek Skorupka i Karol Szmid z UB. Podobno zginął też ktoś z NKWD. Złapano nas wszystkich, podrutowano i ułożono jak belki na moście.

Jak dziś słyszę wymianę zdań między komendantem radzieckim i szefem UB z Zakopanego, który upierał się, żeby Polaków sądził polski sąd. Jednak NKWD zabrało nas do Nowego Targu. Po trzech tygodniach przekazano mnie do UB w Krakowie (mówię „mnie”, bo nie wiem co się stało z innymi). Tam po miesiącu zostałem przeniesiony do fortu gdzie byli sami polityczni. Początkowo pilnowali nas młodzi żołnierze i UB. Potem zastąpili ich starzy frontowcy. Na forcie robiliśmy ścieżki dla wartowników wysypane piaskiem. Jazdy po piasek taczkami, dwóch więźniów i jeden wartownik, umożliwiły nam kontakt z ludźmi, którzy pomogli nam w ucieczce. Uciekło nas czterech. Każdy poszedł w swoją stronę. Ja do powiatu brzeskiego, gdzie miałem oparcie. Tam wyrobiono mi fałszywe papiery i wyjechałem w rejon Wałbrzycha, gdzie w Głuszycy zostałem gajowym.

Przez rok żyłem spokojnie, ale zaczęto koło mnie węszyć. Dostałem wezwanie na milicję. Nie zgłosiłem się, przeniosłem się szybko do Mosiny w Zielonogórkim. Znow byłem gajowym. W lecie 1949 aresztowano mnie. Moje papiery były bardzo dobrze podrobione. Już wydawało się, że wyjdę. Widocznie ściągnięto jednak kogoś kto mnie rozpoznał. Wtedy w czasie dalszego przesłuchania tak mi się oberwało, że znalazłem się w szpitalu. Przez trzy tygodnie zbierałem się pod opieką warty. Gdy byłem na tyle mocny, że mogłem chodzić, ludzie z personelu szpitalnego, pomogli mi uciec. Znow schowałem się w Mosinie by nabrać sił. Wiedziałem gdzie. Byłem tam przecież prawie trzy lata gajowym. Potem zaczęła się wędrówka, w Zakopanem, w górach, po wsiach, trochę u ojca, który w Makowie Podhalańskim założył drugą rodzinę. Tak to trwało do 1954 roku, kiedy to

13 grudnia, ujawniłem się w Zielonej Górze w ramach chyba trzeciej amnestii. Tam zostałem bardzo elegancko potraktowany. Po uprzejmej rozmowie towarzyskiej z prokuratorem, dostałem pieniądze na obiad, a na drugi dzień wszystkie potrzebne papierki. W tym ten najważniejszy następującej treści:

Dnia 13/XII 1954 r. Zielona Góra

Zgłosił się dobrowolnie do tutejszej prokuratury *Uznański Józef*; ujawniając swą przestępczą działalność w latach 1945-1949.

Jednocześnie stwierdzam, że nie uznałem za stosowne zatrzymanie obywatela *Józefa Uznańskiego*.

Prokurator
Stanisław Michalik
Kapitan

Red. — *Dlaczego zgłosiłeś się aż w Zielonej Górze?*

J. U. — Tam były już wszystkie moje papiery. Tam ostatni raz „dokonałem przestępstwa” uciekając ze szpitala.

Red. — *A potem...*

J. U. — Zaraz potem przyjechałem do Zakopanego. Zacząłem szukać swego miejsca, stałego miejsca w życiu społeczeństwa. SNPTT nie istniało. Powstał prężny klub „Start”. Pracowali w nim Julek Zubek i Józek Podstolski, starzy koledzy. Klub mnie ubrał, zapewnił wyżywienie i dał sprzęt narciarski. Zostałem instruktorem młodzieży. W Szczyrku wystartowałem w biegu zjazdowym i zająłem 10 miejsce. Wiedziałem jednak, że czołowym narciarzem już nie zostanę. W ognie nie chciałem się pętać. Przygotowałem się do egzaminu trenera. Na Kasprowym spotykaliśmy się często z ratownikami. Czasem pomagałem im zwozić „połamańców”. Często spotykałem się z Berbeką, Gajewskim i Pawłowskim. Wziąłem się ostro do nauki. Robiłem prawie równocześnie trzy kursy: ratownika, przewodnika tatrzańskiego i instruktora taternictwa. Naukę miałem o tyle ułatwioną, że jednak Tatry znałem dobrze. Przed wojną chodziłem ze starszymi, w czasie wojny często byłem w górach. Raz dla przyjemności, to znów z konieczności. W 1944 r. pomogliśmy „spaść” swastyce z Mnicha (piszecie o tym w innym miejscu). Po wojnie, kiedy się ukrywałem niejednym razem spędziłem w Tatrach. Tu czułem się najbezpieczniej.

Ratownikiem zostałem okresowo w zimie 1956, a potem zostałem już ratownikiem zawodowym.

Tak zaczęło się moje drugie życie.

W tym czasie Wójcik zorganizował nam, w czasie wolnych dni, malowanie granicy, 2 miesiące mieszkaliśmy w namiocie przy Czarnym Stawie nad Morskim Okiem i wzdłuż całej granicy od Wanty po Szpiglasowy Wierch, znaczyliśmy granicę Państwa. Dla mnie to była znakomita okazja zapoznania się z całym

otoczeniem Morskiego Oka. Uczyłem się gdzie jest jakie przejście czy trawers do różnych ścian grani i szczytów. Często patrzyłem gdzie chodzą kozice. One pokazywały nam różne niewidoczne dojścia. Później ta wiedza bardzo mi się przydała.

Red. — *W roku 1957 dostaliście zestaw alpejski głównie do ratowania ludzi w ścianie. Byleś jednym z pierwszych, którzy przy pomocy windy w szelkach Grammingera zaczął ratować taterników.*

J. U. — Pierwszym był Józek Wawrytko, młodszy, na Filarze Cubryny, potem chyba Gienek Strzeboński, a następnie chyba Krzys Berbek i ja. To był rok 1959.

Red. — *Czy wtedy już wszyscy się przekonali do zestawu alpejskiego?*

J. U. — To zrozumiałe, że początkowo nie wszyscy ratownicy wierzyli w nieznanne. Dopiero po ćwiczeniach i treningach, cały zespół nabral zaufania do nowego urządzenia, które później okazało się w pewnych sytuacjach niezastąpione.



Transport rannego taternika w szelkach Grammingera.

Fot. W Werner

Red. — *Ile razy ratowałeś przy pomocy szelek Grammingera.*

J. U. — Nie wiem, ale wiele razy. Zresztą to robiło wielu kolegów. Sama technika ratowania to przecież sprawa zespołu, ten co ma na plecach w szelkach rannego i ci przy windzie, którzy regulują tempo zjazdu lub podciągania tej dwójki. Mnie to bardzo interesowało. Ponieważ po pierwszym zjeździe ratunkowym nie byłem zadowolony ze swojej sprawności, zacząłem sam ćwiczyć. Do tego trzeba się przyzwyczaić. Przy zjeździe ty posuwasz się z rannym po skale tyłem. Nogami utrzymujesz równowagę. W tej pozycji nie zawsze widzi się oparcie dla nich. Chwilami jesteś w wolnym zwisie. Potem trzeba wyhamować kołysanie. Jeśli ratowany jest lekki to pół biedy.

Mnie się zdarzył na Żabim Mnichu taki wypadek. Poszedł ojciec z synkiem. Ojciec odpadł, złamał miednicę i nogi. Pierwszy doszedł do nich ratownik ze schroniska — Jurek Orawiec. Sam nie mógł nic zrobić. Potrzebny był zestaw alpejski. Kiedy do nich dotarłem z nieba lała się woda. Potem była burza i noc. Rano doszedł Józek Bukowski z resztą sprzętu. Padało mniej. Ustawiliśmy zestaw. Potem miałem kłopoty z podniesieniem ofiary w szelkach. Zjazdu było tylko 70 m, a bardzo się zmęczyłem. Nie wiedziałem co się dzieje. Przecież ta jedna noc z rannym w deszczu nie była tak wyczerpująca. Dopiero gdy ofiarę wypadku zważono w szpitalu, zrozumiałem. Rozebrany ważył 104 kg. Podkreślam, sam zjazd z rannym to żadne bohaterstwo. Pracuje cały zespół.

To było na wschodniej Mnicha. Jeden z taterników odpadł nad okapem, już po największych trudnościach i poleciał na całą długość liny. Było zimno i wiatr. Spieszyliśmy się, bo pogoda była groźna dla wiszącego luzem. Wprawdzie on zabezpieczył się jak mógł, ale kręciło nim. Wyszedłem na krawędź okapu. Zobaczyłem, że dwie liny jeżdżą po ostrej krawędzi pół metra w jedną, pół metra w drugą stronę. Jedna z nich była prawie przetarta. Robił się taki pędzelek. Byłem cały spięty. Czy zdążę zanim ta druga lina się przetrze. Ostrożnie złapałem się liny żeby nie mieć później trudności z dojściem do niego. Jak go dopadłem to po pierwsze przypiąłem go do siebie. Miał swoją uprząż.

Red. — *A Mnich jest trudny dla ratowników?*

J. U. — Nie specjalnie. Dla nas najważniejsze jest, że można stosunkowo łatwo założyć stanowisko dla zestawu alpejskiego. W nocy też miałem okazję zjeżdżać na Mnichu na wschodniej ścianie. Jeden z Węgrów odpadł pod okapem i jakoś tak zaplątał się w szelki i linę, że lina go dusiła. Nie wytrzymałby długo. Dlatego zdecydowaliśmy się na akcję nocną.

Red. — *A Kazalnica?*

J. U. — To kawał historii polskiego nowoczesnego taternictwa. Ściana jest przede wszystkim długa i trudno w niej ratować bez zestawu alpejskiego. Dawniej Gramminger gwarantował do 300 m wytrzymałość zespołu alpejskiego, ale my wiedzieliśmy, że jest duża rezerwa. Na Kazalnicy w najtrudniejszych miejscach

trzeba do zjazdu ok. 600 m lin. Zasadniczo wyciągnąć rannego taternika do góry można, ale potem trzeba go znosić nieprzyjemną ścieżką. Jeśli jest ciężko ranny lepiej opuszczać go nad Czarny Staw.

Red. — *A pamiętasz tych młodych na Kazalnicy?*

J. U. — *Których?*

Red. — *Jeden nadział się na hak.*

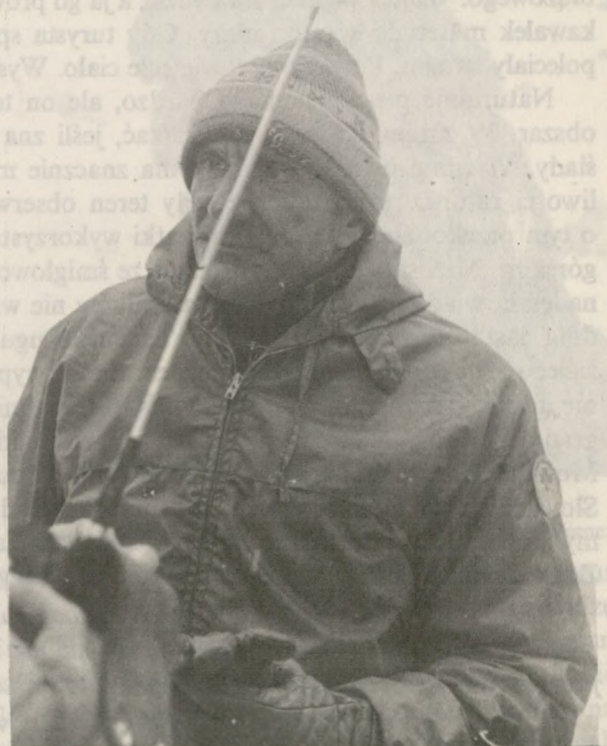
J. U. — To był chyba mój najtragiczniejszy zjazd. Było dwóch młodych taterników na Kazalnicy. 2/3 ściany mieli za sobą. Nastąpiło załamanie pogody. Prowadzący spadł i rozdarł sobie brzuch na haku zostawionym w ścianie. Kolega doszedł do niego, ułożył na półce, okrył czym miał i zaczął wzywać pomocy. To było pod wieczór. Akcję mogliśmy zacząć dopiero na drugi dzień rano. Zjechałem do nich pierwszy i razem z jego kolegą ułożyliśmy rannego w szelkach. Był półprzytomny. Ściana bez przesady ociekała jego krwią. Od wieczora sypał śnieg. Zacząłem z nim zjazd. Miałem do piargów chyba 400 metrów. W pierwszej chwili ranny tak mnie ścisnął ramionami za szyję, że zacząłem tracić oddech. Zdjąłem mu ręce z ramion. Cały czas mówiłem do niego. Uspokoił się, zaczął równo, ciężko oddychać. Nagle 10 metrów nad piargiem gwałtownie stęknął i poczułem, że zwisa bezwolnie... Wiedziałem że, już nie żyje. Pierwsza myśl była taka — Czemu nie żyje? przecież 10 metrów niżej stoi doktor Robert Janik... czemu nie wytrzymał?

A potem takie głupie uczucie zmęczenia i znużenia.

To było 15 lat temu, w sierpniu.

Red. — *Szczęśliwie wypadków taternickich coraz mniej. Natomiast przybywa wypadków turystycznych, a w tym sporo zaginęć. Nie lubisz szukać mimo, że kiedyś Twój „Cygan” nieźle się spisywał.*

J. U. — Nieprawda, szukam chętnie, ale jeśli nie wiadomo gdzie kto poszedł to nawet mobilizacja 250 ratow-



ników niewiele pomoże. Tatry są małe, ale zaginiony może leżeć za załomem skalnym lub w wykrocie, półprzysłony, a takich miejsc są miliony w Tatrach.

Starszy pan i trzy panie szli z Kasprowego na Świnicę. Nad Walentkową jak ta skała wystaje w kierunku ścieżki, a w dole widać dziurę, panie zaczęły się bać. Pan chcąc im ułatwić przejście, zasłonił sobą widok stając plecami do Walentkowej, tak by panie czuły się bezpieczne. Po przejściu drugiej pani, nagle sam zachwiał się, a że stał na kraju ścieżki, runął w dół i zginął. Pogotowie było bardzo szybko na miejscu, między innymi dlatego, że chcieliśmy szybko zabrać zwłoki i nie mieć kłopotu z wozeniem ich przez oficjalne przejście graniczne na Łysej Polanie. (Wtedy takie były czasy, że trwało to 5 dni). Niestety turyści nie mogliśmy znaleźć. Mimo, że znaleźliśmy kierunek spadania i wiadomo było, mniej więcej gdzie zwłoki powinny leżeć. Drugiego dnia, powiększona grupa też nie znalazła ofiary. Wreszcie trzeciego dnia poszło nas chyba dwudziestu. Zaczęliśmy systematyczną penetrację terenu. Główna grupa przeszła dalej tyralierą, a my z Wojtkiem Bartkowskim, zostaliśmy w tyle i zaczęliśmy cały teren, gdzie powinny znajdować się zwłoki, kontrolować spokojnie przez lornetki. Wiedzieliśmy, że miał brązowe spodnie, ale brązu jest w górach pełno. Wreszcie pod wielkim, granitowym blokiem zobaczyłem coś brązowego. Wojtek poszedł sprawdzić, a ja go prowadziłem. Spod głazu wystawało kawałek materiału spodni ofiary. Gdy turysta spadał poruszył piargi. Kamienie poleciały za nim. Przykryły prawie całe ciało. Wystawał tylko kawałek nogawki.

Naturalnie pies tu pomaga bardzo, ale on też węchem obejmuje określony obszar. W zimie łatwiej kogoś szukać, jeśli zna się rejon, bo można zobaczyć ślady. W zimie jednak zaginiony ma znacznie mniejsze szanse przeżycia. Możliwości ratunku szybko rosną, gdy teren obserwuje się ze śmigłowca. Sam się o tym przekonałem. To były początki wykorzystania śmigłowca w ratownictwie górskim. Mieliliśmy szkolenie właśnie ze śmigłowcem na Kondratowej. Z centrali nadeszła wiadomość, że dwóch taterników nie wróciło z Żabiego. Poprzedniego dnia nastąpiło załamanie pogody. Tadeusz Augustyniak zdecydował się od razu lecieć na poszukiwanie, a ja zgłosiłem się do wypatrywania śladów. Początkowo nic nie mogliśmy zobaczyć, ale gdy nasz słaby śmigłowiec wdrapał się jednak nad grań Żabiego, zobaczyliśmy przewiane, ale widoczne ślady. Poleciliśmy nad Morskie Oko, a potem mimo, że to było zakazane, wlecieliśmy w część Tatr Słowackich. W Dolinie Kaczej zobaczyliśmy ślady koło koleby, a kiedy zrobiliśmy kółko, ktoś wyszedł z koleby i machał. Zawiadomiliśmy Horską Służbę. Znaleźli ich. Byli skrajnie wyczerpani. Nie przeżyliby chyba następnej nocy.

Red. — Technika zmieniła bardzo metody ratowania, zestaw alpejski, radio-telefony, śmigłowce. Dobrego psa jednak nic nie zastąpi. Byłeś pierwszym, który przygotował i przez długie lata miał psa ratownika. Skąd się wziął „Cygan”?

J. U. — To dłuższa historia, ale Cyganowi warto poświęcić trochę miejsca. Byliśmy w Karpun na szkoleniu. Tam na górnej stacji kolejki, spotkałem ratownika austriackiego z psem. Zaczęliśmy rozmowę na „psie tematy”. Szło nam

łatwo, bo on mówił po chorwacku. Potem zaczęliśmy na górze inne zajęcia, ale ja przez kilka dni przyglądałem się tej parze ratownik i pies. Ratownik pokazał mi kilka ćwiczeń, które stale przerabiał z psem. Ponieważ widział, że mnie to interesuje, dał mi książkę na temat przystosowania psa do ratownictwa górskiego. U nas wtedy wszyscy przyznawali, że pies jest potrzebny, specjalnie w ratownictwie lawinowym, ale jakoś nikt nie miał ochoty się tym zajmować. Myślę, że koledzy zdawali sobie sprawę, że człowiek by mieć dobrego psa ratunkowego, musi poświęcić temu zwierzęciu bardzo dużo czasu.

Po powrocie z Austrii zdecydowałem się. Doktor weterynarii Maria Gutowska z Sanoka, która zajmowała się psami, miała już młodego psa, który dobrze się zapowiadał. Nazywał się *Cygan*. Ten pies zupełnie zmienił moje życie. Zaczęła się żmudna codzienna praca-zabawa z dorastającym *Cyganem*, który początkowo szukał moich rzeczy, potem rzeczy innych, a następnie bawił się z dziećmi w chowanego.

Potem były dwa międzynarodowe kursy na Słowacji. Tam *Cygan* zdobył najwyższe uznanie. Zimą ze mną dyżurował na Kasprowym. Kiedyś pojechałem, po ostatniej kolejce, przez Goryczkową na tak zwane wymiatanie. Czyli zobaczyć, czy ktoś nie został na trasie.

Była zawieja. Dojeżdżam do Szyjki, widzę, że psa nie ma. Staję, ściągam kaptur i słyszę, że gdzieś daleko daje głos. Wracam się. Po jakichś 80 metrach widzę sylwetkę ośnieżonego psa. Stoi blisko drzewa i szczeka w moim kierunku. Dochodzę. Pod drzewem, w dziurze wykopanej w śniegu starszy pan i 6 letnie dziecko. Okazuje się, że dziecko zgubiło nartę, tata mu chciał pomóc, brał go na plecy i skręcił nogę. Ponieważ ojciec myślał, że dalej nie dadzą rady, wykopali dziurę w śniegu pod drzewem, by się chronić przed zawieją i mrozem. *Cygan* ich



Cygan — pies lawinowy

fot. W. Werner

wyczuł i przybiegł. Gdy stanął nad nimi wystraszyli się. Wyglądał podobno jak niedźwiedź... ale niedźwiedź nie szczeka. Niby nic poważnego, ale do Kuźnic dotarliśmy po 5 godzinach.

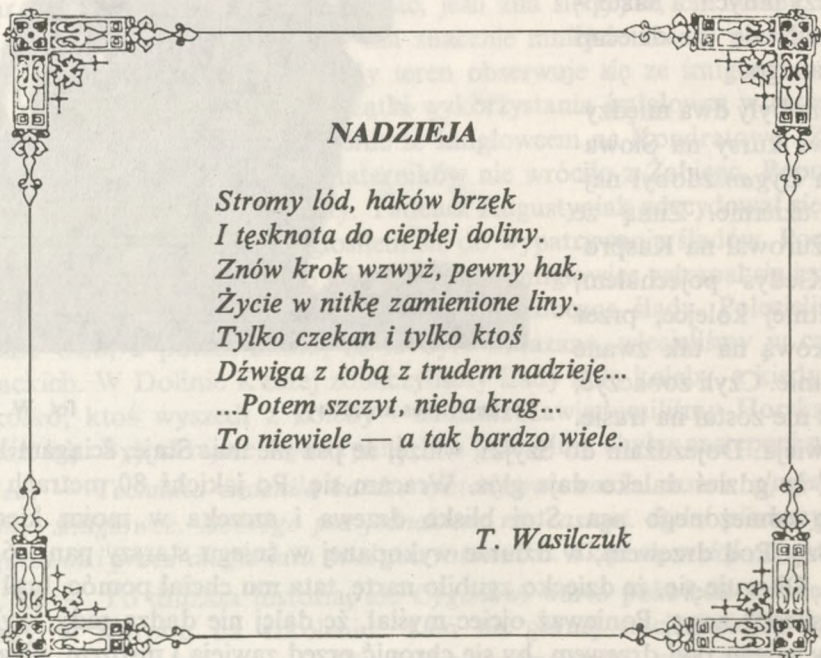
Zima, zawieja, teren zajeżdżony tysiącami nart, a pies ich znalazł. Jeśli chodzi o ratunek w lawinie, to najlepsze aparaty nie zastąpią psa.

Red. — *Czy Cygan znalazł kogoś w lawinie?*

J. U. — Raz. Niestety nieżywego, a drugi raz wchodził trzy razy w lawinisko pod Pośrednim Goryczkowym. Za pierwszym razem znalazł rękawiczkę. Potem przeszedł lawinę dwa razy, wrócił do mnie i położył się. Kiedy go namawiałem do dalszego szukania popatrzył na mnie, jak na kogoś kto nie rozumie, że tam nic nie ma. Rzeczywiście nie znaleziono nikogo mimo, że naoczni świadkowie zejścia lawiny twierdzili, że zasypała czterech narciarzy.

Cygan był 10 lat bardzo sprawny. Potem żył jeszcze 8 lat, ale oboje byliśmy już na emeryturze.

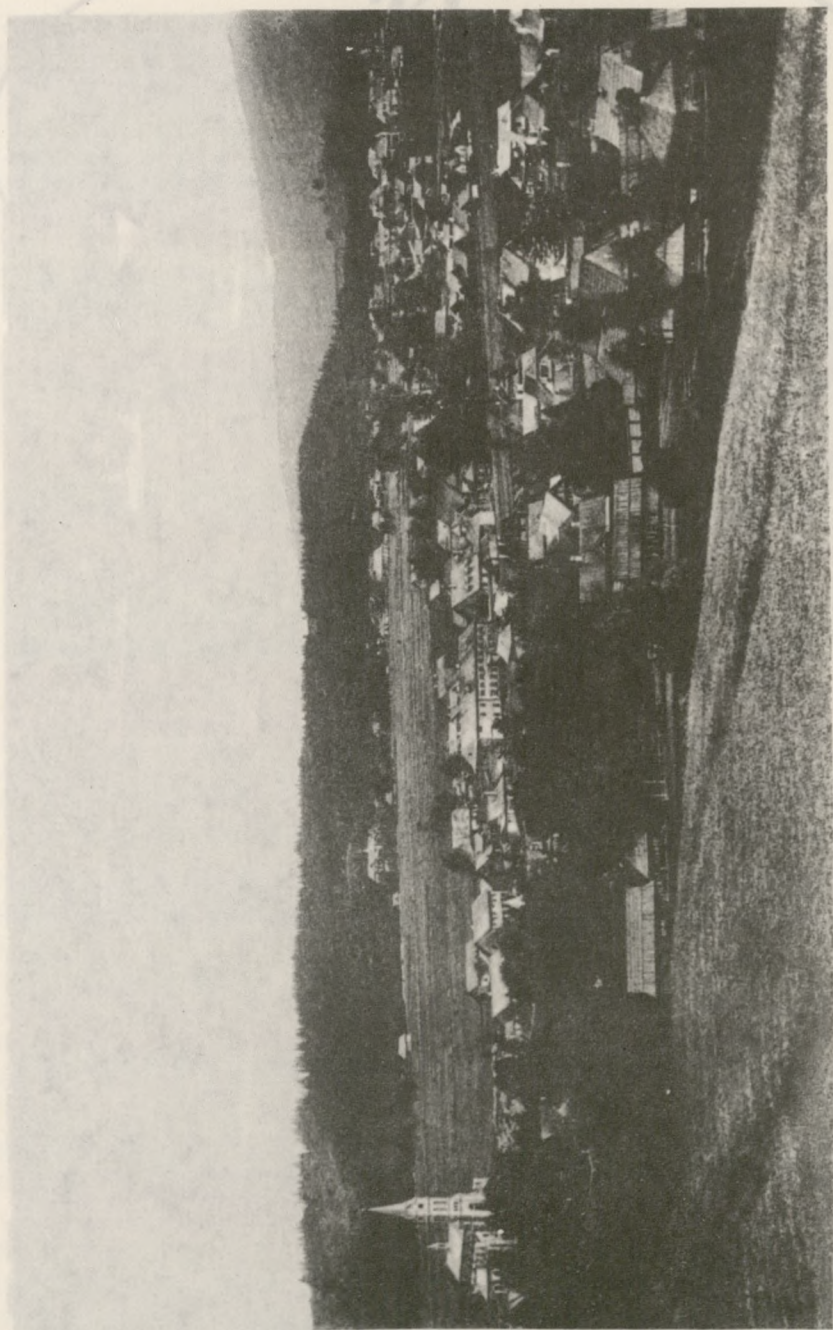
Rozmawiał A. Liberak



NADZIEJA

*Stromy lód, haków brzęk
I tęsknota do ciepłej doliny.
Znów krok wzwyż, pewny hak,
Życie w nitkę zamienione liny.
Tylko czekam i tylko ktoś
Dźwiga z tobą z trudem nadzieję...
...Potem szczyt, nieba krąg...
To niewiele — a tak bardzo wiele.*

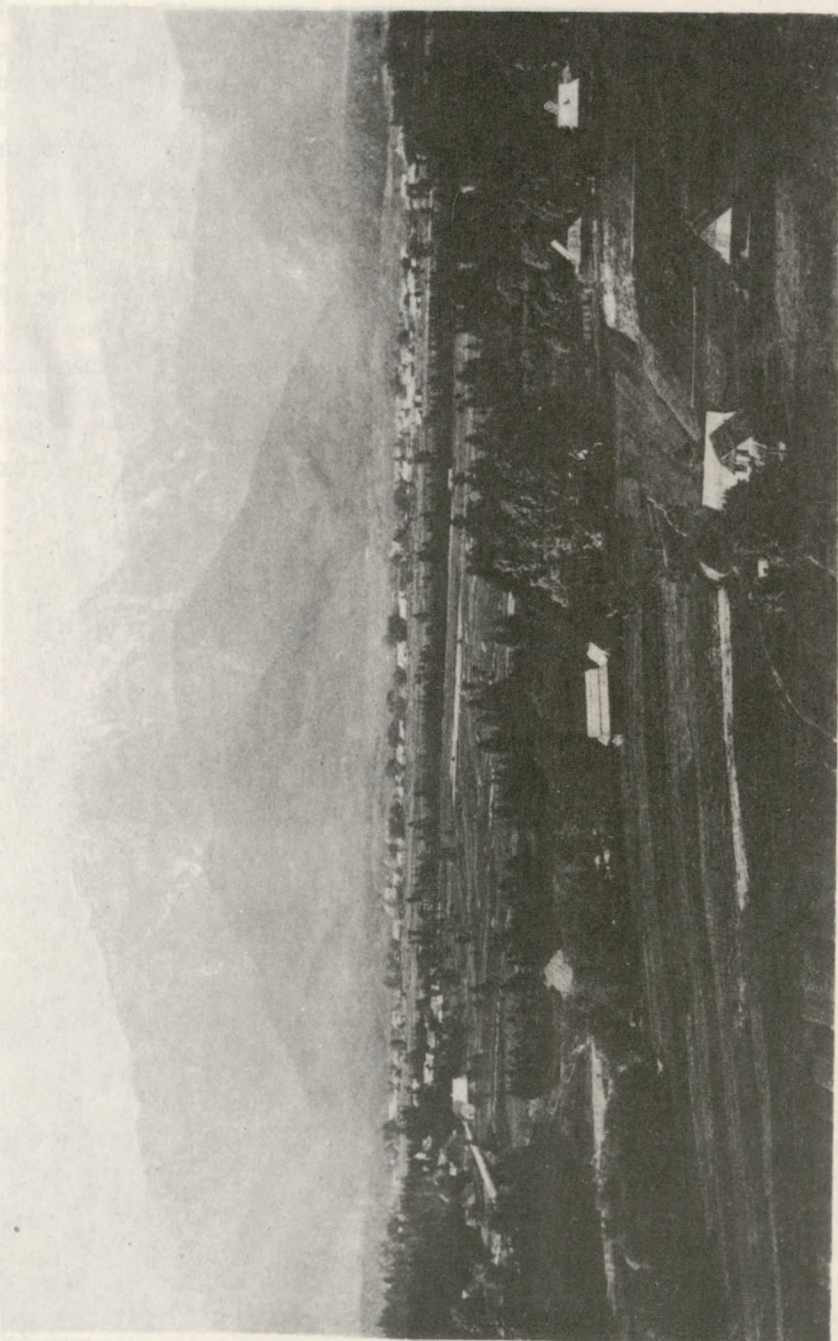
T. Wasilczuk



Zakopane

Fot. A. Szubert (1905 r.)

wyczał
moniwie
dotarł
Zim
o refina
Kod.
J. G.
pod Po
przech
dalejgo
ma. Rz
lawny
Cyg
już ta

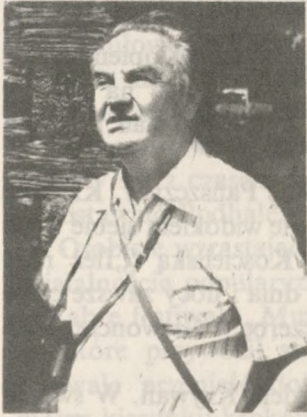


jak
znic
dzi
ako
tem
do
nie
cia
my
rak

VI
Ocalić
od zapomnienia



(cięższy podtył 1925, samolot - pierwszy był na wodzie, ten - pierwszy był na wodzie)



HALNY GAZDA

Wspomnienia, zapiski

Dr Jerzy Młodziejowski

(ur. 02.02. 1909 r. zm. 07.05. 1985 r.)

Urodził się w Łuhinkach (na Wołyniu) jako pierwszy syn Bronisławy Wojciechowskiej (późniejszej aktorki Teatru Polskiego w Poznaniu) i Ludwika Młodziejowskiego. W 1918 roku zamieszkał z matką i młodszym bratem Bronisławem w Poznaniu i z tym miastem związał całe swe życie.

W Zakopanem był już jako sześciolatnie dziecko, ale swoją pierwszą wycieczkę w Tatry odbył w 1923 r. Mieszkał wówczas na Krzeptówkach wraz z całą grupą pod opieką profesora języka francuskiego Mieczysława Koniecznego. Jak się okazało, znakomitego przewodnika po Tatrach, który umiał w młodym i wrażliwym uczniu rozbudzić zainteresowanie i miłość do gór. Jerzy Młodziejowski ukończył studia geograficzne na Uniwersytecie Poznańskim pod okiem prof. Stanisława Pawłowskiego. Tam też uzyskał stopień doktorski.

Po drugiej wojnie światowej dał się poznać jako organizator i popularyzator życia muzycznego, ceniony kompozytor i dyrygent zespołów symfonicznych i chóralnych. Pisał w czasopiśmie, występował w radiu i telewizji, podróżował, zawsze obecny w artystycznym i kulturalnym życiu swego środowiska. Spod jego pióra wyszło sześć książek — wszystkie tematycznie związane z Podhalem bądź Tatrami. Toteż z naszymi górami i wszystkim, co z nimi jest związane, kojarzy się w społeczeństwie nazwisko Jerzego Młodziejowskiego. I słusznie, bowiem ukochał On szczególnie ten zakątek naszej Ojczyzny. Tatry były dla Niego miejscem pracy i wypoczynku. Im poświęcał swoją energię. Spędzał w nich cały swój wolny czas, były dla Niego źródłem inspiracji twórczych. W ciągu 57 lat swojej z nimi znajomości (pierwszy pobyt 1923, ostatni 1979 r.) był na około 120 szczytach.

Jak każdy z nas miał w Tatrach swoje umiłowane miejsce „... z dawna to była Przełęcz Tomanowa — naturalnie głęb Cichej Doliny — Hala Waksmundzka, może Toporowy Staw, na pewno halnista przełęczka między obu Kopieńcami... A jeszcze coś: widok skądkolwiek, z byle grani Tatr Zachodnich na Liptów w południowy czas, gdy słońce grzeje, a Niżnie Tatry błękitnieją nad tą Złotą Krainą liptowską”.

A gdzie indziej w swoich zapisach dodaje do tego Dolinę Pańszczycy, Krzyżne („Krzyżne samo w sobie stało się dla mnie symbolem, a nie widokiem siebie — to z Krzyżnego widać, a nie Krzyżne widać”), Dolinę Kościeliską („Ileż razy przemierzałem w obu kierunkach dolinę o różnej porze dnia i nocy zawsze czuję się tą nieludzką atmosferą wzruszony”), Małą Łąkę, Szczerbę w Giewoncie — no i Morskie Oko.

Ze szczytów tatrzańskich ukochał naprawdę tylko jeden: Krywań. W swoich notatkach pisał — „com był na jego wierchu w 1930 roku! Raz jedyny — choć we mgle... Krywań — Krywań — Krywań! Nieprawdopodobne widoki...”

Tatry były dla Jerzego Młodziejewskiego jego prywatną dziedziną. „Halny gazda idzie w góry” — mawiał o sobie. Unikał w nich ludzi, wybierał trasy, na których jak najmniej ich mógł spotkać. Rzadko chodził w rezerwaty ściśle, na które miał odnawiane co roku zezwolenie. Ale gdy spotykał ludzi, sam zaczynał z nimi rozmowę i próbował ich zarazić swoją miłością do gór.

Z biegiem lat jego pasja poznawcza, od początku silnie zabarwiona uczuciem, przekształcała się w prawdziwą najgłębszą miłość. A wspominał o tym tak: „Mało to się naobejmowałem i naściskałem smrekowych pni! Limby nie śmiałem — to dostojna Pani — ostrożnie!”, „Na krawędzi łąki pod Nosalem stoi przy wążutkiej perci młody smrek. Tak jakem go 27.VII na powitanie uściskał i korę całował, tak dziś znowu go objąłem dwa razy i pożegnałem prosząc, by na przyszły rok zaszumiał mi znowu i znowu”, „Gdy już stanąłem u samiutkiego podnóża Tatr, klęknąłem i ucałowałem tę jedyną dla mnie na świecie ziemię... otom się przecież żegnał z Tatrami na cały rok”.

Miał wielki dar obserwacji i umiejętności dostrzegania konkretnych, zwartych problemów. Co jakiś czas notował je sobie i pod kątem tych problemów organizował swoje wycieczki, przynoszące z kolei dalsze pomysły. Drugi przewijający się przez jego notatki motyw — to muzyka. Wzorem był mu tu zawsze Karłowicz. Mówił o sobie „Chyba jestem jednym z bardzo nielicznych muzyków polskich o absolutnym i niezmiennym sentymencie do muzyki Karłowicza”. Rozróżniał muzykę „góralską” i „górską”. Dał temu wyraz w swoim referacie „Góry polskie w muzyce polskiej” wygłoszonym na sympozjum — „Góry w kulturze polskiej” — zorganizowanym przez Komisję Turystyki Górskiej ZG PTTK w listopadzie 1974 roku, wymieniając aż 74 utwory oparte na tematyce górskiej. Dostarczył też szczegółowego materiału do hasła *Muzyka* w Encyklopedii Tatrzańskiej Z. i W.H. Paryskich.

Bardzo różne sytuacje wyzwalały w Nim muzyczne skojarzenia. Wędrówki tatrzańskie i podtatrzańskie łączył Jerzy Młodziejowski z fotografowaniem. Gdy jego umiłowanie Tatr i Podtatrza zaczęło się coraz bardziej przeradzać w plany opisanego tego co widział i przeżył, fotografie stały się motywem centralnym, a później nawet naczelnym jego wędrówek. Zdawał sobie sprawę, że większość z tego, co utrzymywał, przynajmniej na Podtatrzu, szybko się kończy. Jego Tatry stawały się z czasem coraz mniej skalne, a coraz bardziej zielone — „Skalne” pozostawało Podhale.

Osobiste wzrastające trudności w obcowaniu z górami rekompensował żywą działalnością popularyzatorską. W latach 1973-75 organizował w sezonie letnim w Rabce festiwale „Muzyka i poezja gór”, ciesząc się dużym zainteresowaniem, na które przywoził swój kwartet smyczkowy i chóry poznańskie. Chciał te festiwale przenieść do Zakopanego. Niestety, mimo pewnych poczynionych w tym kierunku kroków, nie udało się zamierzenia tego doprowadzić do skutku. Z końcem lata 1976 urywają się zapiski tatrzańskie. Ostatnią pożegnalną wycieczkę na Halę Gąsienicową odbył latem 1979 roku. W okresie wędrówek po Tatrach zapisał:

„Żeby tylko w ostatniej chwili posłyszał owcze dzwonki, szum lasu, muzykę potoku, to już potem niech będzie ciemność!”

Znakomity pedagog, który niejednego swojego ucznia „zaraził” miłością do gór, geograf, muzyk, był przez całe dziesięciolecie znaną w Poznaniu i nie tylko, osobistością ze świata muzyki i gór.

Z materiałów dostarczonych przez Witolda Młodziejowskiego — syna, na podstawie artykułu „Nie przespałem, nie przepasowałem życia” Ryszarda W. Schramma opracowali

Halina Filarowska
Jerzy Preisler

WYCIECZKA DO PIĘCIU STAWÓW

Fragment książki Jerzego Młodziejewskiego
p.t. „O Tatrach rozmowy”

W bardzo pogodne sierpniowe popołudnie 1931 roku postanowiłem wyprowadzić Mamę najdogodniejszą drogą na Gubałówkę, a przynajmniej wysoko na jej zbocza, gdyby się Mama nadto zmęczyła. Szliśmy z wolna wąskim wąwozem, gdy zza zakrętu, wprost nam naprzeciwko zeszli jacyś starsi państwo. Niski, mocno szpakowaty pan w szarych golfach i towarzysząca mu pani w szerokiej, rzekłoby się „turystycznej” spódnicy. Widać było, że oboje są albo wytrawnymi turystami, albo po prostu w Zakopanem stale mieszkają. Gdym spojrział w twarz siwego pana, struchlałem z wrażenia... Przecież to s a m Eugeniusz Romer!

Wiedziałem z dawna, że mieszka na stokach Gubałówki we własnym domu, o wiele geografom mówiącej nazwie „Atlas”, wiedziałem, że mimo poważ-

nego wieku jest pełen sił i zdrowia, ale nie przypuszczałem, że Go tu właśnie spotkam. Gdy już państwo Rome-
rowie zrównali się z nami, zaryzykowa-
łem i najuprzejmiej przepraszając Pro-
fesora wręcz Mu się przedstawiłem,
mówiąc oczywiście, że jestem uczniem
profesora Pawłowskiego, że mam już
za sobą czwarty rok studiów geografi-
cznych, i że właśnie w Tatrach kon-
tynuuję badania nad morfologią
grzbietu Polskich Tatr.

Romer z typowym dla siebie entuz-
jazmem i serdecznością, która mu tyle
sławy w świecie zawsze przynosiła
— zwrócił się do Żony ze słowami,
które do dziś mile brzmią mi w uszach:
„Mamusi! Pan jest studentem Stasia
i pracuje w Tatrach!” Gdy to powiedział,
szarmanckim ruchem zwrócił się do mo-
jej Mamy i przedstawił się. A mnie

objął za szyję i serdecznie ucałował. Panie tymczasem się przywitały. Okazało się, że Profesor doskonale zna jeszcze... z uniwersyteckich studiów mego ojczyzna, Witolda Noskowskiego, co nadto miłszy akcent w naszą krótką rozmowę wprowadziło. Romerowie mieli na dole w Zakopanem jakieś spotkanie — myśmy z Mamą także chcieli wyjść najwyżej, więc też po kilkunastu minutach skrzącej się jak piana na potoku rozmowy trzeba było konwersację na razie zakończyć, a jej dalszy ciąg przenieść na inny dzień, gdyż Romerowie zaprosili nas na podwieczorek do „Atlasu”. A jeszcze Profesor w najbardziej nieoczekiwany sposób zaprosił mnie na całodniową wycieczkę do Pięciu Stawów, byśmy mogli „wspólnie” — jak się wyraził — obejrzeć pewne formy polodowcowej rzeźby granitowych Tatr. Pierwszego też pogodnego dnia miałem oczekiwać Profesora przy starym kościele zakopiańskim o czwartej rano. Oniemiałem z wrażenia i łatwo sobie wyobrazić, że mieszkając w Muzeum natarczywie pytałem Józefa Fedorowicza o pogodową prognozę na najbardziej osobisty użytek. Dzień ów nadszedł niebawem. Ani jednej chwili zeń nie zapomniałem...

Byłem już co najmniej kwadrans przed oznaczoną godziną na umówionym miejscu. Jeszcze zegar nowego kościoła nie zdążył „ogłosić” czterech uderzeń, a już z zadrzewionej jesionami, krętej ulicy Kaszelewskiego wyszedł ku mnie Profesor. W ręku trzymał jasną laseczkę, na głowie miał gabardynową czapkę, przez ramię przewieszoną sporą torbę, a na jej rzemykach starannie ułożony gumowy

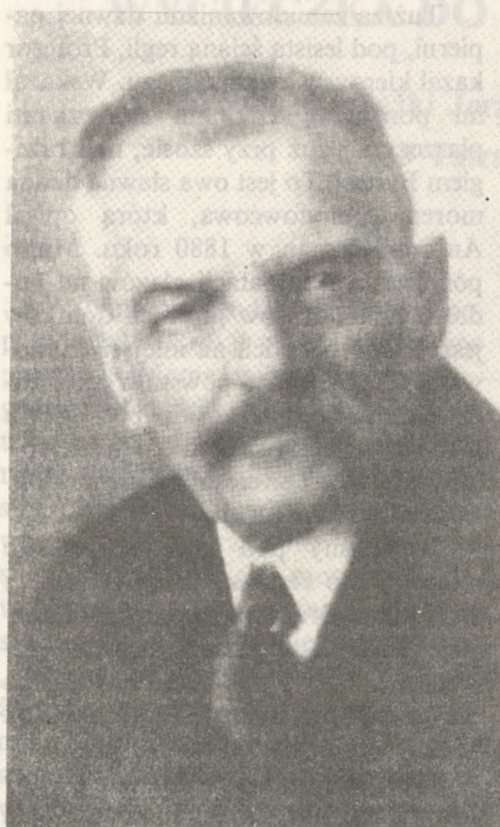
płaszcz w razie deszczu. Z czarującym uśmiechem uściskał mnie tak jak wtedy na stokach Gubałówki. Oświadczył, że zaraz nadjedzie auto kogoś znajomego, mające nas odwieźć do Kuźnic, by nie mitrzyć czasu. Dzień zapowiadał się zachwycająco, gdyż było raczej chłodno, a na dodatek ze wschodu powiewał łagodnie rzeński wiatr. Cicha jeszcze była o tej porze (i w owych czasach) ulica Kościeliska, toteż nadjeżdżające auto usłyszeliśmy z daleka.

Tuż za zabudowaniami dawnej papierni, pod lesistą ścianą regli, Profesor kazał kierowcy zwolnić biegu. Wskazał mi porośniętą rzadkimi smreczkami płaszczynę, tuż przy szosie, nad brzegiem Bystrej. To jest owa sławna denna morena polodowcowa, którą opisał Antoni Rehman w 1880 roku. Mimo późniejszej eksploatacji gładów na budowę fundamentów polskich domków jeszcze sporo się ich na miejscu zachowało. Gdyby kiedyś powstało geograficzne muzeum tatrzańskie pod gołym niebem — taki „Skansen” — tu należałoby kierować interesujące się krajobrazem Tatr wycieczki.

Jechaliśmy pod górę kilkanaście minut. Koło restauracji w Kuźnicach stało kilka góralskich dorożek. Na kozłach drzemali woźnice; oczywiście restauracja była zamknięta. Kolejki na Kasprowy nie było jeszcze! Był rok 1931 — jakeż inaczej tam teraz.

Weszliśmy w skalną bramkę Doliny Jaworzynki. W łożysku potoku ani kropli wody; suche lato, a i dolina nigdy w wodę nie obfitowała. Z dachów kilku szałasów podnosiły się wstążeczki dymu; gaździnki krzątały się wokoło śniadania. Prędko minęło

nam przejście całej dolinki po płaskim dnie, ale niejaki mózół zaczął się na stoku Kopy Królowej, gdyż ostro podezwana w górę perć rzekła nam, że spacer już się dla nas skończył. Profesor nie spieszył, lecz szedł wytrwale i jakby na sprężynach. Co chwila coś mi objaśniał i na coś wskazywał. Krótkie i jasno sformułowane zdania Profesora znane były w całej „polskiej geografii” — byłem dumny, że dziś należały się wyłącznie mnie, uczniowi ucznia Profesora.



Eugeniusz Romer

Słońce tymczasem wyjrzało zza Kozyszkiej i oświetliło nam twarze. Stanęliśmy na Karczmisku. Profesor wskazu-

jąc na połogi, ciemnozielony zwał, dzielący Dolinę Czarnostawiańskiego Potoku od Doliny Olczyńskiej, rzekł, że na samym wierzchu zwału znaleźć można olbrzymie granitowe gazy osadzone tu przez lodowiec, przepływający nad obu dolinami. W górnej partii Olczyńskiej na murawie Królowej Polany leżą powinny sporych rozmiarów ostrokrawędziste gazy, pochodzące z owej „transfluencji” (przepływania). Istotnie leżą, co sprawdziłem wiele lat później.

Kocioł Czarnego Stawu Gąsienicowego zaciemiony w owej wczesnej godzinie dnia (dochodziła 6 rano) świetnie ukazywał swój poziomy próg, zamykający od północy misę stawu. Ostro też rysowała się niska, bardzo wyraźna grańka Małego Kościelca, oddzielająca Kocioł Czarnostawiański od zakątka „innych” Stawów Gąsienicowych. W pięknie bielejącym schronisku Towarzystwa Tatrzańskiego dawał się odczuć „turystyczny poranek”, gdyż w różnych kierunkach sły kilkusobowe zespoliki wędrowców.

— My nie pójdziemy na Zawrat! Znajdziemy sobie do Pięciu Stawów mniej uciążliwe dojście, a i polodowcowa rzeźba niejedną nam interesującą „twarz” pokaże — odezwał się Profesor, zanim poczęliśmy się opuszczać ku dnu Hali Gąsienicowej.

Zachwycająca pogoda towarzyszyła nam od samiotkiego rana i byliśmy pewni, że nie opuści nas do końca dnia. Szliśmy różnym krokiem; nie miałem dość słów uznania dla marszowej „gotowości” Profesora. W jego krokach widziało się sprawność rysia. Żadnego zmęczenia czy typowego w pewnym wieku „zasapania”. Gdyśmy co pół mniej więcej godziny zatrzymywali się na krótki od-

poczynek — Profesor wzorem wytrawnych turystów nie siadał. Opierał się na swej laseczce i dopiero owego dnia zrozumiałem, że taki kijaszek może być w Tatrach pomocny. W wiele lat później, już po wojnie, często chadzam z jesionową laską, którą dostałem w podarunku od Profesora Władysława Szafera. Gdy jeszcze na halach pasły się owce — laska bywała przydatna do odpędzania psów, które lubiły straszyć swym basowym szczekaniem, a gdyby nie laska, chętnie dobrałyby się do portek.

Szliśmy obok kilku malusieńkich, ale bardzo głębokich staweczków, przypominających lejki. Zawsze trzyma się w nich woda; nawet w najgorętsze lato. Przekroczyliśmy płynący w głębokim rowie potok od Suchoj Przełęczy i tu Profesor wskazał na interesujące nas formy terenowe.

Oto ku południowi, pod groźnymi ścianami Zawratowej Turni i Świnicy rozsiadł się potężny kocioł, niegdyś siedlisko mas lodowcowych. Pozostały po nich wyraźne ślady w postaci wspaniale zachowanych wygładów skalnych, po których spływa szerokim nurtem potok od jednego z wyżej położonych Stawów Gąsienicowych. Klasyczną miseczkę ma Długi Staw, zresztą niespecjalnie głęboki (13 metrów); mieści się w bardzo pięknym otwartym ku północy „wąwozie”. Inne stawki nie są duże, lecz każdy ma swoje „oblicze” i niezwykle malownicze położenie wśród olbrzymich

zwałów piarżystych. Taki Zadni Staw Gąsienicowy cały jest jakby zatopiony w głazach... Ilekroć tam jestem, zawsze przypominają mi się słowa Tetmajera: „... takiego chłodu wieje prąd, że nawet orły strzepią pióra i odlatują szybko stąd...”

— A teraz proszę się obrócić w lewo — mówił Profesor. — Wyraźnie z naszego stanowiska widać krawędź



Polodowcowy glaz narzutowy na osadowym podłożu

załamania stoku dolinnego. Jest to brzeg przegłębienia dna doliny, dokonanego przez lodowiec. Krawędź ową widać aż ku Kopie Magury — niechże

Pan dobrze przy tej okazji pamięta, że słowo „magura” pochodzi z dawnego języka rumuńsko-wołoskiego i nie ma nic wspólnego z polskim słowem „góra” — toteż piszemy naszą kopę przez „u”.

Podchodząc wykopanymi w stromych trawnikach zakosami znaleźliśmy się

wreszcie na szerokim siodle Liliowego. Nazwa istic podhalańska — pochodzi od „lelui”, jak juhasi zwali żółto kwitnący pehnik (Trolius). Trzeba by więc dokładnie wymawiać „Lelujowe”; żadnych związków z liliowym kolorem! Na przełęczy w dość znacznych podłużnych rowach

w białym wapieniu przez wodę wyerodowanych kwitły właśnie pyszne tojady o ciemnogrnatowych kwiatach.

Widok, jaki się stąd otwierał, był prawdziwie zachwycający. Pod stopami szarozielona, głęboko wcięta Dolina Cicha, wgłębiona między masyw Wielkiej Kopy Koprowej a grań Czerwonych Wierchów. I znowu przychodzi mi na pomoc poeta Kazimierza Tetmajera, patrzącego w Dolinę Cichą...

*Ciemnozielony w mgłę złocistej
wśród ciszy drzemie uroczystej
głuchy smrekowy las.*

*Na jasnych, bujnych traw pościeli
pod słońce się gdzieniegdzie bieli
w zieleni martwy głaz.*

*O ścianie nagiej, szarej, stromej,
spiętrzone wkoło skał rozłomy
w świetlnych zasnęły mgłach.*

*Ponad dolinę się rozwiesza
srebrnoturkusowa cisza
nieba w słonecznych skrach.*

*Patrzę ze szczytu w dół; pode mną
przepaść rozwarła paszczę ciemną —
patrzę w dolinę, w dal:*

*i jakaś dziwna mię pochwyca
bez brzegu i bez dna tęsknica,
niewysłowiony żal...*



Schronisko na Hali Gąsienicowej — nad nim Świnica

Liczyłem sobie owego dnia 22 lata, cudowna pogoda roztaczała przede mną wszystkie powaby. Tatry nurzały się nieomal w przeźroczystości — daleko widniały złote równiny Liptowa, zamknięte niebieskawą sylwetką Kralowej Holi i Dżumbiru w Niżnich Tatrach; byłem wreszcie w towarzystwie tak znakomitego uczonego i tak młodzieży oddanego Mistrza. Nie czułem tedy owej „tęsknicy”, choć dobrze ją znałem z Ludźmierza i z niewielu chwil życiowych zwątpień. Gdy nadto spoglądałem w krajobraz Cichej Doliny, w głębokie zacięcie Tomanowej Przełęczy, jednego z najdroższych mi miejsc w całych Tatrach — szczęście ogarniało mnie niewypowiedziane.

Profesor przypomniał ową sławną dyskusję geologów odbytą w roku 1903 tu na Liliowem podczas wycieczki międzynarodowego zjazdu uczonych. Mieczysław Limanowski — jedna z najpiękniejszych postaci geologii (i teatrologii), Francuz Maurycy Lugeon, Austriak Wiktor Uhlig analizowali widoczne stąd jednostki tektoniczne i dosłownie „przewracali” Tatry, by uzasadnić porwijącą w swej rzekomej fantazji „płaszczywinową” hipotezę powstania tatrzańskiego łańcucha. Ilekroć przechodziłem później tym szlakiem, zawsze „widziałem” zapalczywych dyskutantów, którzy przed wielu laty toczyli boje o prawidła tektonicznych ruchów.

Profesor wskazywał na masyw Wielkiej Kopy Koprowej, mówiąc o pięknie zachowanych w tej partii gór cyrkach lodowcowych. I tu właśnie doradził mi, bym się po magisterium zajął szczegółowo morfologią Kopy Koprowej. Tak się też stało, bowiem w letnich miesiącach 1936 i 1937 roku wiele po Kopie chodzi-

łem i wiele materiałów z niej zebrałem. Mam je wciąż niepublikowane w notatkach. Może jeszcze do nich powrócę?

Kiedyś w owe lata schodziłem bardzo stromym stokiem z Kopy Koprowej wprost na dno Doliny Cichej. W połowie stoku, nad huczącym potokiem stał wyniosły pień dawno uschniętej limby. Piorun w nią zapewne strzelił; umarła, lecz srebrzysty „pomnik” drzewa długie lata stał i trwał. Niestety, po wojnie w 1949 roku, będąc na Liliowem już limby nie dojrzałem. Runęła w gęstwę borówczyńska jak wiele jej podobnych „samotnych limb” tatrzańskich.

Zboczami Skrajnej i Pośredniej Turni prowadziła nas po słowackiej stronie wygodna, lecz mało wtedy uczęszczana perć na dno Dolinki Wierchcichej. U potoku, pod głazem, czerniał nisko nad ziemią otwór. Wiódł do zacisznego w razie deszczu schroniska pod okap głazu. Mogły się we środku zmieścić wygodnie trzy osoby w leżącej pozycji. Typowa „koleba” jakich wiele w całych Tatrach. Iluż taterników czy zwykłych turystów nocowało w takich kolebach! W tej właśnie i ja spędziłem w 1929 roku pełną trzasku bijących wokoło piorunów noc. Miałem śpiwór, a choć nie zmuszała mnie do noclegu żadna konieczność, postanowiłem po prostu zanocować tu dla nabrania romantycznych wrażeń. Zerwała się po północy straszliwa burza, a że koleba leżała w skalnym kącie pod urwiskami Walentkowej i Świnicy — echo każdego piorunu zwiokrotniało się niezwykle. Miałem więc tej romantyki pod dostatkiem.

Profesor słysząc me opowiadanie o tym skalnym hoteliku wspomniął na

swoje rozliczne noclegi w Czarnohorze, podczas badań geograficznych. I one były wprost z repertuaru romantyzmu.

Mieliśmy przed sobą jeszcze jeden wysiłek dość stromą i obsypującą się percią na skaliste, boczne ramię Walentkowej. Niedługo trwał ten niemiły epizod, lecz przecież i w Tatrach istnieją „odwrotne strony medalu”. Wydostaliśmy się na szerokie, bardzo już trawiaste upłazy najwyższego piętra Doliny Cichej. Groźną, poszarpaną piłą wznosiła się nad nami grań Hrubego Wierchu. U jej zachodniego krańca nieśmiało wystawał czubek Krywania, stąd mało imponujący i jakby załęczniony. Na tle Hrubego uniażała się łagodnym łukiem przełęcz Zaworów. Łatwo nam było się na nią dostać: niedaleko i wygodnie. Sławny stąd widok na górne piętra Koprowej Doliny, zwłaszcza Piarzystą i Ciemnosmreczyńskie Stawy. Zawieszona nad dnem doliny kotlinka na południe od Zaworów także należy do typowych form polodowcowej rzeźby. Na samym skłonie kotlinki znajduje się mały, błotnisty, lecz bodaj nigdy nie wysychający Kobyli Stawek. Dawniej pasły się tu szerokorogie, siwe woły lip-towskie podzwaniając w kosówkach olbrzymimi jak wiaderka „turconiami”. Łagodne były i spokojne, lecz przecież ilekroć mijalem takiego „tura”, zawsze miałem dość rzadką minę. „Dziś tu cicho...” — jak w noweli Tetmajera.

W poprzek trawiastego stoku Gładkiego Wierchu ułożono wygodną perć na graniczną Gładką Przełęcz. W dziesięć minut byliśmy na niej. Tu Profesor zarządził co najmniej półgodzinny odpoczynek. Podłożyliśmy pod siebie „nieprzemakalki”, by chłód od skały

nie przeszkadzał; Profesor rozpoczął improwizowany wykład w najwspanialszej chyba sali wykładowej świata. Bo też leżąca pod stopami Dolina Pięciu Stawów Polskich przy tak wspaniałej jak owego dnia pogodzie, przy tak fantastycznej przejrzystości powietrza, że poprzez wykrój Roztoki z łatwością można było gołym okiem śledzić rysunek skał w Pieninach — dolina tych „Pięcistawów” (jak ją juhasi zwali) przedstawiała dla geografa zachwycający i pouczający krajobraz. Płaskie jej dno z wyciętymi misami stawów, głównie Czarnego i Wielkiego, mnóstwo mikroform polodowcowej rzeźby stanowiła ilustrację, z której obserwator „na wieki” zapamięta lekcję glaciologii górskiej. Cienie rzucane przez kuliste obłoki stały się kolorowym deseniem na dnie doliny. Było zupełnie cicho, z dala dochodził miarowy szum potoku, z którego miała się urodzić bujna, dzika i nieposkromiona Roztoka. Patrzyłem na charakterystyczną anomalię hydrograficzną, tuż pod stopami. Oto potok z Zadniego Stawu pod Kołem miał wpadać do niższego odcień Stawu Czarnego omija jego zbiornik, natrafiając na zaporę skalnego rygła, wymodelowanego lodowcem na kształt bochenka chleba. Wpada wprost do Wielkiego Stawu, choć wpadać doń „nie powinien”. Za Wielkim Stawem, już pod stokami Opalonego Wierchu, legła wyraźnie odcięta krawędź doliny, w stosunku bowiem do dna Doliny Roztoki „Pięcistawy” są zawieszane.

Poczęło się łatwe i neutrudzające zejście do Gładkiej Przełęczy. Od pobliskiego Zawratu dochodziły ludzkie głosy, a że akustyka w tym zakątku jest



Typowy rów nagrzebietowy

znakomita — przysięgłbym, że ktoś „z zachwytu” nad Zawratowym krajobrazem śpiewał arię Toreadora z „Carmen”.

Należał się nam porządny posiłek, toteż wstąpiliśmy do schroniska gdzie gaździna Marysia Krzeptowska z Brzegów (z domu Budzówna) podała sztukę mięsa z kopsiastą porcją makaronu. Profesor jadł z apetytem, ja Mu dzielnie towarzyszyłem, a że dzień zmieniał złotą barwę na bardziej miodową, po-

żegnaliśmy niebawem Marysię i jej męża, Andrzeja Krzeptowskiego, który właśnie nadszedł z obchodu swego rewiru ochronnego; był w owym czasie „dozorczą” zwierzyny, by jej kłusownicy krzywdy nie robili.

Na progu doliny widzieliśmy świetnie zachowane wyglądy lodowcowe, jakby je ktoś olbrzymią ręką w skale wymodelował. Stanąwszy na krawędzi progu słyszymy głuchy łoskot — to Wielka Siklawa!

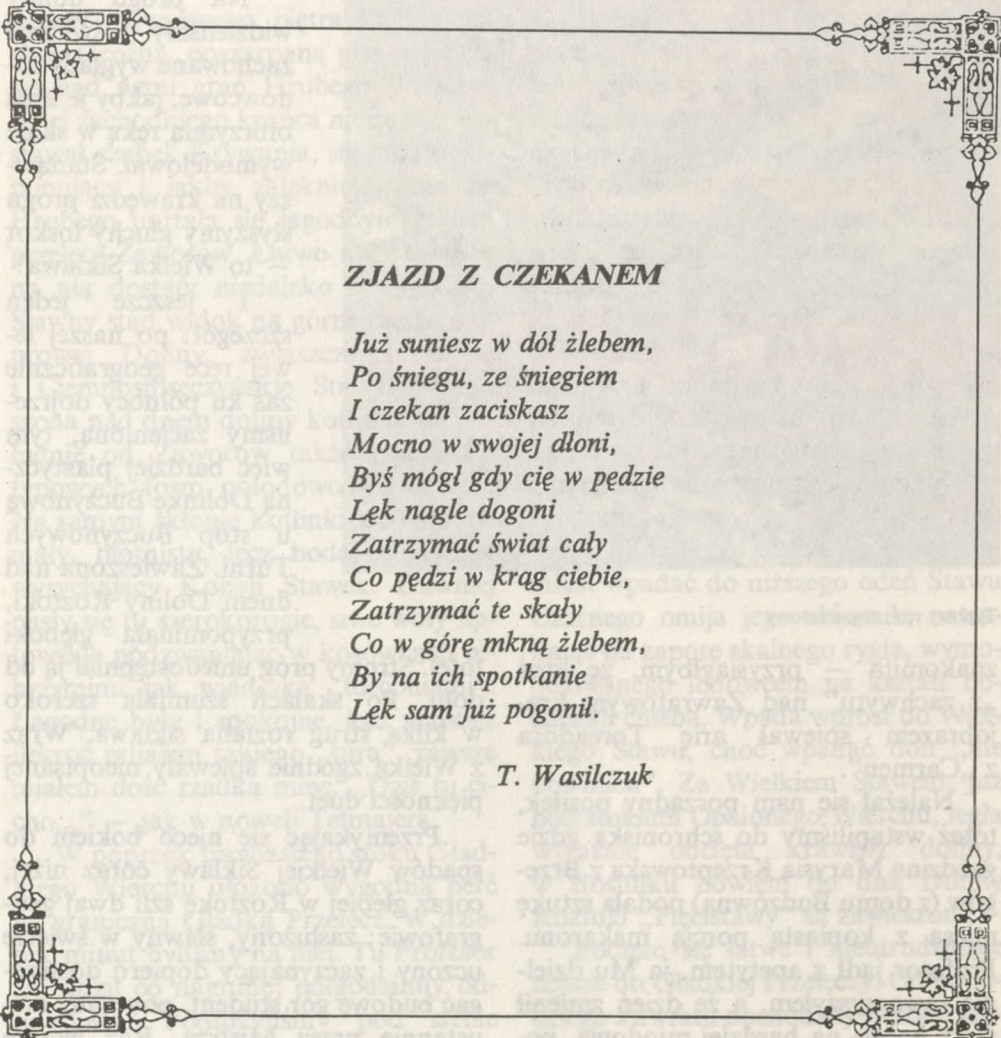
I jeszcze jeden szczegół: po naszej lewej ręce geograficznie zaś ku północy dojrzeliliśmy zacięną, tym więc bardziej plastyczną Dolinkę Buczynową u stóp Buczynowych Turni. Zawieszona nad dnem Doliny Roztoki, przypominała głęboki

fotel. Stromy próg uniedostępniał ją od dołu. Po skałach szumiała szeroko w kilka strug rozlana siklawa. Wraz z Wielką zgodnie śpiewały nieopisanej piękności duet.

Przemykając się nieco bokiem do spadów Wielkiej Siklawy coraz niżej, coraz głębiej w Roztokę szli dwaj geografowie: zasłużony, sławny w świecie uczony i zaczynający dopiero dostrzeżać budowę gór student, pouczany nieustannie przez Mistrza. Raz jeszcze

Profesor na chwilę się zatrzymał, by wskazać znakomicie stąd widoczny poprzeczny przekrój Doliny Rostoki w kształcie litery „U”. Do południa raczej zacieniona, teraz złościła się nam dolina pełnym światłem. Horyzont

zamykały niebiesko-białe tej godziny Bielskie Tatry; z Wołoszyna jak bajeczne węże sunęły w głąb jasne smugi żlebów, a na stokach Świstówki zieleniły się limby, pięknie zachodzącym słońcem rozświetlone.



ZJAZD Z CZEKANEM

*Już suniesz w dół żlebem,
Po śniegu, ze śniegiem
I czekan zaciskasz
Mocno w swojej dłoni,
Byś mógł gdy cię w pędzie
Łęk nagle dogoni
Zatrzymać świat cały
Co pędzi w krąg ciebie,
Zatrzymać te skały
Co w górę mkną żlebem,
By na ich spotkanie
Łęk sam już pogonił.*

T. Wasilczuk



WIÓDŁ MŁODZIEŻ KU SZCZYTOM

Na chrzanowskim cmentarzu stoi pomnik z tatrzańskiego granitu w kształcie strzelistej turni, poświęcony dr Zdzisławowi Krawczyńskiemu, profesorowi Gimnazjum im. Stanisława Staszica w Chrzanowie, a na nim napis: „Wiódł młodzież ku szczytom” i poniżej „Autor wielu pieśni religijnych i harcerskich” oraz fragment jego wiersza:

*„Ty przetrwasz Polsko zawieje i burze,
bo chrześcijaństwa stanowisz przedmurze”.*

W ponad 80-letniej historii chrzanowskiego gimnazjum był Profesor najwybitniejszym pedagogiem.

W tym roku mija setna rocznica Jego urodzin. Urodził się 27 października 1893 roku w Muszynie. W 1910 roku zdał z wynikiem celującym maturę w Wadowicach. Następnie na Uniwersytecie Jagiellońskim studiował historię i geografii oraz polonistykę i filozofię. Studia przerwała I wojna światowa. Po zakończeniu wojny skończył studia i podjął pracę w seminarium w Strzyżowie. 3 września 1921 roku rozpoczął pracę pedagogiczną w Gimnazjum w Chrzanowie. W 1931 roku uzyskał doktorat z filozofii.

Znakomity pedagog-wychowawca, rozmiłowany w górach. Turystyką zaczął się już interesować w szkole podstawowej; z rodzeństwem i kolegami wyruszał na pierwsze wycieczki beskidzkie i tatrzańskie. W czasie studiów każdą wolną chwilę poświęcał górom poznając coraz to nowe szlaki. Na pierwszym miejscu były Tatry. Przeżywał piękno tatrzańskiej przyrody. Dał temu wyraz w swej twórczości poetyckiej. Zainteresował się też taternictwem, był częstym partnerem J. Chmielowskiego i M. Świerza.

Jako młody nauczyciel wprowadził pionierskie metody nauczania pogładowego prowadząc młodzież z sal szkolnych w teren, by tam przekazywać jej wiedzę

z geografii i historii. Wspaniały gawędziarz. Potrafił zjednywać sobie młodzież bezpośredniością i urokiem osobistym. Zdarzały się przypadki, że zabrakło komuś pieniędzy na wycieczkę; wówczas Profesor pokrywał koszty wyprawy z własnej kieszeni. Dzięki Jego inicjatywie mogło środowisko robotniczej młodzieży Chrzanowa poznać uroki Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej i całych Karpat. W czasie wakacji przeszedł z młodzieżą w wielodniowej wędrówce Karpaty od Cieszyna po Czarnohorę! W Tatry wprowadzał Profesor młodego człowieka pokazując nie tylko sprawy topografii, ale także poezję i literaturę tatrzańską. Potrafił u swoich wychowanków wyrobić poważny stosunek do majestatu i grozy Tatr.

Zwiedził całą Europę od Litwy na wschodzie po Francję na zachodzie oraz od fiordów norweskich po kraje basenu Morza Śródziemnego – Włochy i Grecję – na południu. Zwiedził też kraje północnej Afryki, był na Spitzbergenie. Uprawiał turystykę rowerową i narciarską. Był członkiem Polskiego Związku Narciarskiego i lwowskiego koła Akademickiego Klubu Wysokogórskiego.

Profesor Krawczyński był autorem niezliczonej ilości wierszy i pieśni o tematyce tatrzańskiej, turystycznej, harcerskiej, patriotycznej i religijnej. Jego utwory, artykuły, felietony ukazywały się w wielu przedwojennych periodykach. W latach 1934-1937 wychodził miesięcznik szkół średnich w Chrzanowie pt. „Nad poziomym”, którego redaktorem odpowiedzialnym był profesor Krawczyński, a redaktorem literackim zdolny i dobrze zapowiadający się uczeń – Tadeusz Staich.

Od początku swej działalności pedagogicznej związał się Profesor z harcerstwem. Począwszy od 1925 roku corocznie był opiekunem obozów harcerskich.



Z obozów tych prowadził swych wychowanków na liczne wycieczki. Po przeżyciu grozy burzy w Tatrach nadano drużynie nazwę „Dzieci burzy”, a Profesorowi przydomek – „Orzeł skalny”.

Te wspaniałe lata przerwała II wojna światowa. Po wybuchu wojny prof. Krawczyński uprzedzony o grożącym Mu aresztowaniu przeniósł się do Karniowic i tam prowadził tajne nauczanie. Działał jako kurier. Wielu zagrożonych przeprowadził przez zieloną granicę. Nawiązał kontakt z samodzielnym oddziałem partyzanckim AK baonu „Skała”. Był jego łącznikiem i kurierem. Współpracował w Krakowie z konspiracyjną organizacją „Rodzina Gadów”. Cały czas ukrywał się.

Po wojnie wrócił do Chrzanowa, pracy w gimnazjum i działalności harcerskiej. W latach 1945-1947 pełnił funkcję opiekuna harcerzy, wydał w roku 1946 i 1947 zbiór pt. „Nowe pieśni harcerskie”.

W roku 1949 został mu odebrany stopień instruktora ZHP, a w 1951 – po przekształceniu gimnazjum w szkołę świecką TPD – musiał z niej odejść. Uznano Go za „*persona non grata*” w mieście Chrzanowie. Musiał przenieść się do Tarnowa.

W roku 1960 wrócił do Chrzanowa, ale już poważnie chory na chorobę Parkinsona. Rozproszeni po świecie wychowankowie (szczególnie mieszkający na stałe w Rawennie Edward Grabowski) umożliwili mu leczenie we Włoszech. Nie pomogły trzykrotne operacje. Zmarł w Krakowie 9 kwietnia 1965 roku. Liczny kondukt żałobny prowadził na miejsce wiecznego spoczynku Kardynał Karol Wojtyła.

Już w 1978 roku Koło Przewodników Beskidzkich i Terenowych w Chrzanowie wybrało Go sobie za patrona, a Rada Miejska nadała jednej z ulic Osiedla Młodości w Chrzanowie imię prof. Z. Krawczyńskiego. Hufiec ZHP w Chrzanowie na swym II Zjeździe 23.10.1992 r. podjął uchwałę o przyjęciu za swego patrona prof. Z. Krawczyńskiego.

P.S. W roku 1947 jako dziesięcioletni chłopak miałem okazję poznać osobiście Profesora podczas kolonii w Zakopanem. Zapamiętałem pierwszą wycieczkę oraz wieczorne ogniska, podczas których opowiadał nam piękne legendy tatrzańskie. Głęboko utkwiły mi w pamięci pieśni o górach, których tak wiele sam napisał i skomponował.

Może to pod wpływem Profesora zostałem przewodnikiem tatrzańskim?

Stanisław Trębacz

WUJ W STYLU INDIANY JONESA

Wuj Władysław Jerzy Midowicz był legendą rodzinną. Na fotografii z wesela dziadków (1914) ma minę do złudzenia przypominającą Indiany Jonesa, bohatera filmów, którego perypetie śledzą małolaty. Podobnie jak jego przygody intrygują współczesnego widza, tak samo interesowały mnie życiowe doświadczenia wuja. Wędrowałam palcem po starych mapach i atlasach, szukając Prutu i Stanisławowa, Londynu i Singapuru oraz Adelajdy. Z Babiej Góry i Czarnohory przenosiłam się w góry Szkocji, Alpy Tyrolskie, na Kinibalu (Borneo), w góry Australii. Zaznajamiałam się z „wojną na pędzle”, która położyła zapórę niemieckiej ekspansji w Beskidach. Czytałam o polskich i angielskich lotnikach, których wuj jako meteorolog-kapitan odprawiał do walki z hitlerowcami. Wyszukiwałam połączenia lotnicze na Dalekim Wschodzie, które korzystały z prognoz opracowywanych z jego udziałem.

W 1967 roku wuj z ciocią i suczką Riki (moją rówieśnicą) wrócili do kraju. Z perspektywy czasu decyzja powrotu wydaje się najbardziej potwierdzać „nieuleczalną chorobę”, której uległ wuj w wieku lat piętnastu – umiłowanie Tatr. Tęsknota, skrywana pod maską angielskiego pragmatyzmu („Tu jest doskonały przelicznik, czemu mam żyć skromnie w Australii, skoro mogę dostatniej w Polsce”), kazała mu przenieść się pod Giewont.

Pięterko „Juhasa”, willi cici Dusi Ś. (siostry wuja) zmieniło się na kilka lat w miniaturowe muzeum. Zachwycało mnie w nim wszystko – huculskie wyroby, trochę inne niż w domu, wschodnie, skórzane pufy (jeszcze wtedy w Polsce prawie nie znane), skrzynie na wełnę z pachnącego, eukaliptusowego drzewa, wypchany koala, wachlarze, malowidła i cacuszka z Malajów. W małym pudełeczku było kilka szmaragdów znalezionych w zawalonej kopalni, na biblioteczce pełnej



Przed „Juhasem” Kościelisko rok 1967 — lato, od prawej: Władysław Midowicz, jego siostra (c. Wanda Święcicka) właścicielka „Juhasa”.

górskich książek stały zdjęcia z wnętrza schroniska na Markowych Szczawinach czy z obserwatorium na Pop Iwanie, na ścianach wisiały skrzyżowane czekany (takie, jakich używano w latach 20.). Ciocia posiadała wspaniałe obrusy, haftowane przez Chinki w misterne, wschodnie wzory.

Riki — stara suczka („kundel z niebieskim medalionem”, jak określali ją sąsiedzi) była psiną bardzo wierną, dobrą i czujną... Jej przodkowie polowali w Afryce na antylopy, dlatego Riki oszczekiwana przez Bace i Miśki całego Kościeliska, pokonywała łąki wyskakując sinusoidalnie w górę; wujek był bardzo z niej dumny. Niestety psi żywot mimo najlepszej opieki ma swój kres, dożyła chyba 16-tu lat, a więc bardzo sędziwego wieku.

Wuj należał do tych nielicznych osób, które traktują młodych zupełnie poważnie, tak jakby byli dorosłymi. Wyczerpująco i przystępnie odpowiadał na „lawinę” pytań. Lubiłam bardzo jego uścisk dłoni; wydawał mi się męski (szczery i mocny). O ile pamiętam, witał zawsze tak wszystkich; panie jedynie w wyjątkowych wypadkach całował w rękę.

Przypadkowe spotkanie na szlaku bardzo mnie rozczarowało... Wujek miał wprawdzie kubełek z farbą, ale była ona koloru skały.

— A gdzie jest kolorowa? — wykrzyknęłam, nie mogąc ukryć zdziwienia.

— Ja nie maluję, tylko przeprowadzam kosmetykę, to znaczy zamalowuję stare, zniszczone znaki, a także te, które są zbędne. Poprawia to estetykę, no i przede wszystkim bezpieczeństwo; są bowiem szlaki, które były prowadzone inaczej, ale po zejściu lawiny lub obsunięciu się, zostały wyznaczone w innym miejscu.

— Na przykład na Świstówkę, albo na Karb, na Krzyżne...

— Czy nawet nad Czarny Staw pod Rysami — dokończył wujek moją recytację.

W „Juhasie” poznaliśmy państwa Mertów. Pan Józef był polonistą i starym druhem wujka, aktywnym uczestnikiem zacierania śladów Beskidenverein. Wypytywał mnie o szkolne lektury, w końcu zapytał czy wybieram się na polonistykę czy na geografę.

— Ona wybrała filozofię — wtrącił wujek. Tłumaczyła mi właśnie, że Jerzy Żuławski był doktorem filozofii i pisał o Spinozie, a Adam Karpiński należał do

grona fanatycznych zwolenników Nietzschego i wcale im to nie przeszkadzało w górach.

W okresie studiów zawsze odpytywana byłam z tego „co tam na naszym uniwersytecie”, czy studenci garną się do turystyki czy wolą kawiarnię?... Mnie to najbardziej odpowiada panteizm w ujęciu Spinozy, biedaczyna musiał szlifować szkła, aby się utrzymać... — wyznał kiedyś wujek. W siedemdziesiątym dziewiątym spytał, czy polonistyczne sławy UJ nie uważają Czesława Miłosza za najwybitniejszego poetę, bo Zachód go bardzo ceni... Lista lektur wuja była trochę dziwna, był miłośnikiem Zofii Kossak-Szczuckiej, pociągały go eseistyka i literatura faktu, pasjonował się sprawą Katynia.

Ukazanie się w 1973 roku „Encyklopedii Tatrzańskiej” sprawiło, iż przybył nowy temat. Wysoko ceniał dzieło państwa Paryskich, których szczerze podziwiał. Pochwalałam się listem od nich, jaki otrzymałam w podziękowaniu za uwagi. — A wiesz, że przymierzam się z kolegami do encyklopedii Babiej Góry, oczywiście będzie znacznie skromniejsza — powiedział. Zamiar ten zrealizował. Rozmawiając pod koniec stycznia z wujkiem przez telefon mogłam zakomunikować: — już przeglądałam, wspaniałe zdjęcia barwne, szkoda tylko, że oprawa jest miękka, no i że nie ma mapek... Po tygodniu otrzymałam drugie, tym razem starannie wydane przez Oficynę Wydawniczą „Rewasz” wydanie „Życia i snów Tymoteusza Średniaka”. Książeczka przyszła jak zwykle w szarej kopercie z wyraźnym adresem, podkreślonym flamastrem, opatrzona dedykacją. Zauważyłam, że duże litery trochę się chwieją...

Nie będzie już więcej górskich publikacji i kartek z życzeniami, odwiedzin...

Postawiony prowizorycznie brzozywy krzyż przypomniał mi Zaduszki sprzed lat. Wuj staropolskim zwyczajem na groby wyruszał w „dziady” czyli 2 listopada. Paliliśmy znicze na grobie jego rodziców (martwił się, że kosodrzewina posadzona na mogile trochę marnieje), nagle zakomenderował — a teraz do Józia, to znaczy do „Opcia”. — Jak widzisz, prawie o nim nie pamiętają — tak głupio zginął — dodał po chwili. W tych prostych, niemal wojskowych słowach, był ogromny szacunek i podziw. Wydaje mi się, że „terminowanie” u Oppenheima, udział w wyprawach ratowniczych, stanowiło dla niego powód do dumy. Łączyła ich chyba podobna filozofia życia: obaj umieli się nim cieszyć, obaj nie bardzo liczyli się z opinią publiczną, kochali przygodę, góry, byli wrażliwi na wszelką krzywdę, dyskryminację i biedę.

Antonina Sebesta

Od Redakcji: Władysław Miodowicz urodził się w 1907 roku w Mikuliczynie nad Prutem. Kiedy miał 10 lat zaczął chodzić po Tatrach, a gdy miał 18 lat zaczął się wspinać. W okresie międzywojennym był jednym z czołowych działaczy PTT. W latach trzydziestych był gospodarzem schroniska na Markowych Szczawinach, jego ukochaną górą była Babia Góra. W latach dwudziestych i trzydziestych prowadził w Tatrach badania klimatologiczne i sporo na ten temat publikował. W 1938 roku został kierownikiem obserwatorium na Pop Iwanie. W czasie wojny meteorolog lotniczy w Wielkiej Brytanii. Po wojnie meteorolog w Singapurze, potem w Australii. Do Polski wrócił w 1966 r. i chociaż mieszkał pod Tatrami, najwięcej uwagi poświęcał swej ulubionej Babiej Górze. Pod koniec życia zamieszkał w Wieliczce.

DZIEJE BABIOGÓRSKIEJ PERCI AKADEMİKÓW

Władysław Midowicz

Ta „najefektowniejsza ścieżka Beskidów”, jak ją nazwał przed kilkunastu laty redaktor „Wierchów” w swej recenzji przewodnika „Szlaki Babiej Góry”, została stworzona w przeciągu niecałych dziesięciu godzin w dniu 11 czerwca 1925 roku, przez 18-letniego studenta li tylko parą rąk i fantazją początkującego działacza karpackiego.

Gdy 1 listopada 1924 r., przybywszy w pochmurny i wilgotny dzień do pustego schroniska na Markowych Szczawinach, przeglądałem obtarganą najstarszą księgę pamiątkową, zauważyłem tam notatkę Hugona Zapałowicza z 1907 roku, że w związku z niszczeniem przez Niemców z Bielska („Beskiden Verein”) polskich znaków wiodących na Diablak, trzeba będzie pomyśleć o wyznakowaniu własnej ścieżki wiodącej wprost na Babią Górę, a więc omijającą uciążliwą przełęcz Bronę, zwaną w niemieckich drogowskazach „Branasattel”.

„Niemców to usuniemy stąd kiedyś razem z ich znakowaniami” — pomyślałem sobie, ale takim samodzielnym wejściem na Babią warto by się zająć. Po zdaniu matury przyjdę tu na kilka miesięcy, by odnowić wszystkie i niemal zanikłe oznakowania w masywie”.

Rok wcześniej przyczyniła się do tego jeszcze samotna wycieczka na Babią. Wspiąłem się o świcie na Diablak, bez jakichkolwiek znakowań Doliną Słonową i źlebem Poszukiwaczy Skarbów. Tam na dodatek odnalazłem na sterczących głazach dwa bardzo stare znaki — kółko przekreślone strzałą i nieudolnie wyryty symbol alchemiczny złota.

Z końcem wiosny 1925 r., spuściwszy się z Kościółków, projektowaną niegdyś przez Zapałowicza trasą, na polankę Kaczmarczykowych Szczawin, stwierdziłem, że nie byłaby zbyt praktyczną, wyprowadzając przez Kamienną Dolinkę tylko

pomiędzy Kościółki. Trzeba by na dodatek zniszczyć duże ilości kosodrzewiny, której przecięcie projektował on jeszcze w roku 1908.

Przetrawersowałem więc dobrą leśną na nieutrwalone rumowisko, skąd rozpościerał się dość dokładny widok na stare półskalne osuwisko prawie w linii szczytu. U jego podnóża znajdowała się malutka polanka, do której doprowadzała z lasów ledwo widoczna ścieżyna, którą Zawojcy znosili w płachtach jesienią, ściętą sierpami trawę na wysokich stokach.

I ta pyrciczka tworząc dojście kilkuwiekową knieją od Górnego Płaju, zadecydowała ostatecznie o mej decyzji wytyczenia i wyznakowania samodzielnego wejścia na Babią Górę.

Upakowawszy do plecaka parę puszek białej i żółtej farby, wyruszyłem czerwcowym ranem z Markowych Szczawin, by po około 10 minutach ustaliwszy na Górnym Płaju początek przeddeptanego ślabiutko przejścia, przybić na starym chojarze tabliczkę własnego wyrobu z napisem „Perć na Babią Górę — 1 1/4 godz.”

Pamiętając o przyszłym Parku Narodowym, malowałem nieduże znaki biało-żółte i tylko widoczne dla idących w górę. Obok, w wąwozie, szumiał drobnymi kaskadami potok. Dokoła chwiały się swymi pióropuszcami paprocie. Zbliżałem się powoli do górnej granicy lasu, który poczynał rzednąć i maleć. U jego końca rozwarła się mała i równa jak stół kotlinka Suchego Potoku, zalana słońcem. W górze wznosiły się turniczki Kościółków.

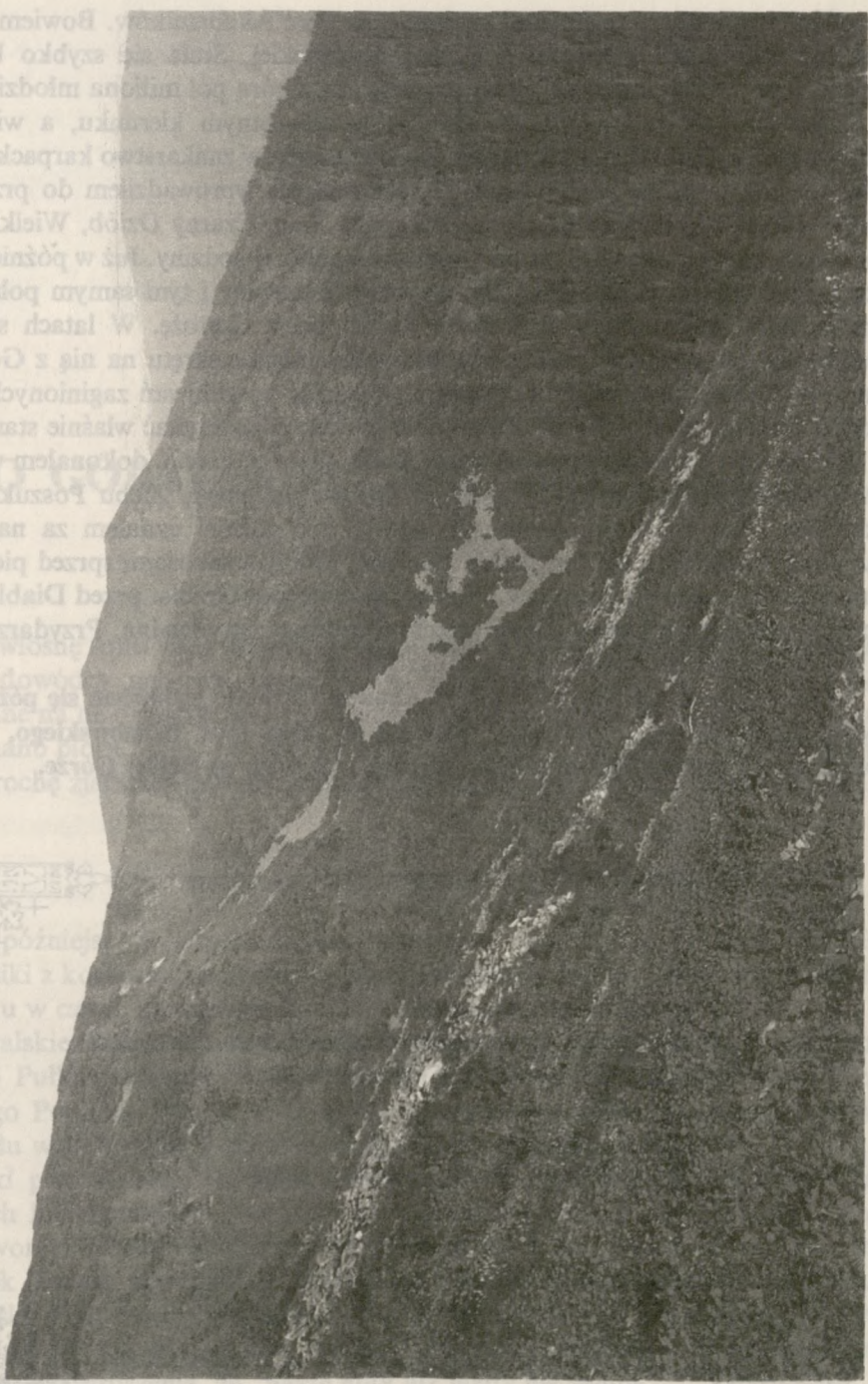
Dno tej polanki zalegało przed wiekami małe jeziorko, raczej oczko wodne, utworzone na styku dwóch wielkich osuwisk, które z biegiem czasu przepiłowało sobie drogę w dół, tworząc wąwóz którym spływał potok nazwany później Szumiącą Wodą.

Stąd trzeba było skrócić stromym trawiastym żlebem w lewo. Dokoła rosły jarzębiny i parę karlejących świerków. Prowadziłem poprzez nie szlak niedużymi zakosami, aż do pierwszej półki skalnej, gdzie schowałem do worka małą cieśliczkę, by czyścić na skałkach miejsca pod znaki stalową szczotką ogrodniczą. Znacząc ku górze trawersem, wyprowadziłem powstającą Perć przez wąską grzędę do Piarzystego Żlebu i popod urwistą skałę Czarnego Dzioba do miejsca, gdzie dziewięć lat później w roku 1934, poleciłem kamieniarzowi Frontowi z Zawoi osadzić w skale kilka klamer. Klamry te sporządził kowal z Wilcznej, Stefan Malik, a Front dziwował się nieco, gdy po wykuciu otworów, kazałem mu wyspać trochę siarki do topionego ołowiu.

Z Wielkiego Piargu powyżej roztoczył się widok na sennie Beskidy. Cisza była uroczysta, a dzień ciepły i bez chmur. Przez dachówkowato ułożone rumowisko, wywiodłem szlak dwoma zakosami na podszczytowe trawniki. Nie zazał on łopaty ani kilofa. Przekopać go miały wedle mego planu tysiące butów głównie studenckich, przez kilkadziesiąt lat po przejściu znakarza.

Profesor Sosnowski pisząc właśnie drugie wydanie swego Przewodnika, nazwał nową ścieżkę Percią Tatarnicką, a ja wykorzystując przywilej twórcy, w parę

Bowiem miła
bardzo szybko bardzo
młodość.
a więc dla
karpackie zw.
do przewo-
Wielki Piarg
w późniejszych
połączona
W latach siedem-
na nie z Górnego
zapinionych, bez-
właśnie zamiatd.
w roku
Poznańscy
za najlepsze
przez pierwszą
Działaniem.
zyskały się
głównie
nie na
po mo
złoty
złoty



W
karpackie
ramy w
Goralskie
nie o 3 Pa
Skatnego P
bez śladu
Falki
złoty
skick two
skick
sch
to
stat

lat później zmieniłem tę przesadną nazwę na Perć Akademików. Bowiem miała ona być symbolem młodości i tężyzny studenckiej. Stała się szybko bardzo popularną i w przeciągu pół wieku przeszło nią z górą pół miliona młodzieży.

Tego samego dnia wyznakowałem ją w odwrotnym kierunku, a więc dla schodzących z Diablaka. Tym samym wprowadziłem w znakarstwo karpackie tzw. jednostronną technikę znakowania. Na zakończenie wprowadziłem do przewodników własne i konieczne nazwy jak Piarżysty Żleb, Czarny Dziób, Wielki Piarg oraz powiększyłem czas wejścia na Diablak do półtorej godziny. Już w późniejszych latach Perć została przedłużoną po Markowe Szczawiny i tym samym połączona tam z żółto znakowanym wejściem z Zawoi przez Czatozę. W latach siedemdziesiątych, po powrocie z Zachodu, nazwałem miejsce skrętu na nią z Górnego Płaju — Skrętem Ratowników. Bowiem większość poszukiwań zaginionych, Beskidzkie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe zwykło rozpoczynać właśnie stamtąd.

Pierwszego narciarskiego wejścia na Babią Górę tą Percią, dokonałem w roku 1933, wytrawersowując spod Czarnego Dziobu na grzędę Żlebu Poszukiwaczy Skarbów, skąd zakosami na szczyt. Ale w rok później uznałem za najlepsze narciarskie wejście, trasę bez skałek i żlebów, wiodącą zakosami sprzed pierwszej skalnej półki w prawo przez tzw. Uplazy, na Pośredni Grzbiet przed Diablakiem. Bowiem ujście Piarżystego Żlebu groziło w śnieżne zimy lawiną. Przydarzyło się to w latach siedemdziesiątych trzem narciarzom.

I tak w jednym dniu powstała Perć Akademików. Nie zgodziłem się później na podtrzymanie nazwy „taternicka” nadanej jej przez prof. Sosnowskiego, bo nie potrzebowała propagujących przymiotników, zwłaszcza na Babię Górze.

*W górach nie szukam pustki — nie jestem sam
W górach jak orzeł posiadam oczami to co jest cudem
to czego nikt nie ma tu i teraz
— daleki horyzont Tatr
— piękno Rozsutca
i tylko żal, że już trzeba wracać w dolinę.*

T. Goluch

ZE WSPOMNIENIŃ O GÓRALSKIM GENERALE GALICY

Władysław Midowicz

Na wiosnę roku 1920, Brygada Podhalańska z Bielska otrzymała za staraniem swego dowódcy generała brygady Andrzeja Galicy, srebrzyste krzyżyki niespodziane na tle orlego pióra, które noszono na kołnierzach mundurów i którymi przypinano pióra „orle” (w rzeczywistości indycze) do rogatywek. Stąd urobiono może trochę zjadliwą śpiewkę, którą lubiały śpiewać formacje z niżowej Polski.

*„Ej te Podhalany to ci wojsko głupie,
noszą to na głowie co indyk... na plecach”.*

— W późniejszych latach dodano wszystkim pułkom 21 Dywizji Górskiej kapelusiki z kostkami i peleryny, a ich orkiestrom — kobzy. Oficerowie nosili na ramieniu w czasie paradnego marszu — ciupagi.

Góralskie wojsko było bardzo lubiane. Krążyło o nim wiele gadek, szczególnie o 3 Pułku Strzelców Podhalańskich, do którego wcielano poborowych ze Skalnego Podhala. Ponoć po przejściu w czasie manewrów „Podhalan” ginęło bez śladu wiele drobiu, a potem rodziło się niejedno dziecko.

Pułki podhalańskie (Bielsko, Cieszyn, Nowy Sącz, Sanok) posiadały kilku zdolnych kapelmistrzów i zarazem kompozytorów, którzy z melodii podhalańskich tworzyli marsze wojskowe doskonale nadające się „pod nogę”. Gdy słynny skrzypek Bartek Obrochta z Kościeliska i równocześnie wieloletni gospodarz schroniska w Roztoce, zaproszony przez Galicę, na którąś z wojskowych uroczystości, usłyszał kapelę pułkową grającą „Wieści z Podhala”, to rozplakał się staruszek ze wzruszenia, że „nasze nuty już nigdy nie zaginą”.

Generał Galica mieszkał przez jakiś czas w Białej Krakowskiej, tworzącej z Bielskiem jeden kompleks miejski, w hotelu „Pod Białym Orłem”. Któregoś dnia wysiadła w Bielsku z żywieckiego pociągu starsza góralka w kierpcach i wzorzystej chuście i wypytując się o ten hotel, dotarła na Plac Wolności. W rękę niosła koszyk przykryty płótnem.

W bocznym korytarzu drugiego piętra stał na warcie przed jedynym apartamentem hotelu, kapral z miejscowego 3-go pułku podhalańskiego. Pióro orle u czapki, bagnet i pistolet u pasa. Góralka podeszła do niego, pytając:

- Wyście to synku z tego góralskiego wojska?
- Jo jest matko z podhalańskiego pułku.
- Wy tu macie kogo?
- Jo tu mom kajsi takiego-ci wielkiego synka. Galica mu na nazwisko.
- Jes-ci u nas cosi trzok Galiców. A co ón je — kaprol?
- Edy cheba cosi wysyj. Ma ci takom srybelnom gwiozdkę na copce.
- Podporucznik!? Pockojcie matko! — A jak mu na imię?
- Jędrus. I mo ci takie syrokie granatowe paski na portkak.

Kapral przyjrzał się uważnie starej góralki i pytał dalej: — a skąd ón je ten porucnik Galica?

- Z Biołego Dunajca. Z cywila to ón je nizinier.

Coś zaświtało wreszcie wartownikowi, bo pytał już teraz: — a cy ón ma na copce takie proste srybelne śnurecki, cy jako krencone?

- Krencone synku — i takie hrube.
- Pockojciez matko! — siednijcie — pudem sie pytać.

Ale właśnie skrzypnęły drzwi i ukazał się w nich wysoki, barczysty mężczyzna w płaszczu wyjściowym i przy szabli. Kapral sprężył się jak struna:

— Panie Generale! — kapral Kojs melduje posłusznie przybycie matki Pana Generała z Białego Dunajca!

- Jędrus! rozległo się spoza szerokich pleców kaprałskich — Jędrus, mój synecku!

Generał chwycił matkę w objęcia, unosząc w górę. Zarzuciła mu ręce na szyję, całując i szepcąc: — aleś ty wielgi chłop tero! A jo ci przywiezła syrków z nasej holi.

Tegoż dnia Teatr Słowackiego z Krakowa wystawiał w bielskim Miejskim Teatrze „Królową Przedmieścia”. — Galica nakazawszy kierowcy wolną jazdę, obwoził matkę późnym popołudniem po obu miastach, pokazując i tłumacząc. Gdy stanęli przed gmachem teatru, tłum zgromadzony przed wejściem przyglądał się z ciekawością, jak młody adiutant szeleszcząc akselbantami, zeskoczył z przedniego siedzenia by otworzyć drzwiczki kobiecie z gładko zaczesanymi siwymi włosami i w wyszywanym serdaku. Generał wprowadził ją pod rękę do swej łoży na parterze, podchodząc z nią do parapetu i kłaniając się z uśmiechem klaszczącej publiczności. Orkiestra 3-go Pułku, już na chwilę przed tym uderzyła w tony skoczego marsza:

... *Ja-nic-ku!* — *Ser-dec-ko!*

kaześ podział cok ci dola

pió-rec-ko!?!...

(niosło się po sali)



Władysław Rospond (1940-1992)
rys. Lidia Jędrzejewska-Helka

WŁADYSŁAW ROSPOND

(Wspomnienie starszego przyjaciela)

Trudno uwierzyć, że nie spotkamy już Go w górach...

Władysław Rospond urodził się 19 sierpnia 1940 roku w Gródku Jagiellońskim koło Lwowa. Ojciec należał do Armii Krajowej w Okręgu Lwowskim. Jako maszynista kolejowy rozwoził przy okazji prasę konspiracyjną, za co został zesłany przez NKWD do pracy w kopalniach węgla w Zagłębiu Donieckim.

Po powrocie ojca, rodzice z Władkiem przyjechali w 1946 roku do Polski osiedlając się w miejscowości Św. Katarzyna koło Wrocławia.

Władek ukończył w 1957 roku Technikum Statystyczne we Wrocławiu. Początkowo na studia nie mógł się dostać, potem w latach 1959-1965 studiował na Wydziale Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego. Po odbyciu aplikacji sądowej został radcą prawnym w różnych zakładach pracy.

Nasze górskie drogi zeszyły się, gdy wiosną 1966 roku wyjeżdżałem z 15-osobową grupą w Góry Świętokrzyskie. Wtedy Władek wyjechał z nami po raz pierwszy. W 1967 roku Władek wpisał się do Koła PTTK, które prowadziłem.

Od wiosny do jesieni w miarę wolnego czasu, chodziliśmy w góry. Zimą, by nie tracić kondycji, po zasypanych śniegiem lasach opolskich. Idąc jesienią 1967 roku przez Beskid Mały odkryliśmy stację turystyczną na Żarze nad zaporą w Porąbce prowadzoną przez panią Franciszkę Lotek. Prowadził tam dość stromy szlak pod górę, nieraz trzeba było pokonywać duże zaspę śnieżną. Władek jako chłopak krzepki, barczysty nieraz oprócz swego ekwipunku brał dwie, trzy pary nart od mniej wytrwałych turystów, a raczej turystek.

Po wyremontowaniu w 1969 roku schroniska na Błatnej prowadzonego przez państwa Szwerynow, nasza grupa turystyczna zaczęła tam spędzać okresy świąteczno-noworoczne. Przyjeżdżał tam i Władek początkowo z siostrą, a potem z żoną.

Z końcem lat sześćdziesiątych, nasze drogi górskie zaczęły się rozchodzić. Władek dochodził do trzydziestki i mógł jeszcze sięgać wyżej.

Pociągały go cztero- i pięcioletniaki w Alpach i Kaukazie. Ja blisko dwadzieścia lat starszy nie mierzyłem już tak wysoko.

W drugiej połowie lat sześćdziesiątych Władek zetknął się z działalnością Klubu Turystyki Wysokogórskiej przy Opolskim Oddziale PTTK. Jego prezesem został w roku 1969.

W latach 1970-1975 członkowie Klubu działali intensywnie w lecie i w zimie w Tatrach Wysokich polskich i słowackich.

W 1975 roku członkowie Opolskiego Klubu Wysokogórskiego wyruszyli po raz pierwszy w zespole 10-osobowym w Alpy. Działali przez miesiąc w Alpach wchodząc na Mont Blanc (4807 m), Matterhorn (4492 m) i Monte Cristallo (3200 m).

W sierpniu 1978 roku Władek w ośmioosobowym zespole członków Klubu przeszedł całe pasmo rumuńskich Fogaraszy osiągając najwyższe szczyty Moldoveanu (2452 m) i Negoiu (2532 m).

W 1980 roku 10-osobowa grupa członków Klubu przebywała w Kaukazie; zdobyto Czegiet (3800 m).

Równocześnie cały czas działał Władek w Tatrach. Uczył młodych ludzi turystyki górskiej i wysokogórskiej oraz podstaw wspinaczki w skałkach. W góry prowadził często całą swoją rodzinę: żonę Ziutkę i dzieci: Danusię i Jarka. Towarzyszką wypraw była mu często siostra Barbara.

Interesował się i krajoznawstwem, a szczególnie kochał Lwów. W czasie wyjazdu do Lwowa w lutym 1991 roku to Władek oprowadzał nas po najciekawszych zabytkach i zakątkach miasta.

Po powstaniu w Opolu, w 1989 roku, Oddziału Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego został jego wiceprezesem.

Władek znał dotąd Słowackie Tatry Wysokie, nie znał Zachodnich. Z końcem sierpnia 1992 roku wybrał się tam z synem Jarkiem, Leszkiem Raczyńskim i jego synem Bartkiem oraz ich kolegą Ryśkiem. Zanocowali w Zdiarskiej Chacie i stamtąd weszli na Rohacze. Władek poczuł się źle i postanowił wracać z synem do domu. Kilka dni później Leszek Raczyński jako lekarz medycyny stwierdził: „Dowiedziałem się o wyniku ultrasonografii Władka. Wiem już, że to była jego ostatnia droga w Tatrach”. Choroba okazała się nieuleczalna – rak trzustki. Pobyt Władka w szpitalu był pierwszym i ostatnim w jego życiu.

Odszedł przedwcześnie na wieczną wspinaczkę 19 października 1992 roku.

Franciszek Kamysz

młotków. Trzeba to było robić tak, by dźwięk uderzenia żelaza o żelazo nie był słyszany nad Morskim Okiem, gdzie często łatwiej coś usłyszeć, niż zobaczyć. Nie chcieli przecież by ktoś usłyszał ich pracę w schronisku nad Morskim Okiem.

Obluzowanie haków zajęło im około czterech godzin. Nie zamierzali przecież sami zrzucić pięciometrowej swastyki. Było to zbyt ryzykowne. Miał to zrobić wiatr.

Cała trójka wróciła do Zakopanego tak jak wyszła, każdy osobno. Po paru dniach silny wiatr zerwał symbol. Swastyka zatępiła się ramieniem o skały, ale wiatr nie spadł w dół, gdzie roztrzaskała się na kawałki.

TADEUSZ STEC

SUDECKA DUSZA

Alina Kaszyn

Należał niewątpliwie do najwybitniejszych znawców Sudetów. Urodził się w Ciecince k. Lwowa w 1925 r. w pierwszym dniu września, zmarł w Cieplicach 12 stycznia 1993 r. Edukację zaczął w Seminarium OO Franciszkanów w Niepokalanowie, gdzie uzyskał maturę. Po II wojnie światowej studiował na Uniwersytecie Wrocławskim, jednocześnie pracując w Muzeum Archidiecezjalnym we Wrocławiu. Swą wiedzę zawdzięczał ciąglemu samokształceniu.

Rok 1949 był pierwszym w jego działalności turystycznej w Sudetach. W tym roku zorganizował jedyne wówczas w Rudawach Janowickich schronisko „Szwajcarka”. W tym też roku wstąpił do PTT i PTK. Rok później organizował w imieniu PTT pierwszy kurs przewodnicki w Szklarskiej Porębie i kierował schroniskiem „Dom Śląski” pod Śnieżką. Po powstaniu PTTK, Tadeusz Stec został kierownikiem biura w Jeleniej Górze. W tym czasie wspólnie z innymi zaczął tworzyć podwaliny przewodnictwa po Sudetach. Do roku 1975 był wykładowcą na wszystkich kursach przewodnickich i równocześnie wymagającym egzaminatorem. Będąc sam doskonałym przewodnikiem, przygotował wielu doskonałych następców, którzy jak on potrafili dobrze znakować trasy, prowadzić wycieczki narciarskie i w każdej potrzebie służyć pomocą. Nie zapominajmy, że to Tadeusz był inicjatorem utworzenia Grupy Sudeckiej GOPR i jej pierwszym prezesem.

Kiedy w 1959 r. Towarzystwo Wiedzy Powszechnej organizowało w Bolkowie Ośrodek Wiedzy o Ziemiach Zachodnich, na dyrektora powołano Tadeusza.

Jeszcze parę lat po wojnie naszym Sudetom brakowało opisów, które ułatwiałyby turystykę. Tadeusz Stec sięgnął po pióro. Najpierw było kilka książeczek popularnych, a w 1954 roku przewodnik „Sudety Zachodnie” i napisana z W. Walczakiem monografia krajoznawcza „Karkonosze”. Obie te pozycje były uzupełniane i wznowiane.

Publikował sporo. Wyciągał ciekawostki, pokazywał uroki Sudetów, był częstym autorem informacji w „Wierchach”. Równocześnie pełnił szereg funkcji w Komisji Turystyki Górskiej i w Kole Przewodników. Tadeusz nie dbał o awanse czy odznaczenia, dbał o godność i honor. Pisząc o nim jestem przekonany, że jego sprawiedliwa dusza osiągnęła mitologiczne Pola Elizejskie.

Zygmunt Sarnecki

SWASTYKA

Słowo pochodzenia sanskryckiego, znak religijny Indii. Przywędrowała do Europy wraz z pierwotnymi ludami i była tu w różnych okresach, znakiem przyjaźni, symbolem ognia. Przez całe wieki ten równoramienny, złamany krzyż był raczej dobrym znakiem.

W latach dwudziestych naszego wieku stał się on symbolem najpierw niemieckiego nazizmu, a pod koniec lat trzydziestych znakiem zienawidzonej w całym świecie przemocy niemieckiej.

Swastykę umieszczali Niemcy wszędzie, aby podkreślić swą przewagę. Wczesną jesienią 1941 roku niemiecka straż graniczna (Grenzschutz) powiesiła na wschodniej ścianie Mnicha pięciometrową swastykę, wymodelowaną w blasze mosiężnej, która była przymocowana na drewnianym stelażu.

Ten znak niemieckich nadludzi królujący nad Morskim Okiem, drażnił naturalnie Polaków.

Wtedy to trzech, bardzo młodych taterników zakopiańskich postanowiło „uwolnić” Mnicha od tego symbolu. Byli to 17-letni Jan Krupski i o rok starsi Józef Świerk i Józef Uznański. Do tego potrzebna była jednak ustalona, parodniowa niepogoda, tak by ze schroniska przy Morskim Oku nie było widać Mnicha. Takie warunki zaistniały dopiero następnego roku w sierpniu. By nie zdradzić swoich zamiarów cała trójka wyszła z domów, każdy na swoją rękę. Spotkali się przy Czarnym Stawie Gąsienicowym. Przez Kozią Przełęcz i Dolinę Pięciu Stawów Polskich przeszli na Szpiglasową Przełęcz. Niestety mgła zaczęła szybko opadać. Postanowili poczekać do wieczora. Wraz ze zmrokiem nadeszła nowa fala mgły. Jan i dwóch Józefów rekordowo szybko weszli na Mnicha i asekurując się wzajemnie zdążyli jeszcze przed zapadnięciem ciemności przyjrzeć się rozmieszczeniu haków, na których wisiała swastyka. Poczekali do świtu i zaraz zabrali się do roboty. Obkuwali i obluzywali haki, delikatnymi uderzeniami

młotków. Trzeba to było robić tak, by dźwięk uderzenia żelaza o żelazo nie był słyszany nad Morskim Okiem, gdzie często łatwiej coś usłyszeć, niż zobaczyć. Nie chcieli przecież by ktoś usłyszał ich pracę w schronisku nad Morskim Okiem.

Obluzowanie haków zajęło im około czterech godzin. Nie zamierzali przecież sami zrzucić pięciometrowej swastyki. Było to zbyt ryzykowne. Miał to zrobić wiatr.

Cała trójka wróciła do Zakopanego tak jak wyszła, każdy osobno. Po paru dniach silny wiatr zerwał symbol „nadhudzi”. Początkowo swastyka zaczęła się ramieniem o skały, ale wiatr nie ustawał i cała konstrukcja spadła w dół, gdzie roztrzaskała się na kawałki.

Alina Kaszyn

Zakopane, czerwiec 1993

PS. Zapisane tu fakty potwierdzili sami uczestnicy wydarzenia.



W pogoni za problemem

PRZEJŚCIE W POPRZEK POŁUDNIOWEJ ŚCIANY ZAMARZEJ TURNI OD ZMARZEJ PRZEŁĘCZY DO KOZIEJ PRZEŁĘCZY

Zakopane, w październiku

Tegoroczna jesień w Tatrach, przyniosła nam w porównaniu do zeszłej, miłą niespodziankę. Czysty, słoneczny i nieprzerwany niemal nastrój w naturze górskiej, umożliwił kontynuowanie wypraw, dodał nam, taternikom, zapachu „problemowo-twórczego” i ochoty do górskich czynów.

Pokusiliśmy się o piękną i wyjątkowo efektowną rzecz, aby ukoronować nasz bujny i obfitujący w szereg wybitnych zdobyczy sezon taternicki. Zwróciliśmy uwagę na możliwość przetrawersowania południowej ściany Zamarłej Turni od Zmarzłej Przełęczy do Przełęczy Koziej.

Nie możemy jednak, wyłącznie samym sobie, przypisywać zasługi w odkryciu tego problemu. Rozmawialiśmy o tem z sławnym na Podhalu „Wujkiem”. Omawialiśmy wtedy niewyczerpane tematy problemów tatrzańskich i ich wyczerpanie w rzeczywistości.

Wtedy to „Wujek” z blaskiem w oczach powiedział: „Łazicie po ścianach pionowo, dlaczego nie próbujecie poziomo!: Czemu nie zaatakujecie Zamarłej Turni w poprzek? od Zmarzłej do Koziej! Próbowali już tego przed wojną Węgrzy, bez powodzenia!...”

Zatkało nas na moment — na szczęście nie na ścianie, jeno w Dworcu Towarzystwa Tatrzańskiego. — Bajecznie! Spróbować nie zaszkodzi! Zbadamy trawers na wszystkie boki i... zobaczymy!

Rozgrzały się nasze skalne dusze, gdy w jakiś czas potem badaliśmy uważnie najniepewniejszą płytę w trawersie, w lewej połaci ściany Zamarłej. Blisko godzinę tkwiliśmy nad „kominkiem Bronikowskiego” w zwykłej drodze, obserwując bez słowa dziko skrzesaną płytę, na której wyobrażenia nasze toczyły zażartą walkę optymizmu z pesymizmem. Puści czy nie puści?...

— Co myślisz? — rzuciłem wreszcie do Jaśka. — „Puści!” — padło wreszcie i uczepiło się w naszych oczach, zwłaszcza gdyśmy oglądnęli jeszcze płytę od Zmarłej Przełęczy z charakterystyczną w niej i jedyną półką trawiastą, która bliżej środka ściany utrudnia nadzwyczaj przejście tzw. przewieszkami.

W dwa dni po owej teoretycznej walce z problemem, cięższej niejednokrotnie niż sama akcja w skale, dająca przecież niemal zupełne zapomnienie psychiczne — rozpoczęliśmy atak.

Na dole, w Pustej Dolince, znaleźliśmy później przygodne obserwatorki — cztery znajome, zwane „Maliniakami”. Sądzę, że obecność owych miłych „Maliniaków” — w wielkiej mierze, przyczyniła się do powiększenia naszego skalnego zacięcia aż do zwycięstwa.

Zazwyczaj wydieram się w skale na różne tony — niech mi tatatarnicy wybaczą ten ceperski grzech — ale my z Jaśkiem lubimy się drapać po skale z humorem.

— ...No, „Ishias” — zwracam się do Jaśka, gdy ten wypocił z 30 m trawersu — zdaje mi się, że Węgrzy próbowali tędy chyba tramwaj prowadzić, bo ty idziesz „stówkę” (100 km w godzinę).

A Jasiek do mnie:

— ...,„Kopaczka”, podejdz do mnie, bo stąd zaczyna się nasze „tango skalne”.

Teraz ucichłem zupełnie, wstrzymawszy niemal oddech... i zaczął się prawdziwie piękny taniec.

Półka przewieszona w dalszej partii, zaczęła łamać kości „Ishiasowi”. Zamieniła tango na drgawkową rumbę i krzesanego.

— To nie żarty, „Kopaczka”.

Uspokoił przyspieszony oddech na dwucentymetrowym „wygodnym” stopieńku. „Jeszcze 10 metrów „aussera” i zwycięstwo nasze” — mruczy...

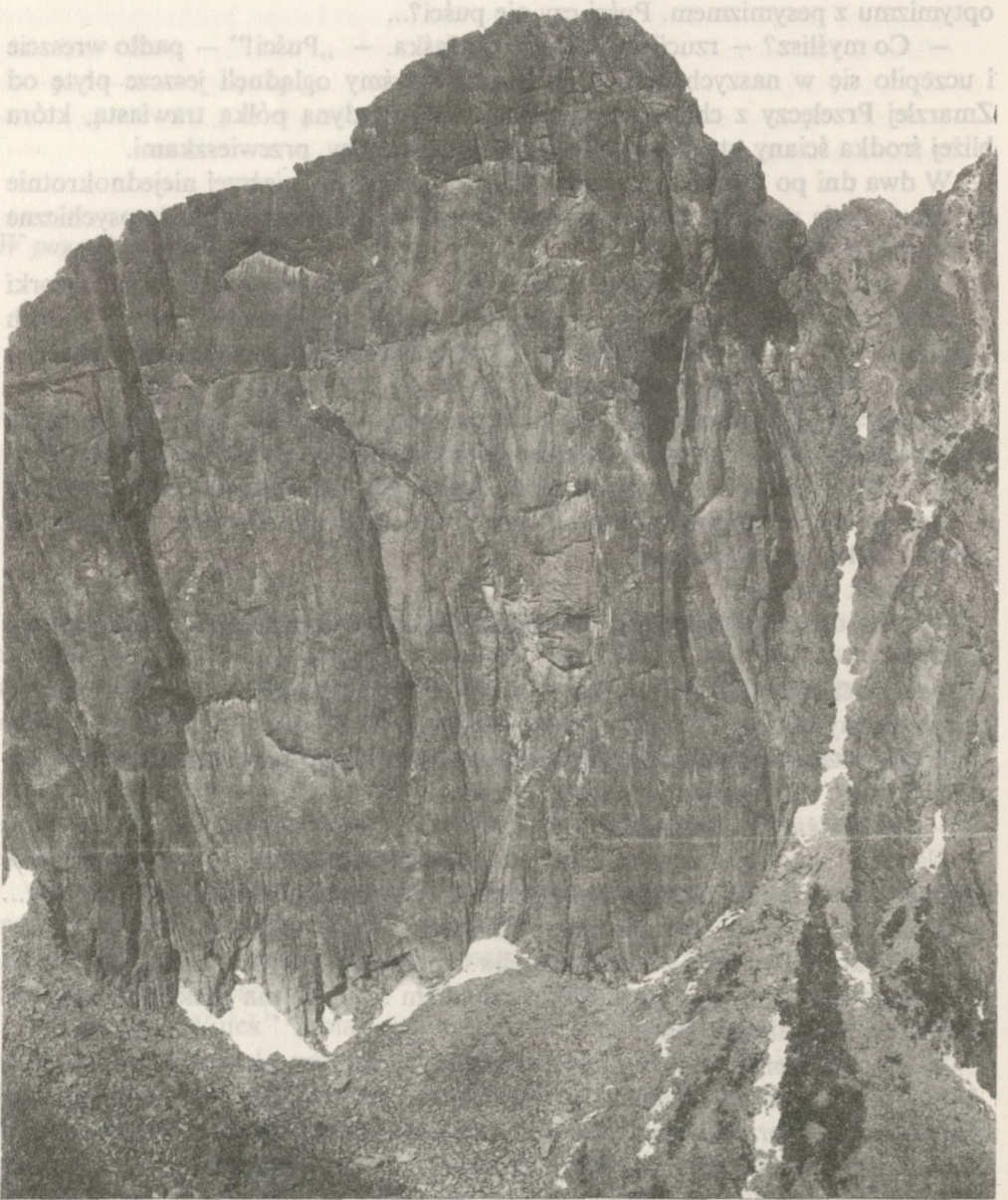
— Kończ prędzej, bo się zmęczysz! — krzyczę.

— Ostatnie dwa haki wbiłem do mchu w półeczce — wykrztusił Jasiek. — To nic, nie polecisz wprost z góry, tylko wahadłem i — „co ma wisieć nie utonie!” Zadyndamy na silnym haku.

— Znowu „leryk” buja — mruczy „Ishias” i zaczyna „kończy”.

Siadłem jak mur, owinąwszy linę koło dłoni i wolno — centymetr za centymetrem — przesuwalem ją przez karabinek, przy jednym możliwym haku. Nie śmię wychylać głowy zza żebra skalnego, tak że wysiłki Jaśka są dla mnie niewidoczne, słyszę jednak, jak trzeszcza mu stawy w przegubach, jak człowiek zmaga się z tym potężnym, zimnym i bezlitosnym, żywiołem skalnym.

Rozgrzany się nasze skalne duże, gdy w jakimś czasie potem badaliśmy tważe
najniebezpieczniej było w tważe, w lewej połaci ściany Zamary. Blisko godziny
tkwiłmy nad „kominkiem Bronikowskiego” w zwykłej drodze, obserwując bez
słowa dokoła skrzesnąc było, na której wyobrażenia nasze toczyły zatały walkę
opowiadaniu z pesymizmem. Po chwili wpuścił...
— Co myślisz? — zapytał — „Paci” — padło wycisze
i uciekło się w naszym kierunku, który oglądaliśmy z góry od
Zamary. Przechyły z ciałem, który był w tważe, która
blisko ściany ściany...
W dwa dni po



Zamaria Turnia

Niedługo to trwało, ale też minuty te dały całą głębię wrażeń, jakie się tylko w takich sytuacjach przeżywa. Dały te krótkie chwile wspomnienie silniejsze niż granit, gdy napięcie nerwów osiągnęło swój szczyt.

Wydarł nam się wreszcie z piersi jednocześnie tłumiony naciskiem chwili – okrzyk zwycięstwa... .

Jeszcze ja tylko miałem „pogłaskać” ową zaklętą półeczkę i zatańczyć na posadzce z granitu, ale w nastroju już przesądzonym zwycięstwem. Mogłem nawet śpiewać, wisząc ciężko na rękach – dałem jednak spokój, bo... szkoda mówić.

Nieźródnana była chwila, gdy wreszcie obaj dobyliśmy do Koziej Przełęczy, przeszedłwszy w poprzek osławioną ścianę.

Wieczorem w Dolinie Pięciu Stawów uściskaliśmy „Wujka”, który przybył na poświęcenie najpiękniejszego schroniska w Tatrach. Postanowiliśmy ochrzcić naszą drogę skalną „natchnieniem Wujka”. On zdaje się nie miał nic przeciwko temu.

Po tej zdobyczy nie spoczęliśmy jeszcze na jesiennych laurach. Złoto słońca i magiczna „vis major” wyrwała nas jeszcze kilka razy w Wysokie Tatry, gdzie pokonaliśmy parę bardzo ciekawych ścian.

Warto wspomnieć, że w samej Zamarłej Turni, na zwykłej drodze, odkryliśmy piękny wariant, skracający środkowe trudności tej ściany, a więc posiadający tem samem dość duże znaczenie.

St. Motyka, J. Sawicki

Przypominamy

Południowa ściana Zamarłej Turni została zdobyta po raz pierwszy w 1910 r. przez Henryka Bednarskiego, Józefa Lesieckiego, Leona Lorie i Stanisław Zdyba.

Stanisław Motyka (ur. 1906) jeden z najlepszych polskich taterników, znany doskonale w całych Tatrach. Przewodnik I kategorii (pierwszy nie góral wśród przewodników tatrzańskich). Współorganizator szkoły taterniczej. W Tatrach miał kilkadziesiąt pierwszych przejść. Na Zamarłej Turni zrobił dwie nowe drogi. Jedną, wyżej opisaną, z Janem Sawickim, drugą na południowo-wschodniej ścianie.

Utopił się w 1941 roku na Węgrzech.

Jan Sawicki (ur. 1909) jeden z najlepszych taterników okresu międzywojennego; kilkadziesiąt pierwszych przejść w Tatrach. Przez wiele lat tworzyli ze Stanisławem Motyką znakomitą parę wspinaczy.

Poniżej drukowany artykuł nadesłał nam Jan Sawicki z Londynu. Pierwszy raz ukazał się on w tygodniku sportowym „Raz Dwa Trzy” w 1932 r.

Niedlugo to trwało, ale też minęły to dary całe gładko widać, jakże się żyło
w takich sytuacjach przetrwać. Dary to krótkie chwile wspomnienia świąteczne
granit, gdy napięcie nerwów osłabło swój szczyt.
Wydarł nam się wreszcie z pięci jednocześnie tłumiony paczkami chwili
— o krzyk zwycięstwa...

Handwritten signature
Veritas

Konopania poraff 27^{to} = 1880

Handwritten flourish

Imi. Sigmundowa Imi. Sigmundowa w Zakopane Sigmund Emanuel
Homalatsch w Zakopane

Między innymi guberni w Zakopane dnia 26^{to} August 1880
w Zakopane dnia 26^{to} August 1880
Imi. Sigmundowa Sigmund Emanuel w Zakopane dnia 26^{to} August 1880

l. j. dnia 26^{to} Octobris
l. j. dnia 26^{to} Octobris
w Zakopane dnia 26^{to} Octobris

Imi. Sigmundowa Sigmund Emanuel w Zakopane dnia 26^{to} Octobris
l. j. dnia 26^{to} Octobris

Homalatsch w Zakopane dnia 26^{to} Octobris
Guberni Zakopane dnia 26^{to} Octobris

W Zakopane dnia 26^{to} August 1880
Imi. Sigmundowa Sigmund Emanuel w Zakopane dnia 26^{to} August 1880

Handwritten signature
Sigmund Emanuel

JAK KUPOWANO ZAKOPANE

W 1773 roku, po I rozbiorze Polski, dobra królewskie na Podhalu przejęła tzw. kamera czyli cesarsko-królewska izba skarbowa. Górnictwo i hutnictwo w Tatrach w pierwszych latach zaboru bardzo podupadło, postanowiono więc jak najszybciej się tego pozbyć podejmując, jakbyśmy to dziś powiedzieli, szybką prywatyzację. Zakład hutniczy w Kuźnicach kupił pracownik Urzędu Górniczego w Wieliczce, Reichsdorfer w 1800 r. Po 4 latach Kuźnice zostały sprzedane spółce Blutowski i Lange, a ci w 1807 roku odstąpili ją Wincentemu Homolascowi, Węgrowi osiedlonemu na Morawach. To on, fachowiec, tak rozwinął hutę Kuźnice, że stała się największym zakładem przemysłowym Galicji.

Później, austriackie władze skarbowe zdecydowały, że trzeba się pozbyć całego majątku królewskiego na Podhalu, który nie przynosił zysków. Podzielono dawną królewszczyznę na cztery części — sekcje (nazywane wówczas państwami) i wystawiono na licytację w 1819 roku. Tomasz Uznański kupił „Państwo Szaflary”, Pajączkowski nabył „Państwo Czarny Dunajec”. Natomiast Emanuel Homolacs (syn Wincentego) kupił Zakopane razem z sekcją Białka. Do tego kupna doszło dopiero po czteroletnich targach. Sprawa obrosła bogatą korespondencją. Spora jej część znajduje się w Muzeum Tatrzańskim. Z Archiwum Muzeum pochodzą też reprodukcowane plakaty.

Warto wrócić do sprawy „Państwa Czarny Dunajec”. Składało się ono ze wsi: Chochołów, Ciche, Czarny Dunajec, Dzianisz, Podczerwone, Witów i Wróblówka. Największą wartość stanowiły lasy (ok. 3500 ha). Pierwszy właściciel sprzedał to proboszczowi Krosna, ks. Józefowi Szczurowskiemu w 1821 roku. Ksiądz rodem z Czarnego Dunajca, kupował wprawdzie oficjalnie dla siebie, ale w rzeczywistości to chłopci — mieszkańcy wyżej wymienionych wsi dali mu pieniądze, aby ich wykupił z pańszczyzny. Ksiądz jednak, gdy tylko kupił „Państwo Czarny Dunajec” zapisał wszystko na siebie i zaczął się energicznie domagać wykonywania obowiązków pańszczyźnianych. Gdy awantury z góralami nabrały rozgłosu, ksiądz „sprzedał” w 1824 roku swą posiadłość bratankowi, adwokatowi Andrzej-

jowi Szczurowskiemu. Ponieważ sytuacja górali pogorszyła się jeszcze, przyjęli oni propozycję pomocy ze strony barona Borowskiego. Baron gdy tylko otrzymał pełnomocnictwo, sam poczuł się właścicielem i stał się jeszcze bardziej bezwzględny panem. Wieloletnia walka chłopów o swoje wyrobiła w nich świadomość narodową i społeczną. Dlatego tu właśnie wybuchło powstanie (chochołowskie), jakiego nie udało się przygotować w innych wsiach galicyjskich.

Górale odzyskali „Państwo Czarny Dunajec” (zwane inaczej Wspólnotą Witowską lub Wspólnotą 7-miu gmin) dopiero w 1867 roku. Były potem dalsze procesy, wreszcie dopiero na przełomie wieków spadkobiercy uprawnionych czyli tych 84 rodzin, które zebrały pieniądze na zakup, „Wspólnoty 7-miu Gmin” stali się współwłaścicielami Wspólnoty. Potem, już w czasach PRL, chciano odebrać góralom lasy, ale zręczne postępowanie leśniczego Krzysiaka, który przekonał władze, że „Wspólnota 7-miu Gmin” to przecież typowa spółdzielnia produkcyjna, uratowało sytuację.

Dziś „Wspólnota 8-miu Wsi”, mimo, że ma większość lasów na terenie Tatrzańskigo Parku Narodowego, doskonale współpracuje z Dyrekcją TPN i stosuje się do zaleceń dyrekcji.

Czytelnicy wybaczą ten nieco przydługi wstęp, ale udało się Redakcji „Pamiętnika PTT” zdobyć kopie pierwszych plakatów zapowiadających licytację. Są one wyjątkowo ciekawe. Dlatego je publikujemy. Wyjaśniamy tylko, że wykonano je na czerpanym papierze. Drukowano dwustronnie w wersji polskiej i niemieckiej.

Nro. 3926. e.

U w i a d o m i e n i e.

AL

C K. Kommissya do sprzedaży skarbowych dóbr Galicyjskich wyznaczona, ogłasza, że oddział Kameralnego Państwa Nowotarskiego, składający się z wsiów: Zakopanego z Olszą, Zabsuchiego, Ratulowa, Starebystrego, Międzyzyczerwojowej, i Maruszyny, dnia 28. Maja r. b. o godzinie 10tej przed południem, w domu Gubernialnym we Lwowie, drogą publicznej licytacji, sprzedanym będzie:

Cena fiskalna, której część dziesiąta jako wadium przed licytacją w gotowiznie złożyć, lub hipotekalnie zabezpieczyć należy, wynosi 17846 ZR 11 2/3 kr. w monęcie konwencyyjnej.

Rubryki przychodu są następujące:

297 czworobdłanych i tyleż parobdłanych dni pańszczyzny,	} które dotychczas po 48, 24, 9 i 6 krajca- rów okupywano.
485 dni pieszych do koszenia,	
485 zwyczajnych dni pieszych,	}
5184 ZR. 11/4 kr. czynszów gruntowych i innych,	
204 korcy 26 1/6 garcy owsa czynszowego,	}
120 sztuk 4-gosi,	
244 sztuk bur.	}
348 morgów 1045 kwadr. sażni polanek,	
6559 morgów 549 kwadr. sażni lasów.	}

Powinności w naturze, jako to: rabanie i przywóz drzewa sągowego, rznięcie tarcie i gontów, tudzież przedzienie za umiarkowaną płacę inwentaryjalną.

Przychód z propinacyi.

Warunki sprzedaży i szacnek dóbr można przed licytacją w Administracyi dóbr skarbowych przejrzeć, a mającym chęć kupienia, wolno jest i samez dobra oglądać.

Nabywca i potomkowie jego otrzymają względem tych dóbr bezpłatną habilitacyę tabularną.

We Lwowie dnia 4. Marca 1819.

Antoni Bielawski,
Komisarz Czynszowy.

U w i a d o m i e n i e.

C. K. Kommissya do sprzedaży skarbowych dóbr Galicyjskich wyznaczona ogłasza, że oddział Kameralnego Państwa Nowotargkiego składający się z wsiów Czarnego Donayca, Wroblówki, Podczerwoney, Chocholowa, Cychego, Dzieńsza i Witowa, dnia 29. Maja r. b. o godzinie 10tej przed południem w domu Gubernialnym we Lwowie, drogą publiczną licytacyi sprzedanym będzie.

Cena fiskalna, której część dziesiątą jako wadium przed licytacyją w gotowiznie złożzyć, lub hypotekalnie zabezpieczyć należy, wynosi 11418 ZR. 5 2/4 kr. w monecie konwencyoney.

Rubryki przychodu są następujące:

189	czworobydłanych i tyleż parobydłanych dui pańszczyzny,)	które dotyczą po 48, 24, 9, i 6 krayca
551	dui pieszych do koszenia,)	row okupywano.
417	zwyczajnych dui pieszych,)	
2092	ZR. 15 1/4 kr. czynszów gruntowych i innych,	
156	korcy 10 4/6 garcy owsa czynszowego,	
63	szluk gęsi,	
126	— kur,	
79	morgów 606 kwadr. sążni korczowisk,	
5089	— 1160 — lasów.	

Powinności w naturze, jako to: rąbanie i przywóz drzewa sągowego, rznicie farcie i gontów, tudzież przędzenie za umiarkowaną płacę inwentaryjalną.

Przychód z propinacyi.

Warunki sprzedaży i szacunek dóbr, można przed licytacyją w Administracyi dóbr skarbowych przezyrzeć, a mającym chęć kupienia wolno jest i sameż dobra oglądać.

Nabywca i potomkowie jego otrzymają do tych dóbr bezpłatną habilitacyją tabularną.

We Lwowie dnia 4. Marca 1819.

RATUJMY DREWNIANE KOŚCIOŁY

W historycznym krajobrazie kulturowym Polski drewniane kościoły zajmowały miejsce szczególne o istotnym znaczeniu dla jego tożsamości. Świątynie te ogniskowały życie religijne i wspólnotę społeczeństw lokalnych, a ich kształt odpowiadał potrzebom oraz wywodził się z tradycji rodzimego budownictwa drwnianego, pełnego artyzmu i malowniczości. Ich wnętrza przechowywały liczne dzieła sztuki, nierzadko sięgające średniowicza, a pomnażane aż po czasy współczesne.

Drewnianych kościołów polskich, unikatów w skali europejskiej (a właściwie światowej), zachowało się jeszcze wiele, lecz stan większości jest niepokojący, zwłaszcza gdy od pewnego czasu w sposób przyspieszony postępuje ich eliminacja, spotęgowana — zwłaszcza po wzniesieniu nowych świątyń murowanych — niewiedzą, brakiem zrozumienia i szacunku dla dziedzictwa, niedbalstwem, a niekiedy nawet złą wolą. Zagrożenie drewnianych kościołów potęguje także natura budulca o ograniczonej trwałości, wymagająca stałej opieki, jak też podatność na nagłe zniszczenie.

W ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy, w samej tylko Polsce południowej, utraciliśmy drewniane kościoły w Łękawicy Żywieckiej, Niedźwiedziu pod Górcami, Międzyrzeczu koło Bielska, Zawadzie Książęcej pod Raciborzem, w Rytrze w Beskidzie Niskim i Sieklówce koło Jasła; silnie uszkodzony pożarem jest kościół w Rożnowicach koło Biecza, a los „czasowo rozebranych” (!) kościołów w Gliwicach (przed wojną przeniesionego z Ząbkowic) i w Łaszewie jest niepewny. Wielu z tych nieszczęść i błędnych posunięć można było uniknąć.

W istniejącej sytuacji widzimy konieczność nie tylko wzmożonej działalności prawnych i urzędowych opiekunów oraz służb konserwatorskich, mających na celu ochronę bezcennych zabytków, ale również potrzebę rozwijania na szeroką skalę akcji propagandowej i uświadamiającej najszersze kręgi społeczeństwa. Środowisko krakowskich historyków sztuki, zrzeszone w oddziale swego stowarzyszenia, utworzyło niedawno, niemal spontanicznie — sekcję „Kościoły drewniane”. Jako cel postawiliśmy sobie poszerzenie kręgu zainteresowań tym właśnie, tak specyficznie

polskim dziedzictwem kulturowym i artystycznym, poszukiwanie sympatyków, ożywienie ruchu naukowego i popularyzatorskiego, przyczyniania się w każdy możliwy sposób do ratowania bezcennych, dramatycznie zagrożonych zabytków.



Kościół w Grywałdzie

Fot. M. Kornecki

Podjęliśmy dotąd kilka inicjatyw. Przygotowaliśmy i rozesłaliśmy do władz kościelnych, państwowych oraz niektórych środowisk kulturowych „Wystąpienie w sprawie zagrożenia drewnianych kościołów”, nawiązaliśmy szereg kontaktów, włączyliśmy się w tok niektórych spraw zmierzających do zabezpieczenia, konserwacji i „ożywienia” konkretnych obiektów. Podjęliśmy, choć skromną, akcję popularyzatorsko-wydawniczą, a także ekspozycyjną w naszym lokalu.

Apelujemy do stowarzyszeń, instytucji i zainteresowanych osób o włączenie się do zapoczątkowanej przez nas akcji. Każdy „przyjaciel drewnianych kościołów” jest potrzebny i mile widziany, a jego inicjatywa działania i współpraca może przynieść konkretne wyniki.

Stowarzyszenie Historyków Sztuki
Oddział Krakowski
Kraków, ul. Grodzka 15

POLECAMY DO CZYTANIA

Ukazał się drugi tom „Jaskinie Tatrzańskiego Parku Narodowego” pod redakcją naukową dr. Jerzego Grodzickiego. Zgodnie z założeniami tom ten obejmuje jaskinie zachodniego zbocza Doliny Kościeliskiej.

Cieszy fakt, że ten tom został wydany przez Polskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk i Ziemi na dobrym papierze i w lepszej oprawie. Tę edycję uzupełnia również bardzo dobra mapa rozmieszczenia jaskiń Tatr Polskich i opracowanie wprowadzające, poświęcone osadom jaskiniowym, przygotowane starannie przez Dr Helenę Hercman. Redaktor naukowy dr Jerzy Grodzicki powiedział nam, że całość zapowiada się na 11 tomów.

Redaktor naukowy prosi również, za naszym pośrednictwem, o uwagi na temat informacji zawartych w 2 pierwszych tomach.

Podajemy adres: Jerzy Grodzicki, ul. Platynowa 8/108, 00-808 Warszawa tel. 207-750.

Ktoś kiedyś nazwał Stefana Zwolińskiego romantykiem polskich jaskiń. Ale to nieprawda. Stefan był po prostu człowiekiem bardzo ciekawym tego co nie zbadane. To „niezbadane” kryło się dla niego w podziemiach tatrzańskich. Jego poszukiwanie drogi do wnętrza ziemi miało jeszcze jeden motyw. Był zdania, że skoro po słowackiej stronie Tatr są piękne i sławne jaskinie, to po północnej muszą się znaleźć równie piękne. Trzeba tylko dobrze poszukać. I szukali, początkowo z bratem Tadeuszem, a potem z innymi. Stefan, najbardziej zamięlowany, robił notatki, mierzył i szkicował. Te wyprawy, połączone często z odkopywaniem zamulonych korytarzy czy pompowaniem syfonów sporo kosztowały, Zwolińscy niejednym groszem w tym utopili. Szczęśliwie, wtedy, było z czego, bo księgarnia i wydawnictwo nieźle prosperowały.

Potem, po 1945 roku, ten pasjonat nieznanymi podziemi Tatr, potrafił znaleźć pieniądze w różnych instytucjach i dalej szukać. To on przekonał PTT, że trzeba udostępnić szerszemu gronu turystów jaskinię Mroźną.

Wraz ze śmiercią Stefana Zwolińskiego w 1984 roku odeszła w przeszłość pewna epoka w speleologii.

Dziś czas biegnie szybko, zapominamy o ludziach. Dlatego dzięki Speleoklubowi Warszawskiemu, że w swoim Biuletynie Klubowym „Wiercica” publikował od grudnia 1987 notatki z przeszłości tego wspaniałego grotolaza, a potem w 1993 r. ogłosił drukiem „Notatki z Wypraw Grotowych”.

Stefan Zwoliński był przez całe swoje dorosłe życie członkiem PTT (potem PTTK, SNPTT i przez kilka lat członkiem zarządu TOPR. Jego życie to kawał historii polskiej turystyki, życia na Podhalu i w Zakopanem.

Oficynie Podhalańskiej zawdzięczamy książkę Ludwika Kamińskiego p.t. „Mieszkańcy Gór Tatrzańskich”. Jest to najdawniejsza monografia etnograficzna Podhala. Ta praca przeleżała się w dziale rękopisów Ossolineum ponad 140 lat i teraz ukazała się pierwszy raz drukiem. Wielka wartość książki polega m.in. na tym, że pokazuje tradycje, zwyczaje i zabobony górali sprzed półtora wieku. Wszelkie zmiany na tym polu są tak gwałtowne, że warto poznać to, co było półtora wieku temu. Prof. Jacek Kolbuszewski, jak zwykle bardzo starannie opracował książkę i przygotował ją do łatwiejszego zrozumienia. Kogo te sprawy interesują, polecam, bo nakład niewielki (1000 egz).

Jedno wydawnictwo w Zakopanem przestało istnieć, drugie – Wydawnictwo Górskie – powstało w Poroninie. Na razie poczyni sobie znakomicie. Wydało już trzy popularne przewodniki po Gorcach, Orawie i Beskidzie Myślenickim i zapowiada dalsze. Absolutną perełką wydawnictwa z Poronina są „Wierszyki o Tatrzańskich Kwiatkach” Zofii Radwańskiej-Paryskiej. Każdy wiersz związany jest z przyjemną ilustracją graficzną. Wydanie jest numerowane na czerpanym papierze, oprawne w skórę. Nazwisko Autorki to gwarancja jakości. Polecamy przyjaciółom tatrzańskiej przyrody. Książeczka jest osiągalna na razie w Księgarni Górskiej w Zakopanem.

Zofia Radwańska-Paryska jest również autorką innej wielce ciekawej książki, którą wydał Tatrzański Park Narodowy. Jest to „Słownik Gwarowy Nazw Roślin Tatr i Podtatrza”. W okresie, gdy gwarowe, regionalne nazewnictwo zanika, to cenna, dokumentacyjna pozycja.

Ukazała się „Mała Encyklopedia Babiogórska” naszego nieżyjącego kolegi Władysława Midowicza. Babia Góra ma swoich przyjaciół, a haseł tam ciekawych nie brak. Spodziewamy się, że nakład dość szybko zniknie.

Na tym kończymy nasze uwagi o książkach. Nie omawiamy celowo książek górskich widocznych w wielu księgarniach i omawianych szeroko w prasie, bo na nie sami koledzy zwrócą uwagę.

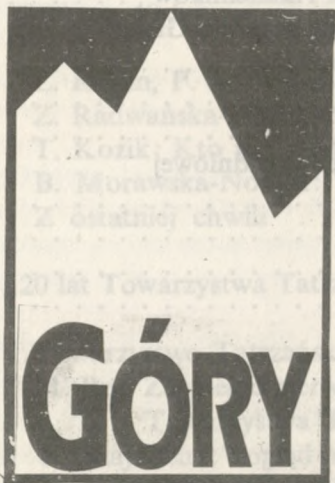
SPIS TREŚCI

I. Człowiek i góry	5
M. Mischke: Pory roku	7
J. Czechowski: Izerska arena	21
A. Słota: Tatry pierwszy raz	25
M. Bała: Co się zmieniło w himalaizmie	29
C. Klimczyk: W górach Turcji i Iranu	35
J. Karczewski: Odyseja alpejska	40
A. Kaszyn: Niżne Rysy	59
S. Urbański: O zachodzie...	71
Z. Grzegorzewski: Powrót do krainy wspomnień (II)	82
K. J. Szmidt: Turysta górski tolerancyjny	92
II TPN ma 40 lat	97
Z. Krzan, P. Skawiński: „Nie było nas był las...”	99
Z. Radwańska-Paryska: Uporządkujmy hierarchię wartości	109
T. Kozik: Kto ma rządzić w Parku Narodowym	113
B. Morawska-Nowak: Tatry rezerwatem biosfery:	116
Z ostatniej chwili	119
III 120 lat Towarzystwa Tatrzańskiego	121
Towarzystwo Tatrzańskie	123
M. Rej: Zagajenie pierwszego walnego zgromadzenia Towarzystwa Tatrzańskiego (1874 r.)	125
W. Szajnocha: Pogląd na czterdziestoletnią działalność Towarzystwa Tatrzańskiego (1913 r.)	128
J. G. Pawlikowski: Przyszłe zadania Towarzystwa Tatrzańskiego	145

IV Kronika PTT	169
M. Mischke: O styl Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego	171
B. Morawska-Nowak: II zjazd delegatów (protokół)	174
L. Rogowski: Gospodarka finansowa ZG PTT (1989-1992)	190
B. Morawska-Nowak: Działalność po II zjeździe	192
J. Preisler: Młoda Hora	197
Nasze Oddziały	213
Nasze czasopisma	248
V Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe	253
Pierwszy rok niezależności	255
Nowy naczelnik TOPR	257
30 lat nad Tatrami (z pilotem - ratownikiem Tadeuszem Augustyniakiem rozmawia A. Liberak)	258
Ścieżki ratownika (z ratownikiem Józefem Uznańskim rozmawia A. Liberak)	264
VI Ocalić od zapomnienia	277
H. Filarowska, J. Preisler: Gazda	279
J. Młodziejowski: Wycieczka do Pięciu Stawów	282
S. Trębacz: Wiódł młodzież ku szczytom	291
A. Sebesta: Wuj w stylu Indiany Jonesa	294
W. Midowicz: Dzieje Babiogórskiej Perci Akademików	297
W. Midowicz: Ze wspomnień o góralskim generale Galicy	301
F. Kamysz: Władysław Rospond (wspomnienie)	303
Z. Sarnecki: Tadeusz Stec (wspomnienie)	305
A. Kaszyn: Swastyka	306
S. Motyka, J. Sawicki: Przejście w poprzek południowej ściany Zamarłej Turni	308
A. Liberak: Jak kupowano Zakopane	313
Ratujmy drewniane kościoły	316
Polecamy do czytania	318

ilustrowany magazyn sportowy

Górski magazyn sportowy Wydawnictwa Leviatan, zajmujący się przede wszystkim alpinizmem, wspinaczką sportową, taternictwem jaskiniowym, a także narciarstwem wysokogórkim, spadolotami itp. Ukazuje się jako kwartalnik od października 1991 r. Jest bezpośrednią kontynuacją *Taterniczka* — czasopisma, które wydawane było przez krakowskie środowisko wspinaczkowe od roku 1958 do kwietnia 1991 r.



WYDAWNICTWO LEVIATAN
31-030 Kraków, ul. Librowszczyzna 3
tel. (012) 22-42-27, 21-14-82

KSIĘGARNIA – ANTYKWARYCZNA »NIEZALEŻNA«

ul. Kopernika 4, 42-217 Częstochowa, Skr. poczt. 636, tel. 24-94-67
czynna od godz. 8⁰⁰ do 20⁰⁰

*Organizujemy aukcje książki poszukiwanej, w grudniu każdego roku
wydajemy co kwartał ofertę książek wyrabnych.*

*Prowadzimy adresografię bibliofilii, kolekcjonerów, bibliotek i hobbystów
z podziałem na tematyki celem przesyłania katalogów aukcyjnych i ofert.*

OFERUJEMY
BIBLIOFILOM:
KSIĄŻKI O TEMATYCE
górskiej, turystycznej,
podróżniczej
w szczególności działy:
CZENSTOCHOVIANA,
SILESIANA, IUDAICA
WOJSKOWOŚĆ,
HERALDYKA, SZTUKA,
CZASOPISMA GÓRSKIE



OFERUJEMY
KOLEKCJONEROM
I HOBBYSTOM
GRAFIKĘ, WIDOKÓWKI
POCZTÓWKI
(dawna urbanistyka,
reprodukcje malarskie),
EXLIBRISY, MAPY,
BIBELOTY etc. o tematyce:
batalistycznej, patriotycznej,
taternickiej

KUPUJEMY

Książki sprzed 1950 roku Cenne dzieła Rzadkie rękopisy Stare druki

ZAPRASZAMY



Sponsor edycji

Wyłączny dystrybutor

ROSSIGNOL



OCZEKUJESZ POMOCY -

- POMÓŻ NAM

GÓRSKIE OCHOTNICZE POGOTOWIE RATUNKOWE
GRUPA BESKIDZKA

43-300 BIELSKO-BIAŁA, ul. Brygadzystów 170
tel. 236-11; fax 499-99

konto 310604-2121-132 Bank Śląski w Katowicach I OM Bielsko-Biała



FUNDACJA PRZYJACIÓŁ
DOLINY
CHOCHOŁOWSKIEJ

Wielce Szanowna/y Pani/Pan
Przyszła Nasza/Nasz Dobrodziejko/Dobrodzieju !

Zima 1990 roku w schronisku na Polanie Chochołowskiej grupa narciarzy i turystów górskich postanowiła powołać nieformalne stowarzyszenie pod nazwą "Klub Przyjaciół Chochołowskiej". W lutym 1993 roku liczba osób, które zgłosiły swój udział w pracach Klubu, przekroczyła już 130 i nadal przybywają nowi członkowie.

Klub postawił sobie za cel niesienie pomocy schronisku tak rzeczowej, jak i w formie społecznego działania - w rozwiązywaniu jego problemów. Liczą się pomysły, rady, osobiste kontakty. Umożliwiło to np. wyjątkowo tani zakup samochodu ciężarowego z demobilu, czy zainwentaryzowanie instalacji elektrycznej schroniska.

To największe w Polskich Tatrach schronisko, które w grudniu 1993 roku obchodzi swoje 40-lecie, boryka się z dużymi trudnościami gospodarczymi. Rozmiary obiektu są przyczyną wysokich kosztów eksploatacji i utrzymania schroniska, z drugiej zaś strony kryzys i zubożenie części społeczeństwa, obniżyły frekwencje gości i przez to stopień wykorzystania tej potężnej "kubatury".

Istnieją różne sposoby zmniejszenia kosztów własnych schroniska, ale pod warunkiem zainwestowania w początkowej fazie niemałych pieniędzy. Aby gromadzeniu środków finansowych na wsparcie tego rodzaju inicjatyw nadać zorganizowane formy, działacze Klubu doprowadzili do utworzenia Fundacji Przyjaciół Doliny Chochołowskiej. Po zarejestrowaniu przez sąd, Fundacja rozpoczęła w 1992 roku swą statutową działalność. Grupa założycieli, Rada i Zarząd pracują społecznie.

Przedstawiciele Fundacji nawiązali kontakt z Dyrekcją i służbami Tatrzańskiego Parku Narodowego oraz Zarządem Wspólnoty Leśnej Ośmiu Wsi z siedzibą w Witowie. Współpraca z gospodarzami tego regionu powinna przynieść pożytek zarówno turystom, jak i gospodarzom. Fundacja, która w przyszłości zamierza także podjąć własną działalność gospodarczą, widzi możliwości udzielania pomocy finansowej w utrzymaniu szlaków turystycznych i nartostrad, w modernizacji wyciągu narciarskiego na Polanie Chochołowskiej, w wyposażeniu schroniska w ogólnie dostępny sprzęt narciarski.

Zgromadzenie większych zasobów finansowych umożliwi zainstalowanie w schronisku nowoczesnego, "przyjaznego" dla środowiska, systemu ogrzewania, co położy kres zadymianiu Polany i wydatnie obniży koszty eksploatacji. Doświadczenia zimowe (a również i letnie) ostatnich lat, a nawet ostatnich miesięcy - wskazują na bezwzględna konieczność wyposażenia schroniska w kilka przynajmniej radiotelefonów oraz indywidualnych kieszonekowych urządzeń alarmujących (tzw. piperów), umożliwiających szybkie zlokalizowanie osób które uległy wypadkowi (w tym lawinowemu), czy zabłądzeniu w trudnych warunkach atmosferycznych. Urządzenia te byłyby zabierane w Góry przez osoby prowadzące większe grupy, przez turystów z dużym doświadczeniem i znajomością topografii Tatr Zachodnich, czy osoby wychodzące w Góry w trudnych warunkach, bądź na trudne przejścia.

Klub i Fundacja pragną przyczynić się do tworzenia w tym zakątku Tatr optymalnych warunków dla turystyki górskiej - letniej i zimowej, przy zachowaniu naturalnego uroku tej czarującej Doliny. Każdy wspierający Fundację - zarówno bogaty sponsor, jak i turysta - będzie więc miał w tym swój własny udział.

Fundacja Przyjaciół Doliny Chochołowskiej

34-500 Zakopane

Bank Przemysłowo-Handlowy O/Zakopane

k-to nr 324845-6435-132-3

Adres Zarządu Fundacji : 01-530 Warszawa, Krasińskiego 7

Adres schroniska PTTK : 34-500 Zakopane, Polana Chochołowska

skr. poczt. 195 tel. 705-10

Blankiety przekazów z nr k-ta Fundacji można otrzymać m.in. w recepcji schroniska, gdzie przyjmowane są również wpłaty gotówkowe za pokwitowaniem.

W załączeniu przesyłamy pierwsze parę blankietów wpłat na Fundację do ewentualnego wykorzystania, również w gronie przyjaciół i znajomych, dla których Tatrę coś znacza !

PREZES ZARZĄDU FUNDACJI PRZYJACIÓŁ
DOLINY CHOCHOŁOWSKIEJ

MAREK GAŁAJ

PRZEWODNICZĄCY RADY FUNDACJI

MIROSLAW KASPRZYCKI

DRW
↔

Warszawa, dn.

Tylko profesjonalni

PRZEWODNICY TATRZAŃSCY



ZRZESZENI W CENTRUM PRZEWODNICTWA
TATRZAŃSKIEGO TPN - PTTK W ZAKOPANEM

POSIADAJĄ LICENCJE UPRAWNIAJĄCE DO PROWADZENIA TURYSTÓW
NA OBSZARZE TATRZAŃSKIEGO PARKU NARODOWEGO (TPN i TANAP)

PRZEWODNICY TATRZAŃSCY

zapewniają ciekawy i bezpieczny pobyt w górach,
pomogą zrozumieć dziką tatrzańską przyrodę

*Zapraszamy wycieczki grupowe, szkolne
oraz turystów indywidualnych,*

*oferujemy opiekę przewodnicką na ka-
żdy rodzaj trasy: od zwiedzania polskie-
go i słowackiego Podtatrza poprzez
wycieczki tatrzańskimi dolinkami, aż po
trudne wspinaczki skalne na najwyższe
szczyty Tatr.*

*Nasi przewodnicy, dzięki ogromnemu do-
świadczeniu zawodowemu, mogą pokiero-
wać wędrowkami grup turystycznych
w inne góry Europy.*

*Prowadzimy wycieczki w językach ob-
cych: słowackim, angielskim, niemieckim,
francuskim, włoskim, serbskim, węgiers-
kim, rosyjskim.*

Proponujemy wycieczki specjalistyczne: ekologiczne, przyrodnicze, geologiczne i inne.

JUŻ OD 1875 ROKU PROWADZIMY TURYSTÓW W TATRY

zapraszamy turystów do naszych biur:

Biuro Przewodnickie PTTK
34-500 Zakopane, ul. Krupówki 12, tel. (58-48) 24-29

Centrum Przewodnictwa Tatrzańskiego — Informacja TPN
34-500 Zakopane, ul. Chałubińskiego 44, tel. 637-99

Wydawnictwo „LEVIATAN”

poleca

PRZEWODNIK NARCIARSKI

TATRY
BESKIDY
KARKONOSZE

(koleje linowe, wyciągi, trasy zjazdowe)

Opracowanie przeznaczone jest przede wszystkim dla zwolenników narciarstwa zjazdowego i zawiera opisy praktycznie wszystkich „uzbrojonych” w wyciągi i koleje linowe terenów narciarskich, położonych na terenie polskich Tatr i Karkonoszy oraz Beskidów: Śląskiego, Żywieckiego, Małego, Makowskiego, Wyspowego i Sądeckiego, Gorców, Pienin i Podhala.

W sprzedaży ukaże się pod koniec listopada br.

P.S. Po zapoznaniu się z przewodnikiem prosimy o przesyłanie uwag i uzupełnień na adres redakcji.

522



